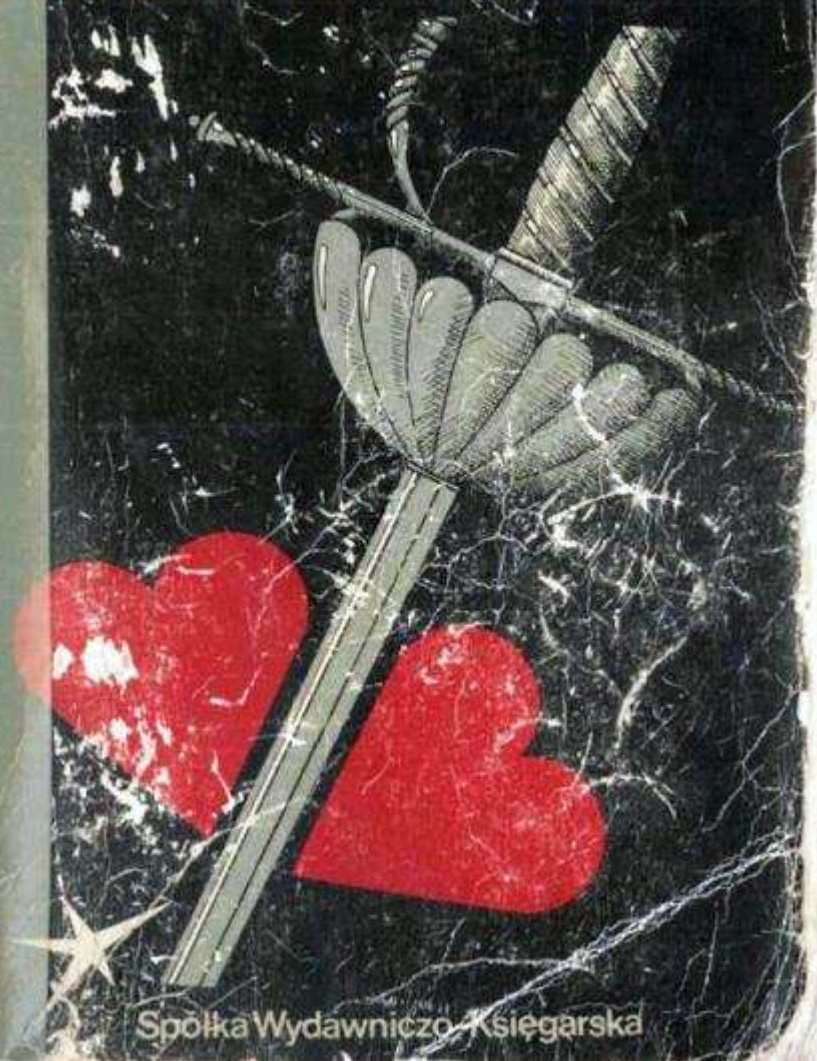


MICHEL ZEVACO  
**PARDAILLANOWIE**



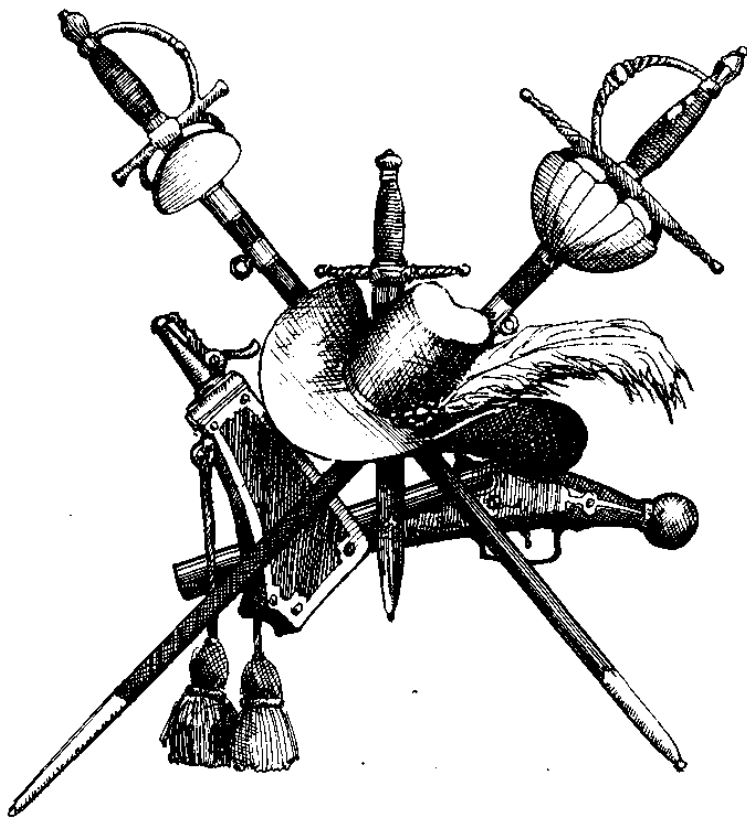
Spółka Wydawnicza Księgarska



# MICHEL ZEVACO

## PARDAILLANOWIE

PRZEKŁAD JANINA KARZMAREWICZ-FEDOROWSKA



Spółka Wydawniczo-Księgarska Warszawa 1991

Redaktor

Alina Lindert

Redaktor techniczny

Zbigniew Winiarski

Tytuł oryginału francuskiego „Les Pardaillan”

© Fayard, 1907

© Copyright for Polish translation by Janina Karczmarewicz-Fedorowska.

Warszawa 1991 Illustrations

© copyright by Jerzy Pietras. Warszawa 1991

ISBN 83-85004-85-8

# I

## DWAJ BRACIA

Dom był niski, parterowy, wyglądał skromnie. Przy otwartym oknie, w ozdobionym herbami fotelu, siedział wysoki starzec o siwej głowie i surowych rysach twarzy, tak charakterystycznych dla dawnych kapitanów\*, towarzyszy wojennych wypraw króla Franciszka I.

\* Od XV w, we Francji tytuł wyższego dowódcy oddziałów w poszczególnych okręgach (przyp. tłum.).

Ponurym wzrokiem wpatrywał się w szary masyw feudalnego zamczyska książąt Montmorency, dumnie wznoszącego w błękitnej dali groźne wieżyce.

W pewnej chwili odwrócił oczy. Ciężkie westchnienie, jak nieme przekleństwo, wyrwało się z jego piersi. Zapytał:

— A moja córka? Gdzie jest moja córka? Służąca, która właśnie sprzątała pokój, wyjaśniła:

— Panienska poszła do lasu narwać konwalii.

— Tak, racja, przecież to wiosna. Krzewy pachną, każde drzewo wygląda jak bukiet. Wszystko się śmieje, śpiewa, wszędzie pełno kwiatów.

Ale najpiękniejszy kwiat to ty, moja Joanno, moje szlachetne, niewinne dziecko...

Znów skierował wzrok na potężną sylwetę zamczyska, które rozsiało się na wzgórzu.

— Wszystko, co budzi we mnie nienawiść, jest tam! — warknął. — Potęga, która mnie złamała, zniszczyła! Ja, hrabia de Piennes, ongiś pan całej okolicy, muszę teraz wieść nędzny żywot na tym małym skrawku ziemi, jaki mi pozostawiła zachłanność konetabla. Ale co mówię, szalony! Czyż właśnie w tej chwili nie szuka on sposobu, żeby mnie

przepędzić z mojej ostatniej przystani?

Dwie łzy spłynęły po zmarszczkach pełnej rozpaczony twarzy, żłobiąc gorzki ślad.

Nagle starzec pobladł jak ściana: do pokoju wszedł czarno ubrany mężczyzna i skłonił się przed nim.

— Piekło! Sędzia od Montmorency!

— Mości panie de Piennes — odezwał się przybyły — otrzymałem właśnie od konetabla, mojego pana, dokument z rozkazem przekazania go wam bezzwłocznie. Tym dokumentem jest kopia wyroku Parlamentu Paryża z wczorajszą datą — sobota 25 kwietnia 1553 roku. Wyrok stanowi, że zajmujecie, panie, bezprawnie posiadłość Margency; że król Ludwik XII przekroczył swoje uprawnienia darując wam tę posiadłość, która musi powrócić do książąt Montmorency, i nakazuje wam oddać dom, wieś, łąki i lasy.

Pan de Piennes nie zrobił najmniejszego ruchu, najmniejszego gestu. Pobladł tylko jeszcze bardziej i zawołał drżącym głosem:

— O, mój szlachetny panie, królu Ludwiku XII, i ty, wspaniała Franciszku I! Azali nie wyjdziecie z waszych grobowców, żeby zobaczyć, jak traktuje się tego, który na czterdziestu polach bitewnych narażał swoje życie i przelewał krew? Powróćcie, królowie! Będziecie świadkami wielkiego widowiska, zobaczycie, jak stary żołnierz, któremu wszystko wydarto, włóczy się po drogach Ile-de-France, żeby uzbierać kawałek chleba.

Sędzia wzruszył się na widok tak wielkiej rozpaczony. Ukradkiem złożył na stole fatalny pergamin, cofnął się do drzwi i uciekł. Wtedy w ubogim domu rozległ się rozdzierający krzyk:

— Moja córka! Moja córka, moja Joanna — bez dachu nad głową! Moja Joanna bez kawałka chleba! Montmorency! Przekleństwo niech spadnie na ciebie i cały twój ród!

Katastrofa była wręcz przerażająca, albowiem wieś Margency, która od czasów Ludwika XII należała do hrabiego de Piennes, stanowiła wszystko, co pozostało z dawnej świetności temu magnatowi, rządzącemu ongiś Pikardią. Gdy stracił fortunę, schronił się do tej ubogiej posiadłości, będącej enklawą w latyfundiach konetabla.

Teraz już koniec! Wyrok Parlamentu oznaczał dla Joanny de Piennes i jej ojca upokarzającą nędzę.

Joanna miała szesnaście lat. Wiotka, krucha, dumna i wytworna, wydawała się istotą stworzoną do radowania oczu wiośnianą urodą,

podobna w swoim płochliwym wdzięku do kwiatu głogu drżącego pod kroplą rosy o wschodzie słońca.

Tej niedzieli, 26 kwietnia 1553 roku, wyszła z domu jak każdego dnia i o tej samej porze. Skierowała kroki do kasztanowego lasu, do którego przylegała wieś Margency. Tam wśród drzew przycisnęła rękę do serca i przyspieszyła kroku szepcząc sama do siebie:

— Czy osmielę się mu wyznać? Tak, dzisiaj, dzisiaj wieczorem przemówię... Powierzę mu tę straszną... i słodką tajemnicę.

Nagle objęły ją ramiona silne i czułe. Gorące wargi szukały jej ust:

— To ty, nareszcie! Ukochana!

— Mój Franciszku! Mój panie!

— Co ci jest, najdroższa? Cała drżysz...

Pochylił się, objął ją jeszcze mocniej.

Był to piękny młodzieniec, z jego łagodnej twarzy o szczerym spojrzeniu i wysokim czole tchnął spokój.

Ów młodzian nazywał się Franciszek de Montmorency! Tak, był starszym synem konetabla imieniem Anne, który właśnie wydarł był panu de Piennes ostatni strzep jego majątku!

Szli wolno, spleceni uściskiem, pośród rozkwitłych kwiatów wydzielających tajemnicze wonie. Niekiedy dreszcz wstrząsał ciałem dziewczyny. Zatrzymywała się, nasłuchiwała i szeptała:

— Idą za nami... szpiegują nas... słyszałeś?

— To jakiś spłoszony ptak, ukochana...

— Franciszku, Franciszku, boję się!

— Czego? Najdroższa, od trzech miesięcy, odkąd jesteś moja, od tej błogosławionej chwili, kiedy nasza niecierpliwa miłość, posłuszna prawom natury, wyprzedziła prawa ludzkie, jesteś, Joanno, bardziej niż kiedykolwiek pod moją opieką. Czego się obawiasz? Niebawem będziesz nosić moje nazwisko. Przełamie nienawiść dzielącą naszych ojców...

— Wiem, mój panie, wiem. I nawet gdyby to szczęście nie było mi sądzone, jestem i tak szczęśliwa, że do ciebie należę. Kochaj mnie, kochaj mnie mocno, Franciszku, gdyż czuję, że nad moją głową wisi nie-szczęście.

— Uwielbiam cię, Joanno. Przysięgam niebiosom, że nic na świecie nie zdoła przeszkodzić, abyś została moją żoną.

W pobliżu ktoś stłumił wybuch śmiechu...

— A więc — ciągnął dalej Franciszek — jeżeli cię coś gnębi, zwrz się twemu kochankowi... twemu małżonkowi...

— Tak, tak... dzisiaj wieczorem. Posłuchaj, dzisiaj o północy będę na ciebie czekać... u mojej dobrej piastunki... bo musisz wiedzieć...

— Więc do północy, ukochana...

— A teraz idź już, odejdz... do zobaczenia wieczorem...

Objęli się po raz ostatni, złączyli w ostatnim pocałunku, po czym Franciszek de Montmorency oddalił się szybko i zniknął wśród zarośli.

Joanna de Piennes stała chwilę jeszcze w miejscu, wzruszona, pełna niepokoju.

Wreszcie odwróciła się z westchnieniem i w tej samej chwili zdrząła: przed nią stał mężczyzna wyglądający na dwadzieścia lat, o twarzy świadczącej o gwałtowności, o ponurym spojrzeniu i wyniosłej postawie. Joannie wyrwał się okrzyk przerażenia:

— To ty, Henryku!

— Tak, to ja, Joanno. Czyżbym cię przestraszył? Na Boga, czyż nie mam prawa rozmawiać z tobą jak on... jak mój brat!

Joanna zadygotała, on zaś ciągnął ze śmiechem:

— Jeśli nawet nie mam tego prawa, to je sobie biorę! Tak, to ja, Joanno, to ja, który może nie wszystko słyszał, ale wszystko widział. Wszystko! I wasze pocałunki, i wasze uściski. Wszystko, mówię, i niech to piekło! Przez ciebie cierpię jak potępieńiec. A teraz posłuchaj: na rany Chrystusa, czyż nie ja pierwszy wyznałem ci moją miłość? Czy jestem mniej wart od Franciszka?

— Henryku — powiedziała — kocham cię i zawsze będę kochała jak brata... jak brata tego, któremu oddałam swoje życie. Wielka musi być moja do ciebie sympatia, skoro nie powiedziałam ani jednego słowa Franciszkowi...

— Och, to raczej, żeby mu zaoszczędzić niepokoju. Ale proszę bardzo, powiedz mu, że cię kocham! Niech się stawi z bronią w rękę i zażąda ode mnie zadośćuczynienia...

— Tego już za wiele, Henryku. Te słowa budzą we mnie wstręt i muszę ze wszystkich sił starać się pamiętać, iż jesteś jego bratem!

— Jego bratem? Jego rywalem! Zastanów się, Joanno!

Henryk ciężko dyszał.

— A więc mnie odpychasz! Mówże wreszcie! Milczysz? Miej się na baczności!

— Oby pogroźki, które czytam z twoich oczu, spadły na mnie samą! Henryk drgnął.



— Do widzenia, Joanno de Piennes — warknął. — Słyszysz? Do widzenia, a nie żegnaj!

Oczy nabiegły mu krwią. Wykonał gwałtowny ruch, potrząsnął głową jak ranny dzik i rzucił się między drzewa.

— Oby jego zemsta dosięgła tylko mnie samej — wyszeptała Joanna.

Gdy wymawiała te słowa, coś nieznanego i nie do opisanego drgnęło w głębi jej wnętrza. Instynktownym ruchem dotknęła łona i padła na kolana; ogarnął ją obłędny strach, szeptała:

— Mnie samej. Ale przecież ja, nieszczęsna, już nie jestem sama! Jest coś we mnie, co żyje, co chce żyć!

## II

### PÓŁNOC!...

Nad doliną Montmorency zawisa cisza, mrok bezksiężycowej nocy. Na dzwonnicy w Margency wolniutko wybiła jedenasta.

Joanna de Piennes wyprostowała się, zatrzymała kołowrotek, żeby policzyć uderzenia. Wyszeptała sama do siebie:

— Kiedy wróciłam po południu, ojciec wydawał się czymś wstrząśnięty. Czym? Dlaczego tak kurczowo przycisnął mnie do serca? Był taki blady! Na próżno starałam się wydrzeć mu jego sekret...

Wreszcie zgasła świecę, otuliła się mantylą, otworzyła drzwi i poszła w kierunku chłopskiej chaty stojącej o jakieś pięćdziesiąt kroków od domu.

Kiedy tak szła wzdłuż żywopłotu pachnącego dziką różą, wydało się jej, że jakiś cień, jakiś ludzki kształt majaczy po drugiej stronie płotu.

— Franciszku! — zawołała.

Nie otrzymawszy odpowiedzi pokręciła głową i poszła dalej. Wtedy cień, skradając się, ruszył w stronę domostwa pana de Piennes, poszedł prosto do oświetlonego okna i mocno zastukał.

Pan de Piennes jeszcze nie udał się na spoczynek. Przygarbiony, wolnym krokiem przemierzał salę, cały pochłonięty przerażającą myślą: co stanie się z jego Joanną!

Słyszac stukanie, przerwał ponurą przechadzkę i zamarł wstrzymując oddech w oczekiwaniu ostatecznej katastrofy. Wreszcie otworzył okno i wyjrzał. Z piersi wyrwał się mu ryk nienawiści, bólu i rozpacz. Tym, który stukał, był bowiem syn jego nieprzejednanego wroga, Henryk de Montmorency!

Starzec obrócił się, jednym susem dopadł panoplii, zerwał dwie szpady i rzucił je na stół.

Henryk wskoczył przez okno, włosy miał w nieładzie, wzrok błędny.

Gwałtownym gestem pan de Piennes wskazał szpady, ale Henryk pokręcił głową, wzruszył ramionami i chwycił starca za rękę.

— Nie przybyłem tu, aby się z wami mierzyć, panie — powiedział głosem szaleńca. — Bo i po co? Zabiłbym was. A zresztą, co do mnie, to nie żywię do was nienawiści. Co mnie obchodzi, że mój ojciec was skrzywdził? Tak, wiem: przez konetabla straciliście, panie, swoje włosci, z człowieka bogatego i możnego, jakim byliście, staliście się ubogim nędzarzem.

— Więc po co tu przyszedłeś, mów! — warknął stary kapitan.

— Chcecie wiedzieć, panie, dlaczego tu jestem? Dlatego, że wiem, iż to rodzinie Montmorency zawdzięczasz swoje nieszczęścia. Dlatego, że znam twoją nienawiść, szalony starcze, wołam na cały głos: czyż to nie hańba, nie profanacja, że Joanna de Piennes jest kochanką Franciszka de Montmorency?

Pan de Piennes zachwiał się, krew uderzyła mu do głowy, źrenice się rozszerzyły. Uniósł dłoń, by wymierzyć policzek za tę najwyższą zniewagę, ale Henryk de Montmorency błyskawicznym gestem chwycił jego dłoń i ścisnął ją, prawie miażdżąc.

— Wątpisz? — ryknął. — Głupi starcze! Powiadam ci, że w tej właśnie chwili twoja córka jest w ramionach mego brata! Chodź! Chodź!

Ogłupiały ojciec Joanny zaniemówił; Henryk gwałtownie pociągnął go i jednym kopnięciem otworzył drzwi. Po chwili obaj znaleźli się w pokoju Joanny: pokój był pusty!

Pan de Piennes uniósł ku niebu ramiona złorzeczając, jego rozpaczliwy krzyk przeszył nocną ciszę.

Potem zgarbiony, ciężko dysząc i chwiejąc się na nogach, objijając się o ściany, jakoś wrócił do komnaty. Henryk uciekł pod osłoną nocy, jak ongiś musiał uciekać Kain.

Joanna de Piennes zbliżała się do chaty, kiedy rozległo się pierwsze uderzenie zegara zwiastujące północ. Na zakręcie ścieżki, o trzy kroki od niej, ukazał się Franciszek.

Poznała go i w tej samej chwili znalazła się w jego ramionach. Uścisk był gwałtowny, oboje płonęli miłością.

— Ukochana — odezwał się Franciszek de Montmorency — dzisiejszej nocy mamy dla siebie kilka chwil. Do zamku przybył umyślny wyprzedzając mego ojca o godzinę: konetabl musi zastać mnie w domu... Więc mów szybko, najdroższa, powiedz, jakąż to tajemnica cię gnębi. Cokolwiek masz mi do powiedzenia, pamiętaj, że słucha cię twój małżonek...

— Małżonek! O, mój Franciszku, jestem upojona szczęściem...

— Małżonek, Joanno. Klnę się na moje nazwisko opromienione chwałą i jak dotąd nieskalane.

— A więc posłuchaj — powiedziała cichutko...

Pochylił się, Joanna oparła głowę na jego ramieniu. Już miała mówić... szukała słów odpowiednich do tego wyznania...

W tym momencie ciszę rozdarł straszny, wręcz niesamowity krzyk.

— To głos mego ojca — wyszeptła przerażona Joanna. — Franciszku, Franciszku, mordują mego ojca!

Wyrwała się z ramion kochanka, pobiegła i w parę sekund znalazła się przed domem; zobaczyła otwarte drzwi i okno. Wpadła do pokoju: ojciec rzeźił w fotelu. Rzuciła się ku niemu szlochając i chwyciła siwą głowę w objęcia...

— Ojcze, ojcze, to ja, twoja Joanna!

Starzec otworzył oczy i utkwiał wzrok w córce.

Cofnęła się o dwa kroki pod tym spojrzeniem: pomiędzy nimi słowa były zbędne, zrozumiała, że ojciec wie o wszystkim. Nieświadoma, co zdarzyło się w czasie jej nieobecności, wyznała:

— Wybacz, ojcze, wybacz, że go pokochałam, że go kocham. Ojcze, nie patrz tak na mnie... Czyżbyś chciał, żeby twoja Joasia padła trupem z rozpacz u twoich nóg? Przecież to nie moja wina, że go miłuję... nieodparta siła rzuciła mnie w jego ramiona... Och, ojcze, gdybyś wiedział, jak go kocham!

W miarę jak mówiła, pan de Piennes prostował się na całą swoją wysokość. Nie odpowiedziawszy wyprowadził ją na próg domu, wyciągnął ramię w ciemność nocy, wreszcie wyrzucił z siebie słowa:

— Odejdź, ja nie mam córki!

Zachwiała się, szloch zamarł jej w piersi.

Nagle rozległ się czyjś wzburzony głos:

— Mylisz się, łaskawy panie. Masz jeszcze córkę. Wasz syn was o tym zapewnia!

W tej samej chwili Franciszek de Montmorency pojawił się w kręgu światła; Joannie wyrwał się okrzyk bezrozumnej nadziei, ale pan de Piennes cofnął się wołając:

— Kochanek mojej córki... tu... przede mną!

Franciszek nie drgnął, skłonił się z całym spokojem:

— Dostojny panie, zechcesz-li przyjąć mnie za swego syna?

— Za mego syna? — wyjąkał starzec. — Wy, panie, moim synem? Co słyszę! Czy to ponure kpiny?

Franciszek chwycił rękę Joanny:

— Panie, zechciej łaskawie oddać Franciszkowi de Montmorency swoją córkę Joannę za prawowitą małżonkę — powiedział z jeszcze większą stanowczością.

— Prawowitą małżonkę? Czyżbyś nie wiedział, panie...

— Wiem! Moje małżeństwo z Joanną de Piennes naprawi wszystkie niesprawiedliwości, zatrze wszystkie nieszczęścia... Czekam, ojcze, żebyś wypowiedział słowa decydujące o moim losie, moim życiu.

Duszę starca zalała ogromna radość, na usta cisnęły mu się już słowa błogosławieństwa, gdy nagle wstrząsająca myśl przeszła jego mózg.

„Ten człowiek widzi, że niebawem umrę. Po mojej śmierci zakpi z córki, tak jak zakpił z ojca”.

— Proszę o decyzję — nalegał Franciszek.

— Ojcze, uwielbiany ojcze! — błagała Joanna.

— Chcesz, panie, poślubić moją córkę? — zapytał starzec.

Młodzieniec pojął, co się dzieje w sercu stojącego nad grobem człowieka.

Twarz jego promieniała męstwem i lojalnością. Odrzekł:

— Bodaj jutro, mój ojcze, bodaj jutro.

— Jutro — odparł pan de Piennes — nie będę żył.

— Będiesz żył nie tylko jutro, ale jeszcze długie dni, żeby błogosławić swoje dzieci.

— Jutro — wychrypiał starzec z goryczą. — Za późno! Koniec, umieram, przeklęty, zrozpaczony!

Franciszek rozejrzał się dookoła i spostrzegł, że obudzona służba zgromadziła się w sali. Do głowy przyszła mu szlachetna myśl: otoczył ramieniem przerażoną dziewczynę, dał znak dwóm służącym, żeby chwycili fotel, na którym dogorywał pan de Piennes, i rozkazał uroczystym głosem:

— Do kościoła! Ojcze, jest północ, twój kapelan może już odprawić pierwszą mszę... będzie to msza za połączenie się rodzin de Piennes i de Montmorency.

— Ja chyba śnię... chyba śnię... — powtarzał starzec.

Serce starego kapitana zmiękło, oczy napełniły się łzami i wyciągnął przezroczystą dłoń ku szlachetnemu potomkowi znieawidzonego rodu.

W dziesięć minut później w kapliczce Margency ksiądz odprawiał mszę u ołtarza. W pierwszym rzędzie siedzieli Franciszek z Joanną. Za nimi, w tym samym fotelu, w którym go przyniesiono — pan de Piennes. Dalej w tyle — dwie kobiety i trzech mężczyzn, służba domowa, świadkowie tragicznego ślubu.

Młodzi wymienili obrączki i uściśniły sobie drżące dłonie. Kapłan wyszeptał błogosławieństwo.

— Franciszku de Montmorency, Joanno de Piennes, w imię Boga żywego jesteście złączeni na wieczność...

Małżonkowie odwrócili się do pana de Piennes, jak gdyby prosząc także o jego błogosławieństwo. Przez chwilę uśmiechał się do nich, po czym ramiona opadły mu ciężko, uśmiech na białych wargach zastygł na zawsze...

Pan de Piennes wyzionął ducha.

### III

## CHWAŁA NAZWISKA

W godzinę później Franciszek wchodził do zamku Montmorency. Zapłakaną młodą żonę oddał w ręce piastunki, powiernicy ich miłości, i tuląc Joannę w objęciach zapewniał ją, że powróci do niej o świcie, gdy tylko powita ojca; o jego przybyciu zawiadomił go już wysłannik.

Kiedy Franciszek wszedł do sali rycerskiej, zobaczył konetabla Anne de Montmorency siedzącego w okazałym fotelu na podwyższeniu z trzech stopni. Po obu stronach pięćdziesięciu wyprężonych kapitanów oczekiwało w milczeniu.

Franciszek nie widział ojca od dwóch lat. Zbliżył się do stóp tronu.

Tuż przy tronie stał Henryk, który przybył przed kwadransem. Był biały i roztrzęsiony. O czym myślał ten dwudziestoletni młodzian?

Franciszek nie dostrzegł pełnego nienawiści spojrzenia brata; złożył głęboki ukłon głowie rodu. Na widok barczystej, wysokiej postaci starszego syna, konetabl, uśmiechnął się i to wyczerpało przejaw ojcowskich uczuć. Po czym bez najmniejszego gestu zaczął przemawiać, spokojny i groźny:

— Słuchajcie! Wiecie, jaką klęskę poniósł pod murami Metz cesarz Karol Piąty w grudniu. Mróz i choroby w ciągu kilku dni zniszczyły jego wielką armię składającą się z sześćdziesięciu tysięcy zbrojnych i ciurów.

Uznaliśmy wtedy, że to koniec imperium. Hiszpan pokonany, hugonoci zmiążdżeni przeze mnie w Langwedocji — pokój wydawał się pewny; toteż całą tę wiosnę najjaśniejszy pan Henryk II spędzał na ucztach, balach i turniejach... Przebudzenie jest potworne!

Konetabl dodał głuchym głosem:

— Tak, tajemne moce, które nieraz wkraczają, by dać zwycięzcom straszliwą nauczkę, zgotowały Karolowi Piątemu niezapomnianą klęskę. Tak, cesarz płakał opuszczając pozycje, gdzie pozostawił dwadzieścia tysięcy trupów, piętnaście tysięcy chorych i osiemdziesiąt armat. Ale oto podnosi głowę! Wczoraj o godzinie trzeciej otrzymaliśmy pierwszą wiadomość: cesarz Karol Piąty szykuje się do zajęcia Pikardii i Artois. Ten żelazny mąż już odbudował swoją wielką armię. W chwili, kiedy wam to oznajmiam, oddziały piechoty i artylerii zdążają forsownym marszem na Théroouanne. Słuchajcie wszyscy, Théroouanne zdobyty — cała Francja zajęta! Nie inaczej! Oto, co postanowiliśmy, jego królewska mość i ja: moja armia zgrupuje się pod Paryżem i wyruszy za dwa dni. Ale tymczasem oddział złożony z dwóch tysięcy jeźdźców pogna do Théroouanne, tam się obwaruje i będzie walczył do ostatniego tchu, żeby powstrzymać wroga.

— Do ostatniego tchu! — ryknęli kapitanowie.

— Otóż tej całej ekspedycji awanturniczej potrzebny jest dowódca młody, nieposkromiony, zuchwały. Tego dowódcę już wybrałem. Franciszku, mój synu, ty nim jesteś...

— Ja?! — zawołał Franciszek z rozpaczą w głosie.

— Tak, ty. To ty uratujesz swego króla, swego ojca i zarazem swój kraj. Dwa tysiące kawalerzystów czeka. Przywdziej zbroję! Ruszaj za kwadrans! Jedź i nie zatrzymuj się aż w Théroouanne, gdzie musisz zwyciężyć lub poleć! Ty, Henryku, pozostaniesz na zamku i przygotujesz go do stanu obronnego.

Henryk zagryzł wargi do krwi, żeby zdławić okrzyk dzikiej radości. „Joanna należy do mnie” — coś w nim wołało.

Blady jak trup Franciszek postąpił krok ciężko dysząc:

— Ojcze — zawołał — czemu ja?

Wzrok miał błędny, serce ścisnęła mu straszna wizja Joanny... opuszczonej małżonki...

— Ja! — powtórzył. — O, zgrozo! To niemożliwe!

Konetał zmarszczył brwi i krzyknął ochryplym głosem:

— Na koń! Franciszku de Montmorency, na koń!

— Ojcze, wysłuchaj mnie! Daj mi dwie godziny! Jedną! Proszę o jedną godzinę — błagał Franciszek.

Konetał Anne de Montmorency wstał:

— Podważasz rozkazy króla i swego dowódcy?

— Tylko godzinę, ojcze, i jestem gotów na śmierć!

— Do pioruna, jeszcze jedno słowo, Franciszku de Montmorency... tylko jedno, a dla chwały nazwiska, które nosisz, aresztuję cię osobiście.

Obelga była nie do zniesienia. Franciszek podniósł głowę. Z jego serca zniknęło wszystko: miłość, żona, marzenie o szczęściu. Jego słowa zagłuszyły mowę starego dowódcy:

— Niech piorun spali tego, kto kiedykolwiek powiedział, że Montmorency się cofa! Dla chwały nazwiska, ojcze, będę posłuszny i wyjadę. Ale jeśli powrócę żywy, mości konetału, będziemy mieli straszliwy rachunek do wyrównania. Żegnam!

Zdecydowanym krokiem przeszedł przed szeregami kapitanów przerażonych tym niesłychanym wyzwaniem, tym spotkaniem wyznaczonym wszechpotężnemu dowódcy, ojcu...

Na wszystkich twarzach zwróconych w stronę konetała malowało się oczekiwanie: zaraz padnie rozkaz aresztu. Ale na ustach wodza pojawił się dziwny uśmiezek, ci zaś, którzy stali najbliżej, usłyszeli, jak szepce:

— Prawdziwy Montmorency!

W dziesięć minut później Franciszek był na paradnym dziedzińcu w pancerzu, w pełnym rynsztunku, gotów wskoczyć w siodło. Zwrócił się do jednego z paziów:

— Mój brat Henryk! Przywołać mi mego brata.

— Jestem tu, Franciszku.

W świetle pochodni ukazał się Henryk.

Franciszek chwycił go za rękę; nie zauważył, że ta ręka płonie od gorączki.

— Henryku — zapytał — czy jesteś mi naprawdę bratem?

— Co pozwala ci wątpić?

— Przebacz! Ja tak cierpię! Zaraz zrozumiesz. Odjeżdżam, Henryku, odjeżdżam, żeby już może nie wrócić... i pozostawiam za sobą olbrzymią rozpacz. Słuchaj całym sercem, gdyż od twojej odpowiedzi zależy moja ostateczna decyzja. Znasz Joannę... córkę pana de Piennes.

— Tak, znam — głucho odparł Henryk.

— Oto, co mnie trapi.... Odjeżdżam... a Joanna i ja... my się kochamy...

Henryk zdusił okrzyk wściekłości.

— Milcz! — ciągnął dalej Franciszek. — Wysłuchaj do końca. Kochamy się już od sześciu miesięcy, od trzech miesięcy należymy do siebie; od dwóch godzin ona nosi moje nazwisko, jest Montmorency... tak jak i ja.

Henryk wydał zduszony jęk.

— Nie dziw się — mówił gorączkowo Franciszek. — Ona sama powie ci jutro, że kapelan z Margency połączył nas dziś w nocy ślubem. Ale to nie wszystko. W tej chwili Joanna de Piennes płacze nad zwłokami, zmarł bowiem pan de Piennes. Zmarł w kościele, ostatnim spojrzeniem nakazując mi czuwać nad szczęściem jego dziecka. I to jeszcze nie wszystko. Margency powraca do klucza dóbr konetabla. Henryku, jakie to okropne! Pozostawiam Joannę samą na całym świecie, bezbroną i bez środków do życia... Słyszysz mnie? Rozumiesz?

— Słyszę... rozumiem...

— Bracie, teraz uważaj dobrze: czy przyjmujesz legat, który pragnę ci powierzyć? Czy przysięgasz, że będziesz się opiekował kobietą, którą kocham i która nosi moje nazwisko?

Dreszcze wstrząsały Henrykiem, ale zdobył się na odpowiedź.

— Tak, przysięgam.

— Jeśli wojna mnie oszczędzi, odnajdę w domu mego ojca moją małżonkę, która nie dozna krzywdy w czasie mojej nieobecności. Albowiem ty będziesz na miejscu, żeby ją ochronić; żeby jej bronić. Przysięgasz, że to zrobisz?

— Przysięgam.

— Jeśli polegnę, wyjawisz moją tajemnicę ojcu i narzucisz mu wolę twego zmarłego brata: niechaj moja część ojcowizny na zawsze chroni wdowę po mnie od ubóstwa i pozwala jej wieść dostatnie życie... Przysięgasz?

— Przysięgam — powiedział Henryk po raz trzeci. Franciszek uściśnął go mówiąc:

— Pamiętaj, żeś mi przysiągł.



Wskoczył na konia i natychmiast wysunął się na czoło dwutysięcznego oddziału kawalerii zgromadzonego na majdanie. Podniósł rękę i krzyknął głosem donośnym, spotęgowanym rozpaczą, który musiał usłyszeć stary Montmorency w głębi zamku:

— Naprzód! Do ostatniego tchu!

## IV

### BRATERSKA PRZYSIĘGA

Ciało pana de Piennes odziane w paradny strój, z rękami skrzyżowanymi na obnażonej szpadzie — jak u nagrobnej statuy — umieszczono zgodnie z obyczajem pośrodku sali na polowym łóżku.

Joanna, niezwykle blada po nocy spędzonej na czuwaniu przy ojcu, podeszła do okna i je uchyliła.

W tej chwili rozległ się w oddali tętent konia.

— Przyjechał! — zawołała młoda kobieta.

Wzrok utkwiła w drzwiach, przez które miał wejść Franciszek.

Drzwi istotnie się otwarły. Joanna miała już się rzucić ku mężowi, ale stanęła jak wryta. Przejął ją lodowaty dreszcz: zobaczyła brata Franciszka. Henryk de Montmorency postąpił trzy kroki i stanął przed nią z głową nakrytą, bez ukłonu.

— Pani — powiedział — przynoszę nowiny, które przysiągłem przekazać jej z samego rana, w przeciwnym razie nie zobaczyłabyś w takiej chwili mnie zamiast tego, kogo oczekujesz. Franciszek odjechał dziś w nocy...

Joanna cicho jęknęła.

— Odjechał... — powtórzyła. — Odjechał, ale zapewne wróci niebawem? Może jeszcze dzisiaj?

— Franciszek nie wróci.

Joanna przycisnęła ręce do łomocącego serca.

— Rozpętała się wojna. Franciszek prosił i otrzymał zaszczytną misję udania się do Théroanne, aby powstrzymać armię Karola Piątego... Chęć powstrzymania cesarza z garstką kawalerzystów — to szukanie śmierci. Winieniem przekazać, pani, zdanie... właściwe myśli Franciszka:

uwikłany wbrew woli w sytuację bez wyjścia, postawiony wobec alternatywy albo wyprzeć się ślubu, którego żałuje, albo popaść w niełaskę konetabla — Franciszek wybrał ze wszystkich rodzajów samobójstwa najbardziej zaszczytne.

Twarz Joanny zbieła na podobieństwo twarzy zmarłego ojca. Z ust jej wyrwał się rozdzierający krzyk, padła na kolana. W tym potwornym bólu, który ścisnął jej serce, w nagłym nieszczęściu, jakie na nią spadło, jedno jedyne słowo zawarło w sobie całą jej rozpacz.

— Dziecko! Moje biedne dziecko!

Dłuższą chwilę klęczała szlochając, niepomna obecności Henryka, zapominając o zmarłym ojcu, zatracając się w swojej rozpacz.

— Więc dobrze — odezwała się wreszcie — tam, dokąd idzie mąż, musi iść także i żona. Dziś wieczorem jadę do Théroouanne.

— Wyjeżdżasz? — warknął brat Franciszka. — Nonsens! Skąd taki pomysł! Przedostać się przez teren najechany przez wroga, przez linię frontu! Nigdzie nie pojedziesz, pani!

— Ty mi zabronisz?

— Ja!

Nagle owładnęła nim namiętność, rozszalała się, pozbawiła rozsądku. Chwycił młodą kobietę w objęcia, przytulił kurczowo i zaczął gorąco przemawiać:

— Joanno, Joanno, on odjechał, porzucił cię! Nie zdobył się na to, żeby ogłosić swoją miłość, a więc cię nie kocha! Ale ja, ale ja, Joanno, ja cię uwielbiam do utraty zmysłów, gotów jestem rzucić wyzwanie niebu i piekłu, zasztyletować mego ojca własną ręką, gdyby sprzeciwiał się mojej miłości. Joanno, Joanno, niechaj więc Franciszek umiera śmiercią nikczemników, skoro nie umiał cię zatrzymać przy sobie! Ja cię pragnę, ja cię zdobędę, upomnę się o ciebie wobec całego świata. Joanno, jedno słowo nadziei albo raczej nie, nie mów nic... jedno twoje spojrzenie pozbawione gniewu powie mi, czy mogę mieć tę nadzieję...

Joanna ledwo go słyszała, zebrała całą siłę, całą wolę, żeby wyrwać się z wściekłego uścisku. Nagle udało się jej wyswobodzić. Wtedy, jakby dostojniejsza i wyższa, zapewne wskutek wewnętrznego napięcia, rzuciła na Henryka uważne spojrzenie. Postąpiła krok. Wyciągnęła rękę. Dotknęła palcem jego czoła i rozkazała:

— Obnażyć głowę, panie, jeśli nie przed kobietą, to przynajmniej wobec śmierci.

Henryk drgnął. Jego zmacony wzrok spoczął na chwilę na nieboszczyku, którego jak gdyby zauważył dopiero teraz. Wolnym ruchem podniósł rękę, jakby po to, by obnażyć głowę. Ale nie dokończył gestu, dłoń opadła. Oczy nabiegły mu krwią. Cała duma, cała gwałtowność jego rodu uderzyły mu do głowy nagłą falą gorąca:

— Do diabła, czy wiesz, że tutaj jestem u siebie i że tylko ja, po moim ojcu, mam prawo pozostawać z nakrytą głową!

— U siebie? — wybuchnęła Joanna nie rozumiejąc tych słów.

— U siebie! Tak, u siebie! Dekret Parlamentu odczytany tutaj zwraca Margency naszej rodzinie i ja nie ścierpię, żeby jakaś wasalka...

Nie dokończył. W jednej chwili Joanna znalazła się przy kasetce zawierającej dokumenty zmarłego. Otworzyła ją, rozwinęła pierwszy wydobyty pergamin, przeczytała, upuściła na podłogę i donośnym głosem, zagłuszając Henryka, przywołała służbę:

— Guillaume, Jacques, Toussaint, Pierre! Do mnie!

— Pani... — chciał przerwać Henryk.

Wpadli służący w żałobnej czerni, a wraz z nimi paru chłopów z Margency.

— Wejdźcie wszyscy — gorączkowo rozkazywała Joanna, którą podtrzymywało na siłach dziwne podniecenie. — Wejdźcie wszyscy i usłyszycie nowinę: już nie jestem tutaj u siebie!

Chwyciła lodowatą dłoń nieboszczyka i potrząsnęła nią.

— Nieprawdaż, ojcze, że już nie jesteśmy u siebie? Nieprawdaż, że nas wyrzucają? Nieprawdaż, ojcze, że nie chcesz pozostać ani chwili dłużej w domu tego przekłętego rodu? Czy nie słyszycie, że pan de Piennes nie jest już u siebie?

Z płonącymi policzkami, z ogniem w oczach Joanna biegła od jednego sługi do drugiego, popychała ich z przemożną siłą ustawiając wokół połowego łóżka... a kiedy cały ten manewr został zakończony, dała znak.

Ośmiu ludzi chwyciło łóżko, dźwignęło na ramiona, pozostali utworzyli orszak mamrocząc pod nosem wyzwiska. Joanna szła na czele. Henryk, jak w koszmarze, zobaczył wynoszonego przez drzwi trupa, potem zniknęła w nich Joanna, wreszcie już z oddali dobiegły go głuche przekleństwa.

Henryk tupnął gniewnie, wyszedł, wskoczył na konia i uciekł.

Joanna po przybyciu do starej piastunki, dokąd kazała nieść ciało ojca, padła zemdlna. Potem dostała wysokiej gorączki. Nie odzyskiwała przytomności i tylko majaczenie świadczyło o tym, że jeszcze żyje.

Henryk spędził koszmarną noc, z napadami to wstydu, upokorzenia i obłądnej furii, to znów namiętności. Nazajutrz powrócił do Margency gotów na wszystko, może nawet na morderstwo. Usłyszał nowinę, która go zdruzgotowała. Joanna była umierająca.

Odtąd codziennie przychodził i krążył wokół chłopskiej chaty. Trwało to całe miesiące. Upłynął blisko rok... potworny rok, w którym jego namiętność rosła; nadeszła wieść, że Théroouanne padł, że nie pozostał kamień na kamieniu, że garnizon wycięto w pień, że Franciszek zaginał. Może zabity?

Miał nadzieję! Tak, w duszy tego brata kiełkowała, rosła i umacniała się ohydna nadzieja.

Nabrał niezachwianej pewności tego dnia, kiedy paru żołnierzy, wyczerpanych, wychudzonych, w lachmanach, przejeżdżając przez Montmorency zatrzymało się na zamku. Opowiedzieli o klęsce Théroouanne, o mieście spalonym, obróconym w perzynę, o wielkiej masakrze garnizonu.

Co do dowódcy, co do Franciszka de Montmorency — zaginał bez wieści. Przez chwilę widziano go na barykadzie atakowanej przez tysiące oblegających.

Uspokojony tą wiadomością Henryk znowu zaczął krążyć wokół chaty, cierpliwie czekając na wyzdrowienie Joanny.

Pewnego dnia — jedenaście miesięcy po odjeździe brata — zobaczył ją wreszcie w małym sadzie starej piastunki. Po wzmożonym biciu serca poznał, że miłość nadal rządzi nim wszechwładnie.

Joanna była w ciężkiej żałobie. W ramionach trzymała niemowlę, tułąc je mocno do siebie.

Henryk odwrócił się powoli, obmyślając pewien plan.

Joanna wreszcie ozdrowiała! Nareszcie może zacząć działać! Nic prostszego: porwie młodą kobietę i siłą osadzi ją w zamku.

Gdy przybył na dziedziniec zamkowy, zobaczył jak biały od kurzu jeździec właśnie zsiadł z konia. Henryk zbladł...

Ale wydało mu się, że ten człowiek ma twarz radosną, że przynosi wieści, które uważa za pomyślne.

Gdy tylko jeździec go zauważył, podszedł i spokojnym głosem, zginając się w ukłonie, oznajmił:

— Jego wysokość Franciszek de Montmorency wymknął się z niewoli i pojutrze zawita w zamku swoich ojców. Uczynił mi zaszczyt wysyłając mnie przodem, abym uprzedził ukochanego brata o jego przybyciu.

Henryk zbladł jak trup; w nagłym błysku stanął przed nim brat — sędzia wymierzający sprawiedliwość i zadający śmiertelny cios. Runął jak rażony piorunem, jak byk powalony w rzeźni.

## V

### LOIZA

Joanna przez cztery miesiące walczyła ze śmiercią. W ubogiej chłopskiej izdebce walczyła całe noce i dni z zapaleniem opon mózgowych, które mogło ją zabić lub spowodować obłąd. Pod koniec czwartego miesiąca niebezpieczeństwo minęło i gorączka opuściła ją na dobre. Ale kiedy zostawała sama, po cichutku szeptała słowa pełne bezbrzeżnej czułości, skierowane do kogo? Tylko ona to wiedziała.

Minęły dalsze dwa miesiące. Pewnego jesiennego ranka, gdy przez otwarte okno wpadło październikowe słońce ciepłe jak pożegnanie lata, Joanna poczuła się silniejsza i postanowiła wstać.

Ale nim zdążyła postąpić dwa kroki, nagle przycisnęła ręce do łona i krzyknęła: chwyciły ją pierwsze bóle porodowe.

Piastunka kazała się jej położyć. Kiedy wreszcie przyszła do siebie i mogła unieść ocieźałe powieki, mogła patrzeć, wstrząsnął nią dreszcz radości i miłości: przytulone do niej na poduszce, z zaciśniętymi malutkimi piąstkami, z zamkniętymi oczkami, z buzią białą jak mleko i rumieńcem delikatnym jak płatki róży, z usteczkami półotwartymi w słabiu tkim kwileniu, leżało dzieciątko tak tęsknie oczekiwane, tak ukochnane!

— To dziewczynka — szepnęła stara piastunka.

— Loiza — cichutko wymówiła Joanna.

Obróciła się twarzą do dziecka nie odważając się go dotknąć, ledwo śmiejąc się poruszyć.

— Biedne moje kochanie... biedne niewinne maleństwo... więc to prawda! Nie będziesz miała ojca!

Loiza stawała się coraz silniejsza, ładniała z dnia na dzień. Gdy tylko jej rysy zaczęły się formować, nikt nie mógł wątpić, iż dziewczynka będzie uosobieniem wdzięku i harmonii.

W każdym spojrzeniu matki malowała się ekstaza, każde słowo było aktem uwielbienia. Kochała swoje dziecko bałwochwalczo. Dopiero pod

wieczór, kiedy zasypiało w jej ramionach, Joannie udawało się oderwać od córeczki nie serce, lecz myśli i wtedy biegły one ku kochankowi... małżonkowi... ojcu.

Franciszek! Umiłowany! Mężczyzna, któremu oddała się cała, bez zastrzeżeń.

Byłaż to prawda, że uciekł haniebnie pod pretekstem wojny? Byłaż to prawda, że ją porzucił, że już nigdy do niej nie wróci? Może nie żyje... Żadnej wiadomości... Nic!

Śpiące dziecko budziło się niekiedy od ciepłego deszczu łez, który spływał na jego twarzyczkę.

Mijała zima, Joanna wychodziła rzadko i nigdy poza ogródek. Po ostatnim spotkaniu z Henrykiem de Montmorency pozostał w niej głuchy strach, drżała na samą myśl, że ten człowiek mógłby znowu stanąć przed nią...

Powróciła wiosna, bardzo tego roku wczesna.

W marcu Loiza wkroczyła w szósty miesiąc życia; pękały pierwsze pączki i cały świat na nowo promieniał radością, która jednak nie zawiłała do serca biednej, porzuconej Joanny.

Pewnego dnia pod koniec marca piastunka z mężem poszli naciąć drew do lasu. Joanna w swoim pokoiku wpatrywała się z niewysłowioną czułością w śpiącą w łóżku Loizę. Wychodzące na ogród okno było na pół otwarte.

Nagle w pokoju od frontu rozległy się kroki i czyjś głos proszący o jałmużnę. Joanna weszła tam, a widząc mnicha zebrzącego, który wyciągał do niej sakwę, odkroiła kromkę chleba i podała mu ją mówiąc:

— Idź w pokoju, braciszku.

Zebrak podziękował nosowym głosem, obsypał ją błogosławieństwami i wyszedł.

Joanna wróciła do swojej izdebki. Odruchowo rzuciła okiem na łóżko, na którym zostawiła Loizę. Zdrętwiała z przerażenia, z ust wyrwał się jej krzyk podobny do skowytu wilczycy, której zabrano małe. Loiza zniknęła!

Joanna wybiegła jak szalona szukać swego dziecka. Z zaciekłością istoty walczącej o życie przez cztery godziny, półoblakana, wydająca dzikie okrzyki, straszna, z włosiem zmierzwionym, przeszukiwała zagajniki, żywopłoty, rozdzierając o nie suknię, drapiąc się do krwi.

Nagle pomyślała, że dziecko jest gdzieś w domu, więc pędem, zdyszana, wpadła do chaty...

Na środku dużej izby stał mężczyzna, zwiastun nieszczęścia — Henryk de Montmorency.

— To ty! Zawsze ukazujesz mi się w najgorszych chwilach mego życia!

Rzucił się ku niej, chwycił za obie ręce i cichym, schrypniętym głosem zaczął szybko mówić:

— Szukasz swojej córki? Powiedz! Tak? Szukasz jej? Zatem wiedz: to ja mam twoją córkę. Porwałem ją. I ją mam. Biada jej, jeśli mnie nie posłuchasz!

— Ty! — wrzasnęła Joanna. — Ty, nędzny łajdaku!

— Milcz — warknął ściskając jej ręce do bólu. — Posłuchaj, słuchaj uważnie, jeśli chcesz ją jeszcze zobaczyć...

Do matki dotarły tylko słowa „jeszcze zobaczyć”. Jej złość opadła. Zaczęła błagać:

— Jeszcze ją zobaczyć? Coś ty powiedział? Jeszcze ją zobaczyć? Powtórz to, na litość boską! Będę cię całowała po nogach, ucałuję ślady twoich stóp! Moja córka! Zwróć mi moją córkę!

— Posłuchaj, mówię! W tej chwili twoja córka jest w rękach mojego człowieka. Człowieka? Raczej tygrysa, niewolnika! Umówiliśmy się, jak następuje: ale słuchaj, stój spokojnie. Oto, cośmy ustalili: gdy podejdem do okna i podniosę do góry czapkę, ten człowiek wyciągnie sztylet i wbije w serce dziecka...

Joanna padła na kolana, czołem uderzyła o klepisko, chciała skomleć o łaskę, ale nie mogła.

— Wstań! — nakazał.

Uśluchała szybko, nadal trzymając ręce wyciągnięte w błagalnym geście.

— Czy zdecydowałaś się być posłuszną? — zapytała bestia w ludzkim ciele.

Skinęła głową, że tak; w jej oczach był obłęd, dyszała ciężko, była straszna i wspaniała zarazem.

— Teraz uważaj. Franciszek, mój brat... powraca. Słyszysz! Będę z nim rozmawiał tu, przy tobie. Jeżeli nie powiesz, że kłamię, jeżeli będziesz milczała... dziś jeszcze twoja córka znajdzie się w twoich ramionach. Jeżeli powiesz choć jedno słowo, podniosę do góry czapkę i... twoja córka umrze.

Patrz, nadchodzi Franciszek.

Na drodze wiodącej z Montmorency zbliżał się tuman kurzu gnany podmuchem wichru, a spośród wirującego pyłu rozległ się radosny głos:

— Joanno, Joanno! To ja! Jestem!

— Franciszku! Franciszku! — krzyknęła Joanna. — Na pomoc!

Krokiem okrutnie powolnym Henryk zbliżył się do okna mówiąc:

— A więc to ty zabijesz swoją córkę.

— Litości! Litości! Już milczę! Jestem posłuszna!

W tej chwili Franciszek de Montmorency gwałtownie pchnął drzwi i nie mogąc ze wzruszenia złapać tchu, pijany szczęściem i miłością, wszedł, wyciągnął ręce i wyszeptał:

— Joanno! Moja ukochana!

Ale ręce jego powoli opadły.

Blady ze wzruszenia Franciszek teraz zbladł jeszcze bardziej ze strachu.

Cóż to! Przybył do swojej kochanki, do małżonki, a ona stoi nieruchomo jak posąg grozy, może wyrzutów sumienia... Franciszek zrobił trzy szybkie kroki.

— Joanno! — powtórzył.

Joannie głos uwiązał w gardle. Odruch nakazywał jej rzucić się w objęcia ukochanego mężczyzny, ale jej wzrok spoczął na Henryku, który trzymał w ręku czapkę, już unosił rękę...

— Nie, nie! — wybełkotała matka.

— Joanno! — krzyknął na cały głos Franciszek. I jego spojrzenie spoczęło na Henryku. — Mój brat...

Oboje, brat i małżonka, zachowali straszliwe milczenie. Wtedy Franciszek powoli skrzyżował ręce na piersi. Poważny, uroczysty jak sędzia i smutny jak skazaniec przemówił:

— Od roku serce moje biło tylko dla kobiety, której z własnej woli to serce się oddało, dla małżonki noszącej moje nazwisko. Przybiegam przepelniony miłością, rozgorączkowany szczęściem... a małżonka odwraca głowę... brat nie śmie na mnie spojrzeć...

Trudno opisać ogrom cierpienia Joanny w tej chwili. Potworna tortura przekraczała ludzkie wyobrażenie. Kochała! Uwielbiała! Gdy serce pchało ją w ramiona małżonka, kochanka, oczy skierowane na piekielnego sprawcę tej tortury nie mogły oderwać się od ręki, której jeden znak mógł zabić jej córkę.

Jej córka! Jej Loiza! Biedny, niewinny aniołek pełen promiennego wdzięku i piękna zostanie zabity!

Joanna załamała ręce. Żeby stłumić krzyk, zagryzła wargi do krwi, aż krwawa piana ukazała się w kąciку ust.

Gdy tylko Franciszek przestał mówić, Henryk zrobił pół obrotu w jego stronę. Nie odchodząc od otwartego okna, z ręką gotową do



złowrózbnego sygnału, powiedział głosem, którego spokojne brzmienie powiększało grozę tej przerażającej chwili:

- Bracie, prawda jest smutna. Ale musisz ją poznać.
- Mów! — rozkazał Franciszek.
- Ta kobieta...
- Moja żona... moja żona...
- A więc to ja, twój brat, ją wygnałem.

Franciszek zachwiał się, Joannie wydarł się jęk niepodobny do ludzkiego głosu.

— Bracie, ta kobieta nosząca twoje nazwisko jest niegodna... Ona cię zdradziła. Dlatego ja, twój brat, twój zastępca przepędziłem ją, jak się przepędza ładacznicę.

Było to oskarżenie grożące śmiercią; wiarołomne żony skazywano na publiczną chłostę i na szubienicę.

Po tych słowach nastąpiła tragiczna cisza. Henryk gotów na wszystko stał z lewą ręką kurczowo zaciśniętą na rękojeści sztyletu, w prawej trzymał czapkę, ten fatalny sygnał; patrzył to na Joannę, to na Franciszka, na pozór spokojny, ważący w myśli podwójne morderstwo, gdyby prawda wyszła na jaw.

Smagnięta jak biczem ohydny oskarżeniem Joanna wyprostowała się. Przez ułamek sekundy kochanka wzięła górę nad matką, wstrząs ją zgalwanizował. Całym ciałem podała się do przodu, ale w tej chwili ręka Henryka uniosła się powoli do góry... Nieszczęsna zauważyła ten ruch, postąpiła krok, cofnęła się, zaczęła coś nieskładnie szeptać... i pochyliła głowę.

Franciszek się opanował; kiedy był już pewien, że nie chwyci w swoje silne dłonie wiarołomnej, żeby ją ścisnąć za gardło — podszedł do Joanny, nad którą górował wzrostem. Jego zbielałe wargi wymówiły jakieś niezrozumiałe słowa, coś, co miało zapewne znaczyć:

— Czy to prawda?

Joanna ze wzrokiem wbitym w Henryka zachowała śmiertelne milczenie; miała nadzieję, że padnie trupem.

— Czy to prawda?

Tortura była ponad jej siły. Joanna upadła. Nawet nie na kolana, lecz jak długa na ziemię; z wielkim wysiłkiem wsparła się na jednej ręce, głowę zwróciła w stronę Henryka i zrozpaczonym wzrokiem pilnowała jego zbrodniczego gestu.

Dopiero teraz wyszeptwała, a może tylko myślała, że szepce, gdyż słów jej nie sposób było pochwytać:

— Dobij mnie! Przecież widzisz, że umieram po to, by nasza córka żyła!

Była już tylko bezwładnym ciałem i jedynie przyspieszone tętnienie w skroniach świadczyło o tym, że jeszcze żyje.

Franciszek patrzył na nią przez chwilę wzrokiem, jakim zapewne pierwszy człowiek biblijny spoglądał na utracony raj, po czym bez słowa wyszedł, bardzo wolno, lekko przygarbiony.

Henryk podążył za nim w pewnej odległości. Nie zajmował się więcej Joanną. Nic obchodziło go, czy umiera, czy żyje. Jeśli zachowa życie -- będzie jego! Gdyby umarła, cóż, przynajmniej pozbędzie się strasznych mąk zazdrości.

W tej uroczystej i tragicznej chwili Henryk rozumiał cały ogrom swojej nienawiści do brata. Widział go zdruzgotanego... ale nie czuł się zaspokojony. Pragnął czegoś więcej. Ale czego? Tego, by Franciszek doznał takich samych cierpień, jak on, dokładnie takich. I podążał za nim z cierpliwością myśliwego.

Franciszek nie zdziwił się na widok brata. Jak gdyby kontynuując dawno zaczęłą rozmowę zapytał go po prostu:

— Opowiedz, jak się to wszystko stało?

— Po co, bracie? Po co pogłębiać cierpienie, którego nic nie jest w stanie uleczyć... nie!

— Mylisz się, Henryku. Jest coś, co może mnie uleczyć — głucho odparł Franciszek. — Śmierć tego człowieka.

Henryk drgnął, lekko pobladł. Ale dziwny płomień natychmiast błysnął w jego oczach.

— Pragniesz tego?

— Tak, pragnę. Przysiągłeś mi, że będziesz nad nią czuwał... Och, nie mów nic! To nie są z mojej strony wyrzuty czy oskarżenia. Ale jesteś mi winien wierną relację o tym przestępstwie oraz imię przestępcy. Jesteś mi to winien, Henryku!

— Będę ci posłuszny. Ledwie zdążyłeś odjechać, a już panna de Piennes dała do zrozumienia temu mężczyźnie, jak mało za tobą tęskni...

— Mężczyźnie? Komu? Jego imię!

— Cierpliwości, bracie. Może jeszcze zanim odjechałeś, on dzielił z tobą twoje szczęście. Może jej zależało jedynie na nazwisku, fortunie i władzy, które ci zapewnia pozycja starszego syna. Tak zapewne było. Kiedy się teraz nad tym zastanawiam, kiedy wybiła godzina prawdy, już

mi nie wystarczają domysły: to stwierdzenie. Zrozum dobrze, Franciszku, ten człowiek pierwszy posiadał miłość Joanny de Piennes... ty byłeś drugim. Franciszek warknął:

— Mów!

— Będę ci posłuszny — ciągnął dalej Henryk. — Po twoim odjeździe stosunki między tym człowiekiem a Joanną de Piennes trwały nadal. Teraz byli wolni. Joanna miała nazwisko, miała tytuł. Mąż odjechał, został kochanek szczęśliwy ponad wszelkie słowa. Nastąpiły noce rozkoszy. Ten człowiek był ci bliski, panie bracie, toteż kiedy dowiedział się, że wracasz, postąpił tak, jak ty sam byś postąpił: jego namiętność była zaspokojona, nie chciał, aby twój dom był dłużej brukany, więc wypędził wiarołomną, wypędził wszeteczną.

Franciszkowi zawirowało w głowie: przepaść okazała się głębsza, bardziej bezdenne, niż myślał. Spojrzał na Henryka błędnym wzrokiem, ten zaś, z twarzą wykrzywioną nienawiścią, drgającymi ustami, z których słowa wydobywały się z sykiem, zakończył:

— Potrzebne ci już tylko imię tego człowieka, tak, bracie? Oto ono: kochanek Joanny de Piennes nazywa się Henryk de Montmorency.

## VI

### PARDAILLAN

Henryk nie grał komedii grożąc Joannie, że zabije małą Loizę; dziecko było w rękach pewnego mężczyzny, który rzeczywiście czekał na sygnał, rzeczywiście zgodził się wbić sztylet w pierś biedactwa, gdy tylko Henryk, jego pan, da mu znak.

Nazywał się Pardaillan, a właściwie kawaler de Pardaillan. Pochodził ze starej rodziny z Armagnac, która w XIII wieku nabyła dobra lenne Gondrin w pobliżu Condom. Rodzina podzieliła się na dwie linie: starsza dostarczyła historii paru znanych nazwisk, pochodziła z niej słynna Montespan; diuk d'Antin, który dał swoje nazwisko całej dzielnicy Paryża, wywodził się zatem także z tej gałęzi, której jedna z odnóg wiąże się z rodziną Comminges.

Druga linia pozostawała w mroku, zubożała. Nie mamy rady na ubóstwo, ale co do mroku, to ufamy, że się on rozproszy w oczach naszych

czytelników, kiedy opowiemy o niezwykłym jak w bajce i wręcz olśniewającym życiu niecodziennego bohatera, który niebawem pojawi się w tej opowieści.

Kawaler de Pardaillan był mężczyzną w wieku około pięćdziesięciu lat, rajtarem postarzałym w trudach bitewnych, jednym z tych wojaków-awanturników, jakich znają wszystkie trakty Francji i sąsiednich krajów, zawsze na żołdzie najwięcej płacącego, ostatniego licytanta.

Konetabl de Montmorency podczas swojej ostatniej wielkiej krucjaty w Armagnac zgarnął go w okolicy Lectoure, obdarł go, bez grosza przy duszy, i zabrał z sobą, gdyż rozpoznał w nim niepokonaną szpadę, po czym oddał Henrykowi.

Kiedy konetabl ruszył na wyprawę do Artois, a Franciszek de Montmorency popędził do Théroouanne, kawaler de Pardaillan pozostał na zamku przy Henryku. W ciągu tego roku Henryk, może przewidując, że pewnego dnia będzie potrzebował kogoś ślepo oddanego, zbliżył się do Pardaillana i nie szczędził wysiłków, żeby go sobie zjednać darami, łaską i wszelkimi sposobami, jakie mogły oczarować żołnierza. Pardaillan stał się jego człowiekiem, dałby się powiesić za swego pana i tylko czekał sposobności, żeby za niego umrzeć!

Pewnego dnia stary żołnierz usłyszał nowinę, która obiegała już cały zamek: pan Franciszek de Montmorency powraca!

Nazajutrz rano Henryk, ponury, błady i zdenerwowany, wziął go z sobą do Margency, pokazał mu dom starej chłopki i rozkazał porwać Loizę. Po godzinie Pardaillan stawiał się tam, gdzie go oczekiwał jego pan, trzymając na rękach biedną małą istotkę.

Wtedy Henryk dał mu instrukcje, których Pardaillan wysłuchał skrzywiony, a jednocześnie wręczył mu pierścień z przepięknym brylantem; była to cena zaplanowanego potwornego morderstwa.

Henryk wtargnął do domu i czekał na powrót Joanny. Dramatyczna scena, jaka się tu rozegrała, jest już czytelnikowi znana.

Pardaillan widział, jak nadciąga Franciszek. Stał ze wzrokiem wbitym w okno, przejęty, na rękach trzymał śpiącą dziewczynkę. To było straszne.

Gdy Pardaillan zobaczył, że Franciszek wychodzi, gdy z kolei Henryk opuścił dom, z piersi wyrwało mu się westchnienie ulgi; teraz już nie będzie fatalnego znaku. Gdyby ktoś w tej chwili znalazł się przy nim, usłyszałby, jak mamrocze: „Całe szczęście, że nie otrzymałem tego sygnału. Byłbym zmuszony nie posłuchać, uciec, na nowo podjąć niegdysiejsze

życie włóczęgi, a zemsta de Montmorency'ch deptałaby mi po piętach. A jestem już stary i sterany... No, panienczko, proszę o uśmiech! Co do reszty — w końcu... usłuchałem. Myślę, że to nic złego, jeżeli przetrzymam tę małą przez miesiąc lub dwa, stosownie do otrzymanego rozkazu”.

Żołdak delikatnie owinął dziecko w połę płaszcza i oddalił się. Dotarł do niskiego domku przytulonego do stóp wielkiej wieży zamkowej i wszedł; na spotkanie wybiegł mały cztero- czy pięcioletni chłopczyk, z otwartymi szeroko ramionami.

— Janie, synku — powiedział Pardaillan — przynoszę ci siostrzyczkę. — I zwracając się do chłopki przedającej przy kołowrotku, dodał: — Mathurine, mam tu małą dziewczynkę, której potrzebne będzie mleko... No i ani słowa nikomu!

Służąca przysięgła, że będzie milczała jak grób, wzięła uroczą dziewczynkę na ręce i natychmiast zajęła się nakarmieniem jej i ulokowaniem. Co zaś do chłopaczka, to szeroko otwierał wielkie oczy skrzące się sprytem i inteligencją. Dziecko było świetnie zbudowane, każdy jego ruch zdradzał siłę młodego wilczka i sprężystość kociaka.

Był to synek starego włóczęgi, który sam mieszkał w zamku, ale dziecko chował w tej chacie, w której odwiedzał je codziennie. Gdzie Pardaillanowi urodził się ten syn? Z jaką miał go damą, która odczuwała brak adoratorów? Była to tajemnica, o której nigdy nie mówił.

Wziął chłopca na kolana i w jego szarych oczach zapaliła się isierka czułości. Ale Janek władczy gestem wyswobodził się z ojcowskich objęć, zsunął się na podłogę, podbiegł do swego łóżeczka, na którym Mathurine położyła kruchą dziewczynkę, i porwał ją w ramiona.

— Och, ojczulku! Jaka słodka mała siostrzyczka!

Pardaillan wstał gwałtownie, zmrużył oczy i wyszedł zadumany, myśląc o matce dziecka, o rozpaczycy, jaka by go ogarnęła, gdyby jego Janek zniknął.

Po godzinie był w Margency. Przemykając się wzdłuż żywopłotów, czasem czołgając się, podszedł pod okno, patrzył, nasłuchiwał.

Słyszał lament kochającej kobiety, gdy się zbudziła! Jej napady wściekłości! Obląkane krzyki, kiedy przeklinała samą siebie za swoje milczenie, kiedy chciała biec do Franciszka i wszystko mu wyznać! I natychmiast powstrzymywała ją myśl o mordowanej Loizie. Nieszczęsna wyrzucała z siebie rozpaczliwe słowa:

— A przecież usłuchałam! Milczałam! Zabiłam samą siebie! Obiecałam mi oddać dziecko... prawda, że przysięgam? Powiedzcie, odda mi ją? Loizo, gdzie jesteś?

Pardaillan stał jak przykuty do miejsca, przerażony swoim postępkami,

zęby mu szczękały, gdy słuchał tych słów rozpaczy. Wreszcie cofnął się, szedł najpierw powoli, potem coraz prędzej, aż puścił się biegiem jak oszalały.

Kiedy dotarł do chaty Mathurine, zapadała noc. Kobieta wskazała mu Loizę śpiącą obok jego syna. Janek drobnym ramieniem podtrzymał ufną główkę dziewczynki. Pardaillan łagodnie wziął ją na ręce, starannie otulił i skierował się do drzwi. Na progu odwrócił się i powiedział schrypniętym głosem:

— Zbudzisz Janka, ubierzesz go i przygotujesz do długiej podróży... wszystko ma być gotowe za godzinę. No i powiesz mojemu giermkowi, żeby przyprowadził tu osiodłanego konia... i przyniósł moje torby.

Pozostawiwszy zdumioną służącą, Pardaillan wrócił na drogę do Margency, trzymając na rękach córeczkę Joanny.

Joanna, wyczerpana do cna rozpaczą, z pustką w głowie, zapadła w gorączkową drzemkę siedząc w fotelu; wargi jej szeptały nieskładne wyrazy, a stara piastunka szlochając chłodziła jej czoło wilgotnymi okładami.

— Dziecko moje — błagała stara kobieta — kochana moja panienko, trzeba się położyć spać.

— Loiza, Loiza — szeptała matka.

W tym momencie stanął przed nią duży cień; Joanna skoczyła na równe nogi i wyrwała coś, co ten cień trzymał na rękach. Zabrała to coś ruchem złodziejki, złożyła w fotelu, rzuciła się na kolana i natychmiast, bez jednego słowa, bez jednej łzy, nie myśląc nawet o ucałowaniu córeczki, z odruchową zręcznością drżących rąk, szybko rozebrała dziecko... Mruczała przy tym:

— Żeby się jej tylko nic nie stało! Żeby tylko nie zrobiono jej krzywdy... muszę sprawdzić...

W jednej chwili rozebrała dziecko do naga, ono zaś szczęśliwe było jak wszystkie niemowlęta, że może ruszać rączkami i nóżkami w stosie świeżej, różowej bielizny. Zachłannie, żarłocznie chwyciła ją matka, obejrzała, obmacała, lustrując spojrzeniem od czubka głowy do paznokci u nóg.

Wreszcie zaczęła okrywać gorącymi pocałunkami całe ciało, ramionka, usteczka, oczy, co jej trafiło pod wargi, dołeczki na łokciach, rączki, nóżki, wszystko, całą swoją córeczkę.

Pardaillan tylko się przyglądał.

Matka gwałtownie zwróciła się ku niemu, doczołgała na kolanach, chwyciła jego ręce i ucałowała.

— Pani, ależ pani!

— Tak, tak, chcę całować twoje ręce. To ty zwróciłeś mi córkę, panie. Kim jesteś? Proszę zostawić, wolno mi ucałować ręce, które niosły moją córkę. Twoje nazwisko! Niechaj je błogosławię do końca dni moich...

Pardaillan z trudem się wyswobodził.

— Twoje nazwisko! — powtarzała Joanna.

— Jestem starym żołnierzem, łaskawa pani... dzisiaj tu... jutro gdzie indziej... moje nazwisko nie ma znaczenia.

— Jak ci się udało przynieść z powrotem moją córkę?

— Mój Boże, to bardzo proste... podsłuchałem rozmowę... widziałem człowieka, który porwał dziecko... znałem go... wypytałem... to wszystko.

Pardaillan bełkotał zmieszany.

— Więc nie chcesz mi wyjawić, panie, twego nazwiska, żebym mogła je błogosławić?

— Pani, przepraszam... ale po co?

— No to proszę mi wyjawić nazwisko tamtego.

— Tamtego, który porwał małą?

— Tak, przecież go znasz. Nazwisko nędznika, który miał zgładzić moją córkę.

— Chcesz, pani, żebym powiedział jego nazwisko... ja?

— Tak! Żebym je na zawsze przeklęła!

Pardaillan wahał się chwilę, szukał w myśli jakiegoś nazwiska. Nagle pewna myśl przeszła mrok jego świadomości, był to wyrzut sumienia, a zarazem chęć odkupienia swego czynu. Po chwili wahania powiedział:

— Nazywa się kawaler de Pardaillan.

## VII

### W DRODZE DO PARYŻA

W kasztanowym lesie, pod wysokimi drzewami, wieczór spływający na dolinę Montmorency wydawał się ciemną nocą. Henryk wypowiadając przerażające kalumnie, oskarżając siebie samego, żeby tym bardziej pogrzyść Joannę, zachłannie wpatrywał się w brata. Widział jedynie

trupiobladą twarz i błyski w nieprzytomnych oczach. Nagle zgiął się lekko na ramię spadła mu dłoń Franciszka. Usłyszał jego słowa:

— Umrzesz!

Z wielkim wysiłkiem Henryk odskoczył do tyłu. Jednocześnie wyciągnął szpadę i stanął w postawie do walki.

Franciszek powolnym gestem, bez pośpiechu, także dobył szpady. Po chwili obaj bracia stali naprzeciwko siebie ze skrzyżowanymi szpadami, patrząc sobie prosto w oczy.

Przez jedną czy dwie sekundy słychać było tylko szczęk broni i chrapliwe oddechy; Henryk zaklął krótko, potem znowu cisza... wreszcie westchnienie, okrzyk i głuchy odgłos ciężko padającego ciała.

Szpada Franciszka trafiła w prawą pierś Henryka ponad trzecim żebrzem.

Franciszek ukląkł na ziemi. Zauważył, że Henryk jeszcze żyje. Wyszarpnął z pochwy sztylet, uniósł go wściekłym ruchem:

— Umieraj! — warknął. — Umieraj, nędzniku!

W tym momencie czerwonawa poświata zachodu wydobyła z ciemności twarz Henryka.

— Mój brat! Mój brat! — szepnął Franciszek półprzytomnie, jak gdyby dopiero teraz rozpoznał brata.

Podniósł się z kolan i odwrócił głowę. Zobaczył dwóch drwali z oddalonego o jakieś piętnaście kroków szałas, którzy przybiegli z pochodniami w rękę, zwabieni szczękiem oręża.

Niezdolny wymówić słowa, Franciszek gestem wskazał im ciało brata.

W dwie godziny później wrócił na zamek.

Komendant straży przy zwodzonym moście na jego widok wydał lekki okrzyk zdziwienia i zgrozy. Wskazał jednemu z oficerów włosy starszego syna konetabla. Czarne jeszcze tego ranka, były teraz zupełnie siwe, jak włosy starca.

— Jaśnie panie — powiedział oficer — kazaliśmy przygotować apartament i...

— Niech mi przyprowadzą konia — przerwał mu Franciszek.

W parę chwil później stajenny przyprowadził wierzchowca; oficer przytrzymując strzemień zapytał:

— Jaśnie pan zapewne będzie niebawem wracał...

Franciszek wskoczył na siodło i odpowiedział:

— Nigdy!



Natychmiast ściągnął cugle, a gdy tylko znalazł się poza ogrodzeniem — spał konia i zniknął.

— Franciszku! Franciszku! Franciszku! — rozległo się wołanie pełne rozpacz i w tej samej chwili ukazała się zdyszana kobieta trzymająca na rękach dziecko.

Ale Montmorency zapewne jej nie usłyszał, gdyż się nie odwrócił. W oddali zamarł tętent galopującego rumaka.

Kobieta zbliżyła się do oświetlonej pochodniami grupki żołnierzy i oficerów, którzy żegnali odjeżdżającego pana i ze zdziwieniem obserwowali jego ucieczkę.

— Dokąd on pojechał? — zapytała załamującym się głosem.

Oficer poznał pannę de Piennes, zdjął czapkę i odparł:

— Kto wie, łaskawa pani.

— Kiedy wróci?

— Powiedział: nigdy!

— Dokąd wiedzie ta droga?

— Do Paryża.

— Paryż. Dobrze!

Joanna natychmiast ruszyła w drogę, nerwowo ściskając w ramionach śpiącą Loizę.

Podtrzymywana na siłach miłością kochanki i matki, zagłębiła się w ciemność pod wysokimi drzewami mającymi w mroku, które marcowe podmuchy wiatru zginały w majestatycznych ukłonach.

Mniej więcej w godzinę po odjeździe Franciszka de Montmorency drwale przynieśli na noszach zakrwawione ciało jego brata Henryka. Zniesiono go do jego apartamentu i zamkowy chirurg zbadał ranę.

— Będzie żył — orzekł — ale przez sześć miesięcy nie wolno mu wstawać.

Drwale rozpoznali pojedynkującego się Franciszka. Ale całe to wydarzenie zdało im się tak dziwne i niebezpieczne, że woleli zachować dyskrecję. Powstało zatem przypuszczenie, że młodszy syn konetabla został napadnięty przez zbójców.

Prawie o tej samej porze kawaler de Pardaillan opuścił Montmorency. Nie wiedział o wypadkach, jakie zaszły na zamku. Ale nawet gdyby wiedział, odjechałby i tak, gdyż znał doskonale Henryka de Montmorency i zdawał sobie sprawę, że z jego strony nie należy spodziewać się litości.

„W końcu — powiedział do siebie w myślach — oddając dziecko zdradziłem swego chlebobawcę. Do diaska! Ten dostojny pan uwielbia widok dyndającego na szubienicy ciała”.

Snując takie rozważania starannie sprawdził podkowy, napchał juki, po czym wskoczył na konia, i trzymając przed sobą małego Janka, pożegnał zamek szerokim, rycerskim a zarazem drwiącym gestem i ruszył dobrym klusem w kierunku Paryża.

Po dwudziestu minutach kawalerowi wydało się, że o parę kroków przed koniem widzi jakiś cień; w tej samej chwili wierzchowiec gwałtownie uskoczył w bok i zarył kopytami. Pardaillan pochylił się, zauważył kobietę i poznał ją prawie natychmiast. Wzdrygnął się z przestachu.

Tymczasem Joanna szła dalej. Może nie słyszała nadjeżdżającego wierzchowca.

— Pani — zawołał cicho Pardaillan.

Joanna przystanąła.

— Panie — zapytała. — Czy jestem na pewno na drodze do Paryża?

— Tak, pani. Ale doprawdy... idziecie, pani, tak zupełnie sama przez las, po nocy? Czy pozwolicie, że dotrzymam wam towarzystwa?

Potrząsnęła głową i wymamrotała słabiutkie podziękowanie.

— Cóż to, chcecie być sama?

— Tak, sama. Nie obawiam się niczego.

— Ależ, pani, czy macie chociaż jakichś krewnych w Paryżu? Wiecie dokąd iść?

— Nie, nie wiem...

— A macie pieniądze? Tylko proszę bardzo się nie obrażać.

Stary musiał stoczyć z sobą zaciętą walkę, gdyż w duchu kłął, wymyślał i sarkał; nagle podjął decyzję, pochylił się w stronę Joanny, złożył na piersi małej Loizy błyszczący przedmiot i uciekł galopem, zdążywszy jeszcze rzucić te słowa:

— Proszę nie przeklinać zbytnio kawalera de Pardaillan... to jeden z moich przyjaciół!

Wtedy Joanna poznała w nim mężczyznę, który jej zwrócił córeczkę. A przyjrząwszy się zostawionemu przezeń przedmiotowi stwierdziła, że był to pierścień ze wspaniałym brylantem. Ten sam, który Henryk de Montmorency dał Pardaillanowi za porwanie Loizy!

## VIII

### OFIARA ZŁOŻONA

Konetabl de Montmorency przemierzał nerwowymi krokami obszerną salę rycerską swojego paryskiego pałacu. Jego przyboczna świta poroziadała się na ławach lub stała grupkami, opowiadając sobie przyciszonymi głosami przedziwne rzeczy.

A więc po pierwsze: gdy konetabl wyjrzał przez okno, zobaczył stojącą przed głównym portalem kobietę; wyglądała na wyczerpaną, na rękę trzymała niemowlę. Konetabl wydał rozkaz, żeby ktoś ją wprowadził do środka — teraz czekała w przyległym gabinecie.

Po drugie: syn konetabla, uważany za poległego, nagle zjawił się nocą, miał długą i burzliwą sprzeczkę z ojcem i znów odjechał w nieznanym kierunku. Zaś z Montmorency nadeszła wiadomość, że drugi syn konetabla, Henryk, został napadnięty w lesie i ciężko zraniony.

Wreszcie najjaśniejszy król Henryk II miał jeszcze tego dnia o czwartej złożyć wizytę dowódcy swojej armii. Wnioskowano z tego, że szykuje się nowa wyprawa.

Konetabl już parę razy podchodził do drzwi gabinetu, dokąd wprowadzono kobietę. I za każdym razem cofał się; tupnąwszy gniewnie nogą, kontynuował przechadzkę po sali, w której słychać było przyciszony szmer głosów. W końcu zdecydował się, pchnął ostro drzwi i wszedł do gabinetu.

Na środku pokoju stała kobieta czekając. Uśpione dziecko położyła na fotelu i oparta o poręcz przyglądała się wchodzącemu. Zapytał szorstko:

— Czego sobie życzysz, pani?

— Miłościwy panie...

— Wiem — ciągnął dalej konetabl. — To nie mnie oczekiwalaś, pani, nieprawdaż? Zamiast syna, którego ma się nadzieję nadal uwodzić miódopłynnymi słowami, zjawia się nieubłagany ojciec! I dlatego jesteś zmieszana, pani, nieprawdaż?

Joanna de Piennes uniosła twarz pełną bólu.

— Dostojny panie, to prawda, że spodziewałam się zobaczyć Franciszka, ale kobieta mojego rodu nie może czuć się zmieszana w obecności ojca swego małżonka!

— Małżonek? — warknął konetabl zaciskając pięści. — Wierz mi, lepiej nie wymawiać przy mnie tej nazwy. Franciszek wszystko mi opowiedział dzisiejszej nocy. Wszystko, słyszysz? Wiem, że razem z ojcem byliście na tyle zręczni, żeby wykorzystując słabość mego syna, wymóc to małżeństwo. A zresztą, co to za ślub! Nocny, wstydlivy jak kradzież.

— Kłamiesz, panie!

— Na Boga, co ona mówi?

— Mówię, że tylko nosisz strój szlachcica! Mówię, że korona siwych włosów nie uchroniłaby cię od spolickowania, gdyby mój ojciec, zamordowany przez ciebie, panie, był teraz przy mnie! Mówię, że zwracasz się do kobiety noszącej wasze nazwisko!

Ton tych słów przybierał na sile wyrazu, najpierw brzmiała w nim godność znieważonej kobiety, potem majestat królowej.

Zdumiony Montmorency czerwieniał, bladł i przez chwilę wydawało się, że rozważa, czy wydać jakiś rozkaz. Potem stary dowódca wojsk królewskich skłonił się głęboko. Był poskromiony.

— Dostojny panie — dalej mówiła Joanna opanowując podniecenie (choć przyspieszony oddech jeszcze unosił jej pierś), przed chwilą powiedziałeś mi, że wiesz wszystko... Nie, nie wiesz wszystkiego. Nieznana ci jest okropna prawda, tak jak jest ona nieznana memu małżonkowi i panu, tak jak jest nieznana małżonkowi mego serca, człowiekowi, któremu ofiarowałam życie, któremu pragnęłabym zaoszczędzić jedną łzę kosztem mojej krwi... Tę prawdę, dostojny panie, musisz usłyszeć dla mojego szczęścia, dla szczęścia Franciszka, dla życia tej niewinnej istoty znajdującej się w tej chwili pod twoim dachem... dla dziecka naszej miłości.

Zaskoczony szlachetnością jej postawy i cierpieniem brzmiącym w jej słowach, urzeczony pięknnością i prostotą, stary Montmorency skłonił się po raz drugi.

— Więc mów, pani, proszę.

Jednocześnie spojrzął na śpiącą małą Loizę. Joanna pochwyciła to spojrzenie. W duszy jej zaświtała jutrzienka nadziei. Ruchem pełnym dumy, jaka zazwyczaj cechuje wszystkie matki, wzięła uroczą dziecinę na ręce, ucałowała serdecznie i nieśmiało, uśmiechając się przez łzy, podała ją groźnemu dziadkowi.

— Jak on się nazywa?

— Ona ma na imię Loiza — odpowiedziała Joanna z czułością.

Pogardliwy grymas wykrzywił usta konetabla. Dziewczynka! Joanna cofnęła się blednąc, on zaś powiedział:

— Przymierzam ci, pani, że jej teraz wysłucham. Proszę mówić bez obaw i wyłożyć mi tę prawdę, o której powinienem wiedzieć.

Joanna zrozumiała, że więź, która zaczęła się zadzierzgiwać pomiędzy nią a konetabłem, pękła. Ale kochająca kobieta kryje w swoim sercu siły, które mężczyźni wprawiają w zdumienie.

Zebrała całą odwagę z zamiarem usprawiedliwienia się w oczach ojca Franciszka.

Melodyjnym głosem, delikatnym a zarazem stanowczym, opowiedziała o pierwszych spotkaniach z Franciszkiem, o nieodpartym uczuciu, które ich ku sobie pchnęło, o wyznaniach, potem o grzechu, o scenie ślubu udzielonego nocą, o pogroźkach Henryka, o urodzeniu Loizy, wreszcie o potwornej torturze, jaką zadano jej sercu kochanki i matki.

Wyznała wszystko, nie pominęła żadnego szczegółu. Stary Montmorency słuchał nie przerywając ani słowem. Mrużył oczy i szukał w umyśle jakiegoś wybiegu, nieporuszony tym dramatem.

— Proszę się uspokoić. Jestem przekonany, że mówisz prawdę, pani.

— Och! — wykrzyknęła zachwycona Joanna. — Loiza jest uratowana!

Ten okrzyk matki na chwilę poruszył mroczną duszę wojownika. Ale zaraz się opanował i ciągnął dalej:

— Zresztą, nie było mi znane to, co mi opowiedziałas o moim synu Henryku. Franciszek nic mi o tym nie mówił (stary skłamał) i kiedy twierdziłem, że wiem o wszystkim, miałem na myśli tylko potajemny ślub, który ciężko mnie obraził, gdyż godzi zarówno w ojcowski autorytet, jak i w interesy rodzinne. To małżeństwo jest niemożliwe!

— To małżeństwo — wyszeptła Joanna trafiona prosto w serce — nie jest ani możliwe, ani niemożliwe... ono jest faktem, to wszystko.

Konetabl ze spokojem wyciągnął z kieszeni kaftana dwa pergaminy i rozwinął jeden z nich.

— Proszę to przeczytać — powiedział.

Joanna przebiegła dokument wzrokiem i zbladła jak ściana. Dokument zawierał kilka linijek następującej treści:

„Do wszystkich obecnych i przyszłych z pozdrowieniem. Naszemu sędziemu panu Tellier został wydany rozkaz pojmania Franciszka hrabiego de Margency, starszego syna domu de Montmorency, pułkownika szwajcarskiej piechoty, i doprowadzenia go do więzienia w Temple,

gdzie pozostanie dotąd, aż Bóg zechce wezwać go do siebie. Nakazujemy to naszemu sędzi oraz wszystkim jego urzędnikom, gdyż takie jest nasze życzenie”.

— Dostojny panie, dostojny panie — wymówiła wreszcie Joanna — czym zawinił Franciszek? Pan chce mnie doświadczyć, przestraszyć! Dożywotnie więzienie! O, mój Franciszku!

— Pani — powiedział Montmorency ze złowrogim spokojem — ten dokument nie jest jeszcze podpisany. Ja jestem konetabłem wojsk króla i marszałkiem Francji. Za parę chwil do mojego pałacu przybędzie król. Wystarczy, żebym mu przedłożył ten pergamin i powiedział: „Najjaśniejszy panie, racz złożyć swój podpis u dołu pergaminu”, a jutro trafi do więzienia ten, którego kochasz.

— To potworne! Mąci mi się w głowie! Ale co on wam zrobił, panie? Co zrobił?

— Poślubił ciebie, oto jego zbrodnia.

— Zbrodnia! — zawołała nieszczęsna, której rozum rzeczywiście zaczął się mącić. — Och, dostojny panie, proszę ukarać tylko mnie!

W oku starego Montmorency zamigotała iskierka, ale mówił dalej zimno:

— A tutaj, pani, jest drugi dokument. Jest to dobrowolne wyrzeczenie się ślubu...

— O, nie, tylko nie to! — krzyknęła Joanna. — Zabij mnie, panie, ale nie to!

— Wiem, jak ważną sprawą jest rozwód i jak trudno unieważnić małżeństwo. Ale z pomocą króla...

— Łaski! Litości! Sprawiedliwości! — wołała Joanna.

— Mamy zapewnioną przychylność Ojca Świętego... wystarczy podpisać...

— Litości! Zostaw mi mojego Franciszka!

— Proszę podpisać, a Ojciec Święty unieważni ślub.

— Moja córka, dostojny panie! Córka Franciszka! Ukradniesz jej ojca? Wydrzesz jej nazwisko!

— Dość tego, moja pani. Za chwilę przedłożę królowi jeden albo drugi dokument. Jutro Franciszek znajdzie się w więzieniu, jeżeli jeszcze dziś wieczorem nie zdołam wyekspediować do Rzymu tego zrzeczenia. Proszę podpisać, to go uratuje...

— Łaski, łaski! — łkała małżonka-męczennica. — Nie! Nie!

— Król! Niech żyje król!

Na głównym dziedzińcu rozległy się okrzyki, a także dźwięki fanfar. Słysząc było spieszne kroki świty konetabla biegnącej na powitanie Henryka II. Drzwi otwarły się gwałtownie i ktoś zawołał:

— Jaśnie panie! Jaśnie panie! Jego Królewska Mość!

— Żegnam panią — powiedział dobitnie Montmorency. — Proszę podrzec to zrzeczenie, a ja poproszę króla, by podpisał rozkaz uwięzienia mego syna.

— Zaczekajcie, panie. Podpiszę...

I podpisała. Straciła przytomność, ale instynktownie zdążyła otoczyć Loizę ramieniem.

Konetabl rzucił się na dokument, chwycił go, schował do kieszeni i ciężkim krokiem mordercy wyszedł na powitanie Henryka II.

Na dziedzińcu grzmiały okrzyki:

— Niech żyje król! Niech żyje król! Niech żyje konetabl!

## IX

### DAMA W CZERNI

Potajemny ślub Franciszka de Montmorency z panną Joanną de Piennes został unieważniony przez papieża. W 1558 roku Franciszek, marszałek wojsk królewskich, pojął za żonę Dianę Francuską, nieślubną córkę króla. Na dwa tygodnie przed wyznaczonym terminem ceremonii udał się do księżniczki.

— Pani — powiedział. — Nie wiem, jakie są jej uczucia wobec mnie. Proszę wybaczyć brutalną szczerłość moich słów: ja cię, pani, nie kocham i nigdy nie pokocham...

Księżniczka słuchała z uśmiechem.

— Nas żenią — ciągnął dalej Franciszek. — Godząc się na zaszczyt zostania twoim małżonkiem, jestem posłuszny królowi i konetablowi, którzy pragną tego związku ze względów politycznych. Wiem, że cię obrażam, pani...

— Ależ nie, panie marszałku — żywo odparła Diana.

— Gdyby moje serce było wolne, należałoby do ciebie, pani, gdyż jesteś najpiękniejsza z pięknych. Ale...

— Serce twoje należy do innej?

— Nie, pani! Źle się wyraziłem: moje serce umarło, oto cała prawda.

Diana wstała. Była postawną, piękną kobietą, niepozobawioną ani serca, ani rozumu.

— Panie marszałku! — powiedziała łagodnie. — Taka szczerość ze strony każdego innego istotnie by mnie obraziła. Ale tobie wybaczam wszystko. Bądźmy więc posłuszni życzeniu króla i zachowajmy każde serce dla siebie. Czy o to ci chodzi, panie?

— Pani — wyszeptał wzruszony Franciszek... może spodziewał się innej odpowiedzi?

— Cóż, panie marszałku. Uszanuję żalobę twego serca.

Tak został zawarty pakt.

Po ceremonii ślubnej Franciszek jak szalony rzucił się w całą serię niebezpiecznych wypraw, ale śmierć go stale omijała.

Co zaś do Henryka, nie zobaczył się ze swoim starszym bratem. Można by nawet rzec, że obydwaj starali się wzajemnie unikać. Kiedy jeden wojował na północy, drugi przebywał na południu.

A jednak dzień ich spotkania miał nadejść, przynosząc z sobą okrutne przeżycia. Albowiem obaj bracia nadal kochali tę samą kobietę, która zniknęła, i żaden z nich, pomimo usilnych poszukiwań, nie zdołał jej dotąd odnaleźć.

Co się z nią stało? Czyżby miała więcej szczęścia niż Franciszek i znalazła ukojenie w śmierci? Nie! Joanna żyła!

Jak, nieszczęsna, opuściła pałac de Montmorency po tragicznej scenie, w trakcie której dokonała się jej ofiara? Jakim cudem nie umarła z rozpacz?

Niepodobieństwem jest zrekonstruowanie poszczególnych epizodów jej zmarnowanego życia.

Odnajdujemy Joannę w ubogim domu na ulicy Saint-Denis. Mieszka tam na najwyższym piętrze, na poddaszu, w ciasnym mieszkaniu złożonym z trzech malutkich pokojków. Od chwili, kiedy ją odnajdujemy, przestaje być dla nas tajemnicą niezwykła siła, która pozwala jej żyć.

Wejźmy do domu, do jednego z pokojków, widnego, skromnego, ale urządzonego z wielkim smakiem, spójrzmy na śliczny obrazek, który się jawi naszym oczom... posłuchajmy...

Joanna właśnie weszła do tego pokoju i skierowała kroki ku wnęce okiennej, gdzie siedzi młoda dziewczyna. Przechodząc zatrzymała się na chwilę przed lustrem, popatrzyła i pomyślała:



„Jakżeby mnie znalazł zmarnowaną, gdyby mnie teraz zobaczył... Czyby mnie w ogóle poznał? Niestety, nie jestem już dawną Joanną, którą nazywał wróżką wiosny, jestem już tylko damą w czerni”.

Joanna nie ma racji! Jest nadal urzekająco piękna. Bładość nie ujmuje niczego jej wielkiej urodzie, doskonałej czystości rysów, wspaniałym włosom... Tylko blask jej oczu jakby złagodniał, zamglił się... Nadal pozostała promiennie piękną osobą, którą ludzie z sąsiedztwa nazywają „damą w czerni”, gdyż zachowuje w ubiorze tę samą wieczną żalobę, co w sercu.

Smutne oczy nabierają znowu ciepłego blasku, na zaciśniętych wargach wykwita śliczny uśmiech, gdy spojrzenie Joanny pada na dziewczynę we wnęce okiennej, pochyloną nad haftem. Gdyż mała robotnica o różowych paluszkach, które biegają po wełnianej tkaninie, jest jej córką, jej Loizą.

Loiza wyglądała na szesnastolatkę. Jej oczy, intensywnie niebieskie, wydają się odbijać bezkresny błękit majowego nieba. Jej włosy tworzą wokół białego czoła puszystą aureolę, tak są delikatne i jedwabiste. Z tej czarującej całości emanuje przedziwna siła i duma. A jednak... na pięknej twarzy maluje się melancholia, osiada na szlachetnych, wyrazistych rysach.

Joanna zbliżyła się do swego dziecka. Witają się uśmiechem i każdy, kto by je zobaczył w tym momencie, zadawałby sobie pytanie, która z nich jest bardziej urocza, i przysięgłby, że to dwie siostry, że różnica wieku pomiędzy nimi wynosi zaledwie kilka lat.

Joanna siada naprzeciwko Loizy, bierze drugi koniec tkaniny i pilnie włącza się do pracy.

— Mamo — mówi Loiza — odpocznij. Już trzy noce spędzasz nad tą robotą.

— Droga Loizo, zapomniałeś, że dzisiaj muszę odnieść haft tej młodej pani.

— O której mówiłaś, że należy do zamożnego mieszczaństwa? Dlaczego jesteśmy biednymi wyrobnicami? Chodzi mi o ciebie — dodała żywo — gdyż co do mnie, to jestem szczęśliwa.

Joanna przeciągle spojrzała na córkę i szepnęła drżąc:

— Do mieszczaństwa... Biedne dziecko bez nazwiska. Co byś powiedziała, gdybyś wiedziała, że nazywasz się Loiza de Montmorency?

— O czym myślisz, mameczko?

— O tym, dziecinko, kochana Loizo, że może nie urodziłaś się do tej ciężkiej pracy... i że smutno mi się robi, kiedy widzę ślady ukłuć igłą na twoich smukłych paluszkach.

Joanna chwyciła rękę córki i okryła ją pocałunkami. Loiza wybuchnęła głośnym, dźwięcznym śmiechem, zaraźliwie wesołym.

— Mateczko, czy uważasz, że mam ręce młodej księżniczki?

Joanna wzdrygnęła się i odparła:

— Kto wie... kto wie... gdyby nie ci dwaj nędznicy...

Loiza wypuściła igłę z ręki i odezwała się, wyraźnie wzruszona:

— Och, mateczko! Kiedy wreszcie wyjawisz mi tę okropną tajemnicę ciążyącą na twoim życiu?

— Nigdy, nigdy — głucho wyszeptała matka.

— Kiedy mi powiesz — dalej nalegała Loiza, która tego nie dosłyszała — jak nazywają się obaj sprawcy twojego nieszczęścia? Z dwóch nazwisk wymieniłaś tylko jedno.

— Tak, Loizo. Kawalera de Pardaillan.

— Zapamiętałam je, mateczko. I przysięgam ci, że nienawidzę tego człowieka ze wszystkich sił za nieznaną mi zło, jakie ci wyrządził. Ale ten drugi! Ten, jak mi powiedziałaś, który jeszcze bardziej zawinił.

„Nigdy, przenigdy” — powtarzała w duchu Joanna.

Loiza uszanowała milczenie matki i tylko westchnęła. Obie pochyliły się nad robotą, dwie zręczne ręce snuły się tam i z powrotem; włosy ich mieszały się z sobą, muskały...

Niebawem haftowana tkanina była skończona.

Joanna narzuciła mantylę, przytuliła Loizę do serca i wyszła, żeby odnieść zamówioną robotę... pani Marie Touchet.

Loiza odprowadziła matkę na schody. Wróciła i jak gdyby przycięgnięta nieodpartą siłą, podbiegła w drugim pokoju do okna wychodzącego na ulicę Saint-Denis.

Naprzeciwko stał duży dom: zajazd „Devinier”.

Loiza obraca śliczną główkę i patrzy w tamtą stronę nieśmiało, ukradkiem, pierś przepelnia jej nadzieja i wzruszenie. Tam w górze, w okienku na poddaszu, ukazuje się młodzieniec... Czubkiem palców przesyła Loizie pocałunek...

Loiza waha się, czerwienieje i blednie... Przez chwilę spogląda na nieznajomego... czyje spojrzenie nie jest aby wyznaniem?...

Młodzieniec nosi nazwisko, którego Loiza nie zna, ale gdyby je wymówił, zabrzmiałoby jak przekleństwo w sercu dziewczyny, spragnionym czystej miłości.

Albowiem młody mężczyzna nazywał się kawaler Jan de Pardaillan!

## X

### PARDAILLAN, GALAOR, PIPEAU I GIBOULÉE

Ten Jan de Pardaillan mieszkał już od blisko trzech lat w dość ładnym pokoju na najwyższym piętrze zajazdu „Devinierie”, od ulicy Saint-Denis. Zobaczymy, jak i dlaczego taki biedak jak on mógł pozwolić sobie na luksus mieszkania w pierwszej gospodzie dzielnicy, cieszącej się w całym Paryżu taką sławą, że Ronsard ze swoją bandą poetów przychodził ucztować do „Devinierie”, nazwanej tak przed czterdziestoma laty przez samego mistrza Rabelais.

Kawaler Jan de Pardaillan, biedak, hołysz, był dwudziestoletnim młodzianem wysokim, szczupłym, giętkim, słowem — żywa szpada.

Latem i zimą widywano go w tym samym ubraniu z szarego weluru; nie nosił beretu, lecz kapelusz z szarego filcu — ten rodzaj nakrycia głowy, jaki Henryk III w późniejszych latach uczynił modnym, a który Pardaillan zapewne sam wymyślił. Kapelusz był przyozdobiony czerwonym kogucim piórem mieniącym się w słońcu i nadawał jego właścicielowi chwacki wygląd. Wysokie buty mysiego koloru opinały smukłe łydki i sięgały prawie do krótkich spodni. Obcas utrzymywał ogromne ostrogi, na skórzanym wytartym pasie wisiała olbrzymia szpada i kiedy wzrok prześlizgiwał się od ostróg do szpady, od szpady do szerokiej piersi obciśniętej połatanym kaftanem, od piersi do nastroszonych wąsów, stąd do płonących oczu i wreszcie do zawadiacko założonego na bakier kapelusza, mężczyźni odnosili wrażenie siły budzącej respekt, kobiety natomiast, pod wrażeniem szczególnej elegancji i diabelskiej wprost urody, nie zawsze umiały ukryć swój zachwyty.

Na całej ulicy Saint-Denis oraz w jej sąsiedztwie kawaler de Pardaillan był znany i budził strach. Niejeden mąż krzywił się na jego widok, gdy przechodził dumny jak król, biedny jak włóczęga. Ale też niejedna mieszcanka odwracała się za nim z uśmiechem, a nawet wielkie panie rozchylały firanki swoich pojazdów, by odprowadzać go spojrzeniem.

On zaś, w gruncie rzeczy prostoduszny, nie zauważał wzbudzanego podziwu i brzęcząc ostrogami przechodził z zadartym nosem jak młody

wilczek szukający przygód — bójki, miłości, ciosów do rozdawania lub odbierania, okazji do błysnięcia wielką szpadą, przelotnych pocałunków. Bawiło go wszystko...

Kawaler de Pardaillan poza dobrym zdrowiem, siłą i elegancją nie posiadał na świecie niczego. A jednak mylimy się: miał Galaora, Pipeau i Giboulée!

Kto to taki Galaor? — wierzchowiec. A Pipeau — pies. A Giboulée? — szpada.

Mniej więcej na sześć miesięcy przed owym dniem, kiedyśmy widzieli, jak Jan de Pardaillan posyła z góry i z daleka pocałunek świadczący wymownie o stanie jego uczuć, pan de Pardaillan-ojciec wezwał syna do siebie.

Stary obieżyświat mieszkał w zajezdzie „Deviniere” od dwóch lat. Razem z synem zajmował wąski ciemny pokój wychodzący na ciemne podwórze.

— Synu — powiedział — pragnę cię pożegnać.

— Cóż to, ojczu, wyjeżdżasz? — zawołał młodzieniec z takim przejęciem, że serce ojca przepełniła radość.

— Tak, mój synu, wyjeżdżam... I proponuję ci jechać ze mną.

Młodzieniec, który rzadko się rumienił i jeszcze rzadziej bladł, słysząc tę propozycję zaczerwienił się i pobladł.

— Proponuję, że zabiorę cię z sobą, ale uważam szczerze, że lepiej, byś został w Paryżu... Paryż, mój drogi, jest wielkim kotłem, w którym czarownice warzą razem dobry i zły los. Zostań, moje dziecko. Coś mi mówi, że w rozdziale dokonywanym przez czarownice tobie przypadnie los dobry... Toteż, jak mówię, chcę cię pożegnać.

— Ależ ojczu — odparł Jan, bardziej wzruszony, niż chciałby to okazać — co zmusza cię do odjazdu?

— Mnóstwo rzeczy i jeszcze więcej... Cóż chcesz? Tęsknię do szerokich gościńców, tęsknię do słońca i ulewy. Duszę się w Paryżu. Muszę jechać...

Może stary Pardaillan miał poważniejszy powód, żeby uciekać z Paryża, gdyż wydawał się dziwnie zmieszany. Ciągnął jednak dalej:

— W chwili rozstania, kto wie, czy nie na zawsze — albowiem jestem stary — żałuję, że ja, szlachcic, mogę ci zostawić jedynie rady. Ale te rady, stanowiące całe twoje dziedzictwo, może godne są, aby ich dokładnie przestrzegać. Ja odchodzę, drogi synu, ale mogę się pochwalić,

że zrobiłem z ciebie człowieka zdolnego do walki z tą przewrotną i diabelską rzeczą zwaną życiem. Jesteś znakomitym szermierzem i w całym królestwie nie ma takiego, który by potrafił odparować ciosy, jakich cię nauczyłem. W ciągu szesnastu minionych lat zabierałem cię z sobą i, bądź na moim koniu czy na moich plecach, gdy byłeś mały, bądź na swoich nogach czy na przygodnym wierzchowcu, gdy byłeś wyrostkiem, przemierzałeś we wszystkich kierunkach ziemie Francji, Burgundii, Prowansji, Langwedocji i północy. Nauczyłeś się w ten sposób rzeczy najtrudniejszych: spać na twardym z siodłem pod głową, kłaść się na spoczynek o pustym brzuchu, znosić zimno i gorąco... tak, to wszystko potrafisz, synu, gdyż jesteś zbudowany z żelaza i stali!

Przez chwilę stary Pardaillan patrzył na syna z pełnym dumy zachwytem, po czym ciągnął dalej:

— A przecież mógłbyś żyć w szczęściu i spokoju, objąć po mnie dobry urząd dający bogactwo, pozycję, pod rozkazami szlachetnego pana takiego jak król, a nawet bogatszego od króla! O moim i twoim losie zadecydowała zbrodnia.

— Zbrodnia? — wykrzyknął Jan ogromnie przejęty.

— Zbrodnia albo idiotyczny postępek — wychodzi na jedno. I to ja ją popełniłem.

— Ty, ojczu? Niemożliwe! Ty, z twoim czułym sercem?

— Nie spiesz się, posłuchaj. Po latach życia włóczęgi, opryszka, obwiesia, nicponia — wreszcie znalazłem spokój: wyzerkę, dobre wina i całą resztę, wszystko, co składa się na uczciwe życie. Ale pewnego dnia mój pan dał mi malutkie, łatwiutkie polecenie: porwać dzieciątko w pieluchach. Zrobiłem to i w nagrodę otrzymałem diament wartości co najmniej trzech tysięcy talarów. Obiecał mi drugie tyle, jeżeli zatrzymam małą przy sobie. Nie mówię ci o innej klauzuli umowy, której od pierwszej chwili nie miałem zamiaru dotrzymać...

— No i co?

— No i popełniłem to głupstwo, że usłuchałem nedorzecznego głosu szepczącego mi już nie bardzo wiem co do ucha. Krótko mówiąc, oddałem dziecko. I, beznadziejny dureń, podarowałem diament jego matce.

— Jak ona się nazywa? Jak się nazywa ów pan, który ci dawał takie polecenia?

— To jest sekret nie mój. Słuchaj dalej. Przez to przestępstwo jesteś goły bardziej niż Hiob. A teraz, młodzieńcze, uważaj, co ci mam do powiedzenia... Słuchaj całym sercem i przyjmij jako dziedzictwo moje dobre i życziwe rady... Oto one: po pierwsze nie ufaj człowiekowi. Żaden

nie jest wart wiele więcej niż stary sznur, na którym powinien zawisnąć. Jeżeli zauważysz, że ktoś tonie, uchył kapelusza i idź dalej. Jeśli zobaczysz opryszków, jak napadają na rogu ulicy jakiegoś przechodnia — przejdź na drugi róg. Jeżeli ktoś ci powie, że jest twoim przyjacielem, natychmiast zadaj sobie pytanie, jakiego pragnie dla ciebie nieszczęścia. Jeśli ktoś ci oświadczy, że życzy ci dobrze — nakładaj kolczugę. Jeśli ktoś wzywa pomocy, zatkaj sobie uszy... Przrzekasz, że nie zapomnisz tych przestróg?

— Tak, ojcze... I co dalej?

— Po drugie, wystrzegaj się kobiet. Najłagodniejsza ukrywa w sobie szaleństwo. Ich cienkie włosy to żmije, które oplatają i duszą. Ich oczy sztyletują. Ich uśmiech zatruwa. Słuchasz uważnie, synu? Miej tyle kobiet, ile zapragniesz, ale nie oddawaj się całkowicie we władanie żadnej, jeśli nie chcesz zmarnować sobie życia, jeśli nie chcesz zginąć pod ciężarem kłamstw i zdrady. Nie dowierzaj kobietom.

— Przrzekam ci, ojcze. Co jeszcze?

— Po trzecie, nie ufaj sobie samemu, przede wszystkim sobie samemu. Odrzucaj bezwzględnie złe rady o miłosierdziu, miłości i litości — słowem wszystkie pułapki, jakie twoje serce nie omieszka ci zastawić. To sprawa kilku lat. Bardzo łatwo, przy odrobinie dobrej woli, staniesz się takim jak inni: twardym, bezlitosnym egoistą, a wtedy będziesz solidnie uzbrojony. Czy dobrze mnie zrozumiałeś?

— Tak, ojcze, i obiecuję starać się ze wszystkich sił.

— Dobrze, odjadę spokojny. Zostawiam ci Giboulée — dodał Pardaillan, rzucając pieszczotliwie spojrzenie na zawieszoną na ścianie długą szpadę. Zdjął ją własnoręcznie i zapiął lakierowany pas na biodrach syna.

— O, tak, teraz jesteś prawdziwym rycerzem! Bądź silny wobec siebie, wobec kobiet i wobec ludzi. Żegnaj, synu, żegnaj!

W ten oto sposób Jan pozostał sam na świecie i wszedł w posiadanie Giboulée.

W jakieś dwa tygodnie po odjeździe ojca kawaler de Pardaillan w smętnym nastroju przechadzał się pewnego wieczora nad Sekwaną, gdy zobaczył, jak banda łobuziaków wiąże łapy biednemu psu, z wyraźnym zamiarem utopienia zwierzęcia. Jak piorun spadł na nich, rozpedził kopniakami i rozwiązał nieszczęsne zwierzę.

„Cóż — pomyślał — ojciec zalecił mi nie zwracać uwagi, kiedy się wrzuca do wody ludzi, ale nie mówił o psach. Więc nie naruszyłem zasady posłuszeństwa...”

Nie trzeba dodawać, że uratowane zwierzę przywiązało się do swego zbawcy i poszło za nim, kiedy się oddalał. Jan nazwał psa Pipeau.

Był to owczarek o rudej zmierzwionej sierści, ani ładny, ani szpetny, ale o zgrabnej sylwetce, a zwłaszcza o niesłychanie mądrych, łagodnych oczach. Szczękę miał silną, jak do kruszenia żelaza. Był trochę zwariowany, namiętnie gonił wróble, szarżował na nie z opuszczonym łbem, przewracając wszystko na drodze, i miał bardzo zdziwioną minę, kiedy wróble na niego nie czekały.

W jakieś dwa tygodnie po odjeździe ojca Jan wrócił wieczorem do oberży w towarzystwie Pipeau, wdrapał się do ubogiego, ciemnego pokoju i obrzucił smutnym wzrokiem swoją ponurą kwaterę.

— Niemożliwe — mruczał — żebym mieszkał w tej norze. Skonam tu bez ojca, który trochę rozweselał to miejsce. Na Piłata i Barabasza, jak mawiał — muszę mieć jakiś przyzwoitszy pokój. Tak, ale gdzie go znaleźć? Gdzie?

Kiedy tak się zastanawiał, zauważył, że drzwi naprzeciwko są uchylone. Wyszedł, lekko je pchnął i wsunął głowę do pokoju. Nie było w nim nikogo, pokój był duży i ładny, z dobrym łóżkiem i kilkoma krzesłami, a nawet ze stołem i fotelem.

„To jest to!” — pomyślał.

Otworzył okno, które wychodziło na ulicę Saint-Denis.

Miał już cofnąć głowę, gdy wzrok jego padł na stojący naprzeciwko dom, niższy od zajazdu, i zobaczył w mansardowym oknie tego domu dziewczynę o złotoblond włosach, piękną, delikatną, o twarzy naiwnej a zarazem dumnej; wydała mu się wręcz rajską istotą. Po paru chwilach rozpoznał w niej dziewczynę, którą spotkał już parę razy na ulicy.

Słyszając jego okrzyk pełen zachwytu, dziewczyna uniosła głowę, zarumieniła się, zamknęła okno i zniknęła. Ale Pardaillan nie odchodził od okna przez dobrą godzinę i trwałby tak jeszcze dłużej, gdyby z zadumy nie wyrwał go nagle czyjś głos. Odwrócił się marszcząc brew i zobaczył Grzegorza Landry, spadkobiercę i obecnego właściciela zajazdu „Deviniere”.

Imé Landry był w dzieciństwie bardzo chorowity i miał tak krótkie nogi, że klientela tutejsza przeżywała go kurduplem. Z latami, miast ciągnąć się do góry, rozrastał się wszerek; teraz wyglądał jak kula umieszczona na dwóch ciężkich podstawach i zwieńczoną jakby głową cukru, przebitą parą małych oczek strachliwych, nieufnych, myszujących, a zarazem ponurych.

- Właśnie szedłem do was, kawalerze — odezwał się Landry.
- No i jesteście u mnie.
- Jak to, jestem!?
- Tak, bo zmieniłem lokal i od dziś mieszkam tutaj.

Landry spurpurowiał.

— Panie — powiedział — właśnie szedłem do was, żeby powiedzieć, że nie mogę dłużej wynajmować wam tamtego pokoju.

— No widzicie! Więc jesteście zgodni!

— Tym bardziej — kontynuował Grzegorz z rozpaczą w głosie — nie mogę oddać wam tego pokoju, który wart jest pięćdziesiąt talarów rocznie. Muszę wreszcie z wami pomówić... Kiedy wasz ojciec zrobił mi zaszczyt i zamieszkał u mnie dwa lata temu, nie otrzymując złamanego szeląga, zwróciłem się do szanownego ojca, żeby zapłacił zaległość...

— I cóż zrobił mój szanowny ojciec? Myślę, że zapłacił...

— Spuścił mi lanie! — odparł Landry z pełnym godności oburzeniem.

— I od tego czasu jesteś, waść, przekonany, że impertynencją byłoby żądanie pieniędzy od szacownego szlachcica?

— Tak, panie — z prostotą odpowiedział gospodarz. — Ale muszę dodać, że wasz ojciec oddawał mi pewne przysługi. Ochraniał moją gospodę i nie miał sobie równego, gdy szło o chwycenie jakiegoś pijaka za kuper i wyrzucenie go na ulicę.

— W takim razie to waszmość jesteś jego dłużnikiem. Ale mniejsza o to, ja skredytuję.

Purpurowa dotąd twarz gospodarza stała się fioletowa. Przez dwie minuty sapał, po czym wykrztusił:

— Dość żartów, mości panie.

— Więc czego chcesz?! Do diabła, mówże wreszcie!

— Panie, chcę, żebyś się wyprowadził, chyba że możesz mi zapłacić zaległe za dwa lata komorne, które mi się należy od was obu.

— Czy to twoje ostatnie słowo?

— Ostatnie. Chcę, żeby od jutra tamten pokój był wolny.

Z całym spokojem Jan przeszedł do siebie, wziął stojący w kącie kij, ten sam, którym posługiwał się ojciec, chwycił gospodarza za jedną z krótkich pletw służących mu za ramiona, podniósł kij i opuścił go na kark mistrza Landry.

— Dobry syn musi naśladować maniery swego ojca — powiedział. — Ojciec mój spuszczał waści lanie, więc i moim obowiązkiem jest to zrobić...



I Pardaillan zaczął rzeczywiście okładać gospodarza z sumiennością świadczącą, że niczego nie umiał robić połowicznie. Oberżysta wydawał przeraźliwe wrzaski, które rozlegały się w całym domu.

W jednej chwili do pokoju wpadła służba.

Wtedy Pardaillan popchnął nieszczęśnika do okna, otworzył je na oścież, chwycił go silną dłonią, wystawił za okno i na wyciągniętym ramieniu przytrzymał na zewnątrz, w powietrzu.

— Precz, wy tam! — rozkazał spokojnym tonem. — Precz albo go zrzucę.

— Odejdźcie! — jęczał na pół żywy ze strachu gospodarz.

Służba wycofała się w pośpiechu. Pozostała jedynie jejmość Landry i trzeba przyznać, że nie wydawała się nadmiernie przerażona niebezpieczną sytuacją, w jakiej znalazł się jej mąż.

— Łaski, panie kawalerze — błagał Landry.

— Jesteśmy zgodni, nieprawdaż? Żadnych niewłaściwych żądań?

— Nigdy, nigdy więcej!

— I mogę mieszkać w tym pokoju?

— Tak, tak! Ale proszę mnie wciągnąć do środka, na litość boską! Ja umieram!

Jan bez pośpiechu wciągnął oberżystę do pokoju i posadził prawie zemdlonego w fotelu; pani Landry zaczęła spieszenie zwilżać mu skroń.

— Och, mości kawalerze — powiedziała rzucając spojrzenie, w którym nie było nadmiernej pretensji — jakże mnie przestraszyłeś!

Kiedy Landry wrócił do siebie, odbył z kawalerem de Pardaillan zasadniczą rozmowę, w trakcie której ustalili, że ten lepszy pokój zostanie mieszkaniem młodzieńca i że nawet będzie on mógł spożywać wieczorny posiłek na dole, pod warunkiem, że przejmie po ojcu usługi świadczone gospodarzowi.

W ten sposób została zawarta zgoda pomiędzy imć Grzegorzem Landry a młodym zuchwalcem.

Pewnego wieczora kawaler de Pardaillan wychodził z jakiejś meliny na ulicy Francs-Bourgeois, gdzie z paroma przyjaciółmi — ciemnymi typkami — wypił mnóstwo korzennego wina. Był prawie pijany, to znaczy, że jego wąs jeżył się bardziej niż zwykle i że Giboulée, trzymana z tyłu na ukos, zajmowała całą szerokość ciasnej ulicy. Śpiewał modny wówczas sonet mistrza Ronsarda.

— Ratunku! Bandyci! Złodzieje! — rozległ się w oddali krzyk; głos musiał należeć do starego człowieka.

— Krzyki dolatują z ulicy Saint-Antoine — stwierdził Pardaillan. — A więc według rad mojego ojca powinienem zawrócić do „Deviniere”. Tak też zrobię.

Niebawem znalazł się na Saint-Antoine.

— Oho! Przysiągłbym, że skręciłem w Saint-Denis...

Zobaczył dwóch mężczyzn zaatakowanych przez około dziesięciu opryszków. Obaj byli na koniach. Jeden z nich trzymał za uzdę trzeciego konia, całkowicie osiodłanego. Był to starzec ubrany jak służący z zamożnego domu. To on właśnie krzyczał:

— Ratunku! Straż!

Ale napastnicy, pewni, że nikt nie będzie interweniował i że patrol usunie się przezornie, nie zajmowali się wcale starym, otoczyli natomiast drugiego jeźdźca, który bronił się bez słowa, energicznie, o czym świadczyli dwaj leżący na ziemi łotrzykowie z rozciętymi głowami.

Jednak i ten silny i odważny mężczyzna musiał niebawem ulec.

— Trzymaj się waść! — rozległ się nagle spokojny i nieco kpiący głos.  
— Już przybywam!

Pardaillan wynurzył się nagle i na napastników spadł grad ciosów. Nie wyciągnął z pochwy słynnej Giboulée, ale chwyciwszy za kark dwóch najbliższych z bandy, którzy mu wpadli pod rękę, zbliżył ich głowy do siebie ruchem nie do odparcia; twarze stuknęły się, krew tryśnęła z nosów; wtedy Pardaillan następnym ruchem rozdzielił ich, cisnął jednego na prawo, drugiego na lewo niczym podwójną katapultą, tak że obaj runęli o jakieś dziesięć kroków pociągając w upadku dwóch czy trzech kamratów, Pardaillan zaś stanął przed nieznanym osaczonym mężczyzną i szerokim gestem wyciągnął Giboulée... Złoczyńcy jak gdyby wystraszyli się tego manewru, jego poznanej już siły. Tak czy inaczej, rzucili się w milczeniu do pośpiesznego odwrotu i w jednej chwili wszyscy zniknęli unosząc rannych, jak widma rozplływające się wśród nocnych ciemności.

— Na Boga, mój dzielny! — zawołał nieznanomy rycerz. — Uratowałeś mi życie!

Kawaler de Pardaillan schował spokojnie swoją szpadę, uchylił kapelusza i powiedział:

— Czy wiesz pan, co przed chwilą uczyniłem?

— Do diabła! Uratowałeś mi życie!

— Nie, wykazałem brak posłuszeństwa formalnemu zaleceniu mego ojca. Obawiam się, że wynikną z tego dla mnie przykrości...

Te ostatnie słowa wypowiedział tonem lodowatym, od którego nieznajomy aż się wzdrygnął.

— W każdym razie wyświadczyłeś mi tęą przysługę. Proszę przyjąć na pamiątkę tego spotkania mego wierzchowca, którego trzyma za uzdę szłący. Galaor jest najlepszym koniem w moich stajniach.

— Dobrze, przyjmuję konia! — odparł Pardaillan tonem i z gestem króla, który przyjmuje hołd poddanego.

I z lekkością jeźdźca, który od piątego roku życia cwałował przez góry i doliny, wskoczył w siodło.

Nieznajomy zrobił ręką gest pożegnania i oddalił się jak ktoś, komu się spieszy.

W chwili, kiedy stary sługa zamierzał ruszyć w przyzwoitej odległości za swoim panem, Pardaillan zbliżył się do niego i zapytał szeptem:

— Czy byłoby niewłaściwe, gdybym chciał dowiedzieć się imienia tego pana, dla którego popełniłem przestępstwo i sprzeniewierzyłem się zaleceni ojca?

— Ależ bynajmniej — odparł zdziwiony starzec.

— A więc, ten szlachcic?

— To jaśnie pan Henryk de Montmorency, marszałek Damville...

Tego wieczora Jan de Pardaillan przyprowadził nowego gościa do zajazdu „Deviniere”; przybył tam w chwili, kiedy zajazd już zamykano, i nie pytając nikogo, zaprowadził Galaora do stajni, postawił w najlepszym miejscu i wsypał do żłobu miarkę owsa.

Galaor był bułankiem z czarnym łbem, mniej więcej czterolatkiem; miał delikatną głowę, rozdęte chrapy, szerokie czoło, dobrze zarysowane kłęby, giętki kark, suche nogi. Piękne zwierzę!

— Cóż, u diabła, waść tu robi? — nagle rozległ się gardłowy głos samego Landry.

Pardaillan powoli odwrócił głowę w stronę bryły tłuszczu, jaką był oberżysta, i zapytał przez ramię:

— Oglądam owoc mojej ostatniej zbrodni.

Landry drgnął i zapytał:

— A więc ten koń należy do was?

— Już powiedziałem.

— No i ja będę musiał go żywić?

— Czy przypadkiem nie chciałbyś waść, żeby to szlachetne zwierzę padło z głodu?

I upewniwszy się ostatnim spojrzeniem, że Galaorowi niczego nie brakuje, Pardaillan pożegnał przygnębionego oberżystę i poszedł spać.

Od tego dnia Pardaillana widziano jedynie na koniu, z psem biegnącym przed nimi i wietrzącym wszystko, co się nadawało do zjedzenia i do ściągnięcia ze straganów handlarzy drobiem; co zaś do Galaora, to za skarby świata nie dawał się sprowadzić z prostej drogi. Należy dodać, że szeptem wypowiedziane słowo czy nieprzychylnie spojrzenie powodowało, że groźna Giboulée sama wyskakiwała z pochwyt.

Pardaillan na Galaorze z dodatkiem Pipeau i Giboulée stał się postrachem dzielnicy — chcemy powiedzieć postrachem bezczelnych rabusiów, rzezimieszków, rębajłów i fanfaronów, od których się tu roiło; albowiem jeśli Jan wtrącał się kiedykolwiek do kłótni, to tylko po to, żeby bronić słabszego.

Pewnego dnia Pardaillan reperował w swoim pokoju kaftan. Zazwyczaj zajmowała się tym pani Landry, ale odkąd piękna oberżystka złapała kawalera na wpatrywaniu się w przeciwległy dom, dąsała się na niego i wycofała się między swoje garnki.

Zreperowawszy jako tako rozdarcie, Pardaillan nałożył kaftan, przypasał szpadę i zamierzał wyjść. Ale nim opuścił pokój, stanął przy oknie i zobaczył damę w czerni, jak wychodziła z domu w kierunku ulicy Saint-Antoine. W tej samej chwili w oknie ukazała się Loiza.

Jak gdyby chcąc okazać nonszalancję wobec swego nędznego ubrania czy rzucając też wyzwanie myśli, że nie sposób pokochać go takim, jakim on sam się widzi, po raz pierwszy instynktownym gestem posłał pocałunek...

To prawda, że Loiza się zarumieniła, ale przez chwilę pozostała w oknie patrząc na Jana, po czym, bynajmniej niezagniewana, powoli cofnęła się w głąb pokoju.

„Och — pomyślał Pardaillan, a serce waliło mu jak młotem — wygląda na to, że wcale się nie oburzyła. Muszę niezwłocznie pomówić z jej matką!”

Spryciarz pomyślałby: „Skorzystam z nieobecności matki i rzucę się do stóp tej ślicznotki...”

Nie namyślając się dłużej, Jan wyskoczył z domu jak z procy i dogonił damę w czerni, gdy skręciła za róg Saint-Denis i poszła ulicą Saint-Antoine w kierunku Bastylii.

Ale tu opuściła go odwaga! Poprzestał na towarzyszeniu damie w czerni w przyzwoitej odległości.

Gdy znaleźli się w pobliżu placu Baudoyer, Joanna skręciła na prawo w gmatwaninę uliczek łączących Saint-Antoine z portem Saint-Paul, na

tyłach placu de Greve. Wreszcie zatrzymała się na ulicy Barres, dokładnie tam, gdzie ongiś wznosił się klasztor karmelitów.

Dom, przy którym Joanna się zatrzymała, stał na miejscu dawnego klasztoru; otoczony pięknym ogrodem, był nieduży, ale ładny, chociaż nieco tajemniczy.

Pardaillan zobaczył, że dama w czerni stuka kołatką i w chwilę później wchodzi do środka.

„Porozmawiam z nią, jak wyjdzie — pomyślał. — Muszę z nią pomówić!”

Stanął na warcie w końcu ulicy.

Służąca, która wpuściła Joannę, zaprowadziła ją na piętro do gustownie urządzonego pokoju.

Gdy Joanna weszła, siedzący obok siebie mężczyzna i kobieta odwrócili głowy.

— O — odezwała się kobieta — jest moja makata.

— Świetnie — powiedział mężczyzna zwracając się do Joanny. — Czy uwzględniony jest napis, o który prosiłem?

— Tak, panie — odparła Joanna.

— Jaki napis? — zapytała kobieta głosem cichym i bardzo łagodnym.

— Zobaczysz! — odpowiedział młody pan.

Wyglądał najwyżej na dwadzieścia lat, ubrany był jak bogaty mieszczanin, w cienkie sukno czarnego koloru, ale przy jego czapce z czarnego aksamitu błyszczał olbrzymi diament.

Był średniego wzrostu i chyba kruchego zdrowia; twarz miał bladą, cerę nawet ziemistą, czoło wypukłe, oczy posępne i niepatrzące wprost; wargi wykrzywił uśmiech przeważnie złośliwy, niekiedy wręcz złowrogi, ale który w tej chwili zdradzał prawdziwą serdeczność. Ręce mu latały, palce zaciskały się co chwila — może pod wpływem jakiejś nerwowej choroby?

Kobieta wyglądała na starszą o jakieś trzy czy cztery lata od swego towarzysza. Była to ładna blondynka o skromnej postawie, która w tłumie nie wywoływała szmeru zachwytu, jaki słyhać, gdy przechodzi kobieta uderzająco piękna. Była cała skromnością, nieomal chorobliwą nieśmiałością, jedynie oczy jej wyrażały nieskończoną tkliwość i niezwykłą czułość, gdy spoglądała na młodzieńca.

— Spójrzmy na ten napis — powtórzyła z niecierpliwym zaciekawieniem.

— Patrz, Mario — powiedział młodzieniec, biorąc z rąk Joanny haftowaną tkaninę.

Przedstawiała ona bukiety lilii, przepłatające się na obramowaniu; pośrodku był kartusz z błękitnym tłem, na którym odcinały się złotymi literami następujące słowa:

### OCZAROWUJĘ WSZYSTKO

Ta, którą nazwano Marią, podniosła na młodzieńca pytające spojrzenie, on zaś, zacierając blade ręce, powiedział ze szczęśliwym uśmiechem:

- Droga Mario, nie zgadujesz?
- Nie, najdroższy Karolu...
- A więc będzie odtąd twoją dewizą, Mario.
- Och, Karolu, mój dobry Karolu!
- Czy wiesz, gdzie znalazłem ten napis?
- Skąd mogę wiedzieć?
- Cóż — zawołał Karol z triumfem — w twoim imieniu? „Oczarowuję wszystko” — to przecież anagram „Marie Touchet”\*, twego imienia i nazwiska... Możesz sprawdzić!

\* Oczarowuję wszystko — franc. „Je charme tout”.

Zarumieniona ze szczęścia, rzuciła się w objęcia ukochanego, który przytulił ją do piersi z niewysłowioną czułością.

Joanna de Piennes przyglądała się bez ruchu i z bólem tej scenie intymnego, spokojnego szczęścia.

„Jak oni się kochają — pomyślała. — Jacy są szczęśliwi, ten dobry mieszczanin ze swoją uroczą mieszczańką! Niestety! I ja także mogłabym być szczęśliwa!”

— Tak, Mario — cicho przemawiał młodzieniec — tak, o tym właśnie myślałem ostatnimi czasy. Gdyż tylko o tobie marzę w głębi mojego Luwru. I kiedy moja matka myśli, że zajmuję się gromieniem hugonotów, kiedy mój brat książę Andegaweński zastanawia się, czy obmyślam, w jaki sposób go zgładzić, kiedy Gwizjusz stara się wyczytać z mojej twarzy tajemnicę swego losu, ja myślę o tym, że cię kocham, i tylko ciebie, bo ty jedna mnie kochasz!

Maria słuchała tych słów w oszołomieniu, zapominając o obecności damy w czerni.

— Sire, sire — powiedziała prawie głośno — jestem pijana szczęściem.

— Sire! — wyszeptwała Joanna. — Król Francji!

Jej biedna wyobraźnia, tak okrutnie sponiewierana, doznała gwałtownego wstrząsu. Miała przed sobą Karola IX... Człowieka, o którym

tyle razy marzyła, żeby błagać go o sprawiedliwość... nie dla siebie, to pewne, lecz dla swojej córki, dla Loizy!

Ciężko dysząc, z płonąca głową postąpiła krok do przodu.

Karol IX trzymał Marię Touchet w objęciach i mówił do niej półgłosem:

— Nie ma tu króla, nie ma władcy, słyszysz Mario? Jest tylko Karol! Twój dobry Karol, jak mnie nazywasz. Albowiem tylko ty jedna, Mario, uważasz, że jestem dobry, i to mi przynosi ulgę, rzuca trochę światła w mrok moich niewesołych myśli. Król! Jestem królem... Mario, jestem biednym dzieckiem, którego matka nienawidzi, tak jak i bracia. W Luwrze nie mam odwagi jeść, boję się przyniesionej szklanki wody, boję się powietrza, którym oddycham... Tutaj ja jem, śpię, piję bez obaw, tak, tutaj oddycham pełną piersią!

— Karolu, Karolu, uspokój się!

Ale Karol IX podniecił się, oczy mu płonęły, słowa padały świszczące i zachrypnięte.

— Mówię ci, że chcą mojej śmierci — warknął nagle nie zniżając głosu. — Och, Mario, Mario, ratuj mnie, ukryj! Wyczytałem to z ich myśli, wypatroszyłem ich sumienia i zobaczyłem wyrok dla siebie, wypisany ognistymi literami!

— Karolu, na litość boską, uspokój się! Znow masz ten swój napad! Karolu, oprzytomnij! Jesteś przy mnie!

Ale król padł na fotel w gwałtownym ataku, przewracając oczami. Joanna rzuciła się, żeby pomóc Marii.

— Och, pani, przez litość dla mojego biednego Karola, tak bardzo nieszczęśliwego, ani słowa nikomu...

— Możesz być pewna, pani — powiedziała Joanna z godnością. — Cierpienie nauczyło mnie milczeć.

Maria podziękowała skinieniem głowy.

— Czy mogę się na coś przydać? — zapytała Joanna.

— Nie, nie — żywo odparła Maria. — Proszę przyjąć podziękowanie i błogosławieństwo. Znam te ciężkie ataki, za kilka minut Karol przyjdzie do siebie.

— Więc was opuszczam, pani.

— Droga moja! — zawołała Maria z wdzięcznością. — Jakaż jesteś pełna delikatności! Jak musiałaś kochać!

Na białych wargach Joanny ukazał się przelotny, bolesny uśmiech; skinęła głową na pożegnanie i wyszła.

Po jej wyjściu Karol IX otworzył oczy, powiódł dookoła niespokojnym wzrokiem i uśmiechnął się ze smutkiem, widząc pochyloną nad sobą Marię.

— Znowu atak? — zapytał z tłumionym niepokojem.

— Och, to prawie nic, mój Karolu.

— Niedawno ktoś tu był... ach tak, kobieta, która haftowała tę makatę. Gdzie ona jest?

— Poszła, Karolu, poszła dopiero co.

— Przed atakiem?

— Tak, mój kochany, przed! No, już minęło... wypij odrobinę tego eliksiru... tak, złóż na chwilę swoją biedną głowę tu, na moim sercu, mój dobry Karolu.

Usiadła, przyciągnęła go do swoich kolan i Karol, posłuszny jak dziecko, pochylił bladą, smutną twarz.

## XI

### VOX POPULI, VOX DEI

Kawaler de Pardaillan czekał na ukazanie się Joanny z cierpliwością zakochanego. Był zdecydowany z nią pomówić. Ale co chciał jej powiedzieć? Że kocha jej córkę? Że pragnie pojąć ją za żonę? Może i to.

Kiedy zobaczył, że wychodzi i zmierza w jego stronę, przygotował przemówienie, jego zdaniem bardzo odpowiednie dla wywołania żywego wzruszenia u słuchaczki. Na nieszczęście w chwili, kiedy dama w czerni go mijała, właśnie uleciał mu z pamięci początek przemowy, stanowiący według niego najpiękniejszą jej część. Pozostał więc z otwartymi ustami, a tymczasem Joanna przeszła.

Pardaillan rzucił się za nią, obiecując sobie, że na ulicy Saint-Denis ją zaczepi; do głowy mu nie przyszło, że najwłaściwszym sposobem byłoby się stawić w mieszkaniu tej pani.



Ale kiedy dotarł do Saint-Antoine, uderzyło go, że Paryż się zmienił, jak nieraz zmienia się ocean, gdy nadciągają pierwsze poddmuchy burzy.

W kierunku Luwru zdążyły liczne grupy mieszczan i pospólstwa. Wielka arteria przeobraziła się w ludzką rzekę, dobiegały z niej rzucane cicho pogroźki, niekiedy wybuchały podniesione głosy.

Co się działo?

Pardaillan starał się nie stracić z oczu damy w czerni, idącej o jakieś dwadzieścia kroków przed nim.

W pewnej chwili tłum zafalował gwałtownie, ogarnięty podnieceniem, które nieraz powstaje w ludzkiej ciżbie nie wiadomo dlaczego. To falowanie wchłonęło Joannę. Pardaillan rzucił się za nią rozdając kuksańce, rozpychając się łokciami i torując sobie drogę pięściami.

Przed nim, trzymając się pod ręce, maszerowali trzej mężczyźni; mieli bycze karki, czerwone gęby, groźne spojrzenia. Gdy przechodzili, tłum wrzeszczał:

— Niech żyje Kervier! Niech żyje Pezou! Niech żyje Crucé!

— Kim są te trzy słonie? — zapytał Pardaillan.

— Jak to, panie!?! — zdziwił się któryś z mieszczan. — To nie znasz Cruce'go, złotnika z Drewnianego Mostu? I Pezou, rzeźnika z ulicy du Rois-de-Sicile? Ani Kerviera, księgarza z Uniwersytetu?

— Przepraszam, ale przyjechałem z prowincji. A więc to rzeźnik, księgarz i złotnik? Cieszę się, że ich widziałem.

— To trzej wielcy przyjaciele Gwizjusza.

— Cholera! Wielki to dla niego zaszczyt!

— Tak, panie, to obrońcy świętej religii.

W tym momencie Pardaillan dotarł do Drewnianego Mostu, gdzie ogromny podniecony tłum wydawał okrzyki:

— Niech żyje Gwizjusz! Śmierć hugonotom!

— Słyszysz waść? — odezwał się mieszczanin. — Słyszysz lud? A przecież musisz wiedzieć, że vox populi, vox dei...

— Przepraszam — łagodnie odparł Jan — ale ja nie rozumiem angielskiego.

— To nie jest angielski, panie — powiedział rozmówca pogardliwie — to łacina. A po łacinie to znaczy, że głos ludu jest głosem bożym.

Mieszczanina odepchnęło od Pardaillana falowanie tłumu; silny patrol z kuszami i arkabuzami oczyszczał drogę do mostu, żeby utworzyć przejście dla Henryka Gwizjusza.

Pardaillan znalazł się na początku mostu, przy pierwszym domu po lewej stronie; był to stary, na pół zrujnowany budynek, najprawdopodobniej opuszczony, gdyż okna miał pozamykane; wszystkie pozostałe kamienice przy moście oblepione były gapiami aż po dachy.

Pardaillan zauważył, że okna pierwszego domu po prawej stronie na wprost opuszczonego budynku były także zamknięte, z wyjątkiem jednego, opatrzonego gęstą kratą. Za nią, w głębi, wydało mu się, że przez chwilę mignęła twarz kobiety; jej płonące oczy wpatrywały się w tłum, który szemrał:

— Śmierć hugonotom!

Dlaczego? W tym czasie w Paryżu nie było hugonotów. A jeśli byli, to się ukrywali.

Nagle zobaczył, jak złotnik, rzeźnik i księgarz przechodzą od grupki do grupki rzucając jakieś rozkazy. Gdzie tylko przeszli, rozlegało się coraz głośniej:

— Na heretyków! Śmierć Bearneńczykowi! Do wody z Albretką!

Crucé, Pezou i Kervier ustawili się po lewej stronie mostu, o trzy kroki od

Jana.

— Na Piłata i Barabasza — mruknął młodzieniec — wydaje mi się, że będę dziś świadkiem ciekawych rzeczy!

— Patrzcie! — wrzasnęła w tym momencie Crucé — oto idzie pan de Biron! Biron Kulawiec!...

— I pan de Mesmes, wielmożny de Malassise — dodał Kervier.

— Sygnatariusze pokoju w Saint-Germain! — wydarł się Pezou. — Przyjaciele przeklętych hugonotów!

Tłum wokół nich tupał z uciechy i wrzeszczał:

— Precz z pokojem w Saint-Germain! Śmierć heretykom!

Crucé patrzył na okratowane okno, w którym Pardaillanowi mignęła twarz kobiety. Tym razem za gęstą siatką ukazała się twarz mężczyzny, który szybko wymienił jakieś znaki z Cruce'em i zniknął w głębi.

Wejźmy na chwilę do tego domu.

We frontowym pokoju o zakratowanym oknie siedzi w głębokim fotelu kobieta, wysoka, chuda, cała spowita w czerń, o głowie drapieżnego ptaka, nosie sępa, zaciśniętych ustach i przenikliwym spojrzeniu. Tą kobietą jest wdowa po Henryku II, matka Karola IX, Katarzyna Medycejska...

Przy niej jeszcze dość młody mężczyzna, który musiał być ongiś niezwykle piękny, o teatralnych gestach, elastycznym chodzie i kocich ruchach. To Ruggieri, astrolog.

Ale co ta para tutaj robi? Co to za tajemnicza zażyłość pozwala florentyńskiemu astrologowi przybierać wobec królowej postawę, w której jest więcej tkliwości niż szacunku?

Katarzyna nerwowo tupie czubkiem stopy.

— Cierpliwości, cierpliwości, Catharina mia — mówi Ruggieri.

— Jesteś pewien, René, że ona jest w Paryżu?

— Najzupełniej pewien, królowa Nawarry wczoraj przybyła incognito do Paryża. Joanna d'Albret przyjechała zapewne po to, żeby się spotkać z jakąś ważną osobistością.

— Ale jakeś się dowiedział, René?

— Jakżeby inaczej, jeśli nie za pośrednictwem pięknej Bearneńki, którą umieściłaś pani przy niej?

— Alicja de Lux?

— Nikt inny. Och, to nieoceniona dziewczyna.

— I jesteś pewien, że Joanna d'Albret będzie przejeżdżać tym mostem?

— Czy myślisz, miłościwa pani, że w przeciwnym razie ściągnąłbym tu Crucé'go, Pezou i Kerviera? — odparł Ruggieri wruszając ramionami.

— Och — mruknęła Katarzyna Medycejska zaciskając dłonie — jak ja jej nienawidzę, tej Joanny d'Albret! Gwizjusz jest niczym. Trzymam go w garści i zgniotę, kiedy zechcę. Ale d'Albret — ta jest wrogiem, jedynym naprawdę groźnym dla mnie wrogiem. Och, gdybym mogła dostać ją tutaj i udusić własnymi rękami!

— Królowo — powiedział Ruggieri — zostaw tę robotę poczciwemu ludowi Paryża. O, proszę, już się szykuje! Posłuchaj, pani!

Rzeczywiście, na zewnątrz rozległy się potworne wrzaski. Ruggieri zbliżył się do kraty, za nim Katarzyna.

— Widzę tylko Henryka Gwizjusza — odezwała się królowa.

— Proszę spojrzeć tam... na końcu mostu... na tę karetę za eskortą... Karetą nie może się już cofnąć... otaczają tłum... za chwilę, gdy przybędzie tutaj, firanka odchyli się na sekundę... i, niech mnie diabli, jeśli nasz przyjaciel Crucé nie rozpozna królowej Nawarry.

Mostem sunął Henryk Gwizjusz w otoczeniu trzydziestu jeźdźców.

Witał tłum gestem i uśmiechem, od czasu do czasu wznosząc okrzyk:

— Niech żyje msza!

— Niech żyje msza! Śmierć hugonotom! — powtarzał rozszalały tłum. Widowisko było groźne i wspaniałe. Panowie z eskorty, na rumakach we wspaniałej uprzęży, nosili wykwintne stroje lśniące od drogich kamieni. Ale najpiękniejszy, najbardziej olśniewający był ich wódz, Henryk de Guise. Miał najwyżej dwadzieścia lat. Był wysoki, zgrabny, o twarzy, na której malowała się nieposkromiona pycha.

— Gwizjusz! Gwizjusz! — wydierał się tłum; Katarzyna Medycejska słuchała tych pełnych zachwyty wrzasków wbijając sobie w dłonie ostre paznokcie.

A tam, w domku przy ulicy Barres, w mieszkaniu Marii Touchet, król Francji spał spokojnie oparłszy głowę na macierzyńskim ramieniu swej kochanki.

Tymczasem Henryk Gwizjusz z eskortą przebyli most, ale znaleźli się w tłumie tak gęstym, że musieli zatrzymać się na kilka minut. W tej chwili z tyłu za nimi rozległy się tak dzikie wrzaski, że książę instynktownie położył rękę na sztylcie i obrócił się.

Nie, to nie chodziło o niego.

W kierunku mostu z wielkim trudem posuwała się karetą, aż dotarła do zrujnowanego domu, przy którym stali Crucé, Pezou i Kervier. Pojazd był skromny, jego skórzane fartuchy szczelnie zaciągnięte. W tym momencie rozsunęły się na ułamek sekundy, ale to wystarczyło!

— Piekło! — ryknął Crucé, a jego stentorowy głos zagłuszył wrzaski tłumu. — To królowa Nawarry! Śmierć heretyczce! Śmierć Joannie d'Albret!

Wraz z kompaniami runął na pojazd.

— Nareszcie — mruknęła Katarzyna z okrutnym uśmiechem.

W jednej chwili liczna i zdyscyplinowana grupa otoczyła karetę, gestykulując i wrzeszcząc:

— Albret! Albret! Śmierć Joannie d'Albret! Do rzeki hugonotkę!

Kareta została uniesiona niczym źdźbło słomy falą oceanu, przewrócona, zdeptana, zniknęła w tłumie... Ale dwie siedzące w niej kobiety zdążyły wyskoczyć.

— Litości dla królowej! — krzyknęła młodsza z kobiet o niezwyklej piękności.

— Oto ona! Oto ona! — grzmieni Crucé i Pezou wskazując tę drugą, która trzymała w ręku coś wyglądającego na skózaną sakiewkę.

Była to istotnie Joanna d'Albret.

Gestem królewskim zakryła twarz woalką. Potężne pchnięcie rzuciło ją razem z towarzyszką na drzwi opuszczonego domu. Uniosło się tysiące ramion. Niewiele brakowało, a królowa Nawarry zostałaby pochwycona, zmiądzzona, rozszarpana na strzępy.

W tej chwili Katarzyna Medycejska i Ruggieri z wysokości swego okna, książę de Guise z wysokości wierzchowca, zobaczyli widok niesłychany, niewiarygodny i wspaniały...

Z tłumu wyskoczył młody mężczyzna rozsuwając ciżbę pięściami, ciosami w głowy, łokciami; wchodził, wbijając się w tłum jak żelazny klin i stwarzał wokół siebie pustkę ruchem potężnych ramion. W oka mgnieniu powstała wolna przestrzeń pomiędzy drzwiami zrujnowanego domu, o który opierały się obie kobiety, a tłuszcą, której przewodził złotnik, rzeźnik i księgarz.

Młody mężczyzna dobył długiej, mocnej szpady, błysnął nią i zaczął kręcić zawrotnego młynka; przerywał tę czynność jedynie po to, żeby rozdawać szybkie silne ciosy pięścią, a ogłupiały, wystraszony tłum cofał się, poszerzając wolną przestrzeń.

— René — warknęła Katarzyna — ten młodzieniec musi umrzeć albo należeć do mnie.

— Już o tym pomyślałem — odparł Ruggieri i wybiegł.

— Na Boga — mówił ze swej strony diuk de Guise do kogoś ze świty — postaraj się dowiedzieć, kim jest ten młodzieniec. Na rogi diabelskie, co za wspaniały odyniec.

Tym szaleńcem, tym odyńcem, jak go nazwał książę Gwizjusz, był kawaler de Pardaillan.

Kiedy Crucé ze swoją zgrają rzucił się do karety, Jan zobaczył, że siedzą w niej dwie damy.

Przez dobre pół minuty był to homerycki obraz skały, którą próżno atakują rozjuszone bałwany. Dookoła Pardaillana kłębiło się pospólstwo wydając przeraźliwe okrzyki. Crucé, Kervier i Pezou ciskali apokaliptyczne pogroźki, on zaś, skupiony, z zaciśniętymi szczękami, bez słowa, bez zbędnego gestu kręcił młynki iskrzącą się Giboulée.

Półkole zacieśniało się pomimo oporu pierwszego rzędu; od tyłu nacierwały nowe tłumy falując z hałasem przypływu i odpływu.

Pardaillan zrozumiał, że go zgniotą. Obrzucił Joannę d'Albret i jej towarzyszkę błyskawicznym spojrzeniem i zawołał:

— Cofnijcie się!

Kobiety usłuchały.

Wtedy on, pod osłoną szpady, pochylił się do przodu i utrzymując

równowagę na lewej nodze, prawą kopał zajadle do tyłu w zmurszałe drzwi.

Po pierwszym uderzeniu obcasem, które rozległo się jak cios tarana, tłum zrozumiał manewr, wydał ryk wściekłości i rzucił się na szaleńca, który chciał dokonać cudu i uratować hugonotki. Dwu czy trzech padło zalanych krwią, Giboulée zataczała stalowe, osłepiające kręgi.

Pod którymś kopnięciem obruszone zawiasy zaskrzypiały. Pod następnym drzwi otwarły się gwałtownie, zamek ustąpił strzaskany.

— Chodź, Alicjo — powiedziała Joanna d'Albret dziwnie spokojnym głosem.

Motłoch widząc, że ofiara się wymyka, wydał ryk, który wstrząsnął starym domostwem; Crucé, Pezou i Kervier już nie przewodzili tłumowi, pochłonęło ich falowanie ludzkiej ciżby. Atak tłumy przypomniawszy nieodparty napływ fali, trąbę powietrzną... ale masa ludzka rozbijała się sama o siebie, aż w końcu dysząc zatrzymała się przed zatrzaśniętymi drzwiami.

Skoro tylko królowa Nawarry zniknęła w domu, Pardaillan zaprzestał wymachiwać szpadą i zaczął rozdawać na prawo i lewo, na chybił trafił, ciosy pięścią, a po każdym z nich rozlegał się okrzyk bólu. Kiedy wreszcie ciżba zatrzymała się zdyszana, niepewna, ogłupiała, uskoczył do tyłu co sił, zatrzasnął drzwi, rozejrzał się dookoła bystrym wzrokiem.

Dom, zapewne ongiś mieszkanie jakiegoś stolarza czy cieśli, pełen był rozmaitych bali. Chwycić kilka i podeprzeć nimi drzwi, utworzyć z nich solidną barykadę — to wszystko trwało nie dłużej niż jedną minutę.

Pierwsze słowa Joanny d'Albret były:

— Czy jest pan naszej wiary?

— Och, pani, moją wiarą jest życie... Zwłaszcza teraz, kiedy tylko zły kupiec dałby za moją skórę więcej niż grosz...

Joanna d'Albret obrzuciła zachwyconym spojrzeniem młodzieńca w podartych szatach, o rękach pooranych krwawiącymi zadrapaniami, który stał przed nią z uśmiechem.

— Jeżeli mamy umrzeć — ciągnęła dalej królowa — pragnę przedtem panu podziękować i oświadczyć, że w chwili śmierci dane mi było poznać najbardziej bohaterskiego szlachcica, jakiego kiedykolwiek widziałam.

— Pani — mruknął Pardaillan — jeszcześmy nie umarli, mamy jeszcze przed sobą co najmniej trzy minuty.

Jednym rzutem oka ogarnął miejsce, gdzie się znajdowali. Była to ogromna izba, w której zapewne mieścił się warsztat cieśli. Nie miała

sufitu, nakryta była tylko dachem podtrzymywanym przez trzy pionowe belki, które chyba sięgały poprzez podłogę aż do piwnicy.

W czasie krótszym, niż wymaga tego opis wydarzeń, Pardaillan przebiegł izbę. W głębi, czyli od strony wychodzącej na rzekę, zauważył otwartą klapę, co pozwalało zejść do piwnicy.

Głośno zawołał obie kobiety, które przybiegły natychmiast.

— Schodźcie — rozkazał.

— A wy? — zapytała królowa.

— Proszę schodzić, pani.

Joanna d'Albret i jej towarzyszka usłuchały. Kiedy zeszyły po schodach stwierdziły, że znajdują się nie w piwnicy, lecz w izbie podobnej do górnej; spod podłogi dobiegał plusk wody, a więc dom był zbudowany na palach! Pod nim płynęła Sekwana.

Minęła pewnie minuta, odkąd wpadły do tego domu. Joanna d'Albret przez chwilę nasłuchiwała. W ciszy, jaka zapanowała na zewnątrz, wydało jej się, że z góry dochodzi jakby zgrzyt piły... ale trwało to ułamek sekundy, po czym wrzaski tłumu znowu zagłuszyły wszelkie inne odgłosy.

Intuicja podszeptowała Joannie d'Albret, że musi istnieć połączenie z rzeką... Nagle potrąciła nogą jakieś żelazne kółko... pochyliła się, wydała głośny okrzyk radości, podniosła z niesłychanym wysiłkiem, wprost wyrwała klapę, z ochryplym westchnieniem skazańca, któremu uratowano życie, zobaczyła drabinę wiodącą do rzeki. A w dole tej drabiny — łódź!

— Panie! Panie! — krzyknęła.

— Jestem! — równie głośno odkrzyknął Pardaillan. — Jeżeli umrzemy to w licznej kompanii!

Ukazał się u góry schodów, trzymając w rękach gruby sznur, za który pociągnął tak mocno, aż się cały wygiął od wysiłku, mięśnie nóg napięły się, a żyły na skroniach zdało się, że za chwilę pękną.

W tym momencie żadna krwi tłuszczka wpadła do domu z ogłuszającym wrzaskiem:

— Na śmierć! Na śmierć!

Ale też w tym momencie Pardaillan, ostatnim rozpaczliwym szarpnięciem, podobny do tytana, który chce wyrwać z korzeniami wiekowy dąb, pociągnął za sznur.

Rozległ się potworny łoskot, dom jakby się przez chwilę zachwiał, po czym pośród bolesnych jęków huknął potężny grzmot... i dom się rozpadł. Belki nie wytrzymały, cały dach zawalił się raniąc i zabijając napastników.

Co się stało?

Pardaillan podpiłował wszystkie trzy słupy podtrzymujące dach i powiązał je jednym sznurem. Szarpiąc nim zajadle, zwałił słupy. Wtedy jednym skokiem, jednym susem rzucił się w otwór, stoczył u podnóża schodów i dołączył do Joanny d'Albret, a na podłogę, z której właśnie zeskoczył, zwałił się dach starego domu.

Królowa gestem wskazała rzekę, drabinę i łódkę. Błyskawicznie wsiadli do niej wszyscy troje. Jan przeciął linkę przytrzymującą lekką łódź, która pchana prądem pomknęła w kierunku Luwru.

Pardaillan sterował wiosłem, które znalazł na dnie łodzi. Po pięciu minutach byli powyżej Luwru, dokładnie w miejscu, gdzie przed paroma laty znajdowało się ogrodzenie Tuileries i gdzie Katarzyna Medycejska budowała wówczas swój pałac według planów architekta Philiberta Delorme.

Kiedy wyszli na brzeg, Pardaillan stanął z kapeluszem w rękę.

— Panie — odezwała się Joanna d'Albret z tą spokojną energią, która nie opuściła jej ani na chwilę — jestem królową Nawarry... A pan?

— Nazywam się kawaler de Pardaillan, pani.

— Wyświadczyłeś domowi Burbonów przysługę, której ci nigdy nie zapomni.

Jan zrobił nieokreślony gest...

— Proszę się nie wypierać — ciągnęła dalej królowa — przynajmniej nie wobec mnie — dodała z goryczą.

Pardaillan zrozumiał aluzję: broniąc hugonotki, być może zasłużył na śmierć.

— Ani wobec was, pani, ani wobec nikogo — powiedział. — Zdaje sobie istotnie sprawę, że wyświadczyłem waszej miłości dużą przysługę; ale muszę przyznać, że nie wiedziałem, iż miałem zaszczyt bronić wielkiej królowej.

Joannę d'Albret, która od lat dowodziła bohaterami i znała się na ich cnotach, uderzyła ta chłodna godność z dodatkiem szczypty ironii i lekkiej drwiny, tak charakterystycznych dla Jana.

— Panie — mówiła dalej królowa patrząc na niego z podziwem — jeżeli zechcesz mi towarzyszyć do obozu mojego syna Henryka, twoja kariera jest pewna.

Na dźwięk słowa „kariera” Pardaillan drgnął i nadstawił ucha. Przed oczami stanął mu obraz złotowłosej dziewczyny, uroczej sąsiadki, na którą czatował w oknie całymi godzinami; stanęła jej promienna twarzyczka.



Skrzywił się z żalu za tą karierą, która ledwie błysnęła i już znikła; składając ukłon odrzekł:

— Miłościwa pani, zechciej przyjąć mój hołd i moją wdzięczność, ale postanowiłem szukać fortuny w Paryżu.

— Zgoda, panie. Ale gdyby któryś z moich ludzi zechciał się z tobą spotkać, gdzie można cię znaleźć?

— W oberży „Deviniere”, pani, na ulicy Saint-Denis.

Joanna d'Albret skinęła głową i zwróciła się do swojej towarzyszki.

— Alicjo, byłaś bardzo nieostrożna kierując karete przez most.

— Myślałam, że przejście jest wolne, miłościwa pani — odpowiedziała dość pewnie dziewczyna.

— Alicjo, popełniłaś także nieostrożność rozsuwając zasłony.

— To był odruch ciekawości... — odparła Alicja z mniejszą pewnością siebie.

— Alicjo — nie ustępowała Joanna d'Albret — byłaś wreszcie ogromnie nieostrożna wymawiając głośno moje imię wobec wrogiego tłumu...

— Straciłam głowę, pani — tym razem już wybelkotała dziewczyna.

— Nie robię ci wyrzutów, moje dziecko. Ale ktoś, kto by chciał mnie wydać, nie postąpiłby inaczej.

— Och, miłościwa pani...

— Następnym razem bądź ostrożniejsza — zakończyła królowa tak pogodnym tonem, że Alicja de Lux (jej imię wyjawiał nam Ruggieri) natchmiast się uspokoiła.

— Mości kawalerze — powiedziała Joanna d'Albret — muszę nadużyć twojej uprzejmości.

— Jestem do usług, pani.

— Dziękuję. Zechcesz zatem towarzyszyć nam z pewnej odległości tam, dokąd się udajemy. Pod opieką takiej szpady jak twoja nie bałabym się przejść przez całą armię...

Pardaillan odebrał ten komplement z godnością. Wydał jedynie ciche westchnienie i pomyślał w duchu:

„Jaka szkoda, że nie mogę opuścić Paryża! Ojciec jegomość miał rację mówiąc: strzeż się kobiet. Jestem związany złotymi włosami mojej sąsiadki”.

Prowadząc sam ze sobą tę rozmowę Jan szedł w odległości dziesięciu kroków za damami, z dłonią na rękojeści szpady, z czujnym okiem, które zagłębiało się w uliczki Paryża.

Zapał zmierzch.

Pardaillan, który spiesząc za matką Loizy wypadł z domu bez obiadu zaczął odczuwać silne skurcze żołądka.

Po długim kluczeniu Joanna d'Albret i jej towarzyszka dotarły wreszcie do Temple. Na wprost ponurego więzienia z poczerwiała wieżą górującą nad całą dzielnicą jak groźba stał piętrowy mieszczkański dom.

Na znak królowej Alicja de Lux zastukała do drzwi, które otworzyły się natychmiast.

Joanna d'Albret skinęła na Pardaillana, żeby się zbliżył.

— Panie — powiedziała — masz teraz prawo poznać nasze sprawy. Proszę zatem wejść z nami.

— Wasza królewska mość przesadza — odparł Jan. — Nie mam żadnego prawa poza tym, żeby być na jej rozkazy.

Tymczasem drzwi zamknęły się za nimi i służąca-olbrzymka zaprowadziła całą trójkę do wąskiego pokoju, skromnie umeblowanego, ale dość schludnego.

Tutaj starzec o haczykowatym nosie i biblijnej, długiej brodzie siedział przy stole, na którym stały trzy wagi różnej wielkości.

— Och, to znowu pani — powiedział z przesadną serdecznością — pani... jakże tam...! Nie widziałem jej już ze trzy lata, ale mam nazwisko zapisane na moim kufierku...

— Pani Leroux — oschłym tonem odparła królowa.

— O, właśnie tak, już miałem powiedzieć. I masz pani znowu jakąś kulię z pereł, jakąś broszę diamentową do sprzedania poczciwemu Izaakowi Rubenowi?

Nasz czytelnik zechce sobie przypomnieć, że królowa Nawarry, w chwili kiedy wyskoczyła ze swojej karety, trzymała w ręku skórzany woreczek. Teraz go otworzyła i wysypała jego zawartość.

Oczy Izaaka Rubena rozbliły. Wyciągnął ręce do diamentów, rubinów, szmaragdów, do szlachetnych kamieni, które lśniły na stole rzucając piękne ognie.

Królowa Nawarry była podówczas czterdziestodwuletnią kobietą. Nosiła jeszcze żalobę po swoim mężu, Antonim de Bourbon, zmarłym w 1562 roku. Oczy miała szare, o mocnym spojrzeniu przenikającym do głębi. Jej głos budził zachwyt. Usta surowo zaciśnięte sprawiały, że na pierwszy rzut oka robiła wrażenie zimnej, ale kiedy ożywiła ją namiętność — cała się przeobrażała.

Jej jedyną namiętnością był syn. Dla niego właśnie ta spokojna kobieta, miłująca patriarchalny styl życia w Béarn, rzuciła się na oślep w obozowe życie.

Izaak Ruben nie tracąc czasu posortował kamienie. Marszcząc z wysiłku brwi badał je, oceniał.

— Pani — odezwał się wreszcie unosząc głowę — jest ich tu za sto pięćdziesiąt tysięcy talarów.

— Tak — zgodziła się Joanna d'Albret.

— Proponuję sto czterdzieści pięć tysięcy. Reszta — to mój zysk i pokrycie ryzyka. Jak pani sobie życzysz, żebym zapłacił?

— Tak jak ostatnim razem.

— Listem do jednego z moich agentów?

— Tak, tylko nie chciałabym mieć do czynienia z agentem w Bordeaux.

— Proszę wybrać, mam agentów wszędzie. Jakie miasto?

— Saintes.

Nie przeciągając rozmowy Żyd skreślił kilka linijek, podpisał, złożył na pergaminie specjalną pieczęć, jeszcze raz przeczytał uważnie ten rodzaj weksła i podał Joannie d'Albret, która też go przeczytała i schowała na piersi.

Izaak Ruben wstał mówiąc:

— Jestem do usług we wszystkich tego rodzaju operacjach.

Królowa Nawarry powstrzymała westchnienie; sprzedała bowiem swoje ostatnie klejnoty, nie zostało jej już nic.

Pożegnawszy kupca skinieniem dłoni wyszła. Za nią Alicja, a także Pardaillan.

## XII

### TRZEJ AMBASADOROWIE

Joanna d'Albret opuściła Paryż bramą Saint-Martin znajdującą się w pobliżu Temple. O dwieście sążni dalej czekał pojazd z dwoma poczylionami. Królowa Nawarry poszła do tego pojazdu nie mówiąc ani słowa. Kazała Alicji de Lux wsiąść pierwszej, po czym zwróciła się do Pardaillana:

— Panie, nie należysz do tych, którym się dziękuję. Pragnę tylko powiedzieć, że unoszę ze sobą wspomnienie jednego z ostatnich paladynów, jacy jeszcze są na świecie. — I wyciągnęła do niego dłoń.

Z właściwym sobie wyniosłym wdziękiem Jan pochylił się nad tą ręką i złożył pełen szacunku pocałunek.

Pojazd oddalił się galopem.

Jan dłuższą chwilę stał w zadumie.

„Paladyn! — myślał. — Czemu nie? Dlaczegoż nie miałbym pokazać ludziom, że męska siła i nieposkromiona odwaga — to ohydne wady, gdy się je oddaje do dyspozycji nienawiści oraz intrygom. Ale stają się one cnotą, gdy...”

Na myśl o cnocie wzruszył ramionami, pchnął obcasem Giboulée na właściwe miejsce i mruknął:

— Pan de Pardaillan, mój ojciec, kazał mi przysiąc, że nie będę dowierzał przede wszystkim sobie samemu! Sprawdźmy zatem, czy u mistrza Landry nie pozostała jakaś kuropatwa lub kostki kurczaka.

Po godzinie siedział już przy stole w oberży „Deviniere” przed wspinałym pieczonym ptakiem, którego jejmość Landry osobiście ćwiartowała, co pozwalało jej błyskać krągłym, obnażonym do łokcia ramieniem.

Gdy zaspokoił głód, udał się na spoczynek, zaś mistrz Landry wzdychał z rozpaczą stwierdzając, że trzy flaszki wina uległy atakom jego gościa.

Nazajutrz, zmęczony wielką bitwą stoczoną poprzedniego dnia, Jan zbudził się dość późno. Wstał, wciągnął pludry i wziął się do reperowania kaftana, co musiał czynić raczej często.

Chcąc mieć lepsze światło, usadowił się w pobliżu okna tyłem do drzwi. Załatał już pierwszą dziurę i zabierał się do rozdarcia na piersi, kiedy usłyszał lekkie drapanie do drzwi.

— Wejść! — zawołał nie odwracając się.

Drzwi się otwarły. Usłyszał gardłowy głos mistrza Landry, który mówił:

— To tu, proszę księcia, to tutaj...

Pardaillan odwrócił głowę, żeby zobaczyć, o jakiego księcia chodzi, i ujrzał najwspanialszego pana, jaki kiedykolwiek przekroczył progi „Deviniere”: wysokie z cieniutkiej skóry buty ze złotymi ostrogami, krótkie spodnie z fioletowego aksamitu, jedwabny kaftan ze złotymi szamerunkami, bladofioletkowe wstęgi, obszerny płaszcz z bladofioletowego jedwabiu, toczek z fiołkowym piórem spięty szmaragdem. Strój ten nosił młodzieniec ufryzowany, wymuskany, wypomadowany, wyperfumowany, o wąsach sterczących w szpic, policzkach uróżowanych, wargach uszminkowanych: wspaniała okaz faworyta-miniona.

Jan wstał z igłą w ręku i rzekł:

— Proszę wejść.

— Idź, powiedz twemu panu — odezwał się nieznajomy — że Paweł de Stuer de Caussade, hrabia de Saint-Mégrin prosi o zaszczyt odbycia z nim rozmowy.

— Przepraszam — powiedział zimno kawaler — jakiemu panu?

— Ależ twemu, do stu diabłów! Powiedziałem przecież: twemu, do stu tysięcy...

Pardaillan, zimny jak sople lodu, ze zwykłym spokojem odparł:

— Mój pan — to ja!

Czy Saint-Mégrin zdziwił się, czy nie — nie dał tego po sobie poznać; przede wszystkim uważał, by nie pognieść koronkowej kryzy. Wycedził:

— Czy przypadkiem jesteś waszmość kawalerem de Pardaillan?

— Mam ten zaszczyt.

Saint-Mégrin, według wszelkich reguł sztuki, zdjął czapkę i złożył jak najwytworniejszy ukłon.

Pardaillan narzucił na ramiona stary, wypłowiały płaszcz i gestem wskazał hrabiemu jedyny w pokoju fotel, sam zaś usiadł na krześle.

— Kawalerze — zaczął Saint-Mégrin — jestem wydelegowany przez jego wysokość księcia de Guise, żeby ci oświadczyć, iż żywi dla ciebie wielki szacunek i najwyższy podziw.

— Proszę wierzyć, panie — powiedział Pardaillan całkiem naturalnym głosem — że odwzajemniam mu szacunek i podziw.

— Wczorajsza sprawa ustawiła cię, panie, w doskonałej pozycji. A przed chwilą, przy porannej toalecie, najjaśniejszy król usłyszał o tym relację z ust swego ulubionego poety Jana Dorata, który był świadkiem zajścia.

— Pięknie. I co ten poeta powiedział?

— Że zasłużyłeś waść na Bastylię za uratowanie dwóch przestępczyń.

— A co na to król?

— Gdybyś należał do dworu, wówczas wiedziałbyś, że król mówi bardzo mało, tak czy inaczej, uchodzisz teraz za Alcyda czy Achillesa. Przeciwdstawiać się całej tłuszczy, żeby bronić dwóch kobiet — to coś bajecznego! A zwłaszcza ten młynek szpada! I te kulaki na zakończenie! I ten walący się dom! Krótko mówiąc, diuk de Guise byłby rad coś dla ciebie uczynić. Na dowód tego obarczył mnie zadaniem, żebym ublażał cię, byś przyjął ten mały diament jako pierwszy dowód jego przyjaźni. Och, proszę nie odmawiać, byłaby to obelga dla tego wielkiego wodza...

— Ależ ja nie odmawiam — powiedział Pardaillan.

Włożył na palec wspaniałą pierścion, który podał mu hrabia.

— A teraz — powiedział Saint-Mégrin — przejdźmy do spraw poważnych. Nasz wielki Henryk de Guise reorganizuje swój dwór wobec nadciągających wydarzeń. Czy waszmość chcesz do niego należeć? Stawiam pytanie szczerze.

— Odplączę taką samą szczerością: pragnę należeć do jednego jedy-  
nego dworu.

— Jakiego?

— Mojego!

— Czy to odpowiedź, którą mam przekazać księciu?

— Powiedz waść, że jestem wzruszony do łez jego niezmierną życz-  
liwością i że odpowiedź przyniosę mu osobiście.

„Świetnie — pomyślał hrabia — jest nasz. Ale zastrzega sobie prawo  
targowania się o cenę swojej szpady”.

Uradowany tą myślą wyciągnął rękę, którą gospodarz ścisnął czub-  
kami palców.

Jan odprowadził gościa do drzwi, gdzie wymienili mnóstwo grzecz-  
ności i reweransów.

„Ho, ho — pomyślał, gdy został sam — to propozycja nieoczekiwana,  
co się zowie! Należeć do świty księcia Gwizjusza! Ależ to uśmiech losu!  
Nie, nie przyjmę! Ale dlaczego?”

Nerwowymi krokami zaczął krążyć po pokoju.

„Na Boga, mam! Nie przyjmę, bo jegomość ojciec radził mi mieć się  
na baczności!”

Zadowolony, że znalazł, czy też udawał, że znalazł, wytłumaczenie i  
że nie musi się już więcej zastanawiać, Jan z zachwytem przyglądał się  
diamentowi wręczonemu przez Saint-Mégrina.

„Wart jest co najmniej sto pistoli — mrucał do siebie. — A może  
nawet sto dwadzieścia? Kto wie, czy nie dostanę za niego stu pięćdzie-  
sięciu”.

Doszedł już był do dwustu, kiedy drzwi otworzyły się znowu i do po-  
koju wszedł mężczyzna otulony długim płaszczem, ubrany jak zwykły  
handlarz. Złożył głęboki ukłon i powiedział:

— Czy mam zaszczyt kłaniać się kawalerowi de Pardaillan?

— Istotnie, panie. Czym mogę służyć?

— Zaraz wyjaśnię — odrzekł nieznajomy pozerając młodzieńca spoj-  
rzeniem — ale najpierw waszmość zrobisz mi tę grzeczność i powiesz,  
którego dnia się urodziłeś? O której godzinie? W jakim miesiącu? Któ-  
rego roku?

Pomimo dziwaczności tych pytań, nieznajomy nie wyglądał na wa-  
riata.

— Panie — Pardaillan mówił jak najłagodniej — wszystko, co mogę powiedzieć, to to, że urodziłem się w 49, w lutym. Nie mam natomiast pojęcia, jakiego dnia i o której godzinie.

— Peccato! — mruknął dziwny gość. — Zresztą, postaram się postawić horoskop, jak potrafię najlepiej. — I ciągnął już głośno: — Czy jesteś, waszmość, wolny?

„Trzeba go oszczędzać” — pomyślał Jan. — Wolny? Któż może się poszczycić, że nim jest? Czyż jest nim król, skoro nie może zrobić kroku poza swój Luwr? Wolny? To przesada, drogi panie! To tak, jakbyś mnie pytał, czy jestem bogaty. Wolny! Na Piłata! Jeśli waść rozumiesz przez to, że mogę wstawać w południe i kłaść się spać o świcie, że mogę bez obaw, bez wyrzutów sumienia i nie patrząc, kto za mną idzie, wejść do kabaretu czy do kościoła, jeść, kiedy czuję głód, pić, gdy mam pragnienie (spokój, Pipeau, czego warczysz, głuptasie!), ucałować w oba policzki piękną panią Huguette lub podszczypywać służące w Złotym Rogu, krążyć dowolnie po Paryżu w dzień czy w nocy (proszę się nie bać, on nie gryzie), drwić sobie z łobuzów i rzezimieszków, mając za przewodnika jedynie moją fantazję i chwilowe zachcianki — tak, panie, jestem wolną. A wy?

Nieznajomy podszedł do stołu i złożył na nim sakiewkę.

— Panie — powiedział — tu jest dwieście talarów.

— Dwieście talarów? Do licha!

— Po sześć liwrow.

— O, po sześć liwrow? Mówisz pan, po sześć liwrow?

— Paryskich, panie!

— Paryskich? Cóż, panie, to zacna sakiewka.

— Jest wasza — szorstko powiedział mężczyzna.

— W takim razie — odrzekł Jan z chłodnym spokojem, na który nagle umiał się zdobywać — w takim razie pozwól, że schowam ją w pewnym miejscu. A teraz chciałbym wiedzieć, dlaczego te dwieście talarów po sześć paryskich liwrow należą do mnie?

Nieznajomy sądził, że oszołomi gospodarza, ale to on był oszołomiony. Spodziewał się entuzjastycznych podziękowań, toteż pytanie Pardaillana spadło na niego jak cios. Ale szybko się opanował i, przyznając w głębi ducha, że ma do czynienia z niebezpiecznym przeciwnikiem, postanowił pobić go jednym słowem:

— Te dwieście talarów należą do was, panie, gdyż przyszedłem kupić waszą wolność.

Pardaillan nie drgnął, nie zrobił najmniejszego gestu.

— W takim razie — wycodził przez zęby — winieneś mi pan dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy osiemset talarów po sześć liwów paryskich i ani grosza mniej. Powiedziałem.

— Briccone! — mruknął gość, któremu opadły ręce. — Uf, panie, więc szacujesz na milion talarów swoją wolność?

— Za pierwszy rok — odparł Pardaillan bez mrugnięcia.

Tym razem René Ruggieri — którego czytelnik zapewne poznał — uznał się za pokonanego.

— Panie — powiedział rzuciwszy okiem pełnym zachwytu na Jana — widzę, że posługujesz się słowem tak jak szpada i że znasz wszystkie rodzaje szermierki. Przepraszam za to, że chciałem cię zadziwić. Przechodzę do sedna sprawy. Zachowaj pan swoją wolność. Jesteś człowiekiem odważnym i mądrym, a nie dalej jak wczoraj dowiodłeś, że masz serce. Perbacco, panie! Masz szpadę, która tnie, i słowa, które rażą. Co byś powiedział, gdybym zaproponował ci oddać jedno i drugie w służbę sprawy szlachetnej i sprawiedliwej ponad wszystko, a raczej, trzeba powiedzieć, sprawy świętej? I księżnej potężnej, dobrej i szcudrobliwej?

— Pozostawmy na boku sprawę i przejdźmy do księżnej. Czy to pani de Montpensier?

— Och, nie! — zaprzeczył żywo Ruggieri. — Ale nie zgaduj waść. Niechaj wystarczy, że chodzi o księżną najpotężniejszą w całej Francji.

— Jednak muszę wiedzieć, komu i czemu mam służyć!

— Słusznie! Jak najbardziej słusznie! Więc zechciej przyjść jutro wieczorem z wybiciem dziesiątej na Drewniany Most i zastukać trzy razy do pierwszego domu po prawej stronie...

Pardaillan nie mógł powstrzymać dreszczu na myśl o bladej twarzy, która mignęła mu w tajemniczym okratowanym oknie.

— Stawię się — powiedział krótko.

— To wszystko, czego chciałem... na razie... — odparł Ruggieri.

Po paru chwilach dziwny gość zniknął. Wtedy Jan zaczął się zastanawiać:

„Niech diabeł wrywa włoski po włosku moje wasy, jeśli ta księżna nie nazywa się Katarzyna Medycejska...”

Kiedy w swoich rozważaniach doszedł do tego punktu, drzwi otwarły się po raz trzeci. Wzdrygnął się przestraszony, on, który stawiał sobie za punkt honoru nie dać się niczym nastraszyć. Ale prawie natychmiast jego zdziwienie, nie zmieniając natężenia, zmieniło obiekt, gdyż człowiek, który wszedł, był żywym portretem tego, który przed chwilą wyszedł. Miał na



twarży ten sam wyraz ponurej dumy, te same wydatne rysy, płomienne spojrzenie i tak samo butnie trzymał głowę. Tyle że ten od dwustu talarów — jak wiadomo René Ruggieri — wyglądał na lat czterdzieści pięć, był średniego wzrostu, a w jego oczach błyskała hipokryzja, co sprawiało wrażenie, że bardziej ufa przebiegłości niż sile, gdy tymczasem nowo przybyły miał jakieś dwadzieścia pięć lat, był wysoki, spojrzenie miał szczere, wydawał się raczej dumny niż pyszny. Ale był jakby przygnieciony ciężkim smutkiem, jakby ciążyło na nim jakieś fatum.

Mężczyźni przyglądali się sobie przez chwilę i chociaż stanowili swoje przeciwieństwo, poczuli do siebie dziwną sympatię; to ich uspokoiło.

— Czy to pan jesteś kawalerem de Pardaillan? — zapytał trzeci gość.

— Tak, panie — odparł Jan z niezwykłą u niego łagodnością. — Zechcesz mi powiedzieć, kogo mam przyjemność gościć w moim skromnym mieszkaniu?

Słyszając to pytanie gość lekko się zarumienił.

— Słusznie. Grzeczność wymaga, żebym podał swoje nazwisko. Nazywam się Deodat. Po prostu Deodat. Deodat i nic więcej. Czyli nazwisko, które nim właściwie nie jest. Nazwisko, które krzyczy, że się nie ma ani ojca, ani matki. Deodat oznacza dany Bogu. Istotnie, jestem znajdującym się na stopniach kościoła. Wydartym temu Bogu, któremu moi rodzice mnie podarowali. Przypadek powierzył mnie kobiecie, która stała się dla mnie więcej niż Bogiem. Oto moje nazwisko oraz jego historia.

— A ta kobieta, która cię przygarnęła, panie?

— To królowa Nawarry.

— Joanna d'Albret?

— Tak, panie. I to mi przypomina moją misję; przepraszam, że o niej zapomniałem opowiadając o mojej nędznej osobie.

— Wiem, o co chodzi.

— Waszmość wiesz?

— Tak. Królowa przysłała was, żeby mi powiedzieć, że raz jeszcze dziękuję mi za wyrwanie jej z rąk tych wściekłych ludzi; poleciła powtórzyć złożoną mi propozycję, żebym wstąpił do niej na służbę; no i przysłała mi przez was jakiś kosztowny klejnot. Czy nie tak?

— Skąd wiecie, panie?

— To bardzo proste. Dziś rano miałem wizytę ambasadora wielkiego magnata, który podarował mi piękny diament i pytał, czybym nie chciał służyć jego panu. Potem przybył tajemniczy wysłannik, wręczył mi

dwieście talarów i powiadomił, że pewna księżna pragnęłaby zaliczyć mnie w poczet swoich dworzan. Wreszcie waść przychodzisz jako trzeci. Więc przypuszczam, że sprawy będą się nadal rozwijały zgodnie z logiką.

— Istotnie, oto klejnot — powiedział Deodat podając Janowi wspaniałą agrafę z trzema rubinami.

— A nie mówiłem? — wykrzyknął Pardaillan chwytając prezent.

— Jej królewska mość kazała mi przekazać, że wyjęła ten klejnot z pewnej sakiewki, którą musiałeś zauważyć. Dodaje, że nigdy nie zapomni, co wam zawdzięcza. Co zaś do wstąpienia w szeregi jej armii, uczynisz to, kiedy zechcesz.

— Więc spotkałeś się waść z królową? — zapytał Pardaillan.

— Nie, nie spotkałem; oczekiwałem jej w Saint-Germain, skąd jej wysokość udała się do Saintes, po przekazaniu mi tego zlecenia dla was, panie.

— Dobrze, teraz następne pytanie: czy wchodząc tutaj spotkaliście mężczyznę w płaszczu, wyglądającego na czterdzieści do pięćdziesięciu lat?

— Nie, nie spotkałem nikogo.

— Ostatnie pytanie: kiedy odjeżdżacie, panie?

— Nie odjeżdżam — odparł Deodat, a twarz jego znowu przybrała ponury wyraz. — Królowa Nawarry powierzyła mi kilka misji, które wymagają czasu.

— W takim razie macie gotowe mieszkanie: ulokuję was tu.

— Tysięczne dzięki, panie, ale na mnie ktoś czeka. Co mówię! Pfe, jak bym mógł mieć sekrety przed takim człowiekiem jak wy! Oczekuje mnie pan de Téliigny, który potajemnie przybył do Paryża.

— Zięć admirała Coligny?

— Tak. Jeśli pomyślna gwiazda sprawi, że mógłbym się na coś przydać, proszę o mnie pytać w pałacu admirała. Wystarczy zastukać trzy razy do małych bocznych drzwi, a kiedy odsunie się judasz, powiedzieć: Jarnac i Montcontour.

— Wspaniale, przyjacielu. Ale a propos Téliigny'ego, czy wiecie, jakie krążą pogłoski?

— Że Téliigny jest biedny? Że za cały majątek służy mu jego nieustraszona odwaga? Że admirał źle zrobił wydając córkę za szlachcica bez majątku?

— Tak, o tym się mówi. Ale także i o czymś innym. To „się” — to pewien rzezimieszek, którego używano do niejednej brudnej roboty i który niejedno widział. Więc to „się” zapewniało mnie, że w przeddzień

ślubu córki z Téliigny do admirała zgłosił się pewien magnat i oświadczył, że kocha jego córkę Luizę...

— Był to Henryk de Guise — przerwał Deodat. — Ja też znam tę historię. Tak, to prawda, Henryk de Guise kochał Luizę de Coligny. Przybył, aby przekonać admirała, że złączenie domu Gwizjuszy i domu de Chatillon reprezentowanego przez admirała położyłoby kres wojnom religijnym. Ten pyszny arystokrata poniżył się przed Colignym do płaczu błagając, aby zerwał projektowane małżeństwo i oddał mu Luizę.

— Tak właśnie było. I co odpowiedział admirał?

— Admirał odpowiedział, że ma tylko jedno słowo i że dał je Téliigny'emu. Dodał, że ponadto córka pragnie tego małżeństwa, że ona to w gruncie rzeczy wydaje sąd w tej sprawie. Henryk de Guise oddał ją zrozpaczonej. Téliigny ożenił się z Luizą de Coligny. Z tej rozpacy Gwizjusz zwrócił się do Katarzyny de Clèves i poślubił ją dziesięć miesięcy temu.

— A owa Katarzyna podobno kocha każdego, z wyjątkiem męża!

— Tak, ma kochanka — potwierdził Deodat.

— Kogo?

— Saint-Mégrina. Czyżbyś go znał?

— Znam go od dzisiejszego ranka. Ale, drogi przyjacielu, mam dla ciebie nowinę: Henryk de Guise bawi w Paryżu.

— Jesteś pewien? — zapytał Deodat przejęty.

— Widziałem go na własne oczy. O, zapewniam, że poczciwy ludek paryski nie szczędził mu poklasku.

Deodat szybko przypasał szpadę i narzucił na ramiona płaszcz.

— Żegnaj — powiedział krótko, nagle spochmurniawszy. — Niech cię uściskam — dodał. — Spędziłem tu godzinę spokojnej radości, jakich mało poznałem w moim życiu.

— Chciałem ci właśnie zaproponować braterski uścisk. — Obaj młodzianie ucałowali się serdecznie.

— Proszę pamiętać: pałac Coligny... boczne drzwi...

— „Jarnac i Montcontour”. Bądź spokojny, drogi przyjacielu. W dniu, kiedy potrzebny mi będzie ktoś, kto zechce dać się zabić u mego boku, pomyślę o tobie pierwszym.

— Dziękuję — odparł z prostotą Deodat.

Oddalił się w pośpiechu. Co do Jana, to pierwszym odruchem było pobiec do handlarza starzyzną po ubranie. Wybrał kostium z szarego aksamitu, bardzo podobny do tego, który miał, z tą różnicą, że był całkiem

nowy. Następnie przypiął do nowego kapelusza rubinową agrafę dla przytrzymania koguciego pióra. Potem udał się do Izaaka Rubena, żeby sprzedać piękny diament diuka de Guise, za który otrzymał sto sześćdziesiąt pistoli.

## XIII

### POGAŃSKA CEREMONIA

Zapadł zmierzch, kiedy Pardaillan wrócił do „Deviniere”. Instynktownie wzrok jego skierował się ku małemu okienku, w którym tyle razy ukazywała się urocza twarzyczka Loizy. Ale okno było zamknięte.

Jan westchnął i odwrócił oczy w stronę kamiennego podjazdu obończy. Zauważył po lewej stronie trzech szlachciców, jak zadarłszy głowy przypatrywali się uważnie kamieniczce, w której mieszkała dama w czerni.

— Powiadasz, że to na pewno tu, Maurevert? — odezwał się jeden z nich.

— Tu, hrabio de Quélus. Na pierwszym piętrze mieszka właścicielka, stara bigotka, głucha i pogrążona w modlitwach. Drugie od dzisiejszego ranka należy do mnie.

— Maugiron — mówił mężczyzna nazwany hrabią de Quélus — czy możesz zrozumieć dziwną namiętność jego wysokości do tych mieszczaneczek?

— To mniej niż mieszczaneczki, Quélus. On, który ma cały dwór...

— Więcej niż dwór, Maugiron: on ma Margot.

Obaj szlachcice wybuchnęli śmiechem i dalej z sobą gwarzyli, nie zwracając uwagi na Maureverta, wobec którego żywili źle ukrywane uczucie pogardy, a zarazem strachu.

— Do wieczora, panowie!

Quélus i Maugiron mieli już odpowiedzieć, kiedy nagle stanął przed nimi młody człowiek i uchyliwszy kapelusza, z lodowatą uprzejmością zapytał:

— Czy panowie zechcieliby, z łaski swojej, powiedzieć mi, czemu tak uważnie przyglądają się temu domowi?

Panowie wymienili spojrzenia. Wreszcie Maugiron odezwał się z wyniosłą miną:

— Dlaczego nas o to pytasz, mój panie?

— Gdyż ta kamienica należy do mnie — odparł Pardaillan.

— I przypuszczasz, że chcielibyśmy ją kupić? — zapytał Quélus.

— Mój dom nie jest na sprzedaż.

— Więc czego chcesz, panie?

— Po prostu powiedzić, że nie życzę sobie, aby przyglądano się temu, co należy do mnie, a zwłaszcza żeby się wyśmiewano.

— Nie życzy sobie! — zawołał Maugiron ze złością.

— Chodź — powiedział Quélus. — To wariat.

— Nie jestem wariatem, panowie — odrzekł niewzruszony Pardaillan. — Powtarzam, nie cierpię zuchwalców, którzy przyglądają się temu, czego nie powinni widzieć...

— Do licha! Waszmość chcesz, żeby mu obciąć uszy!

— ...i że mam zwyczaj wymierzać karę tym, których śmiech mi się nie podoba — zakończył Jan. — Idźcie wyśmiać się gdzie indziej.

— Och, och! — odezwał się Quélus. — A gdzie, u diabła, każesz nam się śmiać?

— No, na przykład... w małym Pré-aux-Clercs.

— Dobrze. Kiedy?

— Nawet zaraz, jeśli chcecie.

— Nie, ale jutro rano, koło dziesiątej, będziemy tam obaj, mój przyjaciel i ja. A postaraj się wyśmiać do rozpuku dzisiaj wieczorem, bo jutro nie będziesz się już śmiał, mój panie.

— Postaram się — powiedział Pardaillan, szerokim gestem zdejmując kapelusz z kogucim piórem.

Quélus i Maugiron oddalili się w tym samym kierunku, co wcześniej Maurevert.

Pardaillan, niespokojny i zmieszany, wszedł do gospody i usiadł przy stole.

„Co u licha robiły tu te lekkoduchy? A tamten, z tą twarzą zwiastuna złych nowin? Czyżby przyszli z powodu niej? Na diabelskie rogi, gdyby tak było!”

Z pomocą rozumowania, a także butelki andegaweńskiego wina, Jan uspokoił się i swoim zwyczajem zaczął rozglądać się dookoła.

Tego wieczora w zajeździe panował ogromny ruch. W sąsiednim pokoju służące nakrywały duży stół, mistrz Landry i kucharze szczękali rondlami.

— Cóż to, czyżby miało tu dzisiaj przybyć jakieś wspaniałe, liczne towarzystwo? — zapytał Pardaillan obsługującego go Lubina.

— Tak, panie. Bardzo się z tego cieszę.

— Dlaczego?

— Po pierwsze dlatego, że panowie poeci są bardzo hojni... piją ostro i mnie częstują...

— To dzisiaj wieczorem mają tu być poeci?

— Jak w każdy pierwszy piątek miesiąca, panie kawalerze. Zbierają się, żeby deklamować wiersze, od których bym się zarumienił, gdybym nie był zbyt zajęty piciem, żeby słuchać.

— Dobrze, a jaki jest drugi powód radości?

— Ach! Bo przyjdzie brat Thibaut.

— Ten mnich? On także jest poetą?

— Nie, ale... muszę przeprosić, panie, bo właśnie... czerwone pióro...

Nie kończąc zdania Lubin, który wydawał się bardzo zakłopotany, pospieszył na spotkanie mężczyzny wchodzącego właśnie do izby. Miał on przy czapce czerwone pióro, był szczelnie owinięty płaszczem aż po uszy. Ale choć starał się usilnie ukryć swoją twarz, Pardaillanowi mignęła ona przez chwilę.

— Pan de Cosseins — mruknął.

Cosseins był kapitanem gwardii Karola IX, a więc pierwszą osobą w wojskowej hierarchii Luvru.

„Cóż to za towarzystwo poetów, do którego należy kapitan gwardii i mnich Thibaut? — pomyślał Pardaillan. — Dlaczego Lubin, ten dawny zakonnik, który porzucił klasztor i został służącym w zajeździe z miłości do dobrego jada, a nie mój mistrz Landry, biegnie powitać tego gościa?”

Ogromnie podnieciło to jego ciekawość, wodził oczami za Lubinem i Cosseinsem. Landry zajęty przy garnkach nie zwrócił większej uwagi na nowo przybyłego, chociaż z kuchni mieszczącej się na lewo od dużej izby mógł obserwować przez szeroki otwór to, co dzieje się na sali.

Lubin wraz z kapitanem przeszli do izby, w której służące nakrywały do stołu.

— To tu odbędzie się bankiet, mości poeto — powiedział Lubin, na próżno starając się zajrzeć w twarz mężczyzny z czerwonym piórem.

— Chodźmy dalej — rzekł Cosseins.

Następna izba była pusta i łączyła się z czwartą, także pustą, ale z przygotowanymi siedzeniami. Na lewo od niej znajdowała się izba bez okna. Cosseins wszedł tam.

- Dokąd prowadzą te drzwi? – zapytał.
- Na aleję biegnącą wzdłuż czterech izb i wychodzącą na ulicę.
- Nikt tędy nie wejdzie?

Lubin z uśmiechem wskazał dwie ogromne zasuwę przy ciężkich drzwiach.

- Dobrze. Gdzie będzie mnich?
  - Ojciec Thibaut? W dużej sali, przy drzwiach do sali bankietowej.
- Och, nikt tu nie wejdzie, możecie do woli deklamować sonety i ballady.
- Bo widzisz, tyłu jest zazdrośników, którzy chcieliby przywłaszczyć sobie nasze utwory.

Cosseins, zapewne zadowolony z wyniku inspekcji, z powrotem przeszedł przez wszystkie izby aż do drzwi sali bankietowej i zniknął z nimi.

„Co, u diabła, będzie się działo w «Deviniere?»” – zastanawiał się Pardaillan.

Nie był on człowiekiem, który traci czas na rozważania. Znał każdy zakątek oberży.

Wstał bez ostentacji, przywołał Pipeau i wszedł do sali bankietowej, gdzie trzy służące kończyły nakrywanie do stołu. Szybko minął je i przeszedł do pustej izby, zamykając za sobą drzwi, stamtąd do pokoju z przygotowanymi siedzeniami i wreszcie do ciemnej izdebki wychodzącej na alejkę.

Była ona zresztą czymś w rodzaju komory pełnej pajęczyn, o wilgotnych murach z kamieni. Łączyły ją z aleją ciężkie drzwi, o których już wspominaliśmy, a z izbą z siedzeniami – drzwi z judaszem.

Otóż ta komora wiodła do piwnic mistrza Landry. W głębi znajdował się włącz zamykany kłapą z żelaznym kółkiem.

Pardaillan, którego nie odstępował wierny Pipeau, wszedł na schody prowadzące do piwnicy, obejrzał je dokładnie, a nie znajdując tam niczego szczególnego, powrócił do ciemnej komory, pozostawiając kłapę piwniczną otwartą.

Udajmy się do izby gościnnej.

Koło godziny dziewiątej zjawilo się w niej trzech mężczyzn szczerze otulonych w płaszcze i z czerwonymi piórami przy czapkach.

Lubin wybiegł na spotkanie tajemniczych gości i zaprowadził ich do sali bankietowej. Po dziesięciu minutach weszło jeszcze dwóch mężczyzn, po nich jeszcze trzech, wszyscy z czerwonymi piórami przy kapełuszach; ich też przeprowadzał Lubin, który w końcu mruknął:

- Osiem czerwonych piór, rachunek się zgadza.

W tym momencie w progi oberży wszedł mnich z białą brodą, z chytrymi oczkami i czerwoną gębą.

— Brat Thibaut — zawołał Lubin i rzucił się go witać.

— Bracie, czy ósemka naszych poetów już przybyła? — zapytał mnich po cichu.

— Są już wszyscy — zapewnił go Lubin.

— Doskonale. Teraz słuchaj mnie, bracie, uważnie. Chodzi o sprawę wielkiej wagi, rozumiesz? To są poeci cudzoziemscy, którzy przyjeżdżać, aby podyskutować z naszymi.

— Ale jak to się dzieje, bracie, że zajmujesz się sprawami poezji?

— Bracie Lubin — surowo powiedział mnich — jeśli nasz wielbny i szacowny opat, monsignor Sorbin de Sainte-Foi zezwolił, abyś zamienił klasztor na tę oberżę i tu się obżerał i opijał... Jeśli wielbny, litując się nad twoim nieugaszonym pragnieniem, dał tak niezwykle dowód swojej wyrozumiałości, to bynajmniej nie znaczy, że toleruje twój dodatkowy grzech śmiertelny — wścibstwo. Nie wolno ci zadawać pytań albo wrócić do klasztoru!

— Litości! Przysięgam, bracie...

— Dobrze już, dobrze. A teraz nakryj dla mnie ten mały stolik przed drzwiami sali, gdyż odczuwam lekki apetyt.

— Co mam podać na obiad, drogi bracie?

— Coś małego: pół pulardy, pieczeń po sekwańsku, pasztet, omlet i konfitury oraz cztery butelki andegaweńskiego wina...

Mnich usadowił się przed drzwiami tak, aby nikt nie mógł wejść bez jego zgody.

Kiedy Lubin postawił na stole poszczególne składniki skromnego posiłku zamówionego przez brata Thibaut, ten powiedział:

— A teraz, bracie Lubin, wysłuchaj mnie uważnie. Znasz aleję prowadzącą do ciemnej komory? Więc staniesz na straży przy bramie wiodącej z tej alei na ulicę i pozostaniesz, dopóki cię nie zwolnię.

Lubin widząc kres swoich marzeń gastronomicznych i bachicznych wydał westchnienie, które wzruszyłyby tygrysa. Ale brat Thibaut nie zwrócił na to uwagi.

— Jeżeli ktoś będzie chciał wejść w aleję — ciągnął dalej — masz się sprzeciwić. Jeżeli ten ktoś będzie nalegał, zaalarmujesz krzykiem. A teraz idź, drogi bracie, pośpiesz się...

Lubin, chcąc nie chcąc, musiał usłuchać; brat Thibaut zabrał się z całą skrupulatnością za pularde.



Wybiło pół do dziewiątej. W tym momencie sześć nowych osób weszło do oberży.

— Już są te niedowiarki — zrzędził brat Thibaut. — Jestem jak brat Lubin. Nie rozumiem, dlaczego zmusza się mnie do pilnowania drzwi tych napuszonych oratorów jak Ronsard, Baif, Rémy Belleau, Jan Dorat... ten Jodelle czy Pontus de Thyard!

Tak mamrocząc brat Thibaut przypatrywał się kolejno sześciu potom i odsunął się, żeby ich przepuścić do sali bankietowej.

Oczywiście przybycie poetów i ich znikanie przeszły niezauważone. Żeby to zrozumieć, czytelnik musi sobie wyobrazić wielką izbę w „Deviniere” pełną żołnierzy, żaków, awanturników, szlachciców oraz tu i ówdzie parę ladacznic; na środku sali — cygan pokazuje sztuczki kuglarskie, rozlegają się wybuchy śmiechu, śpiewy, wrzaski pijących, szczękanie cynowych dzbanów i kubków.

Sześciu poetów tworzących Plejadę (Joachim du Bellay, siódmy, zmarł w 1560 roku) weszło nie budząc najmniejszego zaciekawienia i przeszło do sali, gdzie miał się odbyć festyn.

Tu Jan Dorat gestem zatrzymał kolegów i oznajmił:

— Tak więc zebraliśmy się znowu, połączeni obchodem naszych misteriów. Mogę stwierdzić, że znalazł się tu kwiat poezji antycznej i współczesnej i że najzacniejsze zgromadzenie doktorów boskiej sztuki nie byłoby godniejsze od nas wstąpić na Parnas, by uczcić opiekuńcze bóstwa. Przed kilkoma dniami mówiłem wam o paru obcych, którzy pragną asystować w obchodzie jednego z naszych misteriów.

— Czy to poeci-tragicy? — zapytał Jodelle.

— Bynajmniej. I w ogóle nie są poetami. Ale gwarantuję, że to uczciwi ludzie. W ścisłej tajemnicy podali mi swoje imiona. Mistrz Ronsard aprobeuje ich dopuszczenie.

— A co, jeśli nas zdradzą? — zauważył Rémy Belleau.

— Przysięgli, że będą milczeć — żywo zaoponował Dorat. — Zresztą, jutro odjeżdżają i prawdopodobnie nigdy do Paryża nie powrócą.

Pontus de Thyard, wybitny smakosz i znawca trunków, nazwany Wielkim Pontusem z racji herkulesowej postury, wtrącił:

— Co do mnie, to uważam, że je się w złym humorze i źle trawi, kiedy...

— Ci szlachetni przybysze nie wezmą udziału w naszej uczcie — przerwał Dorat.

Sześciu poetów zaintonowało chórem bachiczną pieśń i pod jej dźwięki wkroczyli do następnej izby, gdzie czekało już ośmiu nieznanym z czerwonymi piórami. Siedzieli w dwóch rzędach, jak gdyby przyszedli na przedstawienie. Wszyscy byli w maskach.

Poeci udali, że ich nie widzą. Gdy tylko weszli, bachiczną piosenka zmieniła się w melopeję o dziwnym rytmie, która brzmiała jak inwokacja. Jednocześnie ustawili się w jednym szeregu w głębi sali, na wprost drzwi do ciemnej komory, przez którą wiodła droga do piwnic.

Jan Dorat, nie zwlekając, otworzył drzwi obszernej szafy ściennej, zajmującej całą szerokość ściany. Szafa była głęboka, tworzyła coś na kształt alkowy.

Oto, co zobaczyło ośmiu widzów: w głębi tej alkowy wznosił się jak gdyby starożytny ołtarz z różowego granitu, w kształcie prymitywnych, grubo ciosanych głazów, służących ongiś, w czasach odprawiania misteriów, do składania ofiar. Jego cokół zdobiły płaskorzeźby i medaliony; jeden przedstawiał Febusa czy Apolla, boga poezji, drugi Ceres, boginię zniw, na trzecim był Merkury, bóg handlu i złodziei, a tak naprawdę — bóg wynalazczości. Po prawej i lewej stronie ołtarza wisiały białe tuniki i wieńce z liści.

Wreszcie, przez jakiś niewiarygodny kaprys (a może pomieszanie pogaństwa z religią chrześcijańską), który na pewno nie miał być profanacją, a może przez dziwne zapomnienie, nieco na prawo, zawieszona na ścianie, niezmiernie zapewne zdziwiona, że się tu znajduje, widniała iluminacja przedstawiająca Świętą Dziewicę depczącą węża.

Natychmiast po otwarciu drzwi szafy Jan Dorat wszedł do niej, zdjął z gwoździków białe tuniki i wieńce i podał je przyjaciółom. W jednej chwili poeci przebrali się za kapłanów świątyni w Delfach i włożyli na głowy wieńce z liści przeplecionych kwiatami, po czym ustawili się na lewo od ołtarza i zaintonowali po grecku kuplet oparty na jakiejś prymitywnej melodii. Gdy skończyli, przeszli w szeregu na prawą stronę ołtarza i tam zaśpiewali na tę samą melodię drugi kuplet, który zapewne tworzył antystrofę, pierwszy zaś — strofę.

Ronsard zbliżył się do kadzielnicy i sychnął do niej zawartość stojącej na ołtarzu kasetki. Natychmiast w powietrze strzelił biały lekki dymek napełniając alkowę subtelnym zapachem mirry czy cynamonu.

Chór włączył się znowu wolniejszą melopeją i wreszcie wszystko umilkło.

Poeci pozdejmowali z siebie białe tuniki, ale zatrzymali wieńce.

Drzwi szafy-alkowy nagle zamknięto.

Poeci podjęli tę samą pieśń bachiczną, która służyła za wstęp do tej dziwnej pogańskiej sceny, ustawili się w szereg i zniknęli w sali bankietowej, skąd po chwili dobiegły odgłosy trącających się szklanic, gwar rozmów i wybuchy śmiechu.

— Albo skończeni wariaci, albo dostojni filozofowie — mruczał kawaler de Pardaillan.

Czytelnik zapewne nie zapomniał, iż kawaler de Pardaillan wśliznął się do ciemnej komory, gotów zagłębić się w czeluście piwnicy przy najmniejszym zwiastunie niebezpieczeństwa.

Gdy poeci wyszli, ośmiu zamaskowanych mężczyzn wstało.

— Świętokradztwo i profanacja — warknął jeden z nich, ściągnając maskę.

— Biskup Sorbin de Sainte-Foi — szepnął Pardaillan, tłumiąc okrzyk zdziwienia.

— I zmusza się mnie — ciągnął dalej Sorbin — do asystowania przy takich bezceństwach! O, wiara zanika! Zadusi nas herezja! Najwyższy czas, aby działać!

— Cóż eminenca chce! — wołał drugi, także ściągnając maskę! — Dorat jest naszym człowiekiem. On nas kryje. Opiekuje się tym spotkaniem. Dokąd mamy iść? Do was, eminenco? Za godzinę zostalibyśmy aresztowani. Wszędzie żandarmeria dobrze pilnuje. Tutaj jesteśmy bezpieczni.

W człowieku, który to powiedział, Pardaillan rozpoznał Cosseinsa, kapitana gwardii królewskiej!

Ale niespodzianki jeszcze się nie skończyły; gdy pozostali zdjęli maski, Jan poznał ze zdumieniem księcia Henryka de Guise i jego wuja kardynała księcia Lotaryngii. Pozostałych czterech nie znał.

— Nie zajmujemy się — powiedział kardynał — komediami poetów. Później zadbamy o zdławienie tej nowej herezji. Później, kiedy będziemy panami sytuacji. Cosseins, zbadałeś teren?

— Tak, eminenco.

— Odpowiadasz za nasze tutaj bezpieczeństwo?

— Swoją głową.

— A więc, panowie, porozmawiajmy o naszych sprawach — odezwał się książę de Guise tonem autorytatywnym. — Uspokój się, kardynale, czas jest bliski. Kiedy na tronie Francji zasiądzie król godny tego imienia, weźmiesz odwet. Przysiągłem, że wykorzenię herezję; zobaczysz mnie w akcji. Jak stoją sprawy? Wuju, proszę zabrać głos jako pierwszy.

— Dokonałem odpowiednich badań — powiedział kardynał — i mogę już udowodnić, że Kapetyngowie byli uzurpatorami i że ci, którzy przyszli po nich, tylko utrwalają to uzurpatorstwo. Przez Luthera, księcia Lotaryngii, pochodzisz od Karola Wielkiego, Henryku.

— Teraz wy, marszałku de Tavannes — rozkazał Henryk.

— Mam tysiąc piechoty gotowej do wymarszu.

— Wy, marszałku de Damville?

Pardaillan zadrżał. Marszałek de Damville! Ten, którego wyrwał z rąk rzezimieszków! Ten, który mu podarował Galaora!

— Mam cztery tysiące arkabuzerów i trzy tysiące uzbrojonej konnicy — odpowiedział Henryk de Montmorency. — Ale pragnę przypomnieć moje warunki...

— Myślicie, żem o nich zapomniał? — uśmiechnął się Gwizjusz. — Gdy wasz brat Franciszek zostanie schwytany, wy zostaniecie głową domu Montmorency i otrzymacie szablę konetabla po ojcu. Czy o to chodzi?

Henryk de Montmorency skłonił się. Pardaillan zauważył, jak w jego oczach błysnął przelotny ogień, czy to ambicji, czy to nienawiści.

— Wasza kolej, panie de Guitalens — rozkazywał dalej Gwizjusz.

— Jestem gubernatorem Bastylii i to wyznacza moją rolę. Proszę doprowadzić wymienionego więźnia, a zaręczam, że nie wyjdzie żywy.

Kim był ten wymieniony więzień?

— Wasza kolej, de Cosseins — wezwał Henryk de Guise.

— Odpowiadam za straż Luwru. Mam pod sobą kompanię. Na pierwszy sygnał ja go pochwycę, wsadzę do karety i zawiozę do pana Guitalensa.

— Marcel?

— Mnie mistrz Le Charron zastąpił na stanowisku starszego kupców. Ale mam za sobą lud. Od Bastylii do Luwru wszyscy strażnicy dzielnic i dziesiętnicy gotowi są wysłać na ulicę swoich ludzi, kiedy tylko zechcą.

— Biskupie?

— Od jutra rozpoczynam wielkie kazania przeciwko Karolowi, proktorowi heretyków. Od jutra wyprawiam swoich kaznodziejów i ambony wszystkich kościołów we Francji zagrzmia!

Przez chwilę Gwizjusz trwał w zamyśleniu.

— A co zrobimy, z księciem Andegaweńskim? — zapytał nagle Tavannes. — I z księciem d'Alençon?

— Bracia królewscy — mruknął Gwizjusz.

— To przekłeta rodzina — odpowiedział kwaśno Sorbin de Sainte-Foi. — Najpierw uderzmy w głowę; reszta członków odpadnie sama.

— Panowie — zabrał głos Henryk de Guise — zadanie na ten dzień wykonane. Spotkaliśmy się i teraz wiemy, na co możemy liczyć, chcąc doprowadzić naszą wielką sprawę do końca. Wy zaś, panowie, możecie liczyć na mnie... nie tylko jeśli chodzi o akcję, ale także o to, co ma nastąpić po niej. Z każdym z was wiąże mnie pakt, ja go dotrzymam święcie. Otrzymacie hasło. Do tego czasu niechaj każdy wraca do swoich zwykłych obowiązków. A teraz, panowie, rozstańmy się...

Wszyscy, jeden po drugim, podchodzili ucałować rękę Gwizjusza, a młody książę ten królewski hołd przyjmował jako coś całkiem naturalnego.

Wtedy dopiero kłapa piwniczna uniosła się i wynurzyła się głowa Pardaillana. Był pod wrażeniem tego, co usłyszał i zobaczył. Wszedł bowiem w posiadanie straszliwej tajemnicy, takiej, która zabija bez litości. I Jan, który nie zadrżał przed dziesięcioma rzeźmieszkami, który stawiał czoło całej rozwścieczonej zgrai, teraz zadrżał wiedząc, że jest panem — a może niewolnikiem — strasznej tajemnicy. Czy miał jako bezradny widz asystować szykującej się tragedii? Nie! Po tysiącokroć nie! Ogarnęła go nienawiść do spiskowców. Jan nie kochał króla, Karol IX był mu obojętny. A jednak jakimkolwiek był król Francji — był to jego król. A spiskowcy wydali mu się niesłychanie nikczemni. Wszyscy oni zawdzięczali królowi swoje stanowiska, swoje godności i zaszczyty. Wszyscy należeli do jego dworu, kładli mu, schlebiali. No i wszyscy chcieli wbić mu nóż w plecy!

Więc co? Wydać ich? Och, nie, przeginy! Nie był zdolny do podłych czynów.

Takie myśli przelatywały mu przez głowę jak błyskawice, a ponieważ zastanawianie nie leżało w jego charakterze, starannie osłonił twarz płaszczem i pobiegł w alejkę, akurat w chwili, kiedy Lubin szedł zamykać drzwi otwarte przez Montmorency'ego.

Lubin, którego pouczył brat Thibaut, wiedział, że przez aleję miało przejść ośmiu poetów. Więc liczył wychodzących, ciesząc się z góry na myśl, że zaraz dotrzyma towarzystwa bratu Thibaut.

— Hola! — krzyknął widząc dziewiątą osobę, która psuła mu cały rachunek — co tu robisz?

Zdziwienie Lubina błyskawicznie zmieniło się w przerażenie, gdyż nie skończył słów, kiedy spadł na niego cios, od którego runął na ziemię jak długi. Pardaillan zgrabnie przeskoczył przez jęczącego eksmnicza i natychmiast znalazł się na ulicy.

## XIV

### TYGRYS NA CZATACH

O tej godzinie zajazd „Deviniere” był zamknięty, tak jak i okoliczne kramy. Na ciemnej i pustej ulicy panowała głęboka cisza. Trzeba było nie lada śmiałka, żeby zapuszczać się samemu w te zaułki, które po capstrzyku stawały się rozległym królestwem rzezimieszków, łotrzyków, łobuzów, złodziejasków i łazików.

Henryk de Montmorency bez wahania wszedł na ulicę Saint-Denis. Pod płaszczem mocno trzymał w garści dobry sztylet. Szedł bez pośpiechu, prawie dotykając domów po prawej stronie ulicy, wiodącej w kierunku Sekwany. Nagle zatrzymał się, wcisnął w ciemny kąt i zamarł przytulony do muru.

O jakieś dwadzieścia kroków przed sobą zobaczył zmierzającą w jego kierunku grupkę ludzi, na razie niewyraźną, ale po chwili, kiedy wynurzyła się z ciemności, rozpoznał, że składa się z czterech osób.

„Złodzieje” — pomyślał marszałek de Damville mocniej ściskając w dłoni rękojeść sztyletu.

Ale nie. Nie mogła to być banda złodziei. Mężczyźni szli pewnym krokiem, świadczącym o doskonałej zgodzie ze strażą i ze swoim sumieniem. Rozmawiali, marszałka dobiegły ich śmiechy.

— Panowie, panowie — prawil przechodząc obok któryś z nich — nie śmiejcie się, ta osoba posiada imię.

— To głos księcia Andegaweńskiego — mruknął Henryk de Montmorency.

— Jakie, prosimy powiedzieć, książę! — odezwał się inny głos.

— Na ulicy Saint-Denis nazywają ją panią Joanną lub damą w czerni.

— Przewisko, od którego można dostać gęziej skórki!

— Zgadzam się, panowie. Ale jakie znaczenie może mieć imię matki, skoro córka jest piękna? A przecież nie ma nic piękniejszego od tej małej Loizy! Och, panowie, zobaczycie istny cud, a ja chcę...

Marszałek dłużej nie słuchał. Zresztą, dalsza część rozmowy rozplynęła się w tłumionych szeptach.

Na dźwięk imienia Joanny marszałek drgnął. Przy imieniu Loizy ledwo powstrzymał okrzyk wściekłości i nie kryjąc się już dłużej pognął za księciem Andegaweńskim i jego eskortą.

Joanna! Loiza!

Imiona te uderzyły w niego jak piorun. Kim była ta Joanna? Kim Loiza? Czy to one? Musiał dowiedzieć się za wszelką cenę, nawet gdyby miał o to zapytać samego księcia Andegaweńskiego. Nawet gdyby miał wyzwać królewskiego brata!

Na chwilę przystanął dysząc ciężko. Upłynęło szesnaście lat i to imię może wcale nie należało do niej, mogła je nosić jakaś inna kobieta, a przecież nadal rozpałało w nim namiętność, jak sądził, dawno wygasłą.

Joanna! Joanna!

Byłobyż zatem możliwe, że ją zobaczy, że będzie z nią rozmawiał? Byłobyż możliwe, że ją ujrzy żywą, kiedy ją miał za umarłą i sądził, że zdołał przysypać niegdysiejszą miłość popiołem swoich ambicji?

Tak, on ją kochał. Kochał jak dawniej. Może nawet bardziej niż dawniej.

Gromada wyprzedziła go. Dopędził ją paroma susami. Nagle wśród kłębiących się w głowie myśli zajaśniała jedna, podobna do błyskawicy oświetlającej niebo zaciągnięte porannymi chmurami.

„A jeśli to ona? Jeśli jest w Paryżu ze swoją córką! Jeśli Franciszek się dowie! Jeśli piekło czy przypadek zetknie ich z sobą! Jeśli się dowie o mojej zdradzie! Widzę go stojącego przede mną jak wtedy, w lesie kasztanowym... i żądającego zdania rachunku z oszustwa... Co powiem? Co uczynię?”

Otarł grube krople potu spływające po skroniach. Zatrząsł się od bezgłośnego śmiechu, okrutnego jak myśl o zemście, która uderzyła mu do głowy.

„Nie będę czekał, aż Henryk de Guise obejmie tron Francji, żeby zostać głową domu Montmorency. A ponieważ jest nas za dużo o Franciszka, niech umiera”.

W tym momencie zauważył, że cała grupa zatrzymała się przed obierzą „Deviniere”.

Montmorency — czy Damville, jeśli się chce nazywać go imieniem, pod którym jest znany — przywarł do muru pod okapem i tu drżąc cały, z trudem łapiąc oddech, wysiłał wzrok, nadstawiał uszu...

— Maurevert, klucz! — rozkazał Andegaweńczyk.

— Proszę, jaśnie panie.

— Dalej, panowie!

Cała czwórka podsunęła się ku drzwiom domu naprzeciw „Deviniere”.

— O — mruknął Henryk de Damville — do diabła, muszę wiedzieć!

— I zrobił ruch, jakby chciał skoczyć do przodu.

Ale został na miejscu, wcisnął się jeszcze bardziej pod okap. Przed drzwiami zjawił się nagle jakiś mężczyzna i powiedział bez kpiny w głosie, bez gniewu:

— Na Piłata i Barabasza, panowie! Zmuszacie mnie do sprzeniewierzenia się rozkazom ojca! Niechaj wina za to spadnie na was!

— Kim jest ten wariat? — zapytał książę Andegaweński.

— Na Boga, Maugiron, przecież to ten niedawno spotkany człowiek...

— Ten sam, niech mnie Bóg skarże, jeśli się mylę! — zawołał Maugiron. — Cóż to, czcigodny kamieniczniku, czyżbyś stał na straży przed swoim domem?

— Jak widzisz, czcigodny minionie\* — przytaknął Pardaillan. — Czy to dzień, czy to noc — zawsze jestem tutaj.

\* Nazwa historyczna. Chodzi o faworytów króla Henryka IV.

— Do licha — wybuchnął książę Andegaweński — dość tego, błźnie! Odejdź!

— Panowie — zwrócił się Pardaillan bardzo spokojnym głosem do Quélusa i Maugirona — każcie waszemu lokajowi uspokoić się albo natrę mu uszu tak jak i wam jutro rano na Pré-aux-Clercs, skoro szukacie guza.

— Nędzniku! — ryknęli obaj szlachcice. — Wcale nie jutro rano, ale zginiesz zaraz, tu!

Pardaillan dobył szpady. Maurevert rzucił się na niego bez ostrzeżenia, ale cofnął się z okrzykiem bólu i wściekłości.

Jan machnął swoją Giboulée szerokim i szybkim gestem, aż szpada świsnęła w jego rękę. Ostrze opisało świecące półkole, spadło jak stalowy bicz i ciało policzek Maureverta, pozostawiając długą krwawiącą ranę, Pardaillan zaś, stając natychmiast w pozycji obronnej, powiedział grzecznie:

— Ponieważ życzysz sobie, waszmość, żeby to się stało natychmiast, więc zgoda. Ale na Piłata, co by powiedział mój ojciec, gdyby mnie tu zobaczył! Jestem w rozpacz, że zgrzeszyłem nieposłuszeństwem zadając ci ten cios!

Tym razem Maugiron ryknął i cofnął się, wypuszczając broń z bezwładnej prawej ręki. Z kolei rzucił się do przodu Quélus.

— Stać! — rozkazał książę.

Odsunął gwałtownie Quélusa i podszedł bez broni do Pardaillana, który opuścił szpadę i oparł jej czubek o swój but.



— Panie — odezwał się książę Andegaweński — uważam cię za dzielnego szlachcica.

Jan uklonił się głęboko, nie spuszczać jednak oczu z przeciwników.

— Przed chwilą powiedziałeś słowa, których pożałowałbyś gorzko, wiedząc, do kogo je mówiłeś.

— Panie — odparł Jan — twoja uprzejmość sprawia, że już ich żałuję, gdyż jakkolwiek podle i niegodne mogło być zachowanie szlachcica, przesadą byłoby nazwać go lokajem. Przepraszam i jestem szczerze zasmucony.

Zdanie było tak dwuznaczne, tak pokrętne, że książę poczerwieniał ze wstydu. Ale postanowił nie zwracać uwagi i udawać, że bierze za dobrą monetę przeprosiny, będące nowym afrontem.

— Przyjmuję pańskie przeprosiny — powiedział nosowym głosem, którym przemawiał chcąc nadać sobie więcej majestatu, niż miał go w rzeczywistości. — Teraz, skorośmy to sobie wyjaśnili, muszę ci powiedzieć, panie, że mam pewną sprawę w tym domu.

— Och, czemuż mi tego nie powiedziałeś od razu? Sprawa...do diaska, macie, panie, jakąś sprawę tutaj?

— Sprawę miłosną.

— Nie przypuszczałem, doprawdy.

— A więc pozwolisz nam wejść?

— Nie — odparł spokojnie Pardaillan.

— No to strzeż się, waćpan. Mówią, że cierpliwość króla jest krótkotrwała. Cierpliwość jego brata jest jeszcze krótsza...

Mówiąc te słowa książę Andegaweński starał trzymać się prosto, gdyż był raczej niski i sięgał Pardaillanowi do ramienia. Jan udawał, że nie rozumie, iż Henryk Andegaweński właściwie mu się przedstawił. Toteż odpowiedział naiwnie:

— Panie, w imię tej młodej jeszcze przyjaźni, którą raczyłeś mnie zaszczycić, błagam, nie nalegaj; sprawiłbyś mi wielką przykrość.

Sytuacja stawała się groteskowa, ogromnie niezręczna dla księcia, który zbladł i ogarnięty wściekłością uniósł rękę.

W tej samej chwili poczuł na gardle czubek szpady Pardaillana. Trzej towarzysze księcia wydali okrzyk i chwyciwszy swego pana, gwałtownie odciągnęli go do tyłu.

— Nacierajmy! — zawołał Quélus.

— Nie! — powstrzymał ich książę drżący ze wstydu. — Odlóżmy to, panowie. Maugiron odpadł z walki, Maurevert nie widzi na oczy, co do

mnie, to przecież nie mogę stanąć naprzeciw tego rzezimieszka. Szpada do pochwy, Quélus. Schowaj ją, przyjacielu, powrócimy tu w liczniejszym składzie!

Zwracając się do Pardaillana, który stał nieruchomy, milczący, ze szpadą w dłoni, opierając się lewą ręką o drzwi, powiedział:

— Do widzenia, panie. Jeszcze o mnie usłyszysz.

— Życzyłbym sobie, żeby to było coś miłego — odrzekł Jan.

Po chwili grupa się rozproszyła. Jan jeszcze przez godzinę trwał w miejscu nasłuchując, ze szpadą w garści. Ale ulica była pusta i cicha.

Kawaler de Pardaillan pewien, że przynajmniej tej nocy nie nastąpi ponowny atak, walnął pięścią w boczne drzwi „Deviniere”, a gdy mu otworzono — poszedł do swego pokoju.

Tam wmawiając w siebie, że musi się jeszcze upewnić, otworzył okno i przenikliwym okiem badał ulicę. Ale z tej wysokości nie mógł nic zobaczyć, a jeśli coś widział, to jedynie okienko naprzeciwko, które nieodparcie przyciągało jego wzrok. Zresztą okienko było ciemne, Loiza i jej matka spały.

Trzeba przyznać, że w pierwszej chwili Jan był przerażony tym, co zrobił. Poznał bez cienia wątpliwości księcia Andegaweńskiego i teraz, kiedy opadł zapał walki, rozumiał grozę swego czynu.

Brat królewski, dziedzic korony, był postacią w Paryżu popularną. Pardaillan zaś, który jak każdy dobry paryżanin lubił się włóczyć, znał go z widzenia. Jak już powiedzieliśmy, był przybity. Skonstatował z goryczą, że jakieś fatum popycha go, żeby się mieszał do spraw, które go nie dotyczą. On zaś, wyrodny syn, buntuje się przeciwko zaleceniom ojca i robi właśnie wszystko na odwrót, nie słuchając jego rad, a przeciw każdego ranka przysięgał sobie, że będzie ich przestrzegał z całym nabożeństwem.

W końcu w sposób dla siebie charakterystyczny wzruszył ramionami, co miało oznaczać:

„Cóż, skoro nawarzyłem sobie piwa, muszę je wypić. A zresztą — jeszcze zobaczymy”.

Na razie postanowił być ostrożnym i nie iść jutro na Pré-aux-Clercs, gdzie miał spotkanie z Quélusem i Maugironem.

„Jednego z nich obsłużyłem jak najlepiej — rozważał. — Co zaś do drugiego, to poszukam okazji, żeby mu dać satysfakcję. Ale pójść na Pré-aux-Clercs znaczyłoby rzucić się w ramiona zbirów, których książe Andegaweński nie omieszką wynająć i którzy zaprowadziliby mnie prościutko do Bastylii”.

Zadowolony, że tak dobrze wszystko obmyślił, położył się spać, śniąc o Loizie. Na dole, na ulicy, marszałek de Damville był świadkiem całego zajścia, ale nie poznał Pardaillana, którego widział raz ciemną nocą kilka miesięcy temu; nie znał ani jego imienia, ani nie przyjrzał się twarzy.

Nie ruszając się z miejsca obserwował interwencję młodzieńca, zobaczył, jak odchodził książę Andegaweński ze świtą, wreszcie jak Pardaillan idzie do domu.

Kiedy się upewnił, że na ulicy zapanował spokój, opuścił swój punkt obserwacyjny i sunąc wzdłuż zamkniętych sklepików, zatrzymał się przed domem, do którego chciał się dostać książę.

Wtedy ponownie zadał sobie pytanie:

„Co to za Joanna? Co za Loiza? To one, rzecz pewna! Możliwy jest zbieg okoliczności, jeśli chodzi o jedno imię, ale o dwa! Nie, to one! To ona jest tutaj! Muszę sprawdzić, muszę się upewnić! Przyjdę tu kiedyś. Tak, ale jeżeli do tego czasu ona zniknie? Nie, muszę tu pozostać, dopóki się nie dowiem”.

Jego uniesiony wzrok myszkował, pytał, nerwowo przebiegał po niemej fasadzie domu. Wreszcie wstał świt.

Pomału zaczęto otwierać sklepiki, ulica się ożywiła, krążyli przekupnie i ze zdziwieniem patrzyli na bladego mężczyznę, który stał nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w kamieniczkę...

Nagle u góry otworzyło się okno i na chwilę mignęła w nim kobieca twarz; ale ta chwila wystarczyła. Henryk de Montmorency zdławił okrzyk: poznał Joannę de Piennes.

## XV

### KATARZYNA MEDYCEJSKA

Była dziewiąta wieczór. W domu przy Drewnianym Moście, do którego czytelnik był już wprowadzony, Katarzyna Medycejska i astrolog Ruggieri oczekiwali kawalera de Pardaillan, z którym, jak pamiętamy, Florentyńczyk umówił się na to spotkanie.

Królowa coś pisała przy biurku, astrolog przechadzał się powoli, zbliżając się od czasu do czasu do Katarzyny, aby rzucić okiem na to, co

piślała, nie starając się zresztą wcale ukrywać swojej niedyskrecji, jak ktoś, kto ma albo uzurpuje sobie do niej prawo.

W koszyczku piętrzył się już stos listów opatrzonych pieczęcią, ale Katarzyna pisała dalej. Ledwie kończyła jeden list, a już zaczynała drugi. W ten sposób znajdowała ujście dla swojej niespożytej energii.

I tak po ośmiostronicowym, drobno zapisanym liście do swojej córki, królowej Hiszpanii, w którym wykladała sytuację stronnictw religijnych we Francji i prosiła o nakłonienie króla Hiszpanii do interwencji, kreśliła pismo do Philiberta Delorme, swego architekta, dając mu wskazówki w sprawie pałacu Tuileries; następny list był do Coligny'ego, pełen miłych słówek i zapewnień, że pokój z Saint-Germain będzie trwał, po nim bilecik do Jana Dorata, potem jeszcze do papieża, wreszcie do mistrza ceremonii, polecający mu zorganizowanie festynu. Od czasu do czasu, nie przerywając pisania, zadawała krótkie pytanie: — Ten młodzieniec przyjdzie?

— Niezawodnie. Ale co najjaśniejsza pani chce od tego rębacza?

Katarzyna Medycejska odłożyła pióro, rzuciła przeciągłe spojrzenie na astrologa i odparła:

— Potrzebuję ludzi, René. Szykują się wielkie rzeczy. Potrzebuję ludzi... a zwłaszcza potrzebny mi jest dobry rębacz, jak mówisz.

— Mamy Maureverta.

— Tak, ale ten mnie niepokoi. Wie już za dużo. W dodatku został ranny w ostatnim pojedynku. Ręka mu zadrżała. Gdy zajdą tragiczne okoliczności, gdy nadejdzie groźny moment, kiedy los imperium może zależeć od jednej szpady... niech ta szpada drgnie na jedną tysięczną sekundy... a cios chybi... imperium może upaść. René, ręka tego człowieka nie drży.

— Będzie nasz, to pewne.

— A propos, René, pałac, który kazałam zbudować, jest skończony. Dziś rano wręczono mi klucze.

— Widziałem, królowo, widziałem. Obszedłem go ulicami du Four, Deux-Ecus i Grenelle. Miejsce po pałacu Soissons, wspaniałe pomysł.

— A co powiesz na wieżę?

— Powiem, że Paryż jeszcze nie miał takiego cudu, czegoś tak śmiałego i zarazem eleganckiego.

Ale myśl Katarzyny podążała już innym torem.

— Tak — mówiła wolno — ten młodzieniec mi się przyda. Czy próbowałaś, René, przewidzieć jego los swoją cudowną znajomością gwiazd?

— Brakuje mi jeszcze pewnych elementów, ale się z tym uporam. Królowo, dlaczego tak bardzo niepokoisz cię ten nędznik? Czy nie masz, miłościwa pani, dworzan, swoich podwładnych, swoich kobiet?

— Tak, René, mam sto pięćdziesiąt panien i przez nie wiem, co stu pięćdziesięciu wrogów może szeptać do ucha kochance; tak, mam swoich zaufanych nawet u Gwizjusza, nawet w Béarn i przez nich znam plany tych, którzy pragną mojej śmierci, ale zamiast dać się zabić — to ja zabijam; tak, mam swoich dworaków i za ich pośrednictwem trzymam w garści Luwr i Paryż. Ale muszę się mieć na baczności, René...

Wzrok Katarzyny gdzieś błędził.

— René — powiedziała wreszcie lodowatym tonem — miałam czternaście lat, kiedy przybyłam do Francji. Teraz mam pięćdziesiąt. To czyni trzydzieści sześć lat cierpień, tortur, trzydzieści sześć lat upokorzeń, wściekłości o tyle gorszej, że musiałam ją ukrywać pod uśmiechami, trzydzieści sześć lat, w czasie których bywałam kolejno pogardzana, poniewierana, sprowadzana do roli służącej i wreszcie znienawidzona... ale być znienawidzoną — to fraszka! A zaczęło się to od dnia mojego ślubu, René...

— Katarzyno, Katarzyno, po co te wspomnienia?

— Bo wspomnienia podsycają nienawiść — powiedziała głucho Katarzyna Medycejska. — Tak, to długotrwałe upokorzenie zaczęło się w dniu ślubu i gdybym miała żyć jeszcze sto lat, nigdy nie zapomnę tej chwili, kiedy syn Franciszka I, wprowadziwszy mnie do naszych komnat, skłonił się i wyszedł bez słowa. Następnej nocy, potem jeszcze następnych było tak samo... Kiedy mój małżonek został królem Francji, prawdziwą królową nie byłam ja, lecz Diana de Poitiers. Lata biegły dla mnie w samotności; pewnego dnia dowiedziałam się, że Henryk Francuski chce mnie odtrącić. Cała drżąca, pełna wściekłości, zapytałam mego spowiednika, jakie motywy przedstawia mój królewski małżonek... Wiesz, co mi odpowiedział?

Ruggieri pokręcił przecząco głową.

— Pani — powiedział spowiednik — król utrzymuje, że zalatuje od ciebie śmiercią.

Ruggieri drgnął, pobladł.

— Ode mnie zalatuje śmiercią! — mówiła Katarzyna Medycejska znowu sadowiąc się w fotelu. — Rozumiesz? Że przynoszę śmierć wszystkiemu, czego dotknę. I, rzecz potworna, René, wydaje się, że Henryk II miał rację, gdy to mówił. Kiedy pod wpływem doradców, samej Diany de Poitiers — a jej wspaniałomyślność była dla mnie

ostatnią kroplą goryczy — król zdecydował się mnie zatrzymać, kiedy pod naciskiem księży zgodził się uczynić ze mnie prawdziwą małżonkę, kiedy wreszcie urodziłam dzieci, och, René... jakie były te dzieci? Franciszek mając dwadzieścia lat, po roku panowania, zmarł na okropną chorobę uszu, której przyczyna jest dotąd nieznaną. Tylko Ambroży Paré twierdzi, że umarł z powodu gnicia. Katarzyna zamilkła na chwilę, wargi miała zaciśnięte, czoło przecinała bruzda.

— A weź Karola — odezwała się wreszcie zdławionym głosem.

— Miewa okropne ataki i chwilami zastanawiam się, czy nie skończy szaleństwem, gniciem rozumu, tak jak Franciszek skończył gniciem ciała.

Spójrz na księcia d'Alençon, mojego najmłodszego! Czy z tą swoją pooraną twarzą nie wygląda jak ktoś naznaczony fatalnym piętnem? Wreszcie popatrz na księcia d'Anjou! (Tu chropawy głos królowej nabrał zdumiewających akcentów czułości.) Wydaje się silny, prawda? Otóż ja, która go znam, która go doglądam, tylko ja widzę oznaki nie-domogi u tego dziecka, niezdolnego do powiązania dwóch myśli.

Franciszek zmarł, Karol jest skazany, Henryk zapewne wstąpi na tron i da sobie włożyć na głowę koronę, której ciężar go przygniecie. Widzisz sam, że muszę być silna, żeby rządzić Francją, kiedy Henryk będzie się zabawiał. Henryk, jedyny, który mnie kocha i rozumie. Henryk Andegaweński, o którego Karol, biedactwo, jest zazdrosny. Henryk, któremu odmówiono szabli konetabla. Wreszcie Henryk mój syn... Cóż chcesz, matka czuje się prawdziwą matką tylko dla dziecka będącego jej prawdziwym dzieckiem, wybrańcem serca i umysłu.

— A tamten, madame... nigdy o nim nie mówisz...

Katarzyna drgnęła. Źrenice jej się rozszerzyły, ostro spojrzała prosto w oczy astrologa.

— Wydaje mi się — rzekła — że nie jesteś przy zdrowych zmysłach. Uważaj, żeby tego rodzaju pytanie nigdy więcej nie wyrwało się z twoich ust.

— A jednak muszę mówić.

Wypowiadając te słowa Ruggieri stał z głową pochyloną. W tej postawie ciągnął dalej:

— Nie obawiaj się, pani, nikt nas nie usłyszy, o to zadbałem, jesteśmy sami. Jeśli ośmielam się mówić, królowo, to dlatego, że pytałem gwiazd i one mi odpowiedziały.

Katarzynę przebiegł dreszcz. Nie zadrżała nigdy wobec zbrodni, lecz drżała wobec groźby gwiazd.

Ruggieri, pewien teraz, że zostanie wysłuchany, mówił:

— A więc, Katarzyno, możesz spać spokojnie? Królowo, nigdy nie myślisz o tamtym? Ale ja o nim myślę. Ja, bo od dłuższego czasu śpię snem człowieka w gorączce. I za każdym razem, kiedy zasypiam, u wezłowania mego łóżka staje ten sam złowróżbny sen. Widzę mężczyznę, jak wychodzi z jakiegoś pałacu w ciemną noc, gdy kobieta, kochanka, nałożnica, robi ostatni nieubłagany gest. Mężczyzna płacze, na próżno błaga — kochanka wydała nieodwołalny wyrok. Więc mężczyzna wychodzi z pałacu... pod płaszczem wnosi nie wiadomo co... ale coś, co jednak żyje, gdyż kwili, płacze, błaga o litość... ale mężczyzna jest bezlitosny, gdyż jeden raz w życiu stchórzył, złął się kobiety. Odchodzi... kładzie noworodka na stopniach kościoła... i ucieka.

Rysy Katarzyny stężały, wymamrotała cicho:

— Zapominasz o jednym, René, o najważniejszym...

— Nie, nie zapominam. Nie, Katarzyno, byłbym szczęśliwy, gdybym mógł zapomnieć. Zanim wyniosłem noworodka, żeby go podrzucić, upuściłem na jego wargi kropelkę białego płynu... o tym chcesz mówić, prawda?

— Oczywiście. Albowiem dzięki tej truciznie dziecko nie mogło przeżyć więcej niż dwa miesiące. Byłeś dzielny, René, byłeś wytrwały... Nie mogę sobie wyrzucać, że cię pokochałam, skoro unicestwiłeś dowód wiarygodności królowej... Ale po co przywoływać ponownie te wspomnienia? Tak, ja cię kochałam. Zjawился się w czasie, kiedy król, mój małżonek, zmuszał mnie, abym pierwsza kłaniała się jego kochance, kiedy dworacy odwracali się do mnie plecami, kiedy wzruszano ramionami, gdy przemawiałam, kiedy nawet służba czekała z wykonaniem moich poleceń, aż potwierdzi je Diana de Poitiers. Samotna, ponizona, zzerana wściekłością i rozpaczą, zobaczyłam pewnego dnia w twoich oczach błysk litości. Pociągnęło nas ku sobie. Całe dni spędzaliśmy na rozmowach o Florencji, całe noce mówiliśmy o gwiazdach. Uczyłeś mnie tej cudownej sztuki. Zrobiłeś coś więcej: odkryłeś przede mną sekrety Borgiów. Dzięki tobie, René, poznałam „aqua tofana”. Dzięki tobie poznałam naukę czyniącą ludzi równych bogom, gdyż dawała ona władzę nad życiem i śmiercią. Nauczyłam się ukrywać truciznę w oprawie pierścienia, w woni kwiatowej, w kartce książki, w pocałunku kochanki. To od tego czasu datuje się moja potęga. Zawdzięczam ją tobie. Otrzymałeś należną ci nagrodę. Dzielisz łożo królowej! I teraz, kiedy zostałam władczynią, teraz, kiedy po kolei wskazywałam palcem swoich

wrogów, teraz, kiedy na zgłiszczach chcę zbudować potężne królestwo, które zadziwi świat, ty mi mówisz o przeszłości. René, dzień wczorajszy umarł, liczy się tylko jutro. Dziecko? Dlaczego miałabym zaprzętać myśli istotą, która zniknęła? Dziecko zostało prawdopodobnie znalezione przez jakąś kobietę, a potem, ponieważ zasiałeś w nim ziarno śmierci, zapewne po dwóch miesiącach odeszło do krainy cieni, z której nie powinno być wychodzić. Ruggieri pochwycił dłoń Katarzyny i mocno ją uściśnął:

— A co, jeśli się pomyliłem? Jeżeli ilość nie była dostateczna? Albo jeżeli stał się cud i dziecko żyje...

— Przekleństwo — mruknęła królowa.

— Posłuchaj, Katarzyno, posłuchaj! Ileż razy od tej strasznej nocy pytałem gwiazd? I zawsze mi odpowiadały, że on żyje!

— Przekleństwo — powtórzyła królowa.

— Nie mówiłem o tym — ciągnął dalej astrolog. — Zachowywałem dla siebie strach, ból i wyrzuty sumienia. Ale teraz milczenie, królowo moja, byłoby zbrodnią... zbrodnią wobec ciebie, bóstwo mego życia!

— Przypuśćmy, że dziecko żyje. Jakie to ma dla mnie znaczenie? Żyje, ale nigdy się nie dowie, kim jest. Żyje, ale w jakiejś nędznej dzielnicy, chłopiec bez nazwiska, znajda, według wszelkiego prawdopodobieństwa — w ubóstwie. On żyje, ale nigdy nie będziemy wiedzieli, gdzie jest, tak jak on nigdy się nie dowie imienia jego matki.

— Katarzyno — odezwał się Ruggieri — zbierz wszystkie swoje siły: dziecko jest w Paryżu i ja je widziałem.

— Widziałeś je? — krzyknęła królowa. — Gdzie? Kiedy?

— Wczoraj... I przede wszystkim dowiedz się imienia kobiety, która go przygarnęła, uratowała, wychowała...

— Kto to?

— Joanna d'Albret!

— Co za fatum! Mój syn żyje! Dowód cudzołóstwa w rękach mojego nieprzejednanego wroga!

— Ale ona nic nie wie, na pewno — wymamrotał Ruggieri.

— Milcz już, milcz — warknęła królowa. — Skoro Joanna d'Albret wychowała dziecko, musi wiedzieć! W jaki sposób? Nie mam pojęcia, ale mówię ci, że ona wie! Zatem widzisz, że ona musi umrzeć! Och, Joanno d'Albret! Nie chodzi już o to, czy to twój ród, czy mój będzie panować. Między tobą a mną — to sprawa życia i śmierci. I to ty umrzesz!



Po tych słowach, które się jej wyrwały, chrapliwe, świszczące, Katarzyna Medycejska zaczęła się pomału uspokajać. Stała się na powrót zimnym posągami... trupem, jakim zdała się być, gdy wypoczywała.

— Mów! — rozkazała. — Kiedy i jak dowiedziałeś się o tym?

— Wczoraj, gdy wychodziłem od tego młodzieńca...

— Tego, który ją uratował?

— Tak, od Pardaillana. W chwili kiedy opuszczałem zajazd, stanąłem jak wryty na widok mężczyzny, który się do mnie zbliżał. Stała się bowiem rzecz straszna, od której włosy zjeżyły mi się na głowie: otóż ten człowiek wydał mi się być mną samym! Mną samym! Mną, który szedłem w kierunku siebie samego. Ale mną, jakim pewnie byłem dwadzieścia cztery lata temu. Pierwszą moją myślą było, że zwariowałem. Drugą — że muszę zasłonić twarz. Albowiem gdyby ten człowiek mnie zobaczył, odniósłby zapewne takie samo jak ja wrażenie. Kiedy ochłonałem ze zdumienia, stwierdziłem, że wchodzi do tej samej oberży, którą przed chwilą opuściłem. Byłem wstrząśnięty, Katarzyno! Gdybyś widziała, jaki miał smutny wyraz twarzy!

Rozdygotany wróciłem do oberży, kocimi krokami skradałem się po schodach za tym człowiekiem i zobaczyłem, że wchodzi do Pardaillana, u którego dopiero co byłem... więc przywarłem uchem do drzwi... Usłyszałem całą ich rozmowę... i ta rozmowa, Katarzyno, dała niezbity dowód, że to on! Że to nasz syn! Znaleziony, uratowany, potem wychowany przez Joannę d'Albret.

— A on? Czy coś podejrzewa?

— Nie, nie — żywo odparł Ruggieri. — Ręczę za to!

— Ale co robi w Paryżu?

— Jest w służbie królowej Nawarry i prawdopodobnie teraz do niej dołączy.

Katarzyna na nowo wpadła w zadumę. Co myślała w chwili, kiedy się dowiedziała, że jej syn żyje? Jakie myśli targają tą matką? Nagle drgnęła:

— Ktoś stuka — powiedziała przerażona.

— To kawaler de Pardaillan. Wyznaczyłem mu spotkanie na dziesiątą.

— Kawaler de Pardaillan? — Katarzyna Medycejska przeciągnęła palcami po czole wypolerowanym jak stara kość słoniowa. — Ach, tak! Posłuchaj, René... Dlaczego on przyszedł do Pardaillana? Czyżby byli przyjaciółmi?

— Nie, pani. Po prostu przyszedł złożyć podziękowanie w imieniu królowej Nawarry.

— A więc nie są przyjaciółmi? — nalegała Katarzyna.  
— W każdym razie wczoraj spotkali się po raz pierwszy.  
— Idź otworzyć, René, idź, przyjacielu, znalazłam zajęcie dla tego młodzieńca. Mówisz, że jest biedny, nieprawdaż? I dumny? Tak mi określiłeś tego Pardaillana.  
— Tak, biedny aż do nędzy i dumny do szaleństwa.  
— A więc zdolny zrozumieć wszystko i wszystkiego się podjąć. Idź, wpuść go, René...

Przez dwie minuty, kiedy pozostała sama, Katarzyna Medycejska szybko naszkicowała w głowie cały plan i przybrała odpowiedni wyraz twarzy, tak iż kiedy Pardaillan wszedł, zobaczył przed sobą kobietę o melancholijnym uśmiechu, wcale nie groźnym, o wyglądzie dumnym, lecz nie wyniosłym.

Złożył głęboki ukłon. Od pierwszego spojrzenia poznał Katarzynę Medycejską.

— Panie — odezwała się kobieta — czy wiesz, kim jestem?

„Trzymaj się, Janie — pomyślał Pardaillan. — Będzie kłamała, więc muszę kłamać i ja”. I głośno odparł: — Czekam, aż uczynisz mi zaszczyt i powiesz, pani.

— Znajdujesz się przed obliczem matki króla.

Ruggieri był pełen zachwytu dla jej taktyki. Pardaillan ukłonił się jeszcze niżej, po czym wyprostował się i stanął z miną pełną naiwnego respektu, z którą było mu bardzo do twarzy. Katarzyna przyglądała mu się z napiętą uwagą.

— Panie — znowu przemówiła — to piękne, co zrobiłeś wczoraj... Rzucić się w taką bijatykę ryzykując życiem, żeby uratować dwie nieznajome — to wspaniałe!

— Wiem, wasza wysokość!

— Tym piękniejsze, że te dwie kobiety nie są kimś bliskim...

— To prawda, wasza wysokość: te dwie kobiety były mi absolutnie nieznane.

— Ale teraz znasz ich imiona?

— Tak, wiem, że miałem zaszczyt bronić, jak umiałem najlepiej, jej wysokości królowej Nawarry i któregoś z jej dworak.

— Ja także to wiem, panie — rzekła Katarzyna. — I dlatego chciałam cię poznać. Uratowałeś waszmość królową, a królowe są solidarne. To, czego nie mogła może zrobić moja kuzynka, zrobię teraz ja. Królowa Nawarry jest biedna, ma ciężkie kłopoty. A przecież należy ci się nagroda, kawalerze.

— Och, co do tego, miłościwa pani, bądź spokojna: zostałem wynagrodzony stosownie do zasług.

— W jaki sposób?

— Słowem, jakim królewska mość zechciała mnie obdarować.

— Czy moja kuzynka z Nawarry nie ofiarowała ci żadnego stanowiska przy sobie?

— Istotnie, pani, ale musiałem odmówić.

— Dlaczego? — żywo zapytała Katarzyna.

— Gdyż nie mogę opuścić Paryża.

— A gdybym zaproponowała ci wstąpienie na służbę do mnie, co byś powiedział? Nie chcesz opuścić Paryża? Ależ właśnie o to chodzi! Kawalerze, który rzuciłeś się bez namysłu, aby bronić dwu nieznanym, czy zechciałbyś pomóc bronić swojej królowej?

— Cóż to? Wasza królewska mość potrzebuje obrony? — szczerze zdziwił się Pardaillan.

Przelotny uśmiech okraślił usta królowej: poznała słabą stronę gościa.

— Dziwi cię to — powiedziała najbardziej uwodzicielskim głosem. — A jednak to fakt, kawalerze. Otoczona wrogami, zmuszona do czuwania w dzień i w nocy nad bezpieczeństwem króla, pędzę życie w ciągłym strachu. Nie wiesz, ile ukrytych ambicji zмага się w walce wokół tronu...

Jan drgnął na myśl o spisku, którego sekret poznał w oberży.

— I żeby się bronić — ciągnęła dalej królowa — żeby bronić króla, jestem prawie sama.

— Madame — powiedział Jan bez widocznego wzruszenia — żaden szlachcic godny tej nazwy nie zawahałby się przed osłonięciem królowej swoją szpadą. Matka to rzecz święta. A gdy matką jest królowa, wtedy to, co było tylko ludzkim obowiązkiem, staje się powinnością, od której nikt nie może się uchylić.

— A więc nie wahałbyś się stanąć w szeregu tych nielicznych szlachciców, którzy mając litość dla królowej, a zarazem dla matki, poświęcają się dla mnie?

— Jestem do dyspozycji, madame — odrzekł Pardaillan.

Królowa powstrzymała odruch radości...

— Zanim powiem, czym możesz mi służyć — mówiła dalej — pragnę powiedzieć, co chcę zrobić dla ciebie. Jesteś biedny, uczynię cię bogatym; jesteś skromnego pochodzenia — otrzymasz godności należne takiemu człowiekowi jak ty. A na początek, co byś powiedział na stanowisko w Luwrze z dochodem dwudziestu tysięcy liwrow?

— Powiedziałbym, że jestem olśniony, madame, i że zadaję sobie pytanie, czy przypadkiem nie śnię...

— Nie śniesz, kawalerze. Obowiązkiem królowych jest dawać zatrudnienie takim szpadam jak twoja.

— Więc jakie byłoby to zajęcie? — zapytał Pardaillan.

— Mówiłam już o moich wrogach, będących zarazem wrogami króla. Otóż, chcę ci powiedzieć, jak reaguję, kiedy zbliży się do mnie któryś z moich wrogów. Najpierw staram się go rozbroić prośbami, łzami i muszę powiedzieć, że często mi się to udaje.

— A jeśli waszej wysokości się nie udaje?

— Wtedy zwracam się o sąd do Boga.

— Najjaśniejsza pani, wybacz... nie rozumiem...

— Cóż, wtedy jeden z moich dworzan poświęca się, idzie do wroga, prowokuje go do lojalnej walki i albo go zabija, albo zostaje zabity. Jeśli go zabiją, ma zapewniony pogrzeb i zemstę. Jeśli on zabije — uratował swoją królową i swego króla, a ani ona, ani on nie należą do niewdzięczników. Co waść na to?

— Pragnę tylko dobyć szpady stanąwszy na udeptanym gruncie, pani!

— A więc, jeśli wskażę ci któregoś z tych niedobrych ludzi...

— Ja go sprowokuję — powiedział prostując się Pardaillan.

— Panie — rzekła królowa — wczoraj miałaś odwiedziny...

— Kilka, pani...

— Chodzi mi o tego młodzieńca, którego przysłała królowa Nawarry. Jest on jednym z owych zażartych wrogów, o którym mówiłam, może najbardziej zawziętym, najgorszym ze wszystkich, gdyż działa z ukrycia i uderza tylko na pewniaka... Jego się boję... nie z uwagi na siebie, niestety!, swoje życie złożyłam w ofierze... ale na moje biedne dziecko... boję się o króla.

Jan, jeśli tak można rzec, zdążył się już pozbierać. Jego sen o pojedynku, w którym byłby obrońcą królowej i matki, rozwiewał się, młodzieniec uprzytomnił sobie groźną rzeczywistość.

— Czyżbyś się wahał? — zapytała królowa ze zdziwieniem. Jej ton stał się tak złowieszczy, że Pardaillan wyprostował się jeszcze bardziej, ale wewnętrznie się zjeżył.

— Ja się nie waham, miłościwa pani, ja odmawiam.

Przyzwyczajona do widoku zgiętych karków, do bełkotanych słów, Katarzyna Medycejska doznała przez chwilę głębokiego zdumienia. Na bladą twarz wystąpił lekki rumieniec, po którym Ruggieri poznał, że

ogarniają wściekłość. Ale Katarzyna, przyzwyczajona do udawania przez całe życie, teraz też ukryła silne wrażenie:

— Przynajmniej waszmość podasz nam powody? — zapytała łagodnie jak dotychczas.

— Oczywiście, pani, a tak wielkie serce jak twoje zrozumie je w lot. Człowiek, o którym wasza miłość mówi, przyszedł do mnie i nazwał mnie swoim przyjacielem; dopóki tej przyjaźni nie zniweczy jakiś nikczemny uczynek — ten człowiek jest dla mnie święty.

— To są powody, które trafiają mi do przekonania, kawalerze. A jak się ten przyjaciel nazywa?

— Nie wiem, pani.

— Jak to! Jest twoim przyjacielem, a nie wiesz, jak się nazywa!

— Nie zaszczycił mnie takim wyznaniem. W dodatku mniej dziwne jest nie znać imienia przyjaciela niż zajadłego wroga!

Katarzyna pochyliła głowę w zadumie.

„To prawdziwy mężczyzna — pomyślała. — Tym bardziej niebezpieczny. A ponieważ nie chce mi służyć...” — Panie — dodała na głos — pytam o imię, gdyż chciałam wiedzieć, czy rozmawiamy o tej samej osobie. Nie mówmy już więcej o tym człowieku. Rozumiem i szanuję uczucia, które tobą powodują.

— Och, pani, uszczęśliwiasz mnie. Tak bardzo obawiałem się wywołać niezadowolenie waszej wysokości.

— Dlaczego? Wierny w przyjaźni — to znaczy silny wobec wspólnego wroga. Odejdź, waszmość, i pamiętaj, że zajmę się twoją karierą. Jutro rano oczekuję cię w Luwrze.

Katarzyna Medycejska wstała.

Pardaillan złożył królowej ukłon.

Po kilku chwilach był na ulicy, przed drzwiami czekał na niego wierny Pipeau; idąc w kierunku „Deviniere” Jan starał się rozszyfrować żywą zagadkę, jaką stanowiła królowa Katarzyna.

„Powiedziała: jutro rano w Luwrze. Dobrze. Przybędę. Luwr jest wielkim przedsiönkiem wiodącym do kariery. Zdecydowanie uważam, że Pardaillan-senior się mylił”.

W godzinę po tej scenie Katarzyna Medycejska wróciła do Luwru, kazała wezwać kapitana straży i wydała rozkaz:

— Panie de Nancey, jutro od samego rana weźmiesz dwunastu ludzi i karoce, udasz się do oberży „Deviniere” na ulicy Saint-Denis, aresztujesz konspiratora nazwiskiem de Pardaillan i zawieziesz go do Bastylii.

## MARSZAŁEK DE DAMVILLE

Pardaillan wstał o świcie po bardzo źle przespanej nocy. Nie sposób zrobić tak nagle kariery nie doznając głębokiego zamętu myśli.

Ponieważ był człowiekiem systematycznym, kręcąc się w swoim łóżku rozważał niejasne punkty i to go uspokoiło.

Oto jak zaplanował postępowanie:

1. Uda się do Luwru na zaproszenie Katarzyny Medycejskiej.
2. Pospieszy do pałacu Coligny i ostrzeże Deodata, że musi on jak najprędzej opuścić Paryż.
3. Sprowokuje Henryka Gwizjusza i w ten sposób odda królowej ogromną przysługę.
4. Kiedy się upewni co do swojego nowego stanowiska, odwiedzi damę w czerni, wyzna jej miłość do córki, a będąc w służbie dworu i zapewne faworytem królewskim, otrzyma Loizę za żonę.

5. Odszuka swego ojca i zapewni mu dobrą, przyjemną starość.

Po takim ułożeniu życia mógł sobie pozwolić na parogodzinną drzemkę. Ale, jak już powiedzieliśmy, o świcie był na nogach.

Starannie zrobił toaletę. Chodziło o to, aby dowieść dworakom, iż Pardaillan czuje się swobodnie na każdym terenie. Kiedy był już gotów i pozostało mu tylko przypasać szpadę wiszącą na ścianie, stwierdził, że ma przed sobą jeszcze dwie czy trzy godziny, zanim będzie mógł się stawić w Luwrze o rozsądnej porze.

Staął więc w oknie, zresztą bez wielkiej nadziei na ujrzanie Loizy.

W tym momencie Pipeau głucho zawarczał. Pardaillan nie zwrócił na to najmniejszej uwagi i otworzył okno.

Prawie jednocześnie otwarło się okno Loizy i stanęła w nim dziewczyna z włosami w nieładzie, błędnym wzrokiem, podniosła głowę w stronę Pardaillana i krzyknęła:

— Ratunku! Na pomoc!

— Do licha! — warknął Pardaillan. — Co tam się dzieje? Pierwszy raz Loiza się do niego odezwała! I to według wszelkiego prawdopodobieństwa, żeby go błagać o pomoc; niebezpieczeństwo musiało być wielkie, skoro odważyła się na wezwanie, w którym brzmiało przerażenie.

— Biegnę! — odkrzyknął Pardaillan.

W tej samej chwili Pipeau rozszczękał się z furją, drzwi pękły na kawałki i dwunastu zbrojnych ludzi wtargnęło do pokoju. Jeden z nich zawołał:

— W imieniu króla!

Jan chciał skoczyć po szpadę wiszącą na ścianie, ale zanim wykonał jeden ruch, został otoczony, pochwycony za ręce i nogi i upadł.

— Ratunku, panie! — rozległ się krzyk Loizy.

Na dźwięk tego głosu z gardła Jana wydobył się ryk. Zrobił ogromny wysiłek, napiął mięśnie i wtedy stwierdził, że ma związane nogi. Ręce także. Zamknął oczy i spod zamkniętych powiek spłynęła mu łza rozpacz.

Pies tymczasem wyl, gryzł, kogo popadło. Kiedy Jan leżał pokonany, Nancey naliczył dwóch zabitych i pięciu rannych. Jeden padł otrzymawszy od Pardaillana cios pięścią w skroń, drugiemu pies przegryzł gardło.

— W drogę! — rozkazał kapitan.

Związanego Pardaillana chwycili i wywlekli... przeciągłe, ponure wyście psa towarzyszyło porażce jego pana.

Na ulicy Jan otworzył oczy i zobaczył trzy karoce. Jedna przy drzwiach zajazdu przeznaczona była dla niego. Ale dwie inne stały przed domem naprzeciwko. W jednej nie dostrzegł nikogo, w drugiej rozpoznał Henryka de Montmorency, marszałka Damville.

Nie miał czasu na dalsze przyglądanie się, gdyż został wrzucony do przeznaczonej dla niego karety, fartuchy opuszczono i Jan znalazł się w ruchomym więzieniu, które natychmiast odjechało.

Młodzieniec odchodził od zmysłów z wściekłości i rozpacz. Ale nawet w tym stanie ducha zachował dość zimnej krwi, żeby w myśli śledzić skrety i zakrety pojazdu, który go unosił. Znał swój Paryż znakomicie i po kilku minutach wiedział: wiozą go do Bastylii.

Bastylia była lochem, mogiłą, powolnym konaniem w ciemnicy bez powietrza.

Jan zrozumiał, że jest stracony. I to w chwili, kiedy ta, którą kochał, wzywała go na pomoc, wyznając mu tym samym, że i ona go kocha!

Kiedy pojazd przebywszy zwodzone mosty i bramy wreszcie się zatrzymał, kiedy Pardaillan zszedł i rozejrzał się dookoła — zobaczył, że znajduje się na ciemnym dziedzińcu otoczony żołnierzami. Dwaj strażnicy o herkulesowej posturze schwycili go, powlekli i wreszcie postavili

na nogi. Wepchnięty jakimś drzwiami, znalazł się w długim wilgotnym korytarzu o murach zżartych saletrą wydzielającą trujące opary; potem, wciągnięty po kręconych kamiennych schodach, minął dwie żelazne kraty, za nimi znowu korytarz i został wrzucony do dość obszernego pomieszczenia na trzecim piętrze zachodniej wieży.

Drzwi zatrzasnęły się z głośnym szczękiem.

Gdy wieży rozcięto, Jan rzucił się z rozpaczliwym okrzykiem do drzwi i walił w nie zajadle. Ale szybko zrozumiał, że jego wysiłki były daremne. Padł na płyty podłogi nieprzytomny.

Co zaszło w kamienicy na Saint-Denis? Dlaczego Loiza, która nigdy ani słowem nie odezwała się do kawalera de Pardaillan, wzywała jego pomocy? Właśnie to opowiemy.

Jak wiadomo, marszałek de Damville rozpoznał Joannę de Piennes.

Kiedy się upewnił, że przecucie go nie zwiódło, rozejrzał się wokół i stwierdził, że z sąsiednich sklepików ludzie przyglądają mu się z zaciekawieniem. Wtedy oddalił się i wrócił do pałacu Mesmes, gdzie mieszkał, ilekroć przebywał w Paryżu.

Wezwał do siebie któregoś ze swoich oficerów i wydał polecenia, po czym w ubraniu rzucił się na łóżko i przespał parę godzin.

W połowie nocy, mniej więcej o tej samej porze, o której poprzedniego dnia spotkał księcia Andegaweńskiego z jego kompanami, wstał, uzbroił się starannie i poszedł na ulicę Saint-Denis.

Pozostałą część nocy spędził na czatach w tym samym miejscu, które obrał sobie poprzednio.

Nad ranem nadjechały dwie karety w asyście zbrojnych. Henryk wszedł do jednej z nich, żeby nie być widocznym, i dał znak oficerowi, iż może zaczynać.

Ten wraz z kilkoma żołnierzami wszedł do domu. Właścicielka, stara bigotka, przyjęła ich cała drżąca i przeżegnała się, wystraszona, a wtedy oficer powiedział:

— Pani, udzielasz w swoim domu schronienia dwóm hugonotkom, oskarżonym o konszachty z wrogami króla... i narażasz się na podejrzenie o współudział...

— Ja!?

— Chyba że pomożesz mi zaaresztować je bez rozgłosu.



— Jestem na wasze rozkazy, panie oficerze. Kto by to pomyślał! Huzonotki u mnie!

Mieląc te słowa czterema posiadanymi jeszcze zębami, dewotka weszła po schodach, a za nią oficer z żołnierzami.

Zastukała. Kiedy usłyszała, że w pokoju odsuwa się skobel, cofnęła się na bok.

Joanna de Piennes stanęła przed oficerem.

— Czego sobie życzycie, panie?

Oficer poczerwieniał. Zadanie nie bardzo mu odpowiadało. W gruncie rzeczy była to mała zasadzka, bo nie miał żadnego tytułu do dokonania aresztowania i teraz, stojąc przed tą kobietą, rozumiał, że robi coś ohydneho.

Bardziej przejęty niż Joanna odpowiedział półgłosem, jakby zawstydzony.

— Pani, muszę wypełnić stanowczy rozkaz... proszę o wybaczenie, obowiązuje mnie posłuszeństwo...

— Jaki rozkaz? — zapytała Joanna rzucając niespokojne spojrzenie na pokój, w którym znajdowała się jej córka.

— Muszę cię aresztować, pani, jesteś oskarżona o kacerstwo i nieprzestrzeganie ostatnich edyktów.

W tym momencie drzwi z pokoju Loizy otwarły się. Od pierwszego rzutu oka dziewczyna zrozumiała wszystko.

— Panie — powiedziała dama w czerni — mylisz się.

— To będzie łatwe do udowodnienia, pani. A tymczasem proszę iść ze mną bez hałasu.

— Moja córka! Rozłączają mnie z córką! — zawołała Joanna tracąc całą pewność siebie.

Loiza także krzyknęła. Przerazona, nie wiedząc, co czyni, podbiegła do okna, otworzyła je gwałtownie i zobaczyła kawalera de Pardaillan. Jej pierwszym odruchem było wezwać człowieka, z którym jeszcze nigdy nie rozmawiała.

— Ratunku! Na pomoc!

Oficer widząc, że sprawa się gmatwa, wszedł do mieszkania wraz z żołnierzami.

— Pani — powiedział — przysięgam, że nie będziesz rozłączona z córką, gdyż musi ci ona towarzyszyć. Przysięgam, że zabieram was obie do tego samego miejsca. Bądźcie więc posłuszne i nie róbcie hałasu, inaczej będę zmuszony użyć siły, czego żałowałbym do końca życia.

Joanna zrozumiała, że oficer postąpi zgodnie ze swoją zapowiedzią. Uświadomiła sobie niebezpieczeństwo i bezcelowość oporu. W dodatku zapewniono ją przecież, że nie zostanie rozłączona z córką.

— Niech będzie — powiedziała odzyskując stanowczość. — Czy udzielisz mi, waszmość, pięciu minut, żebym się przygotowała?

— Chętnie, pani — zgodził się oficer szczęśliwy, że udało mu się załatwić sprawę tanim kosztem.

Wyszedł z żołnierzami, a tymczasem Joanna dała znak starej gospodyni, żeby weszła. Ta usłuchała, zapytawszy uprzednio wzrokiem o pozwolenie oficera.

Joanna podbiegła do córki, odciągnęła ją od okna i mocno do siebie przytuliła.

— Kogo wzywałaś, córeczko? — zapytała.

— Jedynego człowieka, który mógłby nam pomóc.

— Tego młodego kawalera, który tak często i tak uporczywie wpatruje się w nasze okna?

— Tak, mateczko — przyznała się ogromnie podniecona Loiza, nie zastanawiając się nad tym, że jej słowa są wyznaniem.

— Więc ty go kochasz?

Loiza najpierw zbladła, potem się zarumieniła i dwie łyzy zawisły na jej rzęsach.

— A on? — zapytała Joanna.

— Myślę... że też... Tak, jestem pewna — bąkała Loiza.

— Jeśli tak, to sądzisz, że możemy na niego liczyć?

— Och, mateczko! — zawołała Loiza idąc za podszeptem serca — to najbardziej lojalny człowiek... dałabym za niego głowę!

— Jak on się nazywa? — zapytała matka.

Loiza podniosła na nią wystraszone oczy gazeli.

— Ależ... — powiedziała z uroczą naiwnością — ja jeszcze nie znam... jego imienia.

— Och, niewinności — szepnęła Joanna uśmiechając się przez łyzy. Pomyślała, że i ona ongiś kochała nie znając imienia ukochanego.

— Dobrze — powiedziała. — Nie mamy ani czasu, ani wyboru. Oby się nie pomyliła!

Podbiegła do szkatułki, wyjęła zapieczętowany list, zapewne dawno napisany, i chwyciwszy kartkę papieru spiesznie skreśliła te słowa:

*Panie!*

*Dwie biedne kobiety doświadczone nieszczęściami zawierzają Ci swój los.*

*Jesteś młody i zapewne litość, jeśli już nie inne uczucia, mają do Ciebie dostęp. Jeżeli jesteś taki, za jakiego moja córka i ja Cię uważamy, zechciej, panie, oddać pod właściwym adresem list znajdujący się w tej kopercie.*

*Przyjmij podziękowania i błogosławieństwo za ogromną przysługę, jaką nam oddasz.*

*Dama w czerni*

Zapieczerowała wszystko razem i przywołała właścicielkę domu.

— Pani Maguelonne, czy zechcesz wyświadczyć mi wielką przysługę?

— Oczywiście, moja córko. Ale kto by pomyślał, że jesteś hugonotką? Taka piękna i mądra osoba...

— Pani Maguelonne, czy uważasz mnie za zdolną do kłamstwa? Więc przysięgam, że padłam ofiarą pomyłki... chyba że... — dodała ze smutkiem — to wszystko jest potworną komedią.

— W takim razie — powiedziała kobieta stanowczo — proszę mi powiedzieć, w czym mogę być pomocna, a postaram się wypełnić polecenie, wszystko jedno jakim kosztem.

— Nic to nie będzie kosztować, moja pocziwa pani. Chodzi o doręczenie tego listu kawalerowi, który mieszka w tej oto oberży, ostatnie okno u góry.

Stara kobieta schowała przesyłkę.

— Za dziesięć minut list będzie u adresata. Oby pomyłka szybko wyszła na jaw. Bo któż by cię nie kochał, któż by mógł twierdzić, że jesteś naprawdę hugonotką?

Joanna podziękowała szacownej bigotce i otworzyła drzwi.

— Jesteśmy gotowe, panie — powiedziała.

Oficer zasalutował i zaczął schodzić. Powinienem był się zainteresować tym, co jego więzień miał do powiedzenia właścicielce domu. Ale, jak widzieliśmy, był dość zażenowany rolą, jaką mu przyszło odegrać, i postanowił w duchu, że kiedy uda mu się doprowadzić do pałacu Mesmes damę w czerni i jej córkę, uzna swoją misję za skończoną.

Henryk de Montmorency, ukryty w swojej karecie, stłumił okrzyk złośliwej radości na widok Joanny i jej córki. Nie zauważył nawet, że z oberży „Deviniere” kogoś wywlekają i że liczne grupki komentują to wydarzenie.

Joanna z Loizą weszły do powozu czekającego na nie przed bramą domu. Jejmość Maguelonne odprowadziła je do tego miejsca. Kiedy karetka miała ruszać, Joanna rzuciła jej spojrzenie będące błagalną prośbą. Stara szybko zbliżyła się i szepnęła do Joanny:

— Proszę się nie obawiać, za parę minut list znajdzie się w rękach kawalera de Pardaillan.

W tej chwili Joanna wydała okrzyk rozpacz i przerażenia, blada jak trup chciała wyskoczyć, ale fartuchy opuszczono i karetka ruszyła z miejsca.

Odchodząc od zmysłów Joanna zdołała jedynie wyszeptać:

— Kawaler de Pardaillan! Co za fatum!

Jejmość Maguelonne, jak niektóre stare kobiety niemające nic do roboty, spędzała czas na podpatrywaniu. Musiała zatem zauważyć młodego mężczyznę, w końcu domyśliła się, dokąd kieruje on spojrzenia, a ponieważ była w dobrych stosunkach z jedną ze służących z oberży, dowiedziała się wszystkiego, czego mogła, o kawalerze de Pardaillan; tymczasem Loiza nie знаła nawet jego imienia. Staruszka zwierzyła miłosną historię, w którą miała zostać wplątana.

Toteż ożywiona, ale ze spuszczonej oczami, weszła do oberży i zwróciła się do swojej sąsiadki Huguette Grégoire Landry:

— Chciałabym mówić z panem de Pardaillan.

— Kawaler de Pardaillan! — krzyknął mistrz Landry usłyszawszy jej słowa. — Czyżbyś pani nic nie wiedziała?

— Nie... nic nie wiem. Co się stało?

— Ten straszny Pardaillan... ten rębacz, ten samochwała... został aresztowany.

— Aresztowany? — zdumiała się stara blednąc nie dlatego, że przejęła się losem kawalera, ale z obawy, że może się w coś wplątać.

Huguette Landry ze smutkiem dała znak, że jej mąż mówi szczerą prawdę, on zaś ciągnął dalej.

— Przyszła na niego kryśka! Będzie miał nauczkę, żeby nie łąpać porządnych ludzi za kołnierz i trzymać zawieszonych w powietrzu.

— Ale co on takiego zrobił?

— Podobno spiskował z hugonotkami.

Jejmość Maguelonne spiesznie wróciła do siebie i schowała głęboko list.

„Teraz wszystko jasne — rozmyślała. — One były hugonotkami i spiskowały z tym gagatkiem z naprzeciwnika”.

Kiedy takie rzeczy działy się na ulicy Saint-Denis, karetka unosząca Joannę de Piennes i jej córkę dotarła do pałacu Mesmes, wjechała na dziedziniec i bramę zatrzaśnięto.

Oficer kazał kobietom wyjść; przytulone do siebie poszły za nim na pierwsze piętro. Tu zatrzymał się przed jakimiś drzwiami i skłoniwszy się rzekł:

— Proszę wejść. Moja misja jest skończona.

Joanna de Piennes skwitowała jego słowa skinieniem głowy i otworzyła drzwi, które zamknęły się, gdy tylko weszła z córką do pokoju.

Usłyszały szczełęk klucza.

Komnata, w której je zamknięto, była obszerna i bogato umeblowana. W głębi zobaczyły otwarte drzwi. Prowadziły one do sypialni, z której następne drzwi wiodły do drugiej sypialni. Tu kończył się trzypokojowy apartament z oknami wychodzącymi na dziedziniec.

Joanna padła na fotel.

— List! — zawołała Loiza wskazując palcem kartkę papieru na biurku.

Chwyliła ją i przeczytała:

*Więźniarki mogą się nie obawiać niczego złego. Jeśli im czegoś potrzeba, niechaj potrząsną dzwoniem znajdującym się obok tego listu. Mają do swojej dyspozycji pokojówkę, która przybiegnie na pierwszy sygnał. To ona będzie podawać posiłki. Są wszelkie szanse, że to uwięzienie nie potrwa dłużej niż kilka dni.*

— Co to wszystko ma znaczyć? — zapytała cicho Loiza. — Na szczęście, mameczko, to miejsce nie wygląda na więzienie!

— Może byłoby znacznie lepiej, gdybyśmy się znalazły w budynku należącym do króla.

Joanna potrząsnęła głową, jakby chcąc odpędzić straszne podejrzenia, jakie się jej nasuwały.

— Zaczekajmy, drogie dziecko, zaczekajmy. Niebawem dowiemy się, co mamy robić. Ale na razie muszę ci wyznać coś ważnego.

— Słucham, matko — powiedziała Loiza siadając obok niej.

— Dziecko moje, chodzi o tego młodego kawalera.

Loiza spłonęła rumieńcem.

— A więc kochasz go naprawdę? — zapytała matka.

Córka opuściła głowę.

Matka przez chwilę milczała, jak gdyby wahała się, czy ma dalej mówić.

— Teraz już znamy jego imię — rzekła wolno.

— Tak, jejmość Maguelonne powiedziała nam. Nazywa się kawaler de Pardaillan.

Loiza wymówiła to słowo z taką czułością, że Joanna zadrżała.

— Kawaler de Pardaillan — szepnęła przygnębiona.

— Mateczko, mateczko! — wołała Loiza. — Można doprawdy pomyśleć, że to imię nie jest ci obce i że sprawia ci jakąś dziwną przykrość, której nie rozumiem. Zastanawiam się... Niedawno, kiedy Maguelonne wymówiła je, wydałaś okrzyk, w którym usłyszałam trwogę, a nawet coś jakby przerażenie... Byłaś nieprzytomna, mateczko! Ja cała dygoce, mam przeczucie, że dowiem się czegoś straszego!

— Posłuchaj, Loizo! Kiedy przysłaś na świat, twoja biedna matka doświadczyła już była ciężkich nieszczęść. Spadły na nią potworne ciosy. Takie, że gdybym ciebie nie miała, Loizo, umarłabym wtedy z bólu i rozpacz. Nigdy nie zrozumiesz, jak ja cię ubóstwiałam!

— Mateczko, wystarczy na ciebie spojrzeć, żeby to sobie uświadomić. — Loiza drżała jak w febrze.

— Drogie dziecko! Kochałam cię tak, jak kocham teraz. Kochałam cię bardziej niż siebie samą, bardziej niż kogokolwiek na świecie, kochałam cię nawet bardziej niż j e g o!

— Jego?

— Mego małżonka... twego ojca.

— Och, matko! Nigdy nie wymówiłaś przy mnie jego imienia!

— Teraz je poznasz. Wybiła godzina. Twój ojciec, Loizo, nazywał się Franciszek de Montmorency.

Loiza wydała lekki okrzyk.

— Dokończ, mateczko! — poprosiła.

Nie olśniło jej wielkie nazwisko, chociaż zawsze sądziła, że jest skromnego pochodzenia; ale przypomniała sobie, jak matka jej mówiła, że jeden z dwóch najniebezpieczniejszych na świecie ludzi, których miała się wystrzegać, nazywał się Henryk de Montmorency.

Teraz zawisła wrokiem na wargach matki, ta zaś ciągnęła dalej:

— Twój ojciec wyruszył na trudną wyprawę. Myślałam, że poległ. Pewnego dnia — był to dzień niesłychanej radości, a zarazem nieubłaganego nieszczęścia — dowiedziałam się, że on żyje, że wrócił i już do mnie podąży. Otóż wiedz, że tym, który mi przyniósł te wieści, był Henryk de

Montmorency, brat twego ojca. Dowiedz się jeszcze czegoś, moje dziecko. Mianowicie, że ów człowiek, zanim przekazał mi tę wiadomość, kazał cię porwać nędznikowi... tygrysowi, jak go sam nazywał. Gdy mi powiedział o powrocie twego ojca i o tym, że kazał cię porwać, dodał, że jeśli zaprzeczę słowom, jakie wypowie w obecności mego małżonka — da znak i ty zostaniesz zamordowana!

— Potworność!

— Tak, potworność! Gdyż nikt nigdy nie dowie się, ile wycierpiałam wtedy w obecności mego męża, kiedy Henryk de Montmorency oskarżył mnie o wiarołomstwo. Chciałam zaprzeczyć, ale przy najmniejszym geście widziałam, jak jego ramię przygotowuje się, aby dać sygnał decydujący o twojej śmierci tygrysowi, który cię porwał. Więc milczałam...

— Och, mateczko! — wykrzyknęła Loiza rzucając się w objęcia Joanny — jak strasznie musiałaś cierpieć!

— Teraz rozumiesz, dlaczego zawsze powtarzałam, że jest na świecie człowiek, którego powinnaś nienawidzić, że musisz przed nim uciekać, jak się ucieka od nieszczęścia, od śmierci... a jest nim Henryk de Montmorency.

— A ten drugi, mateczko... — pytała Loiza cichutko.

— Ten drugi, który cię porwał...

— Tak, matko...

— Loizo, zbierz całą odwagę; ten potwór nazywał się kawaler de Pardaillan.

Loiza nie wydała okrzyku, nie zrobiła żadnego gestu. Stała jak gromem rażona, bardzo blada, tylko dwie duże łzy stoczyły się po jej policzkach.

— Ojciec tego, którego kocham...

Joanna uściśnęła ją konwulsyjnie.

— Tak — powiedziała rozgorączkowana. — Tak, moja najdroższa Loizo, obie jesteśmy napiętnowane tym samym nieszczęściem... Uratował cię pewien wspaniałomyślny mężczyzna i odniósł mi ciebie. I to on powiedział mi imię tego potwora. Tak, to był ojciec tego, kogo pokochałaś... gdyż dowiedziałam się, że ten potwór miał cztero- czy pięcioletnie dziecko... Tygrys zapewne już nie żyje... ale dziecko wyrosło na mężczyznę.

Loiza milczała. Pokochała syna nędznika, przez którego jej matka była skazana na to nieszczęsne życie. Kto mógł wiedzieć, czy syn nie para się takimi samymi bezeceństwami, jak jego ojciec? Dlaczego nie przybiegł na ratunek? Dlaczego śledził je od tak dawna?

Tak, nie ulegało wątpliwości. Kawaler de Pardaillan był wysłannikiem

człowieka, który je więził, który więził jej matkę.

— Mateczko — szepnęła pełna trwogi — serce mi pęka...

— Droga, kochana dziecinko... musiałam, żeby uniknąć największego nieszczęścia...

— Moje serce umarło, ale nie o sobie teraz myślę...

— O kim, drogie dziecko? — zapytała Joanna wpatrując się w twarzyczkę córki. — Zapewne o nim. Och, dziecko, odwróć swoje myśli...

Loiza pokręciła głową.

— Myślę o człowieku, który nas porwał, i wydaje mi się, że odgadłam jego imię... To...

— Zamilcz, zamilcz — wyjąkała Joanna, jak gdyby słowo, które miała na ustach córka i ona sama, było przekleństwem.

W tym momencie Joanna jeszcze gwałtowniej przygarnęła córkę jedną ręką, drugą zaś wyciągnęła ku drzwiom, które otwarły się bezszelestnie.

— To on — wyszeptała i zbladła jak trup.

Na progu stał, także biały jak ściana, podobny do widma, Henryk de Montmorency.

## XVII

### KOBIETA-SZPIEG

W naszym opowiadaniu znalazła się pewna osoba, która tylko mignęła, i czas najwyższy pokazać ją w pełnym świetle. Jest nią mianowicie Alicja de Lux, towarzysza królowej Nawarry. Pamiętamy, jak Joanna d'Albret i Alicja de Lux, uratowane przez kawalera de Pardaillan, udały się do Żyda Issaka Rubena i jak potem wsiadały do pojazdu czekającego poza murami miasta nie opodal bramy Saint-Martin.

Kareta ciągniona przez cztery małe koniki ominęła Paryż jadąc pod wzgórzem Montmartre, a potem pomknęła prosto w kierunku Saint-Germain, gdzie został podpisany pakt pomiędzy katolikami a protestantami, pakt, który był niczym innym jak niebezpiecznym zawieszeniem broni.

Joanna d'Albret zatrzymała się w domu przy jednej z uliczek po prawej stronie zamku. Tu w dużej sali czekało na nią trzech panów.

— Proszę do mnie, hrabio de Marillac — przywołała jednego z nich.



Ten, do którego się w ten sposób zwróciła, był mężczyzną w wieku około dwudziestu pięciu lat, o silnej budowie ciała i smutnych oczach. Na widok królowej i jej towarzyszkii twarz mu się nagle rozjaśniła.

Alicja także na niego spojrzała i dziwnie się zmieszała.

Hrabia de Marillac złożył królowej ukłon i poszedł za nią do odosobnionego gabinetu.

— Dlaczego miłościwa pani tak mnie nazywa? — zapytał.

Joanna d'Albret spojrzała na niego wymownie:

— Czyż nie jest to twoje nazwisko? — zapytała. — Czyż nie nadałam ci tego tytułu?

— Wszystko zawdzięczam waszej miłości: życie, fortunę, tytuł... Moja wdzięczność skończy się wraz z ostatnim uderzeniem serca, ale nazywam się Deodat... Och, królowo, czy nie zauważyłaś, że ty jedna używasz tytułu hrabiego de Marillac, gdy cały świat nazywa mnie Deodatem-znajdą...

— Dziecko moje — odezwała się królowa serdecznie a zarazem stanowczo — musisz odpędzić te myśli. Dzielny, lojalny, nieustraszony, twoim przeznaczeniem jest piękna przyszłość i nie upieraj się przy śmiertelnie niebezpiecznych poszukiwaniach, które mogą sparaliżować wszystko, co w tobie dobre i szlachetne...

— Och, czemuż musiałem niechcący usłyszeć tę rozmowę? Dlaczego fatum sprawiło, że poznałem imię matki? Czemu nie umarłem w dniu, kiedy słysząc to imię dowiedziałem się, że jest nią niedobra królowa, bezlitosna Medyceuszka? — głos hrabiego tłumilo wzruszenie.

W tym momencie w sąsiednim pokoju dał się słyszeć zduszony jęk. Ale ani królowa, ani hrabia, pochłonięci rozmową, nie zwrócili na to uwagi.

— Tak czy inaczej — ciągnęła dalej królowa stanowczym tonem — ukryj w sobie ten fatalny sekret. Wiesz, jak cię kocham; wychowałam cię jak własnego syna, biegałeś po górach razem z moim Henrykiem, bądź więc nadal moim przybranym synem...

Hrabia de Marillac, przejęty, pochylił się z szacunkiem, ujął dłoń królowej i złożył na niej pocałunek.

— A teraz, hrabio, słuchaj mnie uważnie. Potrzebny mi jest w Paryżu człowiek pewny.

— Ja nim będę — żywo zareagował Deodat.

— Oczekiwałam tej propozycji, moje dziecko — powiedziała wzruszona królowa. — Ale bądź tam bardzo ostrożny, gdyż ryzykujesz życiem.

— Moje życie należy do ciebie, królowo.

— Może się też zdarzyć — wolno mówiła Joanna — że będziesz musiał zaryzykować czymś więcej niż życiem... może znajdziesz się w sytuacji, kiedy będziesz musiał walczyć z własnym sercem... dlatego, drogie dziecko, oczekuję od ciebie czegoś więcej niż odwagi, oczekuję wspaniałości, której mogę się spodziewać tylko po tobie...

— Jakiegokolwiek zajdą okoliczności, nigdy nie zdołam zapomnieć, że jeśli żyję, zawdzięczam to wyłącznie tobie, miłościwa pani.

— Tak — wyszeptwała królowa w zamyśleniu — to konieczne... — Wysłuchaj mnie, drogie dziecko, mój drogi synu...

Joanna d'Albret choć pewna, że nikt nie podsłuchuje, zaczęła szeptać. Rozmowa, a raczej monolog, trwał całą godzinę.

Pod koniec tej godziny hrabia krótko powtórzył świeżo otrzymane instrukcje.

Joanna d'Albret przyciągnęła go do siebie i ucałowała w czoło mówiąc:

— Odejdź już, synu, weź na drogę moje błogosławieństwo.

Deodat oddalił się, przeszedł przez salę, gdzie czekali dwaj inni panowie.

Szybko obrzucił wzrokiem komnatę, ale nie znalazł tej, którą chciał zobaczyć raz jeszcze, więc wyszedł na uliczkę, wziął konia przywiązanego za uzdę do stojaka, wskoczył na siodło i pojechał zalesionym zboczem w kierunku Paryża.

Po dwudziestu minutach hrabia de Marillac — lub Deodat, jeśli wolimy go tak nazwać — dotarł do osady złożonej z paru chat zbudowanych wokół mizernej dzwonnicy. Osada nazywała się Mareil. W ciemności hrabia wypatrzył wiązanekę z liści dębu i bukszpanu nad jakimiś drzwiami. Była to oberża.

Westchnął i zeskoczył z konia usprawiedliwiając się w duchu, że o tej porze bramy Paryża są już zamknięte i że lepiej zaczekać tutaj do rana, niż szukać schronienia gdzieś w Rueil czy Saint-Cloud.

Uderzył w drzwi gospody ręką szpadą. Po dziesięciu minutach oberżysta przyszedł otworzyć, a na widok szpadą bardziej nawet niż na widok błyszczącego talara zgodził się podać hrabiemu posiłek. Postawił jedzenie na rogu stołu przy palenisku.

Po wyjściu hrabiego de Marillac królowa Nawarry przez parę minut siedziała sama, zamyślona. Potem stuknęła dwa razy młoteczką w dzwonek. Otworzyły się drzwi, stanęła w nich Alicja de Lux.

— Alicjo — odezwała się Joanna d'Albret — powiedziała ci po tym, jak zostaliśmy uratowane, że byłaś bardzo nieostrożna...

— To prawda, ale myślałam, że wytłumaczyłam się miłościwej pani...

— Alicjo — przerwała królowa — mówiąc, że byłaś nieostrożna, pomyliłam się... albo udałam, że się mylę; bo gdybym ci wyjawiała w danej chwili moją prawdziwą myśl, mogłabyś popełnić jakąś nową nieostrożność, która mogłaby okazać się fatalną.

— Nie rozumiem, pani... — wyjąkała Alicja de Lux.

— Zaraz mnie zrozumiesz. Kiedy przybyłaś na dwór Nawarry, powiedziałaś, że byłaś zmuszona uciekać przed gniewem królowej Katarzyny, gdyż chciałaś przejść na religię reformowaną... Działo się to osiem miesięcy temu... przyjechałam cię, jak zawsze przyjmuję osoby prześladowane, a ponieważ miałaś dobre pochodzenie, umieściłam cię pomiędzy damami dworu... Czy mogłaś mi coś zarzucić przez te osiem miesięcy?

— Najjaśniejsza pani, obsypałaś mnie łaskami — odparła Alicja — ale ponieważ moja królowa raczy mnie wypytywać, pozwolę sobie i ja z kolei zadać jedno pytanie: czy zawiodłam? Czy przez te osiem miesięcy nie wypełniałam gorliwie wszystkich moich obowiązków? Czy kiedykolwiek usiłowałam odwieść któregoś z panów od obowiązków wojennych?

— Przyznaję — odparła królowa — że wykazałaś gorliwość, która mogła niejednego zadziwić. Cóż ci powiem? Czasem wolałabym, żebyś była katoliczką, a nie protestantką... Co do twojego zachowania wobec panów — jest ono bez zarzutu. Tak, spełniałaś swoje obowiązki znakomicie, do tego stopnia, że nawet kiedy nie byłaś na służbie i nawet kiedy nie byłaś mi potrzebna, zawsze znajdowałaś się w pobliżu mnie, żeby wszystko widzieć, jeśli nie wszystko słyszeć.

Tym razem oskarżenie było tak wyraźne, że Alicja zazdrzała.

— Och, miłościwa pani — szepnęła — boję się rozumieć...

— A jednak musisz. Moje podejrzenia zrodziły się dopiero jakieś dwa tygodnie temu. Musimy się rozstać, gdyż zdobyłam pewność, że mnie zdradzasz...

— Najjaśniejsza pani mnie wypędza! — bełkotała dziewczyna.

— Tak — odpowiedziała bez ogródek królowa.

Alicja de Lux przytrzymała się oparcia fotela, miała spojrzenie skażone.

— Najjaśniejsza pani się myli... padłam ofiarą niecnym kalumnii...

— Posłuchaj — powiedziała Joanna d'Albret głosem tak smutnym, że dziewczyna aż się wzdrygnęła — mogłabym cię oddać w ręce moich sędziów, ale na to się nie zdobędę. Zadowolę się odesłaniem cię do twojej pani, królowej Katarzyny.

— Wasza wysokość się myli... — powtarzają Alicja.

Królowa Nawarry pokręciła głową.

— Pamiętasz, jak weszłam do ciebie i złapałam cię na pisaniu listu? Dlaczego wrzuciłaś go do ognia?

— Pani — zawołała Alicja — muszę wyznać całą prawdę! Pisałam do mego ukochanego!

— Tak właśnie przypuszczałam i dlatego milczałam. Pewnego dnia, Alicjo, jeden z moich oficerów widział, jak rozmawiasz z kurierem udającym się do Paryża. Kurier oddalił się spieszenie i nigdy już tu nie wrócił. Dlaczego?

— Dawałam mu polecenia dla moich przyjaciół w Paryżu, pani. Czy to moja wina, że ten człowiek tu nie wrócił? Zresztą, kto wie, czy nie został zabity?

— Tak, tak to tłumaczyłaś i ja ci uwierzyłam. Ale, jak powiedziałam, dwa tygodnie temu zaczęłam cię poważnie podejrzewać.

— Dlaczego, królowo, dlaczego?

— Nalegałaś tak bardzo, żeby towarzyszyć mi do Paryża, iż to przywiodło mi na pamięć fakty, które przed chwilą wyłuszczyłam, a także wiele innych. Zdecydowałam wypróbować cię! Widzisz, do jakiego stopnia mierziło mnie dać wiarę temu, o co wielu moich doradców cię oskarżało, skoro zaryzykowałam życiem w nadziei, iż dowiodę twojej niewinności.

— Miłościwa pani, jestem niewinna, skoro żyjesz...

— To nie twoja zasługa Alicjo! Ty byłaś w zмовie z tymi, którzy chcieli mnie zgładzić. To ty chciałaś, żeby karetą jechała przez most. To ty rozchyliłaś zasłony. To twój krzyk wskazał mnie zbirom. To tobie jeden z nich chciał wręczyć ten liścik, kiedy karetą przewróciła się. Musiałam być wtedy mniej oszołomiona niż ty, gdyż widziałam, jak ten bilecik upadł na twoje kolana, potem podniosłam go z ziemi i schowałam; oto on!

Mówiąc te słowa królowa Nawarry podała Alicji kartkę mikroskopijnego formatu złożoną w trójkąt.

Dziewczyna padła na kolana, a raczej zwała się, przygnieciona takim wstydem, iż myślała, że nigdy nie zdoła się podnieść.

— Przeczytaj! — rozkazała Joanna d'Albret. — Czytaj, gdyż ten bilecik zawiera polecenie twoich mocodawców.

Pokonana zdrajczyni rozwinęła bilecik i przeczytała: » „Jeśli sprawa się powiedzie, bądź w Luwrze jutro rano. Jeśli się nie powiedzie, opuść swoje stanowisko jak najprędzej prosząc oficjalnie o urlop i przybądź za tydzień. Królowa chce z tobą mówić”. Podpisu nie było.

Słaby okrzyk, jęk wstydu, wyrwał się ze spierzchniętych warg szpiega. Królowa Nawarry obdarzyła Alicję de Lux spojrzeniem łaskawej władczyni i rzekła:

— Wyjdz...

Alicja wstała powoli; zobaczyła, jak królowa wyciągniętą ręką wskazuje jej drzwi i zaczęła się cofać, aż się o nie oparła. Trzęsącymi się rękami otworzyła je, wyszła i dopiero wtedy puściła się biegiem jak szalona.

Joanna d'Albret wyszła za nią i udała się do sali, gdzie oczekiwali dwaj rycerze.

— Panowie, wyjeżdżamy — powiedziała.

W parę chwil później karetą eskortowana przez dwu mężczyzn na koniach oddaliła się szybko.

Alicja de Lux opuściwszy dom pędziła dalej jak nieprzytomna. Gdy biegła przez majdan zamkowy, nagle zatrzymała się i ze strachem rozejrzała się wokoło.

— Dokąd iść? — szepnęła. — Gdzie się ukryć? Co się ze mną stanie, kiedy o n się dowie? Jestem zgubiona! Co robić! Jechać do Paryża? Oddać się pod rozkazy bezlitosnej Katarzyny? O, nie, za nic. Co ja zrobiłam? Chciałam zamordować królową Nawarry! Jaka jestem podła!

Usiadła na kamieniu, oparła brodę na dłoniach.

Tam w górach, gdzie syn Joanny d'Albret uganiał się za wilkiem, jeśli nie za spódniczkami, nazywano ją Piękną Bearnenką. To przezwisko pasowało do niej idealnie. Ale teraz, w tej chwili, nikt by nie dojrzał urody w jej zmienionych strachem rysach, w błędnych oczach.

„Co robić — rozważała dalej. — Uciec przed królową Katarzyną? Nonsens! Żeby się przed nią ukryć, istnieje tylko jedno miejsce; mogiła... a ja nie chcę umierać. Nie, o, nie, jestem na to za młoda... Dalej, nędzniczo, musisz dojść do kresu swej hańby. Wstawaj, szpiegu! Królowa na ciebie czeka...”

Podniosła się machinalnie i wróciła na drogę, którą niedawno przybiegła; skierowała się w stronę Paryża na wycucie, gdyż słabo знаła teren.

Po godzinnym marszu zobaczyła parę niskich domów i stanęła przypatrując się im. O jakieś dziesięć kroków przed sobą dostrzegła nikłe światelko sączące się z jakiegoś okna. Z bezwiedną stanowczością, jaka kierowała wszystkimi jej krokami, podeszła do tego domu i zastukała do drzwi, które otworzono prawie natychmiast.

— Potrzebny mi pokój na jedną noc — powiedziała.

— Dobrze — odparł oberżysta — ale proszę wejść się ogrzać, trzęsiesz się cała, pani.

Otworzył drzwi prowadzące do sali zajezdnej oświetlonej ogniem z paleniska. Gdy weszła, instynktownie obróciła się do ognia, do ciepła. Wtedy zobaczyła mężczyznę siedzącego tyłem do niej, opartego łokciami o stół.

Musiała go poznać od razu, gdyż płomienie uderzyły jej do białej twarzy i z piersi wydarł się okrzyk.

Mężczyzna obrócił się szybko: był nim Deodat.

— To ty, Alicjo! — powitał ją gorąco. — Więc ja nie śnię? To ty! I to w chwili, kiedy jestem pogrążony w smutku na myśl o długim rozstaniu!

Przyciągnął ją bliżej ognia bijącego z paleniska, posadził i nie wypuszczał jej dłoni ze swoich rąk.

— Zmarzłaś na sople lodu! I cała drżysz, Alicjo. Masz zimne ręce!

Przysuń się... tak, tu... bliżej ognia. Jakaś ty błada! Wyglądasz na zmęczoną...

„Co mu powiem?” — zastanawiała się Alicja.

Milczała. Dlaczego? Bo musiała przestraszyć się sama swojej śmiałości! Wszak młoda dziewczyna opuszczająca królową Nawarry, żeby do niego dołączyć, popełnia czyn, który ją kompromitował na zawsze, który ją gubił! On zaś był wprost śmieszny szukając powodu jej błądności, jej niepokoju i milczenia!

To prawda, że się kochali, że sobie zaprzysięgli wierność, że się zaręczyli!

Jak żałował w tym momencie, że nie zwierzył się z tej miłości królowej Nawarry... Na pewno pocieszyłaby jego słodką narzeczoną ta dobra, macierzyńska królowa! Przekonywałaby go, żeby cierpliwie znosił rozłąkę.

Uściskał dłonie dziewczyny nieśmiało i wyszeptał:

— Alicjo...

Przymknęła oczy myśląc: „Okropna chwila. Och, umrzeć, zanim moje wargi rozchyłą się do mówienia!”

— Alicjo! — szeptał — drogi aniele mego smutnego życia, jeśli kiedykolwiek byłem dość niegodziwy, żeby wątpić w twoją miłość, jaki wspólnie, cudowniejszy dowód mogłabyś mi dać niż to najwyższe zaufanie, które popchnęło cię do wyruszenia w drogę w ślad za mną!

W oczach dziewczyny błysnęło szczere zdziwienie.

— Lecz nikt nie powinien dowiedzieć się o tym, coś zrobiła — mówił dalej. — Chodź, kochana, za pół godziny będziemy w Saint-Germain i

wyznamy wszystko królowej... potem ja odjadę, a ty będziesz na mnie czekać spokojnie, z ufnością...

Alicja odzyskała mowę, nareszcie znalazła odpowiednie słowa:

— Królowa wyjechała...

— Wyjechała!?

— Jest już bardzo daleko...

Zapadło milczenie. Ogromnie zmieszany Marillac patrzył z niesłuchanym rozczuleniem na Alicję, która pomалу wracała do siebie. Niebezpieczna rozprawa odsunęła się o kilka godzin czy kilka dni dzięki temu jedynie, że hrabia uwierzył, iż dziewczyna zdobyła się na szalony krok wyłącznie z miłości.

— Skorzystałam z chwili, kiedy królowa wsiadała do powozu, żeby się oddalić... słyszałam, że mnie wołają, że mnie szukają... potem zobaczyłam, jak kareta odjeżdża.

— To wielkie nieszczęście — powiedział hrabia. — Zrozum mnie, Alicjo. Dla mnie pozostaniesz na zawsze czystą i szlachetną narzeczoną, wybranką mego serca. Ale co powiedzą inni! Co powie królowa?

— Nie obchodzi mnie, co inni mogą pomyśleć czy powiedzieć, skoro cię widzę... Nie mogłam znieść myśli o dłuższym rozstaniu... a kiedy zobaczyłam, jak odjeżdżasz do Paryża, jakaś nieodparta siła pchnęła mnie także w drogę...

Wymawiając te słowa Alicja wyglądała na poruszoną. I była nią rzeczywiście. Ale nie z powodu miłości czy zbytnej wstydlivości. Męczyło ją jej kłamstwo. A także jego skutki.

Lecz Deodat widział w tym jedynie wybuch uczucia.

— Wybacz, Alicjo, wybacz — wołał z zachwytem. — Jesteś lepsza, dumniejsza, bardziej wspaniałomyślna ode mnie, ja nie zasługuję na miłość takiej dziewczyny jak ty! Tak, tak, moja Alicjo, jesteś moja, a ja jestem twój cały, na zawsze i to od pierwszego dnia, kiedy cię zobaczyłem. Pamiętasz, Alicjo? Przyjechałaś z Paryża... byłaś sama... twój powóz wywrócił się w górach... woźnice cię opuścili i ty, dzielna, pieszo szłaś dalej; spotkałem cię nad górskim potokiem, przez który nie mogłaś przejść... wtedy opowiedziałaś mi swoją historię... ty mówiłaś, a ja patrzyłem pełen zachwytu. Długo siedzieliśmy sami pod dużym orzechem, a kiedy zapadł zmrok, wzięłem cię w ramiona i przenieśliśmy na drugi brzeg strumienia, i zaprowadziłem do królowej Nawarry.

W tym dniu zrodziła się moja miłość i gdybym miał przeżyć sto istnień, nigdy nie zapomnę tej chwili, kiedy trzymałem cię w ramionach. Bo wszedłaś w moje życie jak promień słońca, który przenika do ciemnicy. Alicjo, Alicjo, po raz drugi opromieniasz mnie jak słońce. Bądźmy

dla siebie wzajem pełnią szczęścia i zapomnijmy o całym świecie. Jakie znaczenie ma to, co mówią? Alicja de Lux przytuliła zbielełą twarz do serca ukochanego i szepnęła:

— Obyś miał rację! Obyśmy mogli zapomnieć o całym świecie! Słuchaj, ukochany, ja także byłam śmiertelnie smutna. I mnie spowijał mrok, i ja cierpiałam tortury. Nie, nie zgaduj, ty przyszedłeś i rozjaśnił się ponury horyzont, do którego pchało mnie fatum. Czyżbyśmy byli parą wyklętych, którą anioł litości rzucił ku sobie, żeby uratować od rozpacz? Chyba! A więc, skoro ty jesteś dla mnie wszystkim i ja dla ciebie wszystkim, uciekajmy ukochany, uciekajmy! Opuśćmy Francję. Przejdźmy przez góry i, jeśli trzeba, przepłynijmy morza.

— Droga, ubóstwiana! Jesteś dziwnie podniecona!

— Nie, jestem spokojna i powtarzam z całym spokojem: wyjedźmy. Do Hiszpanii czy do Italii, a nawet dalej, jeśli trzeba.

Hrabia de Marillac wolno pokręcił głową.

— Posłuchaj, Alicjo. Przysięgam na moją duszę, że gdybym miał swobodę działania, odpowiedziałbym: chcesz wyjechać? Dobrze, jedźmy, wybieraj dokąd.

— A więc nie jesteś wolny — powiedziała Alicja z goryczą.

— Nic nie wiesz? Pewnego dnia wyjawię ci sekret mego urodzenia... a nawet imię mojej matki.

Alicja drgnęła: przecież odkryła ten sekret!

Tam w zamku Saint-Germain wszak to ona wydała stłumiony okrzyk, kiedy hrabia de Marillac mówił o swojej matce... Katarzynie Medycejskiej.

— Tak — ciągnął dalej Deodat. — Przyjdzie dzień, w którym opowiem ci wszystko. Ale wiedz już teraz, że jest na świecie osoba, którą czczę bardzo, że gotów byłbym w razie potrzeby umrzeć za tę kobietę. Jest to bowiem kobieta, Alicjo, ty ją znasz: to królowa Nawarry, ta, którą nazywamy naszą dobrą królową. Ona mnie uratowała, była mi matką, jej zawdzięczam wszystko: życie, honor i zaszczyty. Obecnie jestem potrzebny królowej Joannie. Gdybym teraz odjechał, byłoby to nie tylko ucieczką, ale wręcz nikkzemnością, zdradą.

— Rozumiem — szepnęła Alicja blednąc. — Więc nie wyjedziemy?

— Pomyśl tylko, jakie nieszczęścia spadłyby na naszą królową, gdybym nie pojechał do Paryża.

— Tak, tak, to prawda... królowa jest zagrożona, nie powinieneś jej opuszczać...



— Jesteś wspaniałomyślna, droga przyjaciółko. Ale nie myśl, że mój obowiązek wobec królowej każe mi zapomnieć o mojej miłości. Alicjo, ponieważ królowa Nawarry wyjechała i nie możesz teraz do niej dołączyć, pojedziesz ze mną do Paryża. Znam pewien dom, gdzie zostaniesz przyjęta jak córka...

— Co to za dom?

— Dom naszego sławnego wodza, admirała Coligny.

Z kolei Alicja pokręciła głową i powiedziała:

— Chyba nie chcesz się schronić u admirała? — Zamknęła oczy, przygnębiona. — Jestem zmęczona — szepnęła. — Zmęczona do tego stopnia, że nie wiem, co się ze mną dzieje... Gdybym mogła zdrzemnąć się tu... przy ogniu... pod twoim spojrzeniem... chyba całe zmęczenie by ustąpiło.

Jakby zapadając w sen odrzuciła głowę do tyłu.

Hrabia de Marillac na czubkach palców podszedł do oberżysty, poprosił o poduszki i jakąś derkę.

Ułożył poduszki pod głową Alicji, okrył ją i sądząc po jej regularnym oddechu, że zasnęła, usiadł oparłszy łokcie o stół, z oczami utkwionymi w dziewczynę. Pełen rozczulenia czuwał nad jej snem.

Alicja de Lux rozmyślała.

Musimy tutaj streścić jej rozważania, gdyż inaczej pewne postawy naszych bohaterów stałyby się niezrozumiałe.

Sytuacja tej kobiety była tragiczna, jej dramat wyjątkowy, gdyż uwielbiała hrabiego de Marillac. Raczej wolałaby tysiąc razy umrzeć, niż ukazać mu się w prawdziwej postaci. Deodat, syn Katarzyny Medycejskiej, duszą i ciałem był oddany Joannie d'Albret. Alicja de Lux szpiegowała dla Katarzyny Medycejskiej i na zgubę Joanny d'Albret. Z tych przesłanek wyłaniał się nieubłagalny wniosek: Alicja i Deodat stali na wrogich pozycjach, byli nieprzyjaciółmi i w owych czasach obowiązkiem każdego z nich było zgładzić drugiego. Otóż, jeśli Deodat nic nie wiedział o Alicji, to szpieg wiedział wszystko o emisariuszu Joanny d'Albret.

Z tego, o czym tu mówimy, wypływa niezbiecnie, że Alicja doszedłszy w myślach do tego przerażającego stwierdzenia, musiała rozważyć dwie możliwości:

1, albo skończyć z sobą; 2, albo żyć.

Pierwszą ewentualnością było samobójstwo. To nie nastęrczałoby trudności, gdyż zawsze miała przy sobie na wszelki wypadek piorunującą truciznę. A więc nic łatwiejszego. W ten sposób uniknęłaby hańby. Tak, ale rezygnowałaby z miłości. Odrzuciła to rozwiązanie.

Druga możliwość: pozostać przy życiu. Mogła spróbować wywieźć Deodata daleko od Paryża. To miało pewne szanse powodzenia. Najważniejsze, żeby się niczego nie dowiedział. Mogła spróbować wyrwać się spod władzy Katarzyny.

Postanowiła: rozłączy się z Deodatem na czas nieokreślony. Wymyśli powody dla takiej rozłąki. Powróci do Katarzyny i będzie czekać. Skoro tylko się od niej uwolni, wróci do hrabiego i namówi go, aby z nią wyjechał.

A co się stanie, jeżeli w tym czasie on zobaczy się z królową Nawarry? Jeżeli królowa zacznie mówić? Ale dlaczego Joanna d'Albret miała by mówić, jeśli on będzie milczał? Musi zatem coś wymyślić, żeby Deodat nigdy o niej nie wspominał królowej.

Po przyjęciu takiej koncepcji pozostawało znaleźć powody do rozłąki.

Ale czy rozłąka musi być całkowita? Nie, to niekonieczne. A nawet kryje w sobie pewne niebezpieczeństwo. Trzeba, żeby mogła się z nim od czasu do czasu widywać.

Świt już rozjaśniał grube szyby oberży, kiedy Alicja udała, że się budzi. Uśmiechnęła się do hrabiego de Marillac.

— Najwyższy czas, abyśmy podjęli decyzję — powiedział hrabia. — Kochana, proponowałem ci schronienie w pałacu admirała.

— Doprawdy? — zapytała przemyślnie. — Proponowałeś mi?

— Przypomnij sobie, Alicjo...

— Ach, tak — żywo przytaknęła. — Ale to niemożliwe, kochany. Jeśli dobrze zrozumiałam, ty sam także tam zamieszkasz.

— To prawda — wyjąkał.

— Posłuchaj, najdroższy. Mam w Paryżu starą krewną, jakby ciotkę, trochę zubożałą, ale która bardzo mnie kocha. Jej dom jest skromny, ale będzie mi tam cudownie do chwili, kiedy będę mogła zostać całkowicie twoją. Właśnie tam mnie zawieszysz, przyjacielu.

— Co za szczęście! — zawołał Deodat zachwycony, gdyż pewną obawą napawało go zaproponowane przez niego wyjście; wszak pałac Coligny'ego mógł stać się areną gwałtownych zająć. — Ale czy będę mógł cię widywać?

— Bez trudności — odparła żywo. — Moja krewna to osoba dobra... Zdradzę jej coś niecoś z mojej słodkiej tajemnicy... będziesz przychodził dwa razy w tygodniu, w poniedziałki i piątki, koło dziewiątej wieczorem... jeśli zechcesz.

Roześmiał się, był szczęśliwy, że sprawy układają się pomyślnie.

— Ale, gdzie mieszka twoja ciotka?

— Na ulicy de la Hache.

— Blisko pałacu królowej — wykrzyknął przestraszony.

— Właśnie tam. W pobliżu wieży nowego pałacu. Zobaczysz na rogu ulicy de la Hache i Traversine cofnięty mały domek z pomalowaną na zielono furtką. To tam...

— Tak blisko Luwru... blisko królowej... — powtarzał hrabia. — Ale co ja się kłopotczę?

Pojawił się właśnie oberżysta i hrabia polecił mu przygotować szybko śniadanie. Usiedli do stołu. Dziewczyna jadła z apetytem. Spędzili uroczą godzinę.

Wreszcie Deodat wsiadł na konia i posadził Alicję z tyłu. Pojechali dobrym kłusem i koło ósmej rano stanęli w Paryżu. Wkrótce dotarli na ulicę de la Hache, gdzie hrabia zostawił swoją towarzyszkę we wskazanym przez nią domku, po czym oddalił się nie oglądając się za siebie.

Alicja patrzyła za nim, dopóki nie zniknął za węglem. Wtedy westchnęła głęboko: siła ducha, która ją dotychczas podtrzymywała, opadła nagle.

Bliska omdlenia zastukała kołatką w zieloną furtkę szepcząc:

— Żegnaj, może na zawsze, śnie o miłości!

Drzwi się otwarły. Dziewczyna przeszła przez ogródek długości siedmiu czy ośmiu kroków i weszła do domu. Składał się on z parteru i piętra. Dość wysoki mur, w którym była owa zielona furтка, oddzielał ogródek od ulicy de la Hache.

Jeśli ulica, z powodu cienia, jaki rzucał okazały pałac Katarzyny Medycejskiej, wydawała się tajemniczą, domek był nim jeszcze bardziej. Nikt tam nigdy nie wchodził. Mieszkała tam samotnie kobieta w wieku lat około pięćdziesięciu.

W dzielnicy znana była jako jejmość Laura. Była zawsze ubrana schludnie, nawet z pewną elegancją. Kiedy wychodziła, sunęła cichutko wzdłuż murów, a działo się to zawsze nad ranem lub o zmierzchu. Budziła lekki strach, chociaż wyglądała na osobę dobrą, a w niedzielę zawsze regularnie uczęszczała na nabożeństwa.

Widząc wchodzącą Alicję Laura nie wykonała najmniejszego gestu zdziwienia, a przecież minęło blisko dziesięć miesięcy, odkąd dziewczyna przebywała w tym domu.

— Jesteś, Alicjo — odezwała się bez wzruszenia.

— Złamana, zbolała, moja dobra Lauro, zmęczona na duszy i ciele, zdjęta wstrętem do swojej hańby, obrzydzeniem do życia...

— Daj spokój! Znowu zaczynasz... Jesteś wciąż taka sama, egzaltowana, byle czym przestraszona.

Kobieta nalala do srebrnego pucharka parę kropel z butelki, którą wydobyla z szafy. Alicja wypila jednym haustem. Zrobilo się jej jakby lepiej, blade wargi nabraly koloru.

Przyjrzała się wtedy uważnie wszystkim przedmiotom dookoła, jakby sprawiało jej przyjemność ponowne zapoznanie się z otoczeniem.

Nagle wzrok jej padł na czyjś portret. Wzdrygnęła się, długo się weń wpatrywała.

— Trzeba zabrać stąd to płótno — powiedziała w końcu.

— I zawiesić w twojej sypialni?

— I zniszczyć! — warknęła Alicja czerwona z gniewu.

— Biedny marszałek! — mruknęła Laura, weszła na krzesło i zdjęła obraz.

Wyjęła płótno i podarła je na strzępy, które wrzuciła do ognia. Alicja bez słowa przyglądała się tej zarządzanej przez siebie egzekucji.

— Lauro — powiedziała z lekkim zażenowaniem — w piątek wieczorem przyjdzie tu pewien młody pan...

Stara kobieta z dziwnym uśmiechem w kącikach warg patrzyła, jak dopalają się ostatnie strzępy portretu; wreszcie przeniosła wzrok na dziewczynę.

— Dlaczego mi się tak przyglądasz? — zapytała Alicja. — Litujesz się nade mną, prawda? Masz rację, jestem godna politowania... Ale słuchaj mnie dobrze, ten młodzieniec będzie tu przychodził co poniedziałek i co piątek.

— Tak jak tamten... — zauważyła Laura podsycając ogień.

— Jak tamten... ponieważ to są moje wolne dni, poniedziałki i piątki. Rozumiesz, czego od ciebie oczekuję, moja pocziwa Lauro?

— Rozumiem bardzo dobrze, Alicjo. Więc jestem na nowo twoją krewną... twoją starą kuzynką?

— Nie, powiedziałam, że jesteś moją ciotką.

— Zgoda. Otrzymałam awans. Twój nowy amant musi być kimś znaczniejszym niż biedny marszałek de Damville.

— Milcz, Lauro. Henryk de Montmorency był tylko moim kochankiem.

— A ten?

— Tego ja kocham!

— A tamten? Nie marszałek... ten pierwszy, jego nie kochałaś?

— Markiz de Pani-Garola?

— Tak, ten zacy markiz. A propos, czy wiesz, co się z nim dzieje? Wstąpił do klasztoru. Dziwi cię to, prawda? Zostać mnichem mając dwadzieścia cztery lata!

— Mnich? Markiz de Pani-Garola? — zdziwiła się Alicja.

— Teraz wielebny Panigarola — odparła stara. — Tak płynie życie. Wczoraj diabeł, dzisiaj anioł Pana Boga. Ale wróćmy do naszego młodzieńca. Jak on się nazywa?

Alicja nie dosłyszała, zatopiona w swoich myślach.

„Och, gdyby to było możliwe! — mówiła w duchu. — Byłabym wolna!” — I głośno dodała: — Powiadasz, że markiz został mnichem? W jakim zakonie? W jakim klasztorze?

— Wstąpił do karmelitów na górze Saint-Geneviève.

— Gdzie jest kaznodzieją?

— W Saint-Germain l'Auxerrois.

— A więc, Lauro, możesz mi uratować życie, jeśli zechcesz...

— Co mam robić?

— Uzyskaj zgodę markiza... wielebnego Panigaroli na wysłuchanie mojej spowiedzi.

Stara obrzuciła Alicję przenikliwym spojrzeniem, ale zobaczyła w jej twarzy tylko ogromny ból a zarazem dziwną nadzieję.

„Och, tu się kryje jakiś sekret, który muszę poznać”. — Będzie to niezbyt łatwe — odpowiedziała Alicji. — Wielebny jest oblegany. Ale myślę, że mi się uda, zwłaszcza gdy mu powiem, jaka nowa penitentka błaga wielebnego ojca o ratunek...

— Broń Boże, nie mów mu, że chodzi o mnie! — krzyknęła Alicja. — Lauro, wiesz, jak bardzo cię kocham i jak wielkie mam do ciebie zaufanie, przecież już raz mnie uratowałaś...

— Tak, masz do mnie zaufanie, aleś mi jeszcze nie powiedziała, jak nazywa się ten młodzieniec, który ma tu przychodzić...

— Później, Lauro, później! Widzisz, jego imię jest straszliwą tajemnicą. Prędeż bym umarła, niż wyjawiała, kim on jest... Ale słuchaj... Wiesz, ile muszę wycierpieć przy tej przeklętej Katarzynie. Wiesz, jak sobą gardzę. Wiesz, że czułam się zhańbiona, że chciałam się zabić i że gdyby nie ty... nie twoje wysiłki, żeby mnie ocucić... twoje matczyne pieśczęty, które mnie pocieszyły, już bym nie żyła. Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek muszę przestać być narzędziem, jak tyle innych nieszczęsnych dziewcząt w ręku tej bezlitosnej kobiety. Jeśli nie stanie się coś,

na co liczę, jedynym dla mnie miejscem spoczynku będzie... mogiła.

— Śmierć w twoim wieku! Odpędź szybko te ponure myśli, inaczej uwierzę, że chcesz naśladować swego pięknego markiza Pani-Garola, obecnie mnicha Panigarolę, bo to także jest pewnym rodzajem śmierci.

Alicję przy tych słowach przejął dreszcz.

— Mnich... — szepnęła.

— Uspokój się, spróbuję wyjednać u niego, że wysłucha twojej spowiedzi.

— Kiedy? — żywo zapytała Alicja.

— Mamy dzisiaj środę... Cóż, nie później niż w sobotę wieczorem. Jeszcze pozwolę sobie zadać pytanie: kiedy chcesz pójść do Luwru?

— Wybieram się tam w sobotę rano. Teraz już mnie zostaw. Potrzebny mi odpoczynek, biedna Lauro, a tych parę dni, to nie za wiele, żebym przysłała do siebie.

Alicja de Lux pogрузzyła się w głębokich rozmyślaniach, co Laura uszanowała.

Wieczorem tego dnia, kiedy światła pogasły i wszystko w domu zdało się spać, około dziesiątej, zielona furtka otworzyła się bezszelestnie i na ulicę wyszła kobieta. Cichymi, lecz spiesznymi krokami poszła w kierunku wieży przy pałacu królowej.

Wieża miała wąskie okienka oświetlające wewnętrzne schody; pierwsze z nich okratowane mocnymi sztabami znajdowało się prawie na wysokości człowieka.

Kobieta zatrzymała się przed tym okienkiem, wspięła na czubki palców i wyciągnąwszy ramiona rzuciła jakiś bilecik do środka wieży zbudowanej dla astrologa Ruggieri.

Tą kobietą była stara Laura!

## XVIII

### PIPEAU

Tego ranka kiedy kawaler de Pardaillan został aresztowany, Pipeau przez poczucie braterskiej przyjaźni robił wszystko, żeby bronić swego pana, swego przyjaciela.

Pardaillan poniósł porażkę, Pipeau także, więc uciekł.

Na ulicy pies pobiegł za pojazdem, do którego wrzucono jego pana. Z opuszczonym ogonem, z opuszczoną głową nasz bohater — mamy na myśli psa — przybiegł do Bastylli i w prostocie ducha chciał się tam dostać.

Biedny zwierzak nadział się nosem na szpic halabardy, więc się wycofał, ale i tak spadł na niego grad kamieni oraz przeróżnych pocisków. A kiedy powrócił do ataku, znalazł się przed zamkniętą bramą. Zaczął więc oblatywać twierdzę swoim niedbałym truchtem.

Parę godzin upłynęło w ponurym niepokoju. Wreszcie pies usadowił się o jakieś dwadzieścia kroków od bramy i od zwodzonego mostu i z zadartym pyskiem lustrował olbrzymie czarne gmaszysko, które wchłonęło jego pana.

Pod wieczór ludzie zaczęli się interesować zachowaniem psa, zbliżali się do niego, lecz gdy któryś chciał go zabrać ze sobą — Pipeau pokazywał kły.

Ale kiedy zapadła noc, zdecydował się odejść i pobiegł prosto w kierunku „Deviniere”. Wpadł jednym susem do sali, zbadał ją wzrokiem i po schodach popędził na górę pod pokój Jana.

Pokój był zamknięty, jego pana nie było, o czym się upewnił obwąchując próg. Śmiertelnie smutny zszedł z powrotem i wślizgnął się do kuchni.

— Jesteś tu, pijacki psie! — wrzasnął Landry, który właśnie kroił drób, i z nieodpartym wdziękiem hipopotama balansował przez chwilę prawą nogą, aż kopnął z całej siły.

Rozległo się donośne szczekanie, a równocześnie jęk bólu. Mistrz Landry chybił, okręcił się wokół siebie i runął pod własnym ciężarem.

Kiedy służący dźwignęli go z trudem — nie obeszło się także bez biadolenia oberżystki — Landry powiedział:

— Huguette, wróg rzucił się do ucieczki.

Ale w tej samej chwili wydał okrzyk rozpaczy i trzęsącą się ręką wskazał półmisek, na którym właśnie kroił był ptaka w chwili wtargnięcia Pipeau. Drób zniknął!

Pies uciekł obciążony pięknym kurczakiem przeznaczonym dla jakiegoś bogatego gościa i tego wieczora zafundował sobie królewski

obiad.

Pipeau zniknął na jakiś czas.

Co się z nim działo w tych posępnych dniach? Dwa czy trzy razy widziano go, jak z daleka patrzył na oberżę. Ale jego kwaterą główną stała się dzielnica przy Bastylii. Spędzał całe dni siedząc przy bramie, za którą zniknął jego pan, węszył, przyglądał się uważnie.

Rankiem dziesiątego dnia znajdujemy biednego, wychudzonego psiaka w tym samym miejscu.

Nagle stanął na cztery łapy, mordka mu zadrżała, oczy zapłonęły, ogon poruszył się leciutko. Pipeau coś zauważył.

W górze, w jednym z okienek, mignęła mu za kratkami pewna twarz... Postąpił cztery kroki, powęszył, otworzył szeroko oczy, sprawdził nosem, sprawdził oczami i nabrał pewności...

Swoją radość wyraził biegając tam i z powrotem jak wariat; kręcił się w kółko, żeby chwycić się za ogon, tarzał w błocie, pełzał, podskakiwał, słowem, wyprawiał wszystkie brewerie świadczące o euforii psa.

W końcu podbiegł jak najbliżej fosy, uniósł pysk i trzy razy szczeknął donośnie: to ja, to ja, popatrz tutaj!

— Pipeau — rozległ się głos z okienka.

Pies odpowiedział krótkim szczeknięciem.

— Uwaga! — zawołał głos, jak gdyby nie przejmując się tym, że może być słyszany przez strażę.

Ponowne szczeknięcie wyraźnie mówiące:

„Jestem gotów! Czego chcesz?”

W tym momencie dyżurni strażnicy podeszli do bramy. Ta dziwna rozmowa psa z więźniem wydała się im czymś podejrzanym.

Jednocześnie z okienka wypadł jakiś biały przedmiot, który przeleciał ponad fosą i spadł o dwadzieścia kroków od psa. Była to kartka papieru zwinięta w kulkę i obciążona kamykiem.

Straże rzuciły się, lecz Pipeau, szybszy od błyskawicy, już dosięgnął kulki i chwycił ją do pyska, po czym uciekł co sił w nogach na ulicę Saint-Antoine.

— Stój! Stój! — krzyčeli strażnicy pędząc za psem.

W kilka sekund pies zniknął na horyzoncie. Wtedy strażnicy spieszenie wrócili do twierdzy, żeby zameldować komendantowi o tym niesamowitym wydarzeniu.



— Któryś z więźniów koresponduje ze światem, przesyła listy! A jego posłańcem jest pies!

Tym więźniem był Pardaillan.

Co zaś do Pipeau, to kiedy znalazł się poza zasięgiem straży, przystanął ciężko dysząc, wypuścił kulkę papieru, którą dotąd trzymał w pysku, i spokojnie wrócił pod Bastylię.

Jakiś przechodzień zauważył to, podniósł kulkę, starannie ją rozwinął i obejrzał papier po obu stronach. Nie było na nim jednak ani jednego słowa, ani jednego znaku... więc wyrzucił kartkę... która wpadła do strumyka.

## XIX

### BASTYLIA

Kiedy kawaler de Pardaillan usłyszał, jak zatrzasnęły się drzwi, kiedy zrozumiał, że są one nie do pokonania — padł prawie nieprzytomny na płyty podłogi.

Wróciwszy do siebie, użył całej siły woli, żeby odzyskać równowagę ducha i poskromić kipiącą w nim wściekłość. Dopiero wtedy zlustrował wzrokiem celę.

Było to dość obszerne pomieszczenie z podłogą ułożoną z dużych płyt. Jedynie w samym rogu płyty musiały popękać, bo zastąpiono je kostką.

Mury i obniżony sufit były z ciosowego kamienia, szerniałego pod wpływem czasu, ale wcale nie wilgotne, gdyż karcer znajdował się na górnych piętrach wieży.

Wąskie okienko, umieszczone dość wysoko, przepuszczało bardzo mało światła i powietrza. Ale stając na drewnianym stołku — jedynym meblu w celi — z łatwością sięgało się do niego.

Wiązka słomy, dzban pełen wody, a na nim położony bochenek chleba dopełniały wyposażenia celi.

Na korytarzu rozlegały się wolne, dźwięczne kroki straży.

Pardaillan rzucił się na dość czystą słomę, która miała mu służyć za

łóżko. Leżała na niej dziurawa, postrzępiona derka. Na korzyść naszego bohatera należy stwierdzić, że w tej okropnej chwili — gdyż doskonale wiedział, że z Bastylii wychodzi się tylko „nogami do przodu” — wszystkie jego myśli biegly ku Loizie. Fakt aresztowania był tym bardziej gorzki, że nie pozwolił mu biec na ratunek sąsiadeczce.

„To mnie wzywała — rozpamiętywał. — W niebezpieczeństwie pomyślała najpierw o mnie. A ja siedzę w więzieniu!”

Dalej snuł niewesołe myśli: „Kocham ją, ale co z tego? Czy ją kiedyś zobaczę? Czy z Bastylii się wychodzi?”

Cóż to mogło być za niebezpieczeństwo tak wielkie, że aż wołała na pomoc człowieka, którego widziała tylko przelotnie?

Potem Pardaillan pomyślał o księciu Andegaweńskim. Zapewne to on z kompanami przyszedł tam z samego rana. A może w ogóle nie odchodzili?

Z niezmierną rozpaczą powtarzał sobie, że gdyby spędził noc na ulicy, jak przez chwilę zamierzał, nie tylko znalazłby się na miejscu, żeby bronić Loizy, ale nie zostałby aresztowany.

Myśląc intensywnie o okrutnej ironii losu, który wyrwał go ze świata żywych akurat w chwili, kiedy mógł zdobyć szczęście, zadał sobie pytanie, dlaczego go aresztowano.

Bląkało się w nim niejasne podejrzenie, że cios zadała mu Katarzyna Medycejska. Ale wydawała się taka dobra, taka szczerą, wyznaczyła mu spotkanie w Luwrze w sposób tak naturalny, że odsuwał to podejrzenie od siebie.

Więc kto?

„Może to przez ten spisek, który wykryłem? Albo księżę de Guise? Ale nie, jak mógł się dowiedzieć?”

Na szósty dzień nie wytrzymał i postanowił, że musi przynajmniej wiedzieć, o jaką zbrodnię go oskarżono.

Kiedy strażnik wszedł wieczorem do jego celi, Pardaillan po raz pierwszy odezwał się do niego:

— Przyjacielu — powiedział łagodnym głosem.

Strażnik spojrzał na niego zezem.

— Mam zabronione rozmawiać z więźniami.

— Słówko, jedno słówko! Dlaczego tu jestem?

Strażnik szedł już do drzwi. Odwrócił się do więźnia i wyczytał z jego bladej i zmienionej twarzy taką rozpacz, że zapewne odczuł wzruszenie.

— Słuchaj — powiedział mniej surowym tonem. — Mówię po raz ostatni, nie wolno mi rozmawiać z więźniami. Jeżeli będziesz się upierał, złożę raport gubernatorowi. Wtedy sprowadzą cię na dół do lochu.

— Niech więc to się stanie! — ryknął Jan. — Ale ja chcę wiedzieć! Chcę, słyszysz? Mów więc, nędzniku, bo przysięgam, że cię uduszę!

Skoczył w stronę strażnika.

Ale ten spodziewał się zapewne napaści, gdyż błyskawicznie znalazł się na korytarzu i zatrzasnął drzwi. Pardaillan rzucił się na nie, ale nawet nie drgnęły. Przez całą noc i następny dzień robił tyle hałasu, tak wrzeszczał i walił w drzwi, że strażnik nie odważył się wejść do celi.

Jedynie zawiadomiony gubernator, wzięwszy z sobą z pół tuzina do-  
brze uzbrojonych żołnierzy jako eskortę, udał się do celi wariata.

— Pan gubernator idzie! — krzyknął strażnik przez drzwi.

— Nareszcie się dowiem — mruknął Jan.

Drzwi odemknięto, żołnierze skrzyżowali halabardy. Pardaillan w ataku furii już miał się rzucić na halabardników. Nagle stanął jak wryty. Zauważył go pośród żołnierzy gubernatora. Co więcej, rozpoznał go! Był nim jeden ze spiskowców, których podpatrzył w oberży.

— Cóż to — odezwał się gubernator — zdaje się, że widok halabardy wywołuje u ciebie ten sam efekt, co u wszystkich gwałtowników tego gatunku. Teraz się cofasz! Dobrze, już dobrze. Nic waść nie mówisz? Posłuchaj, jestem człowiekiem łagodnym, ale żeby się to więcej nie powtórzyło, zrozumiane? Inaczej przy pierwszej recydywie — ciemnica — po drugiej — pozbawienie wody; po trzeciej — tortura.

Pardaillan rzeczywiście cofnął się o dwa kroki.

— No, widzisz — mówił dalej gubernator — teraz jesteś grzeczny i uprzedzony. Wystrzegaj się pala!

Postąpił krok w stronę drzwi, ale Pardaillan gwałtownie postąpił do przodu.

— Panie gubernatorze — powiedział głosem tak spokojnym, że wprawilby w zachwyt każdego, kto by odgadł, co się z nim dzieje — mam pewne pytanie... Zwyczajne pytanie...

— Wiadomo! Chcesz wiedzieć, dlaczegoś się tutaj znalazł. A więc, mój drogi, pozwól sobie powiedzieć: ja nigdy nie staram się poznać zbrodni moich więźniów. O jednym mogę zapewnić, że według wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy stąd nie wyjdiesz... Wobec tego postaraj się być w dobrych stosunkach ze mną i zacynymi strażnikami.

— Niczego bardziej nie pragnę, panie gubernatorze, i dziękuję za dobre rady.. - ale nie o to chciałem prosić..

— Więc o co?

— Po prostu o papier, pióro i inkaust.

— To zabronione.

— Panie gubernatorze, chodzi o zeznanie.

— Jakie zeznanie? Ważne?

— Które chcę złożyć właśnie gubernatorowi na piśmie. Przypadkiem odkryłem spisek.

— Spisek? — powtórzył gubernator błędąc.

— Spisek hugonotów, panie gubernatorze! Chodzi o coś tak ważne, jak zamordowanie Gwizjusza.

— O, do diabła! I waśc to odkryłeś?

— Dam na piśmie sposób, jak schwycić tych przeklętych hugonotów, a także dowody spisku. Mam nadzieję, że zasłużę za to na wdzięczność i że powrócę do łask...

— Jeśli to prawda, to przyrzekam, że ja osobiście zrobię wszystko, żeby przyspieszyć twoje zwolnienie.

Zacny gubernator miał już w głowie cały plan. Pozwoli więźniowi napisać donos, a potem, pod pierwszym lepszym pretekstem, wrzuci go do któregoś lochu, gdzie człowiek umiera w ciągu kilku miesięcy. Uzbrojony w takie zeznanie, stanie się nie tylko zbawcą Gwizjusza, jego zdaniem przyszłego króla Francji, ale w dodatku zbawcą Kościoła.

Już po kwadransie strażnik przyniósł Janowi dwa arkusze papieru, inkaust i zastrugane pióro.

Więzień chciwie złapał papier i zawołał:

— Za kilka dni będę na wolności! Sam twój pan otworzy mi drzwi.

— Mój pan?

— Tak, gubernator, pan de Guitalens.

Strażnik pokiwał głową i wyszedł. Nazajutrz przyszedł z samego rana i zapytał:

— Jak, zeznanie gotowe?

— Jeszcze nie! Rozumiesz, muszę sobie wszystko dobrze przypomnieć.

— Musisz się pospieszyć, bo pan gubernator się niecierpliwi.

Pardaillan pozostał sam, a wtedy przysunął stołek do okna, szybko na niego wszedł i przywarł twarzą do krat.

Przez cały dzień z wysokości taboretu lustrował teren dookoła wienienia. Dwa czy trzy razy mignął mu jego pies krążący dookoła; Jan mruknął z rozrzewnieniem:

— Biedny Pipeau!

Kiedy wymówił te słowa, przyszła mu nagle pewna myśl; aż musiał stłumić okrzyk radości.

— Mam! — zawołał schodząc ze stołka.

Chwycił natychmiast jeden z dwóch arkusików i usiadł do pisania. Potem starannie złożył papier i ukrył go pod kamizelą. Wałąc obcasem rozbił jedną z kostek, które w rogu celi zastępowały płyty, wybrał dość ciężki odłamek i ukrył go starannie. Następnego ranka wziął białą kartkę, na której nic nie napisał, owinał w nią odłamek kostki, wlał na taboret i z bijącym sercem zajął znowu posterunek przy okienku. Natychmiast jego wzrok padł na psa.

— Pipeau! — krzyknął.

Z miejsca, gdzie się znajdował, mógł dostrzec róg drzwi wejściowych. Gdy krzyknął, zobaczył, jak strażnik podnosi głowę.

— Dobra nasza — mruknął.

Cofnąwszy się lekko, z całych sił cisnął przez okienko odłamek kostki owinięty białym papierem. Chwile, które po tym nastąpiły, pełne były straszliwej niepewności. Widział, jak kulka potoczyła się po ziemi, jak pies ją chwycił, jak strażnicy rzucili się za nim. Dopiero kiedy zobaczył, że wracają, zszedł ze stołka. Usiadł, oburącz chwycił się za czoło i szepnął:

— Jeżeli pies wypuścił papier w oczach strażników — jestem zgubiony.

Niebawem na korytarzu rozległy się szybkie kroki. Pardaillan był błąd jak śmierć. Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich gubernator w otoczeniu strażników.

— Panie — zawarczał — albo mi powiesz, co zawierał rzucony przez okno list, albo natychmiast wezmę cię na tortury.

Pardaillan odetchnął z ulgą. „Jestem uratowany” — pomyślał.

— Zaprzeczenie nic nie da — mówił dalej Guitalens. — Słyszano, jak wołałeś psa. Widziano to. Mów!

— Bynajmniej nie zaprzeczam. Powiem więcej, już od dawna mój pies jest wytresowany do tego rodzaju zadań.

— I wie, do kogo ma zanieść ten list?

— Wie doskonale, był tam setki razy!

— Więc na to wyludziliś papier pod pretekstem złożenia zeznań? Drogo mi za to zapłacisz! Chyba że powiesz mi wszystko. Do kogo pisałeś?

— Do osoby, którą wymienię zaraz, ale tylko wam, panie.

— To do niej pies ma zanieść list?

— Nie, ale do jednego z moich przyjaciół, do kogoś pewnego i wiernego, kto jeszcze dziś wieczorem doręczy list osobie, dla której jest przeznaczony. Dodam tylko, że mój przyjaciel ma wstęp do Luwru o każdej porze.

Gubernator Guitalens drgnął.

— Osoba, która ma przeczytać ten list, mieszka w Luwrze?

— Tak, panie.

Guitalens zastanawiał się przez chwilę. Więzień odpowiadał z taką szczerością, a raczej z takim tupetem, że do duszy gubernatora zakradł się cień niepokoju.

— No, dobrze. A teraz zechciej waść opowiedzieć, co ten list zawierał?

— Z przyjemnością, panie de Guitalens — odparł spokojnie Pardailan. — Ale lepiej, jeśli powiem, gdy będziemy sam na sam. Proszę mi wierzyć...

— Żądam, żebyś mówił natychmiast.

— Niech będzie i tak. Po prostu napisałem do tej osoby, że pewnego wieczora, będąc w pewnej paryskiej oberży położonej przy ulicy Saint-Denis...

— Cicho — warknął gubernator blednąc.

— Gdzie zbierają się na wino poeci... i inne osoby...

Guitalens stał się trupio błądy.

— Więźniu — przerwał drżącym głosem — czy możesz mnie zapewnić, że ten list jest na tyle ważny, iż musimy o nim rozmawiać w cztery oczy?

— To tajemnica państwowa, panie...

— W takim razie rzeczywiście lepiej, żebym cię wysłuchał sam.

Odwrócił się i dał znak. Żołnierze i strażnicy wyszli natychmiast.

— Panie — powiedział Jan — chyba nie zaskoczę cię specjalnie wyznaniem, że osoba, do której adresowałem list...

— Ciszej! Ciszej! — błagał Guitalens.

— To król Francji — zakończył Pardailan. — A teraz, jeśli chcesz wiedzieć, o czym pisałem do jego królewskiej mości, to zrobiłem duplikat tego listu, proszę.

Jan wyciągnął spod kaftana kartkę papieru, na której pisał poprzedniego dnia, i podał ją gubernatorowi.

Oto, co ona zawierała:

„Ostrzegam Jego Królewską Mość, że istnieje przeciwko Niemu spis morderstwa. Spiskowcy, którzy chcą zabić króla i koronować na jego miejsce księcia de Guise, to panowie: de Damville, de Tavannes, de Cosseins, de Sainte-Fois i de Guitalens, gubernator Bastylii. Najjaśniejszy Pan zdobędzie dowody spisku biorąc na spytki mnicha Thibaut lub pana de Guitalens, jednego z najbardziej zażartych. Ostatnie zebranie spiskowców odbyło się w tylnej sali oberży „Deviniere” na ulicy Saint-Denis”.

— Jestem zgubiony! — wymamrotał Guitalens. — Nędzniku!

— Panie — odparł Jan — ja chcę być wolny, nic więcej. Ale mogę cię uratować...

— Ty! Ty mnie uratować! W jaki sposób? Za kilka chwil król pozna straszną prawdę...

— Kto powiedział, że król dowie się za kilka minut?

— Ten list!

— Dostanie go dopiero wieczorem. Mój przyjaciel ma go zanieść dzisiaj o ósmej wieczór! Mamy więc przed sobą cały dzień.

— Uciekać! Ale dokąd? Dogonią!

— Nie, nie uciekaj! Wystarczy zrobić tak, żeby ten list nie dotarł do króla.

— Ale jak?

— Jedynym człowiekiem, który może powstrzymać list znajdujący się w drodze, jestem ja. Jeśli mnie stąd wypuścisz, za godzinę jestem u mego przyjaciela, odbieram list i spalę.

— Ale kto mi zagwarantuje, że tak postąpisz?

— Panie! — zawołał Jan. — Spójrz na mnie. Klnę się na mą głowę, że jeśli mnie wypuścisz, list ten nie dojdzie do rąk króla. Niech mnie piorun spali, jeśli kłamię. A teraz proszę posłuchać: to pańska ostatnia szansa. Nic więcej nie powiem; jeśli mnie nie zwolnisz, król, którego ratuję, zrobi to za ciebie. Czym więc ja ryzykuję? Pozostaniem tutaj dzień czy dwa dłużej? Natomiast ty... jeśli mnie stąd nie wypuścisz... jesteś trupem...

Przez parę minut Guitalens siedział przybity na stołku, z niesłychanym wysiłkiem usiłując zebrać myśli. Cios, który mu wymierzono, był rzeczywiście potworny. Już widział się skazanym na śmierć, i to jaką? Jego ciało zostanie zmiażdżone nieludzkimi torturami, zanim zawiśnie na szubienicy w Montfaucon. Zęby mu dzwoniły.

— Przysięgnij mi... na Chrystusa... na Ewangelię... że przybędziesz na czas...

— Przysięgam na wszystko, co zechcesz — oświadczył Pardaillan ze spokojem. — Jednak pragnę zauważyć, że czas mija... nawet strażnicy będą zdziwieni...

— To prawda — przyznał Guitalens ocierając pot perlący się na czole. — Panie, za pół godziny będziesz na wolności.

Pardaillan przywołał całą siłę woli, żeby jego twarz wyrażała jedynie uprzejmą radość.

— Jak sobie życzysz, panie — powiedział.

Guitalens otworzył drzwi, wezwał strażników i w ich obecności zwrócił się do więźnia:

— Panie — powiedział — twoja tajemnica istotnie zasługuje, aby ją przekazać najjaśniejszemu panu. Nie wątpię w jego wdzięczność i mam nadzieję, że za kilka chwil będę mógł własnoręcznie otworzyć przed tobą bramy Bastylii.

Straż słuchała zdziwiona.

Gubernator w wielkim pośpiechu kazał zaprzęgać do karety, wsiadł do niej zapowiadając głośno, że udaje się do Luwru. Rzeczywiście pojechał tam i pozostał akurat tak długo, żeby ludzie mogli uwierzyć, iż rozmawiał z królem,

Nie za pół godziny, jak przyrzekł, lecz po godzinie był z powrotem i oświadczył wezwanym oficerom:

— W rzeczy samej ten człowiek oddał wielką przysługę królowi. Ale, panowie, ani pary z ust na ten temat.

Po czym natychmiast poszedł do celi Pardaillana.

— Panie — powiedział — jestem szczęśliwy móc oznajmić ci, iż z uwagi na przysługę oddaną jego królewskiej mości, monarcha cię uwolni...

— Byłem tego pewien — odparł więzień z ukłonem.

Po kilku minutach był na wolności. Gubernator odprowadził go do zwodzonego mostu dając w ten sposób dowód, jak wielkim szacunkiem darzy więźnia. Gdy mieli się rozstać, znacząco uścisnął mu dłoń.

— Chcesz mieć pewność, panie? — zapytał Pardaillan. Oczywiście Guitalensa załśniły.

— Więc proszę słuchać: papier, który rzuciłem psu...

— No?

— Przyjaciół, który miał doręczyć go królowi...

— Ico?

— Przyjaciół ten nie istnieje... papier był czysty... nie jestem zdolny do donosu, nawet jeśli chodzi o moje życie...



Guitalens zdusił okrzyk, w którym było tyleż radości, co żalu. Przez chwilę miał ochotę chwycić za kark tego, który z niego zakpił. Ale ponieważ sam był dwulicowy, oczywiście pomyślał, że Pardaillan może kłamać i że list jednak zawierał donos.

Zrobił grymas mający być uśmiechem:

— Uroczy z ciebie człowiek i jestem doprawdy szczęśliwy, że mogę ci przywrócić wolność!

## XX

### LIST JOANNY DE PIENNES

Wróćmy na chwilę do jejmości Maguelonne, starej właścicielki domu, w którym mieszkała Joanna de Piennes ze swoją córką. Widzieliśmy, jak ta zacna matrona udała się do oberży „Deviniere”, jak się tam dowiedziała o aresztowaniu kawalera de Pardaillan, które tak dziwnie zbiegło się z aresztowaniem dwóch jej lokatorek, jak wróciła do siebie, bardzo przestraszona wiadomością, że jej dom był gniazdem hugonocznego spisku.

Pierwszą jej myślą było spalenie listu, który jej powierzyła Joanna de Piennes.

Ponaglał ją strach przed posądzeniem o współudział. Lecz pani Maguelonne była kobietą starą i pobożną. I choć trzęsła się cała z przerażenia na myśl, że mogą u niej znaleźć ten list, jednak go nie spaliła.

Kiedy po trzech czy czterech dniach walki ze strachem jejmość Maguelonne wreszcie postanowiła nie palić listu — musiała stoczyć walkę z sobą; gdy była sama w domu, biegła zamykać wszystkie okna i drzwi, brała do ręki list, siadała i spędzała całe godziny na zgadywaniu, co też mógł on zawierać.

Obracała go tysiące razy w palcach, drapała paznokciami albo próbowała podważyć szpilką miejsce zlepione, aż wreszcie go otworzyła.

W kopercie była karteczka zaadresowana do kawalera de Pardaillan oraz list z adresem. W kartce dama w czerni prosiła kawalera o doręczenie listu adresatowi. A był nim... Franciszek, marszałek de Montmorency!

Stara osłupiała i ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Zrozumiała jasno, że nie było żadnej zmywy pomiędzy damą w czerni a kawalerem de Pardaillan — stąd jej osłupienie; a ponieważ jej ciekawość pozostała niezaspokojona, gdyż miała jeszcze jeden list do otworzenia — stąd wyrzuty sumienia.

Opierała się bohatersko przez parę dni przemożnej pokusie sprawdzenia, co też taka biedna wyrobница jak jej lokatorka miała do przekazania tak wielkiemu panu jak Franciszek de Montmorency.

Wreszcie nie wytrzymała, chwyciła list, położyła go na stole i złamała pieczęć.

W tym momencie drzwi się otwarły. Stara wydała okrzyk przerażenia: w pośpiechu zapomniła zamknąć je na klucz! Ktoś wszedł. Tym kimś był kawaler de Pardaillan.

— To ty, panie! — krzyknęła Maguelonne zakrywając drżącymi rękami leżące na stole papiery.

W pierwszej chwili Pardaillan zdębiał. „Skąd stara mnie zna?” — pomyślał. Ale skłonił się i powiedział:

— Proszę się uspokoić, nie mam złych zamiarów. I wybaczyć mi wtargnięcie, które mogło panią przestraszyć... pewna poważna sprawa jest przyczyną, że na chwilę zapomniałem o konwenansach...

— Tak, ten list... — wymamrotała przerażona staruszka.

— Jaki list? — zapytał coraz bardziej zdziwiony Pardaillan.

Maguelonne ugryzła się w język; niepotrzebnie się zdradziła. Niezdarnie próbowała ukryć papiery, ale Pardaillan je zobaczył i już nie tracił z oczu.

— Toście już nie w więzieniu, panie? — odezwała się stara.

— Jak widzicie, pani, została popełniona omyłka, a kiedy ją wykryto, wypuszczono mnie niezwłocznie. I moje pierwsze kroki kieruję do was, droga pani. Przed dziesięcioma dniami zostałem aresztowany i wtrącony do Bastylii na skutek nieporozumienia, które — jak widzicie — zostało szybko wyjaśnione. Otóż w chwili najścia na mój dom, dwie mieszkające u was kobiety znalazły się w wielkim niebezpieczeństwie, skoro wzywały mnie na pomoc. Wiem, że obie zostały porwane siłą w dniu mojego aresztowania.

— W tej samej chwili.

— No, właśnie. Czy możecie mi udzielić jakichkolwiek informacji na ten temat?

— Powiem wszystko, co wiem. Dama w czerni i jej córka Loiza zostały aresztowane pod zarzutem spiskowania z wami, panie.

— Ze mną!?

— Ale nie ulega wątpliwości, że były niewinne, drogie biedactwa, skoro wy, panie, jesteście niewinni.

— Proszę powiedzieć, kto je aresztował?

— Żołnierze i jakiś oficer...

— Oficer królewski?

— Nie bardzo się orientuję... Gdyby chodziło o zakonnika, zaraz poznałabym po habitcie.

— Czy wśród tych ludzi nie było księcia Andegaweńskiego?

— Och, nie! — odparła przestraszona staruszka.

— Nie domyślasz się, pani, dokąd je zawieziono?

— Co to, to nie... byłam tak wzburzona... rozumiecie, panie.

— Ale kiedy tu wchodziłem — powiedział nagle kawaler — mówiłaś pani o jakimś liście. Czyżby te nieszczęsne kobiety coś napisały?

Ręce staruszki zacisnęły się. W końcu opadły na fartuch.

— Co to za listy, które jejmość miętosisz?

— Panie, to nie ja je otworzyłam, przysięgam — zaklinała się stara.

Drżącą ręką podała kartki Pardaillanowi, który chwycił je łapczywie.

Jednym spojrzeniem odczytał bilecik zaadresowany do niego.

— Musiałam przyrzec tej kochanej kobiecie, że wam doręcę te listy — prawda dalej Maguelonne wylewnie — i przysięgam, że natychmiast pobiegłam do „Deviniere”, chcąc wypełnić przyrzeczenie, ale ponieważ was aresztowano, przechowałam je starannie...

— Nikt ich nie widział?

— Nikt, kochany panie, nikt na świecie!

— A kto je otworzył?

— Otworzyły się same!

— Pani je przeczytałaś?

— Tylko jeden, panie, tylko ten do was...

— A ten drugi?

— Właśnie siadałam do czytania, kiedy przyszedłeś.

— Zabieram je — powiedział Pardaillan. — Jak widzicie, powierzono mi doręczenie tego listu marszałkowi de Montmorency; nic na świecie nie zdoła mnie powstrzymać od spełnienia woli tej, która mnie zaszczyliła swoim zaufaniem. Wy zaś popełniłyście niegodziwy czyn otwierając listy. Przebaczę pod jednym warunkiem...

— Jakim, mój dobry panie?

— Że nie piśnecie o tym nikomu ani słowa.

— Och, co do tego możesz być pewny!

Pardaillan uklonił się jejmości i wyszedł. Przed domem czekał na

niego Pipeau. Jan spokojnie przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł do oberży.

Mistrz Landry, niosący właśnie antałek wina dla klientów, wypuścił go z rąk i stanął jak wryty.

— Kawaler... — wybełkotał przygnębiony.

— Uspokój się, mój drogi. Rozumiem radość, jaka musiała cię ogarnąć na mój widok, ale to nie powód, żeby mnie nie zapytać, czy nie jestem głodny i co chciałbym zjeść!

Posiliwszy się Pardaillan poszedł do stajen, stwierdził, że jego koń stoi na miejscu i że szlachetne zwierzę nie ucierpiało w czasie jego nieobecności. Następnie udał się do swego pokoju; w pierwszym odruchu przypasał szpadę, która nadal wisiała na ścianie.

Wtedy dopiero przeczytał kilkakrotnie liścik napisany do niego przez damę w czerni.

„A więc chodzi o doręczenie marszałkowi de Montmorency załączonego listu”.

Tak jak i właścicielka domu, Pardaillan zastanawiał się, co mogło łączyć tę, którą miał za ubogą wyrobnicę, z wielkim marszałkiem de Montmorency.

List leżał tuż na stole. Był otwarty. Ale on go za nic nie przeczytał!

A jednak! Co by to szkodziło? I kto wie, czy nie znalazłby w nim jakichś cennych wskazówek o ludziach, którzy uwięzili Loizę i jej matkę? Niewątpliwie dama w czerni błaga marszałka de Montmorency o opiekę...

„Dlaczego marszałka? — konkludował w myśli. — Jeżeli ktoś ma oswobodzić Loizę i jej matkę, to tylko ja! Nie chcę, żeby ktokolwiek się wtrącał. Dalej, czytajmy!”

Nagłym ruchem rozłożył arkusik i zaczął czytać. Kiedy skończył, był błądy jak ściana, wzdychał głęboko.

Jeszcze raz przeczytał list od deski do deski, powrócił do paru najważniejszych ustępów, półgłosem powtórzył całe zdania, jak gdyby świadectwo oczu nie wystarczało, by go przekonać.

Kiedy skończył lekturę, list wypadł mu z rąk. Opuścił głowę na pierś, lzy cisnęły mu się do oczu.

List Joanny de Piennes nosił datę 20 sierpnia 1558 roku, a więc tego roku, kiedy Franciszek de Montmorency pojął za żonę Dianę Francuską, nieślubną córkę Henryka II. Od daty tego listu minęło czternaście lat. Oto jego treść:

*Dzisiaj doznałam największego bólu, jakiego może doznać kochająca kobieta. Moja dusza jest nadal w odrętwieniu, serce mi się rozdziera,*

a jednak nie umarłam. Może moja godzina jeszcze nie wybiła. Ponadto wiąże mnie z tym nędznym życiem pochylanie się nad łóżeczkiem dziecka. Jeśli umrę, kto zaopiekuje się nią? Muszę żyć! Ona ma pięć lat. Gdybyś mógł ją zobaczyć, o, mój Franciszku! W tej chwili śpi spokojnie, ufną... wie, że matka nad nią czuwa. Jej rozpuszczone włoski rozrzucone na poduszce tworzą złotą aureolę, jej wargi się uśmiechają. To Twoja córka, o, mój drogi małżonku! Dzisiaj świętowano Twoje małżeństwo. Cała uboga ulica, na której mieszkam, mówi o pompie, z jaką odbyła się ta uroczystość, i że pani Diana jest godną małżonką tak wielkiego pana jak Ty... Czyżbym ja nie była godna dać Ci szczęście?

Dziś wszystko jest skończone. Ostatni promyk nadziei pęłający w mojej duszy zgasł. W dniu, w którym Twój ojciec mnie przepędził, zmiążdżył on moje serce, jakby ścisnął je rycerską bitewną rękawicą; gdy na pół oszalała, potykając się, wyszłam z pałacu, gdzie chcąc Cię ratować podpisałam swoją nędną porażkę, kiedy nieprzytomna, bliska śmierci, zagłębiłam się w nocny Paryż trzymając córeczkę w objęciach, w tym dniu, Franciszku, myślałam, że przekroczyłam granice ludzkiego bólu.

Niestety! Wtedy jeszcze nie przeżyłam obecnego dnia... Dziś to już koniec: wszystko jest we mnie mrokiem. To koniec, Franciszku, a przecież nierozzerwalna więź łączy Cię ze mną. Twoje dziecko żyje. Twoje dziecko będzie żyło. To dla niej zagryzłam wargi, kiedy chciały coś powiedzieć, to dla niej przeszłam przez kalwarię rozpacz, to dla niej zdobyłam się na męczeństwo. Twoja córka będzie żyła, Franciszku! Dla dobra córki musiałam milczeć. Dzisiaj, dla jej dobra, muszę mówić.

Czy Ci powiedziałam, że nazywa się Loiza? Nasze dziecko pięknie nosi to wspaniałe imię.

Przyjmuję cios, który na mnie spadł. Moje życie jest złamane, jestem pozbawiona tytułu małżonki, choć nie zasłużyłam na ten największy afront — niechaj będzie i tak! Ale chcę, żeby Loiza była szczęśliwa: te słowa zawierają wszystko, co mi zostało z życia, z sił, z woli, energii, myśli — wszystko! Nie chcę, żeby na Loizę spadł niezasłużony cios tak, jak spadł na mnie. W tym celu musisz otworzyć serce przed córką, żeby ona mogła z podniesionym czołem wejść do Twego domu, żeby Loiza mogła zająć przy Twoim ognisku należne jej miejsce. I dlatego, Drogi Małżonku, musisz poznać straszną, świętą prawdę... Jeszcze cię nazywam swoim mężem, gdyż pozostaniesz nim do końca moich dni.

Tak, musisz poznać potworną zbrodnię, która nas rozdzieliła. Dowiedz się o wszystkim: i o tym, jak okrutny był Twój ojciec, i że Twoja kochanka, Twoja żona może z dumą nosić Twoje nazwisko, i że Twoja córka ma prawo zasiadać w domu Montmorency. Piszę do Ciebie ten list, Franciszku, albowiem trzeba, żeby prawda wyszła na jaw. Ale z wysianiem, z doręceniem go Tobie czekam, aż spełnią się trzy warunki:

Pierwszy — Twój ojciec musi już nie żyć. Gdyż to na Ciebie koniecznie zrzuciłby cały ciężar swojej nienawiści dowiedziawszy się, że fatalna tajemnica jest Ci znana.

Drugi — moja córka, Twoja Loiza, musi osiągnąć wiek, kiedy będzie mogła bronić pamięci matki i mówić śmiało, jak przystało pannie de Montmorency, córce panny de Piennes, dziedzicze nieskazitelnej nazwiska Montmorency.

Trzecie — kiedy poczuję zbliżającą się śmierć albo kiedy poważne niebezpieczeństwo zagrozi naszemu dziecku.

Dopóki te trzy warunki nie będą spełnione, pragnę, Kochany Franciszku, pozostawać w cieniu szczęśliwa, że moje milczenie zapewnia spokój i szczęście człowiekowi, którego bardzo kochałam... Gdyż moje własne życie już się nie liczy. Ale liczy się, Franciszku, życie i szczęście naszego dziecka. Otrzymasz ten list, kiedy Loiza będzie już dość duża, żeby z Tobą rozmawiać. Twego ojca już nie będzie na świecie, więc przestanę się obawiać czegokolwiek złego dla Ciebie z jego strony. Ale także w chwili... kiedy będę umierającą albo gdy niebezpieczeństwo zawiśnie nad głową Loizy.

W obydwu wypadkach ostatnią wolą Twojej kochanki, Twojej małżonki jest, żebyś przeniósł na Loizę uczucie, z którego tak byłam dumna, żebyś pobiegł na ratunek, żebyś ją wziął do siebie, żebyś jej zwrócił nazwisko, do którego nigdy nie straciła prawa, albowiem urodziła się, gdy byłam Twoją żoną, żebyś w końcu stworzył jej egzystencję, która się jej należy: egzystencję prawowitej dziedziczki Montmorency.

A teraz, Franciszku, mój kochanku, mój drogi małżonku, poznaj straszną tajemnicę. Wszystkie nasze nieszczęścia zawarte są w tych słowach:

Twój brat Henryk mnie pokochał. Ośmielił się mi to wyznać, ale ja się ludziłam, że prawość weźmie górę u jeszcze tak młodego chłopca. Miałam nadzieję, że moja miłość do Ciebie uzbroi mnie przeciwko zniewadze, jaką była jego miłość. Milczałam, żeby nie wzniecać waśni w waszej znakomitej rodzinie. Tej nocy, kiedy odjeżdżałeś na wyprawę, miałam to zwierzenie na końcu języka. Wiesz, jakie zaszły nagle

okoliczności i jak się odbył nasz ślub... Nazajutrz czekałam na próżno – odjechałeś! Oto, jakie zwierzenie powstrzymałam wtedy: byłam w ciąży, miałam ci urodzić dziecko. Przyszło ono na świat w czasie, kiedy ty walczyłeś... jest nim nasza Loiza. W tych okropnych miesiącach, kiedy myślałam, żeś poległ, kiedy sama byłam bliska śmierci, Twój brat zniknął, a ja miałam nadzieję, że oddalił się na zawsze. Pewnego dnia porwano moją córeczkę. Gdy szukałam jej jak obłąkana, pojawił się Twój brat, powiadomił mnie o Twoim powrocie i powiedział, że zna człowieka, który porwał Loizę. Gdy stałam cała drżąca z radości, że żyjesz, jednocześnie zadając sobie pytanie, jakie szaleństwo powoduje Twoim bratem, wtedy, Franciszku, otworzyła się przede mną przepaść, która miała mnie pochłonąć.

Nasza Loiza była w rękach człowieka wynajętego przez Twego brata. W rękach nędznika nazwiskiem kawaler de Pardaillan. Ten potwór miał na dany przez Twego brata znak zgładzić biedne maleństwo... Twoją córkę, Franciszku... naszego małego aniołka... Henryk miał dać ten znak kawalerowi de Pardaillan, gdybym odezwała się w Twojej obecności bodaj jednym słowem, gdy Twój rodzony brat będzie mnie oskarżał o... wiarołomstwo.

Teraz wiesz, dlaczego milczałam, kiedy on rzucił kalumnie... Milczałam, Franciszku, a dusza moja wyla z rozpaczy, ciało pękało z bólu. Milczałam, i zapewne los się nade mną ulitował, gdyż zemdlalam, a kiedy odzyskałam przytomność, Ciebie już nie było...

Wydałam na siebie wyrok, ale Loiza, Twoja córka, ocalała. Och Franciszku, oby na zawsze został przeklęty ten, który nosi Twoje nazwisko... Twój brat. Oby został przeklęty ten Pardaillan, ten ohydny współnik zbrodni, który podjął się tak odrażającego zadania.

Ale musisz poznać całą resztę. Gdy odjechałeś, moją córkę zwrócił mi jakiś nieznajomy. Pobieglam do Montmorency, żeby Ci o wszystkim opowiedzieć, ale byłeś już w drodze do Paryża... Więc poszłam do Paryża... widziałam się z konetabłem... I ten, usłyszawszy ode mnie całą prawdę, dał mi do wyboru: albo zrzeknę się tytułu Twojej małżonki, albo zostanę zamknięta w Temple do końca życia...

Więc podpisałam! I zniknęłam, obolała, złamana... ale zatrzymałam przy sobie swoją córkę! Żyłam dla niej, będę dla niej żyć!

Teraz, Drogi Małżonku, znasz przerażającą prawdę.

Przysięgam, gdyby cios spadł tylko na mnie, umarłabym unosząc do grobu potworną tajemnicę. Ale ją opisuję i zostanie Ci doręczone moje pismo w godzinie mojej śmierci, gdyż umierając pragnę mieć

*pewność, że Twoja Loiza zajmie należne jej miejsce i że otworzy się przed nią życie pełne szczęścia. Przybiegnij więc, mój małżonku! Nie bacząc na to, którego dnia i o jakiej porze zdecyduję się wysłać Ci ten list i gdzie go otrzymasz przybiegnij, idź za moim wysłannikiem... biegnij do Twojej żony, na której nie ciąży żadna wina, która nigdy nie przestała być Ciebie godną i ubóstwiać Cię, biegnij do Twojej córki, Twojej Loizy, którą pragnę oddać w ramiona jej ojca*

*Joanna de Piennes  
Księżna de Montmorency*

Taka była treść listu, który przeczytał kawaler de Pardaillan. Przez wzruszający szacunek, a może przez bunt, ze świadomością swego moralnego prawa i całkowitej niewinności nieszczęsna Joanna podpisała go swoim tytułem: księżna de Montmorency.

Młody mężczyzna dobrych kilka minut trwał bez ruchu, jak gdyby spadła nań wiadomość o katastrofie. I rzeczywiście, była to dla niego klęska. Płakał bezgłośnie, łzy spływały po jego policzkach, wcale ich nie ocierał.

Księżna de Montmorency! Loiza jest córką Montmorency. Ten głuchy okrzyk wyjawiał częściowo jego rozgoryczenie.

Tak, gdyż Pardaillan, biedak bez grosza przy duszy, mógł poślubić Loizę córkę ubogiej wyrobniicy. Ale Loiza, córka księcia de Montmorency, nie mogła zostać żoną ubogiego szlachciury. Trzeba bowiem zdać sobie sprawę z tego, jak wielką potęgę i jaki splendor reprezentowało wówczas nazwisko Montmorency.

Za konetabla dom ten, jeden z najwspanialszych wśród magnaterii królestwa, osiągnął apogeum swojej wielkości. Po śmierci konetabla nazwisko jeszcze zachowało cały swój blask. Wystarczy pomyśleć, że Franciszek został przywódcą potężnej partii szachującej z jednej strony Gwizjuszów, z drugiej króla, a łatwo zrozumieć, że Jan doznał zawrotu głowy oceniając odległość dzielącą go od Loizy.

— Dziś wszystko jest skończone — powtarzał z rozpaczą słowa wycytane w liście damy w czerni, Joanny de Piennes.

Jednak chwilami słaby promień nadziei wstępował w jego serce. Jeżeli Loiza go kocha! Jeżeli nie da się olśnić nową sytuacją, która ją oczekuje...

„Ależ nie, biedny wariacie — natychmiast sam się mitygował. - Gdyby nawet Loiza mnie kochała, czyż jej ojciec mógłby się zgodzić na taki mezalians? Czym ja jestem? Mniej niż niczym, prawie żebrakiem w



oczach wielu ludzi, awanturnikiem bez własnego kąta; jedyne, co posiadamy na całym świecie, to moja szpada, mój koń i mój pies”. Przeszedł się szybkim krokiem po pokoju.

— Och — powiedział zaciskając pięści — zapomniałem jeszcze o czymś.

Loiza nie tylko nie może być moja, nie tylko najprawdopodobniej mnie nie kocha, ale przeciwnie, powinna mnie nienawidzić. Kiedy jej matka powie, co zrobił mój ojciec, kiedy się dowie, że nazywam się Pardaillan, jakież będzie mogła żywić do mnie uczucie, jeśli nie instynktowną odrazę?

Kochał Loizę, a to właśnie ją porwał jego ojciec wykonując potworne zlecenie! Cóż innego mogło zagościć w sercu Loizy, jak tylko nienawiść do starego Pardaillana... i do jego syna!

— No cóż — zawołał zdławionym głosem — skoro jest tak, jak jest, skoro wszystko nas dzieli, skoro ona musi mnie nienawidzić, dlaczego miałbym się nią jeszcze zajmować? Tak, dlaczego miałbym doręczyć ten list? I co mnie obchodzi jaśnie księżna de Montmorency, która przeklina mego ojca, a przeklnie także i mnie? I co mnie obchodzi jej córka? Są nieszczęśliwe?... Niech kto inny biegnie na ich ratunek.

Młodzieniec był dziwnie podniecony. Przemierzał pokój wielkimi krokami, zazwyczaj oszczędny w ruchach, gestykulował zajadle, mówił głośno do siebie. Analizował swoją sytuację: była okropna.

Miał przeciwko sobie królową Katarzynę, miał przeciwko sobie księcia Andegaweńskiego i jego faworytów, których ciężko obraził; miał przeciwko sobie księcia de Guise, którego Guitalens pospieszy zawiadomić o tym, co zaszło w Bastylii.

Wybuchnął gorzkim śmiechem.

— Zapomniałem! Na liście moich wrogów pominąłem księcia de Montmorency. Do licha! Nie jest on wcale najmniej ważny, a kiedy pani de Piennes opowie mu, co mój ojciec zamierzał zrobić z jego córką, byłbym ogromnie zdziwiony, gdyby ten wielmoża nie zechciał mnie wykończyć, jeśli Medyceuszka nie zdąży wcześniej wrzucić mnie do jakiegoś zbiorowego grobu, a pieszczoszki królewskiego brata nie zasztyletują mnie z za węgla jakiejś uliczki. En garde, panowie! Uwaga! Bo ja staję do walki, więc się strzeżcie!

Wydobył szpadę i ostrymi ruchami ciął nią kilka razy, robiąc wypady spod ściany.

— Jezu Chryste! Z kim pan się bije, kawalerze!

Mówiąc te słowa miłym, łagodnym głosem, pani Huguette Grégoire weszła do pokoju.

— Przyszłam... z tym...  
— Z czym — zapytał Pardaillan, kąciem oka lustrując pękaty woreczek, który gospodyni położyła na rogu stołu.

— Panie kawalerze, kiedy was aresztowano... zostawiliście swoje pieniądze... tutaj... Więc oczywiście... ja je przechowowałam... no i teraz przynoszę.

— Madame Huguette, to kłamstwo!

— Ja kłamię? Wielki Boże! ... przysięgam!

— Nie, nie przysięgaj... To twój mąż, imię Landry, zgarnął moje biedne grosze, ty, poczciwa, mi je przynosisz... Żle zrobiłaś, moja droga, te pieniądze byłem winien panu Landry. Ja o nich nie zapomniałem — ja je zostawiłem dla niego.

— Ale jak sobie dasz radę, panie? Przynajmniej podzielmy się!

— Droga pani Huguette, proszę zapamiętać: nigdy nie czuję się bogatszy niż wtedy, kiedy nie śmierzę groszem. Zresztą, pozostaje mi jeszcze ta agrafa — dodał wskazując na klejnot otrzymany od królowej Nawarry, który zdobił jego kapelusz.

Huguette z westchnieniem zabrała sakiewkę.

— Ale to nie znaczy, że mniej cię kocham — ciągnął Jan — bo masz dobre serce, Huguette... Jesteś równie dobra, jak ładna. Och, Huguette, wierząc mi, że cię uwielbiam!

Huguette spuściła głowę, dwie łezki spadły z jej rzęs.

— Cóż to, płaczesz, Huguette! — wykrzyknął Pardaillan przejęty. — Płaczesz w chwili, kiedy wyznaję ci miłość!

Huguette delikatnie wyswobodziła się z objęć Jana.

— Jak musisz cierpieć, biedaku — szepnęła.

— Ja, cierpieć? Skąd ci to przyszło do głowy?

Huguette podniosła na niego swoje piękne oczy.

— Myślę — powiedziała ze smutkiem — że masz dużo żmartwień. Proszę się nie śmiać. To mi sprawia przykrość, a tobie jeszcze większą. Tak, panie kawalerze, cierpisz, bo kochasz. Myślisz, że nic nie zauważyłam? Wybacz, ale ja cię podpatrywałam, widziałam, jak całe godziny stoisz w tym oknie, ze wzrokiem wbitym w okienko naprzeciwko... Tak, kochasz, panie, tutaj zostawiłeś swoje serce... a ta, która zniknęła, zabrała je z sobą. I myślisz, biedaku, że nie jesteś kochany... A więc wprowadzę cię z błędu... jesteś kochany.

— Skąd to wiesz?

— A stąd, że podpatrywałam i ciebie, ale i ją także. Wiem, bo łatwo

można oszukać kogoś obojętnego, ale nie sposób oszukać kobiety zdrowszej... kobiety, która kocha!

Pardaillan nie usłyszał tych słów, bo nie zostały wymówione, ale i tak zrozumiał.

— Huguette, jesteś aniołem...

— Tak ją kochasz! — westchnęła cicho Huguette.

Nie odpowiedział, tylko ścisnął mocno jej rękę.

Doprawdy nie wiemy, jak by się ta scena skończyła, gdyby nie rozległ się głos oberżysty, wzywający z dołu żonę. Huguette szybko uciekła, zrozpaczona a zarazem uradowana.

„Biedna Huguette — pomyślał Jan. — Kocha mnie, a jednak starała się mnie pocieszyć kłami. A teraz koniec, Loiza mnie nie kocha, nie może mnie kochać. No to i ja jej nie Kocham! Jestem znowu wolny... wolny w sercu, w myślach, w postępowaniu. Do diabła z Paryżem! Jutro ruszam na poszukiwanie ojca. A co do tego listu... trafi pod właściwy adres, jeśli się uda”.

Wypowiadając w myśli te słowa Pardaillan chwycił list, zapieczętował go ponownie w pośpiechu, wściekłym ruchem wcisnął do kieszeni kaftana i wybiegł, zdecydowany stanowczo nie przejmować się niczym, co dotyczy Loizy, jej matki i wszystkich Montmorency'ch razem wziętych.

Co robił przez ten dzień? — zapewne sam nie wiedział. Widziano go w dwóch czy trzech szynkach, gdzie był znanym gościem. Wcale nie starał się ukrywać, a przecież jego sytuacja była fatalna.

Około piątej ochłonął, odzyskał zimną krew: znowu panował nad sobą. Rozejrzał się wokół i stwierdził, że stoi nie opodal Sekwany, prawie na wprost Luwru, przed wspaniałym pałacem.

„Pałac Montmorency! Nie pójde tam, za nic!”

Równocześnie zbliżył się do drzwi wejściowych i wściekle zaczęła walić kołatką.

## XXI

### SPOWIEDNIK

W przeddzień owego dnia, kiedy kawaler de Pardaillan wyszedł z

Bastylii dzięki zręcznemu fortelowi i kiedy wbrew twardemu postanowieniu znalazł się przed pałacem Montmorency, ważna scena odbyła się w kościele Saint-Germain-l'Auxerrois. Dochodziła dziewiąta wieczór. Kaznodzieja skończył właśnie homilię wygłoszoną wobec ogromnego tłumu wiernych, który wypełniał bazylikę. Był to przystojny mnich, wysoki, o pańskiej postawie. Z teatralnym wdziękiem nosił czarno-biały habit karmelity. Nazywał się wielebny Panigarola.

Pomimo młodego wieku zakonnik sprawiał wrażenie surowego ascety, co bynajmniej nie przeszkadzało, że wzbudzał niezbyt religijny entuzjazm pięknych słuchaczek. Był on naprawdę niezwykle urodziwy, w dodatku posiadał sztukę gestykulacji, owych szerokich gestów uniesionych ku dalekim niebiosom ramion, które opadały nagle, żeby grozić lub błogosławić. Ale najbardziej podziwiano gwałtowność jego wystąpienia nieoszczędzających nawet króla.

Panigarola otwarcie wypowiadał walkę herezji i wzywał do zagłady hugonotów. Płonął jednakową nienawiścią do królowej Nawarry Joanny d'Albret, jej syna Henryka, księcia Kondeusza, admirała Coligny, wreszcie do wszystkich hugonotów oraz tych, którzy, jak król Karol IX, tolerując ich okazywali słabość.

Panigarola wzbudzał w słuchających go kobietach niepojętą ciekawość. Dla niektórych, a zwłaszcza dla ludu, był świętym sprowadzonym przez królową Katarzynę z Italii dla zbawienia Francji i odkupienia jej grzechów. A dla większości szlacheckich pań, które słuchały jego kazań, był kimś znacznie więcej niż świętym: był człowiekiem, który dużo nagrzeszył i któremu one według zaleceń Ewangelii wiele wybaczyły.

Znały go dawniej jako świetnego markiza Pani-Garola. Bywał na wszystkich przyjęciach, cieszył się sławą ostrego rębajły, mającego na sumieniu z pół tuzina trupów, bywalca szynków, uroczego zawadiaki, którego swada, luksusowe życie i siła wzbudzały podziw gawiedzi. Potem nagle zniknął. No i odnalazł się w habitcie karmelity, piękniejszy niż kiedykolwiek, płomienny, ale usta, które ongiś tylko się uśmiechały, teraz ciskały gromy!

Tłum powoli wypląnął, rozlał się na zewnątrz wznosząc okrzyki:

— Śmierć hugonotom!

Pozostało kilkanaście kobiet modlących się wokół konfesjonału. Ale kościelny zawiadomił je, że wielbny ojciec jest bardzo zmęczony i dzisiaj nie wysłucha żadnej z penitentek.

Jedna z nich, młoda i piękna, o ile można było dojrzeć pod okrywającym ją czarnym woalem, osunęła się na klęcznik; niekiedy wstrząsała nią dreszcz. Gdy zakonnik bezszelestnym krokiem przechodził przez kościół, towarzyska klęczącej szturchnęła ją łokciem i szepnęła:

— Nadchodzi, Alicjo.

Panigarola przeszedł obok niej i zamknął się w konfesjonale.

— No! — cicho ponagliła Alicję towarzysza.

— Lauro... straciłam odwagę... — odparła dziewczyna drżącym głosem. — Chyba nie zdradziłaś mojego imienia?

Zbliżyła się do konfesjonału, uklękła. Od spowiednika oddzielała ją delikatna kratka z drewna, w dodatku twarz miała okrytą woalem, no i w ciemności zacierały się rysy spowiednika.

— Słucham cię, córko...

Stoczyła z sobą wewnętrzną walkę, po czym nagle odezwała się szepcąc:

— Markizie de Pani-Garola, jestem Alicją de Lux. Jestem kobietą, którą kochałeś, a może nadal kochasz... i ta właśnie kobieta przychodzi z błagalną prośbą...

— Słucham cię, córko — odpowiedział mnich tym samym obojętnym tonem.

Alicję ogarnęło przerażenie. Zrozumiała, że za kratką słucha jej nie człowiek, lecz posąg.

— Klemensie — szepnęła gorąco — czy nie poznajesz mojego głosu?

— Pani, nie ma już Klemensa, tak samo jak markiza de Pani-Garola. Jest przed tobą tylko sługa boży, który cię wysłucha w Bogu i będzie Go błagał, żeby się nad tobą ulitował, jeżeli na tę litość zasługujesz.

— Przecież to niemożliwe, żebyś zapomniał o naszej miłości! — szepnęła Alicja z rozpaczą.

— Pani, jeśli będziesz do mnie tak przemawiać, będę zmuszony się oddalić.

— Nie, nie, proszę pozostać! Muszę się wyświadczyć!

— Uczyn to tak, jak gdybyś się spowiadała przed Bogiem.

— Dobrze, więc wysłuchaj mnie, ojczyźnie... a potem powiedz, czy nie dość odpokutowałam za moje błędy i grzechy i czy ramię Boga, które na mnie spadło, nie dość już mnie ukarało.

— Słucham cię, moja córko.

— Najpierw opowiem o moim błędzie, a potem o ekspiacji. W ten sposób będziesz mógł osądzić mnie, ojczyźnie. Byłam piękna. Wielka królowa zwróciła na mnie uwagę i wzięła mnie do swego fraucymeru. A ponieważ byłam sierotą, ponieważ nie miałam już ani ojca, ani matki, ani rodziny — królowa zapewniła mnie, że mi zastąpi i matkę, i rodzinę...

W tym czasie wielu młodych panów wyznawało mi swoją miłość, ale ja nie kochałam żadnego. Nie kochałam nikogo! Kochałam luksus! Kochałam koronki, kochałam klejnoty... a byłam biedna. Królowa, o której mówię, obiecała mi nie tylko luksus, ale bogactwo, ja zaś przyrzekłam jej ślepe posłuszeństwo... To był mój pierwszy grzech: widok paru szkatulek pełnych diamentów oszołomił mnie, żeby je posiadać, żeby się nimi ozdobić do woli gotowa byłam podpisać pakt z szatanem. No i pakt został podpisany... Pewnego dnia królowa wezwała mnie do swojej domowej kaplicy... otworzyła przy mnie szufladę, w której mieniły się perły, diamenty, szmaragdy i rubiny mówiąc, że wszystko to będzie do mnie należało, jeżeli będę posłuszna. Rozgorączkowana, z płonącymi policzkami, cała wzburzona zawołałam: „Co mam robić, królowo?” Ona się uśmiechnęła, wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do pokoju przed kapliczką; uniosła zasłonę; za tą zasłoną zobaczyłam galerię wiodącą do apartamentu króla... spacerowali tam dworzanie, znałam ich wszystkich. Wskazała mi jednego z nich i powiedziała: „Postaraj się, żeby się w tobie zakochał”.

— W miesiąc później zostałam kochanką tego szlachcica — powiedziała Alicja tak cichutko, że mnich ledwo ją usłyszał.

Zapytał nie robiąc najmniejszego gestu:

— Jak się ten człowiek nazywał?

— Rozumiem, chcesz powiedzieć ojczyźnie, że miałam tylu kochanków, iż trzeba sprecyzować, prawda? Więc dobrze: nazywał się Klemens Jakub de Pani-Garola. Był markizem. Przybył z Italii. Chyba ojciec go trochę znał, prawda?

— Mów dalej, moja córko — spokojnie odparł mnich. — Zapewne kochałaś tego człowieka? Cóż, jeżeli na tym polega twój błąd, mogę cię zapewnić, że Pan Bóg ci wybaczy, tak jak ja jestem gotów cię rozgrzeszyć...

— Kpisz sobie, ojczcie wielebny! Niech będzie i tak. Możesz kpić, ale wysłuchaj. Nie kochałam tego człowieka.

— A on? — głucho zapytał spowiednik.

— On! On mnie kochał, ubóstwiał, przynajmniej tak sądzę. Tak czy inaczej, ojczcie wielebny, w rok po otrzymaniu od królowej rozkazu, o którym mówię, zostałam matką... Dziecko przyszło na świat w małym domku przy ulicy de la Hache, który królowa mi podarowała... Te narodziny zostały utrzymane w tajemnicy... ojciec zabrał noworodka...

— Rozumiem — powiedział mnich z hamowaną złością — w twoim sercu zrodziło się spóźnione uczucie macierzyńskie, gryzą cię wyrzuty sumienia i chcesz wiedzieć, co się z tym dzieckiem stało... Na ten temat mogę ci udzielić informacji... widuję je codziennie.

— A więc dziecko nie umarło? — jęknęła Alicja. — A więc mnie okłamałeś! Mów!

— Bóg pozwolił, aby dziecko wyżyło. Może przeznaczył je na narzędzie swego sprawiedliwego gniewu? Ojciec, ten markiz, ten świetny i naiwny pan, zabrał je, jak powiadasz, powierzył mamce i dał mu imię.

— Jakie?

— To, które nosi sam. Dziecko nazywa się Jakub-Klemens.

— Gdzie jest? Gdzie ono jest?

— Chowa się w jednym z paryskich klasztorów... Powiedziałem już: to dziecię Boga... i kto wie, czy Pan Bóg nie przeznacza go do jakichś bohaterskich czynów. Czy to pragnęłaś wiedzieć?

Alicja milczała zdruzgotana, zakonnik zaś, głosem szorstkim, jakby ochrypłym, tłumiąc szarpiące go uczucia, ciągnął:

— Alicjo, chciałaś ze mną rozmawiać, więc teraz wysłuchasz mnie do końca. Przyszłaś, aby zmaćcić spokój, który zaczynał okrywać niby całunem moje nędzne serce. Myślałaś, że dziecko umarło, i — może żałując — przyszłaś prosić o rozgrzeszenie zbrodni, która nie została popełniona. — Nie zwracając uwagi na rozpaczliwy gest zaprzeczenia Alicji, kontynuował: — Czy zadawałaś sobie pytanie, dlaczego tę zbrodnię ukarowano? Czy zastanawiałaś się, dlaczego, po zabraniu dziecka, nie pokazałem się więcej jego matce, dlaczego zszedłem do piekła orgii, wreszcie dlaczego rzuciłem się w tę otchłań zwaną klasztorem?

— Klemensie — szeptała dziewczyna — nie tylko zadawałam sobie pytanie, ale prawie natychmiast znalazłam odpowiedź. I to właśnie sprowadziło mnie tutaj.

Zakonnik drgnął:

— Więc mów — mruknął. — Powiedz, czegoś się dowiedziała. Przede wszystkim powiedz, jakie były powody tej zbrodni, jeśli chcesz, żebym ocenił ogrom zła i wyznaczył pokutę.

Alicja zaczęła mówić łamiącym się, cichutkim głosem:

— Królowa przypuszczała, że stronnictwo Montmorency'ch szuka sprzymierzeńców w Italii. Wiedziała, że odwiedziłaś Weronę, Mantuę, Parmę i Wenecję. Widziano cię z Franciszkiem, marszałkiem Montmorency'ch. Królowa chciała mieć dowody tej konspiracji i dlatego zostałam twoją kochanką... Oto jak się zbrodnia narodziła.

— No tak, a teraz o samej zbrodni.

— Pewnej nocy, kiedy spałeś mocno, umęczony moimi pieścotkami, skorzystałam z twego snu... — przerwała, ciężko dysząc.

— Nie masz odwagi dokończyć. Więc ja to zrobię — mruknął Panigrola. — Skorzystałaś z mego snu, żeby mi wykraść moje papiery. I naza jutrz znalazły się one w rękach Katarzyny Medycejskiej. Natychmiast to zauważyłem. I w ciągu następnych paru dni upewniłem się, że kobieta, którą ubóstwiałem, była nędznym szpiegiem.

— Litości! — jęknęła Alicja. — Już okazałam skruchę!

— Na szczęście, te dokumenty były mało ważne. A jednak marszałek de Montmorency musiał ratować się ucieczką. Życie dziesiątków ludzi zawisło na włosku, nie mówiąc już o moim własnym.

— Litości! Zamilknij!

— W miesiąc później powiłaś dziecko... Przez te straszne dni ja obmyślałem zemstę.

— Okrutną zemstę! — prawie krzyknęła Alicja. — Skorzystałaś z mojego osłabienia, z gorączki, żeby wymusić na mnie podpisanie listu, który mi podyktowałaś słowo po słowie. W tym liście oskarżam się o dzieciobójstwo...

— Czy to nie było ustalone? Powiedz, czy nie zgodziłaś się, żebym zabrał dziecko i je zgładził? Perfidna kochanko, matko bez serca, ty śmiesz mnie teraz oskarżać?

— Nie, nie — jęknęła Alicja przerażona — ja nie oskarżam, ja błagam! Twoja zemsta była słuszna, ale jakże okrutna! Ten list pisany pod twoje dyktando! Ten list, który mnie oddawał w ręce kata! Ten list, który mnie prowadził na szubienicę, ty go wręczyłaś Katarzynie Medycejskiej!

— Tak — potwierdził mnich lodowatym tonem.



— A wiesz, co z tego wynikło? Powiedz! Wiesz? To mianowicie, że stałam się w rękach królowej narzędziem zbrodni, że musiałam postarać się o to, aby zostać kochanką Franciszka de Montmorency, że gdy mi się udało uwieść tego człowieka, który przechodzi przez życie jak lodowate widmo, musiałam uwieść jego rodzonego brata Henryka! Nie opowiadam o innych kochankach, ale mówię ci, że żyję w najohydniejszym upodleniu, że mam tego dosyć, dalej ani kroku!

— Cóż — odparł mnich z bladym uśmiechem — któż ci przeszkadza wyzwolić się! Teraz, skoro wiesz, że zbrodnia nie została dokonana, że dziecko żyje...

— Och, to potworne! — rozpląkała się nieszczęsna. — Twoja zemsta jest okrutna!

— Obrałaś sobie zawód, ja tylko szukam sposobu, żeby cię zmusić do uprawiania go nadal, to wszystko!

— Bezlitosny! Och, jaki jesteś bezlitosny!

— Kto powiedział, że jestem bez litości? — zawołał Panigarola. — Czy kiedykolwiek prosiłaś mnie o coś?

Alicja zadrżała. Do jej mrocznej duszy wdarła się nagle nadzieja.

— Gdybyż to było możliwe! — wyszeptwała.

— Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić?

— Klemensie, możesz mnie uratować! Możesz mnie wydrzeć ze szponów hańby, rozpaczy, śmierci! Wystarczy, abyś wymówił jedno słowo! Klemensie, wyrządziłam ci wielką krzywdę, ale bądź wielkoduszny, bądź wspaniałomyślny... wybacź!

— Co mogę dla ciebie zrobić? — powtórzył mnich.

— Możesz wszystko! Och, Klemensie, przyszłam do ciebie z błagalną prośbą... pomyśl, przecież mnie kochałeś! Posłuchaj, nie wiem, jaki pakt łączy cię teraz z Katarzyną... ale ja ją znam... znam wiele jej tajemnic... wiem, że o ile dawniej cię podejrzewała, o tyle teraz cię podziwiała... Nie potrafi ci odmówić niczego! Powiedz słówko, a ona zwróci ci ten fatalny, okropny list.

— O to przyszłaś mnie prosić?

— Tak!

— Nie mylisz się — powiedział mnich z dziwną powagą. — Mam wpływ na umysł królowej. Poproszę ją o ten list... Pod jednym warunkiem.

— Mów! Wszystko, co zechcesz!

— Po prostu udowodnij mi, że będzie z pożytkiem oddanie ci tego listu... rozumiem przez to — z pożytkiem dla ciebie.

Oczy Alicji rozszerzyły się w nagłym przestraszu. — Czyż nie powiedziałam, jak bardzo cierpię?

— Nie jest to główny powód...

— Przysięgam!

— Cóż, widzę, że będę musiał sam wydrzeć ci twoją spowiedź... Skoro pragniesz swojej wolności, skoro cierpi twoje ciało, które oddajesz, i twoja dusza pogrążona we wstydzie, znaczy, że nareszcie kochasz. Nareszcie! Czyż nie tak? Mam ci wymienić imię tego, kogo kochasz? Nazywa się hrabia de Marillac... Jeśli to prawda, to istotnie musisz się uwolnić.

— A więc tak, to prawda — wyrzuciła z siebie zdrajczyni. — Kocham! Pierwszy raz w życiu kocham całym sercem, całą duszą. Pozwól mi kochać, co cię obchodzi, co się ze mną stanie! Jesteś pomszczony. Cierpiałam, odpokutowałam... Ja zniknę. O, mój Klemensie, przypomnij sobie, że mnie kochałeś... Przypomnij sobie, że w całym moim poniżeniu wzruszyłeś moje serce... Ratuj mnie!

Panigarola przez parę chwil milczał, potem odezwał się głosem ochryplym i tak zmienionym, że Alicja poznała go z trudem.

— Odpowiem. Prosisz mnie, żebym poszedł do Katarzyny i wydobył od niej ten oskarżycielski list. To niemożliwe. Nie jestem w łaskach królowej, wbrew temu, co myślisz i co ci mówiłem, żeby cię zachęcić do wyłożenia wszystkich twoich intencji. Już dawno nie widziałem królowej i prawdopodobnie nigdy już jej nie zobaczę.

Ton tej wypowiedzi był ponury. Najwidoczniej myśli jego błędziły gdzie indziej. Alicja była zdumiona, zdruzgotana, nic nie mogła zrozumieć.

— Więc odmawiasz mi ratunku? — zapytała.

— Ratunek! — warknął mnich, nie mogąc się dłużej powstrzymać. — Ratować cię, czyli z otchłani moich cierpień oglądać twoje szczęście zbudowane własnymi rękami? To znaczy, pozwolić ci kochać tego Marillaca?

Alicja jęknęła. Mnich się zdemaskował. Nie był to spowiednik Panigarola, człowiek ukojony modlitwą, litościwy kapłan... był to nadal markiz de Pani-Garola, ogarnięty pożerającymi go namiętnościami, taki, jakiego znała!

Nie chciała poddać się rozpacz, gdyż ogarnęło ją nowe przerażenie: w jaki sposób Panigarola poznał imię człowieka, którego nazywała swoim narzeczonym? Mnich sam jej to powiedział:

— Czy myślisz, że bodaj na chwilę straciłem cię z oczu? Z głębi mego klasztoru śledziłem każdy twój krok, widziałem twoje ruchy, słyszałem

twoje słowa. Nie było ani jednego twego postępuku, to znaczy ani jednej twojej zdrady, o której nie mógłbym ci opowiedzieć; potrafię wymienić ci wszystkich twoich kochanków, jednego po drugim! Ale nie sądz, że byłem zazdrosny. Oddając cię w ręce królowej, doskonale wiedziałem, co robię. I to było moją zemstą. Przychodzisz do mnie żądając, abym był kowalem twego szczęścia! Odkrywam przed tobą istnienie twojego dziecka! Staram się obudzić w tobie ludzkie uczucie, dzięki któremu zasłużyłabyś na zapomnienie, jeśli nie na moją litość, a ty myślisz tylko o swojej miłości! Szalona! Powiedziałaś, że przysłałaś tu po odpuszczenie grzechów! Powiedz raczej — po przekleństwo!

Mnich wstał, wyszedł z konfesjonału. Ramiona jego wyciągnęły się w kierunku głównego ołtarza w geście klątwy. I odszedł, prześliznął się jak widmo wstrząsany hamowanym szlochem, aż zniknął w ciemnościach pozostawiając Alicję zemdloną.

Wtedy stara Laura z uśmiechem w kącikach wąskich warg podbiegła do panny de Lux.

— Uciekajmy — powiedziała ponuro — uciekajmy! To gniazdo strachu, zbrodni i potępienia!

Alicja spędziła bezsenłą noc. Ale była tak silna psychicznie, że nie straciła ani sekundy na lamenty.

„Będę walczyć do ostatka” — postanowiła.

Gdyby jej dawny kochanek ulitował się nad nią, gdyby mnich wydarł Katarzynie Medycejskiej ów straszny list czyniący z niej niewolnicę — jej plan polegałby na tym, żeby wrócić do Luwru tylko po to, by powiedzieć władczyni:

— Służyłam ci, królowo, do tego czasu. Teraz odzyskuję wolność.

Proszę cię, miłościwa pani, jedynie o neutralność, pragnę jedynie, abys o mnie zapomniała.

Sen o wolności, o szczęściu runął. Musiała wrócić do jarzma. Musiała jak najprędzej udać się do Luwru stosownie do otrzymanych rozkazów.

Nazajutrz rano Alicja przybrała dawny nieprzenikniony wyraz twarzy. Z pomocą Laury ubrała się starannie i poszła do Luwru w asyście starej kobiety.

Niebawem znalazła się w prywatnych apartamentach królowej. Katarzyna Medycejska została powiadomiona, że panna Alicja de Lux powróciwszy z długiej podróży ma zaszczyt zgłosić się po rozkazy. Królowa kazała powiedzieć, że przyjmie Alicję, jak tylko będzie wolna, i że ta ma się nie oddalać z Luwru, dopóki się z nią nie zobaczy.

Istotnie, Katarzyna konferowała ze swoim powiernikiem, swoim dawnym kochankiem, jedynym prawdziwym przyjacielem, z astrologiem Ruggieri. Miała całkowite zaufanie do jego wiedzy. Ruggieri nie był szarlatanem, uważał astrologię za jedyną naukę zasługującą na studiowanie.

W chwili, kiedy wchodzimy do gabinetu królowej, Ruggieri właśnie się z nią żegna.

— A więc — mówi astrolog — pokój?

— Tak, René, pokój... który jest niekiedy groźniejszą bronią od wojny.

— I sądzisz, królowo, że Joanna d'Albret przybędzie do Paryża?

— Tak.

— I Coligny?

— Także. Kondusz, Henryk Bearneński — wszyscy przybędą. Myśl więc o moich zaleceniach.

— Rozpowszechnić plotkę, że królowa Nawarry jest chora?

— Właśnie, mój poczciwy René — powiedziała Katarzyna z uśmiechem. — Mogę cię zapewnić, że jest bardzo chora. Ale to nie wszystko. Zapomniałeś o najważniejszym.

— Rozpuścić plotkę, że Joanna d'Albret ma jeszcze inne dziecko oprócz Henryka.

— Tak, potomka, starszego nawet od Henryka Bearneńskiego... i który miałby prawo... gdyby Henryka nie stało... i że ty go znasz! — dodała patrząc władczo na astrologa.

Ten schylił głowę i powiedział z westchnieniem:

— Mój syn... — po czym wyprostował się i dodał: — To kalumnia, Katarzyno!

— Tak, kalumnia, René.

— Nikt w to nie uwierzy — pokręcił głową.

— Kłamstwo jest bronią silnych, bronią tych, którzy zetknęli się z życiem twarzą w twarz i powiedzieli mu: jesteś nicością! Bronią tych, którzy zbadali swoje sumienie i powiedzieli mu: jesteś tylko wyobraźnią. Pospółstwo to stado, którym rządzą, powinno nienawidzić kłamstwa. Ale my, René, my możemy i powinniśmy kłamać, albowiem kłamstwo jest podstawą każdego silnego rządu.

— Będę więc kłamał, moja piękna królowo! — zawołał Ruggieri.

— Powtarzam ci, królowa Nawarry przybędzie do Paryża. Trzeba, żeby jeszcze przed jej przybyciem kłamstwo utorowało nam drogę. Po pierwsze, ona jest chora, rozumiesz? Po drugie — ma syna... dlaczego

spochmurniałeś? Kto ci mówi, że tego syna... nie przeznaczam do wysokich godności? Kto ci powiedział, że on nie zostanie królem Nawarry zamiast Henryka?

— Katarzyno — rzekł astrolog przyciskając wargi do dłoni królowej — jesteś wielka!

— Idź już — odprawiła go z uśmiechem. — Idź i staraj się być posuszny.

— Ślepo! — krzyknął astrolog wybiegając z gabinetu.

Z kolei Katarzyna Medycejska wyszła z komnaty i nie przechodząc przez salę, gdzie czekał jej dwór, tajnymi korytarzami udała się do apartamentu króla.

Gdy zbliżała się, usłyszała trąbkę myśliwską. Karol IX, zapalony myśliwy, płonął namiętnością do łowiectwa w ogólności i do wszelkich przejawów sztuki, które się z nim wiązały, w szczególności. Grał na trąbce, dmuchał co sił w płucach, aż z tego chorował.

Przed wejściem do króla Katarzyna przybrała odpowiedni wyraz twarzy i przyzdobiła ją najwyższą melancholią. Kiedy weszła, Karol IX natychmiast odłożył trąbkę, podszedł do niej, ujął za rękę, którą ucałował, i poprowadził do głębokiego fotela; królowa usiadła.

— Synu — powiedziała — przybywam jak co rano po wiadomości o twoim zdrowiu. Jak się czujesz? Obróć się do okna, niech zobaczę... Wyglądasz dobrze... bardzo dobrze. Oddycham z ulgą! Bo widzisz, ja wprost nie żyję, odkąd Ambroży Paré powiedział mi, że któryś z tych napadów mógłby cię zabić na miejscu. Ale ja w to nie wierzę, Karolu. Zresztą, zarządziłam ciche modły w trzech kościołach i Notre-Dame.

— To, co mówisz, pani, uspokoiłoby mnie, gdybym wymagał uspokojenia. Ale jestem taki jak ty, nie wierzę wcale w groźne przepowiednie mistrza Paré, więc ci, których by moja śmierć uradowała, muszą jeszcze zaczekać.

— Amen — powiedziała Katarzyna. — Ale, synu, naprawdę myślisz, że są ludzie, których by uradowała śmierć króla?

— Pani, skąd u ciebie takie czarne myśli?

— To stały niepokój matki, Karolu, nigdy nie składaj bronii wobec pozorów bezpieczeństwa.

— A ja twierdzę, że czuję się znakomicie! Co zaś do ludzi, którzy chcą cieszyć się z każdego mojego napadu kolki, są oni wszędzie, nawet w tym pałacu.

— Mówisz zapewne o hugonotach, mój synu. Właśnie chciałam porozmawiać na ich temat. Jeśli ci to odpowiada, panie, chwila byłaby odpowiednia...

Katarzyna rzuciła znaczące spojrzenia na trzy czy cztery osoby z otoczenia króla, które cofnęły się w róg komnaty, gdy królowa matka weszła.

Król odwrócił się do nich.

— Panowie, królowa pragnie ze mną rozmawiać. Mistrzu Pompéus, wrócisz za godzinę na dalszą lekcję szermierki. I przynieś mi kilka tych arabskich kling, o których mówiłeś... Mistrzu Crucé, o kowalstwie artystycznym porozmawiamy jutro; chcę zobaczyć ten nowy model zamka, któryś wymyślił. Panowie, do zobaczenia niebawem.

Mistrz Crucé i dworzanie wyszli złożwszy uprzednio głęboki ukłon królowej.

— Słucham, pani — odezwał się Karol IX zagłębiając się w obszernym fotelu. — Do nogi, Naysus! Euyalus!

Dwa wspaniałe charty, które od chwili wejścia królowej nie przestały warczeć, położyły się u stóp króla.

— Karolu — powiedziała Katarzyna — czy nie uważasz, że tak długotrwała waśń, te zgubne wojny, w których giną po obu stronach najlepsi rycerze, zubożą w końcu pozostawione ci przez ojca dziedzictwo, które powinienes przekazać w stanie nienaruszonym swoim następcom?

— Oczywiście. Uważam, że słuchanie mszy jest zbyt wysoką ceną za życie tyłu śmiałków.

— Lubię, gdy jesteś w takim nastroju, panie.

— Zdumiewa mnie tylko jedno, pani: że ten mój nastrój zda się ciębie dziwić. Czyż nie głosiłem zawsze, że pomiędzy tymi dwiema religiami powinien zapanować pokój? Pani mi teraz głosisz pojednanie, podczas gdy ja zawsze musiałem opierać się jej niepohamowanemu apetytowi na wojnę i masakrę! Dość tego, na Boga. Chcę, aby się stało według mojej woli, żeby minioni przestali wreszcie prowokować hugonotów, żeby te przekłete mnichy, jak twój Panigarola... zresztą, zobaczmy, kto rządzi w Paryżu — dodał Karol IX wstając.

Przy ostatnich słowach ruszył w stronę Katarzyny z tak groźną miną, że królowa zerwała się i wyciągnęła przed siebie ręce.

— Mój synu — powiedziała z wymuszonym śmiechem. — Można by pomyśleć, że masz pretensję do swojej matki! Ale wierz mi, nie aresztujesz nikogo, ani Panigaroli, ani Maugirona czy Quélusa.

— Zaaresztuję ich, jeśli uznam za stosowne, pani. Zaaresztuję nawet Henryka!

— Cóż — powiedziała królowa — mówisz o pokoju, a marzysz o aresztowaniach nawet w rodzinie.

Ale Karol IX z widocznym zmęczeniem usiadł ciężko w fotelu. Katarzyna na to czekała.

— Nikogo nie zaaresztujesz — powiedziała — jeżeli dam ci dobry sposób na zapewnienie powszechnego pokoju.

— Czyżby chodziło o jakąś rzeź, o nową bitwę, o pobór do wojska i o pieniądze?

— Nic z tego, synu.

— Słucham, pani.

— Myślę o tym od dłuższego już czasu... Posądzasz mnie o to, iż marzy mi się wojna, jak jakieś bohaterce, tymczasem jestem tylko biedną matką, która stara się zapewnić szczęście swoim dzieciom — dodała z naciskiem widząc gest Karola. — I oto, co wymyśliłam, synu: hugonoci są już niczym, a przynajmniej przestaną zagrażać, jeśli zabraknie im Henryka de Béarn i Coligny'ego. Przypuśćmy, że ci dwaj się poddadzą.

— Nigdy na to nie pójda!

— Więc znalazłam coś lepszego niż wymuszenie na nich poddania się, które mogłoby okazać się hipokryzją! — zawołała Katarzyna z triumfem. — Znalazłam sposób, żeby zrobić z nich najzagorzalszych przyjaciół króla, jego sprzymierzeńców! Jak myślisz, jak postąpiłby stary Coligny, gdyby mu dać armię, żeby ją poprowadził do Niderlandów dla obrony swoich współwyznawców masakrowanych przez księcia Albę?

— Powiedziałbym, że padnie mi do stóp. Ale, pani, to oznaczałoby wojnę z Hiszpanem!

— Na ten temat porozmawiamy na radzie, synu. Znam sposób na uniknięcie wojny z Hiszpanią, która jest i powinna pozostać naszą wierną przyjaciółką. Zakładając, że tak jest, czy byłbyś gotów, królu, uczynić admirałowi propozycję, o której mówię?

— Na Boga, tak! I to nawet za cenę wojny z Hiszpanią, gdyż w końcu lepsza jest wojna graniczna niż domowa!

— Dobrze. Przyznajesz, królu, że w tych warunkach admirał jest nasz? I to wicherzyciele ze stronnictwa hugonotów, pozbawieni wodza, przechodząc na naszą stronę.

— Zapewne, ale co z Henrykiem Bearneńskim?

— W tym właśnie kierunku zmierza mój pomysł! Henryk Bearneński

jest twoim wrogiem... więc uczynię z niego coś więcej niż przyjaciela, uczynię brata... dając mu za żonę twoją siostrę... moją córkę Małgorzatę!

— Margot!? — wykrzyknął zdumiony Karol.

— We własnej osobie. Myślisz, że odmówi tego skoligacenia? Myślisz, że pyszna Joanna d'Albret nie będzie dumna i szczęśliwa z takiej unii?

— Pomysł wspaniały, rzeczywiście. Ale co powie Margot?

— Margot powie to, co my zechcemy.

— Na rany Boga — zawołał król wstając — to jest co się zowie piękny i mądry pomysł, pani. Tak, to zapewni nam pokój. Bearneńczyk wciągnięty do rodziny, Coligny zajęty w Niderlandach — stronnictwo hugońskie nie istnieje! Ach, oddecham z ulgą!

I Karol jak dziecko, którym rzeczywiście pozostał, wykonał taneczne pas, po czym chwycił matkę w ramiona i wycisnął na jej policzkach po siarczystym pocałunku.

Nagle Katarzyna zauważyła, że syn blednie. Karol chwycił się kurczowo za serce i stanął, ciężko dysząc. Wzrok mu się zmącił, źrenice rozszerzyły. Po chwili rysy się wygładziły, wzrok uspokoił. Odetchnął głęboko.

— Widzisz, matko — powiedział ze smutnym uśmiechem — atak nie był groźny. Radość, jaką mi sprawiłaś, dodaje mi sił. Ach, gdybyż to wokół mojego tronu nie było skrywanych nienawiści ani intryg... gdybyśmy wreszcie mieli pokój...

— Będiesz go miał, Karolu — powiedziała Katarzyna wstając. — Zawierz matce, która nad tobą czuwa. Więc mam twoją aprobatę, żeby rozpocząć pertraktacje małżeńskie?

— Tak, pani, zaczynaj. Ja zaś idę zaraz do Margot, żeby przemówić jej - do rozsądku.

Królowa matka uśmiechnęła się kwaśno. Wracała do swoich apartamentów powoli, zadumana; weszła do domowej kaplicy.

— Paolo — nakazała Włoszce, która zawsze była w pobliżu — przywiedź Alicję.

W parę minut później Alicja de Lux weszła do kaplicy.

— Więc wróciłaś, moje dziecko — odezwała się Katarzyna łagodnym tonem. — Przyjechałaś wczoraj?

— Nie, pani, przyjechałam jedenaście dni temu...

— Jedenaście dni temu i dopiero dzisiaj przychodzisz!

— Byłam bardzo zmęczona, pani — usprawiedliwiała się dworka.

— Tak, tak... rozumiem, musiałaś wypocząć... a może i trochę się zastanowić... żeby być w zgodzie z samą sobą... Ale dajmy temu pokój.



Znakomicie pojęłaś, na czym polega twoja misja, nie znam lepszego ód ciebie dyplomaty. Zastługujesz na nagrodę.

— Miłościwa pani jest zbyt łaskawa... — szepnęła nieszczęsna.

— Bynajmniej, mówię szczerą prawdę... dzięki tobie, drogi ambasadorze, mogłam poznać na czas i udaremnić zamysły naszego najzajadlejszego wroga, królowej Joanny. Ach, w tym względzie mogę pogratulować doboru kurierów, pewnych i gorliwych... oraz pisania listów... Tak, moje dziecko, oddałaś nam wielkie zasługi. I to nie twoja wina, że nie miały one dalszego ciągu...

— Nie wiem, co miłościwa pani ma na myśli...

— Alicjo, w jaki sposób królowa Nawarry opuściła Paryż? Bo przecież była tu, ja wiem,.. Opowiedz mi o tym, proszę... Czy uczestniczyłaś w tej podróży? Czy to prawda, że na Drewnianym Moście nastąpiło coś w rodzaju rewolty?

Alicja natychmiast zaczęła relacjonować bójkę, o której już czytelnicy wiedzą.

— Jezu Chryste! — zawołała Katarzyna składając ręce, — Czy możliwe, żeś była w takim niebezpieczeństwie? Kiedy pomyślę, że mało brakowało, a królowa Nawarry zostałaby zabita, dreszcz mnie przejmuje... przecież w końcu wcale nie pragnę śmierci tej biednej królowej. Dowodem, że nie życzę jej niczego złego jest fakt, iż myślę o zawarciu pokoju... i że pošlę cię do niej, by ją przygotować do tego wielkiego wydarzenia. Możesz jechać już dziś.

Mówiąc to Katarzyna przenikliwym okiem patrzyła na Alicję, która stała z pochyloną głową, drżąca, w osłupieniu.

— A propos — zapytała nagle Katarzyna — po co królowa Nawarry przyjechała do Paryża?

— Żeby sprzedać swoje klejnoty, wasza miłość.

— Ach, peccata! Biedactwo kochane... Klejnoty! Popatrz, popatrz... A czy przynajmniej dostała za nie dobrą cenę? W gruncie rzeczy jest mi wszystko jedno, nie chcę być niedyskretną. W dodatku jej szczęście, że posiada jeszcze klejnoty na sprzedaż. Co do mnie, to mam ich już niewiele... zaledwie parę... i te nie należą do mnie, przeznaczam je dla przyjaciół. Spójrz, Alicjo! Przynieś no tę szkatułkę... stoi tam, na klęczniku... Tak, dobrze.

Alicja spełniając polecenie postawiła na stoliku hebanową szkatułkę, którą Katarzyna natychmiast otwarła. Szufladki w niej były ustawione jedna na drugiej, oczom Alicji ukazała się pierwsza. Leżała w niej agrafta przypinana do pasa i para kolczyków.

Alicja pozostała obojętna, zimna. Królowa spojrzała na nią spode łba i lekki uśmieszek pojawił się na jej wargach.

„Do licha! — pomyślała. — Panienska robi się grymasna”.

— Co o tym sądzisz, moje dziecko? — zapytała.

— Te klejnoty są bardzo ładne, pani.

— Tak, na pewno... Czystość tych pereł jest wręcz wspaniała, na próżno szukać jakiejś skazy... Ale cośmy mówiły? Ach tak, że królowa Nawarry sprzedała swoje ostatnie klejnoty, komu, mówiłaś?

— Żydowi Izaakowi Rubenowi — wyjaśniła Alicja.

— Ach tak. I dodałaś, że ta dobra królowa wyjechała?...

— Do Saint-Germain, pani. A potem do Saintes. Myślę, że z Saintes królowa Nawarry uda się do La Rochelle.

— Cóż to, moje dziecko, wydajesz się niespokojna? A przecież wypoczywałaś dziesięć dni. Już nie poruszam sprawy kłopotów, na jakie mogłaś mnie narazić nie wypełniając natychmiast moich rozkazów... Ale teraz musisz robić dobrą minę... jeszcze jeden wysiłek, moja mała Alicjo... Tylko do ciebie mam zaufanie... jestem otoczona wrogami... zobaczysz, że nie mam przed tobą tajemnic. Powiem ci wielką nowinę: moja kuzynka z Nawarry staje się naszą przyjaciółką... przybywa tu, do Paryża... na nasz dwór.

W miarę słów Katarzyny, Alicja bladła coraz bardziej. Przy ostatnim zdaniu stłumiła okrzyk, ale królowa udała, że go nie słyszy.

— A więc — ciągnęła — muszę przekazać królowej Nawarry pewną wiadomość... ustną. I to właśnie tobie powierzam tę poważną misję.

Alicja zrobiła gest, jak gdyby chciała przerwać królowej.

— Milcz — prawiała dalej Katarzyna. — Słuchaj uważnie, gdyż rozumiesz, że nasz czas jest cenny. Pojedziesz. Za godzinę, nie później niż za godzinę, zastaniesz pod twoimi drzwiami podróżną karocę. Będziesz pędzić, aż dotrzesz do królowej. Powierzam ci podwójną misję: pierwsza, to przedstawić królowej z całą delikatnością propozycje, które ci za chwilę wyłuszczę; druga — to zależnie od nastroju, w jakim ją zastaniesz, ofiarujesz jej lub nie ofiarujesz... mały prezent, który ma być od ciebie, rozumiesz? Ja nie mam z tym nic wspólnego... uspokój się, ten prezent... to bardzo łatwe... po prostu pudło rękawiczek. Milcz, wiem, jakie możesz mieć zastrzeżenia... Powiesz, wymyślisz, co zechcesz, żeby wytłumaczyć, że ja cię obarczyłam przekazaniem wiadomości, natomiast co do rękawiczek... nie mam z tym nic wspólnego... to ty je kupiłaś w Paryżu, żeby sprawić przyjemność swojej dobrodziejce...

— Błagam waszą wysokość nie mówić dalej...

„Zrozumiała już sprawę rękawiczek — pomyślała Katarzyna. — Ona się boi...”

Szybko wyjęła pierwszą szufladę szkatułki. Ukazał się drugi rząd.

„Niech głębiej oddycha przez pięć minut” — Katarzyna dalej snuła swoje myśli. — Co o tym sądzisz, Alicjo? — zapytała.

— O czym? O tym, co wasza wysokość mówiła — Alicja przeciągnęła ręką po czole.

— Ależ nie, o tych rubinach! Spójrzże na nie!

W drugiej warstwie, która się ukazała, połyskiwał duży złoty grzebień ozdobiony sześcioma wielkimi rubinami; ich ciemne, wspaniałe błyski rozświetlały czerń aksamitu... Był to isticie królewski klejnot.

— Ten grzebień będzie pięknie wyglądał w twoich włosach — powiedziała królowa. — Jak korona. Godna jesteś tego, moja córko.

Alicja ruchem pełnym rozpaczy zaciskała dłonie. Królowa wyjęła grzebień, zamigotała nim i zawołała:

— Tak naprawdę, to mi nie mówiłaś, jakieś tam dotarła! Opowiedz teraz...

— Zrobiłam, jak było ustalone — zaczęła Alicja szybko, gorączkowo.

— Woźnica skierował karetę tam, gdzie miał powiedziane, pojazd się rozbił, ja czekałam, ktoś nadciągnął...

— Ktoś? — zapytała królowa podnosząc głowę.

— Jakiś dworzanin królowej Nawarry. Zaprowadził mnie do królowej... Opowiedziałam jej z góry ukartowaną historyjkę... że chciałam przejść na protestantyzm... że królowa matka mnie prześladowała, że postanowiłam znaleźć schronienie w Béarn... Królowa Joanna mnie przyjęła... resztę miłościwa pani znasz.

— Jak się nazywał ten dworzanin?

— Nigdy się tego nie dowiedziałam — powiedziała Alicja z lekkim drżeniem. — Odjechał tego samego dnia. Ach, najjaśniejsza pani, widzisz, że nie mogę wypełnić tej misji, wszak byłam przez ciebie prześladowana... Jak królowa Joanna sobie to wytłumaczy...

— Mówisz, że nigdy nie dowiedziałas się jego imienia?

— Czyjego? — zapytała Alicja z tym niesłychanym tupetem, jaki rodzi rozpacz.

— Tego dworzanina... Ach tak, to prawda, odjechał tego samego dnia... nie mówmy już o tym. Co do podejrzeń, jakie mogłaby powziąć Joanna d'Albret — to przecież jesteś jeszcze dzieckiem. Przybyłaś do

Paryża, ja się o tym dowiedziałam, jak również o tym, że jesteś dobrze z królową Nawarry, i dążąc do pojednania pragnę sprawić przyjemność mojej nowej przyjaciółce, więc właśnie ciebie obarczam przekazaniem jej... tego, o czym dowiesz się za chwilę. Ale porozmawiajmy najpierw o rękawiczkach. A propos, radzę ci szczerze nie przymierzać ich, a nawet nie otwierać pudła...

— Ależ to niemożliwe, pani!

Tym razem, pomimo drżenia głosu, ton był tak stanowczy, że Katarzyna przyjrzała się Alicji uważnie.

— Co ci się stało? — zapytała. — Powiedz mi, jaka jest przeszkoda, a postaramy się ją usunąć.

— Przeszkoda jest nie do pokonania, pani. Nie chciałam o tym mówić, gdyż serce pęka mi ze wstydu za każdym razem, kiedy o tym myślę.

— Co takiego? — zapytała Katarzyna surowo.

— Królowa Nawarry zorientowała się, jaką przy niej spełniam rolę...

— Joanna d'Albret cię przejrzała?

— Tak, wasza wysokość.

— Na krew Chrystusa! — warknęła Katarzyna. — Powiedzże mi nareszcie, jak to się stało.

Alicja zakrywając oczy dłońmi odparła:

— Wtedy na moście ktoś rzucił mi na kolana bilecik zawierający rozkazy... Ja go nie zauważyłam, ale królowa go podniosła... a miała już niejasne podejrzenia, które przerodziły się w pewność. Pozwoliła mi jechać z sobą do Saint-Germain i wtedy mnie wypędziła.

Na chwilę zapanowała cisza. Alicja cichutko szlochała. Ten płacz wzbudził w Katarzynie Medycejskiej podejrzenie, że było jeszcze „coś innego” w sercu dziewczyny. I miała rację! Alicja zaś była szczęśliwa znajdując w tym momencie pretekst, żeby dać upust swojemu bólowi.

— Uspokój się — odezwała się królowa. — W końcu obeszło się takim kosztem. Cios jest ciężki, zwłaszcza dla mnie. Ale nie bój się, że cię oddalę... znajdę ci inne zajęcie godne twojej inteligencji... i twojej urody. Nigdy więcej nie będziemy rozmawiać o królowej Nawarry. Nigdy... Ty nadal cieszysz się moim całkowitym zaufaniem i dam ci dowody...

Alicja drgnęła. Jaki nowy cios miał na nią spaść?

— Widzisz, już jesteś spokojniejsza — zauważyła królowa. — Nie myśl więcej o przeszłości... ponieważ nie możesz mi się przydać poza Paryżem, przydasz mi się w Paryżu, to wszystko...

— Ale czy nie powiedziałaś mi, miłościwa pani — odezwała się nieśmiało agentka — że królowa Nawarry ma przybyć do Paryża?

— Tak, przynajmniej taką mam nadzieję... jednak wystrzegaj się o tym rozpowiadać. Co ci się nie podoba w tym, że Joanna d'Albret przyjedzie do Paryża?

— Bo jeżeli mnie zobaczy, pani? Czy nie lepiej byłoby dla ciebie, miłościwa pani, a także po trosze i dla mnie, żeby królowa Nawarry w ogóle mnie nie widziała? Gdyby wasza królewska mość się zgodziła, wyjechałabym na pewien czas...

— Masz rację. Joanna d'Albret nie powinna cię widzieć.

Radość, jaka ogarnęła Alicję, była tak wielka, że dziewczyna zamknęła oczy, żeby królowa tej radości nie spostrzegła.

— A więc nie będziesz się pokazywać w Luwrze. Zresztą misja, którą zamierzam ci powierzyć, nie wymaga twojej obecności tutaj, ale nie opuścisz Paryża, będziemy do siebie pisać. Będziesz nadal mieszkać w swoim domu przy ulicy de la Hache. Co wieczór przyslesz mi wyniki twoich obserwacji. Oto jak: znasz ten nowy pałac, który sobie zbudowałam? Widziałaś wieżę? Otóż pierwszy otwór w dole wieży znajduje się na wysokości człowieka. Okratowany jest dwoma prętami, ale pozostawiają one dość miejsca, żeby wsunąć rękę. Co wieczór pójdziesz tam i wrzucisz liścik. Jeżeli będę miała jakiś rozkaz dla ciebie, czyjaś ręka poda ci mój bilecik. Dokładnie zrozumiałaś wszystko?

— Tak, miłościwa pani — powiedziała Alicja kryjąc rozpacz.

— Doskonale. Teraz uważaj. Przede wszystkim wiedz: tyle zrobiłaś dla mnie, że i ja chcę coś zrobić dla ciebie. Już od przeszło sześciu lat używam cię do moich celów, które są także celami króla... moja córko. Dość już się napracowałaś, Alicjo, teraz wyłożę ci twoją ostatnią misję.

— Czy to prawda, wasza wysokość? — zawołała Alicja.

— Najzupelniejsza, moje dziecko. Przysięgam, że po tej ostatniej... przysłudze, jaką oddasz królestwu, będziesz wolna. Przysięgam ci na Chrystusa, który nas słucha. Ale ja nie będę się uważała za zwolnioną ze zobowiązań w stosunku do ciebie. Uczynię cię bogatą, Alicjo. A więc najpierw możesz liczyć na to, że jesteś wpisana na listę królewską z rentą dwunastu tysięcy talarów. Następnie, mam siedem czy osiem pałacyków w Paryżu, wybierzesz sobie ten, który ci się podoba, a ja ci go dam z całym umeblowaniem, z końmi i służbą; wreszcie, w dniu, w którym wyjdiesz za mąż, otrzymasz z mojej osobistej listy sto tysięcy liwrow gotówką.

Najwyższym wysiłkiem woli udało się Alicji nie okazać ani aprobaty, ani dezaprobaty.

— A więc — ciągnęła zupełnie uspokojona Katarzyna — jeżeli znaję jakiegoś pięknego szlachcica, który cię pokocha i którego ty pokochasz... będziecie mieli do wyboru: zamieszkać w Paryżu albo na prowincji, bywać lub nie bywać u dworu; będziecie całkowicie wolni, ty zaś, moja córko, będziesz nie tylko wolna, ale szczęśliwa, bogata, godna zazdrości. A tu są klejnoty, które włożysz w dniu twego ślubu.

Mówiąc to Katarzyna wyjęła drugą szufladkę szkatułki. Ukazała się trzecia warstwa, wręcz olśniewająca.

Lekko przypięta złotymi agrafkami wiła się kolia z diamentów, zaiste godna królowej w dniu koronacji. W czterech rogach leżały masywne bransolety, każda ozdobiona perłą wielkości laskowego orzecha! Wolną przestrzeń pomiędzy bransoletami a kolia wypełniały kolczyki z szafirami. Wreszcie w środku przestrzeni niezajętej przez kolia leżała agrafa o dwóch olbrzymich szafirach podobnych do oczu i mogących zafascynować młodą kobietę.

— Och, madame, to niemożliwe, żebyś chciała przeznaczyć dla mnie tak wspaniałe wynagrodzenie!

W głębi ducha nieszczęsna powiedziała sobie:

„Ostatni wstyd. Ostatnia hańba. A potem będę wolna! Wolna, o mój ukochany!”

Ze swej strony królowa myślała:

„Co jej jest? Nawet trzecia szufladka jej nie wzrusza? Zobaczymy zaraz, co powie przy czwartej i ostatniej...”

Zaczęła mówić półgłosem, jak gdyby przy całym cynizmie ogarnęło ją jednak pewne zmieszanie.

— A więc ustaliłyśmy, prawda? Teraz misja, oto ona: uważaj dobrze, moje dziecko, jest to sprawa wyjątkowej wagi. Wybaczyłam ci, że ci się nie udało z Franciszkiem de Montmorency... Nie wybaczę ci porażki z tym... tak, bo to chodzi o mężczyznę... i musi on mieć do ciebie ślepe zaufanie. Trzeba, żebyś w pewnym momencie mogła mi go przyprowadzić... gdzie? Ja ci powiem. Zrozumiałaś?

— Tak, madame — odparła dość stanowczo Alicja.

— Ten człowiek — ciągnęła królowa złowrogim głosem — jest w Paryżu, to mój śmiertelny wróg. Powiem ci, jak go znajdziesz, gdzie go spotkasz... A więc wysił się... wymyśl coś, bądź ostrożna jak Borgia, piękna jak Diana, bądź, czym zechcesz, nawet geniuszem... ale muszę dostać tego człowieka.

— Jak się nazywa? — zapytała Alicja.

— Hrabia de Marillac.

To imię rozległo się jak piorun w uszach Alicji. Trupio blada, cała dygocząca, kurczowo trzymała się oparcia fotela i z niezwykłą energią, zebrawszy wszystkie siły, walczyła o zachowanie nieprzeniknionej maski na twarzy, o to, żeby nie krzyknąć, nie zemdleć, nie wzbudzić podejrzeń.

Katarzyna przyglądała się jej uważnie... może nawet odgadła...

— Znasz tego człowieka?

— Nie!

— A ja ci mówię, że go znasz!

— Nie!

Katarzyna patrząc prosto w oczy szpiega świdrowała ją wzrokiem do głębi. Alicja zachwiała się, upadła, chociaż królowa jej nie dotknęła.

Katarzyna ukłękła, a w jej ochrypłym głosie zabrzmiało nie pytanie, lecz stwierdzenie:

— Ty go kochasz!

— Ja go nie znam — wyszeptła Alicja.

Straciła przytomność. Katarzyna wydołała z sakiewki kryształowy flakonik i odkorkowała go uważnie, po czym dała powąchać Alicji. Skutek był natychmiastowy: silny wstrząs nagle ożywił zemdloną. Otworzyła oczy, twarz jej pokryła się perlistym potem.

— Wstać! — warknęła królowa.

Alicja usłuchała. Kiedy podniosła się z podłogi, królowa wróciła na fotel. Jednocześnie jej twarz, umiejętnie i dowolnie zmieniająca wyraz, znowu nabrała pogody i spokoju. Na ustach miała uśmiech, kiedy przemówiła serdecznie:

— Co ci się stało, moje dziecko? Czyżbyś była do tego stopnia zmęczona? No, powiedz mi bez obaw, wiesz dobrze, że kocham cię na tyle, żeby znieść twoje kaprysy...

Alicja de Lux przez chwilę czuła się jak zawieszona pomiędzy dwiema przepaściami: strachem przed możliwym oszustwem i nadzieją, że królowa przez sentyment albo prowadząc jakąś grę zechce ją oszczędzić.

— No, przyznaj się, że jesteś zmęczona — ciągnęła dalej królowa z dobrotliwym uśmiechem. — Prosiłam o ostatnią przysługę, o nic więcej.

Jeśli przekracza ona twoje siły, nie myśl, że to wykorzystam, żeby cofnąć moje obietnice. Jeżeli chcesz wypoczywać od zaraz, wiedz, że dotrzymam wszystkiego, co przyrzekłam: posag ślubny, pieniądze, klejnoty — otrzymasz wszystko.

Alicja z niezwykłą uwagą śledziła gesty, słowa, głos królowej. Ale ta była najzupełniej naturalna, dziewczyna nie umiałaby wykryć najmniejszej afektacji czy ironii.

— Och, pani — zawołała składając ręce — gdybyś raczyła mi zezwolić!

— Zezwolić? Na co?

— Jestem zmęczona ponad wszelkie wyobrazenie...

— A więc to nie nazwisko tego człowieka przyprawiło cię o bladość?

— Nazwisko tego człowieka? Ale ja już je zapomniałam, wasza wysokość. Ten czy inny — jakie to ma znaczenie! Nawet gdyby budził we mnie odrazę, moja królowa wie, że nie zwracałabym na to uwagi. Nie, pani, to zmęczenie, tylko zmęczenie... Tak, potrzebuję wypoczynku... samotności... o nic więcej nie proszę! Miłościwa pani, już mnie hojnie obdarowałaś, jestem bogata, mam majątek, klejnotów więcej, niż mogłabym pragnąć, wszystko to oddam, żeby móc choć trochę być sobą, móc odchodzić i wracać, śmiać się i płakać do woli... zwłaszcza płakać...

Katarzyna łagodnie pokręciła głową.

— Biedactwo — mruknęła jakby sama do siebie — jak musi cierpieć! To także moja wina... powinnam była zauważyć, że to dziecko marzy o spokojnym życiu.

Alicja padła na kolana.

— Tak, najjaśniejsza pani, właśnie to... spokojne życie...

— A więc chciałabyś mnie opuścić, moja mała?

— Gdyby wasza miłość mi pozwoliła — powiedziała Alicja wstając z kolan — byłabym wdzięczna do końca moich dni.

— A zatem — ciągnęła dalej z uśmiechem Katarzyna — nie chcesz zrobić nawet małego wysiłku, tego ostatniego?

— Och — zawołała Alicja — więc królowa mnie nie zrozumiała!

— Ostatni, Alicjo, ostatni...

— Litości, moja królowo!

— A ja ci mówię, że stać cię jeszcze na mały wysiłek, ten ostatni. Słuchaj, podaruję ci klejnot nieoszacowanej wartości... Leży tu, w szkatułce.

— Miłościwa pani, pokazałaś mi już klejnoty godne zazdrości księżniczki... ale ja ich nie pożądam...

— Tak, lecz klejnot z ostatniej szufladki. Alicjo... Nie możesz sobie wyobrazić, jaki jest piękny! Zaczekaj, niech ci go pokażę, a wtedy zdecydujesz...

Mówiąc to Katarzyna nagłym ruchem wysunęła ostatnią szufladkę szkatułki. Ukazało się denko obite czarnym aksamitem, takim jak wszystkie pozostałe.



— Popatrz — Katarzyna Medycejska wstała.

Rzuciwszy spojrzenie na nowy klejnot, który jej wskazywała królowa, Alicja zbladła jak ściana: postąpiła dwa kroki, wyciągnęła rękę, jakby odpychała widmo, z gardła wydarł się ochryply krzyk:

— Mój list! Mój list!

Widząc ten ruch, Katarzyna chwyciła list i schowała na piersi.

— Twój list! — warknęła. — Poznajesz go? Tak, to istotnie on. Wiesz, co robi się z matkami, które zabijają swoje dzieci, w dodatku przyznając się cynicznie jak ty w tym liście?

— Kłamstwo! — krzyknęła Alicja. — To nieprawda, dziecko nie umarło!

— Niemniej jednak przyznanie się istnieje. Alicjo, występna matkę stawia się przed sądem i ten skazuje ją na śmierć.

— Łaski! Litości! Dziecko żyje!

— Wtedy występna matkę oddaje się katu...

— Litości! — powtórzyła Alicja padając na kolana.

Katarzyna mocno szarpnęła dzwonkiem. Weszła Paola.

— Pan de Nancey! — rozkazała królowa.

W drzwiach ukazał się dowódca straży pałacowej. Alicja zerwała się z kolan i ciężko dysząc wyszeptała:

— Będę posłuszna.

— Panie de Nancey — rzekła Katarzyna z uśmiechem — widzisz pannę de Lux? Możliwe, że pewnego dnia będziesz jej potrzebny wraz ze swoimi ludźmi. Proszę zapamiętać, że masz jej słuchać, towarzyszyć jej tam, gdzie powie, służyć pomocą i aresztować wskazaną przez nią osobę. Odejdź i zapamiętaj.

Kapitan uklonił się bynajmniej niezaskoczony, jak ktoś, kto widział i słyszał niejedno. Gdy tylko odszedł, Katarzyna zwróciła się do swego szpiega na powrót szorstkim głosem:

— Jesteś zdecydowana? Ostatecznie zdecydowana?

— Tak, pani — wyjąkała nieszczęsna.

— Nawiążesz kontakt z hrabią de Marillac?

— Tak, najjaśniejsza pani.

— Dobrze; a teraz słuchaj: gdybyś mnie zdradziła... nie przekażę listu sędziemu generalnemu... będę miała jeszcze dość litości dla ciebie, żeby cię zostawić przy życiu.

Alicja rzuciła swej okrutnej dręczycielce przerażone, pytające spojrzenie.

— Wręcę ten list komuś innemu. I dołączę historię twojego życia z poparciem dowodów...

— Innemu? — powtórzyła nieszczęsna.

— Ten inny nazywa się hrabia de Marillac — zakończyła Katarzyna Medycejska.

W kapliczce rozległ się okrzyk grozy, Alicja nieprzytomna runęła u stóp królowej...

## XXII

### SPOTKANIE

Jak wiadomo, po dłuższym rozważaniu Jan podjął decyzję, że odąd będzie zajmował się tylko własną osobą, a będąc w posiadaniu listu Joanny de Piennes do Franciszka de Montmorency postanowił nie doręczać go adresatowi.

Otóż po niezliczonych skrętach i zakrętach, po niezliczonych pobytach w różnych lokalach o nie najlepszej renomie, skierował się w stronę pałacu Montmorency i zapewniając w duchu samego siebie, że nie przestąpi jego progu, zastukał kołatką do drzwi.

Ale otwarły się nie drzwi wejściowe, lecz boczne. Wyszedł z nich gigantyczny szwajcar uzbrojony w pałę.

— Czego chcesz? — mruknął olbrzym wywijając pałką w sposób nie pokojowy.

Jan zlustrował go od wielkich stóp aż po przybraną piórami czapę — żeby ją dojrzeć, musiał zadrzeć głowę.

— Moje dziecko, chciałbym mówić z twoim panem...

Nic nie jest w stanie opisać wyrazu zdumienia, przestachu, ale także obrażonego majestatu, jaki przemknął przez oblicze dostojnego szwajcara.

— Co mówisz? — wybąkał.

— Mówię, moje dziecko, że chciałbym rozmawiać z twoim panem.

Szwajcar dalej stał jak ogłuszony. Nagle rzucił się z uniesionym kijem wydając ryk wściekłości.

Pardaillan, giętki i lekki jak stalowy pręt, uskoczył na bok. Szwajcar z rozpedu wymierzył potężny cios kijem w próżnię. Ale nim skończył atak poczuł, że ktoś z nieodpartą siłą wyrывa mu pałę z rąk, a potem rzuca mu ją pod nogi. Olbrzym zachwiał się, zatrzepotał rękami w powietrzu i wreszcie runął jak długi w poprzek ulicy. W tej samej chwili usłyszał donośne szczekanie i poczuł, jak psie kły wgrzyzają mu się w krzyż...

— Morderca! — wrzasnął szwajcar, którego Pipeau zaatakował z całą sumiennnością.

— Pipeau, do nogi! — surowo zakomenderował Pardaillan. — Pfuj! To niedobry kawałek!

Pies usłuchał, a Jan trzymając w lewej ręce swoją czapkę ofiarował prawą skonsternowanemu olbrzymowi, żeby mu pomóc wstać.

— W ten sposób nie będę mógł siadać co najmniej przez tydzień! — powiedział podnosząc się szwajcar.

— To nic — pocieszył go Jan. — A teraz, skoro już tu jestem, drogi panie, czy zechciałbyś być tak uprzejmy i zameldować panu marszałkowi, że kawaler de Pardaillan pragnie z nim mówić w ważnej sprawie?

— Pana marszałka nie ma w pałacu — odparł szwajcar.

— Do diaska! Do diaska! Nie ma go w Paryżu?

— Nie ma, panie. Aj!

— Do diaska! Do diaska! — powtórzył Jan; minę miał zrozpaczoną, ale w głębi duszy odczuwał jakąś gorzką radość. — Będę musiał wrócić...

Zawołał psa i ukloniwszy się grzecznie szwajcarowi — odszedł.

„Na Pilata! — rozmyślał idąc wielkimi krokami w górę Sekwany — zrobiłem, co mogłem... Niech sobie teraz radzą same”.

Zapadał zmierzch. Na wprost Jana, po drugiej stronie rzeki, wylaśniały się z mgły mury niedokończonego pałacu, który mistrz Delorme budował dla Katarzyny Medycejskiej. Jan zatrzymał się pod kępą wysokich topoli, które kwiecień obsypał już delikatnym jasnozielonym listowiem. Usiadł na wielkim nadbrzeżnym głazie i ująwszy głowę oburącz patrzył, jak płynie woda. I tutaj, siedząc na kamieniu, złożył sobie samemu bardzo ważne oświadczenie:

„Nie będę ukrywał przed sobą, że kocham Loizę nad życie, że kocham ją bez nadziei i cierpię z powodu krzywdy, jaką jej wyrządzono. Wiem doskonale, że jeśli uda mi się ją uwolnić, innego nagrodi swoją miłością... no bo czy panna de Montmorency może pokochać takiego biedaka jak ja? A jednak nie potrafię znieść myśli, że mógłbym jej nie pomóc. Zatem muszę udać się na jej poszukiwanie. Muszę ją odnaleźć. A potem zobaczymy...”

W wyniku rozmyślań nad Sekwaną Jan postanowił wyrzec się wszelkiej nadziei na nagrodę w postaci miłości i poświęcić się dla Loizy, cokolwiek by się miało stać.

Zerwał się i poszedł do „Deviniere” owym spokojnym i elastycznym krokiem znamionującym siłę; gdy dotarł do ulicy Saint-Denis, usłyszał za sobą czyjeś kroki. Chociaż była już ciemna noc, a ulica pusta, nie raczył się odwrócić. W tym momencie nieznajomy, który biegł z tyłu, wpadł na niego potracając go gwałtownie.

Pchnięty znienacka Jan zachwiał się, ale zaraz mocno stanął na nogach i wściekłym ruchem wyciągnął szpadę. Chciał już wyzwąć w pięknym stylu spieszącego się przechodnia — nieokrzesańca, kiedy przywoździły go do chodnika słowa wymamrotane przez nieznajomego:

— Na Barabasza! Trzeba się było usunąć z drogi!

Kiedy Jan oprzytomniał, szybko pędzący człowiek zniknął już w ciemnościach.

„Ten głos! — pomyślał. — To przekleństwo! To chyba był mój ojciec”.

Pobiegł za nim. Ale było za późno, na ulicy Saint-Denis nie dogonił nikogo.

Wszedł do oberży i pierwszym pytaniem, jakie zadał jejmości Huguette, było, czy przypadkiem przez ostatnie dziesięć minut nikt o niego nie pytał. Odpowiedziała przecząco, więc pewien, że się pomylił, zaczął nawet żałować, że pozwolił uciec człowiekowi, który go potracił.

Po obfitej kolacji przypasał ponownie szpadę, uzupełnił uzbrojenie krótkim sztyletem o mocnym ostrzu, i ulicami cichymi, ciemnymi i pustymi udał się do pałacu admirała Coligny.

Według zalecenia Deodata trzy razy lekko zastukał do bocznych drzwi. Prawie natychmiast uchylił się judasz; Pardaillan wymówił po cichu ustalone hasło:

— „Jarnac i Montcontour”...

Drzwi się otworzyły i ukazał się w nich mężczyzna w skórzanym pancerzu, z pistoletem w ręku. — Do kogo?

— Chciałem się widzieć z moim przyjacielem Deodatem.

— Przepraszam bardzo — powiedział człowiek łagodniejąc wyraźnie — jakie mam podać nazwisko?

— Jestem kawaler de Pardaillan.

Człowiek stłumił okrzyk radości, otworzył drzwi na oścież i wciągnął gościa do środka, na podwórko.

— Pan de Pardaillan! — zawołał. — Witam serdecznie! Tak pragnę-  
łem was poznać, panie!

— Przepraszam — odezwał się zaskoczony Jan — ale...

— Wy mnie nie znacie, prawda! Więc poznamy się: jestem de Tél-  
igny.

Téligny, zięć admirała Coligny, wyglądał na dwadzieścia osiem do-  
mtrzydziestu lat. Był mocnej budowy i miał opinię silnego w boju i zna-  
komitego w radzie. Miał otwarty wyraz twarzy, łagodne spojrzenie, od-  
znaczał się świetnymi manierami, wyrafinowaną uprzejmością, ele-  
gancką postawą i ogromną kulturą umysłową, dlatego łatwo zrozumieć,  
że córka admirała wolała go od wielu bardzo bogatych kandydatów, a  
nawet— jak mówiono — od samego Gwizjusza.

Po wprowadzeniu gościa na dziedziniec, Téligny zamknął starannie  
drzwi, wezwał służącego i wręczył mu swój pistolet mówiąc:

— Czekamy jeszcze na jedną tylko osobę, wiesz na kogo, więc nie  
może być omyłki...

Wziął Jana za rękę, przeprowadził przez dziedziniec na piękne ka-  
mienne schody i wreszcie wpuścił do małego pokoju.

— Czuwałem osobiście — tłumaczył po drodze — gdyż mamy dzisiaj  
małe spotkanie: admirał już jest, a także pan de Conde i jego wysokość  
król Nawarry...

W pokoju Téligny uściśnął Jana z tak ogromną serdecznością, że  
gość poczuł się wzruszony.

— A więc to jest bohater, który uratował wielką i szlachetną Joannę  
— wołał gospodarz. — Ach, kawalerze, ileż to razy w ostatnich dniach  
mówiliśmy o tym, jak bardzo pragnęliśmy cię spotkać, żeby ci podzię-  
kować...

— Przyznać muszę, że nie wiedziałem w obronie honoru jakiej  
księżniczki wyciągam szpadę... Ale bardzo przepraszam, ważna sprawa  
zmusza mnie prosić o pomoc Deodata, który zaofiarował mi się służyć  
swoją osobą.

— Jesteśmy tu w komplecie, kawalerze — powiedział Téligny. — Co  
do hrabiego de Marillac...

— Hrabiego de Marillac?

— To jest prawdziwe nazwisko naszego drogiego Deodata. A więc,  
jeśli chodzi o niego, tyś go oczarował, panie... — nie przestaje o tobie  
mówić.

— Czy teraz jest w pałacu?

— Tak, zaraz go poproszę.

Téligny zawołał służącego i wydał mu polecenie. Po upływie paru minut rozległy się spieszne kroki, otwarły się drzwi, ukazał się w nich hrabia de Marillac i podbiegł do Pardaillana z wyciągniętymi ramionami.

— Jesteś, drogi przyjacielu! — zawołał. — Czyżbym dostąpił tego szczęścia, że mogę ci się na coś przydać? Chodzi o moją sakiewkę czy o moją szpadę? Jedno i drugie należy do ciebie!

Pardaillan poczuł, jak serce mu rośnie.

— Czyżby? — powiedział. — Doprawdy nie wiem, jak mam dziękować.

— Dziękować mnie? — wykrzyknął Deodat. — Ależ to ja jestem twoim dłużnikiem... wszyscy nimi jesteśmy, wszak uratowałeś naszą wielką królową...

Téligny widząc, że przyjaciele mają sobie wiele do powiedzenia, dyskretnie się wycofał.

— Wydaje mi się — odezwał się Jan — że jesteś mniej przygnębiony niż wtedy, kiedy mnie odwiedziłeś w mojej oberży. Oczy ci błyszczą, wargi się uśmiechają... czyżby spotkała cię jakaś szczęśliwa przygoda?

— Raczej wielkie szczęście! Jestem zakochany. To wtedy, kiedy do ciebie przybyłem, spotkałem niedaleko Paryża tę, którą kocham... Na razie mogę ją widywać dwa razy w tygodniu!

— Na razie?

— Zanim będę mógł ją przywieźć do Bearnu i poślubić. Moja narzeczona jest sama na świecie... jestem dla niej bratem, do chwili, kiedy zostanę jej mężem.

— Tak, rozumiem, że jesteś szczęśliwy — powiedział Pardaillan.

— Oto egoizm miłości! — zawołał hrabia. — Zanudzam cię swoimi historyjkami, których wysłuchujesz przez grzeczność, i ani mi w głowie, żeby zapytać...

— Krótko mówiąc, oto moja sprawa: jestem zakochany tak jak i ty, hrabio.

— Weźmiemy ślub tego samego dnia!

— Zaczekaj... Kocham jak i ty, mój drogi, ale ty możesz się widywać ze swoją narzeczoną dwa razy w tygodniu, ja zaś z moją jeszcze nigdy nie rozmawiałem. Jesteś pewien, żeś kochany, a ja obawiam się, że jestem nienawidzony; ty wiesz, gdzie przebywa ukochana, moja natomiast zniknęła. Otóż chcę ją odnaleźć za wszelką cenę, nawet żeby usłyszeć, że mnie nienawidzi. Właśnie dlatego przybyłem prosić cię o pomoc.

— Możesz na mnie liczyć — gorąco zapewnił hrabia. — Przeszukamy Paryż razem.

Pardaillan krótko opowiedział historię swojej miłości, o tym, jak go aresztowano w chwili, kiedy Loiza go wzywała, o pobycie w Bastylji, jak się stamtąd wydostał i o liście, który miał doręczyć; słowem o wszystkim, o czym już nasi czytelnicy wiedzą.

W swojej opowieści przemilczał tylko imię Montmorency, gdyż chciał je wyjawiać w odpowiedniej chwili. To znaczy wtedy, kiedy rozpoczną poszukiwania.

— Mam niejasne podejrzenie — dodał kończąc — co do miejsca, gdzie ona się znajduje, oraz co do człowieka, któremu mogło zależeć na porwaniu Loizy i jej matki.

— To świetnie, drogi przyjacielu. Kiedy sobie życzysz, abyśmy rozpoczęli poszukiwania?

— Już jutro!

— Zatem od jutra jestem do dyspozycji. A teraz proszę za mną, przedstawię ci pewnym osobom, które chciałyby cię poznać.

— Kto to taki?

— Król Nawarry, książę Kondeusz, admirał... Proszę, mój drogi... jesteś tutaj znany, a historia twojej ucieczki z Bastylji zaskarbi ci podziw tych możnych panów.

Chcąc nie chcąc, Pardaillan musiał iść za hrabią de Marillac. Minęli szybko dwa czy trzy pokoje i znaleźli się w wielkiej sali pałacu Coligny. Tutaj wokół stołu siedziało pięć osób.

Jan poznał natychmiast dwie spośród nich: Téligny'ego, z którym dopiero co się rozstał, oraz admirała Coligny, gdyż miał okazję widzieć go z daleka dwa lub trzy razy w życiu.

Hrabia de Marillac wciąż prowadząc go za rękę zbliżył się do stołu mówiąc:

— Panie, wasza książęca mość i ty, admirał, oraz ty, drogi pułkowniku — przedstawiam zbawcę królowej, kawalera Jana de Pardaillan.

Przy tych słowach wszyscy zwrócili na Jana oczy pełne życzliwości, serdeczności i podziwu.

— Podaj mi rękę, młodzieńcze — pierwszy zawołał Coligny. — Uchroniłeś reformację przed strasznym nieszczęściem.

Jan uściśnął wyciągniętą dłoń z widocznym szacunkiem i wzruszeniem.

— Ja też pragnę uściśnąć dłoń, która uratowała moją matkę — powiedział z silnym, nieprzyjemnym gaskońskim akcentem młody mężczyzna w wieku siedemnastu czy osiemnastu lat; nie był to nikt inny, jak tylko król Nawarry, przyszły władca Francji pod imieniem Henryka IV.

Pardaillan obyczajem epoki ugiął kolano, ujął czubkami palców królewską dłoń i pochylił się nad nią z wyniosłym wdziękiem, który wzbudził zachwyty osoby siedzącej u boku króla.

I ten mężczyzna był całkiem młody, wyglądał na jakieś dziewiętnaście lat, ale w twarzy i całej postawie miał coś rycerskiego i imponującego, czego brakowało Bearnczykowi. Był to Henryk I Burbon, książę de Condé, kuzyn Henryka Nawarskiego.

Kondeusz także wyciągnął rękę do Pardaillana, ale w chwili, gdy ten się pochylił, przyciągnął go do siebie, ucałował serdecznie i powiedział:

— Kawalerze, jej królewska mość opowiedziała nam, żeś zachował się jak prawdziwy starodawny paladyn; postąpmy więc tak, jak postępowali paladyni, kiedy się spotykali, i ucałujmy się... król Nawarry, mój kuzyn, , pozwoli...

— Wasza wysokość — powiedział Pardaillan, który przy ostatnich słowach rozpoznał Kondeusza — mogę i dziś przyjąć tytuł paladyna nadany mi przez syna Ludwika Burbona, owego dzielnego rycerza, najdzielniejszego spośród tych, co padli na polu bitwy.

— Dobra odpowiedź, do kroćset piorunów — zawołał Bearnczyk.

Ostatnia osoba, która się dotąd nie odezwała, teraz także pogratulowała

Janowi mówiąc:

— Jeżeli przyjaźń starego d'Andelota może się na coś przydać, zdobyłeś ją, młodzieńcze.

Tymczasem młody król Nawarry nie spuszczał bystrych oczu z Pardaillana, może szukając jakiegoś sposobu, żeby go z sobą związać. Nagle drzwi się otworzyły i jeden ze służących w pełnym uzbrojeniu, jak to wcześniej zauważył Pardaillan, szybko podszedł do admirała i coś mu szepnął do ucha.

— Panie — powiedział Coligny — pan marszałek de Montmorency zechciał przyjąć moje zaproszenie. Przybył i czeka na wezwanie waszej wysokości.

— Ten kochany Franciszek! Z jaką przyjemnością go zobaczę. Niech wejdzie! Panie admirałe i ty, mój kuzynie, zechciejcie zostać przy mnie w czasie tego spotkania.

Pozostałe osoby wstały i skierowały się do wyjścia.

— O czym myślisz? — zapytał Deodat biorąc Pardaillana pod rękę.

Jan drgnął jak zbudzony ze snu. Wiadomość, że marszałek de Montmorency wejdzie na salę, wprowadziła go w osłupienie.

— Przepraszam — bąknął.



Sklonił się przed królem Nawarry, ten zaś po raz drugi wyciągając do niego rękę- powiedział:

— Hrabia de Marillac mówił mi, że niczego tak nie cenisz, jak swojej niezależności, i że pragniesz pozostać poza wszelkimi układami; ja jednak chcę wierzyć, że nasze spotkanie będzie miało ciąg dalszy, byłbym zaś szczęśliwy mając cię wśród nas.

— Panie — odparł Pardaillan — na taką życzliwość muszę odpowiedzieć pełną szczerością: wojny religijne wywołują we mnie lęk. Ale przyznaję waszej królewskiej mości, że jeśli gorąca sympatia takiego nieboraka jak ja może mu się na coś przydać, nie zawiodę, gdy nadarzy się okazja.

— Świetnie, powrócimy do tej rozmowy.

Pardaillan wyszedł z Marillacem. Starego d'Andelota i Téliigny'ego nie było już w sali.

— Co ci się stało przed chwilą, drogi przyjacielu — zapytał Marillac.

— Wydałeś mi się ogromnie przejęty, jeszcze i teraz jesteś blady...

— Czy to naprawdę marszałek de Montmorency zostanie wprowadzony przed króla? — pytał Pardaillan.

— Ależ tak! — odparł zdziwiony Marillac.

— Otóż właśnie ten Montmorency jest ojcem dziewczyny, którą kocham. Muszę mu doręczyć list, który noszę pod kaftanem i który pali mi pierś. Jeżeli tego nie uczynię, będę ostatnim łajdakiem i pozbawię Loizę najbardziej naturalnej i najpoważniejszej opieki. Ale jeśli mu go oddam, ten człowiek mnie zniechoczy i Loiza będzie dla mnie stracona na zawsze...

Mężczyzna, którego oczekiwano w pałacu Coligny i wprowadzono przed króla Nawarry, wyglądał na lat czterdzieści. Był wysoki, mocnej budowy, a zarazem odznaczał się szczególną elastycznością ruchów, jaka cechuje ludzi uprawiających intensywne ćwiczenia fizyczne. Włosy miał siwe i dla obserwatora zadziwiająca była ta siwizna w zestawieniu z młodą jeszcze twarzą, niepobruźdowaną ani jedną zmarszczką; oczy bez ognia i jak gdyby przesłonięte mgiełką miały jednak szczere spojrzenie.

Z biegiem lat, okrucz po okruczu, ból się uciszył. Pozostał jednak głęboki smutek i ciążył na nim niezmiennie; stąd zapewne pochodził wyraz znużenia. Czysta, głęboka miłość, jaką żywił dla Joanny de Pien-nes, trwała jeszcze w jego sercu.

Niezliczone razy ogarniała go podświadoma chęć ujrzenia jej po-nownie, ale zawsze ją powstrzymywał i wtedy rzucał się w wir jakiejś

przygody politycznej lub wojennej, rozwijał gorączkową działalność, co go jednak nie uwalniało od obsesyjnych wspomnień.

Niewiele myślał o Henryku de Montmorency. Czy mu wybaczył? Zapewne nie. Ale starał się o nim zapomnieć, co mu się udawało bez trudu, Joanna natomiast była zawsze obecna w jego duszy.

Z jego usposobieniem, z miłością niedającą się wyrwać z serca, rzecz jasna, nie myślał nigdy o odbudowaniu swego szczęścia, rodziny, słowem — innego życia.

A jednak zgodził się poślubić Dianę Francuską.

Akceptując ten związek pragnął przede wszystkim uciec od tyranii starego konetabla. Jego współżycie z Dianą było ściśle takim, jakim je ustalili: zwykłym kontraktem.

Spotykali się po długich przerwach: w ciągu ośmiu lat Franciszek trzy czy cztery razy widział się z księżną noszącą jego nazwisko z godnością, to znaczy, że jeśli nawet miała licznych kochanków, jak twierdzą kroniki, zawsze żywiła dość szacunku, a nawet przywiązania do swego męża, żeby zachowywać pozory.

Dodajmy, że dwa czy trzy razy Franciszek de Montmorency odwiedził zamek rodzinny.

Pewnego dnia wybrał się w drogę z mocnym postanowieniem odtworzenia zbrodni, która złamała mu życie, poznania jej we wszystkich szczegółach. Przybył z tą decyzją aż na wzgórek, skąd po wyjściu z lasu widać było Montmorency i dalej Margency. Ale tu opuściły go siły i dał rozkaz swojej eskorcie — nie chcąc okazać ogarniającego go wzruszenia — żeby wróciła bez niego do Paryża.

Los ludzi często zależy od drobiazgów: gdyby Franciszek zdobył się na odwagę i dotarł do Margency, i wysłuchał tam świadków, kto wie, czy by się nie przekonał o niewinności Joanny de Piennes?

A jednak zaistniał taki moment, kiedy jej niewinność o mało nie dotarła do jego świadomości bez potrzeby szukania dowodów.

W 1568 roku rozegrała się walka pod Saint-Denis między hugonotami a katolikami. Hugonoci zdobyli pewną przewagę i posunęli się aż pod Paryż. Konetabl Anne robiąc wypad uderzył na nich na czele swojej kawalerii i tego jeszcze dnia dokonała się wielka rzeź heretyków. Jednakże w tej potyczce konetabl został śmiertelnie zraniony i przyniesiono go do pałacu Mesmes należącego do jego syna, Henryka, księcia de Damville. W tym czasie Henryk przebywał w Guyenne, gdzie odznaczył się wielką gorliwością w narzucaniu katolicyzmu heretykom.

Franciszek był w Paryżu. Od trzech lat nie widział się z ojcem.

Został konetabla w łóżku, z obandażowaną głową i dyktującego skrybie swoją ostatnią wolę.

Kiedy stary Montmorency kończył, zobaczył starszego syna, który właśnie wchodził do pokoju, i promień radości rozjaśnił rysy umierającego.

— Synu mój, w obliczu śmierci widzi się sprawy inaczej niż dawniej... Może w pewnych okolicznościach nie dość troszczyłem się o twoje szczęście... Odpowiedz mi szczerze: czy jesteś szczęśliwy?

— Uspokój się, ojcze, jestem tak szczęśliwy, jak mi to jest sądzone...

— Twój brat...

Franciszek drgnął i pobladł.

— Czy nigdy się z nim nie pojednasz?

— Nigdy — odpowiedział głuchym głosem Franciszek.

— Posłuchaj... może on mniej zawinił, niż myślisz?

Franciszek gwałtownie potrząsnął głową.

— A ta młoda kobieta — ciągnął dalej konetabl — co się z nią stało?

— O kim mówisz, ojcze?

— O córce... pana de Piennes... Och, konam...

— Uspokój się, ojcze. Ta sprawa dla mnie umarła...

— Franciszku, mówię ci, że trzeba ją odnaleźć... ją i jej... Konetabl nie zdążył wymówić słów, które miał na myśli. Zaczęła się agonia, wymamrotał coś bez związku i wyzionął ducha.

W ten sposób tajemnica Joanny de Piennes nie została wyjawiona Franciszkowi de Montmorency, ten zaś nie usiłował dociec, dlaczego jego ojciec pragnął odszukać Joannę, pomyślał bowiem, że był to ostatni kaprys umysłu pogrążającego się w nicość.

Po bitwie pod Saint-Denis Franciszek de Montmorency zrezygnował z kariery wojskowej. Kiedy pewnego razu królowa matka zaproponowała mu dowództwo wyprawy przeciwko hugonotom, odmówił jej twierdząc, że łączy go z protestantami braterstwo broni, a nie wrogość.

Ta jego postawa wywołała podejrzenia i nienawiść Katarzyny Medycejskiej, która na próżno starała się przeniknąć jego tajemnicę i nasłała na niego Alicję de Lux. Jak wiemy, Alicja poniosła porażkę.

W takich okolicznościach i w tym stanie umysłu przyjął Franciszek pewnego dnia hrabiego de Marillac. Hrabia był wysłannikiem Joanny d'Albret. Uzyskał od marszałka przyrzeczenie, że przybędzie na spotkanie z królem Nawarry.

Henryk Bearneński, który potajemnie przyjechał do Paryża z księciem de Conde i admirałem Coligny, wyznaczył termin tego spotkania i w umówionym dniu, o ustalonej godzinie, marszałek stawił się w pałacu przy ulicy Béthisy. Wiemy, jakie wrażenie zaanonsowanie go sprawiło na Pardaillanie.

Pozostawmy Jana zajętego wyjaśnianiem przyjacielowi powodów swego wzruszenia i udajmy się za marszałkiem, gdyż jego spotkanie z Henrykiem de Béarn wywrze wielki wpływ na naszą opowieść.

Bearneńczyk powitał marszałka z całym szacunkiem:

— Witam znakomitego obrońcę Théroanne.

Franciszek skłonił się przed młodym królem:

— Sire — powiedział — zrobieś mi zaszczyt wzywając mnie na rozmowę o sytuacji stronnictw religijnych. Oczekuję, że wasza królewska mość zechce wyłożyć mi swoje zamiary, ja zaś odpowiem z całą szczerością.

Pomimo swojej przebiegłości Bearneńczyk był zdetonowany tą nieco oschłą precyzją.

— Siadaj, książę — powiedział chcąc zyskać na czasie. — Nie ścierpię, żeby marszałek de Montmorency stał, kiedy ja siedzę, ja, prosty kadet w rzemiośle wojennym.

Montmorency usłuchał.

— Panie marszałku — zaczął król po chwili milczenia, przyjrawszy się uważnie twarzy swego rozmówcy — nie będę mówił o zaufaniu, jakie do niego żywię. Aczkolwiek walczyliśmy w przeciwnych obozach, zawsze miałem dla niego wielki szacunek, a najlepszym tego dowodem jest fakt, że znajdujesz się tu, jedyny z całego Paryża, który wiesz o moim przybyciu i znasz wybrane przeze mnie schronienie.

— To zaufanie czyni mi zaszczyt — odparł marszałek — ale muszę oświadczyć waszej królewskiej mości, że ani jeden szlachcic nie byłby zdolny do zdradzenia jego sekretu.

— Na dowód tego zaufania — ciągnął dalej Bearneńczyk — będę z tobą rozmawiał ze szczerego serca i w pierwszych już słowach powiem o celu mojej podróży do Paryża. Panie marszałku, mamy zamiar porwać Karola IX, króla Francji. Co o tym sądzisz?

Coligny lekko zbladł, Kondeusz zaczął bawić się nerwowo metalowymi szamerunkami kamizeli.

Marszałek ani drgnął. Jego głos pozostał tak samo spokojny, jak głos Bearneńczyka, kiedy powiedział:

— Sire, czy wasza wysokość pyta mnie o możliwości tej przygody, czy też o skutki w wypadku powodzenia albo porażki?

— Za chwilę o tym pomówimy. Na razie pragnę usłyszeć twoją opinię co do... słuszności takiego aktu, który uważamy za konieczny. Co ty na to? Jesteś z nami, czy przeciwko nam?

— Wszystko zależy od tego, sire, co zechcesz uczynić z królem Francji. Ani jestem zadowolony, ani się uskarżam na Karola IX. Ale jest moim królem. Winienem mu pomoc i poparcie. A więc, sire, czy masz zamiar dopuścić się gwałtu na królu Francji i marzą ci się jakieś rodzinne zmiany na tronie? Wtedy jestem przeciwko tobie! Czy też chcesz uzyskać sprawiedliwe gwarancje swobody praktyk swojej religii? Wtedy pozostanę neutralny. Ale w żadnym wypadku, sire, nie będę pomagał w porwaniu.

— To się nazywa mówić szczerze! Rozmowa z tobą, panie marszałku, to przyjemność. Oto dlaczego postanowiliśmy porwać naszego kuzyna Karola. Wiemy, dobrze wiemy, że królowa matka szykuje nowe wojny. Nasze środki są wyczerpane. Ani w ludziach, ani w pieniądzu nie możemy już przetrzymać kampanii, jesteśmy zagrożeni bardziej niż kiedykolwiek. Przygotowany akt jest aktem wojennym całkowicie słusznym. Gdyby Karol maszerował na czele swoich wojsk, czyż nie starałbym się wziąć go do niewoli?

— Tak, sire, przyznaję, że gdybym miał zaszczyt być twoim poddanym miast króla Francji, obiema rękami podpisałbym się pod tym projektem.

— Świetnie. Pozostaje do wyjaśnienia, co zrobimy z królem, kiedy go weźmiemy do niewoli.

— Istotnie, sire, to delikatna sprawa — stwierdził marszałek.

— Panie marszałku, przez mojego ojca, Antoniego de Bourbon, potomka w linii prostej Roberta, szóstego syna Ludwika Świętego, jestem pierwszym księciem krwi domu Francji. Mam zatem pewne prawo mieszania się do spraw królestwa i gdyby w mojej głowie powstała myśl, iż może pewnego dnia korona Francji spocznie na mej głowie — myśl ta nie byłaby bezprawna. Ale z łaski bożej panują Walezjusze. Będę zatem czekał na łaskę bożą, żeby się przekonać, czy z kolei Burboni mają zasiąść na tym najpiękniejszym na świecie tronie.

— Sire, jestem daleki od podejrzeń na temat jego intencji i nie pozwolę sobie nawet na ich zgłębianie.

— Nie mam pretensji do korony na głowie Karola. Niech ten kochany kuzyn panuje, przynajmniej na tyle, na ile można panować mając za matkę Katarzynę Medycejską! Ale, do kroćset piorunów, skoro my nie mamy pretensji do Karola, dlaczego on ma pretensje do nas? Co znaczą te prześladowania hugonotów po pokoju zawartym w Saint-Germain?

To musi się wreszcie skończyć! A ponieważ nie czujemy się na siłach, żeby prowadzić wojnę, muszę zatem zdobyć perswazją to, czego wojna nie może nam dać. A czy w tym celu nie powinienem móc porozmawiać spokojnie z Karolem, tak jak rozmawiam z tobą w tej chwili? Cóż to, księżę, czyż byłoby bezprawiem podjąć próbę zawładnięcia Karolem?

Zatem już nie chodziło o porwanie, o akt zbrojny, ale o rozmowę, w której wyniku obie strony mogłyby swobodnie podpisać lub odrzucić proponowaną ugodę.

— W tych warunkach — zakończył król Nawarry — czy mogę na ciebie liczyć?

— Przy porwaniu króla? Szczerowość za szczerowość. Ja zapomnę o rozmowie, w której miałem zaszczyt uczestniczyć. Ale dam słowo waszej miłości, że każde działanie, jakie będę mógł podjąć dla ochrony króla bez powiadamiania go o tym — będzie przeze mnie podjęte.

— Zazdroszczę memu kuzynowi takich przyjaciół, marszałku — powiedział Bearneńczyk z westchnieniem.

— Wasza królewska mość mylisz się co do dwóch punktów: nie jestem przyjacielem Karola. Jestem sługą Francji, to wszystko. A co do tego, czy jestem wrogiem waszej wysokości — to przysięgam, sire, że nikt szczerzej i goręcej niż ja nie pragnie, żeby hugonotów zaczęto wreszcie traktować zgodnie z prawem.

— Dziękuję, panie marszałku — powiedział król Nawarry nie ukrywając zawodu. — Więc nie możemy liczyć na ciebie ani na twoich przyjaciół?

— Nie, sire — powiedział Franciszek z pełną godności stanowczością. — Chciałbym jednak dodać, że jeśli pewnego dnia zostanę zaproszony do obrad prowadzonych przez waszą wysokość i króla Francji...

— Co wtedy? — zapytał Coligny.

— Gdyby doszło do spotkania — ciągnął dalej Franciszek — i jeśli jego królewska mość Karol IX mnie wezwie, nie będę starał się dociekać, jak do takiego spotkania doszło; ze wszystkich sił będę popierał decyzje króla, a nie ulękę się głosić, że ja, katolik, jestem zawstydzony i oburzony postawą katolików.

— Księżę tak byś postąpił?! — wykrzyknął król Nawarry.

— Zobowiązuję się do tego, sire — oświadczył Franciszek.

— Księżę, trzymam cię za słowo — powiedział Bearneńczyk. — Mam nadzieję, że do takiego spotkania dojdzie niebawem.

— Co do mnie, sire, to pragnę zapewnić waszą wysokość, że może li-  
czyć na moje oddanie, jednak nie we wszystkich przedsięwzięciach —  
dodał Franciszek.

Po tych słowach marszałek się oddalił, admirał zaś, pragnąc okazać  
mu szacunek, odprowadził go aż do drzwi swego pałacu.

Kiedy przechodzili dziedzińcem poprzedzani przez dwóch lokajów,  
ale bez światła — gdyż pałac musiał uchodzić za niezamieszka-  
ny — dwaj mężczyźni żywo podbiegli do Franciszka de Montmorency.

— Panie marszałku — zwrócił się jeden z nich — czy pozwolisz  
przedstawić sobie mego przyjaciela? Proszę wybaczyć niewłaściwą for-  
mę prezentacji...

— Twoi przyjaciele są moimi przyjaciółmi, hrabio de Marillac — od-  
powiedział Franciszek, który poznał mówiącego.

— Oto kawaler de Pardaillan, który ma do zakomunikowania coś  
bardzo pilnego.

— Panie — rzekł marszałek zwracając się do kawalera de Pardaillan  
— będę w swoim pałacu przez cały jutrzejszy dzień i przyjmę cię z przy-  
jemnością.

— Nie jutro — przemówił Pardaillan zmienionym ze wzruszenia gło-  
sem — lecz natychmiast błagam o zaszczyt rozmowy z marszałkiem de  
Montmorency.

Wzruszenie w głosie, słowa stanowcze, a zarazem powściągliwe —  
wszystko to wywarło wrażenie na marszałku.

— Proszę ze mną, skoro sprawa, o której chcesz mówić, nie cierpi  
zwłoki.

Pardaillan szybko pożegnał Marillaca, ksiązę — Coligny'ego, po  
czym obaj panowie wyszli razem. Tak wielkie było zaufanie księcia oraz  
tak wielka obawa zdradzenia tajemnicy króla Nawarry, że marszałek  
nie wziął ze sobą żadnej eskorty.

Drogę z Béthisy do pałacu Montmorency przebyli szybko i w milcze-  
niu. Marszałek wprowadził Jana do gabinetu przylegającego do sali  
rycerskiej.

— Zostawiam cię na chwilę — powiedział — tylko pozbędę się kol-  
czugi!

Gdy Pardaillan pozostał sam, otarł pot z czoła. Chwila tak upragnio-  
na, ale której się obawiał, jednak nadeszła! Będzie musiał wyjawić  
Franciszkowi de Montmorency, że ma córkę. Marszałek dowie się za-  
tem, że jeśli dotąd nie wiedział o istnieniu córki, jeżeli odtrącił Joannę  
de Piennes, jeśli cierpiał — to zawdzięczał to jednemu z Pardaillanów. I  
właśnie jeden z Pardaillanów opowie mu o tym. Nadeszła więc chwila,

kiedy zostanie oskarżycielem ojca, tracąc jednocześnie na zawsze Loizę. Nagle wzrok jego padł na portret zawieszony w najciemniejszym kącie gabinetu. Jan aż zadrżał.

— Loiza! Loiza! — I zaraz pomyślał ze zdziwieniem:

„Jakim sposobem marszałek, który nie wie o istnieniu córki, ma u siebie jej portret?”

Jednak niebawem, kiedy dokładnie przyjrzał się delikatnym rysom młodej, niezwykle pięknej kobiety przedstawionej na płótnie — zrozumiał całą prawdę:

„To nie Loiza... To jej matka! Jej matka, kiedy była młoda!”

W tym momencie do gabinetu wszedł Franciszek de Montmorency i zobaczył gościa stojącego w zachwycie przed portretem Joanny de Piennes. Podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

— Patrzysz na tę kobietę i znajdujesz ją piękną?

— To prawda, panie... ta wielka i szlachetna dama jest uderzająco piękna.

— I może w głębi swojej pełnej złudzeń duszy uważasz, że byłbyś szczęśliwy, gdybyś na swojej drodze życiowej spotkał kobietę podobną do niej...

— Książę czytasz w moich myślach — odparł Pardaillan łagodnie i ze smutkiem. — Istotnie marzyłem o tym, żeby spotkać, żeby kochać, wielbić, poświęcić życie i wszystkie siły kobiecie, której uśmiech promieniuje z tego płótna, a czyste czoło nigdy nie mogło kryć złych myśli...

Marszałek uśmiechnął się ze smutkiem.

— Młodzińcze, podobasz mi się. Moja sympatia jest tak szczerą, że opowiem ci pewną historię. Ta kobieta jest żoną jednego z moich przyjaciół... a raczej nią była... Była biedna, jej ojciec należał do wrogów rodziny mego przyjaciela, ten zaś ją zobaczył, pokochał i poślubił. Ale musisz wiedzieć, iż po to, by ją poślubić, musiał zlekceważyć ojcowską wolę, musiał zaryzykować bunt przeciwko ojcu, możnemu panu. W dniu swego ślubu mój przyjaciel musiał wyruszyć na wojnę. A kiedy powrócił, wiesz, czego się dowiedział?

Pardaillan milczał.

— Młoda dziewczyna o czystym czole — ciągnął Franciszek spokojnym głosem — cóż, okazała się ladacnicą! Już przed ślubem zdradzała ukochanego... Młodzińcze, wystrzegaj się kobiet!

Marszałek dodał pozornie bez gorczy:

— Mój przyjaciel, który złożył u stóp tej kobiety całą swoją miłość... został skazany na nienawiść, na rozpacz, na klęskę, miał życie złamane,



oto cała historia. Czym sobie na to zasłużył? Tylko tym, że spotkał dziewczynę, która miała duszę ladacznicy.

Na te słowa Pardaillan wstał, podszedł do marszałka i rzekł stanowczym tonem:

— Ten przyjaciel jest w błędzie.

Franciszek spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Albo raczej... książę jest w błędzie.

Marszałek pomyślał, że jego gość, jeszcze naiwny i pełen wiary, protestuje zasadniczo przeciwko oskarżeniom, jakimi mężczyźni obrzucają kobiety. Zrobił jakiś uprzejmy gest i powiedział:

— Proszę mi wierzyć, młodzieńcze, i przejdźmy do powodów twojej wizyty. Czym mogę służyć?

— Dobrze. Książę, ja mieszkam na ulicy Saint-Denis, w oberży „Deviniere”. Na wprost oberży stoi skromna kamienica, taka jak te, w których mieszkają ludzie biedni, zmuszeni do chwytania się jakiegokolwiek pracy dla zapewnienia sobie egzystencji. Należą do nich dwie kobiety, o których przyszedłem księciu opowiedzieć.

— Dwie kobiety — głucho wyszeptał marszałek.

— Tak. Matka i córka.

— Matka i córka? Jak się nazywają?

— Nie wiem, panie. A raczej nie chciałbym tego wyjawić w tej chwili. Ale muszę zainteresować cię, książę, losem tych dwóch szlachetnych istot ogromnie nieszczęśliwych i dlatego chcę opowiedzieć ich historię.

Ostatnie słowa uspokoiły marszałka, jego wyobraźnia zaczęła pracować.

— Słucham cię — powiedział z większą życzliwością dla rozmówcy niż dla dwóch obcych kobiet.

— Te dwie kobiety — ciągnął dalej Pardaillan — cieszą się opinią osób godnych wielkiego szacunku. Zwłaszcza matka. Od czternastu lat, odkąd osiedliły się w swoim skromnym mieszkaniu, nie ima się jej żadna obmowa. Wie się o niej tylko, że zabija się pracą hafciarki, żeby móc kształcić córkę jak księżniczkę. Tak, wielmożny panie, jak księżniczkę: albowiem ta dziewczyna umie czytać, pisać, haftować i ilustrować mszały. A sama jest aniołem łagodności i dobroci...

— Kawalerze — przerwał Montmorency — tak gorliwie przemawiasz za swoimi skromnymi protegowanymi, że już zdobyłeś moją przychylność. Co mam zrobić? Mów!

— Trochę cierpliwości, panie marszałku. Zapomniałem powiedzieć, że owa matka, której nazwiska nikt nie zna, nosi przezwisko damy w czerni.

I rzeczywiście, zawsze chodzi w ciężkiej żałobie. Nad życiem tej osoby, tak szlachetnej, tak czystej, zawisło straszne nieszczęście... To nieszczęście pragnąłbym okupić własną krwią, albowiem sprawcą jest ktoś z mojej rodziny.

— Ktoś z twojej rodziny?

— Tak, mój ojciec, mój biedny ojciec!

— W jaki sposób?

— Powiem wielmożnemu panu wszystko, wiąże się to z katastrofą, jaka dotknęła tę szlachetną panią. Była mężatką... jej mąż musiał wyjechać na długo... Widzisz, książę, to przypomina historię twego przyjaciela, o którym mi mówiłeś. Po odjeździe męża, w jakieś pięć czy sześć miesięcy, ta pani wydała na świat dziecko. Nagle wrócił jej mąż. Wtedy to mój ojciec popełnił ową zbrodnię...

— Zbrodnię!

— Tak, jaśnie panie — powiedział Pardaillan, nie mogąc powstrzymać łez. — Tak, zbrodnię. Mój ojciec porwał dziewczyneczkę. Matka zaś, która ubóstwiała swoje dziecko i poszłaby na śmierć, żeby temu aniołkowi zaoszczędzić jednej łezki, ta matka stanęła wobec przerażającej alternatywy: albo zgodzi się uchodzić w oczach męża za wiarołomną, albo jej dziecko umrze.

Franciszek de Montmorency zbladł.

— Imię! — warknął ochryple.

— Nie do mnie należy je wymienić.

— Jak się dowiedziałeś? Mów!

— Już kończę. Te dwie kobiety, matka i córka, nim zostały porwane... doręczyły mi list zaadresowany do pewnego wielkiego pana. Oto ich pismo.

Franciszek widział już tylko list, otwarty, wyciągnięty do niego, ale nie od razu go wziął.

Cóż to, chyba śni! Przecież ten młodzieniec odtworzył mu historię Joanny de Piennes! Wprawdzie jej imię nie zostało wymówione, ale rozbrzmiewało w jego sercu. Więc Joanna żyje! Joanna pracuje jako uboga wyrobnica, żeby chować córkę... Jego córkę? A ten list? Ten list, który ma przed oczami!... Czyżby zawierał opis tej straszliwej tragedii? Joanna do niego napisała... Joanna, niewinna i wierna!

— Przeczytaj, książę — powiedział Pardaillan. — A kiedy skończysz, pytaj mnie dalej... albowiem nie będąc świadkiem zbrodni, jestem jednak synem człowieka zasługującego na waszą nienawiść... Ten człowiek... mój ojciec... rozmawiał ze mną. Powiedział mi rzeczy, których

wtedy nie rozumiałem, ale wryły mi się one w pamięci.

Marszałek chwycił list. Natychmiast poznał pismo Joanny. Przeczytał go chciwie raz, potem znowu, nie mógł się oderwać. Kiedy wreszcie skończył, obrócił się w stronę portretu i ukląkł, na kolanach doczołgał się do obrazu i unosząc ręce w geście rozpaczony, krzyknął ze szlochem:

— Przebacz! Przebacz!

Nagle znieruchomiał, stracił przytomność.

Jan podbiegł do niego. Chciał go ocucić, potrząsał nim, zwilżał mu czoło zimną wodą, rozwiązał sznurówki kaftana.

Po paru minutach zapaść minęła, Franciszek otworzył powieki, wstał. Dziwny ogień płonął w jego oczach. Pardaillan chciał coś powiedzieć.

— Milcz, milcz... Później... Zaczekaj na mnie... przyrzeknij.

— Przyrzekam — uspokoił go Jan.

Montmorency schował list w zanadrze i wybiegł z gabinetu. Pognął do stajen, sam osiodłał konia, kazał otworzyć bramę pałacu i... Jan usłyszał oddalający się tętent.

Była pierwsza nad ranem. Franciszek jak strzała przeleciał przez Paryż i zatrzymał się przy miejskiej bramie Montmartre zamkniętej o tej porze jak wszystkie bramy Paryża.

— Z rozkazu króla! — ryknął.

Komendant posterunku wyszedł przestraszony, poznał marszałka i spiesznie kazał otworzyć bramę oraz opuścić zwodzony most.

Wśród cichej, ciemnej nocy schrypnięty głos Franciszka wykrzykiwał strzępy zdań ginących w tętnieniu końskich kopyt.

— Żyje! Niewinna! Joanna... Moja córka!

Kiedy dotarł do Montmorency i dalej do Margency, poczuł się nieco spokojniejszy. Bez wahania skierował konia prosto w stronę chaty, gdzie kiedyś ukazał się Joannie i Henrykowi.

„Czy ci ludzie jeszcze żyją? — zadawał sobie pytanie. — Och, oby tylko żyli!”

Żyli! Bardzo już starzy, bardzo sterani, ale żyli.

Mocne walenie obudziło męża; ubrał się i zapytał przez drzwi:

— Kto tam?

— Otwórzcie, na litość Boga!

Żona, stara piastunka o trzęsącej się głowie, ze spieszną powolnością starców wyskoczyła z łóżka, narzuciła salopę na ramiona i chwyciła męża za rękę.

— To on! — zawołała niesłychanie przejęta.

— Co za on?

— Pan na Montmorency i Margency! Otwórz! On już wszystko wie, skoro przyjechał!

Wyszarpnęła sztabę z drzwi i powiedziała:

— Niech jaśnie pan wejdzie, czekałam na niego... proszę wejść... nie chciałam umierać... wiedziałam, że przybędziesz, panie.

Mąż zapalił żywiczne łuczywo. Montmorency wszedł. W czerwonym świetle zobaczył stojącą przed nim staruszkę, która usiłowała rozprostować plecy przygięte wiekiem i długotrwałą pracą w polu.

— Jaśnie pan przybywa, żeby się wszystkiego dowiedzieć?

— Tak — przyznał złamanym głosem.

— Więc chodź, mój synu.

Franciszek poszedł za starą, która stawiała wolno kroki opierając się na kiju.

— Poświęć nam — rozkazała mężowi.

Otworzyła jakieś drzwi, marszałek wszedł. Znalazł się w małym alkierzu, którego schludność kontrastowała z resztą nędznego domostwa. Stał tam fotel — zdumiewający luksus w tej chacie — duże łoże z kolumnkami nakryte pikowaną kapą, nieposłane. Na przeciwległej ścianie wisiało parę obrazków, Matka Boska, krucyfiks z umocowaną w poprzek gałązką bukszpanu, a nad wezgłowiec miniatura, na której marszałek rozpoznał siebie, oczy mu się zaczerwieniły, dwie łzy spłynęły po policzkach...

Stara zaczęła mówić:

— To właśnie tutaj przybiegła, jaśnie panie, nazajutrz po pańskim odjeździe; tutaj, w tym łóżku, leżała cztery miesiące jak nieżywa, bo powiedziano jej, że ją porzuciłeś, to tutaj płakała, modliła się, błagalnie wymawiała w gorączce pańskie imię...

Marszałek padł na kolana.

— Tutaj powoli powracała do życia... Odtąd nosi żalobę...

— Dama w czerni — wyszeptał Franciszek.

— Tu, w tym łożu, wydała na świat waszą córkę, Loizę... Narodziny dziecka uratowały matkę. Ona, która dzień po dniu traciła siły, odnalazła je dla dziecka. W miarę jak Loiza rosła, matka wracała do życia.

Franciszek powstrzymał okrzyk i wierzchem dłoni otarł z czoła pot. Cały dygotał.

— Mam powiedzieć wszystko? — zapytała piastunka.

— Wszystko... wszystko, co wiesz!

— Proszę za mną.

Wyszła z domu, za nią krok w krok Montmorency. W rogu gęstego żywopłotu z głogu i ostrokrzewu staruszka przystanąła, odwróciła się, wyciągnęła ramię w stronę domu.

— Jaśnie pan spojrz — powiedziała. — Widać stąd to okno, w tej chwili oświetla je księżyc; w biały dzień z tego miejsca widać doskonale każdego, kto stanie przy tym oknie wewnątrz domu, widać każdy ruch tego kogoś.

— Mój brat stał tu na czatach, kiedy wszedłem?

Staruszka zwróciła się do męża mówiąc:

— Opowiedz, coś widział.

Chłop zbliżył się, uklonił panu i zaczął:

— Mam to w głowie, jak gdyby działo się to wczoraj. A więc tego dnia od rana pracowałem w polu, tutaj, po drugiej stronie żywopłotu. Położyłem się trochę w cieniu, żeby się zdrzemnąć, i co zobaczyłem budząc się? Człowieka, który stał o dwa kroki ode mnie, trzymając coś pod płaszczem. Stał tak może pół godziny, a ja się nie ruszyłem. Nagle on się lekko rozprostował i szybko poszedł, schyliwszy głowę, wzdłuż żywopłotu. Kiedy odchodził, zdołałem dojrzeć, że chował pod płaszczem dzieciaka, ale byłem daleki od myśli, że to jest dziecko naszej panienki... Oto, co widziałem, jaśnie panie.

Piastunka mówiła dalej:

— Co zaszło między nią, jaśnie panem a panem Henrykiem zrazu nie wiedziałam, ale po trosze domyślałam się ze słów pełnych rozpacz, jakie się wyrywały biednej matce... Potem przyszedł jakiś mężczyzna... odniósł dziewczuszkę... matka mało nie oszalała z radości. Rzuciła się w ślad za wielmożnym panem, zabroniła nam iść ze sobą. Co się z nią stało? Nie wiem. W pierwszych latach, kiedy jeszcze miałam dość sił, jeździłam do Paryża w każdą rocznicę tego nieszczęścia, ale nigdy nie udało mi się spotkać jaśnie pana ani odnaleźć panienki...

Książę de Montmorency ukląkł.

— Proszę mnie pobłogosławić — powiedział przejęty — i oświadczam wam: ona żyje. Taka podłość musi zostać ukarana z rozgłosem, Joanna będzie szczęśliwa.

Stara chłopka uczyniła to, o co ją prosił pan: położyła na jego głowie drżące ręce i pobłogosławiła go, po czym cała trójka wróciła do domu.

Franciszek przez godzinę siedział po ciemku w pokoiku, gdzie przyszła na świat Loiza. Staruszkowie słyszeli, jak płakał, jak przemawiał, to z wściekłością, to znów z ogromną tkliwością.

Kiedy się nieco uspokoił, wyszedł, pożegnał starszuchów i wsiadł na konia. W Montmorency zatrzymał się przed domem sędziego, poprosił o jakieś dokumenty i skreślił na nich parę linijek. Te dokumenty starszucha otrzymała już nazajutrz: była to darowizna dla niej i jej potomstwa domku, w którym mieszkała, oraz sumy dwudziestu pięciu tysięcy srebrnych liwrow.

Po wizycie u sędziego Franciszek udał się do zamku; i tu zapanowało wielkie poruszenie, ale marszałek poprosił do siebie tylko burgrabiego i rozkazał mu doprowadzić zamek do porządku, zapowiadając, że niebawem w nim zamieszka. Nalegał zwłaszcza, żeby całe jedno skrzydło odnowić i urządzić z przepychem, dodając, że będzie miał zaszczyt gościć dwie księżniczki wysokiego rodu, dla których przeznacza te apartamenty.

Dopiero potem ruszył galopem do Paryża. Nadciągnął, kiedy otwierano bramy, i dalej galopem skierował się do swego pałacu, gdzie go oczekiwał Pardaillan.

Jan spędził tę noc w niepokoju i podnieceniu; im dłużej się zastanawiał, tym mniej rozumiał.

Dlaczego marszałek odjechał? Dokąd? Może chciał się tylko uspokoić? Takie pytania zadawał sobie przez całe godziny. Ale potem zrozumiał, że prawdziwie niebezpieczne pytanie brzmiało: co marszałek pomyśli o jego ojcu. Prawda, że stary Pardaillan sam odniósł dziecko...

Jan doskonale pamiętał, że ojciec mu o tym mówił... Czyż nie dał diamentu matce porwanej dziewczynki? Ale to wszystko stanowiło słabe tłumaczenie, brutalny, potworny czyn został popełniony i marszałek odtrącił swoją żonę! Joanna de Piennes szesnaście lat cierpiała tortury.

Nad ranem, kiedy podniecony przemierzał gabinet wielkimi krokami, drzwi się otwarły i wszedł książę.

— Kawalerze — powiedział — wybacz, że opuściłem cię w ten sposób, ale byłem... bardzo wzruszony, wręcz wstrząśnięty; tyś mi przyniósł największą radość mego życia.

— Panie marszałku — odparł Jan — czyżbyś zapomniał, że jestem synem Pardaillana?

— Nie, nie zapomniałem! I dlatego nie tylko cię kocham za radość, jaką ci zawdzięczam, ale także podziwiam, żeś się zdobył na taką ofiarę... Przecież pewno kochasz także swego ojca.

— Tak — przyznał młodzieniec. — Mam dla niego głębokie uczucie. Jak może być inaczej? Nie znałem mojej matki, ale jak daleko mogę

sięgnąć pamięcią — widzę ojca pochylonego nad moim łóżeczkiem, podtrzymującego moje niepewne kroki, naginającego swoją szorstkość obieżyświata do moich dziecięcych wymagań. Potem, pragnąc wychować mnie na odważnego człowieka, wciągał mnie w bijatyki osłaniając swoją szpadą. Podczas zimnych nocy, kiedy spaliśmy bez posłania, nieraz łapałem go na tym, że zdejmuje swój płaszcz, żeby mnie otulić. Często, kiedy mówił mi: „masz, zjedz i wypij, ja swoją część zachowam na później”, grzebałem w jego mantelzaku i stwierdzałem, że nie zachował dla siebie ani odrobiny. Tak, pan de Pardaillan widzi mi się jako przyjaciel wierny aż do śmierci, któremu zawdzięczam wszystko... i którego kocham. Wszak nie mam nikogo innego do kochania!

— Kawalerze — powiedział wzruszony marszałek — masz wielkie serce. Ty, który tak bardzo kochasz swego ojca, nie zawahałeś się doręczyć mi tego listu będącego formalnym oskarżeniem...

Pardaillan dumnym ruchem uniósł głowę:

— Nie powiedziałem wszystkiego, panie marszałku. Jeśli zdecydowałem się, dla naprawienia wielkiej krzywdy, doręczyć ci ten oskarżycielski list, to dlatego, że chciałem przy okazji bronić mego ojca. Mówię — bronić! I to wszelkimi dostępnymi środkami. Zanim nasza rozmowa potoczy się dalej, proszę mi powiedzieć z całą szczerością, jaką postawę zamierzasz książę przyjąć wobec mego ojca. Czy jesteś jego wrogiem? Wówczas i ja stanę się twoim wrogiem. Czy zamierzasz mścić się za wyrządzoną przez niego krzywdę? Jestem gotów bronić go z orężem w ręku...

Zamilkł drżąc z niecierpliwości. Montmorency przyglądał mu się z zadumą i podziwem. Co by powiedział, gdyby się domyślał, że te prowokacyjne słowa Jan wypowiada z rozpaczą w sercu, gdyby się domyślał, że on kocha jego córkę!

— Kawalerze — odezwał się z powagą — dla mnie istnieje i może istnieć tylko jeden Pardaillan: ten, który wydarł mnie z rozpaczy pogłębiającej się przez te wszystkie lata. Jeżeli kiedykolwiek spotkam twego ojca, nie omieszkam pogratulować mu takiego syna.

— Och, teraz mogę przyznać, że gdyby z ust księcia padło jedno słowo nienawiści, wyszedłbym stąd ze śmiercią w duszy.

Połapał się, że o mało nie zdradził swojej tajemnicy, więc szybko mówił dalej:

— Teraz mogę wreszcie powiedzieć, że ojciec usiłował naprawić wyrządzoną przez niego krzywdę.

— W jaki sposób? — żywo zapytał marszałek.

— Wiem to od niego samego. Opowiedział mi, a raczej półsłówkami wyznał wtedy, kiedy na pewno nie przypuszczał, iż któregoś dnia będę miał zaszczyt być księciu przedstawiony: to ojciec porwał dziecko, prawda, ale to także on odniósł je matce, wbrew otrzymanym rozkazom.

— Tak, rozumiem, jak to musiało się stać... W całej sprawie jest jeden zbrodniarz i ten prawdziwy zbrodniarz nosi moje nazwisko. Kawalerze, zajmę się oswobodzeniem nieszczęśliwej kobiety, która tyle wycierpiała. Czy zechcesz mi opowiedzieć dokładnie i ze szczegółami wszystko, co wiesz?

Jan zrelacjonował, jak go aresztowano i jak po wyjściu z Bastylii otrzymał otwarty już list Joanny de Piennes. Jeden ciemny punkt pozostał w jego opowieści: dlaczego Joanna de Piennes i Loiza zwróciły się właśnie do niego? Nad tym niebezpiecznym punktem prześliznął się szybciućko.

— Są dwa możliwe ślady — powiedział kończąc. — Mówiłem już, że widziałem, jak przy domu na Saint-Denis kręcił się książę Andegaweński ze swoimi chłopczykami. Więc może trzeba zapytać królewskiego brata o to zniknięcie?

— Znam Henryka Andegaweńskiego, boi się gwałtownych działań. Nie zaryzykowałby skandalu.

— Więc powracam do przypuszczenia, które nie przestaje mnie trapić. Mianowicie, że przypadek zetknął marszałka de Damville z księżną de Montmorency i że powinniśmy rozpocząć poszukiwania od pałacu de Mesmes.

— Myślę, że masz rację — przyznał ogromnie zdenerwowany książę. — Bez zwłoki idę do mego brata. Ale proszę, powiedz mi jeszcze jedno: gdybyś mnie nie zastał w Paryżu, czy zabrałbyś się do uwalniania tych dam? Dlaczego?

— Wasza miłość — odparł Pardaillan opanowując zmieszanie. — Uważam za swój obowiązek bodaj częściowo naprawić zło, za które też częściowo odpowiada mój ojciec...

— Tak, to prawda... Masz rzeczywiście godny podziwu charakter. Wybacz mi to pytanie...

— Co zaś do odwiedzin u marszałka de Damville — kontynuował Jan, któremu pilno było do zmiany śliskiego tematu — myślę, że ten pomysł jest niebezpieczny.

— Och! — zawołał Franciszek z egzaltacją. — Niech go tylko spotkam, a zobaczymy, komu grozi niebezpieczeństwo.



— Książę, ja nie mówię o tobie, lecz o nich. Chodzi przecież tylko o nie...

— Tak, o nie — powtórzył marszałek.

— Oczywiście! Kto wie, do jakiej ostateczności posunie się książę de Damville, jeżeli one są u niego i jeśli się go sprowokuje. Kto wie, jakie wydał rozkazy!

— Moja córka! — szepnęła Franciszek.

— Wasza miłość, proszę o jeden dzień i noc cierpliwości. Biorę na siebie, że dzisiejszej nocy dowiem się, co się dzieje w pałacu Mesmes. Jeżeli one tam są, zastanowimy się i myślę, że będziemy musieli użyć fortelu...

— Doprawdy, kawalerze, im dłużej cię słucham, tym bardziej podziwiam twoją energię i giętkość umysłu. Nasze spotkanie jest dla mnie wielkim szczęściem.

— Więc pozwalasz mi działać, książę?

— Do jutra — tak!

— Nie, jaśnie panie — zaprzeczył zimno Pardaillan. — Do chwili, kiedy zdołam wśliznąć się do pałacu i dowiedzieć dokładnie, co się tam dzieje. Zresztą, mam nadzieję, że uda mi się to jeszcze tej nocy.

— Idź już, moje dziecko. I jeśli ci się uda — będę ci winien więcej niż życie...

Jan wstał, żeby się pożegnać. Marszałek uściskał go serdecznie, po czym Jan wielkimi krokami wybiegł z pałacu Montmorency.

## XXIII

### PAN DE PARDAILLAN — OJCIEC

Mniej więcej dwa miesiące przed wydarzeniami, któreśmy właśnie opisali, pod wieczór pewnego chłodnego dnia dwaj mężczyźni stanęli w jedynej oberży miasteczka Ponts-de-Cé w pobliżu Angers. Jeden z ubrania i manier wyglądał na kapitana w drodze do swojej kompanii, drugi — na jego giermka.

Otóż tym kapitanem był jadący z Bordeaux do Paryża marszałek de Damville, który zboczył z trasy, żeby zatrzymać się w Ponts-de-Cé.

A podróżował tak skromnie, gdyż zapewne nie chciał ściągać na siebie niczyjej uwagi.

W oberży Ponts-de-Cé marszałek na kogoś czekał. Jego giermek wychodził co chwila na szosę i spoglądał w kierunku Angers.

Wreszcie, gdy noc zapadła, nowy jeździec zatrzymał się przed oberżą i nie zsiadając z konia zapytał, czy przybył tu wczoraj lub dzisiaj jakiś podróżny. Zaprowadzono go do Henryka de Montmorency, który dał mu jakiś tajemniczy znak.

Gdy nowo przybyły odpowiedział takim samym znakiem, marszałek starannie zamknął drzwi i zapytał:

— Przybywasz z zamku w Angers?

— Tak, jaśnie panie.

— Masz mi waść coś do przekazania z polecenia księcia?

— Jakiego księcia?

— Gwizjusza — cicho powiedział Montmorency.

— Już dobrze, wasza dostojność, proszę wybaczyć te środki ostrożności, ale jesteśmy gorliwie śledzeni.

— Zgoda. Czy Gwizjusz jest jeszcze w Angers?

— Nie. Wyjechał trzy dni temu, udał się do Paryża. Książę Andegaweński odjechał wczoraj.

— Nie wiesz, czy doszło między nimi do porozumienia?

— Nie sądzę, wasza miłość. Książę Andegaweński jest zbyt zajęty swymi minionami i trefieniem loków.

— Czy przywozisz mi jakieś polecenia od Henryka de Guise?

— Tak, oto one: trzydziestego marca o pół do dziesiątej wieczór w oberży „Deviniere” na ulicy Saint-Denis. Pan marszałek zapamięta?

— Tak.

— Zapytacie, panie, o pana de Ronsard, poetę. Trzeba być w masce i z czerwonym piórem przy czapce.

— Trzydziestego marca wieczorem, ulica Saint-Denis, w „Deviniere”, dobrze. To wszystko?

— Tak, wasza miłość. Czy mogę się oddalić? Gdyż lepiej, żeby nikt nie zauważył mojej nieobecności.

— Tak, tak, jedź...

— Będę bardzo wdzięczny za powiadomienie jego wysokości Henryka de Guise, że wywiązałem się z polecenia, i zapewnienie go, iż jestem mu oddany duszą i ciałem, chociaż należę do księcia Andegaweńskiego... na pozór.

— Uczynię to. Jak się waść nazywasz?

— Maurevert, do usług księcia pana tu i w Paryżu, gdzie niebawem powinienem się znaleźć.

Maurevert uklonił się i odszedł.

„Zwykły lajdak — pomyślał marszałek. — Jak też Henryk de Guise może trzymać podobnych sługusów? Dzisiaj zdradza swego pana, a kto wie, czy mnie nie zdradzi jutro? Co zaś do spotkania na ulicy Saint-Denis, to się tam stawię, ale nie zaniedbam środków ostrożności”.

Nasi czytelnicy wiedzą już, że Henryk de Montmorency istotnie wziął udział w spotkaniu w oberży tego wieczora, kiedy Ronsard z gro-nem poetów czcili antyczną muzę i kiedy Gwizjusz z poplecznikami szukał sposobu na zgładzenie króla.

Po odjeździe Maureverta giermek wszedł do pokoju marszałka i za-pytał:

— Czy jedziemy dalej, jaśnie panie?

— Nie, odpocznijmy tutaj. Ale bądź gotów jutro z samego rana, a tymczasem każ, by mi tu podano kolację, nabrałem w drodze apetytu.

Sługa spiesznie wyszedł, żeby wypełnić rozkaz swego pana. W tym momencie Henryk de Montmorency usłyszał wściekle wrzaski na podwóreczku pod swoim oknem.

— Mówię, że pan go tu nie postawisz, do diabła!

— A ja mówię, że on już tam stoi! Na Piłata i Barabasza!

— Ten głos! — szepnął Henryk.

— Stajnia jest zarezerwowana dla koni tych panów.

— A ja się klnę, że mój koń nie pójdzie do obory z krowami!

— Panie żebraku, ja cię wyrzucę!

— Panie oberżysto, ja cię wygrzmocę kijem!

— Wygrzmocić mnie! Mają rację ci, co mówią: obieżyświat-darmozjad... — Reszta zdania utonęła w serii okrzyków, które niebawem zmieniły się w wycie, a te z kolei — w jęki.

Henryk szybko zbiegł na podwórze i zobaczył tam dwa cienie, z których jeden okładał drugiego z sumiennością i zapalem eksperta w tego rodzaju wyczynach.

— Na pomoc! Ratunku! — wrzeszczał oberżysta.

Albowiem okładanym cieniem był oberżysta we własnej osobie.

Okładający ze swej strony zawiesił swoje czynności, złożył kurtu-azyjny ukłon przybyszowi i powiedział:

— Panie, po pańskiej szpadzie oraz całej postawie widzę, że jesteś szlachcicem. Ja także, i chciałbym, abyś został sędzią naszej utarczki,

jeśli się waszmość zgodzisz.

Marszałek skinął głową na znak zgody.

— A więc — mówił dalej nieznajomy na próżno starając się rozpoznać w ciemności rysy nowo przybyłego — ten gbur, którego właśnie oćwoczyłem jak mogłem najlepiej, utrzymuje, że mam wyprowadzić mojego wierzchowca ze stajni i postawić go na noc do obory.

— Stajnia jest zaledwie na trzy konie. Jest w niej akurat miejsce dla wierzchowca jaśnie pana, jego luzaka oraz konia służącego — jęczał oberżysta.

— Tam, gdzie jest miejsce dla trzech, znajdzie się i dla czterech, czyż nie tak, dostojny panie? Takie piękne, zacne zwierzę! Pokażę wam, panie. Będziecie mieli lepszy osąd. Hola, gospodarzu, światła!

Oberżysta, pewien poparcia podróznego, którego ocenił jako bogacza na podstawie zamówionej kolacji, pospieszył zapalić latarnię. Ale Henryk de Montmorency porwał mu ją z rąk i skierował światło na nieznajomego.

„To on — pomyślał. — Poznałem go po głosie”.

Henryk pchnął drzwi stajni i rzucił okiem do wnętrza; zobaczył obok swoich trzech koni szkapę przeraźliwie chudą, z kośćmi sterczącymi przez skórę, ze zdartymi kopytami i zmierzwioną sierścią. Tylko nogi miała sprężyste.

— Proszę spojrzeć — wołał tymczasem nieznajomy — na tę delikatną głowę, na błyszczącą sierść, cienkie pęciny i powiedzieć, czy takie zwierzę zasługuje na nocleg w oborze?

Montmorency odwrócił się z latarnią w rękę i szepnął:

— Masz rację, panie de Pardaillan, to cenny koń!

Nieznajomy otworzył gębę, wytrzeszczył oczy. Już miał wykrzyknąć nazwisko Henryka, lecz ten powstrzymał go spojrzeniem i powiedział:

— Nasz oberżysta przychyła się do twojej słusznej prośby, panie. Ja zaś będę zaszczycony, jeśli przyjmiesz moje zaproszenie na kolację. Bez ceregieli! Jak pomiędzy szlachcicami.

Mówiąc to marszałek de Damville, ku wielkiemu zdumieniu oberżysty, ujął pod ręką Pardaillana i pociągnął go do swego pokoju.

Stary Pardaillan, bardziej jeszcze zdumiony od oberżysty, pozwolił się zaprowadzić bez słowa.

Jednak w drodze z podwórza do domu musiał się zapewne zastanowić, gdyż ledwie drzwi zamknęły się za nimi, śmiało stanął przed marszałkiem i nie okazując najmniejszego zażenowania powiedział:

— Miło mi widzieć waszą wysokość w dobrym zdrowiu.

Wyprostowawszy się z ukłonu znowu stanął z uniesioną głową i przymrużył oczy:

— Trochę postarzały... Cóż, kiedy miałem zaszczyt składać ostatnim razem swoje uszanowanie, miałeś, książę, około dziewiętnastu lat, a jeśli umiem liczyć, teraz masz trzydzieści pięć czy sześć; wtedy uchodziłeś, panie, za przystojnego bruneta i nikt nie mógł ci dorównać w nadawaniu swoim włosom kształtu wdzięcznego, a zarazem groźnego. Jak człowiek się zmienia! Cóż to, czy naprawdę widzę srebrne włosy na skroniach? Jaki gorzki grymas ust! I ten surowy wyraz twarzy! Muszę przyznać, że już wtedy nie byłeś, panie, zbyt łagodny... Jak książę widzisz, ja jestem prawie taki, jak byłem wówczas. Bo po przekroczeniu pewnego wieku my, starzy wędrowcy, już się nie starzejemy. Często słyszałem o tobie, książę, i zawsze jako o rębaczu „di primo cartello”. Podobno rozcinasz głowy na dwoje bardzo dokładnie, a zabitych hugonotów już nie da się policzyć. Na Piłata, to przecież ja włożyłem ci ten obosieczny miecz do ręki! A kto cię nauczył, książę, ciosu płazem item ostrzem? Gdybym był próżny, szczyliłbym się takim uczniem. Ale nie jestem, dzięki Bogu, chociaż i tak mogę być z księcia dumny.

— Panie de Pardaillan — przerwał de Montmorency — zrób mi przyjemność i spożyj ze mną kolację.

Marszałek de Damville usiadł i gestem zaprosił gościa do stołu.

— Przez posłuszeństwo, jasnie panie — odparł Pardaillan, zajął miejsce i natychmiast z ciężkim westchnieniem zdjął pokrywę z wielkiego kamionkowego gara, z którego po całej izbie rozeszła się woń podsmażonej, drobno posiekanej wieprzowiny.

— Och, och — rzekł Pardaillan — dziś darmowa wyzerka!

Damville przypatrywał mu się w zamyśleniu. Wreszcie odezwał się uszczypliwie, cierpko:

— Przed chwilą winszowałeś mi waść, teraz ja się zrewanżuję. Na Boga, wcaleś się nie zestarzał, poznałem cię po ruchach. A zresztą tak dobrze cię zapamiętałem! — Pardaillan nadstawił ucha. — Ale co się zestarzało, to ubranie. Masz waćpan na sobie ten sam kubrak, który miałeś w dniu, kiedy opuściłeś mnie gwałtownie. Biedny kubrak! Co widzę! Dziura na lewym łokciu! I łaty... Och, rezygnuję z policzenia ich. A te buty, te biedne buty! Do licha! Masz waszmość jedną ostrogę z żelaza, drugą ze stali! W dodatku są nie jednakowej długości!

— Co robić, wielmożny panie! Zawsze uprawiałem kokieterię nędzara.

Mówiąc to stary wychylił kubek wina „Saumur” i mrugnął chwytając wargami sztywny wąs.

Montmorency trzymał łokieć na stole, brodę podparł ręką i uważnie przyglądał się swojemu gościowi.

— A teraz chciałbym wiedzieć — odezwał się nagle — co waszmość porabiałeś, odkąd się rozstaliśmy?

— Żyłem, wasza książęca mość.

— Gdzie mieszkałeś?

— Na wszystkich drogach, gdzie się dało, pod każdym gościnnym niebem, no i muszę się przyznać, że przez dwa lata mieszkałem w Paryżu.

— W Paryżu? Ach, ach, czemuż to waść go opuściłeś?

— Dlaczego? — w szarych oczach Pardaillana błysnęła iskierka przekory. — Cóż, powiem księciu panu. — A więc żyłem sobie w Paryżu spokojniutko, mieszkałem w porządnej, pięknej oberży... byłem szczęśliwy, nabierałem ciała. Ale pewnego wieczora... tak, to był październik...

Marszałek drgnął.

— A więc pewnego wieczora na zakręcie ulicy zobaczyłem kogoś... mojego starego znajomego. Muszę przyznać, jaśnie panie, że był to ktoś, kogo starałem się unikać... i proszę sobie wyobrazić, że ten człowiek chciał mnie koniecznie uszczęśliwić wbrew mojej woli... Więc natychmiast pomyślałem: „Jeżeli zostanę w Paryżu, to prędzej czy później spotkam się oko w oko z nim! I wtedy, adieu, piękne moje ubóstwo, które tak kocham! Będę musiał być szczęśliwy i opowiadać, i udzielać wyjaśnień, i...” Krótko mówiąc, wyniosłem się bez rozgłosu i znowu zacząłem przemierzać drogi, wędrując na los szczęścia w nieznaną.

— Przecież ja właśnie wtedy byłem w Paryżu — powiedział Montmorency.

— Popatrz, popatrz, co za zbieg okoliczności!

— Tak, byłem i nawet przypominam sobie przygodę, która mi się wtedy zdarzyła; pewnego wieczora zostałem napadnięty przez rzeźmieszków i byłbym zginął, gdyby mnie nie uratował jakiś szlachetny nieznajomy, któremu podarowałem mojego najlepszego konia, mojego pocziwego Galaora.

— Do diabła z tym wybawcą — mruknął stary.

Na parę minut zapadła cisza. Marszałek rozmyślał. Nagle powiedział:

— Mój drogi panie de Pardaillan, czy zauważyłeś pewną rzecz: nie widzieliśmy się od szesnastu lat, od dobrych dwóch godzin siedzisz tu przede mną, a ja jeszcze nie prosiłem o wytłumaczenie się z twojej zdrady!

„Bęc! Jest!” — pomyślał Pardaillan. — Jakiej zdrady? — zapytał.

Ponieważ Henryk milczał, może nie chcąc budzić upiórów drzemających w jego duszy, stary stuknął się w głowę z okrzykiem:

— Już wiem! Jaśnie pan ma zapewne na myśli tego łajdaka, tego łobuza, tego zdrajcę, tego nędznika, który zabił jelenia w jego lasach? Kazałeś go, książę, powiesić na niskiej gałęzi kasztana, widzę go dotychczas. Piękne drzewo, niech skonam! Tak, to prawda, wyrzucam to sobie dotychczas z całą pokorą, bo ledwie jaśnie pan się odwrócił, a już go odwiesiłem, łajdaka; łobuz uciekł, nawet mi nie podziękował, to dla mnie nauczka. Tak, to była zdrada, przyznaję.

— Tego szczegółu nie znałem — powiedział Montmorency.

— Tym razem rezygnuję z odgadnięcia.

— Jestem pewien, że pamięć powróci...

— No tak — zimno odparł Pardaillan — przypominam sobie pewne zdrady w rodzaju tej, o której mówię. Czyżby książę miał przypadkiem na myśli sprawę Margency, po której opuściłem go z wielkim żalem?

— Opuściłeś mnie, bo myślałeś, że czeka cię szubienica.

— Szubienica! Fe, jaśnie panie! Poćwiartowanie, łamanie kołem — proszę bardzo. Ale zwyczajna szubienica! Nigdy bym się nie fatygował w tak długie podróże! Co do samej sprawy, to przyznaję się, tak jak i do innych: zdradziłem cię, książę, tego dnia, oddałem dziewczynkę matce. Trudno! Słyszałem płacz tej matki, słyszałem, jak mówi rzeczy, od których włos się jeżył na głowie, nie przypuszczałem, że ból człowieka może się przejawiać w takich słowach, nie wiedziałem, że może istnieć takie cierpienie. Pozwól, książę, że dokończę tę moją spowiedź: od szesnastu lat nie minął ani jeden dzień, żebym sobie nic nie wyrzucił, że cię wtedy usłuchałem, stając się przyczyną wielkich nieszczęść. Co ty na to, mości książę?

Henryk de Montmorency milczał przez kilka chwil, po czym rzekł:

— To dobrze, Pardaillan. Widzę, że masz doskonałą pamięć. Wracam więc do tego, co powiedziałem: waszmość mnie oszukałeś. Proszę zauważyć, że nie robię z tego zarzutu, puściłem tę zdradę w niepamięć. Chcę o niej zapomnieć. Uważam cię za porządnego, godnego szacunku szlachcica. Posłuchaj mnie waśc uważnie, zrobię mu pewną propozycję, którą możesz przyjąć lub odrzucić. Jeśli odrzucisz — pójdziesz swoją drogą, a ja swoją, nic nie będziemy mieli sobie do powiedzenia. Jeśli przyjmiesz — mogą z tego wyniknąć tylko zaszczyty i korzyści.

Pardaillan pomyślał w duchu:

„Jak też lata zmieniają ludzi! Kiedyś, za czwartą część tego, co mu powiedziałem, rzuciłby się na mnie ze szpadą i sztyletem... Ale co on może ode mnie chcieć?”

— Panie de Pardaillan — zaczął marszałek po chwili zastanowienia — wiesz dobrze, że wielu młodych ludzi mogłoby ci pozazdrościć ostrości spojrzenia. Niegdyś byłeś groźny, teraz jesteś straszliwy...

— Cóż, człowiek zna swój zawód rębajły, to wszystko.

— Zgoda — powiedział marszałek patrząc z zachwytem na starego. — A co z tym wściekłym apetytem przygód, którym się odznaczałeś?

— Apetyt mam nadal, wasza wysokość, tylko brak okazji, żeby go zaspokoić.

— A więc gdyby ci zaproponowano zaspokajanie go do syta...

— To zależy od rodzaju posiłku, jaki by mi zaoferowano. Są przygody i przygody.

— Więc słuchaj mnie waść jak najpilniej, gdyż to, co powiem, jest sprawą najwyższej wagi. — Jak gdyby zwalczał ostatnie wahanie i nagle się zdecydował: — Panie de Pardaillan, co myślisz o królu Francji?

— O królu Francji? Co, u licha, taki nieborak jak ja mógłby o nim myśleć? Chyba tylko tyle, że jest królem!

— Pardaillan, powiedz mi, co o nim myślisz, a ja dam słowo honoru, że nikt się tego nie dowie.

Pardaillanem zatrzęsło:

— Wasza księżęca mość, przecież ja nie znam najjaśniejszego pana. Mówią o nim, że jest słaby i złośliwy, że jest dotknięty chorobą, która przyprawia go o napady wściekłości. Oto, co mówią. Ale ja nie wiem nic... nic poza tym, że taki król nie może budzić szczerego przywiązania.

— Jeżeli tak waść myślisz, to przypuszczam, że możemy dojść do porozumienia. Jesteś wolny, silny, pełen brawury i zręczności. Zamiast trwonić te zalety na nędzne awanturki na drogach, mógłbyś ich użyć do wielkich rzeczy. Co byś powiedział, gdyby na miejsce tego króla, maniaka, podejrzliwego, bezlitosnego i chorego, a więc co byś powiedział na króla, który byłby uosobieniem wspaniałomyślności, na króla wielkiego serca i świętego pochodzenia, młodszego, entuzjasty marzącego o sławie, a zatem zdolnego dać wszystkim swoim dworzanom okazję do zdobycia sławy?

— Jaśnie panie, proponujesz mi po prostu spiskowanie przeciwko królowi?



— Tak — jasno postawił sprawę Montmorency. — Czyżbyś się bał?  
— Czego miałbym się bać, skoro nie zląkłem się nawet księcia pana?  
— Więc co cię powstrzymuje? — zapytał Henryk, kwitując uśmiechem zręczne pochlebstwo. — Zresztą muszę cię uprzedzić, że nie wygamam od ciebie bezpośredniego działania, raczej z drugiej ręki.

— Mów jaśniej, książę, mów jaśniej.

— Proszę: jestem wciągnięty w tę akcję i jakikolwiek będzie jej wynik, muszę wytrwać do końca. W razie porażki, sam czy z ludźmi obojętnymi, słabo mogę się bronić. Wreszcie muszę mieć kogoś, kto by czuwał nade mną, żebym mógł zdobyć pełną swobodę działania.

— Zaczynam rozumieć, wasza wysokość. Mam być ramieniem, które będzie działało nie zdradzając mózgu kierującego nim.

— Wspaniale. Odpowiada ci to?

— Tak, jeśli zobaczę w tym swój interes.

— Jakie stawiasz żądania?

— Niczego dla siebie, z wyjątkiem pokrywania wszystkich moich wydatków.

— Będziesz waśc otrzymywał po pięćset talarów miesięcznie tak długo, dokąd zostaniesz w mojej służbie podczas tej kampanii. Czy to wystarczy?

— Aż nadto. Ale to, książę, jest zapłata, a nie wynagrodzenie.

— Jeśli waszmość nie chcesz niczego dla siebie, to dla kogo?

— Dla mego syna.

— I o cóż dla niego prosisz?

— Jeśli kampania zakończy się porażką, sumę stu tysięcy liwrow, którą dostanie jako darowiznę.

— A jeśli kampania się powiedzie?

— To znaczy, jeżeli osadzimy na tronie króla z naszego wyboru? Wtedy, wasza wysokość, nie o pieniądze będę prosił. Wtedy wydaje mi się, że stopień porucznika z widokami awansu na kapitana byłby godną nagrodą dla syna kogoś, kto oddał takie usługi.

— Co do stu tysięcy liwrow — powiedział marszałek — zobowiązuję się już teraz. Co zaś do porucznikostwa — zobowiązuję się umieścić sprawę na liście warunków, które zechcę stawiać.

— Doskonale, książę, wystarczy mi twoje słowo... na razie... Kiedy mam się zjawić w Paryżu?

Marszałek pomyślał chwilę i rzekł:

— Na przykład za dwa tygodnie. Do tego czasu nie szykuje się nic poważnego. Wystarczy zatem, żebyś waszmość stawił się w moim pałacu w pierwszych dniach kwietnia.

- Będę tam, książę, wcześniej.
- Nie, przeciwnie, lepiej, żeby cię do tej daty nie widziano w Paryżu. A także po przyjeździe najlepiej udać się wprost do pałacu Mesmes nie spotykając się z żadnym znajomym.
- Przybędę nocą w pierwszym tygodniu kwietnia.
- Znakomicie. A co będziesz waść robił do tego czasu?
- Cóż, będę powolutku zmierzał w stronę Paryża, jak doświadczony wędrownik.
- Potrzeba ci pieniędzy?

Nie czekając na odpowiedź, marszałek przywołał swego służącego i powiedział mu coś na ucho. Ten wyszedł i po paru minutach wrócił trzymając w ręku wypchany miśzek, który położył na stole.

— O, proszę — rzekł stary obieżyświat — to jest rodzaj deseru, jakiego nie próbowałem od bardzo dawna.

Po godzinie cała oberża już spała. Jedynie Montmorency i Pardailan jeszcze rozmyślali przed zaśnięciem, jeden w swoim łóżku, drugi na sianie, na strychu, który sobie obrał na nocleg.

„Ten mój nowy nabytek książę de Guise odkupiłby na wagę złota” — myślał pierwszy.

Drugi zaś:

„Ryzykuję głową, ale zapewniam mojemu dziecku fortunę...”

## XXIV

## WIĘŹNIARKI

W pierwszych dniach kwietnia, to jest w okresie, kiedy stary Pardailan w nowych szatach i odmieniony od stóp do głów przybliżał się do Paryża, zaś jego syn szukał kontaktu z Franciszkiem de Montmorency, przenosimy się do pałacu Mesmes, gdzie Joanna de Piennes i Loiza są więzione od ponad dziesięciu dni.

Marszałek de Damville, ponury i zdenerwowany, samotnie krążył po obszernej sali na pierwszym piętrze.

Odnalazłszy Joannę, Henryk poczuł gwałtowny przypływ młodzieńczych uczuć. Od chwili, kiedy ją spotkał, kiedy ją ponownie zobaczył, i wreszcie porwał — rozumiał, że kocha ją nadal.

„Dlaczego tak mnie poruszyło jej odnalezienie? Dlaczego ogarnia mnie żar namiętności, którą uważałem za wygasłą? Czyżbym ją teraz kochał bardziej niż dawniej?...”

Kiedy Henryk w duszy zadawał sobie te pytania, ktoś zastukał do drzwi. Z gestem zniecierpliwienia poszedł otworzyć. Stał przed nim ów człowiek, któregośmy poznali w Ponts-de-Cé, jego giermek.

— Jaśnie panie — powiedział nie czekając na pytanie — ważna nowina: brat jego księżęcej mości jest w Paryżu.

Damville zbladł.

— Widziałem go na własne oczy — ciągnął dalej sługa — szedłem za nim; jest w swoim pałacu.

— Dobrze, możesz odejść.

Henryk de Montmorency pozostawszy sam padł na fotel, ogromnie przygnębiony. Ten człowiek, jego brat, był zwiastunem zemsty, która w każdej chwili mogła go dosięgnąć groźna, nieubłagana!

— Och, gdybym był sam! — warknął. — Czekałbym na niego w pełnej gotowości, a raczej wyszedłbym mu na spotkanie, wyzwiał go, krzyknąłbym mu prosto w twarz: czy to po mnie przyjechałeś do Paryża? Więc jestem!

Czego chcesz? Ale nie jestem sam, jest tu także ona! A ja ją Kocham i nie chcę, żeby ją tu zastał. Nie chcę, żeby się spotkali! Kto wie, czy i on także nadal jej nie kocha!

Przez godzinę Henryk de Montmorency krążył po komnacie, aż wreszcie trochę się uspokoił. W końcu uśmiech pojawił się na jego wargach. Zapewne znalazł jakieś rozwiązanie, gdyż szepnął:

— Tak, tam będzie bezpieczna... mam dobry sposób na zapewnienie sobie wierności tej kobiety... zobaczymy!

Tak mrucząc poszedł do apartamentu, w którym Joanna i Loiza były uwięzione. Pod drzwiami chwilę stał nasłuchując, a ponieważ było cicho, delikatnie otworzył je kluczem, który miał przy sobie, pchnął i stanął poblady: przed sobą miał Joannę i Loizę!

Przytulone do siebie, oplecione ramionami w geście wzajemnej obrony, patrzyły na niego z niewysłowionym lękiem.

Postąpił krok, starannie zamknął za sobą drzwi, podszedł bliżej i zapytał:

— Czy mnie poznajesz, pani?

Joanna de Piennes stanowczym ruchem wysunęła się przed Loizę. Zarumieniona z przejęcia powiedziała:

— Jak pan śmiesz pokazywać się temu dziecku!

— Tak, widzę teraz, żeś mnie pani poznała. Gratuluję sobie. Widzę, że się zbyt nie zestarzałem, jak mi to niedawno powiedział ktoś... ach tak, to był ktoś, kogo musiałaś pani zapamiętać... pan de Pardailan.

Loiza jęknęła i zakryła twarz dłońmi.

Uczucie macierzyńskie dodało Joannie niezwyklej odwagi i zwielokrotniło jej siły.

— Panie — odezwała się głosem czystym i bardzo spokojnym — źle robisz przywołując wobec mojej córki te ohydne wspomnienia. Wyjdź, proszę. Popelnisz ostatnią podłość wyrывая nas ze skromniutkiego szczęścia, jakie mi pozostało.

Henryk de Montmorency zadygotał z wściekłości, zacisnął pięści, ale się opanował.

— Och, jesteś pani zawsze taka sama — powiedział potrząsając głową. — Ile razy spotykałem cię, pani, zawsze z twojej twarzy mogłem wyczytać nienawiść albo przerażenie. Tak jak i ty, pani, uważam, że powinniśmy rozmawiać w cztery oczy. Proszę zatem, aby twoja córka wyszła.

Loiza objęła ramieniem szyję Joanny i zawołała:

— Matko, ja cię nie opuszczę!

— Nie, moje dziecko — rzekła Joanna — my się nie rozstaniemy. Cokolwiek ten człowiek ma do powiedzenia, twoja matka jest przy tobie, żeby cię bronić.

Henryk bladł i czerwieniał na przemian. Jego plan odizolowania Joanny spalił na panewce. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie użyć przemocy, ale widząc zdecydowaną postawę Joanny — uląkł się.

— Czego się pani boisz? — zapytał głosem ochrypłym, cichym, błagalnym a zarazem — grożącym. — Gdybym chciał rozłączyć cię z córką, zrobiłbym to dawno i z łatwością. Ale nie chciałem. Możesz mówić i myśleć, co zechcesz, nie odbierzesz mi cnoty szczerości. Ale ty się gniewasz, protestujesz całą swoją postawą. Nie możesz jednak zapobiec temu, co się stało. A stało się to, że Franciszek porzucił cię w sposób nikczemny, ja jeden jestem ci wierny!

— Nędzniku! — zawołała Joanna z odrazą i oburzeniem, a w jej głosie brzmiała cała niewygasła miłość — nędzniku, to ty, to twoja podłość nas rozłączyła! Ale wiedz, że nawet daleko ode mnie, Franciszek płacze po mnie tak jak ja po nim.

— Matko, przecież masz mnie! — wtrąciła się Loiza.

— Tak, moje dziecko, moje ukochanie, ty mi pozostałaś... i jesteś teraz moim jedynym skarbem.

Henryk ponurym wzrokiem popatrzył na splecione uściskiem kobiety.

— Dobrze — odezwał się usiłując nadać swemu głosowi łagodniejsze brzmienie. — Oddacie mi kiedyś sprawiedliwość... Tak, kiedy się dowiecie, z jakiego niebezpieczeństwa wyrwałem was obie, może spojrzycie na mnie z mniejszym wstrętem. Na razie musicie wiedzieć, po co tu do was przyszedłem. Nie możecie pozostać w tym pałacu. Grozi wam tutaj to samo niebezpieczeństwo, co na ulicy Saint-Denis. Przygotujcie się: za godzinę pojazd przewiezie was do pewnego domu, gdzie będziecie najzupełniej bezpieczne. Żegnam, pani.

Joannie wyrwał się leciutki gest radości; podejrzliwe spojrzenie Henryka go zauważyło.

— Muszę uprzedzić — powiedział chłodno — że wszelka próba, wszelkie krzyki w drodze byłyby co najmniej zbędne... a może nawet ogromnie niebezpieczne... dla tego dziecka.

Sztuczne podniecenie, które podtrzymywało Joannę w obecności jej zjadłego wroga, nagle opadło. Odczuła strach paraliżujący myśli.

„To koniec — stwierdziła w duchu. — Obie jesteśmy zgubione, moja córka i ja!”

Istotnie, rozmowa z Henrykiem świadczyła, że pozostał takim samym, jak dawniej.

Podczas dni spędzonych w pałacu w nieszczęsną matkę zaczęła wstępować nadzieja. A przecież zdawała sobie sprawę, że znajduje się w mocy Henryka de Montmorency.

Czytelnik zapewne pamięta, że tego dnia, kiedy je przywieziono do pałacu Mesmes, marszałek otworzył nagle drzwi i ukazał się matce i córce w chwili, kiedy dzieliły się domysłami na temat dziwnego aresztu. Ale wtedy Henryk nie powiedział ani słowa. Upływały całe dni, a on nie ważył się na nowe spotkanie.

I właśnie kiedy w Joannę wstąpiła nadzieja, że może marszałek de Damville doznał wyrzutów sumienia — ten stwierdził, iż jego namiętność była większa niż kiedykolwiek.

Teraz nadzieja Joanny uleciała, Henryk bowiem pozostał takim, jakim go znała.

— Co on z nami zrobi? — zapytała półgłosem.

— Odwagi, matko — pocieszała ją Loiza. — Nieważne, dokąd nas zawiozą, byle tylko nas nie rozłączyli.

Noc minęła, ale nikt po nie nie przyszedł. Zasnęły dopiero nad ranem, leżąc obok siebie załamane.

Dwa wydarzenia przeszkodziły marszałkowi tej nocy w wykonaniu zamiaru. Dziwne, ale opuszczając Joannę czuł się prawie szczęśliwy; zadał pierwszy cios! Ponadto pomysł wmawiania im, że je porwał, aby uchronić od niebezpieczeństwa, wydał mu się wprost wspaniały.

Na pewno rozłąka z nimi sprawiała mu przykrość. Jednak powziął tę decyzję z uwagi na fakt, że Franciszek przebywa w Paryżu i mając mgliste przeczucie, że może on przyjść do pałacu.

Koło pół do ósmej, gdy zapadł zmrok, otulił się obszernym płaszczem, na głowę włożył czapkę bez pióra, za pas wetknął solidny sztylet i wyszedł.

W pół godziny później był już na ulicy Hache, na rogu Traversière, przed domkiem o zielonej bramie... należącym do Alicji de Lux.

Zastukał. W domu panowała głęboka cisza. Światelko, które zauważył przez szpary okiennic, zgasło.

— Mają się na baczności — mruknął. — A więc jest w domu. Do diabła, musi mi otworzyć!

Walił mocniej i zapewne obawa, żeby hałas nie wzbudził czyjegoś zaciekawienia — gdyż dom ten nie powinien był ściągać na siebie niczyjej uwagi — wywołał wreszcie reakcję: Henryk usłyszał kroki w małym ogródku i za bramą rozległ się ostry głos:

— Proszę odejść, bo zawołam strażę...

— Lauro! — krzyknął Henryk.

Odpowiedział mu stłumiony okrzyk.

— Lauro, otwórz, do wszystkich diabłów, bo przeskoczę przez mur!

Drzwi otwarły się natychmiast.

— Ty, księżę!?

— Tak, ja; co w tym dziwnego?

— Już prawie rok...

— Jeszcze jeden powód, żeby przyjąć mnie gościnnie, gdy wracam. Chcę mówić z Alicją.

— Nie ma jej w Paryżu, jaśnie panie.

— Daj spokój! — szyderczo roześmiał się Henryk. — W Luwrze wczoraj o niczym innym nie mówiono...

— Ale znowu wyjechała — energicznie zaprzeczyła Laura.

— No to zostanę i zaczekam, nawet gdybym miał tutaj tkwić cały miesiąc.

— Proszę wejść, panie — odezwał się kobiecy głos i jakiś biały kształt zarysował się w progu.

Była to Alicja. Marszałek poznał ją natychmiast i uklonił się z wdziękiem zaprawionym bezczelnością, której ten rycerz wysokiego rodu nie starał się ukryć.

Alicja weszła do domu, Laura zapaliła światło. Marszałek zwrócił się do gospodyni, która stała trochę bledsza niż zwykle, ze spuszczoneymi oczami i czekała, żeby Laura sobie poszła.

— Słucham cię, panie — powiedziała, gdy zostali sami. — Walisz do drzwi, mówisz głośno, kłaniasz mi się z właściwą sobie ironią, a to wszystko dlatego, że byłam twoją kochanką. Proszę, co masz mi do powiedzenia?

Marszałek na chwilę zaniemówił zaskoczony.

— Co mam do powiedzenia? — odezwał się wreszcie. — Przede wszystkim pragnę przeprosić za najście. — Wypowiadając te słowa lustrował wzrokiem dobrze znany pokój. — Nic się tu nie zmieniło poza dwiema rzeczami... Przede wszystkim ty, pani, jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek...

— A następnie?

— Następnie to puste miejsce... to miejsce, gdzie wisiał portret...

— Twój, panie. Krótko powiem, dlaczego twój portret już tu nie wisi, dlaczego zwlekano z otwarciem drzwi, dlaczego proszę, byś wyjaśnił mi szybko, czego ode mnie oczekujesz, i wreszcie dlaczego błagam, abyś zapomniał o moim istnieniu... Mam kochanka.

Te słowa były wypowiedziane z taką szczerością, że gdyby Henryk umiał czytać w sercu dawnej metresy, zauważyłby zawarty w nich ból, a może wzniosłość.

Nie była to brawura, wyzwanie czy wyznanie, lecz ostrzeżenie, które w gruncie rzeczy przemawiało na korzyść marszałka, albowiem wyrażało pewność co do jego absolutnej dyskrekcji.

— Więc mam następcę — rzekł Henryk nie zdając sobie sprawy, że powiedział impertynencję — ale to mnie bardzo cieszy, gdyż przysługa, o jaką przyszedłem prosić, wymaga, żebyś o mnie zapomniała na tyle, by spokojnie wysłuchać tego, co powiem, ale nie na tyle, żeby mnie pozbawić resztek życzliwości.

— Masz ją, panie.

— Wyłożę moją sprawę jasno — mówił dalej Henryk i na znak dany przez Alicję usiadł w fotelu.

Nagle Alicja zbladła jak trup i zdławiła okrzyk. Chwyliła marszałka za rękę i z siłą wielokrotnioną jakimś strasznym niebezpieczeństwem pociągnęła go do sąsiedniego pokoiku i zamknęła drzwi. W tym momencie weszła ogromnie wylężniona stara Laura.

— Cicho! — powiedziała Alicja ochryple. — Słyszałam...

Usłyszała mianowicie, że ktoś zatrzymał się przed bramą, otwierał ją, a przecież tylko jedna osoba mogła to zrobić: hrabia de Marillac...

Dwoma susami hrabia przebiegł przez ogródek i ukazał się Alicji, która stała pośrodku pokoju oparta o fotel, kredowobiała, zmieszana.

— To ty, mój ukochany! — wymówiła z trudem.

— Alicjo! Alicjo! Jesteś chora? Czy taka wzruszona...

— Tak, wzruszona, wstrząśnięta... Przejęta twoim widokiem, radością... Opanowała się całym wysiłkiem woli, przywróciła rysom naturalny wygląd.

Deodat nie mógł się otrząsnąć ze zdziwienia. Obserwująca go Alicja widziała wyraźnie, co działo się w umyśle młodzieńca.

— Zachowuję się jak mała dziewczynka! — powiedziała z uśmiechem. — Mało nie zemdląłam, gdy zobaczyłam cię w czwartek, zamiast jutro, w piątek. To uroczą niespodzianka, kochany przyjacielu!

— Najdroższa Alicjo! — szeptał Deodat biorąc ją w objęcia i przytulając wargi do jej włosów. — Ja także, kiedy się zbliżam do tego błogosławionego domku, czuję, jak mi serce rośnie, jak mnie ogarnia wielka radość, unosi...

Alicja powoli odzyskiwała spokój; rozważała w duchu: „Marszałek usłyszy... w końcu, co mnie to obchodzi! Nie zobaczy Deodata, nie rozpozna go...”

— Przepraszam za przyjście bez uprzedzenia — mówił dalej hrabia.

— Mój najdroższy, nie przepraszaj! Jestem taka szczęśliwa!

— Niestety, tylko dla mnie jest to krótka chwila szczęścia. Przyszedłem zawiadomić, że jutro nie będę mógł spędzić tu tych cudownych godzin, do których mnie przyzwyczaiłaś...

— Nie zobaczę cię jutro?

— Nie, droga przyjaciółko... dzisiaj jeszcze, za godzinę, muszę wziąć udział w bardzo ważnym zebraniu, na które przybędą wysoko postawione osobistości... ale nie chcę niczego przed tobą ukrywać...

Alicja domyśliła się, że hrabia zamierza jej powierzyć jakieś tajemnice polityczne. Natychmiast w jej rozgorączkowanym umyśle powstało dręczące pytanie: jak przeszkodzić mu w mówieniu? Co zrobić, żeby Damville nie usłyszał?

— Wszak jesteś sercem mego serca, myślą mojej myśli — ciągnął dalej Deodat. — Wiedz zatem, że dziś wieczorem...

— Po co, mój najdroższy? Milcz, chcę słyszeć z twoich ust tylko słowa miłości...



— Alicjo — uśmiechnął się hrabia — jesteś towarzyszką mego żyda, masz zatem być także tą, wobec której nie mam żadnych tajemnic.

— Mów ciszej, błagam...

— Ciszej? Dlaczego? Kto może nas słyszeć?

— Laura, Laura — szepnęła Alicja opadając z sił. — Pomyśl, że moja ciotka jest wścibska... i gadatliwa.

— Na Boga, masz rację! Nie pomyślałem o tym...

W tym momencie drzwi otworzyły się, stanęła w nich Laura...

— Drogie dziecko — powiedziała. — Muszę wyjść na kilka minut. Skorzystam z obecności hrabiego de Marillac, żeby cię nie zostawiać samej...

— Nie, nie, nie wychodź! — zawołała przerażona Alicja.

— Och, Alicjo — wyszeptał Deodat — czyżbyś nie miała do mnie zaufania?

— Ja? Ja nie mam zaufania? — I udręczona wysiłkiem, chcąc wydać się spokojną, dodała: — Idź, idź, cioteczko, ale wracaj szybko.

Po chwili hrabia de Marillac usłyszał, jak furtka zatrząskuje się z hałasem.

— Nareszcie sami — powiedział z uśmiechem. — I będę ci się na przykrzał moim zaufaniem i moimi sekretami.

Zrobiła ostatni rozpaczliwy wysiłek:

— Chodź, jeszcze nie widziałeś mojego pokoju... Chcę ci go pokazać.

Deodat zadrzał, fala gorąca uderzyła mu do głowy. Ale w jego szlachetnym sercu górę wzięła szacunek dla kobiety, którą uważał za swoją narzeczoną.

— Zostańmy tu — powiedział. — Zresztą, mam już tylko parę minut.

Wiesz, kto na mnie czeka, Alicjo? Król Nawarry! Tak, król we własnej osobie. I książę de Conde. Zebrali się na ulicy Béthisy...

„Biada mi, biada nam!” — jęknęła w duchu nieszczęsna.

— Nie licząc kogoś, kogo zaprosiliśmy specjalnie... marszałka de Montmorency!

Alicja drżała z przerażenia. I gdyby hrabia nie był w tym momencie przejęty jej zachowaniem, może usłyszałaby stłumiony okrzyk gdzieś bardzo blisko, za drzwiami...

— Co ci jest, Alicjo? — zawołał. — Dlaczego zbladłaś? Och, zaraz zemdlejesz!

— Ja? Ależ nie! A raczej tak, rzeczywiście, nie czuję się dobrze...

Przez chwilę Alicja zastanawiała się, czy zemdleńie nie byłoby najlepszym wyjściem. Ale z tą umiejętnością błyskawicznej oceny sytuacji,

jaką posiadała w najwyższym stopniu, uświadomiła sobie natychmiast, że gdyby zemdląca, Deodat pobiegłby po wodę, otworzyłby może pierwsze lepsze drzwi... właśnie do pokoiku, gdzie znajdował się Henryk de Montmorency.

— Koniec — powiedziała — już mi przeszło... Często miewam wapory...

— Drogi, kochany aniele! Stworzę ci życie tak dobre, tak piękne, że te wszystkie niepokojące dolegliwości miną...

— Och tak, mówmy o przyszłości, ukochany...

— Muszę cię opuścić, Alicjo! Wiesz, kto na mnie czeka. Mają być podjęte ważne decyzje. Posłuchaj, jeżeli nasz plan się powiedzie, położy to kres wszystkim wojnom. Alicjo, Alicjo, posłuchaj... Chodzi ni mniej, ni więcej tylko o to, żeby porwać Karola IX i narzucić mu nasze warunki...

Tym razem głuchy okrzyk wyrwał się Alicji; czyniąc nadludzki wysiłek podbiegła do drzwi mówiąc:

— Cicho! Moja ciotka!

Powiedziała to tylko po to, żeby powstrzymać Deodata, bo przecież nie słyszała otwieranej bramy, w dodatku wejście Laury dziwnie się zbiegło z tym, co przed chwilą mówiła. Hrabia zaś był przekonany, że stara istotnie w tym momencie wróciła.

— Zatem jutro — powiedział jak gdyby kontynuując zaczęłą rozmowę — jutro ominie nas przyjemny wieczór.

— Idź już, idź hrabio — bąkała Alicja — i niech Bóg cię prowadzi.

Jak zwykle w obecności ciotki Laury, Deodat tylko uściskał dłonie narzeczonej. Jak zwykle odprowadziła go do bramy wiodącej na ulicę.

— Deodacie — szepnęła — te wapory, które widziałeś, nie wystąpiły bez powodu. Od kilku dni jestem niespokojna, mam okropne sny, nachodzą mnie złowróżbne przeczucia...

— Dzieciaku! Dzieciaku!

— Kochasz mnie? — zapytała wkładając w to pytanie całą duszę.

— Czy cię Kocham! Jak możesz o to pytać?

— A więc, Deodacie — powiedziała tak żarliwie, że narzeczony się zatrwożył — błagam cię na wszystko, uważaj na siebie. Gdyby twój ojciec był tutaj, powiedziałabym: „wystrzegaj się ojca”. A teraz powiem ci coś więcej: wystrzegaj się twojej narzeczonej...

Usiłował zamknąć jej usta pocałunkiem, ale nie dała sobie przerwać i dalej mówiła gorączkowo:

— Czy to wiadomo? Czy we śnie albo w szaleństwie nie może mi się wyrwać nieopatrzne słowo? Och, Deodacie, przysięgnij mi, że będziesz czujny, że nim weźmiesz do ust wodę albo owoc, upewnisz się, że nie są zatrute... Przysięgnij! Przysięgnij!

— Więc przysięgam — zgodził się przerażony jej egzaltacją. — Czyżbyś o czymś słyszała? Co wiesz?

— Ja? Nic, jako żywo. To tylko przecucia. Ale moje przecucia nigdy mnie nie oszukują i przekształcają się w straszną rzeczywistość. Deodacie, przysięgåłś mi, że będziesz czujny w dzień i w nocy...

— Tak, najdroższa, masz moją przysięgå.

Kurczowo przytuliła go do siebie. Ostatni pocałunek i hrabia de Marillac wsiąkł w ciemność nocy.

Alicja jeszcze przez chwilę stała w ogródku, żeby pozbierać myśli i rozpatrzeć nową sytuację. Montmorency wszystko słyszał. Tego była zupełnie pewna. Będzie się starał zaprzeczyć, ale ona dobrze wiedziała, że słyszał. Wszystko! Otóż, z jednej strony, marszałek de Damville związany z Gwizjuszami był zainteresowany w wydaniu hugonotów, z drugiej — nienawiść do brata będzie go do tego pchać, nawet gdyby chciał hugonotów oszczędzić.

Wniosek z tego okropnego sylogizmu miał jasność błyskawicy: po wyjściu stąd marszałek pośpieszy do Luwru i wyda swego brata, Coligny'ego, Kondeusza i króla Nawarry. Deodata zaś, zdemaskowanego razem z pozostałymi, czeka śmierć.

Trzymając się oburącz za głowę, z zaciśniętymi wargami, Alicja tylko przez kilka chwil walczyła ze strasznym zamiarem, jaki się jej narzucał: zlikwidować możliwość denuncjacji likwidując możliwego denuncjatora.

Niebawem była wewnętrznie gotowa. Morderstwo zostało zaakceptowane, postanowione.

Wróciła do domu; jak pamiętamy, wewnętrzna walka nie trwała dłużej niż minutę. Śmierć księcia de Montmorency ukazała się jej jak gdyby równocześnie ze śmiercią Deodata. Widziała siebie, jak sztyletuje marszałka, i w tej samej chwili ujrzała swego ukochanego, jak wchodzi na szafot.

Alicja wróciła do pokoju, w którym rozmawiała z Deodatem, i szybko zdjęła ze ściany krótki sztylet, ostry, mocny, z prawie trójkątnym kubkiem, z grubym ostrzem i dobrze dopasowaną rękojeścią.

Ujęła broń w rękę, tak jak widziała, że ją trzymają Hiszpanie na dworze Joanny d'Albret: ostrze schowane w szerokim rękawie czubkiem do góry. W ten sposób wystarczyło gwałtownie unieść ramię, a było ono od razu uzbrojone.

Wtedy bez wahania zbliżyła się do pokoju, gdzie siedział Henryk, i otworzyła drzwi lewą ręką.

Marszałek był wysokiego wzrostu, więc postanowiła nanieść cios, gdy oboje będą siedzieli naprzeciwko siebie i spokojnie gawędzili.

„Uwaga — pomyślała — on na pewno zaprzeczy, powie, że nic nie słyszał; a kiedy będzie zajęty swymi wykrętami — nadejdzie odpowiedni moment...”

Pierwsze słowa marszałka de Damville brzmiały:

— Alicjo, muszę cię uprzedzić, że słyszałem każde słowo, które tu zostało powiedziane.

To ją zdetonowało. Przewidziała wszystko, tylko nie to. Nie powstrzymała gestu przerażenia. I w tym jej ruchu marszałek zobaczył, jak w szerokim rękawie błysnął sztylet.

Na chwilę jak gdyby się zamyślił. Potem robiąc krok do przodu powiedział spokojnie:

— Muszę także uprzedzić, że noszę na sobie kolczugę, z którą się nie rozstaję; wyszczerbiłby się na niej twój sztylet.

Alicja szybko cofnęła się do drzwi, zamknęła je i opierając się o nie powiedziała:

— Żałuję, że odgadłeś moje zamiary, gdyż zmusza mnie to do odrażającej walki; ryzykuję, że polegnę, ale jestem zmuszona cię zabić.

Przestała ukrywać sztylet, mocno ujęła go dłonią i wbiła w marszałka nieustraszone spojrzenie.

Henryk de Montmorency nie mógł powstrzymać zachwytu. Potem rozejrzał się dookoła i przez ostrożność stanął tak, żeby stół odgradzał go od Alicji.

— Alicjo — odezwał się cicho — wynik walki pomiędzy nami jest przesądzony.

— Wiem — odparła z niewzruszonym spokojem. — Więc zabij mnie. Ty albo ja, jedno z nas musi tu umrzeć.

— Ani ja ciebie nie zabiję, ani ty mnie. Jeżeli mam podnieść na ciebie rękę, żeby sobie utorować drogę, wystarczy, żebym cię rozbroił, a wyjdę nie wyrządzając ci większej krzywdy; przynajmniej taką mam nadzieję. W każdym razie nie ludź się, że cię zabiję.

Alicja zadrżała. Jego słowa wskazywały na to, że zrozumiał jej rozpacz.

— Ale jeżeli zmusisz mnie do gwałtownych czynów oświadczam, że z chwilą przekroczenia progu tego domu będę uważał, że jestem w prawie zrobić taki użytek z podsłuchanych tajemnic, jaki uznam za stosowny.

Alicja stała dygocąc.

— I na odwrót, jeśli dojdziemy do porozumienia, będę uważał, że jestem zobowiązany do puszczenia wszystkiego w niepamięć i ręczę słowem, że będziesz mogła odzyskać pełne bezpieczeństwo. Cóż, jak przyjąłabyś moje słowo, że zapomnę?

Alicja potrząsnęła stanowczo głową:

— Nie wierzę twoim słowom.

Henryk lekko pobladł.

— A gdybym ci dał zastaw? Żywy zastaw? Posłuchaj, porozmawiajmy jak przyjaciele. Wyczuwam w tobie wielką rozpacz spowodowaną miłością. Byłaś moją kochanką. Wtedy widziałem cię zawsze raczej chłodną, niezbyt podatną na sprawę serca. Teraz jesteś odmieniona. Jeśli przybrałaś wobec mnie taką postawę, to znaczy, że kochasz całą duszą, całym ciałem.

Alicjo, przypuszczasz, że zechcę wykorzystać to, co usłyszałem. Otóż oświadczam ci: tobie chodzi nie o uratowanie króla Nawarry ani pana de Coligny, ani Kondeusza, ani... mojego brata. Pragniesz hrabiego de Marillac. Kim jest ten człowiek? Nie wiem. W moich oczach jest po prostu tym, kogo w tej chwili kochasz bardziej niż własne życie, dla kogo chcesz ponieść śmierć.

Patrzyła na niego gorejącym wzrokiem.

— Alicjo, musisz mi odpowiedzieć, bo gdybym przypadkowo mylił się, wszystko, co mógłbym powiedzieć, nie miałoby żadnego znaczenia. Alicjo, czy dobrze cię zrozumiałem?

— Tak. Właśnie tak, kocham. I to tego mężczyznę, o którym mówisz.

— Dobrze. Więc dojdziemy do porozumienia.

Wzruszyła ramionami z wyniosłą obojętnością.

— To konieczne — mówił dalej Henryk. — Nie zapytasz, dlaczego jestem taki cierpliwy, dlaczego staram się rozmawiać ja, który z moim temperamentem powinienem był już dawno wyrzucić cię stąd? Dlaczego jesteś mi potrzebna?

Po raz pierwszy od początku tej rozmowy jakiś ludzki przeblysł pojawił się w uporczywym, pełnym nienawiści spojrzeniu Alicji. Marszałek to podchwycił.

— Zaczynam cię interesować, prawda? Za chwilę twoje zainteresowanie wzrośnie. Na postawione przeze mnie pytania odpowiem sam. Dlaczego okazuję cięcierpliwosc ja, który zawsze okazywałem pogardę dla miłości?

Bo i ja kocham, Alicjo! Bo moja miłość jest tak samo płomienna, tak samo nieokiełznana jak twoja, a moja rozpacz tak głęboka, że mąci mi się w głowie. Bo człowiek, którego ty kochasz, jest ci wzajemny, natomiast kobieta, którą ja kocham, gardzi mną, nie cierpi, nienawidzi mnie!

Marszałek zamilkł, ogarnięty wzruszeniem tak potężnym, tak zaraźliwym, że Alicja zadrżała. Powoli rozplotła ramiona, opuściła je, dłonie zaciśnięte na sztylcie rozluźniły chwyt, broń zsunęła się na posadzkę z głośnym brzękiem.

Gdyby Henryk de Montmorency grał komedię rozpaczy — uśmiechnąłby się z triumfem. Ale był szczery i właśnie ta jego szczerość rozbroiła Alicję.

Z chwilą kiedy zdołała ogarnąć głębię jego miłości i rozpaczy, zrozumiała, że może z Henrykiem pertraktować na równych prawach. Po-deszła do niego z wyciągniętą ręką.

Marszałek de Damville chwycił jej dłoń. Był tak pochłonięty wizją swej miłości, o której z nikim dotąd nie rozmawiał, że wprost zapomniał o celu swej wizyty.

— Usiądź, panie marszałku — powiedziała łagodnie Alicja. — Bądź pewien, że tajemnicę twego bólu ukryję w moim sercu na zawsze.

— Dziękuję, Alicjo — rzekł zdławionym głosem.

Usiedli naprzeciwko siebie i patrzyli jedno na drugie z takim samym wyrazem litości. Wreszcie uspokojony nieco marszałek odezwał się:

— Gdybym nie odkrył twojej tajemnicy, gdybym cię nie widział zdecydowaną na śmierć lub na zabicie mnie, nie mówiłbym ci o zżerającej mnie miłości. Teraz sprawa wygląda tak, że przysługa, o którą zamierzalem cię prosić, staje się gwarancją dla ciebie, tak jak twoja tajemnica staje się gwarancją dla mnie. Wytlumaczę jaśniej. Oto, co zaszło. Porwałem kobietę, którą kocham, i trzymam ją uwięzioną w moim pałacu. Przez tydzień, może nawet krócej, ta kobieta musi mieszkać poza moim domem, ale ja muszę mieć pewność, że mi się nie wymknie. Chciałem cię prosić o przysługę...

— Zrobić ze mnie jej strażniczkę!

— Tak — ostro rzucił marszałek.

Znowu mierzyli się wzrokiem. Pierwszy odezwał się Henryk:

— Posłuchaj, jeżeli wydam twego kochanka, możesz uczynić ze mnie najnieszczęśliwszego człowieka w królestwie, zawiadamiając marszałka

de Montmorency, że Joanna de Piennes przebywa u ciebie, że Joanna de Piennes nie jest winna zbrodni, o jaką ją oskarżyłem.

To druzgocące wyznanie złożone z całą powagą sprawiło na Alicji niesamowite wrażenie. A na myśl, że w tym dramacie on jej przeznaczył ohydną rolę — cała zadygotała.

— Dziwi cię, że kocham żonę mojego brata? Że udało mi się ich rozłączyć? Że jeszcze prześladuję tę kobietę moją namiętnością? Sam dziwię się jeszcze bardziej. A teraz warunki naszego targu: strzeż mi Joanny, bądź strażniczką przezorną, bezlitosną i nieprzekupną... albo...

— Albo co?

— Albo po wyjściu stąd zadenuncjuję twego kochanka Marillaca i posłę go na szafot.

Ponieważ dalej siedziała przerażona, rozedrgana, być może znów rozmyślając o zabójstwie czy o samobójstwie, dodał:

— Trzymamy się wzajemnie w garści. Powierzam ci moją zakładniczkę i jako gwarancję biorę życie twego kochanka. Jeśli się nie zgodzisz — znaczy, że nie kochasz.

Alicja de Lux wstała, uniosła oczy ku niebu, usta jej mełły przekleństwo. Wreszcie wyszeptała:

— O, mój ukochany, mój Deodacie, dla ciebie zesłabym w najgłębszą otchłań hańby!

Marszałek nisko się przed nią skłonił.

— Jutro — powiedział cicho — jutro pod osłoną nocy znów przybędę.

Urządź wszystko tak, żeby zapewnić bezpieczeństwo więźniarkom.

Wyszedł. Alicja zaciskając pięściami oczy zawołała:

— Schodzę na samo dno poniżenia! Któż mnie wydobędzie z tej przepaści?

— Ja — odpowiedział czyjś poważny, stanowczy, groźny a zarazem litościwy głos.

Alicja skoczyła na równe nogi, obróciła się i zobaczyła przed sobą Panigarolę.

— Mnich! — wybełkotała czując, że traci zmysły.

We framudze drzwi, którymi wyszedł marszałek de Damville, stał otulony jak posąg biało-czarnymi fałdami sutanny, z nieruchomą twarzą i lodowatym spojrzeniem mnich Panigarola, pierwszy kochanek Alicji de Lux.

## OJCIEC I SYN

Mniej więcej o tej porze, kiedy Henryk wracał do pałacu Mesmes, a więc tuż przed dziewiątą, jakiś mężczyzna spieszenie szedł ulicą Saint-Denis. Stawiał szybkie kroki i potracił przechodnia, na którego wpadł nie zauważwszy go. Zaklął, wymamrotał parę słów i nie racząc się zatrzymać poszedł dalej.

Stanął na chwilę przed oberżą „Devinieré”, popatrzył na nią z pewnym wzruszeniem, jakby zastanawiał się przez moment, czy nie wejść do środka. Ale pokręcił głową i kontynuował swój marsz mruczając pod nosem:

„Tylko bez nierozważnych ruchów. Jeszcze zdążę go zobaczyć”.

Skręcił w uliczkę prowadzącą w pobliże Temple. W dwie minuty później stuknął kołatką do drzwi pałacu Mesmes. Uchylił się judasz, mignęła w nim podejrzliwa twarz i padło zrzędlive pytanie. Gość odpowiedział:

— Powiedz po prostu panu marszałkowi, że człowiek, którego spotkał w oberży Ponts-de-Cé, przybył i pragnie się z nim widzieć.

Drzwi otwarto natychmiast, ukazał się w nich oficer i zapytał:

— Waszmość przybywasz z Ponts-de-Cé?

— Tak, chociaż wybrałem najdłuższą drogę.

— A więc to Pardaillan?

— Istotnie, mam zaszczyt być panem de Pardaillan. A ty?

— Dobrze już, niech się waść nie gniewa, gotów jestem dać satysfakcję za moją nieuwagę, jeśli cię ona dotknęła.

— Ogromnie dotknęła! Zwłaszcza że twoją twarz bynajmniej nie przypadła mi do gustu.

— Nazywam się Orthès, jestem wicehrabią d'Aspremont. Do usług, kiedy zechcesz, panie de Pardaillan.

— A więc zaraz! Nic mi tak nie ugniata wątroby, jak wystudzona kłótnia.

— Panowie, panowie! — wtrącił się drugi oficer.

Wicehrabia d'Aspremont wzruszył ramionami i odezwał się do Pardaillana, który już dobywał szpady:

— Nie obawiaj się, postaram się, aby kłótnia zbyt nie wystygła. Ale marszałek nie życzy sobie, żeby się tutaj bić. Więc proszę wejść, on



czeka.

Gość wszedł do pałacu, ciężkie drzwi zamknęły się za nim.

— Panie — zwrócił się do niego Orthès — będę miał zaszczyt zaprowadzić cię do przygotowanego pokoju.

Przodem szedł lokaj z pochodnią, za nim Orthès wicehrabia d'Aspremont z Pardaillanem, z którym — według obyczaju — wesoło gawędził, jak gdyby nie uzgodnili, że będą się pojedynkować.

Weszli na drugie piętro i znaleźli się w dużym, pięknym pokoju.

— Jesteście u siebie — oznajmił Orthès. — Podać kolację?

— Dzięki. Zjadłem obfity obiad po przybyciu do Paryża.

— A więc pozostaje mi tylko życzyć dobrej nocy.

— Rzeczywiście, jestem ogromnie senny i mam nadzieję, że będę spał do świtu. Ale proszę mi powiedzieć, czy pana marszałka nie ma w pałacu?

— Istotnie nie ma, ale oczekiwał was dziś lub jutro, toteż zostanie powiadomiony o waszym przybyciu, gdy tylko wróci.

Panowie wymienili ukłony, Orthès wyszedł. Pardaillan usłyszał, jak klucz szczęknął w zamku.

— Ho-ho! — powiedział. — Jestem zamknięty!

Pobiegł do drzwi: były mocne, zamek oparłby się wszelkim próbom wyłamania. Podeszedł do okna. Znajdował się na drugim piętrze, nie sposób skoczyć z tej wysokości nie łamiąc wszystkich gnatów, a to bynajmniej nie uśmiechało się staremu. Wścikłym ruchem rzucił na łóżko swoją czapkę i warknął:

— Potrójny dureń! Dałem się złapać! Na Boga, wszystko staje się teraz przejrzyste: cierpliwość, łaskawość, obietnice i pieniądze Damville'a tam w oberży Ponts-de-Cé! Ach, podły tchórz! Ja zaś, jak głupi szpaczek, wleciałem prosto w sidła. No i jestem w nich. Pan się boi, więc chce, żeby mnie zakatrupili jego lokaje. Na Piłata i Barabasza, jeszcze zobaczymy!

Taka była pierwsza refleksja Pardaillana.

Ale po głębszym namyśle wykrył coś, co go zdetonowało. Przecież marszałek wyraźnie mu powiedział, że spiskuje przeciwko królowi Francji: straszne wyznanie, które może go zaprowadzić na szafot...

— Chyba że — mruknął — ten spisek został wymyślony po to, żebym nabrał zaufania. Jakkolwiek się sprawa przedstawia — jestem gotów!

Chociaż był pewien, że nadejdzie ktoś, żeby go zadźgać, Pardaillan nie oparł się zmęczeniu i zamknął oczy z rozkoszą; po dziesięciu minutach w komnacie rozlegało się donośne chrapanie.

Kiedy się zbudził, było już całkiem widno.

— Coś takiego — powiedział. — Nie jestem trupem!

Zerwał się z łóżka błyskawicznie. Prawie w tej samej chwili drzwi się otworzyły, ukazał się w nich marszałek. Był dość blady i na pewno spędził gorszą noc niż jego więźni.

— Więc przybyłeś w porę, zgodnie z obietnicą...

— Cóż, dostojny panie, robię sobie z tego powodu wyrzuty.

— Dlaczego? Ach tak, bo cię zamknięto. Wybacz ten środek bezpieczeństwa, chciałem ci oszczędzić... niemiłego spotkania.

— Nie rozumiem ani słowa z tego, co do mnie mówisz, dostojny panie...

— To nieważne, że nie rozumiesz. Mam do ciebie dwie prośby, drogi Pardaillanie. Pierwsza — to żebyś pozwolił zamknąć się jeszcze na dziś. Przysięgam, że nie masz się czego obawiać.

Pardaillan się skrzywił.

— No to daj mi waść słowo, że cały dzień nie wyjdiesz z tego pokoju, dopóki ktoś po ciebie nie przybędzie z mojego polecenia.

— To wolę. Masz moje słowo, książę. Ale chciałeś mnie prosić o dwie rzeczy.

— Oto druga: posiadam nieoszacowany skarb, który tutaj nie jest bezpieczny i zamierzam go przenieść... do pewnego domu, gdzie będzie chroniony. Ta operacja ma się odbyć o jedenastej w nocy. Czy mogę liczyć na twoją pomoc?

— Miłoścy panie, odkąd zgodziłem się wstąpić na twoją służbę, jestem zdecydowany stawić wspólnie czoło we wszystkich zagrożeniach. Proszę na mnie liczyć. A nie boisz się, książę, że ten skarb może być zagarnięty w drodze?

— Tak, tego się boję — odparł Henryk ponuro. — Więc oto, co wymyśliłem. O jedenastej powóz wyruszy z pałacu...

— Ze skarbem już w środku?

— Tak, d'Aspremont będzie powoził, ja poprowadzę konia, ty zaś pójdiesz pieszo w tylnej straży z pistoletem w jednej ręce i szpadą w drugiej, gotów strzelać bez pardonu, gdyby ktoś usiłował się zbliżyć...

— Według rozkazu, książę. Tylko jeszcze jedno pytanie: czy ta wyprawa ma jakiś związek z tym... z kampanią, o której mówiliśmy w Ponts-de-Cé? Innymi słowy: czy ten skarb, to kruszec ? ... Czy raczej chodzi o skarb z ciała i kości?

— Co chcesz powiedzieć? — warknął Henryk. — Czyżbyś się już dowiedział?

— Ja? Niczego się nie dowiedziałem — odparł Pardaillan uważnie przyglądając się marszałkowi. — Zastanawiałem się tylko, czy ten skarb nie jest przypadkiem... na przykład... pewną koroną? — dodał zniżając głos.

„On myśli, że chodzi o króla!” — ucieszył się w duchu marszałek i twarz mu się natychmiast rozjaśniła.

— No, bo wtedy — kontynuował Pardaillan — rozumiesz, książę, że podwoiłbym środki ostrożności.

— Posłuchaj mnie, mości Pardaillan. Nie mogę ci powiedzieć, że chodzi istotnie o to... o czym myślisz, ale rób tak, jakbyś rzeczywiście eskortował koronę...

„Dobra — pomyślał Pardaillan — już porwali króla! „ Nagle coś przyszło mu do głowy, więc zapytał:

— Jaśnie panie, czyżbym dlatego został zamknięty zaraz po przybyciu, że obawiano się, bym się nie dowiedział, jaka to osobistość jest więziona w tym pałacu?

— Słusznie.

— Zgoda — oświadczył Pardaillan stanowczo. — Nie ruszę się stąd przez cały dzień i wieczorem będę gotów.

Gdy po jego zapewnieniu marszałek wyszedł, stary wagabunda zaczął rozważać:

„Skoro nie chcą, żebym się dowiedział, kogo tu uwięzili, po co przychodzi i opowiada mi o tym? A skoro teraz już wiem, to po co te środki ostrożności, trzymanie mnie pod kluczem przez cały dzień? Nie, więzieniem nie jest król. Coś się przede mną ukrywa. Coś, o czym nie mam wiedzieć aż do wieczora... ale co — chcę wiedzieć zaraz!”

Pardaillan musiał się najpierw upewnić, że go nie zamknięto. Był wolny, drzwi wychodziły na korytarz, przeszedł nim parę kroków; prowadził on do szerokich monumentalnych schodów wiodących na dziedziniec.

Zawrócił, gdyż był pewien, że tutaj musi się na kogoś natknąć. Poszedł w odwrotnym kierunku i w końcu trafił na drzwi, które otworzył. Wychodziły na wąskie kręcone schody.

Zadowolony z pierwszego odkrycia, powolutku wrócił do pokoju, pomedytował, zagwizdał jakąś piosenkę myśliwych, postukał w szyby okienne, krótko mówiąc — nudził się potężnie.

Koło jedenastej zjawił się lokaj, nakrył do stołu, stawiając na nim obfite śniadanie z dodatkiem karafek o pocieszającym wyglądzie.

Kiedy wagabunda posilał się przy stole z apetytem dwudziestolatka, lokaj znikł i po kilku minutach pojawił się znowu niosąc sakiewkę z pieniędzmi. Wspaniale, mocne i białe zęby obieżyświata obnażyły się w szerokim uśmiechu.

— Ach, ach! A to co? — zapytał.

— To pierwsza gaża pana oficera, którą pan intendent księcia mi wręczył.

„Cóż to za rozpaczliwie grzeczny lokaj” — pomyślał Pardaillan. — powiedz mi, przyjacielu — odezwał się głośno — czy wiesz, co zawiera ten mieszek?

— Tak, mości oficerze: sześćset talarów.

— Sześćset! Miałem dostać tylko pięćset!

— Ale doszły koszty podróży. Tak pan intendent kazał mi wytłumaczyć panu oficerowi.

— Sto talarów na podróż! Dziękuję, przyjacielu. Bądź tak dobry i rozwiąż tę sakiewkę.

— Gotowe, panie oficerze — powiedział lokaj.

— Weź pięć talarów. Tak, teraz schowaj je do swojej kieszeni. Pójdiesz się napić za moje zdrowie.

— Dziękuję, panie oficerze — powiedział lokaj kłaniając się do ziemi.

— Przyrzekam, że jutro przepiję te pieniądze.

— Dlaczego jutro, przyjacielu? Dlaczego nie dzisiaj?

— Bo mam rozkaz być do dyspozycji pana oficera przez cały dzień.

„Tego właśnie chciałem się dowiedzieć” — pomyślał Pardaillan. —

A więc masz...

— Nie opuszczać pana oficera, obsługiwać pana oficera, nie oddalając się.

„Stanowczo to bydlę odznacza się dość kłopotliwą grzecznością — pomyślał wagabunda. — Muszę się zastanowić...” Nagle wykrzyknął: — A mój koń! Mój biedny koń! Przyjacielu, wsadź jeszcze raz rękę do mieszka i wyciągnij znowu pięć talarów.

— Już je mam.

— Zrób mi jeszcze raz grzeczność i idź natychmiast do szynku „Pod Ssącym Cielakiem”, pomiędzy Truanderie a Luwrem. Zapłać rachunek około dziesięciu liwrów, o którym wczoraj zapomniałem; reszta dla ciebie. I przyprowadź mego konia. Ruszaj, przyjacielu!

Lokaj ani drgnął.

— Więc jak?

— Pójdę jutro, panie oficerze. Stajnie jaśnie pana są do dyspozycji pana oficera.

Pardaillan już się rozglądał wokół wypatrując jakiegoś kija, który mógłby połamać na grzbiecie lokaja, kiedy olśniła go pewna myśl. Wybuchnął śmiechem, a ponieważ posiłek dobiegał końca, nalał kielich i podał go swemu strażnikowi.

— Jak się nazywasz, przyjacielu? — zapytał.

— Didier, do usług pana oficera.

— Świetnie! Didier, wypij no śmiało, przecież nie możesz wyjść, żeby ugasić pragnienie...

Lokaj pokręcił głową i odparł:

— Pan intendent zapowiedział, że jeżeli przyjmę szklanekę wina od pana oficera, zostaną wyrzucony, a może spotkać mnie coś jeszcze gorszego.

„Łajdak, nędzny tchórz, zamorduje mnie tą swoją grzecznością” — wściekał się w duchu Pardaillan. — Pójdiesz prosto do rajju!

Mówiąc to wstał i kręcił się po pokoju; lokaj tymczasem sprzątał ze stołu. Pardaillan podszedł do drzwi i zamknął je na klucz. Wrócił do lokaja, położył mu dłoń na ramieniu i rzekł:

— A więc masz mnie nie opuszczać cały dzień? Będziesz tu sterczał, zanudzał mnie nie dając mi zasnąć?

— Nie, panie oficzerze. Mam być w przedpokoju.

— Ale gdybym chciał stąd wyjść, będziesz szedł za mną jak cień?

— Nie, panie oficzerze. Natychmiast pobiegnę zawiadomić pana intendenta.

— Co byś na to powiedział, Didier, gdybym spróbował cię udusić?

— Nic bym nie powiedział, panie oficzerze. Tylko bym krzyczał.

— Krzyczałbyś? O, nie! Nie wiem, czy byś zdążył!

Mówiąc te słowa Pardaillan ściągnął z szyi szalik i zanim nieszczęsny lokaj zdążył pisnąć, owinał mu go wokół szyi i mocno zacisnął.

— Jeśli się ruszysz, jeśli krzykniesz — jesteś trup.

Didier padł na kolana i nie mogąc mówić, złożył ręce w błagalnym geście.

— Dobra! — powiedział Pardaillan. — Teraz nabrałeś rozsądku. Ja zaś uwolniłem się od twoich drażniących „panie oficzerze”. Czy jesteś zdecydowany mnie słuchać?

Biedny lokaj wyrazistą mimiką zaprzysiął posłuszeństwo jak najwierniejsze.

— Doskonale. Teraz z łaski swojej ściągnij z siebie ten szamerowany kaftan z herbami, spodnie z żółtego sukna i czapkę z egretą. Włóżysz moją bluzę i buty, a ja ustroję się w twój bogaty ubiór, który tak godnie nosisz. To moja fantazja. Chcę zobaczyć, jak będę wyglądał jako lokaj pana intendenta jego książęcej mości.

Nie rozluźniając pętli awanturnik pomagał lokajowi rozebrać się, gdyż biedak, cały rozdygotany, nie dałby sobie rady. W parę minut zamiana została dokonana: Didier ubrany jak Pardaillan, Pardaillan

paradujący w zdobnej liberii lokaja.

— A teraz kładź się spać, panie oficerze.

Lokaj posłusznie rzucił się na łóżko. Pardaillan nakrył go z głową, jak to się robi, żeby nie raziło światło dzienne.

— Gdy usłyszysz, że otwierają się drzwi — dodał — zaczniesz chrapać i nie zrobisz najmniejszego ruchu, chyba że chcesz, żebym ci obciął uszy.

Wyszedł z pokoju, stanął w korytarzu.

Panował tam półmrok. Pardaillan po omacku skierował się do małych kręconych schodów, o których już była mowa. Ale nie postąpił jeszcze dwóch kroków, kiedy owe drzwi otwarły się przepuszczając mężczyznę, którego Pardaillan poznał po sylwetce: był to służący, towarzyszył marszałka w oberży Ponts-de-Cé. Wagabunda zrobił natychmiast w tył zwrot i po chwili mężczyzna go dopędził:

— Co robi pan de Pardaillan? — zapytał szeptem.

— Śpi — lakonicznie mruknął Pardaillan.

Służący otworzył drzwi, zobaczył fałszywego Pardaillana na łóżku, zamknął je i powiedział cicho:

— To dobrze, nie ruszaj się stąd. Zawiadom mnie, jak tylko się zbudzi.

Po czym ten, kogo Pardaillan uważał za służącego, ruszył dalej tłumiąc kroki i zszedł paradnymi schodami.

— Uff! — mruknął awanturnik. — Aż się cały spościłem. Ale teraz myślę, że przez godzinę czy dwie zostawią mnie w spokoju. A więc do odkryć!

Wrócił natychmiast na kręcone schody i zaczął schodzić.

— Ciemno jak w kominie — zrzędził.

Przy ostatnim słowie postawił nogę na wąskim podeście pierwszego piętra. Znalazł się przed drzwiami prowadzącymi do apartamentów marszałka.

Pardaillan już miał je minąć i iść dalej, kiedy zza tych drzwi dobiegł go gwar głosów. Natychmiast przywarł uchem do zamka i bardzo wyraźnie usłyszał swoje nazwisko powtórzone parę razy.

Mniej więcej w tym czasie, kiedy Pardaillan kneblował lokaja, powóz bez herbów zatrzymał się przed pałacem Mesmes; wysiadł z niego chyłkiem jakiś mężczyzna i natychmiast wszedł do pałacu.

Był on zapewne ważną osobistością, gdyż wprowadzono go bez zwłoki do gabinetu marszałka de Damville. Gospodarz wstał na jego powitanie i z pewnym wzruszeniem cicho odezwał się:

— Waszmość tu! Co za nieostrożność...

— Nieostrożność byłaby tym większa, gdybym udał się do księcia de Guise czy do Tavannesa. Jednak sprawa jest tak poważna, że musiałem uprzedzić cię, książę, natychmiast. Od wczoraj ja nie żyję, dopiero przed chwilą mogłem wymknąć się z Bastylii nie budząc podejrzeń. Powiem bez ogródek: trzeba jeszcze dziś ostrzec Gwizjusza. Chodzi o życie, i to nas wszystkich...

— Przesadzasz, Guitalens — odparł lekceważąco Damville, a jednak wystraszona mina gościa sprawiła, że lekko pobladł. — Proszę, o co chodzi?

— Czy jesteśmy sami?

— Najzupełniej. Ale dla większej ostrożności proszę za mną.

Marszałek wprowadził Guitalensa do wąskiego pokoju przylegającego do jego gabinetu.

— Tutaj — powiedział. — Teraz dzieli nas od ludzi w pałacu mój gabinet, zbrojownia i przedpokój. Zaś te drzwi wychodzą na sekretne schody. Możesz waść zatem mówić bez obaw.

— No cóż — zaczął Guitalens ciężko opadając na fotel — rzecz w tym, że jesteśmy prawdopodobnie zgubieni. Chodzi po Paryżu pewien człowiek, który zna naszą tajemnicę.

— Człowiek, który zna naszą tajemnicę?

— Niestety, to szczerą prawdą. Asystował przy naszym ostatnim spotkaniu w oberży „Deviniere”

— Kim jest? Jak się nazywa?

— Pardaillan — rzekł Guitalens.

— Pardaillan? — powtórzył zdumiony Henryk. — Wyglądający na pięćdziesiątkę, chociaż ma ponad sześćdziesiąt? Wysoki, chudy, wręcz suchy, wąs siwy, sztywny?

— Ależ nie! Pardaillan, o którym mówię, jest człowiekiem młodym.

— W takim razie to jego syn. Ten syn, o którym mi opowiadał.

— Jego syn? — zapytał Guitalens kompletnie zbity z tropu.

— Tak, już wiem... proszę kontynuować... mówiłeś, waszmość, że ten Pardaillan przeniknął naszą tajemnicę w oberży „Deviniere”; najpierw jedno słowo: czy jesteś pewien, że tylko on sam wie o spisku?

— Tak. Przynajmniej tak sędzę.

— W takim razie możemy być spokojni: znam sposób na ovladnięcie tym Pardaillanem i zmuszenie go do milczenia. Ale jakże się waść o tym dowiedział?

— Bo jako gubernator Bastylii miałem go przez kilka dni w moich rękach; nakazano mi pilnować go jak najściślej...

— Zatem sprawa jest całkiem prosta.

— Jak to?

— Czyżby w Bastylii zabrakło ciemnic?

— Ale on jest na wolności! Musiałem go wypuścić!

Marszałek przez chwilę zastanawiał się, czy Guitalens przypadkiem nie postradał zmysłów

— Uspokój się, drogi Guitalens. Wyłumacz mi nieco dokładniej. Jeżeli ten młodzieniec jest na pewno tym, o kim myślę, zło jest może mniejsze, niż się wydaje.

— Oby niebo cię usłyszało, książę!

Zaczął relacjonować tragicomedie, jaka się rozegrała w Bastylii. Czytelnik już ją zna.

— Co książę na to? — zapytał Guitalens kończąc opowieść.

— Uważam, że to wspaniale i że trzeba za wszelką cenę zwerbować dla nas tego młodzieńca. Biorę to na siebie.

— A więc książę go znasz?

— Nie, ale znam kogoś, kto go zna, i to wystarczy. Uspokój się, drogi Guitalens, zobowiązuję się ostrzec księcia de Guise w razie niebezpieczeństwa... ale do tego nie dojdzie: jeszcze dziś wieczorem albo jutro rano młody Pardaillan będzie w naszych rękach.

— Spokój waszej wysokości przynosi mi ulgę — powiedział Guitalens — zaczynam oddychać; jeśli ten obwieś wpadnie, jak książę mówisz, w nasze ręce, proszę mi go oddać... Bastylia ma jeszcze dobre lochy.

— Bądź waszmość spokojny. Jutro dostarczę ci młodego Pardaillana ze związanymi rękami i nogami, chyba że znajdę dla niego lepsze zastosowanie.

Guitalens poszedł do powozu tak samo ukradkiem, ale nieco spokojniejszy, niż kiedy z niego wysiadał.

W tej akurat chwili stary Pardaillan wrócił do swego pokoju, włożył własne ubranie, zmusił Didiera, żeby szybko wciągnął na grzbiet liberię i oświadczył:

— Albo dostaniesz sto talarów i nie piśniesz słowa o tym, co zaszło, albo sztylet w brzuch, jeśli powiesz komukolwiek: wybieraj.



— Wybieram sto talarów, na Boga! — wykrzyknął Didier, aż nadto szczęśliwy, że wymigał się tak tanim kosztem. Bez żenady wsadził rękę do sakiewki.

— A teraz — rzekł Pardaillan — idź powiadomić pana intendenta, że ja się znudziłem; zrób, jak ci kazał dopiero co w korytarzu.

Pardaillan rozsiadł się w fotelu, wyciągnął nogi i napełnił puchar, stwarzając pozory, że spokojnie popija; czekał na dalszy bieg wypadków.

To, co usłyszał na kręconych schodkach, całkowicie zmieniło tok jego myśli; czytelnik orientuje się, że Pardaillan podsłuchiwał najciekawszą część rozmowy pomiędzy marszałkiem a gubernatorem Bastylli.

Czy Damville miał jakąś osobę do ukrycia, czy jej nie miał — przestało go obchodzić. Jego myśli pochłonęło niebezpieczeństwo, na jakie był narażony jego syn, toteż zastanawiał się nad sposobem ostrzeżenia go możliwie jak najprędzej. Wreszcie doszedł do takiego wniosku:

„Natychmiast muszę wyjść z pałacu i biec do oberży «Deviniere». Jeżeli ktoś stanie mi na przeszkodzie — zabiję! Potem będę się tłumaczył”.

Przypasał szpadę, upewnił się, że dobrze chodzi w pochwie, i miał już opuścić pokój, kiedy w drzwiach ukazał się Damville.

— No jak? — zapytał — Dobrze spał? Jesteś przygotowany na dzisiejszy wieczór, mości Pardaillan?

— Widzę, że waszą księżęcą mość dobrze poinformowano. Do licha! Masz, księżę, sługi, które wszystko widzą i o wszystkim donoszą! Tak czy inaczej, możesz być, panie, spokojny: teraz potrafię czuwać trzy dni i trzy noce.

— Nie żądam aż tyle! O północy wszystko się zakończy.

— I wtedy będę wolny?

— Wolny jak powietrze, wolny by pójść, dokąd zechcesz. Ale, rzecz jasna, ten pokój pozostaje do twojej dyspozycji na cały czas projektowanej kampanii. À propos, czy nie mówiłeś mi waszmość o pewnym młodzieńcu... o twoim synu?

— Tak jest, wasza wysokość. — Pardaillan czujnie nadstawił uszu.

— Czy nie uważasz, że mógłby w razie potrzeby pomóc swoją szpadą?

— On? Marzy tylko o guzach i ranach!

— Więc przyprowadź mi go jutro, nie zwlekając. Gdzie on mieszka?

— W stronie góry Świętej Genowefy.

— Zatem mogę na niego liczyć?

— Jak na mnie samego.

Marszałek wyszedł.

— To zmienia całkowicie sprawę — mruknął stary odpinając szpadę.  
— Skoro liczy na to, że jutro przyprowadzę mu syna, dzisiaj nie podejmie żadnych kroków; zatem o północy, gdy tylko odzyskam swobodę, skoczę do oberży, no i zobaczymy. Na razie nie ma co ryzykować zaczepki. Chwilowo śpijmy!

Tym razem Pardaillan naprawdę rzucił się na łóżko i spał jak kamień aż do kolacji.

O dziesiątej Henryk de Montmorency wydał ostatnie dyspozycje.

Gilles, służący, zaprzędany mu duszą i ciałem, jeden tylko znał kryjówkę, do której miały być przewiezione Joanna de Piennes i jej córka. Został więc wysłany naprzód z rozkazem patrolowania ulicy Hache i pilnowania dostępu do domu o zielonej bramie.

Wicehrabia d'Aspremont miał powozić aż do początku ulicy Hache. Tutaj miał zejść, marszałek zaś, prowadząc konie za uzdę, skierowałby pojazd pod dom. Pardaillan otrzymał polecenie kroczyć w ariergardzie i zatrzymać się dokładnie tam, gdzie d'Aspremont.

W ten sposób tylko marszałek i jego sługa znalazłyby dokładnie miejsce, dokąd zajechałby powóz. Pardaillan nie wiedziałby, kto siedzi w powozie.

O jedenastej Orthès, wicehrabia d'Aspremont, zjawił się u Pardaillana i oświadczył:

— Jestem do usług, panie.

Razem zeszli na pałacowy dziedziniec, gdzie czekał powóz gotowy do jazdy. Zapewne osoby, które miał przewieźć, już się w nim znajdowały, gdyż fartuchy były starannie opuszczone i zasuwki zamknięte na klucz.

D'Aspremont żwawo zajął miejsce forysia, Henryk już z konia wydał ostatnie zalecenie Pardaillanowi.

— Pojedziemy stępą! Trzymaj się waść o dziesięć kroków za pojazdem i jeśli ktoś będzie chciał się zbliżyć, nie wahaj się... zrozumiałeś?

Zamiast odpowiedzi Pardaillan pokazał obnażoną szpadę, którą trzymał pod płaszczem. Ponadto był uzbrojony w pistolet i sztylet.

Na znak dany przez marszałka brama pałacu otwarła się. Henryk wysunął się na czoło, powóz ruszył za nim, Pardaillan z tyłu, badając głębokie ciemności sokolim wzrokiem.

„Jeżeli nas zaatakują — myślał — to na pewno nie w pobliżu pałacu”.

W tym momencie powóz skręcił w jakąś uliczkę. Nagle rozległ się strzał, błysk rozświetlił nocny mrok.

— Naprzód! — ryknął marszałek.

D'Aspremont, do którego mierzono, ale spudłowano, wbił ostrogi w boki cuganta i powóz ruszył galopem.

— Nędznicy! Porywacze kobiet! — wrzasnął czyjś schrypnięty głos.  
— Stać! Stać!

Powóz umykał razem z marszałkiem.

Ledwie przebrzmiał wystrzał, ledwie konie puściły się galopem, ledwie w ciszy nocnej rozległy się te krzyki, a już Pardaillan zauważył jakiś cień biegnący za powozem.

„Nadeszła chwila działania” — pomyślał.

Zerknął na czubek swojej szpady i rzucił się w pogoń za nieznajomym, który gnał jak oszalały chcąc dopędzić marszałka. Ta wściekła gonitwa trwała z dziesięć minut.

Pardaillan dopadł nieznajomego i natarł końcem szpady. Ale ten usłyszał zapewne kroki i w chwili, gdy Pardaillan był przy nim, zręcznie uskoczył, żeby uniknąć potwornego ciosu. Pardaillan skorzystał z tego i zajął miejsce pomiędzy nim a powozem. W ten sposób zagroził mu drogę. Nieznajomy runął do przodu z podniesioną głową. W tym momencie szpady się skrzyżowały.

Po pierwszym zwarciu adwersarze zamilkli, gdyż każdy rozpoznał w przeciwniku szermierza wysokiej klasy. W głębokich ciemnościach ledwo się widzieli.

Tymczasem stary Pardaillan zachowywał się bardzo powściągliwie, gdyż jego celem było po prostu przytrzymać nieznajomego tak długo, żeby nie mógł dogonić powozu, który, sądząc po odgłosie, oddalił się już znacznie. Natomiast nieznajomy pragnął za wszelką cenę jak najszybciej przebić się przez tę przeszkodę.

Dwa czy trzy razy wymacał szpadę przeciwnika, wreszcie naniósł mu cios prosty i silny. Ostrza zwały się z dźwiękiem, przypominającym odgłos rozrywanego jedwabiu. Cios został odparowany!

Nieznajomy rzucił się do przodu z pochyloną głową.

— Na Piłata! — warknął.

— Na Barabasa! — ryknął równocześnie Pardaillan.

Ledwo te okrzyki przebrzmiały, a już obie szpady zgodnym ruchem opadły i dał się słyszeć następny dwugłos:

— Ojcie! — wołał nieznajomy.

— Synu! — wtórował mu stary Pardaillan.

Nastąpiła chwila ciszy, w czasie której Jan, nadstawiając uszu, łowił zanikający tętent, żeby ustalić, w którą stronę skierował się Damville. Ale już nic nie usłyszał!

— Zgubione! — wyszeptał zrozpaczony.

Przez chwilę stary wagabunda szukał w myśli słów, jakimi chciał przemówić do syna. Odczuwał niejasną potrzebę usprawiedliwienia się i instynkt podpowiadał mu, że Jan miał prawo robić mu wyrzuty. Wobec tego przybrał postawę obrażonej godności i podparłszy się pod boki rozpoczął atak:

— Wreszcie odnajduję cię, mój synu, po długiej nieobecności! I jak cię odnajduję? Całkowicie lekceważącego moje rady, które przysięgałeś spełniać i traktować jako rozkazy. Kazałem ci nie ufać mężczyznom, kobietom i sobie samemu. I oto grasz tu rolę błędnego rycerza. To smutna profesja, synu!

— Ojczy — odezwał się Jan tak zmienionym głosem, że stary aż drgnął — twoja interwencja pogrąża mnie w śmiertelnej rozpacz. Jesteśmy w dwóch wrogich obozach.

— Tam do licha! A co stoi na przeszkodzie, żebyś dołączył do nas! Tylko na tym zyskasz. Masz zapewnioną pensję stu tysięcy liwtrów, a może jeszcze i kompanię...

— Zamilcz, ojczy! — zawołał Jan. — Czy nie wyczuwasz, jaki jest powód moich cierpień i jaką przykrość sprawiają mi twoje słowa? Żegnaj, ojczy...

— Opuszczasz mnie?

— Czy nie ty sam, ojczy, zmuszasz mnie do tego? — wykrzyknął z rozpaczą w głosie młodzieniec. — Pomyśl tylko, że tej nocy mogło się stać coś strasznego: dobyteń przeciwko tobie szpady!

Jan cofnął się spieszenie. Stary Pardaillan aż się zachwiał i usiadł na słupku.

— Co to znaczy? — mrucał. — Mój syn mnie opuszcza? Jesteśmy wrogami? Więc co mam robić? Co się stanie z moimi starymi kośćmi? Żyłem... nadzieją, że on sobie utoruje drogę, zostanie jakimś kapitanem siejącym postrach... że w ostatniej chwili zamknie mi oczy... czyja wiem zresztą? Wszystko się zawaliło?

Dwie wielkie łzy stoczyły się po pobrużdżonych policzkach starego i zawisły na siwych wąsach.

Nagle poczuł, jak chwyciły go czyjeś ramiona, i wydał niesamowity, zachrypły okrzyk radości poznawszy syna, który się nad nim pochylał mówiąc:

— Nie, nie mogę cię tak opuścić, ojczy!

— Do króćset diabłów! — zagrzmiał stary Pardaillan. — Więc naj-samprzód daj pyska!

Ojciec i syn uścisnęli się z wielką radością, choć u syna radość była zaprawiona goryczą.

— Niech ci się przyjrzę! — zawołał stary wagabunda. — Ja dobrze widzę, jak kot... Na Boga, jesteś nie ten sam! Silny jak mało kto! Co za klasa! A ta dłoń! Do licha! Nie chciałbym się znowu o nią otrzeć, ja, który znam szermierkę na wylot! A więc przejąłeś moje zakłęcie! Kiedy krzyknąłeś „na Piłata!”, zaraz sobie pomyślałem: to woła moja rodzona krew! Chodźmy do mnie!

— Nie tędy, ojcze. Lepiej chodźmy do mnie...

— A gdzie to jest? Założę się, że w „Deviniere”!

— Oczywiście, ojcze!

— Świetnie! A wiesz, czym jest dla ciebie w tej chwili „Deviniere”? Zbójecką jaskinią, pułapką...

— Więc myślisz, ojcze?

— Myślę, że przede wszystkim musisz uciekać z „Deviniere”. Znam pewnego Guitalensa, który jest wściekły na ciebie i byłby zachwycony, gdyby mógł zapewnić ci lokum w jednej ze swoich ciemnic. Chodź, mówię.

Tym razem Jan pozwolił prowadzić się bez oporu.

W dwadzieścia minut później ojciec i syn wchodzili do karczmy „Pod Bijącym Młotem”, spelunki położonej na końcu Truanderie w zaułku Montorgueil.

Tam, na piętrze, w wąskiej salce, zasiedli do zaimprovizowanej kolacji i stary Pardaillan, w świetnym humorze, poprosił syna:

— A teraz opowiedz mi wszystko! Po kolei, od chwili mego wyjazdu z Paryża! Ale najpierw, dlaczego czatowałeś na ten powóz? Wiedziałeś, że będzie przejeżdżał i o której godzinie?

— Tak, ojcze.

— I kto w nim jest?

— Tak — znowu przytaknął, ale tym razem ponurym głosem.

— No to wiesz więcej ode mnie. Bo ja eskortowałem pojazd nie mając pojęcia, kto w nim jedzie.

— Jak ci wiadomo, ojcze, Grzegorz Landry, właściciel „Deviniere”, cieszy się niezwykłą sławą, jeśli chodzi o pewne smakołyki — zaczął swą relację Jan. — Tego ranka uparłem się, że zobaczę, co się dzieje w pałacu Mesmes. Więc wystroiłem się jak na wojnę i poszedłem. Na ulicy dogoniłem Huguette... ojcze, pamiętasz Huguette?

— Piękną Huguette? Jakżebym mógł zapomnieć!

— Jestem z nią w świetnej komitywie, to poczciwa kobieta, łatwo się wzrusza. Krótko mówiąc, dogoniłem ją i miałem już wyprzedzić, pozdrawiając uśmiechem, kiedy mnie zapytała, czy zechciałbym zrobić jej zaszczyt i towarzyszyć. Przez grzeczność zapytałem, dokąd idzie. A ona, że tak jak co tydzień zanoszą pasztety do pani de Nevers, do młodej księżny de Guise i wreszcie do marszałka de Damville. Wydaje mi się, ojcze, że nigdy w życiu nie byłem tak podniecony.

— Poczciwa Huguette — rozczulił się stary.

— Krótko mówiąc, ku wielkiej radości Huguette powiedziałem, że ją właśnie dogoniłem po to, aby jej dotrzymać towarzystwa. Wstępujemy więc do pałacu Gwizjuszy, potem do pałacu Nevers i wreszcie docieramy do pałacu Mesmes. Za pałacem jest ogród, a w ogrodzie furta. Tędy właśnie wchodzi Huguette, żeby trafić bezpośrednio do pomieszczeń gospodarskich na tyłach pałacu. Jejmość Huguette weszła do ogrodu — ja za nią. „Co robisz, panie?” — zawołała. „Jak widzisz, Huguette, towarzyszę ci do kuchen. Powiesz, że jestem twoim kuzynem, bratem, co zechcesz, ale ja muszę wejść”. „Ależ, panie kawalerze, jeżeli pan intendent się dowie, stracimy zarobek u marszałka” — błagała Huguette. Ale ponieważ ja się nie rozczuliłem, westchnęła i pozwoliła mi iść razem z nią. Weszliśmy do czegoś w rodzaju sieni. Na lewo widać kuchnię, na prawo — czeladną. W głębi drzwi. Huguette idzie na prawo i w chwili, kiedy ma już wejść, mówię do niej, że ja zostanę. Wchodzi więc do czeladnej nieco drżąc z niepokoju, ja sunę prosto do drzwi w głębi, otwieram je i znajduję się w jakimś pomieszczeniu, i zamykam się w nim. Po dziesięciu minutach słyszę, jak Huguette wychodzi. Korzystam z tego, żeby wśliznąć się do czeladnej.

— Hm — mruknął stary. — Niebezpieczna sytuacja, mój synu! Mów prędko, co było dalej?

— A dalej, ojcze, widziałem przez okno, jak jakaś służąca razem z Huguette szukały mnie w ogrodzie; wreszcie Huguette zrezygnowała i poszła. Ale zdążyłem przyjrzeć się służącej, która nazywa się Jeannette, i stwierdzić, że jest bardzo młoda...

— Ach, więc po to przyszedłeś do pałacu Mesmes?

— Tak myślisz, ojcze? W każdym razie zacząłem na Jeannette i kiedy wróciła, zwyczajnie chwyciłem ją w objęcia, a mój pocałunek zduślił okrzyk strachu, jaki zamierzała wydać. A najważniejsze, że w ciągu jakiejś pół godziny Jeannette była przekonana, że oszalałem z miłości do niej; dowiedziałem się także, że ma wyjść za mąż na życzenie pana

intendenta... za jego bratanka, stajennego u marszałka Damville. Że intendent ma na imię Gilles, bratanek zaś — Gillot. Dowiedziałem się, że Jeannette nie kocha tego Gillota i nienawidzi pana Gillesa. Zamierzaliśmy pogrążyć się w najczulszych zwierzeniach, kiedy nagle usłyszeliśmy kroki w sieni. Jeannette otwiera jakąś szafę i wpycha mnie do niej w chwili, kiedy ktoś wchodzi do pokoju.

„Jeannette — odezwał się intendent — czy więźniarki nic ci dziś rano nie mówiły?” Więźniarki! Mało nie zemdlałem w mojej szafie.

W tym miejscu Jan wychylił szklanicę wina i otarł pot z czoła, po czym kontynuował:

„Nie panie intencencie — odparła Jeannette. — Zresztą, tak samo dziś jak i co dzień, te panie są bardzo smutne...”

„Mam nadzieję, że nie pisnęłaś nikomu ani słowa o obecności w pałacu tych obcych kobiet. Nikomu, nawet mojemu bratankowi!” — mówił dalej intendent.

„Och, jegomość tak mi groziłeś, że nie ma obawy, abym o nich opowiadała”.

„Dobrze. Zapamiętaj, że wielmożny pan da ci piękny posag, jeśli będziesz grzeczna i posłuszna. Jutro już ich tu nie będzie. Wielmożny pan je zwalnia. Rozumiesz, Jeannette, to są krewne marszałka! Proponował młodziej dobrą partię, ale panna nie chciała. Zrobił wszystko, co było w jego mocy, żeby ją przekonać, ale ponieważ są okropnie uparte, matka i córka, cóż, zrezygnował. Więc je odsyła... Wszystko to ma pozostać między nami, rozumiesz?”

„Bądź spokojny, panie”.

„Wyjadą już dzisiaj wieczorem, księżę stracił cierpliwość. Do widzenia, Jeannette, jesteś mądrą dziewczyną i wyjdiesz za Gillota”.

— Tak, możesz na to liczyć, stary wariacie — przerwał Pardaillan-ojciec. — Ta Jeannette wygląda mi na szelmutkę zbyt sprytną, żeby wyjść z tego gamonia Gillota. A co, gdybym mu też obciął uszy? Kim były te krewne?

— Dowiesz się zaraz, ojcze — mówił dalej Jan. — Skoro tylko ten diabelski intendent sobie poszedł, wylazłem z szafy.

„Szybko — powiedziała Jeannette — proszę się teraz wynosić. Jeżeli ci się podobam, przyjdź jutro rano”.

„Podobasz mi się, Jeannette, i dlatego zostanę. Czemu chcesz, żebym sobie poszedł?”

„Bo o tej porze mój kawaler przychodzi mnie uwodzić. Błagam, idź już sobie! Gdyby cię zobaczył, zwabiłby swoim krzykiem cały dom”.

„Nie tylko nie pójdę, ale jeszcze mnie zaprowadzisz...”

„Dokąd?”

„Dokąd? Do tych pań, o których mówił intendent”.

„Zwariowałaś!” — zawołała w pierwszej chwili Jeannette. Ale pomału zdołałem ją przekonać i w końcu zgodziła się spełnić moją prośbę. Powiedziała, że nie może zaprowadzić mnie do więźniarek wcześniej niż o ósmej wieczorem. Wietrzyłem podstęp, myślałem, że dziewczyna chce, żebym wrócił wieczorem, ale dodała czerwiniąc się lekko:

„Tymczasem zostaniesz w moim pokoiku, tam cię zaprowadzę i przyniosę coś do jedzenia”.

Podziękowałem, jak umiałem najpiękniej. Kazała mi iść za sobą. Szybko przeszła przez sień, ja za nią. Otworzyła drzwi i weszła do ciemnego, sklepionego korytarza. Idę za nią dalej. Nagle na przeciwległym końcu korytarza ktoś się ukazał...

— Ten przekłety Gilles! — wykrzyknął stary Pardaillan.

— Nie, ojcze, to był Gillot! W korytarzu po lewej stronie zauważyłem wnękę, którą minąłem o dwa czy trzy kroki. W tej wnęcie były drzwi. Jeannette stanęła, przerażona, ja schowałem się za nią i cofnąłem aż do tych drzwi. Jeannette odwróciła głowę i zobaczyła mój manewr. Zaczęła bardzo głośno rozmawiać z Gillotem. Ja tymczasem otworzyłem drzwi i znalazłem się na podeście schodów do piwnicy. Delikatnie je przymknąłem i nasłuchiwałem:

„Dokąd idziesz, Gillot?”

„Najpierw do czeladnej, żeby cię pocałować”.

„A potem?” — pyta dziewczyna.

„Potem? Stryj dał mi polecenie, żebym wyszykował na jedenastą wielką karetę z fartuchami i zaprzął do niej dobre konie. A ponieważ ta landara nie była używana od dłuższego czasu, zejdzie mi się ze dwie godziny, nim ją przygotuję, szedłem więc po butelczynę, zanim się zabiorę do roboty”.

„Ale drzwi są zamknięte!”

„Właśnie je otwarłem, Jeannette”.

„Dobrze, chodź ze mną na trochę do czeladnej, masz jeszcze dużo czasu”.

„U licha, nie!”.

Po tych słowach drzwi się otworzyły i widzę, jak wystraszona Jeannette chowa twarz w dłonie. Ja zacząłem schodzić tyłem. W miarę zstępowania Gillota cofałem się o jeden stopień. Wreszcie znalazłem się na samym dole i płasko przywarłem do muru z nadzieją, że Gillot mnie nie



zauważy i że będę mógł wrócić na górę, kiedy on będzie szukał wina. Ale oto ten bęcwał zapala pochodnię! Zauważył mnie i przez chwilę stał jak wryty. Wreszcie oprzytomniał i miał już wrzasnąć, ale nie zdążył: chwyciłem go za gardło, był najwyższy czas!, gdyż w tym momencie usłyszałem, jak u góry schodów ktoś gdera na niedbalstwo zarządcy piwnic. Był to stryjaszek Gilles zamykający drzwi na klucz. Jeannette zapewne uciekła...

— Do diabła! Do diabła! — mamrotał stary Pardaillan. — Więc zostałeś zamknięty w piwnicy! Zastanawiam się, co teraz zrobisz!

— Ależ, panie ojcze, ponieważ jestem tu z tobą, musiałem jakoś wyjść! Drzwi były porządnie zamknięte, klucz przekreślony trzy razy, a ja trzymałem mego Gillota za gardło, żeby nie pozwolić mu wrzeszczeć. Nagle widzę, jak z bladego robi się czerwony, z czerwonego siny. Więc rozluźniłem uścisk, a ten rzuca mi się do nóg i woła:

„Litości, panie opryszku! Daruj mi życie, a ja cię nie wydam!”

— Wziął cię za opryszka!

— Miał powody, ojcze! Zresztą, wcale go nie wyprowadzałem z błędu, ale dla większego bezpieczeństwa natychmiast go zakneblowałem.

— I mówisz, że to się stało o której?

— Mogła być jakaś jedenasta rano.

— Akurat wtedy, kiedy kneblowałem Didiera!

— Nie rozumiem, ojcze.

— Opowiem ci, ale teraz mów dalej. Doszliśmy do momentu, kiedy kneblowałeś Gillota...

— Tak. Możesz sobie wyobrazić, ojcze, jaki byłem niespokojny. Mijała jedna godzina, druga... Na domiar złego pochodnia się dopala i rzuca ostatnie błyski, po czym gaśnie. No i zostaję w głębokich ciemnościach siedząc na schodku, nasłuchując z niepokojem, czekając z pistoletem w jednej ręce i sztyletem w drugiej, czy któryś z lokajów nie zejdzie przypadkiem po wino i nie utworze mi drogi na zewnątrz. Tak mijają godziny. Nie słyszę najmniejszego szmeru. A pamiętając, co Gillot powiedział pokojowej o karecie, która miała być przygotowana na jedenastą, rozmyślam pełen trwogi, że więźniarki zostaną wywiezione i ja nie dowiem się dokąd, a zatem nie będę mógł nic zrobić, żeby je uwolnić.

— Przyznaję, że twoja sytuacja nie należała do wesołych. Ale w końcu zdołałeś otworzyć drzwi?

— Nie, otworzyła mi Jeannette.

— Kochana dziewczyna!

„Szybko — powiedziała. — Mogłam wziąć klucz na jedną minutę. Uciekaj!”

„Która godzina?” — zapytałem.

„Chwilka po dziesiątej”.

Odetchnąłem. Karetą miała wyruszyć o jedenastej. Ucałowałem Jeannette serdecznie.

„Wrócisz?” — zapytała.

„Oczywiście! Jakżebym mógł o tobie zapomnieć!”

„A Gillot?” — zapytała nagle, przypomniawszy sobie narzeczonego.

„Gillot śpi!”

Wtedy ona pobiegła do piwnicy, a ja — do ogrodu. W paru susach dopadłem furty, ale była zamknięta. Przesadziłem mur. Obszedłem pałac dookoła, lecz widząc, że jest za późno na zawiadomienie zainteresowanych osób, postanowiłem sam czekać na karetę. Po pół godzinie zobaczyłem, jak brama pałacowa się otwiera. Stałem na rogu najbliższej uliczki. Karetą wyjeżdża. Towarzyszy jej jeden jeździec na przedzie. Błyskawicznie ustalam plan: mam strzałem z pistoletu zabić forysia, wysadzić z siodła jeźdźca, zmusić go, żeby ze mną walczył, zabić go lub zranić, następnie przebić drzwiczki karety i uwolnić więźniarki. Strzelam do forysia... Resztę znasz, ojcze.

— Tak, ale prosiłem cię, żebyś mi opowiedział, co robiłeś po moim wyjeździe, a to są tylko dzieje jednego dnia.

— Ojcze! — zawołał Jan. — Ten dzień jest ważniejszy od całej reszty! Skoro za wszelką cenę chciałem się przedostać do pałacu Mesmes, znaczy, że moje życie zależy od życia tych dwóch kobiet! Znaczy, że muszę je uwolnić albo umrzeć! Ale najpierw zadam jedno pytanie i błagam, ojcze, o odpowiedź.

— Mów, moje dziecko.

— Ojcze, eskortowałeś tę karetę, nieprawdaż?

— Tak, Janie, i nawet miałem nakazane zabić każdego, kto się do niej zbliży.

— A więc wiesz, dokąd ta karetą miała jechać?

— Nie, moje dziecko, przysięgam. Wierzysz mi?

— Wierzę — odparł syn szczerze zmartwiony.

— Ale chociaż ja nie umiem ci powiedzieć, dokąd pojechał ten przekłety marszałek, to przynajmniej możesz mi wyjawić, kim są te więźniarki, które się tak tajemniczo wywozi.

— Ojcze, pamiętasz, co mówiłeś w dniu twojego odjazdu? Przypominasz sobie tę panią, której porwałeś dziecko? — Stary Pardaillan

wzdrygnął się. — Otóż ta dziewczyna, to dziecko, to Loiza de Piennes, a raczej Loiza de Montmorency...

— Ty ją kochasz?!

— Tak, kocham, kocham bez najmniejszej nadziei. A jednak chcę ją uwolnić. I ona właśnie jest w tej karecie. Ona i jej matka!

— Ach, teraz rozumiem wszystko! Rozumiem te środki ostrożności zastosowane wczoraj i dzisiaj wobec mnie. Bo gdybym znał prawdę, sam podjąłbym się tego, czego ty się podjąłeś.

— Ale, ojczy, jak to się stało, że trafiłeś na służbę do marszałka? Od kiedy jesteś w jego pałacu?

— Dopiero od wczorajszego wieczoru. I byłem tam strzeżony. Ponieważ marszałek przyrzekł, że od północy będę wolny, miałem zamiar wtedy przyjść do ciebie.

Stary Pardaillan opowiedział synowi o swoim spotkaniu z Damville'em w Ponts-de-Cé i o tym, co z tego wynikło. Z kolei Jan uzupełnił swoją opowieść tym, co mu się przytrafiło po odjeździe ojca.

Postanowili, że stary Pardaillan wróci do pałacu Mesmes i będzie wiernie służył marszałkowi w czasie jego kampanii politycznej. Był to najlepszy sposób, żeby się dowiedzieć, co się stało z Joanną de Piennes i jej córką.

— W najgorszym razie — dodał stary wagabunda — jest ktoś, kto to powinien wiedzieć. Ten, kto powoził, niejaki wicehrabia d'Aspremont. A jego to ja już zmuszę do wyśpiewania prawdy.

— Ja zaś poinformuję marszałka de Montmorency o tym co zaszło. I będę czekał na ciebie, ojczy, w „Devinierze”... i to z wielką niecierpliwością.

— W „Devinierze”, nieszczęsny? Czyżbyś chciał wrócić do Bastylii?

— Prawda, nie pomyślałem o tym...

— Zostaniesz tu. Od dawna jestem w dobrych stosunkach z właścicielką „Bijącego Młota”.

— Dobrze, ale ty pójdziesz, ojczy, po Pipeau, po mojego psa!

— Pójdę, synu!

## XXVI

### W LUWRZE

Kawaler de Pardaillan przespał dwie czy trzy godziny na nędznym sienniku, w nędznej dziurze zwanej komnatą książąt. Około dziewiątej rano był już na nogach.

Udał się prosto do pałacu Montmorency, gdzie zastał marszałka oczekującego go z ponurą niecierpliwością. Cały poprzedni dzień i całą noc Franciszek porządkował swoje mgliste, niekiedy sprzeczne myśli.

Chwilami zgadzał się z młodym Pardaillanem, że w tej sprawie podstęp byłby przydatniejszy niż siła. Niekiedy myśl jego zatrzymywała się z trwożną przyjemnością na fakcie, który wydawał mu się wręcz nierealny: był ojcem siedemnastoletniej córki nie podejrzewając nawet jej istnienia! Wtedy uśmiechał się, ale natychmiast posepniał. Kiedy indziej myślał o jej uroczej matce, o Joannie, odtwarzając jej martyrologię od chwili dramatycznej wizyty w Margency, a wtedy uświadamiał sobie, że nie przestał jej kochać.

Ale zaraz stawał przed nim ciężki problem i chociaż czynił wysiłek, żeby go od siebie odsunąć, problem powracał nieubłagane: wszak poślubił Dianę Francuską!

Kiedy wrócił Jan, księżę nie miał odwagi go pytać, ale jego gorejące spojrzenie było bardzo wymowne... Pardaillan miał przed sobą człowieka cierpiącego. Wyczytał w jego oczach cały niepokój oczekiwania.

— Wasza książęca mość — powiedział — miałem rację: one były w pałacu Mesmes.

— Były? — zawołał marszałek.

— To znaczy, że ich już tam nie ma. Och, księżę, nad tym wszystkim ciąży jakieś niepojęte fatum. Już miałem je uwolnić... ale jeden chybiony strzał... ręka, która zadrżała...

— Toś ty się bił, kawalerze?

— Tak, wasza wysokość, ale mi się nie udało.

— Biłeś się dla mnie! Kawalerze, jestem ci winien już tak wielką wdzięczność, że sam nie wiem, jak mam jeszcze wyrazić moją przyjaźń. A więc — mówił dalej marszałek zaciskając pięści — to mój brat tak się na mnie zawziął. I ten człowiek należy do mojej rodziny, jest mojej krwi! Opowiedz, mości kawalerze, wszystko, co wiesz.

Jan powtórzył dokładnie to, co mówił ojcu. Nie wspomniał jednak o starym Pardaillanie. Ale i tak jego opowieść wzbudziła zachwyty marszałka.

— I tyś się na to zdobył, kawalerze! — wykrzyknął.

— Tak, książę — z prostotą odparł Jan. — Zresztą, zdało się to tylko na to, żeby się upewnić, iż porywaczem jest marszałek Damville. Ale dokąd pojechała kareta — może się niebawem dowiem...

Franciszek chwycił gwałtownie dłoń Jana.

— A ja ci mówię, że muszę wiedzieć niezwłocznie! Czy masz dość odwagi, żeby powtórzyć wszystko, coś mi opowiedział, nawet gdyby ci to groziło niebezpieczeństwem? Nawet w obecności mego brata?

— Jestem gotów — odparł zimno Pardaillan.

— A więc byłbyś gotów iść ze mną do samego króla?

— Nawet w tej chwili.

— Świetnie. W takim razie zaraz udamy się do Luwru. Niechaj król wymierzy karę. A jeśli będzie się uchylał...

— Co wtedy?

— Wtedy — oświadczył marszałek — jeśli zawiedzie mnie sprawiedliwość ludzka, ucieknę się do sprawiedliwości boskiej.

Franciszek pobiegł do swoich apartamentów.

— A niech to licho! — mruczał Pardaillan. — Do króla! To znaczy do królowej Katarzyny! Tej uroczej kobiety, która kazała mnie wtrącić do Bastylii, a teraz niewątpliwie powtórzy swój rozkaz!

Po kwadransie zjawił się marszałek i dał Janowi znak, żeby za nim szedł.

Na dziedzińcu czekała kareta. Marszałek i Jan wsiedli do niej w asyście czterech paziów.

Po drodze nie zamienili ani słowa i tak dojechali do Luwru.

Tego ranka król przyjmował, to znaczy, że Karol IX dopuścił swoich dworzan do „grand lever”, czyli porannej audiencji w sypialni. Młody król był w dobrym humorze, właśnie zaprosił był wszystkich obecnych do zwiedzenia nowego gabinetu urządzonego na parterze pod jego apartamentami.

Była to komnata dość duża, ale wydawała się raczej małą w porównaniu z olbrzymimi salami Luwru; Karol zamierzał umieścić w niej zbiory broni i trofeów. Okno wychodziło na Sekwanę, o siedem do ośmiu stóp powyżej brzegu. W tym miejscu nie było nabrzeża ani portu, Sekwana płynęła swobodnie, kapryśnie, żłobiąc w piasku meandry i zatoczki.

W chwili, kiedy wchodzimy do tego gabinetu, gdzie zgromadziło się jakieś piętnaście osób, król trzyma w ręku arkabuz, który właśnie przyniósł mu jego złotnik-rusznikarz Crucé. Król rzucał zachwycone spojrzenia na roztaczający się przed oknami widok i wrzucił się tak bardzo, że cichutko wyszeptał:

— Mario!

— Sire — zwrócił się do niego Crucé — nowy system tego arkabuza pozwala celować z niezwykłą precyzją.

— Doprawdy? — powiedział król i wyrwany ze swoich marzeń zaczął oglądać broń.

Lokaj stanął o dwa kroki od monarchy.

— O co chodzi? — zapytał Karol IX.

— Sire, przybył pan marszałek de Montmorency i prosi o zaszczyt wprowadzenia go przed oblicze najjaśniejszego pana.

— Montmorency! — zawołał król jakby nie wierząc własnym uszom.

— Pewnie usłyszał o zawieranym wielkim pokoju. Chce zaprzestać dąsów. Niech wejdzie!

Karol IX usiadł natychmiast w dużym, bogato rzeźbionym fotelu z czarnego hebanu. Dworzanie ustawili się po obu jego stronach.

Drzwi otworzyły się szeroko i czterej paziowie marszałka weszli parami, każdy z dłonią na biodrze, i także parami stanęli po obu stronach drzwi wyprostowani; za nimi wszedł marszałek w asyście kawalera de Paradaillan.

Franciszek de Montmorency stanął o trzy kroki przed królem i złożył głęboki ukłon, po czym wyprostował się i czekał, aż król do niego przemówi.

Karol IX przez chwilę przyglądał się w milczeniu szlachetnej twarzy marszałka stojącego w postawie pełnej godności. Jedynie Henryk de Guise wpatrywał się w niego wzrokiem wzdrgającym i nienawistnym.

— Witam, panie marszałku — odezwał się wreszcie Karol IX. — Tak dawno opuściłeś dwór francuski, iż zachodziła obawa, że nie żyjesz. Na szczęście widzę cię przy życiu.

Zaspokoiwszy swoją drobną urazę dobrotliwymi kpinkami, Karol IX dorzucił już poważniejszym tonem:

— Najistotniejsze, żeś tutaj, żeś wreszcie do nas powrócił. Witam raz jeszcze.

— Sire — powiedział Montmorency — przybyłem z błagalną prośbą o udzielenie mi audiencji.

— Już ją masz, książe. Mów.

— Sire, ośmielałem się prosić o zaszczyt audiencji prywatnej.

— Niech będzie i tak.

Ledwo król wymówił te słowa, a już wszyscy dworzanie, w tej liczbie także książę Andegaweński, brat Karola IX, równocześnie złożyli ukłon i wycofali się ku drzwiom.

— Dlaczego ten młodzieniec zostaje? — zapytał król wskazując na Pardaillana.

Jan zwrócił oczy na króla. Wchodząc do gabinetu zatrzymał wzrok przede wszystkim na Quelusie, Maugironie i Maurevercie, uśmiechając się tak, jak to niekiedy umiał, z tą szczególną lodowatą impertynencją. Obaj faworyci księcia Andegaweńskiego oraz Maurevert zapewne poznali go także, gdyż zaczęli mu się przyglądać z wielce bezczelnymi mianami.

Montmorency spiesznie poinformował:

— Sire, ten oto kawaler de Pardaillan jest świadkiem w sprawie, o której pragnę mówić. Upraszam o taki sam zaszczyt dla niego, jak i dla mnie...

Karol IX skinął głową na znak zgody.

— To jeszcze nie wszystko — kontynuował Montmorency. — Skoro widzę, że najjaśniejszy pan jest tak dobrze do mnie usposobiony, ośmielałem się błagać o wydanie rozkazu, aby marszałek de Damville został natychmiast wezwany do Luwru.

— Cóż to? Cała rada rodzinna ma się odbyć w mojej obecności?

— Tak, sire — powiedział Franciszek ze szczególnym naciskiem. — A ponieważ król Francji jest ojcem wszystkich poddanych, słusznym jest, żeby taka rada odbyła się w obecności ojca.

Karol IX wiedział dobrze o nienawiści dzielącej braci, ale nie znał jej przyczyn. Przeczuli, że teraz pozna powody, które obaj marszałkowie trzymali w sekrecie przez długie lata. Uderzył więc srebrnym młoteczkiem, kamerdyner ukazał się natychmiast i król kazał wezwać Cosseinsa, kapitana straży.

— Najjaśniejszy pan raczył zapomnieć, że zwolnił Cosseinsa na trzy dni — powiedział kamerdyner.

— Na Boga, racja! Ale jest kapitan straży królowej matki, niech tu przyjdzie.

Po chwili do gabinetu wszedł kapitan de Nancey.

Aczkolwiek wielka była potęga etykiety, jednak Nancey widząc kawalera de Pardaillan, stanął jak wryty i wytrzeszczył oczy.

Pardaillan udawał, że z ogromną uwagą przygląda się arkabuzowi zawieszonemu na ścianie, ale ponieważ Nancey nadal wpatrywał się w

niego jak zahipnotyzowany, zdecydował się zrobić do niego oko, posłać mu uśmiech i wykonać ręką przyjazny, prawie protekcyjny gest.

— Co się z tobą dzieje, Nancey? — zapytał król marszcząc brew.

— Przepraszam, sire, tysiącrotnie przepraszam — mamrotał kapitan — ale doznałem jakby olśnienia czy oszołomienia...

— Dobrze już. Udaj się natychmiast do pałacu Mesmes i powiedz panu de Damville, że chce go widzieć.

Kapitan zgiął się w ukłonie i wyszedł.

— A teraz, sire — powiedział Franciszek de Montmorency — pragnę powiedzieć, że przyszedłem szukać sprawiedliwości i że przed najjaśniejszym majestatem oskarżę marszałka de Damville o wiarołomstwo, oszustwo i gwałt. Apeluję zaś nie tylko do królewskiej sprawiedliwości, ale także do królewskiego honoru. Straszne wydarzenia, które pragnę wyjawić, muszą pozostać w tajemnicy, sire!

— Panie marszałku — powiedział król — skoro sobie życzysz, będziemy arbitrem w tej sprawie.

— Najjaśniejszy pan jest dla mnie niesłychanie łaskawy. Ale z uwagi na doniosłość oskarżeń, jakie wniosę przeciwko rodzonemu bratu, może lepiej żeby był on obecny, gdy przejdę do szczegółów? Chodzi tu o dwie kobiety...

— Racja, marszałku, racja.

Po tych słowach nastąpiła długa, niezręczna cisza; tak minęło pół godziny. Wreszcie król zażądał:

— Możesz mi, książę, już teraz powiedzieć, kim są te kobiety?

— Tak, sire: dwie skromne robotnice.

— Robotnice? — zawołał zdziwiony król.

— Sire, trudniły się haftem czy tkaniem, żeby zapracować na nędzne utrzymanie.

— A gdzie mieszkały? — zapytał król. — Mnie samego interesował haft herbów i chyba znam pięć czy sześć hafciarek w Paryżu, które dobrze wykonywały te prace.

— Sire, one mieszkały na ulicy Saint-Denis.

— Saint-Denis? — wykrzyknął król. — Naprzeciwko oberży?

— Tak, oberży „Deviniere”, sire.

— Właśnie! — ucieszył się król. — Ja ją znam! To niewątpliwie najzdolniejsza hafciarka herbów i dewiz w Paryżu!

Z pełnym rozczulenia uśmiechem Karol IX przypomniał sobie scenę, kiedy ofiarował Marii Touchet haft wykonany przez kobietę z Saint-Denis z dewizą „Je charme tout”.



Franciszek de Montmorency pobladł ze wzruszenia. I kiedy Karol IX dodał z zadumą, że nazywano ją damą w czerni — z trudem panował nad sobą. Głosem, w którym brzmiała rozpacz, wymówił:

— Dama w czerni. Albowiem zabrano jej siłą nazwisko, majątek i pozycję! Bo pewien potępieniec oraz przestępca wydali na nią wyrok.

Potępieniec — to mój brat. Przestępca — to ja! Dama w czerni to hrabianka Joanna de Piennes i de Margency. I nosiła nazwisko księżnej Montmorency!

Śluchając tego wyznania ze zdziwieniem król coraz bardziej pochmurniał, tracił pewność siebie. O Joannie de Piennes wiedział to, co krążyło w plotkach, że poślubiona potajemnie księciu de Montmorency została odtrącona na skutek zabiegów starego konetabla u Henryka II i nacisków króla w Rzymie. Wiedział ponadto, że jego przyrodnia siostra Diana, która poślubiła Franciszka, zawsze żyła z dala od męża... Król orientował się, że ma przed sobą poważny problem emocjonalny i rodzinny.

Marszałek dostrzegł zmianę w twarzy króla i zrozumiał, co dzieje się w jego duszy.

— Sire! — zawołał — w tej chwili nie chodzi o to, żeby jakieś małżeństwo zostało rozwiązane czy usankcjonowane. Przybyłem tylko po to, żeby się odwołać do królewskiego majestatu... o sprawiedliwość dla dwóch nieszczęśliwych kobiet, które po tylu doznanych niedolach zostały wyrwane z nikłego, ubożuchnego szczęścia, jakim się jeszcze cieszyły!

Przyszedłem, żeby wnieść skargę na porywacza... który jest tu!

Franciszek de Montmorency gwałtownym ruchem wyciągnął zaciśniętą pięść w stronę otwierających się drzwi, którymi wchodził Daville. Nie widzieli się od siedemnastu lat!

— Sire — odezwał się Henryk surowym, dźwięcznym głosem, tuszącym wzruszenie — uczyniłeś mi zaszczyt wzywając mnie, więc stawiam się na rozkazy mojego monarchy.

Kawaler de Pardailan cofnął się, wtulił w kąt, tak że Henryk go nie zauważył.

Co mógł wymyślić Henryk uprzedzony przez Nanceya, żeby nie tylko podważyć oskarżenie brata, ale szybko działać na jego zgubę, posłać do Bastylii, a może na szafot...

Coś prostego i przerażającego.

Tajemnica poznana u Alicji de Lux, sekret, którego przysięgał nie wydać — teraz go wyjaw! Po prostu powie, że król Nawarry, księżę

Kondeusz i Coligny są w Paryżu, że Franciszek de Montmorency z nimi się widział, że spiskowali w celu porwania króla!

— Panie de Damville — zaczął król — wezwałem cię na prośbę brata. Wysłuchaj więc, proszę, tego, co marszałek de Montmorency ma do powiedzenia. Odpowiesz później... Mów, marszałku.

— Sire — zaczął Franciszek — racz zapytać pana de Damville, co zrobił z Joanną de Piennes i z Loizą, jej córką, moją córką...

Zapanowała złowieszcza cisza.

Marszałek dodał:

— A jeśli odpowie w dobrej wierze i złoży zobowiązanie, iż nie będzie więcej prześladował tych szlachetnych, nieszczęsnych istot — daruję mu wszystkie inne sprawy.

— Odpowiadaj, marszałku de Damville — rozkazał król.

Henryk wyprostował się i rzucił Franciszkowi spojrzenie przeszywające, mordercze. Potem rzekł:

— Sire, abym mógł odpowiedzieć godnie, racz, wasza królewska mość, zapytać pana marszałka, czy nie był w pałacu na ulicy Béthisy? Z jakimi osobami się tam spotkał? Co zostało ustalone?

Franciszek zbladł jak płótno.

— Nędzniku! — warknął tak cicho, że król nie dosłyszał.

— Ponieważ marszałek nie odpowiada — ciągnął dalej Henryk — ja za niego odpowiem.

— Chwileczkę, wasza wysokość — rozległ się nagle spokojny głos.

Kawaler de Pardaillan wyszedł przed fotel rozdzielając tym sposobem braci. I nim ktokolwiek nakazał mu milczenie, nim Henryk ocknął się z zaskoczenia na widok nieznanego, Jan ciągnął dalej:

— Sire, proszę wybaczyć, ale wezwany na świadka muszę mówić. Pozwalam sobie oświadczyć panu marszałkowi de Damville, że odpowiedź na jego pytanie w niczym nie może zainteresować najjaśniejszego pana...

— A to dlaczego? — warknął Henryk. — Kim jesteś, że ośmielasz się, niepytany, zabierać głos w obecności króla?

— Kim jestem? To nie ma znaczenia... Znaczenie ma to, że całkowicie bezcelowe jest mówienie o ulicy Béthisy, jeśli najpierw nie powie się o ulicy Saint-Denis... o oberży „Deviniere”... o tylnej salce tej oberży... o zbierających się tam poetach...

Po każdym słowie Pardaillana Henryk de Montmorency pochylał ramiona, jak gdyby te słowa przygniatały go jakimś olbrzymim ciężarem.

— Co to znaczy? — krzyknął Karol IX.

— Po prostu, że pytanie księcia de Damville było zbyteczne i bez związku ze sprawą, dla której zebraliśmy się tutaj.

— Czy to prawda, Damville? — zapytał król. — Czy to prawda, że zadałeś pytanie nieistotne dla sprawy, która was przywiodła przed nasze oblicze, ciebie i twojego brata?

Henryk odparł z westchnieniem:

— To prawda, sire.

Franciszek rzucił Janowi spojrzenie przepełnione wdzięcznością.

Ale teraz już ciekawość króla została rozbudzona... a może podejrzania: Karol zmarszczył brwi, czoło koloru poźółklej kości słoniowej przecięły bruzdy:

— A przecież — powiedział z głuchą złością — miałeś waść jakąś intencję w tym, że je zadałeś. Mówiłeś o ulicy Béthisy... O jaki pałac chodzi? Mów, marszałku!

Król oczywiście miał na myśli pałac Coligny'ego, gdzie zbierali się hugonoci.

Henryk zrozumiał, że od szybkiej reakcji zależy jego życie... Jeśli nie znajdzie natychmiast wytłumaczenia, jego brat jest zgubiony; lecz ten piekielnik, który go przykuwał palącym wzrokiem, zdradzi jego pobyt w „Devinierie!”

— Sire — powiedział — miałem na myśli pałac księżnej de Guise. Tu chodzi o kobietę...

— Ach tak! — uśmiechnął się król.

— Przyznaję, że przykro by mi było mówić o tym, jestem przecież przyjacielem księcia de Guise...

Karol IX serdecznie nienawdził Henryka Gwizjusza, wyczuwał w nim groźnego rywala. Zresztą znalazł zachowanie jego żony, która chwilowo zajęta była hrabią de Saint-Mégrin.

— Dalibóg, rozumiem! — zawołał ze śmiechem. — Ale co to ma wszystko za związek z oberżą „Devinierie?”

Pardaillan rzucił Henrykowi spojrzenie, które mówiło: „tyś nas uratował, więc i ja cię uratuję”. Po czym się odezwał:

— Sire, jeśli raczysz pozwolić, to wyjaśnię: w oberży „Devinierie” zbierają się poeci i dyskutują o poezji... no i damy, wielkie damy także tam bywają, żeby porozmawiać o poezji... ale nieraz zdarza się, że poeta nosi fiołkowy kaftan, płaszcz z fioletowego jedwabiu i buty z kokardami...

Był to portret Saint-Mégrina.

Król znowu się zaśmiał i mruknął przez zęby:

— Dalibóg, chętnie dałbym sto talarów, żeby Gwizjusz mógł to słyszeć!

Kiedy król spoważniał, Franciszek ocierając pot z czoła odezwał się:

— Sire, ośmielam się przypomnieć, że przybyłem tu ufając królewskiej sprawiedliwości, żeby prosić o uwolnienie dwóch nieszczęsnych kobiet, które więzi się wbrew ich woli.

— Tak, to prawda, Montmorency, wyłuszczyć sprawę.

— Sire, jak już mówiłem, Joanna hrabianka de Piennes i jej córka Loiza zostały gwałtem porwane ze swego mieszkania na ulicy Saint-Denis i uwięzione. Powiedziałem też, iż porywaczem jest tu obecny pan de Damville.

— Słyszysz, Damville? — zwrócił się do niego król. — Co ty na to?

— Zaprzeczam, sire. Nie wiem, o czym mowa. Od siedemnastu lat nie widziałem osób, o które chodzi. Zatem to ja powinienem domagać się sprawiedliwości.

— Sire — głos Franciszka odzyskał stanowczość — czymś wprost niesłychanym byłaby moja interwencja u waszej wysokości, gdybym nie miał dowodów na poparcie mojego oskarżenia. Oto jest tu ze mną kawaler de Pardaillan, który spędził cały wczorajszy dzień i część nocy ukryty w pałacu Mesmes. Jeśli najjaśniejszy pan pozwoli, jest on gotów zeznać, co tam widział i słyszał.

— Podejdź bliżej i mów, kawalerze — nakazał król.

Jan zbliżył się o dwa kroki i skłonił z tym swoim nieco sztywnym i wyniosłym wdziękiem.

Damville poczuł, jak go przebiega dreszcz.

— Sire — zaczął Jan — ponieważ jesteśmy przy pytaniach, czy zezwolisz, najjaśniejszy panie, bym zapytał pana de Damville, od czego sobie życzy, abym rozpoczął swoją opowieść?

— Nie rozumiem — odezwał się Damville.

— Bo jeśli pan marszałek chce, to mogę zacząć od końca, to znaczy od tajemniczo wyjeżdżającego powozu; albo od początku, to jest od facecji pańskiego intendenta Gillesa; wreszcie nawet od środka, to jest od pewnej rozmowy o najrozmaitszych sprawach i ludziach, między innymi o waszym słudze kawalerze de Pardaillan; w tej rozmowie brał udział ktoś, kto przybył w tym celu specjalnie z Bastylii.

Słyszając ostatnie słowa świadczące niezbitcie o tym, że Jan znał treść jego rozmowy z Guitalensem, Damville stracił rezon i wymamrotał:

— Zaczynaj waść, od czego zechcesz.

„Zwycięstwo jest nasze!” — pomyślał Pardaillan.

Pewien, że dzięki zamaskowanej pogróżce, którą się posłużył, wydobędzie wszelkie pożądane zeznania, już otwierał usta, żeby zacząć swoją opowieść, kiedy drzwi gabinetu szarpnięto gwałtownie. Słowa uwięzły mu w gardle, utkwiał wzrok w osobie, która właśnie weszła.

— Kto ośmiela się wchodzić nie będąc wzywany? — warknął Karol IX. — Ach, to pani...

Była to Katarzyna Medycejska. Podeszła bliżej zostawiając drzwi otwarte.

„Teraz rozpęta się burza!” — pomyślał Jan.

Królowa matka zbliżała się z tym swoim uśmiezkiem, który nadał jej twarzy wyraz niezwykłego okrucieństwa.

— Madame — zwrócił się do niej król pobladły z gniewu — udzieliłem prywatnej audjencji panu marszałkowi de Montmorency i nikt, nawet ty, pani, nie ma prawa...

— Wiem — ze spokojem odparła Katarzyna. — Ale przyznasz mi rację, sire, kiedy powiem, że jest tutaj wróg królowej, twojej matki, księcia Andegaweńskiego i twój, panie.

Pardaillan zachował spokój.

— Co masz na myśli, madame? — zapytał król podniesionym głosem.

— A to, że znajduje się ktoś, kto wykazał szczególny tupet przybywając do Luwru, po tym, jak znieważył księcia Andegaweńskiego, królewskiego brata, podniósł na niego zbrodniczą rękę, a ze mnie samej szydził...

— Wymień jego imię, madame, do wszystkich diabłów!

— Nazywa się Pardaillan. Oto on!

— Hola! — zawołał król wstając. — Straż! Kapitanie, brać tego człowieka!

Nim skończył, minioni i Maurevet, wyprzedzając straż, wpadli do gabinetu wrzeszcząc:

— Na niego! Brać go! Na szafot!

Jednocześnie dobywali szpad. Pierwszy wybiegł Quélus, za nim Maugiron, Saint-Mégrin i Maurevert. Dalej Nancey ze strażą.

Zarówno Franciszek, jak Henryk byli zdumieni, ale kiedy Franciszek się zastanawiał, jak przemówić za Janem, Henryk szybko pojął, że ten incydent jest jego ratunkiem. Co zaś do Pardaillana, to miał się na baczności od chwili wejścia królowej. W następnym momencie wyrwał Quélusowi szpadę, złamał ją na kolanie i rzucił odłamki w twarz nacierających; wobec takiej potwornej, niesłychanej rebelii w obecności

króla stanęli oni w miejscu, ogłupiali, ale już po chwili runęli wszyscy razem na Jana.

Jednakże ta króciutka chwila wystarczyła, aby Pardaillan podjął i wykonał jeden ze swych szalonych czynów, w jakich jego fantazja tak się lubowała.

Quélus miał na głowie czapkę. Nagle obecni usłyszeli niepokojąco spokojne, pełne gryzącej ironii słowa:

— Ukłoń się królewskiej sprawiedliwości!

Jednocześnie Quélus wydał okrzyk bólu. Pardaillan zerwał mu bowiem z głowy czapkę łamiąc długie złote agrafy, które ją przytrzymawały, i przy okazji wrywając pęk włosów. Czapka padła do stóp Katarzyny.

Po czym Pardaillan rzucił się do tyłu, dał susa na parapet otwartego okna i zawołał:

— Do widzenia, panowie!

Zeskoczył. Zeskoczył w chwili, kiedy Maurevert i Maugiron już dobiegali do okna, żeby go pochwycić.

Zobaczyli, jak dotknął złaczonymi stopami ziemi i kiedy oni wrzeszcząc wyrażali mu pięściami — on z powagą, bez pośpiechu, szerokim gestem uchylił kapelusza i odszedł elastycznym, spokojnym krokiem.

— Arkabuz! Arkabuz! — wrzeszczał Andegaweńczyk.

Pardaillan słyszał, ale się nie odwracał.

Maurevert uchodzący za dobrego strzelca chwycił naładowany arkebuz, wycelował w Jana. Rozległ się strzał. Pardaillan się nie odwrócił.

— To szatan! — warknął Maurevert. — Chybiłem!

Przewoźnicy na Sekwanie ze zdziwieniem patrzyli na Luwr, na pięciu czy sześciu wychylonych z okna mężczyzn, którzy wyrażali komuś pięściami i wykrzykiwali straszliwe pogrózki.

Na parę następnych minut w królewskiej komnacie zapomniano całkowicie o etykiecie, tyle było zamieszania, przy czym każdy wypowiedział swoje zdanie nie licząc się absolutnie ze zdaniem sąsiada.

— Proszę dać mi rozkaz — wrzeszczał Maurevert — a jeszcze dziś wieczorem ten człowiek znajdzie się w rękach sprawiedliwości.

— Masz waszmość rozkaz — powiedziała Katarzyna.

Jednocześnie król wałąc pięścią w poręcz fotela, na którym usiadł, grzmiał:

— Na Boga, niech przeszukają Paryż! Chcę, aby buntownik natychmiast trafił do Bastylii! Panie de Montmorency, gratuluję ludzi, których

mi tu sprowadzasz!

— Pan marszałek zawsze popełniał ten błąd, że nie zwracał dość uwagi na to, z kim przestaje — dodała Katarzyna głosem słodkim jak miód.

Henryk de Damville uśmiechał się z triumfem.

Franciszek czekał, aż burza minie.

— Pan de Montmorency bywa u wrogów króla — wołał wściekły Gwizjusz.

— Uważaj, mości księżę — odparł Franciszek. — Tobie mogę odpowiedzieć, bo nie jesteś ani królową, ani królem. — Po czym dotykając czubkami palców piersi księcia i patrząc mu prosto w oczy dodał: — A przynajmniej jeszcze nie, wbrew chęciom.

Przestraszony Gwizjusz cofnął się.

— Sire — znowu odezwała się Katarzyna — ten kawaler de Pardailan ubliżył mi w okolicznościach, o których opowiem. Ośmielił się podnieść rękę na królewskiego brata.

— To szczerą prawdą — potwierdził księżę Andegaweński z nonszalancją, czesząc grzebykiem rzadką bródkę.

Tymczasem Katarzyna Medycejska ciągnęła dalej:

— Sire, ten człowiek jest niebezpiecznym wrogiem moim i księcia Andegaweńskiego.

— Dość tego — orzekł Karol IX, — chcę, żeby go aresztowano i wszczęto proces. W ten sposób ludzie zobaczą, że ja kocham swoją rodzinę... że kocham ją tak samo, jak ona mnie.

Zadowolony z tego ukrytego przytyku pod adresem matki i brata, król odzyskał dobry humor i dał znak, że pragnie zostać sam. Katarzyna wyszła z księciem Andegaweńskim, król odprowadził ją wzrokiem. Pozostali goście wyszli także. Ale Franciszek de Montmorency nie ruszył się z miejsca, co widząc Henryk de Damville też został.

Król popatrzył na nich ze zdziwieniem.

— Sire — zaczął Franciszek stanowczym tonem. — Najjaśniejszy pan przyrzekł mi oddać sprawiedliwość, więc czekam.

— W końcu to prawda — przyznał Karol IX. — Proszę mówić...

— Ponieważ nie ma już tutaj pana de Pardailan — rzekł marszałek — więc ja powiem, co on widział i co usłyszał... Dzisiejszej nocy około jedenastej karetą opuściła pałac Mesmes, uwożąc potajemnie dwie kobiety. Daremne byłoby zaprzeczenie...

— Wcale nie zaprzeczam — odparł zimno Damville. — A skoro mnie

zmuszono, złożyć pewne wyznanie, jakiego nie złożyłem wobec nikogo na świecie.

Spojrzał z niepokojem w stronę drzwi i zakończył tajemniczo:

— Sire, wielka księżna i jej dama dworu znalazły się w kłopotliwej sytuacji prosiły mnie o gościnę, a potem o odwiezienie ich do pałacu. Czy najjaśniejszy pan żąda imienia tej wysoko postawionej damy?

— Na Boga, nie! — zawołał Karol IX.

Franciszek załamał ręce z rozpaczą, zrozumiał, że nie zdoła przekonać króla.

Źle widziany u dworu w przeciwieństwie do brata, będącego w pełni łask, pozbawiony niezbitych dowodów wobec ucieczki Pardaillana, stracił jedyną szansę.

— A więc widzisz, marszałku, żeś się pomylił — powiedział król. — Idźcie już, panowie. Ale, ale, chwileczkę: widzimy z przykrością, że najszlachetniejszy dom Francji podzielony jest wewnętrznymi waściami.

Spodziewamy się, chcemy, żeby one szybko ustały.

Bracia skłonili się i wyszli: Henryk promienny, Franciszek z wściekłością w sercu.

W sąsiedniej komnacie marszałek de Montmorency położył ciężko dłoń na ramieniu brata.

— Stwierdzam, że operujesz wciąż tą samą bronią! Kłamstwem i kalamniami.

— Mam jeszcze inną w zanadrzu — odparł Henryk.

Franciszek rzucił mu piorunujące spojrzenie i powiedział:

— Posłuchaj. Daję ci czas do namysłu. Ale kiedy przyjadę do pałacu Mesmes — będzie to oznaczało koniec. Jeżeli do tej chwili nie zwrócisz mi tych nieszczęsnych kobiet, które ukradłeś — miej się na baczności. U ciebie, w Luwrze, na ulicy, znajdę cię wszędzie i zabiję! Czekał na mnie!

— Czekam — powiedział Henryk.

## XXVII

### PIERWSZY KOCHANEK

Cofnijmy się o dwa dni i wejdźmy do klasztoru Karmelitów, zajmującego obszerny teren na wzgórzu św. Genowefy. Oprócz tego klasztoru



karmelici mieli jeszcze jeden zakład u podnóża góry, na placu Maubert.

Klasztor na wzgórzu św. Genowefy posiadał różne budynki, klauzurę, kaplicę i rozległe ogrody. Im więcej zakony miały mnichów zebranych, tym były bogatsze. Karmelici mieli ich ponad dziesięciu. Ale tym, czym nie mogły się pochwalić inne zakony, były dwie istoty rzadko spotykane w klasztorach.

Pierwszą było dziecko.

Drugą „obwoływacz zmarłych”.

Dziecko miało cztery czy pięć lat. Był to chłopiec blady, wątpy, o twarzy mizernej, cerze aż żółtawej. Nie lubił bawić się w dużym ogrodzie, unikał towarzystwa mnichów. Nazywano go raz Jakubem, raz Klemensem. Z natury bojaźliwy był ten ponury, mały dzikus.

Jeden tylko mnich znalazł łaskę w oczach dziecka, a był nim brat obwoływacz zmarłych. Gdy tylko przebrzmiał z Notre-Dame sygnał na gaszenie świateł, jego zadaniem było krążyć po ciemnych i cichych ulicach.

W jednej ręce trzymał latarnię oświetlającą drogę, w drugiej dzwonek, którym od czasu do czasu potrząsał. Wtedy rozlegał się jego zawodzący głos:

„Bracia moi, módlcie się za dusze zmarłych!”

Choć funkcja ta należała do najskromniejszych, brata obwoływacza poważano, a nawet się go obawiano. Mówiono, że ten zakonnik przybył do klasztoru opatrzony przez papieża groźnymi pełnomocnictwami. Był zresztą niesłychanie wymownym kaznodzieją, w dodatku dziwnie śmiałym. Ledwo poprosił o funkcję patrolowania ulic i nawoływania mieszczan do modlitwy za swoich zmarłych, a natychmiast ją otrzymał.

Zwracano się do niego przez „wielebny Panigarola”, aczkolwiek nie miał jeszcze prawa do tytułowania się wielebnym. Gdy tylko zapadały ciemności, jeśli nie musiał wygłaszać jakiegoś nocnego kazania, Panigarola narzucał czarny płaszcz, brał do ręki dzwonek i latarnię i zaczynał krążyć po ulicach, wracając często nad ranem, wyczerpany, upadający ze zmęczenia po tym ponurym spacerze. Wtedy zamykał się w swojej celi. Nie rozmawiał z nikim poza opatem i przeorem.

Takim jakim był, Panigarola podobał się małemu Jakubowi. Tylko jemu wolno było zbliżyć się do chłopca, który — gdyby nie on — żyłby w opuszczeniu. Po południu widywano ich razem, jak krążyli po ogrodzie. Mnich mówił do Jakuba „moje dziecko”, ten zaś nazywał go „dobrym przyjacielem”.

Tego dnia około drugiej po południu zakonnik i chłopiec siedzieli na ławce, gdy cała wspólnota śpiewała w kaplicy.

Mnich trzymał na kolanach mszał drukowany dużymi czcionkami po łacinie. Ale zawierał on także parę modlitw w języku nazywanym jesz-cze „prostackim”, a był nim język francuski.

Mały Jakub-Klemens stanął przed mnichem, ten położył palec na jakiejś linijce tekstu. Dziecko niepewnie przeczytało:

— Ojciec nasz, któryś jest w niebie... — kim jest ten ojciec?

— To Bóg, moje dziecko... Pan Bóg, który jest ojcem wszystkich ludzi...

— A więc mamy dwóch ojców? — zapytał Jakub w zamyśleniu.

— Tak, moje dziecko.

— A ty masz ojca, przyjacielu? A brat dzwonnik? A ci dwaj paskudni śpiewacy?

— Z całą pewnością.

— A te dzieci, które czasem przełazą przez mur, żeby narwać owoców, czy każdy z nich ma ojca?

— Ależ tak, moje dziecko...

— No to dlaczego ja nie mam ojca?

Mnich pobladł z przykrości, ogarnęło go rozgoryczenie.

— Kto ci powiedział, że nie masz ojca?

— Przecież sam to widzę. Gdybym miał ojca, byłby tu razem ze mną... Widzę przecież, że kiedy inne dzieci w niedzielę przychodzą do kaplicy... każde ma ojca albo matkę... a ja nie mam ani ojca, ani matki.

Panigarola siedział ponury, zmieszany, szukając w myśli odpowiedzi i nie ważąc się ich sformułować. Dziecko mówiło dalej:

— Prawda, przyjacielu, że ja nie mam ani ojca, ani matki... że jestem sam... zupełnie sam?

— A ja? — zapytał mnich dziwnym głosem, który mógłby przestraszyć każde inne dziecko — kim ja jestem?

Chłopiec przyjrzał mu się uważnie ze zdziwieniem:

— Ty? Ty nie jesteś moim ojcem!

Mnich, na pozór obojętny, poczuł straszliwe wyrzuty sumienia. Przez chwilę walczył z przemożną chęcią porwania w objęcia synka Alicji! Zamknął się w sobie, milczał skupiony, widział oczami duszy budzący przerażenie, ale i zachwyty, promienny obraz kobiety.

Panigarola nagle zerwał się z kamiennej ławki i ponury, skupiony, zamyślony, zapomniawszy o dziecku, poszedł ku schodom wiodącym do jego celi. Tutaj, uspokojony nieco chłodem celi, pogrążył się w rozmyślaniach:

„Jezu Chryste, gdybym przynajmniej wierzył w Ciebie! Gdybym mógł zatopić moją myśl, moją duszę, moje uczucia w tym ciemnym oceanie zwanym Wiarą! Próbowałem wszystkiego — na próżno... nie wierzę... nigdy nie uwierzę...”

Westchnął, jego pięść ciężko spadła na stół.

„Muszę ją znowu zobaczyć. Od tej sceny w konfesjonale moja na nowo rozpalona namiętność nie daje mi spokoju... męczę się, chcę zgnieść swoje ciało niekończącym się przemierzaniem wyciszonego miasta i kiedy wreszcie udaje mi się zasnąć, sen okrutniejszy od rzeczywistości przynosi mi ją i rzuca w moje ramiona... Muszę ją zobaczyć! Ale co jej powiem, szalony? Jak znaleźć tę świętą iskierkę, która by rozpałała jej zepsutą duszę i uczyniła ją tak piękną, jak jej ciało?”

Burza szalejąca w jego sumieniu rozpętała się z jeszcze większą wściekłością. „Co mnie obchodzi jej dusza? Co mnie obchodzi jej zdrada? Że miała kochanków! Alicjo, gdzie jesteś? Pragnę cię, kocham cię, kocham!”

Kiedy wielebny Panigarola pokazał się w refektarzu ze spuszczoneym wzrokiem, ze skrzyżowanymi ramionami, młodzi mnisi zauważyli jego trupią bladeść.

Nastała noc. Panigarola narzucił na ramiona swój czarny płaszcz i kazał sobie otworzyć klasztorną furkę.

Zazwyczaj szedł na chybił trafił, bez ustalonej drogi. Ale tej nocy udał się prosto w kierunku Luwru, uliczkami otaczającymi zamek królewski... Niebawem dotarł na ulicę de la Hache.

Zatrzymał się prawie na wprost domu o zielonej bramie i czekał. Nie po raz pierwszy stał w tym zaciemnionym kącie, często w bezksiężycowe noce po dłuższej wędrówce po Paryżu w końcu trafiał tu niczym nocny ptak.

Tego wieczora ostrożnie położył obok siebie dzwonek i latarnię, którą zgasił zbliżając się do ulicy Hache. W ten sposób miał swobodę ruchów.

Panigarola przyszedł tu z mocnym postanowieniem, aby nie zwleka-  
jąc wejść do domu. Ale kiedy się tu znalazł, kiedy wtulił się w swój ką-  
t, zrozumiał, jak trudną była ta na pozór prosta sprawa: ruszyć kołatką,  
żeby mu otworzono.

Po raz setny podejmował decyzję i po raz setny w chwili, kiedy sobie  
mówił: „no, już” — jeszcze głębiej, jeszcze rozpaczliwiej wciskał się w  
cień.

Gdy tak stał niezdecydowany, zastanawiając się, czy ma przeskoczyć  
przez mur, czy odejść, furta się otworzyła... usłyszał szept... zamarł  
skamieniały, pełen niepokoju. Stało się to, czego się obawiał: usłyszał  
cichutki pocałunek. Miał już podbiec, ale w tym momencie mężczyzna  
szybko odszedł i bramę zatrzaśnięto.

Tym mężczyzną był hrabia de Marillac.

Panigarola przez chwilę mógł śledzić go oczami: była to przelotna,  
natychmiast zatarta wizja.

— Mężczyzna, którego ona kocha — mruknął — odchodzi szczęśliwy,  
promienny, a ja nędznik, ja...

Długo stojąc przykuty do miejsca mnich przeżywał męki zazdrości,  
jak gdyby doświadczył ich po raz pierwszy. Wreszcie po jakiejś dobrej  
godzinie zdecydowanym krokiem podszedł do ogrodzenia. Gdy miał już  
zastukać, brama otworzyła się ponownie. Panigarola ledwo zdążył  
przycisnąć się do muru.

Inny mężczyzna wyszedł i oddalił się szybko; tym razem był to mar-  
szałek de Damville. Zakonnik go nie poznał. A może nie przywiązywał  
większego znaczenia do faktu, że od Alicji wychodzi jeden gość po dru-  
gim? Pchnął furtkę i wszedł do ogródka.

Stara Laura, która wyprowadziła Henryka, nie należała do kobiet  
bojaźliwych. Poznała Panigarolę od pierwszego rzutu oka.

— Cicho! — rozkazał mnich chwytając ją za ramię.

Pewien, że Laura nie zrobi niczego wbrew jego woli, wszedł do do-  
mu, który opuścili jeden po drugim hrabia de Marillac i Henryk de  
Montmorency. Po wyjściu marszałka Alicja, płonąca ze wstydu, padła na  
kolana z okrzykiem: „Kto mnie wydobędzie z tej przepaści!?”

Panigarola usłyszał te słowa pełne rozpacz, pochwycił je chciwie i  
odpowiedział:

— Ja!

Alicja skoczyła na równe nogi zdumiona, przerażona nieoczekiwa-  
nym pojawieniem się mnicha. W jednej chwili poznała markiza de Pa-  
ni-Garola, swego pierwszego kochanka. Pomyślała, że mnich zmienił

zdanie od czasu jej spowiedzi, że ogarnęła go skrucha, a może się nad nią ulitował... że wydarł Katarzynie Medycejskiej ten straszny, oskarżycielski list... że go jej przynosi!

Opanowała wzruszenie, zmusiła się do uśmiechu i powiedziała bardzo łagodnie:

— Ty, Klemensie! Ty tutaj! Słyszałeś moje słowa, zrozumiałeś, jak wielką jest moja rozpacz!

Kiedy tak przemawiała z pokorną słodyczą, Panigarola wszedł do pokoju i zamknąwszy za sobą drzwi słuchał nieruchomy, na pozór zimny, ale w rzeczywistości trawiony ogniem nieokielzanej namiętności. Wreszcie zapytał: .

— Kim jest ten człowiek, który stąd wyszedł?

Nieuchwytny cień triumfu błysnął w oczach Alicji: mnich jest zadowolony, a więc ma go w ręku!

Szybko do niego podeszła:

— Od tego człowieka doznałam najokropniejszego upokorzenia. A przecież wiesz, że życie mi ich nie szczędziło.

— Jak się nazywa?

— Marszałek de Damville.

— Jeden z twoich kochanków? — zapytał z tłumioną wściekłością.

— Klemensie — odparła — bądź wspaniałomyślny... gdyż inaczej nie mogłabym pojąć, dlaczego się znalazłeś pod moim dachem. Chcesz wiedzieć, czego ode mnie żąda marszałek de Damville?

Jakby nie słysząc, co Alicja do niego mówi, wymamrotał:

— Przyszedłem, żeby zaproponować pewien targ.

— Targ? — zapytała teraz już lodowatym tonem. — Mów...

— Powiedziałem „targ?” — bąkał mnich. — Proszę mi wybaczyć, jestem ogromnie zmieszany... Po głowie błakają się słowa, które trudno mi wypowiedzieć... jestem bardzo nieszczęśliwy, Alicjo.

Nagle z mroku jego uczuć wyłoniła się myśl i rozbłysła stając się gwiazdą przewodnią. Pogodnie, z nową nadzieją mówił:

— Alicjo, widziałem nasze dziecko... dzisiaj...

Młoda kobieta zbladła, zadrżała z wrażenia. Szepnęła cichutko:

— Moje dziecko? Gdzie ono jest?

— Powiedziałem już: chowa się w klasztorze.

— Klasztorów Paryż ma niezliczoną ilość, a wszystkie zamknięte jak fortece. Jeśli chcesz poprzestać na tej informacji, znaczy, że przyszedłeś

mnie dręczyć. Tamtego wieczora zadałeś cios tylko kochance i byłeś tylko okrutny, ale dzisiaj uderzasz w matkę i jesteś odrażający.

„Czyżby naprawdę kochała swoje dziecko?” — zapytywał się w duchu mnich odczuwając głęboką radość. I dalej ciągnął wolno:

— Widziałem go dzisiaj, Alicjo. I wiesz, co mi powiedział? Pytał, dlaczego wszystkie dzieci mają ojców, tylko on go nie ma...

Wściekła, a zarazem zazdrosna, podniosła głos:

— A ty wytrzymałeś takie pytanie i nie zawołałeś: moje dziecko, twoim ojcem jestem ja! Och, mnichu, mnichu! Och, markizie de Pani-Garola, myślałam, że nosisz jedynie habit zakonnika, ale widzę, że przejąłeś także i duszę!

— Pytał mnie nie tylko o to — ciągnął dalej mnich z pozorną obojętnością. — Pytał mnie także, dlaczego nie ma matki!

Alicja załamała ręce. Teraz rozumiała albo sądziła, że rozumie. Ten syn — to była zemsta, którą jej pierwszy kochanek chował w zanadrzu!

Dzisiaj opowiadał, że dziecko dopomina się o matkę, opisywał je jako samotne, smutne, biedne i opuszczone... Innym razem będzie jej donosił o łzach, o rozpaczach synka: a może niebawem powie, że mały zamartwia się na śmierć!

— Właśnie to dziecko skłoniło mnie do zastanowienia — nagle wrócił do tematu mnich. — To prawda, Alicjo, że rozważałem okrutną zemstę na tobie... ale zastanowiłem się, czy chcąc cię osiągnąć, mam prawo uderzyć w dziecko. Alicjo, chcesz zobaczyć twego... naszego syna?

— Och, gdybyś to zrobił! Wybacz mi, Klemensie, przed chwilą uniosłam się, byłam surowa... Teraz koniec. Więc pozwoliłbyś mi zobaczyć syna? Klemensie, gdybyś to zrobił, nazwałabym cię świętym, uwielbiałabym cię!

— Wyłożę moją myśl. Tyś się spowiadała przede mną, teraz ja się wypowiadam przed tobą. W tym, co powiem, pewne rzeczy mogą cię zaskoczyć, ale wysłuchaj mnie do końca, a potem osądzisz... Myślę, Alicjo, że nie będzie dla ciebie niczym nowym, jeśli wyznam, że cię nadal kocham.

— Wiem o tym.

— Dobrze. A jednak scena w Saint-Germain l'Auxerrois zasługuje na to, żebym sprecyzował jej sens. Dziesiątki razy walczyłem z obłądną chęcią zaciśnięcia palców na twoim gardle. Gdybym cię zabił, Alicjo, to tylko z miłości. Teraz rozumiesz, że moje gwałtowne czyny były jedynie złagodzonymi przejawami miłości, bo przecież chciałem cię zabić, ale

tego nie uczyniłem. Mogę cię zapewnić, Alicjo, że robiłem wszystko, co może zrobić mężczyzna, żeby zapomnieć o swoim uczuciu. Musiałem cię bardzo kochać, skoro nie zdołałem cię zapomnieć. W końcu nienawiść wybiła się ponad miłość, a ja, biedny wariat, uwierzyłem, że ta miłość umarła. Alicja znowu przytaknęła.

— Walczyłem, Alicjo. Walczyłem zajadle z tą miłością silniejszą od pogardy. Zostałem pokonany i jestem tutaj.

Alicja pojęła, że nadszedł moment, kiedy jej dawny kochanek odkryje prawdziwe zamiary.

— Gdy przed chwilą tu wchodziłem — ciągnął dalej mnich — zobaczyłem, jak bardzo jesteś nieszczęśliwa. Sytuacja jest zatem przeraźliwie jasna: trzy istoty cierpią okrutnie: ja, ty i dziecko.

To nagle przypomnienie sprawiło, że matka zadrżała.

— Ja, który zrozumiałem, że nie mogę żyć bez ciebie; dziecko, które ginie z braku pieczyoty macierzyńskiej; ty, według własnego określenia, staczająca się w otchłań poniżenia. Więc przyszedłem, żeby ci powiedzieć, co następuje: czy chcesz wydostać się z tej otchłani? Chcesz, żeby dziecko żyło? Chcesz, bym ja wreszcie wydobył się z piekielnego kręgu, w którym mnie zamknęłaś?

— Jak? — wyszeptwała Alicja.

— Wyjeżdżając ze mną i z dzieckiem. Jestem bogaty. Tam, w Italii, jestem kimś z uwagi na moje pochodzenie i majątek.

Drżał od rozbudzonych nadziei. Chwycił Alicję za rękę:

— Słuchaj, udamy się, dokąd chcesz. Możemy jeszcze być szczęśliwi. Jestem zdolny przekreślić z miłości całą twoją przeszłość w moim sercu, wzgardę w mojej duszy; będę cię uważał za czystą dziewicę, jaką byłaś ongiś. Daję ci moje nazwisko. Mój majątek należy do ciebie. Ofiaruję ci moje życie. Zgadzasz się, prawda?

— Nie — odparła Alicja.

— Nie?

— Posłuchaj, Klemensie — powiedziała z powagą, ze spokojem wynikającym może z nadmiaru rozpacz. — Zadajesz mi torturę składając propozycje będące marzeniem nie do zrealizowania.

— Dlaczego marzeniem? Dlaczego nie do zrealizowania? Czyżbyś wątpiła w potęgę mojej miłości?

— Nie wątpię w twoją miłość, Klemensie. Wiem, że potrafisz zapomnieć... Ale wśród nas jest ktoś, kto nigdy nie zapomni... To ja!

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że Kocham! — wykrzyknęła. — Kocham do tego stopnia, że mogę stać się łajdaczką, zbrodniarką i że w dniu, kiedy pożegnam mojego ukochanego, pożegnam się także z życiem... umrę z rozpaczy, jeśli przyjdzie mi być z dala od niego...

W oczach miała błysk szaleństwa.

Oszołomiony, ogłupiały z bólu Panigarola zrozumiał, że wszystko skończone.

Machinalnym ruchem, w którym przejawiał się, być może, nawyk takich gestów przy ołtarzu, uniósł ramiona ku niebu, jakby biorąc je za świadka czy błagając. Ale Panigarola nie wierzył...

Ramiona jego opadły powoli. Bez słowa wyszedł, zagłębił się, jakby wsiąkł w noc niczym widmo. Po chwili Alicja usłyszała już w oddali jego dzwonek i głos nawołujący:

— Módlcie się za zmarłych!...

## XXVIII

### OBŁĘŻENIE KARCZMY „POD BIJĄCYM MŁOTEM”

Po interesującej rozmowie, jaką odbył ze swoim synem w karczmie „Pod Bijącym Młotem”, Pardaillan-ojciec odjechał radosny, a zarazem zatroskany. Radość sprawiał mu fakt, że Pardaillan-ojciec znalazł się w stronnictwie Damville'a, zaś Pardaillan-syn — w stronnictwie Montmorency'ch.

„Do czego, u diabła, on się wtrąca? — rozmyślał stary. — Teraz znów kocha małą Loizę, jak gdyby w Paryżu brakowało dziewczyn wartych grzechu. Musi to być akurat ta i żadna inna! Gdyby nie to — wszystko układałoby się wspaniale!”

Stary Pardaillan wzruszył ramionami.

„A jednak nie opuszczę Damville'a i zadbam o szczęście syna, jeśli będzie trzeba to nawet wbrew niemu samemu. Zmuszę go do rozsądniejszego-myślenia. Niczego mu nie brakuje, do licha!”



Świtało, kiedy stary wagabunda przybył do pałacu Mesmes.

— Jaśnie pan oczekuje z niecierpliwością — oznajmił lokaj otwierając drzwi.

Po nocnej wyprawie Henryk spędził resztę nocy na przechadzaniu się i rozmyślaniu; zniknięcie starego Pardaillana wcale go nie trwożyło, wiedział, że potrafi on wydostać się z najgorszych opresji.

— Jaśnie panie — zwrócił się do niego na wstępie Pardaillan — musisz wyznać, że morzy mnie sen.

— Co się stało? — żywo zapytał marszałek. — Zostaliście zaatakowani?

— Ależ tak, a raczej to was zaatakowano, jaśnie panie; w sumie bardzo szczęśliwie, że się tam znalazłem.

— Ale kto mnie zaatakował? Chodziło o mnie czy o karetę?

— Mam wrażenie, że o jedno i drugie.

— I udało ci się zatrzymać tego czy tych, którzy napadli? Mówże waść, do kroćset diabłów!

— Och, widać od razu, że jaśnie pan dobrze spał! A ja byłem przez całą noc w ruchu, proszę zrozumieć! Ale oto, pokrótce, jak sprawa wyglądała: ledwie ujechaliśmy jakieś dwieście kroków od pałacu, gdy padł strzał. Karetą jedzie, ja pędzę i widzę wielkiego draba, który gna co siłą, żeby ciebie, panie, dogonić. Dopędzam go, stoję pomiędzy karetą a nim. „Z drogi” — wrzeszczy drab. „Dobra już, dobra — odpowiadam. Jeśli ci się spieszy, przyjacielu, to spróbuj przejść. Ja się stąd nie ruszam!”

Ten bez słowa wali prosto na mnie. Na rany boskie, co za ciosy! Widząc, że chłop jest w determinacji, w dodatku okropnie silny, serwuję mu parę moich najlepszych pchnięć, ale go nie sięgam. Nagle on odskakuje w bok i umyka mi spod ręki, łajdak. I to nie ze strachu, ale chciał skrócić, żeby dopaść karety...

— I dopadł? — zapytał zaniepokojony marszałek.

— Chwileczkę, wielmożny panie. On znowu puścił się biegiem, ja za nim, i właściwie go dogoniłem, ale niezupełnie, tak że nie mogłem chwycić go w łapy...

— I co, umknął?

— Chwileczkę! Oto mój łotrzyk jest po drugiej stronie rzeki.

Marszałek odetchnął. Pardaillan zauważył, że się uspokoił.

„Dobra nasza — pomyślał. — Więc karetą nie przejechała przez most. Zawsze czegoś się dowiedziałem.” Głośno zaś mówił dalej: — No i zaczął się długi pościg, który się zakończył dopiero nad ranem. Przebiegaliśmy dzielnicę uniwersytecką we wszystkich kierunkach. Wreszcie

przycisnąłem zdobywcę do muru w pobliżu bramy Bordet. Widząc, że mi się nie wymknie, dzielnie odwraca się i mierzy we mnie czubkiem swojej szpady. Na to ja wykonuję moje najpiękniejsze pchnięcie, wielmożny pan wie, to, którego uczyłem was kiedyś. No i przygwoździłem go od pierwszego razu. Nawet żałuję, bo to chwyt nie lada.

— Pardaillan — odezwał się marszałek — oddałeś mi wielką przysługę. A ponieważ nie ma ona nic wspólnego ze służbą, do której cię zaangażowałem, wydam polecenie intendentowi, żeby ci wypłacił sto talarów po sześć liwrów. Idź teraz odpocząć, mój drogi.

— Jedno słowo: czy wasza wysokość zdołałeś dowieźć swój skarb do pewnego portu?

— Oczywiście, dzięki tobie i temu dzielnemu Orthèsowi.

— Ach, panu d'Aspremont?

— Właśnie jemu. To dobry towarzysz, tak jak ty, mości Pardaillan. Postaraj się z nim zaprzyjaźnić.

— Postaram się, jaśnie panie.

Stary wagabunda wrócił do pokoju, gdzie wcześniej zakneblował lokaja Didiera, i w ubraniu rzucił się na łóżko.

Ale zanim zamknął oczy, zapytał Didiera, którego dano mu za służącego.

— Czy jest w pałacu niejaki Gillot?

— Tak, panie oficerze. To pierwszy masztalerz.

— A jest tu także niejaka Jeannette?

— Tak, pokojowa.

— Sprowadź mi tutaj Gillota i Jeannette.

Lokaj, aczkolwiek zdziwiony, pospieszył wypełnić polecenie, gdyż po pałacu rozniosła się wieść, że Pardaillan jest w wielkich łaskach u marszałka. Po dziesięciu minutach młoda dziewczyna o sprytniej, wdzięcznej i figlarnej buzi paryżaneczki weszła do pokoju i dygnęła.

— Ty jesteś Jeannette? — zapytał Pardaillan.

— Tak, panie oficerze.

— Cóż, cieszy mnie, że cię widzę. Weź sobie z kominka te dwa talary i idź. Jesteś dobrą dziewczyną, Jeannette.

Służąca była wystraszona i zdumiona, niemniej przyjęła tak dziwnie otrzymany prezent i wyszła, dygnawszy z uśmiechem.

Po dalszych pięciu minutach zjawił się wielki dryblas o żółtej niesfornej czuprynie i głupawym uśmiechu.

— To ty nazywasz się Gillot? — zapytał Pardaillan.

— Tak, panie oficerze — odpowiedział zaskoczony masztalerz.

— Zatem wiedz, mój przyjacielu, że cię tu zawezwałem, żeby ci powiedzieć, że twoja gęba mi się nie podoba. Co, ciebie to dziwi? — warknął wagabunda. — Jesteś bezczelny!

— Proszę wybaczyć, panie — wybelkotał Gillot, purpurowy — już więcej nie będę.

— No, nareszcie! Tym razem ci wybaczam. Idź i nie zapomnij, że mam ogromną ochotę obciąć ci uszy!

Gillot wybiegł, strach dodał mu skrzydeł; Pardaillan spokojnie zasnął.

Kiedy zbudził się po paru godzinach, dowiedział się od Didiera, że marszałek właśnie pojechał do Luwru: miał zaszczyt być wezwanym przez króla.

Wyskoczył z łóżka i pierwsze, co mu się rzuciło w oczy, to stosik z dwustu talarów, które intendent Gilles złożył na kominku w czasie jego snu.

„W tym domu talary lecą z nieba — pomyślał. — To się staje poważne i zapowiada ciężką kampanię”.

Po czym stary wagabunda doprowadził toaletę do porządku, z nabożeństwem umieścił swoje talary w skórzanym pasie, który nosił na biodrach.

„Czy mam zaczekać na powrót marszałka? — zastanawiał się, kiedy był już całkowicie gotów. — A może lepiej skorzystać z jego nieobecności? Tak, pójdę zobaczyć się z synem”.

Pardaillan ruszył niezwłocznie w stronę gospody „Pod Bijącym Młotem”. Nagle stuknęła się w czoło:

„Zapomniałem, że mam wstąpić do „Deviniere” po pana Pipeau!”

Bez namysłu skręcił w kierunku oberży, tam usiadłszy skromnie w kąciku nie mniej skromnie wybrał stół elegancko nakryty na cztery osoby, ale jeszcze niezajęty.

— Ten stolik jest zarezerwowany, proszę pana — zwróciła mu uwagę młoda służąca.

Pardaillan wydawał się ogromnie zdziwiony jej upomnieniem i pozostał właśnie przy tym stoliku. W parę chwil później zjawił się z majestatyczną miną starszy służący.

Dostojnym reprezentantem autorytetu mistrza Landry był nikt inny jak Lubin, eksmich ulokowany tu dla jakiś tajemniczych celów, o których nie miał najmniejszego pojęcia, ale korzystał z okazji, żeby się jeszcze bardziej utuczyć.

— Powiedziano wam, że stolik jest zarezerwowany! — zaczął Lubin głosem, któremu chciał nadać imponujące brzmienie.

— Dzień dobry, mistrzu Lubin!

— Na litość boską, to pan de Pardaillan!

— We własnej osobie. Widzę, mości Lubin, że witasz z niewczesną surowością przyjaciół swego pana, którzy nie szczczędzając fatygi jadą sto mil, żeby się z nim zobaczyć. Aleś tłusty, mości Lubin! Sadło czyni cię bezczelnym! Znikaj, mnichu, i przyślij mi tu swego pana!

Lubin wymamrotał parę słów przeproszenia. Niebawem po kuchniach „Deviniere” rozeszła się wieść, że wrócił pan de Pardaillan, toteż Landry, grubszy niż kiedykolwiek, o twarzy jeszcze bardziej nalanej, podszedł do starego obieżyświata, który go powitał okrzykiem:

— Ach, drogi mistrzu Landry, nareszcie cię widzę! Czytam radość z twojej twarzy!

— Jest ona całkiem szczerą — odparł Landry z grymasem. — Czy długo będziemy się tobą cieszyć, panie?

— Nie, mistrzu, zabawię tu tylko chwilkę...

— Czy zostałeś waszmość uprzedzony, iż ten stolik jest zarezerwowany?

— Kto tu ma spożywać obiad?

— Pan wicehrabia d'Aspremont — poinformował Landry z dumną miną. — Pan wicehrabia podejmuje dzisiaj trzech znakomych gości, mianowicie panów Crucé, Pezou i Kerviera.

„Popatrz, popatrz” — pomyślał Pardaillan. Po czym oświadczył: — W takim razie zwalniam miejsce. Ale proszę ulokować mnie w pobliżu, może być obok, w tym małym pokoiku...

— Już się robi! — ucieszył się Landry.

Kiedy podszedł, żeby osobiście czuwać nad posiłkiem Pardaillana, ten zatrzymał go za ramię:

— Czy nie jestem ci winien paru nędznych talarów?

— Faktycznie — mruknął nieufnie Landry.

— No to powiesz mi waćpan za chwilę, ile to może wynosić i będziemy kwita — rzekł Pardaillan, lekko uderzając się po pasku, który wydał srebrzysty dźwięk.

Niebawem przyniesiono do pokoiku obfity posiłek i Pardaillan, zamknąwszy oszklone drzwi, zabronił komukolwiek przeszkadzać mu w jedzeniu. Dopuszczony został jedynie Pipeau.

Siedząc w małej salce stary stwierdził trzy rzeczy: po pierwsze, że przez cieniutką zasłonkę na szybkach drzwi widać wszystko, co się dzieje w gospodzie, która zaczęła się opróżniać, po drugie, że jeśli uchyli

leciutko drzwi, może słyszeć wszystko, o czym rozmawia wicehrabia d'Aspremont z trzema gośćmi; wreszcie że pies jest uzbrojony w potężne kły.

Zrobiwszy te spostrzeżenia Pardaillan wygładził zasłonkę, żeby lepiej widzieć, uchylił drzwi, żeby lepiej słyszeć i pogłaskał psa, żeby za skarbić sobie jego łaskę.

W tym momencie, ponieważ sala była prawie pusta, zobaczył przez oszklone drzwi, jak wchodzi trzej goście: na przedzie Orthès, wicehrabia d'Aspremont, którego natychmiast poznał. Wicehrabia niespokojnym spojrzeniem ogarnął salę i zrobił gest niezadowolenia nie widząc tego, kogo szukał. Trzej mężczyźni usiedli przy stole zwolnionym przez Pardaillana i jeden z nich powiedział:

— Coś musiało się stać z Crucé, on nigdy nie sprawia zawodu.

„Wygląda na to, że ci ludzie spotykają się nie po raz pierwszy” — pomyślał Pardaillan.

— Oto on! — odezwał się wicehrabia, który siedział twarzą do drzwi wejściowych i tyłem do małej salki.

Istotnie, wszedł Crucé i zajął miejsce przy stole.

— Przychodzę z Luvru... dlatego się spóźniłem.

— Ach tak — Pezou wybuchnął donośnym śmiechem. — Odwiedzasz biednego królika, chudzinę Karolka!

— Dość tego! — rzucił się Crucé. — Jestem nie tylko jego złotnikiem, ale także sojusznikiem i właśnie sprzedałem mu udoskonalone arkabuzy.

— Co mówi król? — zapytał Orthès.

— Jest całkowicie za pokojem. Chce, żeby sobie dawać buzi. Katolicy z hugonotami, niedowiarki z wiernymi sługami Kościoła mają sobie zaprzysiąc przyjaźń, braterstwo, pomoc i miłość. Król wysłał umyślnego do pana de Coligny! Król napisał do królowej Nawarry! Król chce wydać swoją siostrę za Bearneńczyka! Oto, co mówi król, panowie.

— Dobrze, już dobrze — warknął wicehrabia. — Niebawem każemy mu wyśpiewać inną litanię!

Crucé ciągnął dalej:

— Ale to wszystko nie przeszkodziłoby mi przybyć punktualnie.

Spóźniłem się dlatego, że chciałem zobaczyć zakończenie dziwnej sceny, jaka rozegrała się w Luwrze. Karolek pragnął pogodzić Damville'a z Montmorencym i zmusić wrogich sobie braci, żeby się ucałowali; mówiłem już, że królik jest za pokojem. Ale podobno nasz wielki marszałek nie ustąpił. Tak czy inaczej, obaj bracia zostali u króla,

który kazał wszystkim wyjść ze swego gabinetu. Podśluchiwałem pod drzwiami i dobiegły mnie podniesione głosy, ale i tak niewiele usłyszałem; wkrótce nadeszła Katarzyna, wielka królowa, przez antyszabnę weszła do króla zostawiając drzwi otwarte. Podsunęliśmy się wszyscy bliżej: Andegaweńczyk, Gwizjusz, Maugiron, Quélus, Maurevert, Saint-Mégrin, a także Nancey ze strażą, których przyprowadziła królowa. Król się obruszył. Królowa nie dała zamknąć sobie ust, palcem wskazała na młodego człowieka, którego przyprowadził Montmorency, i oskarżyła go o zdradę, obrazę majestatu i gwałt na Andegaweńczyku. Król zbladł, a raczej zżółkł, i wydał rozkaz aresztowania Pardaillana.

— Jak to Pardaillana? — zawołał d'Aspremont.

Stary wagabunda zadrżał w sąsiedniej salce.

— Ależ tak! — kontynuował Crucé. — Tak się nazywa ten młodzieniec.

— Przecież Pardaillan jest stary, aczkolwiek jeszcze żwawy. Znam go, mamy się bić!

— Młody, wicehrabio, całkiem młody. Tak, Montmorency ma dzielnych towarzyszy!

— Ależ nie, on nie był z Montmorencym. Był z Damville'em. Niedokładnie widziałeś, niedokładnie zrozumiałeś!

— Wręcz odwrotnie, znakomicie widziałem. Ale to, co mówisz, panie, świadczy o tym, że są dwaj Pardaillanowie. Znasz, wicehrabio, swego, ja znam mojego, i to nie od dziś. Wszak to właśnie przez niego nie udał się zamach na Drewnianym Moście... Ale niech skończę. Kiedy król rozkazał zatrzymać Pardaillana, rzuciliśmy się wszyscy z Quélusem na czele. Lecz ten szaleniec złamał szpadę Quélusa, zerwał mu czapkę z głowy, jeszcze w tym tłumie naurągał nam, wreszcie wyskoczył przez okno i znikł. Maurevert strzelił, ale spudłował... Natychmiast minioni z jednej strony, Nancey ze strażą z drugiej wybiegli na poszukiwanie młodego łotra, żeby go aresztować, gdziekolwiek go znajdą, a ja ręczę...

Crucé doszedł w swojej relacji do tego miejsca, kiedy nagle drzwi przyległej salki otworzyły się gwałtownie i czterej przestraszeni biesiadnicy zobaczyli przed sobą starego Pardaillana, nieco pobladłego, który oświadczył grzecznie z uśmiechem:

— Panowie pozwolą, że przejdę. Bardzo mi się spieszy... Rzeczywiście stół zagradzał drogę.

— Pan de Pardaillan! — krzyknął Orthès d'Aspremont.

— Zrobić przejście, przecież powiedziałem, że mi się spieszy!

Wypowiadając te słowa Pardaillan silnie popchnął stół; karafki się przewróciły, półmiski zderzyły. Jednocześnie błady z wściekłości d'Aspremont zerwał się, dobył szpady i wrzasnął:

— Do licha, chociaż ci się spieszy, odpowiesz mi za tę zniewagę!

— Uwważaj, panie, moja szpada bywa złośliwa, kiedy ja się spieszę! Wierzaj mi, lepiej odłóżmy to na później.

— W tej chwili! Natychmiast — wydzierał się wicehrabia.

— Nie jesteś uprzejmy, panie Orthès, wicehrabio d'Aspremont! Więc dobrze. Ale będziesz tego żałował — dodał stary przez zaciśnięte zęby syczącym głosem.

Ledwie stanęli w postawie, d'Aspremont wściekłym pchnięciem zranił Pardaillana w rękę. Trysnęła krew. Pardaillan natychmiast poczuł, że palce mu sztywnieją, dłoń staje się ciężka, że za chwilę szpada wypadnie mu z prawej dłoni... Chwytał ją w lewą i runął na przeciwnika serią ciosów tak silnych, a zarazem systematycznych, że po paru chwilach d'Aspremont został przyparty do ściany, przewróciwszy uprzednio parę stolików.

Stało się to tak raptownie, że świadkowie sceny zdołali zauważyć tylko serię błysków i usłyszeć odgłosy starć. Ostatni błysk, ostatnie starcie i d'Aspremont upadł, a z przebitego ramienia trysnął strumień krwi.

Pardaillan bez słowa schował szpadę do pochwy, wyskoczył z oberży, przedarł się przez tłum i pobiął pędem.

W pośpiechu zapomniał o psie, którego miał przyprowadzić synowi. Ale chyba Pipeau poczuł do niego instynktowną sympatię, gdyż Pardaillan odwróciwszy się przypadkiem zobaczył go, jak biegnie za nim.

W ciągu kwadransa stary dotarł „Pod Bijący Młot”.

— Catho! Catho! — wrzasnął na całe gardło wpadając do karczmy.

Usłyszawszy te krzyki Catho zbiegła po drewnianych schodach także wrzeszcząc:

— Idę, już idę! Chcesz się napić miodu?

— Mój syn! Ten młody, którego ci powierzyłem...

— Co? — zapytała Catho.

— Co się z nim dzieje? Gdzie jest?

— Spał jak suseł, potem wyszedł i jeszcze nie wrócił.

Stary wagabunda aż kipiał z niecierpliwości, ale zorientował się, że Catho nie może mu udzielić żadnych informacji.

— Daj no mi lampkę wina z przyprawami i coś na osuszenie tego draśnięcia.

Niebawem Catho postawiła przed Pardaillanem wino, palony cukier, ambre, cynamon, gałkę muszkatołową i migdały. Następnie przyniosła gorące wino z oliwą i ziołami do opatrzenia prawej ręki; rana była powierzchowna, co stwierdził Pardaillan poruszając palcami.

Zimne wino, palony cukier, ambra, cynamon, gałka i migdały stanowiły składniki napoju, który stary przyrządzał sobie sam. Przy tym zajęciu nie spuszczał oczu z drzwi i mamrotał pod nosem:

— Spotka go nieszczęście! Po co, u licha, wtrąca się do nie swoich spraw? Po kiego diabła plątał się po Luwrze?

Pardaillan właśnie skończył przyrządzanie tego skomplikowanego napoju i zaczął degustację, kiedy Pipeau z radosnym szczekaniem rzucił się na ulicę. W chwilę potem wpadł kawaler de Pardaillan, a widząc ojca wykrzyknął:

— Alarm! Alarm! Jestem ścigany!

Opuściwszy Luwr sposobem, jaki poznaliśmy, kawaler de Pardaillan trochę kluczył, ale kiedy stwierdził, że nikt go nie ściga — poszedł w kierunku pałacu Montmorency i niebawem tam dotarł.

W pół godziny po nim wrócił marszałek i uściskawszy Jana serdecznie powiedział:

— Drogie dziecko, twoja przytomność umysłu uratowała życie i mnie, i zapewne innym osobom...

— Wasza miłość, nie wiem, o czym mówisz. Już zapomniałem — dodał z uśmiechem — że w Paryżu istnieje jakaś ulica Béthisy.

— Równie wspaniałomyślny jak dzielny. Ale dlaczego królowa Katarzyna wysunęła to oskarżenie?

— Królowa jest na mnie wściekła, gdyż nie chciałem dobyć szpady przeciwko pewnemu szlachcicowi, który mi robi zaszczyt nazywania mnie swoim przyjacielem. Wasza wysokość go znasz, to hrabia de Marillac... Co zaś do księcia Andegaweńskiego, to prawda, że go trochę sponiewierałem pewnego wieczoru, kiedy kręcił się w pobliżu okien dwóch pań, które wtedy mieszkały na ulicy Saint-Denis.

Marszałek zbladł.

— Myślisz zatem, że królewski brat...

— Już mówiłem waszej wysokości, że to jest pierwszy ślad dla odnalezienia szlachetnych dam, których poszukujemy.



Franciszek de Montmorency oparł czoło na dłoni zastanawiając się nad drogą wskazaną przez Jana.

— Nie — potrząsnął wreszcie głową. — To nie może być Andegawńczyk... Tylko mój brat mógł wymyślić i wykonać podobną podłość. To on musi mi za to odpowiedzieć. — Wyciągnął dłoń do Jana. — Więc po to, by ich bronić, naraziłeś się na gniew wpływowych osobistości?

— Jaśnie panie, mówiłem już, że musiałem naprawić krzywdę wyrządzoną ongiś przez mego ojca.

— I pewnie teraz opuścisz Paryż?

— Ja? — zdumiał się Jan.

— Pomyśl tylko, że jeżeli cię znajdą — jesteś zgubiony.

— Liczę tylko na siebie. Nie opuszczę miasta, wasza wysokość — na twarzy Jana błysnął wyraz dumy i zuchwalstwa. — A czy mógłbym zapytać, jaki był wynik spotkania z marszałkiem de Damville?

— Mój brat zaprzecza — ponuro odparł Franciszek.

— Zaprzecza! Ale ja słyszałem i widziałem...

— Po twoim odejściu znalazł się w korzystnej sytuacji, żeby zaprzeczać.

— Teraz już nie chodzi o to. Teraz trzeba znaleźć sposób, żeby zmusić nieprzyjaciela do kapitulacji... Czy podjąłeś jakąś decyzję, książę?

— Tak, młody przyjacielu: udania się do pałacu Mesmes. Dałem memu bratu trzy dni do ostatecznego namysłu, po czym albo ja go zabiję, albo on mnie.

Ton, jakim wypowiedział te słowa, przekonał Jana, że nic nie zdoła odwieść marszałka od powziętego postanowienia. Franciszek de Montmorency zmienił temat:

— Kawalerze, porozmawiajmy o tobie. Jesteś moim gościem aż do chwili, kiedy wyjście z pałacu nie będzie stanowić niebezpieczeństwa.

— Wasza wysokość wybaczy, ale już przyjąłem zaproszenie pewnej bardzo mi drogiej osoby.

Marszałek pomyślał, że chodzi o jakąś dziewczynę, która udzieli Janowi schronienia, więc nie nalegał. Zapytał tylko:

— Jak mam dać znać, jeśli będziesz mi potrzebny, kawalerze?

— Wasza wysokość, będę tu przychodził codziennie albo przyślę osobę zaufaną. Ale gdyby sprawy się skomplikowały, można mnie znaleźć w oberży „Pod Bijącym Młotem”.

Jan pożegnał się z marszałkiem, który go serdecznie uściskał.

Przez ulicę szedł tym swoim miarowym i dumnym krokiem. Uważał,

że gdyby go tropiono, najlepszym sposobem zwrócenia na siebie uwagi i wyładowania w areszcie byłoby puścić się biegiem.

Niemniej jednak rozglądał się uważnie, ale nie widząc niczego podejrzanego na spokojnych ulicach — pomалу zaczął się pogrążyć w marzeniach. Nieszczęście polega na tym, że jeśli ktoś się rozmarzy — przestaje widzieć, co się dzieje wokół. Pardaillan nie zauważył Maureverta, na którego mało nie wpadł. Wydarzyło się to na rogu jakiejś uliczki w pobliżu Luwru.

Jan nic nie widząc dalej szedł „Pod Bijący Młot”, drogą, która w marzeniach wiodła go do stóp Loizy. Ale Maurevert, który w tym momencie nie miał najmniejszego powodu do marzeń, widział go doskonale. Podskoczył z radości i ukrył się w ciemnym sklepiku handlarza starzyzną. Kiedy Pardaillan przeszedł, Maurevert wypadł ze sklepiku i przywołał strażnika, który po skończonej służbie zażywał spaceru. Powiedział mu dwa słowa i strażnik puścił się biegiem. W tym momencie nadciągnęli Quélus i Maugiron, z którymi Maurevert był umówiony. Poinformował ich, kogo spotkał, i rzucił się w pogoń za Pardaillanem.

Wszystko to oczywiście uszło uwadze Jana.

W chwili, kiedy wchodził w ulicę Montorgueil, gdzie mieścił się szynk „Pod Bijącym Młotem”, nagle usłyszał za sobą tupot wielu szybko biegnących nóg. Gdy się odwrócił, zobaczył gromadę złożoną z jakichś dziesięciu strażników z Quélusem i Maugironem na czele; wyprzedzał ich nieznacznie Maurevert.

Pardaillan wydłużył krok.

— Stój! Stój! — wrzasnął Maurevert.

— W imieniu króla! — wołał sierżant.

Jan wziął do ręki sztylet i poszedł szybciej. Miał zamiar nie zatrzymując się minąć szynk i zniknąć w uliczkach tworzących istny labirynt pomiędzy nowym kościołem św. Eustachego a placem Grève. Ale w tym momencie z drugiego końca ulicy Montorgueil wyłonił się patrol.

Pardaillan poczuł się w pułapce! Lekki pot wystąpił mu u nasady włosów. Kiedy się wahał, czy próbować uderzyć na wroga z przodu, jakiś pies rzucił mu się pod nogi.

— Pipeau! — ucieszył się Jan. — Znaczy, że mój ojciec tu jest! Wpadł do oberży z krzykiem:

— Alarm! Alarm! Jestem ścigany!

Stary Pardaillan skoczył do drzwi. Jeden rzut oka wystarczył, aby zorientować się w powadze sytuacji. Natychmiast zamknął drzwi na zasuwę. W tejsze sekundzie rozległo się walenie i wrzaski:

- Otwierać!
- Zabarykadujemy się! — rzucił stary.

Wewnątrz szynku powstała barykada ze stołów i stołków. Na zewnątrz walenie przybierało na sile.

— Mamy go! — wydierał się głos, w którym Jan rozpoznał Mauververta.

- Catho! Catho! — zawołał stary.

Gruba Catho asystowała bez zbyteńnego przejęcia całemu zajściu. Trzeba przyznać, że jeśli coś ją trochę wzruszyło, to myśl, że taki dzielny i urodziwy młody człowiek zostanie uprowadzony przez ludzi króla.

- Jestem tu, panie — odezwała się.
- Jedno słowo. Jedno jedyne. Jesteś z nami czy przeciw nam?
- Z wami, panie — odezwała się spokojnie Catho.
- Dobra z ciebie dziewczyna, Catho. Ja ci się odwdzięczę.

Stary Pardaillan szepnął na ucho synowi: — Gdyby opowiedziała się przeciwko nam — zabiłbym ją. — A głośno zapytał:

- Co to było, synu?
- Opowiem wszystkim, ojczu. To dość długa historia.

Pardaillan-ojciec zarządził:

- Catho! Wina! Opowiadaj, synu, mamy czas.

I kiedy od głuchych uderzeń drgały drzwi, kiedy wewnątrz oberży rozlegało się wściekle ujadanie Pipeau, na zewnątrz zaś wrzaski sierżanta, Jan w krótkich słowach, spokojnie i systematycznie relacjonował wydarzenia w Luwrze.

Pod silnym ciosem drzwi pękły od góry do dołu.

- Catho! — zawołał wagabunda.
- Jestem tu!
- Masz oliwę, prawda, moje dziecko?
- Bardzo dobrą, z orzechów.
- Świetnie. Czy na górze jest kominek?
- Tak, proszę pana.

— Catho, jesteś dobrą dziewczyną. Wejdz na górę i rozpal duży ogień, słyszysz, taki, żeby można było upiec prosiaka albo przypiec mnicha...

Gruba Catho chwyciła drwa i popędziła na górę.

- Teraz my! — rozkazał Pardaillan-ojciec.

Obaj pognali do piwnic. Po kilku minutach dostarczyli na górę trzy dzbany oliwy oraz cały zapas chleba znajdujący się w oberży, pięćdziesiąt butelek, lewarek i oskard znalezione w piwnicy.

— Oto amunicja — powiedział stary wskazując na dzbany.

— A oto zapasy — dodał syn.

— Do schodów!

Schody były drewniane, spróchniałe, trzymały się już tylko na paru klamrach.

— Catho! — krzyknął Pardaillan-ojciec — zgadzasz się, żebym zdemolował twój dom?

— Demoluj, panie — odpowiedziała Catho, stawiając na ogniu ogromny żeliwny gar i wlewając do niego dzban oliwy.

Obaj mężczyźni oskardem i lewarem zaczęli rozbijać klamry. Kiedy wyrwali te, które przytwierdzały schody do ściany, wbiegli na górę i zaczęli odpychać je nogami i rękami.

Rozległ się wrzask. Przez wyważone wreszcie drzwi strażę i patrol wpadli do środka i rozrzucali barykady. Nagle potężny łomot zagłuszył okrzyki: to zawaliły się schody.

— Catho, czy podgrzana?

— Gotuje się, panie.

Podciągnęli kocioł z wrzącą oliwą do otworu, w którym kończyły się schody, kiedy jeszcze istniały. Izba na dole wypełniona była ludźmi, którzy dalej rozrzucali barykadę i wrzeszczeli:

— Drabina! Drabina! Pardaillan-ojciec wychylił się i zawołał:

— Panowie, odejdźcie, bo was oparzemy.

Dużą chochlą nabrał wrzącej oliwy i z rozmachem chlusnął nią na oblegających, wzbudzając istny chór jęków, wycia i pogroźek... W pare sekund izba opustoszała.

— Catho, córeczko, podgrzewaj dalej, podgrzewaj!

— Właśnie się gotuje, panie.

Z ulicy dobiegało wycie. Zdominował je głośniejszy okrzyk: to jakiś stolarz przyniósł długą drabinę.

— Przez okno! — rozkazał Maurevert.

— Dobra! — mruknął stary Pardaillan. — Nowa taktyka. Czekać, dzieci, zaraz się uśmiejemy!

Drabinę przystawiono do okna tak gwałtownie, że szyby rozprysły się na kawałki. Stary wagabunda otworzył ramę i wychylił się: po drabinie wchodziło siedmiu czy ośmiu ludzi, jeden za drugim. Dał znak. Podbiegł syn. Obaj chwycili za górne szczeble, wyteżyli siły...

Przez chwilę drabina się chwiała, potem ciężko upadła. Na obłocnej

jezdni leżeli dwaj przygniecenii mężczyźni. Postawiony na parapecie kocioł obaj obłożeni zgodnym ruchem przechylili... Przetoczył się istny grzmot wrzasków i w jednej sekundzie plac opustoszał.

Oblegający wystraszeni, zbici z tropu takim oporem, zaczęli się naradzać. Kilkunastu poparzonych lub poranionych nie było zdolnych do walki. Pardaillanowie wyszli z niej bez draśnięcia.

Catho, spokojniutka, znowu nastawiła kocioł na ogniu i wlała doń nowy dzban oliwy. Jako dobra kupcowa nie powstrzymała się jednak od westchnienia:

— Taka pyszna oliwa z orzechów, szkoda!

Na dworze oblegający dalej naradzali się nad nowym atakiem.

— Ponieważ ci szaleńcy lubią, jak coś się pali, dajmy im ognia! — wrzasnął Maurevert.

— Tak, tak, spalmy legowisko razem z dzikami!

— Boże święty! — wystraszyła się Catho. — Myślisz, panie, że nas spalą.

— Chyba tak — powiedział stary.

— Catho — odezwał się nagle Jan — co jest za tym murem?

— Co?... Dom sąsiada, handlarza drobiem.

— Rozumiem cię, synu! — zawołał ojciec. — Spróbujmy przedostać się do handlarza drobiem.

Jan chwycił oskard i zaczął rozbijać mur, ale stary powstrzymał go mówiąc:

— Ten człowiek usłyszy ciosy i zawiadomi strażę; zamiast ucieczki będzie tylko wyrwa w murze, która otworzy im drogę.

— Musimy zaryzykować — odparł chłodno Jan. — Wolę umrzeć w walce wręcz niż na stosie, w jaki ten dom za chwilę się zamieni.

— Jak uważasz, synu.

Uderzenia oskarda rozlegały się głucho, ale mur był gruby, solidny. Na dworze wrzawa nie ustawała na szczęście, ale pod domem piętrzyły się już wiązki chrustu.

Catho przywołała starego do okna i pokazała mu palcem mężczyznę, który rozpaczał, załamywał ręce, wrywał sobie włosy.

— Handlarz drobiem — poinformowała.

Niebawem ku niebu wzbił się gęsty słup dymu, ogień strzelił szkarłatnymi jęzorami i zaczął lizać ściany domu.

Szynk spłonął. Z wielkim trudem opanowano pożar, który rozprzeżenił się na sąsiednie budynki zagrażając całej ulicy. Niektórzy

sąsiedzi ponieśli ciężkie straty, ale to nie miało większego znaczenia. Najważniejsze, że Maurevert, Quélus i Maugiron mogli wrócić do Luwru trzymając się pod rękę.

Maureverta przyjęła Katarzyna Medycejska.

— Madame — powiedział do królowej matki w obecności Nancey'a, który mało się nie rozchorował z zazdrości — jesteś pomszczona. Schwytaliśmy tego łotra jak lisa w jamie i uwędziliśmy go, to znaczy podpiekliśmy, jak się należy, rozpalając ogień radości pod domem.

— Maurevert — przyrzekła Katarzyna — wspomnę o tobie królowi.

Quélus i Maugiron informowali księcia Andegaweńskiego:

— Dostojny panie, jesteś pomszczony. Gdyby nie Maurevert, który miał chwile niewytłumaczalnego wahania, moglibyśmy zdać raport już przed godziną. No, ale sprawa załatwiona. Ten bezczelny typ już ci nie spojrzy w oczy; zginął, spłonął żywcem.

— Jesteście naprawdę oddanymi przyjaciółmi — powiedział książę czerniąc sobie brwi. — Chciałbym zostać królem bodaj tylko po to, by móc was wynagrodzić według zasług.

## XXIX

### JAK DE PARDAILLAN-SYN JESZCZE RAZ NIE USŁUCHAŁ OJCA

Ani Pardaillan-ojciec ani Pardaillan-syn nie zginęli. Udało im się zdrowo i cało wyjść z opresji uciekając przez otwór wybity oskardem.

Troje obłożonych znalazło się na strychu, gdzie sąsiad trzymał worki z ziarnem dla drobiu. Strych zamknięty był słabymi ze starości drzwiami, które wyważyli i wypadli na schody wiodące do kuchni.

Łączyła się ona z jednej strony ze sklepem, skąd drzwi prowadziły na ulicę, a więc prościutko do pułapki, z drugiej wychodziła na dość obszerne podwórko obudowane z czterech stron kurnikami. Mury ogrodzenia były dość wysokie, ale łatwo było je przesadzić wdrapując się na dach kurnika.

Pierwszy podciągnął się na rękach Jan, podał dłoń Catho, która w jednej chwili znalazła się przy nim, następnym był stary Pardaillan. Stąd osiągnięcie szczytu muru było dziecinną zabawą, a kiedy już się

tam wdrapali, wystarczyło się zsunąć.

W ten sposób znaleźli się w warzywniku.

— Co zamierzasz robić? — zapytał wagabunda Catho.

— Jestem zrujnowana, nie wiem, co pocznę.

— Nie możesz nam towarzyszyć, musimy się rozstać.

Jan uważając, że ojciec potraktował ją dość niewdzięcznie, już chciał się wtrącić, ale stary go uprzedził:

— Jeżeli ona pójdzie z nami, zostaniemy schwytani. To stryżek dla całej trójki. O dwa kroki stąd znajduje się bractwo żebraków, jeśli się tam schroni, nikt jej nie ruszy. Co do nas — zobaczymy. Powiedz, Catho, moje dziecko, czy ci się to nie wydaje słuszne?

— Bardzo słuszne. Ale co pocznę nie mając grosza?

— Nadstaw fartucha!

Catho podwinęła rogi fartucha. Stary Pardaillan odpiął swój skórzany pas... i wydając pożegnalne westchnienie wyspał jej w podolek całą jego zawartość.

— Ależ tu będzie z pięćset talarów! — zawołała Catho.

— Ponad sześćset, moje dziecko.

— To więcej, niż była warta moja buda!

— Weź, wystaw inną karczmę i może pewnego dnia pomożesz nam ją spalić. Tylko nie nazwij jej oberżą „Pod Bijącym Młotem”, raczej oberżą „Pod Gadającymi Umarlakami”! Adieu!

— Żegnaj — dołączył się Jan. — Żałuję, że nie mogę niczego dodać do talarów pana ojca.

— A jakże, możesz upominek od siebie, panie — żywo odezwała się Catho nadstawiając policzek. Rozpustnica aż się zaczerwieniła!

Jan uśmiechnął się i serdecznie ucałował Catho w oba policzki, chociaż nie żądała aż tyle...

Pardaillanowie szybko wyszli przez furtkę w ogrodzie i znaleźli się w jakimś zaułku. Idąc nim, niebawem doszli do ulicy Roi-de-Sicile; skręcili w prawo i wyszli na ulicę Saint-Antoine, wielką arterię ówczesnego Paryża.

— Teraz porozmawiajmy trochę o naszych sprawach — powiedział stary. — Wydają mi się nieco zagmatwane.

— A mnie wydają się całkiem jasne — odparł syn. — Obaj jesteśmy w stanie otwartej rebelii.

— Co byś powiedział na mały spacerek poza Paryż?

Szli spokojnie gwarząc i nie usiłując bynajmniej kryć się. Zresztą ginęli wśród tłumu na Saint-Antoine, pełnej przechodniów, mieszczan i kupców; wchłonęła ich dość gęsta ciżba.

— Ojcie — odezwał się Jan — w żaden sposób nie mogę teraz opuścić Paryża.

— Nie możesz? Też mi coś! Więc chcesz, żeby nas powieszono? Albo zaćwiczono na śmierć?

— Nie, ojcie. Błagam, wyjedź, boja muszę zostać. Ale co tu się dzieje?

Z tymi słowami Jan wysunął się do przodu. Stary chwycił go za ramię.

— Dokąd tak biegniesz? Do czego się mieszasz, u licha! Nie chcesz się wystrzeżać ani mężczyzn, ani kobiet, ani swego serca?

— Och, ojcie! — zawołał Jan. — Poznałem mężczyzn i gardzę prawie wszystkimi; kobiet się boję, a co do serca, to przeklinam je za kiepskie psikusy, jakie mi płała. Więc widzisz, ojcie, że stosuję się do twoich rad.

Mówiąc to Jan jednym szarpnięciem wyrwał się z uścisku ojca. Stary przez chwilę stał osłupiały ze zdziwienia.

— On to nazywa stosować się do moich rad! — zrzędził. — Obawiam się, że skończy na szafocie, a mnie pozostanie tylko jedno: towarzyszyć mu.

Uciekam...

I z kolei on popędził w kierunku zbiegowiska kłębiącego się na ulicy Saint-Antoine.

Tutaj nad sklepikiem z suszonymi ziołami i prostymi lekami, z szyldem pod wezwaniem „Wielkiego Hipokratesa”, kupiec kazał wykuć dawno temu wnękę i umieścił w niej posążek z drewna przedstawiający szacownego starca z piękną brodą, odzianego po grecku; był to wielki Hipokrates we własnej osobie. Otóż posążek stopniowo zmieniał osobowość i wielki Hipokrates powolutku przeobraził się w świętego Antoniego.

Tak jak w wielu punktach Paryża, gorliwi słudzy Kościoła umieścili pod tą wnęką obok drzwi do sklepiku stolik, na którym postawili kosz przeznaczony na datki wiernych dla św. Antoniego. Bogatsi wrzucali denary i grubszy bilon, biedniejsi — miedziaki. Najbiedniejsi kładli nawet kromki chleba, włoszczyznę na zupę dla świętego, hołusze ograniczali się do przeżegnania krzyżem świętym i modlitwy. Rzecz jasna, że co wieczór kwestarze z klasztorów przychodzili opróżniać zawartość kosza.

To wyjaśnienie pomoże zrozumieć oburzenie tłumu, kiedy przechodzący mieszczaństanowczo odmówił złożenia jakiegokolwiek datku.

— Przynajmniej pozdrowcie świętego Antoniego — krzyczano.

— Przecież to Hipokrates — sprzeciwiał się przechodzień.



— Błuznierstwo! — rozległy się wrzaski. — Śmierć hugonocie! Śmierć heretykowi!

W tym momencie przejeżdżała karetą zaprzężona w siwego konia. Siedziała w niej młoda pani o miłej, pełnej dobroci twarzy. Oczywiście tłum zatrzymał karetę i pani rozsunęła firanki, żeby zobaczyć, co się dzieje. Gdy poznała atakowanego przechodnia, zawołała:

— Cóż to! Tak się traktuje sławnego Ramusa?

Ten usłyszawszy przyjazny głos usiłował zbliżyć się do karety.

— Zostawcie go! — krzyczała młoda kobieta. — Mówię wam, że to uczonego Ramus!

Tłum zrozumiał tylko jedno: że kobieta ujmuje się za „hugonotem”, zauważył też, że karetą nie ma herbu, a zatem owa kobieta nie należy do arystokracji, wobec czego nie trzeba robić z nią ceregieli. Rozległy się wołania:

— Na śmierć heretyczkę! Spalić oboje!

Karetę otoczono i tłum, który dotychczas wydawał się raczej rozbawiony, nagle wpadł we wściekłość podniecając się własnymi wrzaskami; w ciągu paru chwil sytuacja stała się dla młodej kobiety groźna, toteż i ona zaczęła krzyczeć. Ramus z okrwawioną twarzą czepiał się rozpaczliwie drzwiczek pojazdu.

— Rozejść się! Dać przejście! — usłyszano nagle grzmiący głos.

Jakiś młodzieniec runął z pochyloną głową w tłum odsuwając najbardziej zaciekłych, dopchał się do karety i tu, wyciągnawszy długą szpadę, zaczął zadawać nią wściekłe ciosy najbliższym napastnikom.

Dookoła Jana de Pardaillan — bowiem był to on — utworzył się pusty krąg. Młoda kobieta widząc nadciągającą niespodziewaną odsiecz odzyskała odwagę i podała rękę staremu Ramusowi, który wdrapał się do karety mrużąc:

— Tym razem jestem uratowany, ale jaka szkoda, że naród dopuszcza się tak okropnych niegodziwości...

Tłum widząc, że zdobycz mu się wymyka, znowu wściekłe się rozwrzeszczał, ale oślepiająca błyskami Giboulée robiła tak szybkie młynki, że dookoła Jana utrzymywała się wolna przestrzeń.

Jednakże najbardziej zaciekli już rzucali się do ponownego szaleńczego ataku, kiedy w najdalszych rzędach ktoś krzyknął z bólu i tłum rozproszył się jak zmieciony huraganem: to Pardaillan-ojciec przybył z odsieczą i tak dzielnie wywijał szpadą, że w ciągu paru chwil znalazł się przy karcie, u boku syna.

Z taką eskortą pojazd dostatecznie chroniony szybko ruszył. A ponieważ na dobrą sprawę nikt nie wiedział, o co poszło, tłum się zatrzymał, wyrażając jedynie pięściami obu wybawcom, którzy o sto kroków dalej chowali szpady do pochew.

Gdy minęło niebezpieczeństwo, Pardaillan ojciec mruknął do syna:

— Czemu, u licha, znowu musiałeś się wtrącać?

Jan nie odpowiedział, był ogromnie wzruszony, gdyż zauważył, iż karetą jedzie dokładnie tą trasą, którą on kiedyś szedł za damą w czerni, postanowiwszy wyznać jej, iż kocha jej córkę Loizę. Jakże wzmoгло się jego wzruszenie, gdy karetą wjechała na ulicę Barres! Serce zaczęło mu walić jak młotem, kiedy pojazd zatrzymał się przed domem, do którego widział, jak wchodziła wtedy Joanna de Piennes!

Stary Ramus wysiadł z karety, za nim lekko wyskoczyła młoda pani mówiąc:

— Wejdźcie, panie, bardzo proszę. Musicie odpocząć nieco.

— Jesteś uroczym dzieckiem — powiedział Ramus, który wcale nie wydawał się przejęty tym, co go spotkało. — Z przyjemnością odpoczne w twoim towarzystwie.

Gdy drzwi się otworzyły na stuk kołatki, uczony wszedł do domu. Wtedy młoda kobieta zwróciła się do swoich obrońców:

— Wejdźcie także, panowie — powiedziała z miłą stanowczością.

Jan miał ochotę wycofać się, ale górę wzięła ciekawość, chęć poznania domu, do którego zdążyła wówczas matka Loizy.

Dom miał wygląd mieszczański. Przeszli do jadalni i gospodyni poleciła służącej przynieść coś do picia.

— Panowie — powiedziała — nazywam się Maria Touchet. Zechcą panowie zrobić mi grzeczność i powiedzieć, komu zawdzięczam życie?

Jan już otwierał usta, kiedy stary nadepnął mu na nogę i sam pospieszył z odpowiedzią!

— Pani, ja nazywam się Brisard, dawny sierżant armii królewskiej, a mój młody towarzysz, szlachcic, to pan de la Rochette.

Maria Touchet podziękowała swoim obrońcom ze wzruszeniem; nalegała, aby jej obiecali, że ją ponownie odwiedzą, jednak nie usłyszała przyrzeczenia.

„Co mogło łączyć Joannę de Piennes z damą, u której przed chwilą byliśmy?” — zastanawiał się Jan.

— Tak sobie myślę, co nam przyjdzie z narażania życia dla różnych nieznajomych — odezwał się stary. — Nie mówiąc już o tym, że byłeś

bliski wyjawienia naszych nazwisk, a przecież musimy się ukrywać... Nie wolno nam dowierzać komukolwiek w całym Paryżu.

— Och, ojcie, czy sądzisz, że ta pani, która zawdzięcza nam życie, byłaby zdolna nas wydać?

— W tej chwili nie dowierzałbym najlepszemu przyjacielowi.

Nazajutrz Marię Touchet odwiedził król Karol IX, przybywając jak zwykle sam, incognito. Opowiedziała mu o wczorajszych zajściach i dodała:

— Kochany mój królu, jeżeli masz trochę uczucia dla mnie, to proszę wynagrodzić starego sierżanta i tego młodego dzielnego szlachcica, pana de la Rochette.

— Chętnie, droga Mario, jak najchętniej — przyrzekł król.

Rozkazał pilnie szukać Brisarda, dawnego sierżanta, oraz szlachcica nazwiskiem Rochette, i przyprowadzić ich do niego nie zwlekając. Pomimo intensywnych poszukiwań nie zdołano odnaleźć ani Brisarda, ani la Rochette'a. Króla bardzo to zgniewało i jego główny prewot popadł w niełaskę.

### XXX

## KRYJÓWKA

Po opuszczeniu domu przy ulicy Barrés ojciec z synem spacerując wybrzeżem Sekwany dyskutowali o miejscu, gdzie się ukryją, no i o najbliższych planach działania. Idąc z biegiem rzeki dotarli przed gospodę.

— Jestem głodny — stwierdził Jan.

— A ja się wścieknę z pragnienia — powiedział ojciec. — Wejdźmy. Mam nadzieję, że masz pieniądze na omlet i butelczynę.

Jan poszperał w kieszeniach i pokręcił przecząco głową.

— Ja oddałem wszystko Catho — wyznał stary.

— Ojcie, tego nie powinniśmy żałować, Catho uratowała nam życie.

— Nie przeczę, ale jeśli umrzemy z głodu i pragnienia, jej pomoc nie na wiele się przydała...

Pardaillanowie z westchnieniem minęli gospodę. Smutni i milczący szli dalej w tym samym kierunku.

— Synu — odezwał się nagle stary Pardaillan — szukamy jada i schronienia... chodź, stańmy się lisem i wilkiem... wróćmy na gościniec, żeby razem podejmować długie wędrówki na los szczęścia. Przemierzmy całą Francję, zobaczymy cały świat, jeśli taka będzie nasza wola...

Na propozycję ojca syn pokręcił odmownie głową; nie chciał opuścić Paryża, skoro była tam Loiza. Tak przynajmniej uważał.

— A więc jeszcze raz odmawiasz pójścia ze mną?

— Ojczy, już mówiłem: wolę umrzeć, niż opuścić Paryż.

— Dobrze już, dobrze, to szukajmy dachu nad głową.

— Wydaje mi się, że go znalazłem.

— Pewnie jakieś drzewo o gęstym listowiu?

— Nic takiego, ojczy, mam na myśli pałac, pałac Montmorency. Szlachetny książę ofiarował mi gościnę, więc chodźmy poprosić o nią dla nas obu.

— Zapominasz, że ongiś porwałem jego córkę i że ten możny pan nieźle ostrzy sobie zęby na twego tatusia!

— Mylisz się, ojczy. Jeżeli żywił do ciebie urazę, to teraz mu ona przeszła.

— Nie mam zaufania. Ale skoro zapewniono ci lokum u Montmorency, czemu nie powiedziałeś mi o tym wcześniej? Oszczędziłbyś mi zmartwień. Masz więc gotową kryjówkę.

— I ty także, ojczy.

— Nie kłopotz się o mnie. Jeśli ty masz schronienie, ja mam je także dla siebie.

— Gdzie?

— Na Boga, w pałacu Mesmes! Cóż, synu, odprowadzę cię do promu i pójdę w stronę Temple. W ten sposób zakotwiczmy się w jednym i drugim obozie.

Po namyśle plan ten wydawał się najprostszy i najlepszy, toteż Jan przyjął go bez zastrzeżeń.

Gdy przyszli na przystań promu, która znajdowała się prawie na wprost pałacu budowanego przez Katarzynę na miejscu dawnych Tuileries, ojciec z synem uściskali się; prom znajdował się właśnie przy drugim brzegu i Jan musiał czekać kilka minut, z czego skorzystał, żeby powiedzieć ojcu:

— Ojczy, oddałeś mi już wielką przysługę idąc do „Deviniere” po mojego psa Pipeau. Ale ja tam zostawiłem innego przyjaciela, na którym mi bardzo zależy.

— Jeszcze jednego psa?

— Nie, ojcze, konia.

— Do diabła! Aleśmy bogaci! Koń wart jest dużo pieniędzy, jeżeli dobry.

— Wspaniały, ale nie waż się go sprzedawać, ojcze.

— A to dlaczego?

— Bo nazywa się Galaor — uśmiechnął się Jan.

— Galaor — zastanowił się stary. — Galaor... gdzie ja słyszałem to imię? Galaor... już mam! W Ponst-de-Cé! Pan de Damville opowiedział mi o przygodzie, jaka mu się przytrafiła, z której wyszedł cało. Więc to ty uratowałeś Damville'a?

Jan tylko się uśmiechnął.

— Na Boga żywego, i nic mi nie mówiłeś?

W tym momencie prom przybił do brzegu i Jan wsiadł, a stary wagabunda radosny jak dziecko pobiegł do „Deviniere”.

W pałacu Montmorency Jan z psem przy nodze poprosił o zameldowanie go marszałkowi.

— Wielmożny panie — powiedział po prostu — osoby, która miała mi udzielić gościny, nie ma w Paryżu.

Marszałek bez słowa wziął go pod rękę i zaprowadził do pięknej komnaty.

— Kawalerze, jesteś u siebie.

Tymczasem stary Pardaillan przybiegł do „Deviniere”, wpadł do kuchni i zapytał zdyszany?

— Gdzie jest Galaor?

— Galaor? — zdziwił się Landry. — Jest w stajni. Ale ten pan, któregoś zranił...

— W której stajni, u diabła? — przerwał mu Pardaillan.

— Na prawo, w podwórzu — poinformował wystraszony oberżysta.

Stary już go nie słuchał. Już biegł do stajni, za nim Landry, który mu wskazał pięknego bułanka o delikatnym, mądrym pysku.

— To jest Galaor — powiedział. — Ale ten ranny...

— Nudzisz mnie, mości Landry, swoim wicehrabią d'Aspremont — ofuknął go Pardaillan siodłając konia. — Czy to moja wina, że nadział się na czubek mojej szpady? No i jak, umarł?

— Nie, nie umarł.

— Do diabła! Nędznik! I co z nim zrobiłeś?

— Właśnie to chciałem powiedzieć. Kiedy odzyskał przytomność, oświadczył, że będzie cię to drogo kosztować, panie.

— Naprawdę?  
— Chciał, żeby go zanieść do pałacu Mesmes.  
— Tam do licha! — Pardaillan uciął rozmowę i zaczął się namyślać.  
— Cóż! — wykrzyknął nagle. — Galaor załatwi wszystko! Żegnam, gości Landry!

Po tych słowach wskoczył na siodło i odjechał kłusem. Niebawem przybył do pałacu Mesmes, kazał Gillotowi postawić w stajni wierzchowca, w którym ten natychmiast rozpoznał konia marszałka i zdumiał się uważając, że jakaś nieczysta siła musiała sprawić, że zaginionego konia przyprowadził ktoś, kto się odgrażał, że mu obetnie uszy.

Tymczasem stary Pardaillan udał się do marszałka.

— Czekam na waszmościa — oświadczył Damville. — Musimy uregulować różne sprawy.

— Jako pierwszą sprawę d'Aspremonta? — zapytał Pardaillan.

— Tak. Zaleciłem ci, żebyś się z nim zaprzyjaźnił, i oto przyprowadzają mi go tu w oplakany stan. Pozbawiłeś mnie wiernego sługi.

— Przyprowadziłem waszej wysokości innego.

— Kogo? — żywo zapytał księżę.

— Jest w stajni. Jeśli wolno mi o coś prosić, to niech wasza wysokość zejdzie ze mną do stajen.

Zaintrygowany marszałek wyraził zgodę i udał się za Pardaillanem. Ten zszedł na dziedziniec, otworzył drzwi stajni i nie mówiąc nic palcem wskazał Galaora uwiązanego przy żłobie.

— Mój dawny rumak bojowy! — zawołał zdumiony marszałek. — Kto mi go przyprowadził? Ty?

— Ja, wielmożny panie. Podarowano mi go, tak jak go ty sam podarowałaś, księżę, ten zaś, który mi go sprezentował, jest tym człowiekiem, który pośpieszył ci z pomocą, kiedy pewnego wieczora zostałeś napadnięty przez łotrzyków.

— To prawda, ten człowiek uratował mi życie — przyznał marszałek.

— A był nim kawaler de Pardaillan, jedyny syn i dziedzic pokornego sługi waszej wysokości.

— Chodźmy — rzucił marszałek. Wyszedł ze stajni i szybko skierował się do swego gabinetu podniecony, milczący, a stary z uśmiechem przyglądał mu się spode łba. — Najpierw wytłumacz się waść z pojedyńku z Orthèsem.

— Mój Boże, jaśnie panie, to całkiem proste! Kiedy tu przybyłem, pan d'Aspremont patrzył na mnie i mówił do mnie w sposób, który mi

się nie podobał. Zakomunikowałem mu o tym. Jako człowiek bywały — zrozumiał. Dzisiaj nadarzyła się okazja, abyśmy wyrazili najłagodniej cały szacunek, jaki żywimy wzajem do siebie.

— A więc nie ma między wami nienawiści?

— Absolutnie żadnej — szczerze odparł Pardaillan.

— Dobrze, to wróćmy do Galaora, to znaczy do waszego syna. Mówicie, że to jemu udało się mnie wyratować?

— Na dowód tego dał mi Galaora jako znak rozpoznawczy.

— Mój drogi, twój syn jest nie lada śmiałkiem. Obiecałeś mi go przyprowadzić.

Stary zastanawiał się przez chwilę i żeby całkiem zwieść marszałka, postanowił użyć najgroźniejszej broni: prawdy.

— Dostojny panie, proponowałem memu synowi, żeby wstąpił do ciebie na służbę, ale on nie chciał, gdyż już zaciągnął się do pana de Montmorency. Mój syn, wielmożny panie, niechcący wykrył niebezpieczny sekret: był świadkiem spotkania w oberży „Deviniere”. Ma więc wszelkie podstawy, żeby się obawiać waszego, panie, gniewu albo któregoś z waszych popleczników. Na przykład pana de Guitalensa. Jest przekonany, że gdybyście go, wielmożny panie, schwytali — wtrąciłibyście go do Bastylii, skąd wymknął się cudem. Oto słuszne i ważne powody, dla których nie chciał przyjść tu ze mną. Poza tym należy do księcia de Montmorency, ja zaś do was, wielmożny panie. Wynika z tego, że musiałbym albo was, panie, zdradzić, co byłoby ohydne, albo stać się wrogiem własnego syna, co mi się wydaje jeszcze mniej możliwe.

— Ale dlaczego ten młodzieniec jest przeciwko mnie? — zapytał marszałek.

— Nie jest przeciwko waszej wysokości, ale jest za Montmorencym, to wszystko. Nie ma do was, panie, żadnej urazy i nie chciałby wam szkodzić, więc już dziś wieczorem postanowił opuścić Paryż.

— Dlaczego, u diabła, opuszcza Paryż? Pardaillan, szczerowość za szczerowość. Prawdą bezsprzeczną jest, że przez chwilę zamierzałem oddać go w ręce Guitalensa, gdyż przyłapał go na rozmowie ze mną, i niech mnie diabeł żywcem obedrze ze skóry, jeśli wiem, jak to zrobił! Pardaillan, wasz syn, jest szatanem zuchwałości, ale nie ma poparcia. Przyprowadź mi go, a uczynię go bogatym.

— Jaśnie panie, zapominasz, że właśnie z powodu postawy, jaką prezentował w Luwrze, jest prześladowany, tropiony i musi opuścić Paryż pod groźbą szubienicy!

— W moim pałacu będzie bezpieczniejszy niż na zamku, do którego mój brat zapewne go wyśle.

— Ale jeżeli się nie mylę, już chyba odjechał, sprawa była pilna. Gdyż oto co nas spotkało:

Tu Pardaillan opowiedział o oblężeniu szynku „Pod Bijącym Młotem” i zakończył opowieść słowami:

— Jaśnie pan sam widzi, że czas był najwyższy, żeby Jan opuścił Paryż.

— Ale waszmość jesteście tak samo narażony, jak on. Dlaczego zatem pozostałeś na miejscu?

— Bo przyrzekłem pomoc waszej książęcej mości — odparł z prostotą Pardaillan.

Marszałek wyciągnął rękę do starego wagabundy, który pochylił się bardziej dla ukrycia uśmiechu niż dla okazania szacunku.

W taki oto sposób każdy z Pardaillanów, którym groził brak dachu nad głową, znalazł ostatecznie prawdziwy pałac na mieszkanie.

## XXXI

### KRÓLOWA MATKA

W trzy dni po owej scenie w Luwrze Franciszek de Montmorency, tak jak zapowiedział bratu, udał się do pałacu Mesmes, żeby zakończyć jednym błyskawicznym ciosem siedemnastoletnią waśń. Kawaler de Pardaillan na próżno nalegał, że będzie mu towarzyszył.

Dochodziła siódma po południu, kiedy marszałek przybył przed pałac Mesmes. Dał znak swemu stajennemu, który tym razem pełnił funkcję giermka. Ten nie zsiadając z konia zadął w róg.

Główne drzwi pałacu pozostały zamknięte.

Zadął w róg po raz drugi, potem trzeci — nadal panowała głęboka cisza.

Wtedy na znak dany przez marszałka giermek zsiadł z konia i mocno walnął młotkiem w drzwi. Uchylił się judasz.

— Do kogo? — zapytał czyjś głos.

— Przybyliśmy — oznajmił giermek — do Henryka de Montmorency, zwanego także księciem de Damville.



— Czego od niego chcecie? — indagował ten sam głos.

— Żądamy zadośćuczynienia za zadaną nam obelgę. Jeśli odmówi — pozwiemy go przed sąd Boży!

Drzwi się uchyliły, wyszedł z nich oficer ze znakami herbowymi Damville'a, zdjął czapkę, skłonił się przed Franciszkiem i powiedział:

— Jaśnie panie, jest mi niezmiernie przykro, że muszę przekazać złą wiadomość: pałac jest od wczoraj pusty. Mój pan, książę de Damville, na wyraźny rozkaz miłościwego króla musiał nagle opuścić Paryż.

Franciszek ponuro spojrział na pałac.

— Jeśli wasza książęca mość — ciągnął dalej oficer — zechcesz spozczać, to chętnie wypełnię wobec niego obowiązek gościnności.

Franciszek spojrział na giermka i ten odparł:

— Odmawiamy zaofiarowanej gościnności.

Wtedy oficer nakrył głowę, wszedł do pałacu i zamknął za sobą drzwi. Giermek znowu zadał w róg i trzykrotnie głośno wezwał Henryka de Montmorency. Następnie znowu zsiadł z konia, zbliżył się do portalu i powiedział:

— Henryku de Montmorency, przybyliśmy żądać zadośćuczynienia za poważną obelgę. Uprzedziliśmy, że znajdziemy się przed twoimi drzwiami dzisiejszego wieczora. Oświadczamy, że uciekłeś jak tchórz, uznajemy cię za wiarołomnego zdrajcę i na dowód wyzwania pozostawiamy ci naszą rękawicę, albowiem nasza sprawa jest słuszna.

Przy tych słowach Franciszek ściągnął rękawicę z prawej dłoni, giermek ją wziął, z przytroczonej torby wyciągnął młotek i gwóźdź i podszedłszy do portalu przybił doń rękawicę.

Franciszek de Montmorency odczekał jeszcze parę minut, żeby się przekonać, czy ta najwyższa obelga zostanie podjęta przez brata, gdyż nie miał wątpliwości, że ten przebywa w swoim pałacu. Wreszcie widząc, że drzwi pozostają zamknięte, i nie słysząc żadnych odgłosów — oddalił się.

W tym momencie na rogu uliczki, gdzie kawaler de Pardaillan próbował zaatakować marszałka de Damville, ukazali się dwaj mężczyźni: był to Jan we własnej osobie oraz hrabia de Marillac.

Kiedy Franciszek de Montmorency opuścił pałac, Jan wyszedł natychmiast po nim i pobiegł na ulicę Béthisy do hrabiego. W dwóch słowach zrelacjonował mu zamiary marszałka. W gruncie rzeczy Marillac miał niewiele powodów, pomimo całej sympatii, jaką dla księcia żywił, pędzić mu na pomoc. Ale przecież raz na zawsze oddał się do dyspozycji

Jana, dla którego odczuwał coraz większą przyjaźń oraz podziw. Toteż bez wahania poszedł z przyjacielem do pałacu Damville'a.

— Jeżeli marszałek wszedł do pałacu — tłumaczył Pardaillan — a my nie zobaczymy, że z niego wychodzi, wejdziemy także i zmusimy, aby nam powiedzieli, co się z nim stało.

— Nie sądzę, żeby tam wszedł — zaproponował hrabia. — Znam Damville'a dostatecznie, aby przypuszczać, że zechce uniknąć tego spotkania.

Obaj młodzieńcy ukryci za rogiem byli świadkami przed chwilą opisaną sceny.

— Widzisz, dobrze odgadłem — powiedział hrabia de Marillac, kiedy marszałek odjechał.

Wrócili do pałacu Coligny. Hrabia był zamyślony, Jana ścisnął za gardło głęboki niepokój, ukrywał go pod maską chłodu i swoich zwykłych żartów. Przed pałacem Coligny wyciągnął rękę do hrabiego i oświadczył, że wraca do marszałka. Ale Marillac go powstrzymał.

— Zrób mi tę przyjemność i zostań ze mną na obiedzie; wieczorem, o dziewiątej, zaprowadzę cię w pewne miejsce, gdyż umieram z chęci przedstawienia cię jednej osobie.

— Komu?

— Mojej narzeczonej. Zgoda? Jesteś wolny wieczorem?

— Jestem wolny, przyjacielu, ale nawet gdybym był zamknięty w Bastylii, zdemolowałbym ją, żeby mieć zaszczyt być przedstawionym tej, nazywasz swoją narzeczoną.

Tak swobodnie rozmawiając o tych niezwykle ważnych sprawach, przyjaciele poszli do oberży i z apetytem zjedli obiad.

Koło dziewiątej hrabia de Marillac wraz z Janem udali się w kierunku ulicy Hache.

Pardaillan i Marillac wiele razy powracali do sceny, która się rozegrała na Drewnianym Moście, ale Jan nigdy nie mówił, że tego dnia królowej Nawarry towarzyszyła młoda dworka. Ze swej strony Alicja de Lux nie wspomniała narzeczonemu, że towarzyszyła wtedy Joannie d'Albret, musiałaby bowiem opowiedzieć także, w jaki sposób królową napadnięto, a bała się zdradzić nieopatrzonym słowem swoją w tym rolę...

W tej sytuacji, z jednej strony Marillac nie wiedział, iż Pardaillan uratował jego narzeczoną, z drugiej zaś Pardaillan nie wiedział, że towarzyszką królowej Nawarry była właśnie ta dziewczyna, o której jego przyjaciel mówił z takim uczuciem.

Ale wróćmy teraz do Alicji de Lux. Dziewczyną targał niepokój, wręcz przerażenie. Niepokój powodowała obecność w jej domu Joanny de Piennes i Loizy. Co prawda, zastosowała wszelkie środki ostrożności, ulokowała obie na piętrze w dwóch pokojach wychodzących na tyły domu, przebywały tam zamknięte na klucz, ale przecież przypadek mógł zdradzić ich obecność wobec Marillaca... A wtedy, jak ją wytłuma- czy?

Przerażenie natomiast wywołał lakoniczny bilecik, który niedawno otrzymała.

Nie zapomnieliśmy zapewne, że umowa z królową Katarzyną obli- gowała ją do składania każdego wieczora w najniższym okienku wieży zbudowanej dla astrologa Ruggieri czegoś w rodzaju raportu policyjne- go. Na ogół zawierał on parę zawołanych słów, skreślonych zmie- nionym charakterem pisma: „Nic nowego do powiedzenia...” albo: „Widziałam człowieka, wszystko w porządku...”

Jednakże tego wieczora, w chwili kiedy Alicja wrzucała swój raport, ktoś chwycił jej rękę i wsunął w nią złożoną kartę.

Bilecik pochodził od Katarzyny Medycejskiej, ale był bez podpisu, bez jakiegokolwiek znaku pozwalającego odgadnąć, kto go pisał, czy dyktował. A oto co zawierał: — „Zatrzymaj dzisiaj mężczyznę do dzie- siętej wieczorem. Odeślij go dokładnie o tej godzinie. Jeżeli zechce spędzić z Tobą noc — znajdź jakikolwiek pretekst, ale o dziesiątej musi on być na ulicy. Dodaje się, że nie stanie się mu nic złego”.

Cynicznie wyrażone przypuszczenie, że hrabia zechce spędzić u niej noc, wywołało rumieniec na twarzy Alicji, z oczu popłynęły łzy. Nato- miast ostatnie słowa bynajmniej jej nie uspokoiły! Jeśli Katarzyna Me- dycejska chciała, żeby hrabia znalazł się o dziesiątej na ulicy, to miała zamiar urządzić na niego napad, porwanie... kto wie? Alicję ogarnęły złowrogie przecucia.

Kiedy usłyszała kołatkę, w jednej chwili podjęła decyzję. Za wszelką cenę, niech się stanie, co chce — zatrzyma hrabiego na całą noc.

W parę chwil później hrabia wszedł do pokoju.

— Droga Alicjo — powiedział — pragnę przedstawić ci kawalera de Pardaillan, którego uważam za swego brata.

Alicja zdrzała. Od pierwszego spojrzenia poznała młodzieńca z Drewnianego Mostu, śmiałka, który uratował królową Nawarry, a po- tem towarzyszył jej do Żyda w Temple.

Pardaillan także, kiedy wyprostował się po złożeniu ukłonu i uniósł głowę, poznał ją natychmiast. Alicję na chwilę ogarnęło uczucie dławią- cego strachu.

Jan nie pozwolił sobie na najmniejszy gest zdziwienia i tak doskonale udał, że widzi Alicję pierwszy raz w życiu, że dała się zwieść. Uspokoiła się przynajmniej co do nowego zagrożenia.

„Jak to się dzieje — zastanawiał się Pardaillan — że trafiam tu ponownie na towarzyszkę królowej Nawarry? Dlaczego wydaje się ona tak zmieszana, taka niespokojna... Przypominam sobie, jak królowa robiła jej w dziwny sposób wyrzuty, że skierowała karetę na Drewniany Most...”

Zaczął dokładnie przyglądać się młodej kobiecie. Po paru minutach cała trójka rozmawiała wesoło, tylko Alicja patrzyła z ukrywanym zdenerwowaniem na wskazówkę zegara, która zbliżała się do dziesiątej.

„Co teraz robić? Jak mu powiedzieć?”

Wybiła dziesiąta. Alicja drgnęła, zaczęła mówić nerwowo i jej paplania mogłaby się wydać uroczą każdemu innemu, ale nie Pardaillanowi, w nim bowiem podejrzewania wzmagają się z każdym jej słowem. Jej gesty wydawały mu się dwuznaczne, łapał ją na tym, że bladła i silnie rumieniła się na przemian, toteż nie zdziwił go jej zalekziony okrzyk, kiedy hrabia wstał i oznajmił, że na niego czas.

— Na Boga — zawołała drżącym głosem — zostań jeszcze!

— Moja kochana — odparł Marillac — znowu poddajesz się jakimś lękom...

— Pani — odezwał się Jan, a z jego tonu Alicja zrozumiała, co ma na myśli — przysięgam, że dzisiejszego wieczora mojego przyjaciela nie spotka nic złego.

Rzuciła mu spojrzenie pełne głębokiej wdzięczności i szepnęła hrabiemu:

— Więc idź, mój ukochany, ale pamiętaj, przyrzekłeś mi uważać na siebie.

Wyszli we troje do ogródka; Alicja pochyliła się nagle i szepnęła do ucha Pardaillanowi:

— Na litość boską, nie opuszczaj go pan, aż będzie bezpieczny... Obawiam się, że chcą go zabić!

Jan się wzdrygnął. Panowie wyszli. Alicja długo stała na progu i dopiero kiedy kroki umilkły, weszła do domu prawie uspokojona.

— Co o niej sądzisz? — zapytał hrabia Pardaillana.

— Sądzę... cóż, to uroczą osobą.

— Czy słyszałeś, jak mi zalecała, żebym na siebie uważał? Ona miała niekiedy zupełnie niewytłumaczalne obawy...

— A jaki masz dowód, że te obawy są nieusprawiedliwione? Myślę, że kobiety są obdarzone instynktem przewyższającym męskie rozumowanie.

W chwili, kiedy wchodzili na ulicę Béthisy, nagle zbliżył się do nich jakiś cień i szedł za nimi krok w krok. Obaj przybrali postawę obronną.

— Panowie — odezwał się mężczyzna podchodząc bliżej — proszę się niczego nie obawiać. Mam dwa słowa do tego z panów, który jest hrabią de Marillac.

Pardaillan drgnął, rozpoznał bowiem po głosie Maureverta. Milczał, płaszczem zasłonił sobie twarz. Marillac odpowiedział:

— To ja, panie. Co masz mi do powiedzenia?

— Panie hrabio, chciałbym mówić w cztery oczy.

— Możesz waść mówić przy tym panu, to mój przyjaciel.

Maurevert zawahał się przez chwilę usiłując zajrzeć w twarz Pardaillana. Wreszcie się zdecydował:

— Panie hrabio, pewna osoba poleciła mi przyprowadzić cię do niej...

— Kim jest ta osoba?

— Kimś najwyższej rangi, to wszystko, co mi wolno powiedzieć, ponieważ nie jesteśmy sami, a sekret nie należy do mnie.

— Dokąd mam ci towarzyszyć, jeśli się zdecyduję?

— Do pierwszego domu przy Drewnianym Moście, panie hrabio... ale musisz być sam.

Pardaillan żywo odciągnął Marillaca o kilka kroków od Maureverta.

— Czy wiesz, kim jest ten człowiek? To Maurevert, jeden ze zbirów Katarzyny. A wiesz, kto cię oczekuje w domu przy Drewnianym Moście? Medyceuszka we własnej osobie!

— Jesteś tego pewien?

— Włożyłbym rękę w ogień. Mój drogi, odeślijmy Maureverta z należnymi mu honorami, to znaczy...

Pardaillan nie zdążył dokończyć zdania, gdyż Marillac odwrócił się do Maureverta i głosem, w którym brzmiała rozpacz, oświadczył:

— Jestem gotów iść z tobą, panie... „Muszę wreszcie zobaczyć moją matkę z bliska” — pomyślał z goryczą.

— Co robisz? — krzyknął Pardaillan.

— Chodźmy, panie hrabio — ponaglał Maurevert.

Jan usiłował powstrzymać Marillaca, ale ten z jakimś niezrozumiałym podnieceniem chwycił przyjaciela w ramiona, jak gdyby żegnając się na zawsze, przyłożył usta do jego ucha i wyszeptał:

— Mój drogi, żegnam cię i błogosławię za szczęście, jakie mi dała twoja wspaniała przyjaciółka...

— Chyba zwariowałaś! — odpowiedział również szeptem Pardaillan.

— Nie! Mam tylko nadzieję, że Katarzyna Medycejska każe mnie zamordować, a to będzie piękne!

— Na Boga! Ja cię nie opuszczę!

— Musisz mnie opuścić, Pardaillanie! Bo tam, dokąd pójde, nie mo-  
żesz mi towarzyszyć. Janie, to nie hrabia de Marillac idzie do królowej  
matki... tak, powtarzam, do królowej matki... To Deodat, dziecko znale-  
zione na stopniach kościoła. A teraz chcesz wiedzieć, dlaczego mając  
pewność, że mnie zamordują, idę do królowej?

— Och, tak!

— Dlatego, że chcę poznać moją matkę! Dlatego, że Katarzyna Me-  
dycejska jest moją matką!

Wyrwawszy się z uścisku przyjaciela hrabia dał znak Maurevertowi i  
szybko poszli w kierunku Drewnianego Mostu. Jan stał przez parę  
chwil jak rażony piorunem; wreszcie szepnął,

— Deodat synem Medyceuszki!

Wreszcie odzyskawszy zimną krew i on także pobiegł w stronę do-  
brze znanego domu, zdecydowany czuwać w pobliżu tak długo, dopóki  
będzie w nim przebywać hrabia, albo przedostać się tam w razie po-  
trzeby.

Kiedy biegł kreśląc w głowie plan działania z systematycznością sta-  
nowiącą jeden z elementów jego siły, zadał sobie w duchu pytanie:

„Czy Alicja de Lux wiedziała, że Maurevert czatował na hrabiego  
przed domem?”

Niebawem był już przy Drewnianym Moście. Przez chwilę przyglądał  
się tajemniczemu domowi, gdzie nawiązał niedawno kontakt z Kata-  
rzną Medycejską. Dom był niemy, fasadę osłaniał cień.

„Może być królową, czarownicą, demonem, czym chce, ale niech tyl-  
ko hrabiemu spadnie jeden włos z głowy, a pójde po nią do najdalszego  
zakamarka Luwru i z króla Francji uczynię przed czasem sierotę”.

Pardaillan ukrył się ze sztyletem w dłoni, oczy miał utkwione w ta-  
jemniczy dom przy Drewnianym Moście.

Tam rozgrywała się w tym czasie dramatyczna scena, chociaż słowa,  
jakie padały, były pozornie chłodne. Aktorami byli: królowa Katarzyna,  
astrolog Ruggieri i Deodat-znajda, a więc matka, ojciec i syn.

Lecz aby scena nie straciła niczego ze swej wagi, wyprzedźmy De-  
odata de Marillac, tak jak ongiś wyprzedziliśmy Pardaillana. Tym ra-  
zem Katarzyna Medycejska nie pisze. Zadaje sobie pytanie:

„Czy przyjdzie?”

Ruggieri przygląda się jej w milczeniu z wzrastającym niepokojem. Wreszcie Katarzyna mówi:

— Nie chcę, żeby zginął dziś wieczorem. Chcę go wybadać, dowiedzieć się, kim jest, obnażyć jego duszę. Jeżeli jest takim, jak się spodziewam, jeżeli rozpoznam w nim moją krew, moją rasę — jest uratowany. Ty jesteś ojcem i rozumiem twoje obawy. Ja, René, jestem matką, ale także królową. Muszę zdławić zew macierzyństwa, myśleć o sprawach państwa i jeżeli ten młodzieniec ode mnie się odsunie — umrze.

— Katarzyno — odparł Ruggieri, który w chwili emocji zapominał o etykiecie — jaki wpływ na sprawy państwa ma to, czy on będzie żył, czy umrze? Kto się kiedykolwiek dowie...

— O to właśnie chodzi — przerwała Katarzyna. — Gdyby sekret mógł być zachowany na zawsze, postarałabym się zapomnieć, że jest na świecie ktoś, kto pewnego dnia może stanąć przede mną i zażądać zapłaty za swoją niedolę. Tak, myślę, że mogłabym zapomnieć. Ale żyć w ciągłym zagrożeniu — niepodobna! Czy sądzisz, że i moje serce się nie wzruszyło, kiedy mi powiedziałaś, że on żyje?

— Och, madame — wykrzyknął Ruggieri z goryczą — dlaczego nie powiesz mi szczerze, że wydałaś na niego wyrok i że nic nie zdoła go uratować!

— Powtarzam, on nie jest skazany... jeszcze nie. Chcę, żeby mój syn, mój ulubieniec, mój Henryk był niekontestowanym królem. Niech tylko Bóg wezwie do siebie tego nieszczęsnego Karola — a Henryk zasiądzie na tronie. To się odbędzie całkiem prosto. Tak, ale przed nami jawi się straszliwy wróg. Albo grozi nam upadek, albo oni muszą być wyćpieni. Burbonowie, René, oto nasz wróg. Joanna d'Albret, pomyslowa, ambitna, pragnie korony Francji dla swego syna, Henryka Bearneńskiego. Jeśli jestem przy zdrowych zmysłach, to muszę uznać za najlepszy sposób obrony pozbycie się Joanny d'Albret, żeby jej syn został bez królestwa, a wtedy Burbonowie będą zmiażdżeni na zawsze! Ale kogo osadzić na tronie Nawarry? Kogo, jeśli nie kogoś, kto należałby do mnie, kto byłby z mojej rasy. Mój syn Henryk królem Francji... on zaś... ten nieujawniony syn królem Nawarry!

Ruggieri ze smutkiem pokręcił głową, a kiedy usłyszał stukanie i wprowadził Maureverta oraz Marillaca — zadrżał, gdy spojrział ukradkiem na swego syna. Zresztą Maurevert zaraz wyszedł i w sali na parterze Ruggieri z Marillakiem pozostali przez chwilę sami. Po krótkim milczeniu astrolog powiedział:

— Witam w tym domu, hrabio.

Marillac, przeżywający także niewysłowione wzruszenie, nie zauważył zmieszania astrologa. Skłonił się tylko, a kiedy Ruggieri dał mu znak, poszedł za nim bez namysłu.

Na pierwszym piętrze astrolog otworzył jakieś drzwi i odsunął się, żeby przepuścić gościa.

„Moja matka” — pomyślał młodzieniec.

„A więc to jest mój syn” — pomyślała królowa.

— Panie — chłodno odezwała się Katarzyna — nie wiem, czy mnie poznasz.

— Jesteś, pani... — zaczął Marillac, z trudem hamując synowskie uczucia, które w nim od dawna żyły.

— A więc? — zapytała Katarzyna czując głuche uderzenia serca.

— Poznając, najjaśniejsza pani — odparł hrabia — matkę króla... Francji, Karola IX.

— Racja. Będę mówić z tobą, panie, całkiem szczerze. Wiem, żeś przybył do Paryża. Nie chcę wiedzieć, po co i komu towarzyszyłeś. Wiem tylko, że hrabia de Marillac jest wiernym przyjacielem naszej kuzynki d'Albret, wiem, że królowa Joanna ma do ciebie bezgraniczne zaufanie, a ponieważ pragnę porozmawiać z tą wielką królową ze szczerego serca, pomyślałam, że byłbyś dla niej miłym zwiastunem...

Hrabia opanowując się z wielkim wysiłkiem odpowiedział bardzo spokojnym głosem:

— Czekam na wiadomości, jakie najjaśniejsza pani zechcesz mi powierzyć, i zapewniam, że zostaną one wiernie przekazane mojej królowej.

„Nie wie o niczym — pomyślała Katarzyna i odetchnęła z ulgą. — Zresztą, jak mógłby wiedzieć?”

— To, co chcę przekazać, jest sprawą najwyższej wagi. Nasamprzód, hrabio, nie dziw się, że cię przyjmuję tutaj, w nocy, w obecności jednego tylko wiernego przyjaciela, zamiast przyjąć cię w Luwrze. Są tego dwie przyczyny: pierwsza, że nikt nie wie o twojej obecności w Paryżu, jak również innych osobistości. Druga — to, że negocjacje, jakimi cię obarczam, muszą pozostać tajemnicą.

Hrabia się skłonił.

— Następnie — ciągnęła królowa — muszę ci wytłumaczyć, dlaczego powierzam ci zakończenie tej groźnej waśni, przez którą przelano wiele krwi ojców i wiele łez matek... ja zaś jestem nie tylko królową, lecz także matką.

Te słowa, wielce w tej chwili nieostrożne, wywołały u Deodata, jej syna, prawdziwą eksplozję bólu i to tak gwałtownego, że hrabia zbladł



jak trup. Byłby upadł, gdyby się nie przytrzymał oparcia krzesła. Katarzyna pochłonięta swoimi myślami nie zauważyła niczego, ale Ruggieri wszystko widział i... wszystko rozumiał. „On wie!” — wołał w nim jakiś głos.

— Wybrałam cię, hrabio — mówiła dalej królowa — gdyż wiem, jak bardzo kocha cię Joanna d'Albret. Wybrałam cię, gdyż mam wobec ciebie pewne zamiary.

— Zamiary wobec mnie! — zawołał hrabia z goryczą, która nie uszła uwadze astrologa. — Czyżbym miał zaszczyt być najjaśniejszej pani znanym?

— Tak, panie, znam cię, i to nawet... od znacznie dłuższego czasu, niż możesz przypuszczać.

— Czekam, żeby najjaśniejsza pani wyłożyła mi, o co chodzi.

— Za chwilę, hrabio. Na razie pragnę złożyć szczere propozycje, które z całą lojalnością proszę cię przekazać mojej kuzynce, królowej Nawarry. Słuchaj mnie uważnie i zanotuj w pamięci każdy punkt. W ten sposób uczynię wszystko dla pokoju świata i jeśli jakieś klęski spadną na królestwo — nie będę odpowiedzialna za nie ani wobec Boga, ani wobec królów ziemskich.

Słusznie czy niesłusznie, ale jestem uważana za przedstawicielkę katolików; słusznie czy niesłusznie, Joanna d'Albret uważana jest za przedstawicielkę nowej religii. Więc oto, co jej proponuję: pokój trwały i ostateczny, prawo dla reformowanych do utrzymywania jednego księdza i wystawiania po jednej świątyni w większych miastach Francji, trzech świątyń w Paryżu oraz dziesięciu fortec według wyboru królowej Nawarry jako schronienie i gwarancję. Dalej dwadzieścia stanowisk u dworu zarezerwowanych dla protestantów, prawo dla nich do głoszenia z ambony swojej teologii, dostęp do wszelkich funkcji taki sam, jak dla katolików. Co sądzisz o tych warunkach, hrabio?

— Najjaśniejsza pani, sądzę, że gdyby były przestrzegane, wojny religijne ustałyby na zawsze.

— Dobrze. A teraz oto, jakie gwarancje proponuję spontanicznie, albowiem słowo i święty podpis króla mogłyby zostać uznane za niewystarczające.

Ponieważ Marillac nie odpowiadał, królowa ciągnęła dalej:

— Książę Alba tępi reformowaną religię w Niderlandach. Proponuję utworzyć armię, która w imieniu króla Francji będzie niosła pomoc waszym braciom w Niderlandach, i to pomimo całego mojego sentymentu dla królowej Hiszpanii i dla Filipa. Ażeby nie było najmniejszych

wątpliwości, admirał Coligny obejmie najwyższe dowództwo i wybierze swoich głównych zastępców. Co ty na to, hrabio?

— Och, najjaśniejsza pani, byłoby to urzeczywistnieniem największego marzenia admirała.

— Dobrze. A teraz gwarancje, które zaświadczą o szczerości moich propozycji i o mojej chęci ostatecznego pokoju. Mam córkę, o którą ubiegają się najwięksi książęta chrześcijaństwa. Moja córka jest rękojmią trwałego aliansu. Dom, do którego ona wejdzie, stanie się na zawsze przyjacielem domu Francji. Otóż proponuję moją córkę za żonę Henrykowi Nawarry. Co ty na to, hrabio?

— Najjaśniejsza pani, mówiono mi, że jesteś geniuszem politycznym, teraz widzę, że się nie mylono.

— Więc myślisz, że Joanna d'Albret przyjmie te propozycje i że się rozbroi?

— Wobec takiej wspaniałomyślności, najjaśniejsza pani, na pewno. Jej nie rozbraja ani przemoc, ani gwałt. Moja królowa, tak jak i ty, najjaśniejsza pani, żywi szczere pragnienie pokoju. Przyjmie z radością zapewnienie, że odtąd nie będzie różnicy pomiędzy katolikiem a reformowanym.

— Więc przedłożysz moje propozycje Joannie d'Albret. Mianuję cię moim tajemnym ambasadorem tej sprawy. A oto list, który to poświadczają.

Po tych słowach Katarzyna podała hrabiemu otwarty pergamin, już opatrzony pieczęcią królewską.

Katarzyna intensywnie rozważała. Obracała w głowie myśl, którą chciała wyrazić, i ukradkiem rzucała spojrzenia na młodzieńca, swego syna. Wreszcie zaczęła z pewnym wahaniem:

— A teraz, hrabio, skończyliśmy ze sprawą Państwa i Kościoła. Czas porozmawiać o tobie. Przede wszystkim pragnę zadać ci szczere pytanie, na które, mam nadzieję, odpowiesz także całkiem szczerze. Do jakiego stopnia jesteś przywiązany do królowej Nawarry? Jak daleko sięga twoje oddanie?

Marillac drgnął, pytanie było na pozór niewinne, ale czy to sprawił ton Katarzyny, że hrabia wyczuł ukrytą groźbę przeciwko Joannie d'Albret?

Królowa chyba zorientowała się, jakie wrażenie musiała wywrzeć, gdyż nie czekając na odpowiedź mówiła:

— Hrabio, proszę mnie dobrze zrozumieć. Królowa Nawarry, jeśli przyjmie moje propozycje — w co nie wątpię — przybędzie do Paryża na uroczystości wielkiego pojednania. Szczerze pragnę, żeby ślub mojej córki z młodym Henrykiem stał się okazją do ludowych festynów,

o których pamięć pozostanie żywa na całe wieki. Wiedz, hrabio, iż marzy mi się dla Henryka Bearneńskiego los pełen chwały. Skoro będzie należał do rodziny, pragnę dla niego prawdziwego, godnego jego osoby królestwa. Czym jest Nawarra? Ładnym zakątkiem, to prawda, który byłby królestwem do przyjęcia dla szlachcica niemającego niczego na świecie. Ale dla Henryka Bearneńskiego chcę czegoś takiego, jak druga Francja... na przykład Polski!

— Polski? — zawołał zdumiony hrabia.

— Tak, drogi hrabio. Mam poważne doniesienia z tego dużego państwa. Chyba niebawem będę mogła dysponować tym pięknym tronem... Rezerwuję go dla jednego z moich synów. A czy Bearneńczyk nie zostanie moim synem od dnia, kiedy poślubi Małgorzatę Francuską? No i odtąd Nawarra nie będzie miała króla!

— Najjaśniejsza pani — powiedział stanowczo Marillac — nie sądzę, aby Joanna d'Albret kiedykolwiek zrezygnowała z Nawarry.

— Wszystko jest możliwe, hrabio, nawet to, że Joanna i jej syn odrzucą godność, o jakiej dla nich marzę w żarliwym pragnieniu wymazania smutnej przeszłości. Ale jeżeli mylisz się, hrabio, jeżeli z takich czy innych powodów Nawarra stałaby się wolna... cóż, potrzebny byłby jej król... Ty, hrabio!

To oświadczenie spadło na Marillaca jak grom z jasnego nieba; przez ułamek sekundy błysnęła mu myśl, że Katarzyna wie, iż jest jej synem. Oszołomiony wybełkotał:

— Ja! Ja królem Nawarry!?

— Ty, hrabio — spokojnie potwierdziła Katarzyna.

— Ja! Najjaśniejsza pani, potężne musiałyby być przyczyny sprawiające, że bezimienny biedak zostałby królem.

— Znajdę je, nie obawiaj się, hrabio!

— Miłościwa pani nie zrozumiała mnie. Nie szukałem przyczyn, dla których zostałbym królem. Chodzi mi o przyczynę, która kieruje tobą, madame, że chcesz zrobić ze mnie króla. Chodzi mi o myśl, która tobą powoduje. Och, najjaśniejsza pani, pragnę wiedzieć jedynie to, reszta jest niczym!

Podniecenie hrabiego zdziwiło Katarzynę, ale przypisała je zaskoczeniu.

— To nieważne, hrabio — rzekła. — Czy ci nie mówiłam, że mam wobec ciebie pewne plany? Pochwyć, hrabio, szczęśliwy los, który masz w zasięgu ręki, nie troszcząc się, jaki kaprys popchnął go w twoją stronę.

Dla mnie w tej chwili najważniejsze jest pytanie, jak daleko sięga twoje

przywiązanie do Joanny d'Albret. Gdyż liczę na ciebie, że doprowadzisz do końca zamiar, który we mnie dojrzewa...

Widząc gest hrabiego, dodała z bladym uśmiechem:

— To znaczy, zamiar, który zapewni Bearneńczykowi inne królestwo...

Marillac pochylił głowę i odpowiedział zrazu cichym, smutnym głosem, który przybierał na sile w miarę mówienia:

— Madame, przestanę zatem dochodzić intencji najjaśniejszej pani i ograniczę się do odpowiedzi na postawione mi pytania. Przed chwilą wypowiedziałaś, pani, słowa, które mnie głęboko wzruszyły. Powiedziałaś: ja także jestem matką... Musisz zatem rozumieć, królowo, przynajmniej tak przypuszczam, jakim może być uczucie syna dla jego matki...

Katarzyna pobladła:

— Panie, masz dziwny sposób wyrażania się...

— Proszę mi wybaczyć, najjaśniejsza pani — odpowiedział Marillac z okrutnym chłodem — mam prawo przypuszczać wszystko, wątpić we wszystko, odkąd zostałem porzucony przez moją matkę...

— Panie, szlachcic może wątpić we wszystko na świecie, z wyjątkiem słów królowej.

— Pytałaś mnie, najjaśniejsza pani, jak daleko sięga moje przywiązanie do mojej królowej. Jest to przywiązanie synowskie. Nie jestem szlachcicem, nie wiem, kim był mój ojciec. Kim ja jestem? Ja, którego chcesz, pani, osadzić na tronie! Znajdą! Jedna jedyna kobieta ulitowała się nade mną. Podniosła mnie z ziemi, wzięła w ramiona, przygarnęła, wychowała na równi ze swoim synem. Ta kobieta jest prawdziwą matką... to moja królowa... to wielka i szlachetna Joanna d'Albret. Ostatnie słowo: jeśli chodzi o moją prawdziwą matkę, tę, która mnie porzuciła — jedyne, czego mogę pragnąć, to żebym jej nigdy nie poznał.

Przy tych słowach hrabia de Marillac cofnął się, skrzyżował ręce na piersi i czekał. Ale źle znał królową. Na pozór nieporuszona, nie pozwalając sobie na najmniejsze drgnienie twarzy, tylko pokręciła głową:

— Rozumiem, hrabio, rozumiem, co musiałeś wycierpieć, i pojmuję także twoje przywiązanie do mojej kuzynki d'Albret. Widzę, że mnie nie wprowadzono w błąd. Jesteś człowiekiem o szlachetnym sercu, takim cię odmalowano. Na razie wystarczy, abyś przekazał królowej moje propozycje...

Według zwyczaju, odprawiając hrabiego Katarzyna podała mu rękę do ucałowania. Ale młodzieniec chyba nie zauważył tego, gdyż tylko skłonił się głęboko.

Ruggieri chciał go wyprowadzić, ale Katarzyna powstrzymała go spojrzeniem. Kiedy uznała, że Marillac jest już w sali parterowej, chwyciła astrologa za rękę mówiąc:

— On wie!

— Nie sądzę — odparł Ruggieri.

— A ja ci mówię, że on wie! Dalej, prędko, sygnał!

— Madame! Madame! To nasze dziecko!

Gwałtownie pociągnęła go ku oknu, otworzyła je:

— Sygnał! — warknęła.

W tej chwili Marillac ukazał się na moście. Katarzyna zobaczyła jego wysoką, wytworną sylwetkę.

— Łaski! Katarzyno! — błagał przerażony ojciec. — Łaski dla dziecka naszej miłości!

Nie mówiąc ani słowa Katarzyna wyrwała mu gwizdek, który miał zawieszony na złotym łańcuszku, i podniosła go do warg. Miała już zagwizdać, dać sygnał, o którym mówiła...

Nagle zza rumowiska na wprost okna wynurzył się jakiś cień. Mężczyzna, którego Katarzyna i Ruggieri zauważyli z okna, szybko dopędził hrabiego, ujął go pod ramię i obaj się oddalili.

Tym mężczyzną był kawaler de Pardaillan.

— Wziął kogoś do asysty! — szepnęła Katarzyna z taką wściekłością, że Ruggieri się przeraził.

— Tak — przyświadczył. — I zapewne inni jeszcze ludzie są rozstawieni w pobliżu. Nasi czterej rębacze nie daliby rady... Zresztą... spojrz, jest za późno.

Katarzyna z całych sił cisnęła gwizdkiem o ścianę i zasyczała:

— Uciekł mi dzisiaj... ale to tylko odłożona partia... On wszystko wie, René! Jak? Od kogo? Niewątpliwie od tej piekielnej Joanny d'Albret! To ona powiedziała mu prawdę... Ale jak sama zdołała ją odkryć? Och, ten człowiek musi niebawem umrzeć... Joanna też musi zginąć...

## W CO SIĘ BAWIŁ MAŁY JAKUB-KLEMENS

Kawaler de Pardaillan odprowadził Marillaca do samych drzwi pałacu Coligny. Dochodziła północ. Marillac ogromnie jeszcze wzruszony sceną, którą właśnie opisaliśmy, prawie się nie odzywał, ale poprosił, aby przyjaciel wszedł z nim do pałacu, na co ten się zgodził.

Hrabia natychmiast kazał zbudzić króla Nawarry, Coligny'ego i ich towarzyszy. Kiedy się wszyscy stawili, oznajmił, że Katarzyna Medycejska zna ich schronienie.

— Musimy uciekać — powiedział po prostu Coligny.

— Musimy zostać — odparł król Nawarry stanowczo. — Jeżeli Katarzyna jeszcze nie kazała otoczyć tego domu, to znaczy, że ma zamiary, które musimy poznać za wszelką cenę.

— Wasza królewska mość ma rację. — powiedział Marillac.

Opowiedział punkt po punkcie swoją rozmowę z królową. Po dłuższej dyskusji ustalono, że królowa Joanna, faktyczny przywódca hugonotów, powinna być powiadomiona. Zresztą propozycje Katarzyny zostały dobrze przyjęte przez Coligny'ego, który szczerze marzył o pokoju i był zachwycony pomysłem przyjscia z pomocą protestantom w Niderlandach.

Ustalono, że Marillac wyjedzie jak najprędzej.

Hrabia wrócił do Pardaillana, który drzemał w fotelu, i wytłumaczył mu całą sprawę.

— Oto, czego oczekuję od ciebie, przyjacielu. Moja nieobecność może potrwać nawet miesiąc. W tej sytuacji dobrze się stało, że cię przedstawiłem Alicji. Pójdiesz do niej i powiesz, że pojechałem do królowej Nawarry. I żeby osłodzić jej rozłąkę dodaj, że pragnę wykorzystać tę okazję i poinformować królową o naszej miłości. Prawdopodobnie Joanna d'Albert przybędzie do Paryża; wtedy, mam nadzieję, nic nie stanie na przeszkodzie, aby Alicja została moją żoną.

Przyjaciele spędzili jeszcze godzinę gawędząc o tym, co ich najbardziej interesowało: Jan opowiadał o Loizie, Marillac o Alicji. Wreszcie uściskali się i Jan wrócił do pałacu Montmorency, żeby trochę odpocząć; Marillac zgodnie z poleceniem wyruszył o świcie w drogę.

Po kilku dniach po Paryżu zaczęły kursować pogłoski, że pokój podpisany w Saint-Germain, dotychczas kulejący i chwiejny, ma stanąć mocno na nogi. Niebawem zaczęto dodawać coś więcej: że Henryk Berneński pošlubi Małgorzatę Francuską, że z tej okazji odbędą się wspaniałe festyny, że Joanna d'Albret z całą pompą wjedzie do Paryża w eskorcie najdosłojniejszych hugonotów królestwa.

W tym okresie kawaler de Pardaillan błąkał się po Paryżu jak dusza potępiona. Wszelkie jego usiłowania odnalezienia Loizy spełzały na niczym.

Marszałek de Montmorency, coraz posępniejszy, zaczynał tracić nadzieję. Biednemu Janowi przychodziło do głowy, że Loizę z matką zapewne zesłano do jakiejś prowincjonalnej dziury. Na domiar złego jego ojciec nie tylko nie przynosił mu obiecanych wiadomości, ale całkiem zniknął z horyzontu.

Już w dniu wyjazdu przyjaciela Jan dotrzymując obietnicy odwiedził Alicję de Lux. Przyjęła go z jakąś gorączkową radością, co było rzadkim zjawiskiem u tej dziewczyny nawykłej do skrajnej ostrożności. Pierwsze, o co zapytała, to czy jej narzeczony nie został napadnięty wychodząc od niej.

— Bądź spokojna, pani, wszystko odbyło się jak najlepiej.

— A jednak, panie, przychodzisz sam...

Wtedy Pardaillan opowiedział, jak zaczął ich nieznajomy szlachcic i jak zaprowadził hrabiego do królowej...

— Do królowej! — wykrzyknęła przerażona Alicja. — Do Luwru?

— Nie, nie do Luwru, ale do pewnego domu przy Drewnianym Moście. Wyszedł stamtąd bez najmniejszego szwanku, o czym najlepiej świadczy fakt, że to ja, czekający na niego przed drzwiami, odprowadziłem go do pałacu na Béthisy.

— Czy nic ci nie mówił, panie, o tym dziwnym spotkaniu? — zapytała Alicja zmieszana, z pewnym wahaniem.

— Tak. Pan hrabia został obarczony jakąś tajną misją do królowej Nawarry i musiał dziś rano wyjechać z Paryża, wobec czego zobowiązałem mnie, że przyjdę uspokoić cię, pani.

Alicja zbladła, zagryzła wargi. Tysiące pytań, których nie śmiała sformułować, cisnęło się jej na usta. Jedno tylko pocieszało Jana: dziewczyna najwidoczniej szczerze kochała Marillaca. Ale w takim razie, co oznaczało to jej zmieszanie? I w sposób jak najbardziej naturalny, kończąc swoją misję dodał:

— Ale to nie wszystko jeszcze. Mój przyjaciel zlecił mi zawiadomić

cię, pani, że chce skorzystać z tej podróży do królowej Nawarry, by jej wyznać swoją miłość do ciebie.

Gdy wyrzekł te słowa, Alicja zaczęła dygotać jak w febrze. Usłyszał jej szept:

— Jestem zgubiona!

— Chyba mnie źle rozumiałaś, pani — zawołał Jan. — Hrabia chce prosić królową o pozwolenie na poślubienie cię zaraz po powrocie do Paryża... Myślałem, że sprawię ci tą wiadomością ogromną radość...

— Tak... istotnie... — wykrztusiła Alicja — to ogromna radość, och, umieram!

Alicja de Lux padła zemdlona. Kawaler de Pardaillan, z mieszanymi uczuciami litości i podejrzeń, zobaczył, jak z oczu zemdlonej stoczyły się dwie łzy świadczące o tym, że jeszcze żyje.

Na jego wołanie nadbiegła przestraszona Laura, która zresztą podśluchiwała pod drzwiami.

— Nie denerwuj się, panie — powiedziała z uśmiechem, który Janowi wydał się dziwny — moja siostrzenica miewa takie zawroty głowy.

Mówiąc to stara zwilżyła skronie Alicji octem i usiłowała zmusić ją do przełknięcia paru kropel eliksiru z małej flaszeczki.

— Ach — zdziwił się kawaler — pani jest waszą siostrzenicą?

— Tak, panie. Cóż to, moje dziecko, masz bóle? Może w sercu?

Alicja otworzyła powieki, a widząc Pardaillana zdobyła się na nadludzki wysiłek, żeby odpowiedzieć:

— Nie...

— Może to z radości? — nalegała groźna starucha.

— Tak — ze smutkiem odrzekła Alicja.

Po chwili oprzytomniała zupełnie, odzyskała zimną krew i zwykłą siłę woli, która czyniła z niej rzeczywiście nieprzeciętną kobietę. Pardaillan chciał się dyskretnie wycofać, ale zatrzymała go prosząc o szczegółową relację z wszystkiego, co wiedział.

Wreszcie wyszedł niesłuchanie zaintrygowany, obiecując sobie, że rozszyfruje tajemnicę, którą tu wyczuwał. Ale kiedy po paru dniach poszedł odwiedzić Alicję, zastał dom zamknięty jak pałac Mesmes. Zapytani sąsiedzi nie potrafili udzielić żadnych informacji.

Pardaillan beczynny, śmiertelnie znudzony, spędzał większą część doby na wędrówkach po Paryżu. Któregoś dnia, kiedy przeszedłszy przez most snuł się po dzielnicy uniwersyteckiej, przypadek zaprowadził



go na wzgórze św. Genowefy, na odludną uliczkę biegnącą wzdłuż lewego skrzydła klasztoru Karmelitów.

Do murów klasztornych przylegały różne domy, niektóre z nich nawet tylnymi drzwiami łączyły się z klasztornym dziedzińcem. Były to najczęściej kramiki cichcem subwencjonowane przez mnichów, którzy sprzedawali w nich dewocjonalia.

W jednym z takich kramików wyrabiano sztuczne kwiaty, jakimi się dekoruje ołtarze w kościołach.

Ponieważ dzień był bardzo gorący, wszyscy pilnie pracowali na progu, wprost na ulicy: mężczyzna wyglądający na patrona, dwie kobiety i młoda dziewczyna. O kilka kroków od nich jakieś dziecko robiło kwiaty samotnie.

Jan przystanął, żeby na nie popatrzeć. Dziecko wyróżniało się bystrym wyrazem wielkich, przepastnych oczu. Było blade i wątłe, bił od niego smutek. Niekiedy wyciągało na odległość ramienia trzymaną w rączce gałąź i mrużąc oczy sprawdzało swoje dzieło, poprawiało jakiś szczegół, który mu się wydawał wadliwy, i wracało z całą pasją do pochłaniającego je zajęcia. To dziecko miało duszę artysty.

Nie wiadomo dlaczego, Pardaillan zainteresował się jego pracą, nawet go wzruszyła.

— Co robisz, chłopcze? — zapytał. — Pracujesz tutaj?

— Och nie, proszę pana, ja się bawię.

— Tak? To bardzo ładne, co tworzysz.

Lody zostały skruszone. Jan przykucał obok chłopca. I on także bawił się! Prostował końce gałązek, przytwierdzał kwiatki drżące na druczianych lodyżkach.

— Ja robię głóg!

— Głóg? A po co?

— No bo... mam własny malutki ogródek, tylko mój.

— Gdzie?

— Tam, w dużym klasztorным ogrodzie, pod samą kaplicą.

— I chcesz w nim zasadzić głóg? — uśmiechnął się Jan.

— Nie, tylko żeby go ogrodzić...

— Ale dlaczego nie posadzisz prawdziwego głogu? Zresztą, głóg nie kwitnie o tej porze roku.

— No właśnie! To dlatego... Bo mój głóg będzie kwitł stale; przecież widzisz, panie...

— Widzę. Jest rzeczywiście ładny, ten twój głóg.

— Prawda? — wykrzyknął mały artysta zachwycony uznaniem, zresztą całkowicie zasłużonym. — Nazywam się Klemens. Ale ty nic nie wiesz, panie...

— Nie, mój chłopcze, nic nie wiem...

— Więc posłuchaj, panie: ja nie mam matki, a wiesz dlaczego?

— Nie, drogie dziecko — odparł wzruszony Jan.

— Mój dobry przyjaciel powiedział mi, że skoro nie mam matki, znaczy że umarła. Czy wiesz, co to jest być umarłym? Tego kogoś kładzie się do ziemi... moja matka jest w ziemi, na cmentarzu Niewiniątek. — Mały artysta kontynuował zwierzenia: — Wiesz, panie? Kiedy będę miał dużo głogu, kiedy pełno go będzie dookoła mego ogródka, aż utworzy gęste krzaki, pewnego dnia wezmę cały ten głóg i położę tam, gdzie moja matka jest w ziemi.

— Na cmentarzu Niewiniątek?

— Tak, mój przyjaciel powiedział, że ona tam jest, ale dużo czasu zeszło, nim mi to powiedział. W ten sposób matka będzie zadowolona, prawda?

— Na pewno, mój chłopcze, bardzo zadowolona.

Na tym rozmowa się urwała, dziecko wróciło do swego zajęcia z takim przejęciem, że Jan nie miał odwagi zadawać mu dalszych pytań.

Kiedy odchodził, usłyszał dzwon klasztorny. Odwrócił się i zobaczył, jak jakiś błady mnich bierze dziecko za rękę, usłyszał, jak do niego przemawia:

— Chodź, Jakubku, czas wracać.

„A więc mój mały przyjaciel nazywa się Jakub i Klemens” — pomyślał Jan.

### XXXIII

## PIWNICE PAŁACU MESMES

Zostawmy na razie Pardaillana-syna, żeby się zająć Pardaillanem-ojcem. Co się z nim dzieje? Dlaczego nie dąży do ponownego spotkania z synem?

Przenieśmy się do pałacu Mesmes nazajutrz po tym, jak Franciszek de Montmorency w asyście swego giermka rzucił wyzwanie.

Henryk ukryty za zasłoną obserwował przez okno tę scenę. Obelga była ciężka, śmiertelna, ale widocznie Damville nie uważał, że chwila jest

odpowiednia, żeby zareagować, gdyż rozkazał zostawić rękawicę na miejscu.

Zresztą pałac miał uchodzić za niezamieszkaną. Większość służby wysłano do innej rezydencji, którą marszałek posiadał na ulicy Fossés-Montmartre, nie opodal bagnisk przy Grange-Batelière. Wysłano tam także mały garnizon pałacowy, tak że przy Damville'u pozostało tylko trzech czy czterech żołnierzy, oficer, stary Pardaillan i dwóch lokajów. Jeannette awansowana do rangi kucharki, gotowała posiłki dla wszystkich, rozglądając się bacznie dookoła, gdy wychodziła. Ranny d'Aspremont został przeniesiony do domu na Fossés-Montmartre.

Nazajutrz po wyzwaniu marszałek de Damville, który żywił dla Orthèsa takie przyjazne uczucia, na jakie go było stać, poszedł odwiedzić rannego i odbył z nim długą rozmowę, której głównym tematem był Pardaillan. Marszałek wrócił do pałacu zamyślony i kazał wezwać starego.

— Mości Pardaillan — zaczął — czy wiesz, kim były osoby znajdujące się w karecie napadniętej owej nocy, kiedyśmy stąd odjechali?

— Nie mam najmniejszego pojęcia, dostojny panie.

— Czy orientujesz się waść, w czyim interesie mogło leżeć zaatakowanie karety?

— Na to mogę odpowiedzieć, gdyż wiem to od was, jaśnie panie: W interesie jego brata, pana marszałka.

— Tak. I czy nie twierdziłeś, że syn nie może służyć u mnie, skoro należy do ludzi mego brata?

— Istotnie, wasza wysokość... ale te pytania...

— Zaczekaj, waszmość... Powiedziałeś, żeś zabił człowieka, który nas zaatakował. Otóż ten zabity człowiek ma się wspaniale!

— Ach, ach, to coś nowego! — stwierdził stary lodowatym tonem, jednocześnie szybkim ruchem upewniając się, że sztylet i szpada są na podorędziu, gotowe do użytku.

— Widzisz waść, że jestem dobrze poinformowany. Ale wiem coś więcej. Jesteś ciekaw, co?

— Jaśnie pan odznacza się dzisiaj uprzejmością, za którą będę doggonie wdzięczny.

— Czy wiesz, jak nazywa się mężczyzna, którego nie ścigałeś do bramy Bordet, lecz odprowadziłeś pod rękę do karczmy „Pod Bijącym Młotem”, którego bynajmniej nie przygwoździłeś pchnięciem szpady, a który weszły dookoła pałacu, tak że każę go pojmać i związać?

— Dowiedziałbym się z największą przyjemnością, jaśnie panie.

— Otóż nazywa się on kawaler de Pardaillan i jest twoim synem! .

— Tym samym, który uwolnił wielmożnego pana z rąk bandytów? — zapytał stary z uprzejmą bezczelnością.

Marszałkowi na chwilę odjęło mowę. Spodziewał się, że Pardaillan zblednie, a ten tymczasem śmiał mu się w nos.

— Nie będziemy się gniewać — powiedział cicho Damville — przynajmniej jeszcze nie teraz. Czy to, co mówię, jest zgodne z prawdą?

— Skoro jaśnie pan tak mówi, byłoby z mojej strony zbyt śmiałością twierdzić, że jest przeciwnie. Jeśli książę powiada, że mój syn go zaatakował — widocznie tak było. A że ja go odprowadziłem — możliwe. Pozostaje mi tylko powinszować tak dokładnych informacji.

Obaj panowie zmierzyli się wzrokiem i tym razem znowu wszechwładny magnat spuścił wzrok. Pardaillan ciągnął dalej:

— Mój sposób wyrażania nie podoba się wam, panie? Czy to moja wina? Znalazłem się w jak najgorszej sytuacji. Chcąc dochować wam wierności, muszę stać się wrogiem swego syna. Staram się pogodzić interes księcia z jego interesem...

— Pardaillan, nie na tym rzecz polega

— A na czym, jaśnie panie?

— Twój syn musi wiedzieć, kto znajdował się w karecie.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Ale, ale! On nie tylko wie, ale na pewno ci o tym powiedział!

— Mylisz się, dostojny panie.

Marszałek szybko postąpił dwa kroki w stronę Pardaillana.

— Kto wie, czy nie jesteś z nim w zмовie! Syn u Montmorency'ego, ojciec u Damville'a... sprawy układają się same przez się... mości de Pardaillan, uważam ciebie i twego syna za nędzników!

Stary wyga wyprostował się lekko pobladły i odezwał się głosem przerażająco spokojnym:

— Wasza wysokość, uważam tę obelgę za niebyłą, dopóki nie podejmiesz rękawicy, która wisi jeszcze na drzwiach pałacu.

Damville, oszalały z wściekłości, rzucił się na Pardaillana ze sztyltem. Ale ten oczekiwał go jak wrośnięty w podłogę. Uniesione ramię nie spadło na niego, gdyż chwycił marszałka za nadgarstek i broń wypadła mu z ręki. Henryk jęknął.

— Panie — rzekł Pardaillan — mógłbym cię zabić, byłbym w prawie, ale daruję ci życie, żebyś mógł zmyć obelgę rzuconą ci w twarz przez brata. Podziękuj mi, panie.

— To ty zginiesz! — ryknął Henryk. — Do mnie! Do mnie!

— A więc walka! — powiedział Pardaillan dobywając szpady. W jednej chwili wszystko, co żyło w pałacu, przybiegło na krzyk pana. Pardaillan miał przed sobą sześciu uzbrojonych ludzi.

— Dalej! Dalej! — wydierał się Henryk. — Nie oszczędzać go!

Pardaillan robiąc szpadą młynki uskokzył w lewy róg komnaty.

— Tutaj, sforo! — krzyknął.

Napastnicy rzucili się w jego stronę odsłaniając drzwi. Tego właśnie chciał stary rębacz. W okamgnieniu chwycił szpadę zębami mocnymi jak kły wilka, porwał ogromny fotel i z całej siły cisnął nim w napastników, którzy rozpięchli się pod ściany. Wtedy ujął szpadę w dłoń, rzucił się ku drzwiom i wybiegł z głośnym śmiechem.

Paroma susami, ścigany przez wściekłą zgraję, dotarł do dolnego podestu. Były tu drzwi prowadzące na dziedziniec. Pchnął je, chcąc otworzyć.

— Przekleństwo! — jęknął. Drzwi były zamknięte.

— Dalej! Za nim! Mamy go! — wrzeszczał officer.

Na lewo od schodów zaczynał się korytarz prowadzący do oficyn i na tył pałacu! Stąd Pardaillan mógłby wskoczyć do ogrodu i byłby uratowany... ale rzuciwszy okiem na drzwi oficyny zrozumiał, że były także zamknięte.

Znalazł się w potrzasku, przed sobą miał siedmiu rozwścieczonych napastników dobrze uzbrojonych, za sobą — drzwi nie do pokonania. Obliczył swoje szanse. Napastnicy nie mogli go teraz otoczyć, mogli podchodzić najwyżej po trzech od przodu i to wzajemnie sobie przeszkadzając.

— W ostateczności — warknął przez zęby — może mi się uda wybić ich jednego po drugim.

Na to się zdecydował, gdyż pozostała mu tylko taka alternatywa: wielka rzeź albo śmierć.

Tymczasem ciosy spadały na niego jak grad, odparowywał je, ripostował, co chwila jego długa szpada wbijała się w tłumek. Jednego zranił, reszta wrzeszczała przeraźliwie.

Czyjaś szpada trafiła go w ramię rozdzierając kaftan. Rana lekko krwawiła.

Już się był cofnął o jakieś pięć kroków zraniwszy dopiero trzech; co prawda, jeden odpadł z walki, leżał rozciągnięty na podłodze i rzeził.

Ale w tej chwili Pardaillan poczuł, że drętwieje mu prawa ręka: to otworzyła się rana zadana przez d'Aspremona. Ujął szpadę w lewą dłoń.

— Dalej! Dalej! — wrzeszczał Henryk. — Goni resztką sił!

— Zwierzyna jest nasza! — wyła zgraja.

W ciemnej kiszce schodów ścieranie się stali, odgłosy ciosów, rżężenie i dosadne przekleństwa sprawiały nieopisany tumult.

Koniec szpady zranił starego w lewy nadgarstek w chwili, kiedy po wypadzie na oficera już się był cofnął. Oficer padł i bił obcasami w podłogę; po chwili nie żył. Pardaillanowi pozostało już tylko czterech przeciwników.

Czuł się bardzo wyczerpany, lewa ręka sprawiała nieopisany ból, musiał chwycić szpadę w prawą; ciężko dysząc oparł się lewym bokiem o ścianę, w oczach mu pociemniało, miał wrażenie, że zaraz upadnie... Cofnął się jeszcze o dwa kroki, żeby uniknąć wściekłego ciosu Damville'a. Ale w tym momencie któryś z żołnierzy trafił go w kolano.

— To koniec — szepnął. Szpada wypadła mu z ręki.

Cofał się jednak dalej przytrzymując ręką ściany. Nagle wydało mu się, jak gdyby ściana się otwarła, zobaczył czarny otwór ziejący tuż przy nim i ostatkiem sił, bliski omdlenia, stoczył się bezwładnie, wpadł do niego.

— Zatrzasnąć drzwi — wrzasnął Henryk. — Niech zdycha w piwnicy!

Żołnierze spełniając rozkaz starannie zamknęli i zaryglowali drzwi.

Pardaillan rzeczywiście stoczył się do piwnicy — tej samej, w której ongiś siedział zamknięty jego syn. Kiedy oparł się ręką o przymknięte drzwi, poddały się i stary wiedziony instynktem ostatnim wpadł przez nie na dół.

Sturlał się ze schodów i leżał bez życia na podłodze. Gdyby marszałek dalej go ścigał, mógłby łatwo go dobić ciosem sztyletu. Ale Damville nie przypuszczał, że Pardaillan jest aż w tak złym stanie, obawiał się wyniku walki w półmroku wiedząc, że jego oddziałek jest mocno przezebiony.

„Za kilka dni — myślał — zostanie tu już tylko trup i każę go wrzucić do Sekwany”.

Tymczasem Pardaillan leżał bez ruchu; rany silnie krwawiły, groziła mu śmierć z wyczerpania. Ale w starych wojakach tkwią twarde dusze. Po jakiejś godzinie ciało u dołu schodów zaczęło poruszać rękami, potem nogami, potem głowa się uniosła, wreszcie orzeźwiony piwnicznym chłodem stary dźwignął się, usiadł, przeciągnął rękami po czole. W końcu oprzytomniał zupełnie i pierwszą jego myślą było: „Oho, nie umarłem!”

Nagle ręka spoczęła na czymś chłodnym, zakurzonym, okrągłym, a raczej cylindrycznym.

— Butelka — ucieszył się. — Czy to możliwe?

Jednym stuknięciem o podłogę na chybił trafił odłupał szyjkę. Zaczął pić z rozkoszą: było to wino chłodne, mocne, wonne, miłe dla podniebienia i ożywcze dla serca. Jego skutki nie kazały na siebie czekać. Pardaillan poczuł, jak wracają mu siły, a wraz z nimi pamięć.

— Dobra! — mruknął. — Skoro nie zostałem zadżgany, skoro nie zeszi tu, żeby mnie dobić, trzeba nabrać sił. Ale przede wszystkim, w jakim jestem stanie?

I Pardaillan, który znał się na tym lepiej od chirurga, zaczął się obmacywać, starannie badać rany.

Wynik tych samoogłędzin był następujący:

Po pierwsze, rana tłuczona w tyle głowy, pochodząca zapewne od upadku ze schodów; item, z tych samych powodów złamany ząb i zdarta skóra na nosie; item, z tych samych powodów ostry ból w prawym łokciu.

Po drugie, rana prawej dłoni zadana w czasie pojedynku z d'Aspremontem otworzyła się podczas bójki w korytarzu.

Po trzecie, rana cięta lewego nadgarstka.

Po czwarte, głęboka rana nieco ponad prawym kolanem.

Po piąte, cięcie na prawym ramieniu.

Po szóste, rana drążąca w prawej piersi.

Po tym podsumowaniu i po najskrupulatniejszym obmacaniu się Pardaillan nie znalazł innej rany ani skaleczenia i stwierdził, że w sumie nie ma od czego umierać w czeluściach piwnicy. Należy natomiast pomyśleć o opatrzeniu ran.

Z trudem udało mu się wyłuskać z ubrania, a kiedy doszedł do koszuli pod kaftanem, zawołał radośnie:

— Na Boga, można nią zabandażować dwadzieścia ran!

Nie mając wody do ich przemycia, Pardaillan obmył je winem.

Dźwignął się na nogi i po omacku zrobił kilka kroków. Wydał pomruk zadowolenia: stara maszyna dobrze się trzymała! Wobec tego poszukał niezbyt wilgotnego i twardego kąta i zapadł w głęboki sen.

Kiedy się zbudził, zaczął się rozglądać dookoła usiłując coś dojrzeć w ciemnościach. Mruczał przy tym pod nosem:

— Czy warto przejmować się ranami? Jeśli się nie mylę, najdalej za cztery czy pięć dni śmierć przyjdzie uleczyć mnie z nich i ofiarować mi spokój wiekuisty! Przecież muszę umrzeć z głodu!

Tak mamrocząc Pardaillan odnalazł schody wiodące do drzwi i próbował, czy mu się nie uda... ale natychmiast zrozumiał, że z równym powodzeniem mógł próbować przebić grube mury pałacu.

Nagle wpadła mu do głowy myśl, że chociaż on nie może otworzyć drzwi, inaczej sprawa przedstawia się z zewnątrz i że ktoś mógłby wejść i poderżnąć mu gardło we śnie.

Przez dziwną przekorę, a może nie tracąc resztek nadziei, Pardaillan, godząc się na śmierć głodową, stanowczo nie chciał umierać z poderżniętym gardłem; postanowił zabarykadować drzwi uniemożliwiając wejście do piwnicy, skoro sam nie mógł z niej wyjść.

Zszedł więc z powrotem, żeby poszukać potrzebnych materiałów; chcąc zabrać się do tej roboty z sercem, najpierw skierował się do kąta z butelkami, wziął jedną, odłamał szyjkę i przytknął butelkę do ust. Odkrył tuż obok prawdziwą kopalnię szynek. Były starannie ułożone na słomie, toteż Pardaillan zabierając się do pierwszej stwierdził z zadowoleniem:

— Mam łóżko, mam napoje i jedzenie równie smaczne, co pożywne.

Dodajmy, że udało mi się zabarykadować drzwi jakimiś belkami.

Teraz był już pewien, że nikt nie może go napaść, nie budząc ze snu. A chociaż w czasie bitwy zgubił szpadę, to jednak zachował sztylet, wobec czego miał się czym bronić.

Pomału wzrok oswoił się z ciemnością; wąska smuga padająca z okienka wydawała mu się w końcu prawdziwym promieniem światła. Dzięki niej mógł się orientować, czy to dzień, czy noc.

Tymczasem czas mijał. Dzięki żelaznej konstytucji Pardaillan szybko pozbył się gorączki. Rany się zabiłziały.

Niestety, kopalnia szynek wyczerpywała się w takim samym tempie. A przecież obeznany z obłąkami stary lis natychmiast pomyślał o racjonowaniu żywności, wprowadził je od pierwszej chwili.

Pomimo oszczędności, która szybko przemieniała się w skąpstwo, a nawet w sknerstwo, Pardaillan stwierdził pewnego dnia, że pozostała już tylko jedna szynka.

Od jego uwięzienia w piwnicy minął może miesiąc, może nieco więcej. Rany się zagoiły. W sumie dotychczas nie cierpiał ani głodu, ani pragnienia, ale teraz problem powstał na nowo, i tym razem nieuchronny.

Przez cały długi czas Pardaillan bezustannie wysiłał wyobraźnię, żeby znaleźć sposób ucieczki. W głowie rodził się jeden projekt po drugim,



ale po namyśle musiał uznać ich bezużyteczność, toteż zrezygnował z jednego po drugim. Nie miał żadnej możliwości wydostania się na wolność!

Za dwa, najdalej za trzy dni zabraknie mu jedzenia! I wtedy zacznie się długa, straszna agonia, zakończona śmiercią w męczarniach!

## XXXIV

### JOANNA D'ALBRET

Kiedy hrabia de Marillac wyruszył w drogę, żeby wypełnić misję powierzoną mu przez Katarzynę, królowa Nawarry przebywała w La Rochelle, twierdzy uważanej przez protestantów za ich najpewniejszy bastion.

Joanna d'Albret zgrupowała tu wszystkie siły, jakimi dysponowała. Obmyśliła plan równie prosty, co zuchwały, składający się z dwóch równoczesnych akcji.

Plan ten polegał na zgrupowaniu pod murami La Rochelle wszystkich protestantów Francji zdecydowanych zaryzykować silne natarcie dla zdobycia wolności sumienia. Gdy tylko armia ta zostanie zgromadzona i zorganizowana, Joanna osobiście obejmie dowództwo i ruszy prosto na Paryż. Taka była pierwsza część planu.

Druga polegała na próbie zamachu w samym Paryżu, która miała zbiec się w czasie z ukazaniem się Joanny d'Albret na wzgórzach Montmartru, skąd zamierzała zaatakować.

Zamachem miało być porwanie króla Karola IX i przewiezienie go do obozu protestantów. Jako pierwsi mieli wyruszyć do Paryża Coligny, Kondeusz i Bearneńczyk, zainstalować się tam i przygotować porwanie.

Tak wyglądał drugi człon akcji.

Rezultatem tych dwóch kombinacji miało być, co następuje:

Joanna d'Albret stawiałaby się pod murami Paryża z armią w sile około piętnastu tysięcy piechoty, dwóch tysięcy kawalerii i dwudziestu armat. Na sygnał dany przez nią ze wzgórza Montmartru Henryk Bearneńczyk z Kondeuszem i Colignym mieli wsiąść na konie i w otoczeniu

czterystu paryskich hugonotów przejechać oblężoną stolicą w kierunku bramy Montmartre krzycząc do paryżan, że król Karol IX znajduje się w obozie hugonockim.

Joanna d'Albret liczyła, że wejdzie do Paryża bez wystrzału, dołączy do syna, ruszy na Luwr i podyktuje swoje warunki Katarzynie Medycejskiej.

Tak wyglądały sprawy, kiedy Joanna d'Albret otrzymała list, który ją ogromnie zmieszał i zachwiał jej postanowieniem. List pochodził od Karola IX, doręczył go jeden z dworzan króla.

W tym piśmie Karol IX zapewniał królową Nawarry o swojej dobrej woli, potwierdzał szczerą chęć położenia na zawsze kresu walkom, od których królestwo spływa krwią, i wyznaczał jej spotkanie w Blois, żeby przedyskutować warunki trwałego, ostatecznego pokoju.

Przez kilka dni wszystkie myśli Joanny d'Albret, prowadzącej dalej przygotowania, były zaprzątnięte tym listem. Wysłannikowi króla oznajmiła po prostu, że da odpowiedź.

Szesnaście dni po wyjeździe z Paryża hrabia de Marillac zbliżał się do La Rochelle. Serce mu waliło na myśl, że znowu zobaczy królową.

Przez te szesnaście dni monotonnej podróży nie przestawał się zastanawiać, jak też królowa przyjmie jego zamiar poślubienia Alicji de Lux. Nie wiedział, dlaczego miałaby być przeciwna temu małżeństwu. A jednak po raz pierwszy odczuwał niejasną trwogę. Kim jest Alicja de Lux? Skąd pochodzi?

Hrabia de Marillac nie był, nie mógł być zazdrosny. Był tylko zaniepokojony, nic więcej; zaniepokojony nie tym, co mógłby sam pomyśleć o Alicji, lecz tym, co o niej myśli królowa. Cóż bowiem wiedział o Alicji?

Tak oto hrabia de Marillac mocno podniecony wjeżdżał do La Rochelle. Natychmiast dowiedział się, gdzie mieszka królowa.

Kiedy stanął przed nią, zapomniał o osobistych kłopotach, oczy jego zalśniły radością. Królowa podała mu rękę, którą ucałował z wielką serdecznością.

— Nareszcie jesteś, drogie dziecko — odezwała się Joanna ze wzruszeniem.

Przez chwilę patrzyła na niego z powagą, a zarazem czułością. Na ustach miała pewne pytanie, ale wahała się, czy je zadać. Marillac wyczuwając jej myśli powiedział:

— Najjaśniejszy pan król Nawarry jest w doskonałym zdrowiu, madame, i w chwili, kiedy opuszczałem Paryż, nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo. To samo mogę powiedzieć o panu admirale i o księciu.

— Czy to mój syn cię tu przysłał? — zapytała królowa.

— Nie, madame — odparł Deodat. — Jestem wysłannikiem królowej Katarzyny, która mnie akredytowała przy waszej królewskiej mości.

Mówiąc to wyciągnął z kieszeni kaftana list Katarzyny Medycejskiej i przyklękawszy na jedno kolano wręczył go Joannie d'Albret. Nie podniósł się, dopóki Joanna nie przeczytała posłania.

— A więc widziałeś się z matką króla Francji?

— Tak, miłościwa pani.

Marillac dokładnie i rzeczowo zrelacjonował swoje spotkanie z Katarzyną, przekazując wszystko, co dotyczyło pokoju i małżeństwa.

— Hrabio — odezwała się królowa, kiedy skończył — powierzę ci zawieszenie odpowiedzi królowej matce. Jednocześnie będziesz oddawcą mojego listu do króla Karola IX. Wreszcie obarczę cię także listami do króla Nawarry i pana de Coligny. Dzisiaj i jutro będę rozważać uczy-nione mi propozycje. Pojutrze zwołam radę i rozpatrzymy wszystkie te poważne sprawy. A zatem za trzy dni będziesz mógł wyruszyć do Paryża. Chwilowo odłożmy politykę i wojny i porozmawiajmy o tobie, drogi hrabio. A więc widziałeś królową Katarzynę.

— Tak, madame, widziałem moją matkę... i moja matka rozpoznała we mnie swego porzuconego syna.

— Czy jesteś tego pewien?

— Wasza miłość sama osądzi. Moja matka nie powiedziała mi ani jednego serdecznego słowa, nie zrobiła najmniejszego gestu, który by pozwolił przypuszczać, że mnie poznała, moja matka nie obdarzyła mnie ani jednym współczującym spojrzeniem...

— Odwagi, moje dziecko.

— To koniec, madame. Nie myślę, żeby królowa Katarzyna była dla mnie kimś innym niż wrogą królową. Powiedziałem ci, miłościwa pani, jedynie o propozycjach, które królowa matka zleciła mi przekazać. Ale i mnie także zrobiła pewną propozycję...

— Tobie, hrabio? — zawołała Joanna z niepokojem.

— Oto ona, pani: jego królewskiej mości Henrykowi Bearneńskiemu zaofiaruje się tron Polski i w ten sposób tron Nawarry zostanie pozbawiony króla...

— I co wtedy? — zapytała Joanna d'Albret.

— A wtedy, gdyby król, syn najjaśniejszej pani, zgodził się panować w Polsce, na tron Nawarry wprowadziłoby się innego króla... I tym królem... z trudem przechodzą mi przez usta te dziwne kombinacje... byłbym ja!

Joanna d'Albret przez dłuższą chwilę siedziała milcząco, pogrążona w zadumie. Tak, hrabia miał rację, był to niewątpliwy dowód, że Katarzyna Medycejska rozpoznała w Deodacie swego syna. Co do ewentualności, że Henryk Bearnieńczyk zajmie tron Polski Joanna postanowiła się tym nie zajmować ani przez chwilę. Polska była na pewno pięknym królestwem, ale Joanna d'Albret, głęboko przywiązana do swojej Nawarry, nie opuściłaby jej nawet dla tronu Francji. Co zaś do samego Henryka, to pomimo jego młodego wieku, podejrzewała go o szerokie ambicje, więc może kiedyś królem Francji zostanie Burbon i będzie nosił podwójny tytuł króla Francji i Nawarry...

— Co sądzisz o tronie, który ci proponują?

— Najjaśniejsza pani — odparł hrabia de Marillac bez wahania — nie czuję się zdolnym do panowania. Nie jestem na miarę króla. Dodam nawet, że grozą przejmuję mnie myśl, iż miałbym znaleźć się w pałacu mego króla czy mojej królowej.

Hrabia wypowiedział te słowa z wielkim wzruszeniem.

— Madame — dodał — gdybym ośmielił się mówić o szczęściu, ja, którego dotąd zawsze widziałas pogrążonego w rozpacz... bo czyż szczęście było dla mnie osiągalne?... Ach, najjaśniejsza pani, przyszła chwila zwierzenia się z moich myśli, otworzenia serca przed tobą, królowo, przed jedyną osobą, która okazywała mi pewne zainteresowanie.

— Słucham, hrabio!

— Najjaśniejsza pani, ja kocham!

Twarz Joanny d'Albret rozjaśniła się. Zawołała:

— Drogie dziecko, gdybyś wiedział, jaka jestem szczęśliwa! Bo skoro kochasz, musisz być także kochany... tak, jak na to zasługujesz!

— Jestem pewien, że ona mnie kocha, tak jak ja ją.

— Istotnie — cicho powiedziała królowa — spotkało cię wielkie szczęście, moje dziecko. Ale jeszcze mi nie powiedziałaś, kim jest twoja wybranka...

Marillaca ogarnął dziwny niepokój.

— Znasz ją, najjaśniejsza pani. Była tak samo nieszczęśliwa, jak ja. Tak jak ja znalazła u ciebie, pani, azyl, zrozumienie i dobroć. Słaba, uciekająca przed prześladowaniami, sama na świecie, została przyjęta z tą niewyczerpaną wspaniałomyślnością, która sprawi, że świat będzie cię bardziej kochał, madame, niż podziwiał jako, genialną bojowniczkę...

— Alicja de Lux — wymówiła królowa.

— Powiedziałaś, pani — przytaknął Marillac patrząc na królową z żarliwym zaciekawieniem.

Ale królowa była znowu nieprzenikniona. Tak, Joanna d'Albret była rzeczywiście obdarzona w wysokim stopniu wspaniałomyślnością, o której mówił hrabia, skoro zdołała powstrzymać okrzyk cisnący się jej na usta.

— Nic mi nie odpowiadasz, królowo — odezwał się Marillac blednąc.

— Na litość boską, co o niej sądzisz, pani?

— Cóż, nic nie sądzę w tej chwili. Rozmawiałam z nią wszystkiego jakieś dziesięć razy...

Hrabia wyczuł zmieszanie królowej.

— Najjaśniejsza pani — wykrzyknął — konieczne jest, abym poznał twoje myśli bez reszty!

Joanna d'Albret schyliła głowę. Hrabia żądał od niej okrutnej prawdy albo... kłamstwa.

— Madame — nalegał coraz mocniej hrabia — twoje milczenie jest wyrokiem na moją narzeczoną!

— Nie mam nic przeciwko Alicji de Lux — powiedziała królowa.

Ale to kłamstwo wymówiła tak cichutko, że Marillaca bardziej niż kiedykolwiek ogarnęło przecucie katastrofy, której się jak gdyby spodziewał...

— Najjaśniejsza pani — zaczął znowu — ulituj się nad nieszczęsnym, który nosi cię w sercu, który ma tylko ciebie na całym świecie... dla którego jesteś rodziną, przyjaźnią, uczuciem, wszystkim! Pani, te słowa mi nie wystarczą, potrzebna mi jest przysięga! Przysięgnij, najjaśniejsza pani, że powiedziałaś mi prawdę.

— Hrabio de Marillac, dam ci dowód przywiązania, jakiego tylko mój syn mógłby się po mnie spodziewać. Nie mogę ci odpowiedzieć... Nie mogę złożyć przysięgi, o którą prosisz, nim nie zobaczę się z Alicją de Lux... Kiedy się z nią spotkam, porozmawiam, wtedy ci odpowiem. Mogę tylko powtórzyć, że nie znam tej dziewczyny, a kocham cię dostatecznie na tyle, żeby chcieć ją poznać, zanim orzeknę, czy jest godna twojej miłości, czy też nie. Gdzie ona teraz przebywa?

— W Paryżu — odparł Marillac, z trudem panując nad rozpaczą. — Na ulicy Hache, dom z zieloną bramą w pobliżu nowej wieży...

— Dobrze, jutro jadę do Paryża.

— Madame! — wyjąkał zaniepokojony hrabia.

— Pojedziemy razem, obejmiesz dowództwo mojej eskorty. Idź już, hrabio.

Marillac wyszedł. Na dworze westchnął głęboko, powstał parę minut. „A więc istnieje jakaś prawda o Alicji! — jęknął w duchu. — Coś, o czym nie wiem!”

Umęczony moralnie jeszcze bardziej niż fizycznie wrócił do zajazdu, w którym się zatrzymał.

Kiedy stanął się przed oblicze królowej Nawarry, ta zorientowała się, że w jego umyśle musiała szaleć burza: jego rysy stwardniały, mówił krótko, głosem chropowatym.

„Co się z nim stanie, gdy się dowie?” — zastanawiała się Joanna.

Starannie unikała rozmowy o Alicji i wydała hrabiemu instrukcje, żeby przygotował się do drogi jeszcze tego samego dnia.

— Pojedziemy do Blois — dodała na zakończenie. — Karol wyznacza mi spotkanie w tym mieście, nie będę unikać proponowanej rozmowy. Z Blois udamy się do Paryża, niezależnie od wyników pertraktacji. Jeżeli zawrzemy pokój, udamy się tam oficjalnie, w przeciwnym razie — potajemnie.

Hrabia skłonił się bez słowa i wyszedł, żeby się zająć — z gorączkową aktywnością — przygotowaniami do wyjazdu.

## XXXV

### ZDZIWIENIE GILLESA I GILLOTA

Kiedy Karol IX wyruszył z Paryża udając się do Blois, zauważył nie bez irytacji, że w jego eskorcie znajdują się magnaci katoliccy, najbardziej zajadli wrogowie hugonotów.

W ich liczbie był książę de Guise, bardziej olśniewający, bardziej uśmiechnięty niż zazwyczaj. Marszałek de Damville także należał do królewskiego orszaku. W przeddzień wyjazdu Henryk wezwał swego oddanego mu duszą i ciałem intendenta Gillesa i odbył z nim długą rozmowę na temat więźniów z ulicy Hache.

— Odpowiadasz mi głową — rzekł na zakończenie. — Niedługo załatwi się wiele spraw. A wtedy król będzie robił to, co zechcę. Ten samochwała, mój brat, zgnije w jakiejś Bastylii. Ale do tej pory — uwaga,

musicie czuwać dniem i nocą! A propos — dodał niedbale — w piwnicy mego pałacu znajduje się trup, którego dobrze byłoby się pozbyć.

— Trup tego wściekłego rębajły — przytaknął Gilles. — To bardzo proste, jasnie panie. Wyciągniemy go stamtąd którejs ciemnej nocy i wrzucimy do Sekwany.

W wyniku tej rozmowy, w parę dni po wyjeździe dworu na narady w Blois, imć Gilles zawołał swego bratanka Gillota.

— Gillot — zaczął z powagą — dziś wieczorem pozbędziemy się z piwnic pałacowych pewnych zwłok, które tam gniją.

Twarz Gillota rozjaśniła się natychmiast.

— Na Boga! — zawołał — Jeżeli chodzi o pochowanie tego przekłętego Pardaillana, jestem do usług.

— W drogę! — zakomenderował stryj.

— W drogę! — powtórzył synowiec potrząsając nożem.

Gilles przytroczył ciężką szpadę zdjętą z panoplii swego pana, wsadził za pas dwa pistolety i zmienił czapkę na kask. Wyszli. W remizie pałacu stał mały wózek. Gillot zaprzął do niego osiołka.

— Zabierz także sznur — zarządził stryj. — Przywiążemy mu do szyi ciężki kamień...

Po zakończeniu tych przygotowań ruszyli w drogę: stryj przodem ze szpadą w jednej ręce i latarnią w drugiej, synowiec z tyłu ciągnąc osła za uzdę. Bez przeszkód dotarli do pałacu Mesmes, wprowadzili osła z wózkiem na dziedziniec, zabarykadowali drzwi i poszli prosto do oficyny, gdzie pociągnęli dobry haust wina dla kurażu.

Nadeszła pora wykonania drugiej części wyprawy. Na pobliskim kościele wybiła północ. Gillot przeżegnał się, Gilles wziął klucze od piwnicy. Przed jej drzwiami przystanęli na chwilę, po czym intendent odsunął zewnętrzne rygle, dwa razy przekręcił klucz i drzwi się uchyliły. Intendent pchnął je kopniakiem, ale się oparły.

— Co to może znaczyć? — wyszeptał Gillot.

— Dureń! — warknął Gilles. — To może znaczyć, że on się zabarykadował, kiedy go ścigano i osaczono. Dalej, trzeba to wszystko rozwalić!

Natychmiast zabrali się do dzieła. Po godzinie przejście było wolne, drzwi otwarły się na oścież, obaj zeszli po schodach, Gilles nadał na przodzie z latarnią w rękę. Był tak pewien, że ma do czynienia już tylko z nieboszczykiem, że zaniedbał zabrać z sobą szpady. Gillot szedł za nim krok w krok, z nożem w garści.

Piwnica była obszerna i składała się z kilku pomieszczeń, miała różne zakamarki, ciemne wnęki za beczkami; rozpoczęły oględziny. W rogu trzeciej komory Gilles nagle schylił się i wydał stłumiony okrzyk:

— Kości!

— Szczury go ogryzły!

— Ale to nie są kości ludzkie!

Po ich zbadaniu obaj nocni goście popatrzyli po sobie ze zdumieniem.

— Kości z szynki — stwierdził stryj.

— I puste butelki — dodał bratanek wskazując na leżący w pobliżu stos butelek z obtraconymi szyjkami.

— Ten łajdak dobrze najadł się i napił przed śmiercią!

Dalej szukali zajadłe. Po dwóch godzinach piwnica była spenetrowana aż do najdalszych zakamarków: nie ulegało wątpliwości, że trupa Pardaillana nie kryła.

— To coś dziwnego — mruknął Gilles.

— Ja się upieram przy swoim — powiedział Gillot. — Zjadły go szczury nie pozostawiając nawet kości.

— Dureń! — stwierdził stryj.

Był to jego ulubiony epitet pod adresem bratanka. Jednak musiał uznać tłumaczenie Gillota, gdyż ponowna rewizja nie dała rezultatów, a przecież mieli pewność, że Pardaillan nie mógł uciec.

— W końcu w ten sposób unikniemy fatygowania się do Sekwany.

Nie mając nic więcej do roboty, obaj wrócili do schodów. Postawisz nogę na pierwszym stopniu Gilles machinalnie podniósł wzrok ku drzwiom, które zostawił otwarte na oścież, i wydał okrzyk zdziwienia: drzwi były zamknięte.

Paroma susami skoczył do nich w nadziei, że może sam je zamknął przez nieuwagę. Jednak stwierdził, że były nie tylko dociśnięte, ale jeszcze zamknięte na klucz!

— Co się dzieje? — zapytał Gillot.

— Co się dzieje? — wrzasnął Gilles. — Jesteśmy zamknięci!

Gillot zbaraniał, cały zadygotał. Za zamkniętymi drzwiami rozległ się donośny wybuch śmiechu. Gillotowi włosy zjeżyły się na głowie: poznał ten głos!

To wybuchnął śmiechem stary Pardaillan! Opuściliśmy go w chwili, kiedy za całe pożywienie została mu jedna szynka i kiedy pełen przerażenia widział już oczami wyobraźni straszliwe tortury śmierci głodowej jako uwieńczenie awanturniczej kariery. Zjadł ostatni kęs szynki, po raz



setny przeszukał we wszystkich kierunkach zakamarki piwniczne i doszedł do wniosku, że musi umrzeć. Wtedy powziął pewne postanowienie: jak długo zdoła, będzie utrzymywał się przy życiu winem, a kiedy męki głodowe staną się nie do wytrzymania — skróci tortury popełniając samobójstwo: skończy z sobą zadając cios sztyletem.

Przed kilkoma godzinami zjadł ostatni kawałek szynki i leżał przy stosie butelek zastanawiając się, czy nie lepiej zabić się od razu. Nagle wydało mu się, że słyszy jakieś odgłosy, więc zerwał się, jednym susem dopadł drzwi i, nasłuchiwał... A to, co usłyszał, wprawiło go w taki zachwyt, że z trudem powstrzymał okrzyk radości. Wcisnął się w załomek muru pod schodami, Gilles i Gillot przeszli o dwa kroki od niego.

Zaczekał, aż wejdą głębiej do piwnicy. Wtedy wbiegł na górę i zamknął drzwi. Pierwszym odruchem była chęć ucieczki, ale wiedząc, że pałac jest pusty, pofolgował chęci podsłuchania, o czym będą rozmawiali dwaj domorośli grabarze.

Po pewnym czasie usłyszał, jak po zakończeniu inspekcji stryjaszek z bratankiem zbliżają się ku drzwiom. Wtedy dopiero, usatysfakcjonowany pożegnaniem, a zarazem pogroźką, jaką im przesłał w postaci wybuchu śmiechu — odszedł.

Pomimo że stary obieżyświat krótko mieszkał w pałacu, poznał go od góry do dołu. Uwolniony dzięki swojej kuglarskiej sztuczce, poszedł prosto do kuchni, zapalił pochodnię, spenetrował szafy i przede wszystkim posilił się znalezionymi wiktuałami. Potem poszukał kluczy od komnat, a znalazłszy je — udał się na zwiedzanie pałacu.

Trafił do wielkiej sali ozdobionej dużym lustrem; skorzystał z niego, żeby obejrzeć się dokładnie od stóp do głów i stwierdził, że może straszyc ludzi. Nie miał już kapelusza, a ubranie jego było poplamione błotem, krwią i winem. Nie miał także szpady. Ale rany wygoiły się, została tylko czerwona blizna na nosie, twarz była prawie nietknięta.

„Przystąpmy do dzieła systematycznie i metodycznie” — pomyślał.

Przedostał się do sypialni marszałka, gdzie zobaczył pękatą szafę; przymierzył do niej wszystkie klucze, ale zamek ustąpił dopiero pod czubkiem sztyletu.

— Popatrz — powiedział do siebie — szafa się otworzyła!

Była wypełniona bielizną i ubraniami. Pardaillan dokonał całkowitej, pilnie potrzebnej mu toalety, a kiedy już był bogato wystrojony, zdjął ze ściany solidną szpadę.

Kontynuując myszkowanie trafił do leżącego na uboczu gabinetu i zatrzymał się przy kufrze opatrzonym trzema zamkami. Strawił całą godzinę, nim wszystkie ustąpiły. Otworzył kufer i stanął olśniony: był pełen złota i srebra, słowem, zawierał nielichy skarb.

„Cóż, nie jestem złodziejaszkiem i nie wezmę złota należącego do pana de Damville. Ale pan de Damville winien mi jest odszkodowanie wojenne, które szacuję na trzy tysiące liwrow”.

Tak z sobą rozmawiając stary Pardaillan czerpał z kufra. Kiedy upchnął w skórzanym pasie trzy tysiące liwrow odliczywszy je w złocie, starannie zamknął kufer, potem gabinet, następnie pokoje, które otwierał. Ubrany od stóp do głów, z dobrą szpadą przy boku i pełnym trzosem, poszedł lekkim krokiem ku głównemu wyjściu.

Udał się do oberży „Deviniere”, gdzie na jego pytanie mistrz Landry poinformował go, iż dwór przebywa w Blois.

— Ale — dodał szacowny oberżysta — pozwól pan pogratulować sobie sukcesów, gdyż widzę po wspaniałym stroju, że interesy idą do brze...

— Istotnie, mości Landry, właśnie wróciłem z niewielkiej podróży, która mnie wzbogaciła i pozwoli uregulować drobne rachunki.

— Ach, panie! — zawołał Landry. — Zawsze twierdziłem, że jesteś człowiekiem wykwintnym.

— Nędzniku! — krzyknął nagle stary. — Drogo mi zapłacisz za swoją zdradę!

Landry stał osłupiały, z otwartymi ustami, wytrzeszczywszy oczy. Pardaillan odepchnął stół, przy którym siedział, i wybiegł z oberży jak szalony.

Co mu się stało? Otóż zobaczył, jak przed oberżą przechodzi Orthès d'Aspremont, któremu nie bez racji przypisywał swój spór z marszałkiem. Tak, był to istotnie d'Aspremont, który z powodu rany nie mógł towarzyszyć Damville'owi. Niestety, spieszyło mu się widać bardzo, gdyż kiedy Pardaillan dobiegł do rogu ulicy, w którą tamten skręcił — przeciwnik zniknął. Nie przestając gderać, stary poszedł do pałacu Montmorency.

„Żeby tylko nic złego nie spotkało Jana — myślał. — Ci Montmorency to niedobra rasa. Miałem tego dowód z Henrykiem. Czy Franciszek jest lepszy?”

Wbrew oczekiwaniom, stary Pardaillan zastał w pałacu swego syna, który chwycił go w objęcia.

— Co się z tobą działo, ojczu? — zapytał.

— Opowiem ci wszystko. Wracam z bardzo daleka. Ale jak to było z tobą?

— Ze mną? O niczym nie wiem...

— A jednak masz minę mnicha, który przez przypadek pościł na prawdę. Jesteś blady, smutny...

— Opowiedz mi, ojcze, twoją historię, a ja opowiem ci swoją.

Stary obieżyświat nie dał się prosić i zrelacjonował swoją przygodę punkt po punkcie.

— To znaczy — powiedział ze śmiechem Jan — że Gilles i Gillot zajęli teraz twoje miejsce, ojcze?

— Z tą różnicą, że ja odżywiałem się szynkami, oni zaś muszą zadowolnić się kośćmi, które im zostawiłem.

Kawaler de Pardaillan pękał ze śmiechu.

— A teraz twoja kolej, Janie — zażądał ojciec.

— Wiesz dobrze, ojcze, co mnie smuci.

— No tak, owe dwie panie... A więc nie znaleźliście ich?

— Niestety, marszałek de Montmorency i ja na próżno przeszukaliśmy cały Paryż. Chciałem już nawet opuścić marszałka i odejść, gdy nie wróciłeś, ojcze. Straciliśmy obaj nadzieję.

— Na rany Boga! Na Piłata! Na Barabasza!

— Co ci się stało, ojcze?

— Już wiem! — ryknął stary.

— Co? Co wiesz?

— Gdzie one są! A raczej znam sposób, żeby się dowiedzieć, ale to wychodzi na jedno.

— Ojcze, nie rób mi fałszywej nadziei, bo to by mnie dobiło.

— Przecież mówię, że wiem! Chodźmy!

— Chodźmy, ojcze — spiesznie zgodził się Jan.

Po drodze stary Pardaillan tłumaczył:

— Znam pewnego człowieka, który niewątpliwie musi wiedzieć, gdzie są te śpiące królowny. A jest nim ten przekłety intendent Damville'a, ten, który zna wszystkie sekrety swego pana.

— Gilles! Tak, masz rację, ojcze! Biegnijmy!

Ojciec z synem puścili się pędem i przez ogród weszli do pałacu Mes-mes. Po paru chwilach byli już przy drzwiach piwnicy. Stary, umięjący w razie potrzeby zachować zimną krew, powstrzymał Jana, który chciał już otwierać, i zaczął nasłuchiwać. Niewątpliwie zamknięci

w piwnicy Gilles i Gillot usłyszeli kroki, gdyż ledwo Pardaillan z synem stanęli pod drzwiami, zaraz rozległ się błagalny głos:

— Otwórzcie, na miłość Boską. Otwórzcie, kimkolwiek jesteście!

— A kim wy jesteście? — zapytał stary.

— Tu Gilles, intendent jego wysokości pana de Damville. Zostaliśmy zamknięci w tej piwnicy przez jakiegoś łotra, rzezimieszka, złodziejzaka...

— Dosyć już, dość tego, mości Gilles! — zawołał Pardaillan ze śmiechem.

— To ten przeklęty Pardaillan! — rozpoczął Gilles, poznawszy głos człowieka, którego miał pochować.

— We własnej osobie, mości intendent! Panie Gilles, słuchaj mnie uważnie.

— Słucham was, panie! — dyszał intendent.

— Żal mi się ciebie zrobiło i dlatego wróciłem. Powiedziałem sobie, iż byłoby niegodne chrześcijanina zostawić cię tu skazując na powolne konanie z głodu... Więc wróciłem, żeby cię powiesić!

— Litości? Chcesz mnie powiesić, panie?

Słyszeli, jak szlocha i jęczy. Pardaillan otworzył drzwi i zobaczył na którymś stopniu kłęczącego Gillesa; był bładny jak trup, odrażający.

— Janie — nakazał stary synowi — stój przy drzwiach z naładowanymi pistoletami i gdyby któryś z tych nędzników chciał wyjść — zabij bez litości.

— Łaski, jaśnie panie! — jęczał intendent.

— Boisz się — stwierdził Pardaillan. — A gdybym ci zaproponował uratowanie życia?

— Och — mamrotał starzec wyciągając rozpaczliwie obie ręce — wszystko, co zechcesz, wszystko! Żądaj złota i srebra, jakie zdołałem zgromadzić przez całe życie.

— Nie chcę twoich pieniędzy.

— Więc co? Mów, co?

— Nie zabiję cię ani nie powieszę. A nawet będziesz mógł stąd odejść pod jednym warunkiem: powiesz mi, dokąd twój pan marszałek zawiózł panią de Piennes i jej córkę...

Gilles podniósł błędny wzrok na Pardaillana.

— O to mnie pytasz? A więc za tę wiadomość pozwolicie mi ujść z życiem?

— Tak. Jak widzisz, możesz się wywinąć tanim kosztem.

Gilles zerwał się z kolan. Ten człowiek, który dopiero co dygotał i szczykał zębami, teraz stał wyprostowany i ani drgnął. Powiedział stanowczo:

— Więc zabij mnie, a tego się nie dowiesz.

— Do wszystkich diabłów, ten stary jest wspaniały! — mruknął Pardaillan. — Szkoda, że jestem zmuszony go zabić.

Wyciągnął sztylet i lodowatym tonem oświadczył:

— Za odwagę nie zostaniesz powieszony. Ale zabiję cię jednym pchnięciem w serce, jeżeli nie będziesz mówił...

— Oto moje serce — powiedział stary rozrywając kaftan gwałtownym gestem. — Tylko jeśli prośba umierającego jest dla was rzeczą świętą, błagam, abyście powiedzieli panu Damville, że umarłem dla niego...

Pardaillanowie stali zdumieni.

— Panie de Pardaillan — odezwał się nagle czyjś drżący głos.

Stary odwrócił się i zobaczył Gillota, który wylaził zza beczki.

— Nie martw się — powiedział — i na ciebie przyjdzie kolej. Najpierw twój dostojny stryj, a potem ty.

— Tak, ja wiem — odparł zielony ze strachu Gillot — i aby się uratować, proponuję targ: ja wiem, gdzie się znajdują obie panie, których szukacie...

— On kłamie! — warknął starzec i uwolniwszy się z uścisku Pardaillana rzucił się na bratanka. Ale nie zdążył go dotrzeć, gdyż Pardaillan chwycił go za kark i oddał w ręce Jana, po czym rozkazał Gillotowi:

— Mów!

— On nic nie wie! On kłamie! — wrzeszczał Gilles.

— Ja nie kłamię, stryju — odparł Gillot nabierając tupetu. — Tego dnia, kiedy otrzymałem polecenie przygotować karetę i kiedy zetknąłem się z tym oto szacownym młodzieńcem, zacząłem łamać sobie głowę nad tymi kombinacjami i o dziesiątej ruszyłem w ślad za wyprawą. Wiem, gdzie karetę się zatrzymała, i mogę tam zaprowadzić tych panów...

- Gdzie to jest? — zapytał Jan.

— Na ulicy Hache.

— Na ulicy Hache? — zawołał zdumiony Jan i w oczach stanęła mu natychmiast Alicja de Lux.

Ale przecież na tej ulicy były także inne domy. Niepodobna, aby narzeczona hrabiego de Marillac miała takie konszachty z księciem Damville.

— Gdzie? Dokładnie, w którym miejscu?

— Milcz! Zamilknij, zdrajco! — wrzeszczał Gilles.

— Panie, dom łatwo poznać, stoi na samym rogu ulicy Traversine, ma ogródek, a przed nim zieloną furtkę.

Okrzyk wściekłości, jaki wyrwał się intendentowi, wystarczył, aby dowieść, że Gillot mówił prawdę.

— Biegniemy! — krzyknął stary Pardaillan.

Ale Jan stał nieruchomy, blady. Wiele razy chodził do tego domu i zawsze zastawał bramę zamkniętą od czasu swojej rozmowy z Alicją. Zadawał sobie z niepokojem pytanie, jaka tajemnica kryje się w życiu Alicji i jakie nieszczęście wyniknie z tego dla Deodata.

— Chodźmy — powiedział wreszcie. — Dowiem się prawdy, kiedy ją wypytam... jeśli ją jeszcze zastanę...

Stary Pardaillan nic nie rozumiał z tych słów, ale gotów był iść z synem.

— Daruję wam obu życie — powiedział do Gillesa i do Gillota. — Idźcie, niech was wszyscy diabli porwą!

— Niestety, mnie na pewno porwą — powiedział intendent.

— Ja zaświadczę o waszej wierności — odezwał się Jan. — Uspokój się waść, przyrzekam, że poinformuję marszałka de Damville o stawianym przez was porzeczku.

W trakcie tej rozmowy Gillot zniknął. Zapewne nie chciał zostać sam na sam ze stryjem. Gilles usiadł na jakimś kłocu i ująwszy głowę w obie ręce zastanawiał się nad swoim smętnym losem. Pardaillanowie pozostawili go z tymi ponurymi myślami i wyszli z pałacu, żeby spieszyć na ulicę Hache.

— Kto to może mieszkać w domu z zieloną furtką? — zapytał stary. — Zapewne jakiś oficer Damville'a, który tam się obwarował z małym garnizonem. Proponuję, synu, zaczekać do nocy.

Jan odparł po chwili zastanowienia:

— Ojczy, myślę, że w tej sprawie powinienem działać sam...

— Ach, więc znasz ten dom!

— Tak, i obawiam się jednego: że jest w tej chwili już niezamieszka-ny...

— Janie, nic nie rozumiem. Przeczuję tylko, że kryje się tu jakiś sekret.

— I to nie mój, lecz pewnego przyjaciela, którego kocham jak brata.

— Chcesz iść sam? Twierdzisz, że nie ma niebezpieczeństwa?

— Żadnego, ojczy.

— Dobrze, wobec tego czekam na ciebie na końcu ulicy.

— Nie, rozstańmy się tutaj. Bo mogą cię zobaczyć, ojczcie. Gdyby za-  
uważono, że ktoś zechce interweniować, to niewątpliwie drzwi się  
otworzą.

— Więc gdzie mam na ciebie czekać?

— Cóż, ojczcie, możesz czekać u Catho!

— A więc widziałeś ją, gdy ja konałem w czeluściach piwnicy?

— Tak, za otrzymane od ciebie pieniądze założyła na ulicy Tiqueton-  
ne nowy lokal.

— Który się nazywa...?

— Oberża „Pod Dwoma Gadającymi Umarlakami”.

— Och, cudowna, wspaniała Catho! Przypomniała sobie! Ja się z nią  
ożenię, Janie!

Po tym żarcie ojciec z synem rozstali się. Jan poszedł na ulicę  
Hache, stary do nowej oberży Catho, żeby tam, oczekując syna, osuszyć  
kwaterkę wina korzennego.

Na ulicy Tiquetonne rzeczywiście zobaczył oberżę z wystawą i no-  
wiutkim szyldem. Była to oberża „Pod Dwoma Gadającymi Umarlaka-  
mi”. Ale żeby złagodzić może trochę zbyt makabryczną wywieszkę, Ca-  
tho kazała wymalować na niej dwóch... Murzynów, którzy gawędzili z  
sobą trzymając w rękach szklanice. Kiedy stary Pardaillan podziwiał  
szyld, zanim wszedł do środka, Jan zbliżał się do domu o zielonej furt-  
ce. Natychmiast zauważył, że żaluzje w oknach były opuszczone, jak  
gdyby dom był niezamieszkały. Z bijącym sercem zastukał kołatką.  
Drzwi pozostały zamknięte, dom niemy. Ale tym razem Jan postanowił  
sprawdzić, co jest za murem, dowiedzieć się, co się kryje za tą ciszą, za  
tajemnicą. Rzuciwszy okiem w prawo i w lewo, żeby się upewnić, że  
żaden sąsiad go nie podgląda, jednym susem uczepił się szczytu muru,  
podciągnął na rękach, zeskoczył do ogródka i poszedł prosto do drzwi  
domu, zdecydowany wylać zamek. Kiedy już się tam znalazł, drzwi  
uchyliły się i w półmroku ukazała się biała postać: była nią Alicja de  
Lux! Ale jaka zmieniona! Jaka blada! A jej głos miał chrapliwy, twardy  
ton, kiedy się odezwała:

— Wejdz szybko, skoro już chcesz się włamać!

Jan usłuchał. Alicja wprowadziła go do pokoju, w którym Marillac  
mu ją kiedyś przedstawił. Stała i nie zapraszała go, aby usiadł. Wreszcie  
zapytała:

— Czemu mnie pan prześladujesz?

— Pani — odezwał się Jan opanowując ogarniające go wzruszenie —  
to dziwne przyjęcie już by mnie wypędziło z jej domu, gdyby nie  
ogromnie ważna sprawa...

— Jedno słowo: czy przybywasz z jego polecenia?

— Jeśli dobrze zrozumiałem, pytasz pani, czy przybywam jako wysłannik hrabiego de Marillac?

— Tak, panie. Tak — ciągnęła ożywiając się — to tylko on mógł ciębie przysłać. Widział się z królową Nawarry, prawda? I królowa mu wszystko powiedziała? Chciała go wybawić od tej ohydnej kobiety, jaką jestem. On wie!

— Łaskawa pani! — przerwał jej Pardaillan. — Popelniasz wielki błąd, bo to nie hrabia de Marillac mnie przysłał!

Na bladej jak kreda twarzy Alicji pojawił się lekki rumieniec. Jan przykląkł i powiedział głosem, w którym brzmiała i szczerłość i współczucie:

— Pani, błagam, uwierz mi, że już zapomniałem o słowach, które ci się wyrwały w rozpacz! Widzę tylko tę wielką miłość, jaką żywisz dla mojego przyjaciela!

— Mów pan jeszcze — szepnęła. — Od tak dawna cierpię w samotności, sam na sam z sobą!

Jan na chwilę zapomniał, po co tu przyszedł. Wstał z kolan, chwycił rękę Alicji, przytulił ją do siebie i złożył na jej pachnących włosach leciutki pocałunek. Ten braterski odruch był tak szczerzy, że Alicja odczuła nieznanę dotąd ukojenie i słodycz. Zapytała znacznie spokojniej:

— Więc hrabia jeszcze nie wrócił do Paryża?

— Nie, pani.

— I nie otrzymałeś od niego żadnych wiadomości, panie? — pytała dalej z pewnym wahaniem. — Nie wiesz, co robi... co myśli?

— Nie mam od niego wieści, ale wszyscy w Paryżu wiedzą, że królowa jest w Blois, że konferuje z królem Francji. Jest więc pewne, że hrabia bawi w Paryżu od ponad dwóch tygodni.

— Dwa tygodnie!

— Mniej więcej. Dla takiego jeźdźca jak hrabia, droga z Blois do Paryża musi trwać cztery dni... .

Błysk radości mignął w oczach Alicji. Ze zwykłym sobie taktem Jan nie wyciągał wniosków z tego, co powiedział. Ale ten wniosek narzucał się Alicji sam:

„Gdyby królowa Nawarry mnie wydała, byłby tu już dawno”. A więc według wszelkiego prawdopodobieństwa Joanna d'Albret nic nie powiedziała. Alicja znowu stała się uroczą panią domu. Zgodnie z panującym zwyczajem, Laura przyniosła owoce, napoje, konfitury... Ale Pardaillan nie tknął tych smakołyków.



— Kawalerze — odezwała się Alicja panując w pełni nad wzruszeniem — czy mi wybaczysz to niegodne przyjęcie... byłam szalona.

— Zapomnijmy już o tym, pani. A skoro traktujesz mnie jak przyjaciela, czy mogę prosić o pewną ofiarę?

— Cokolwiek to będzie — jestem gotowa.

— Wiedz, pani, że i ja kocham. A teraz załóżmy, że hrabia, twój narzeczony, jest moim więźniem... i przypuśćmy, że przyjdiesz do mnie prosić o jego uwolnienie! Och, pani, widzę po twoim wzruszeniu, że mnie zrozumiałaś. Jedno słowo, tylko jedno: czy ta ofiara, jaką jesteś pani gotowa dla mnie ponieść, poszłaby tak daleko, żeby Joanna de Piennes i jej córka odzyskały wolność?

W miarę jak kawaler mówił, Alicja była coraz bardziej zmieszana.

— Kochasz Loizę... Loizę Montmorency?

— Tak, pani.

— Nieszczęsna — głucho powiedziała Alicja — każdy, kto się do niej zbliży, jest napiętnowany!

— Nie możesz mi jej zwrócić, nieprawdaż?

— Loiza i jej matki nie ma już tutaj. Nie ma ich tu, wyjechały nazytuz jutrz po tym, jak mi oznajmiłaś, że hrabia de Marillac wybiera się do królowej Nawarry.

— Damville je zabrał! — warknął Jan. — Och, ten człowiek się ukrywa! Ale gdybym nawet miał przemierzyć całą Francję i tak go dopadnę! A wtedy...

— Nie, panie kawalerze. To nie Damville je zabrał, to ja im zwróciłam wolność...

— Wolne! Więc są wolne!

— Kiedy zrozumiałam, że jestem skazana, że mój szlachetny narzeczony będzie mnie przeklinał... Och, panie, co za okropne spiętrzenie nieszczęść w moim życiu... mogłam się już nie obawiać rewelacji, którymi Damville mi groził, albowiem królowa Nawarry sama by je odkryła przed hrabią... Weszłam więc na górę do uwięzionych i powiedziałam: „Wybaczcie mi krzywdy, jakie wam zrobiłam... idźcie, jesteście wolne!” I gdyby nie ten zgubny napad wspaniałomyślności, Loiza wyszłaby teraz stąd w asyście tego, który ją kocha! Tak, ciąży na mnie przekleństwo!

— Przesadzasz, pani — łagodnie wtrącił Jan. — Ogromną radość sprawia mi wiadomość, że Loiza nie jest już w łapach piekielnego marszałka. Ale czy nie powiedziały ci, pani, dokąd zamierzają się udać?

— Niestety, byłam tak wzburzona, że nie pomyślałam nawet, by je o to zapytać.

Nastąpiła chwila ciszy, którą przerwał Pardaillan:

— Chciałbym zadać ci, pani, jedno pytanie. Proszę się uspokoić, jest ono całkiem osobiste... Chyba zdarzyło ci się z nimi rozmawiać?

— Dwa czy trzy razy zaledwie.

— Z tych czy innych względów... chciałbym wiedzieć, pani, czy Loiza kiedykolwiek wymówiła moje imię...

— Nigdy.

Jan spochmurniał. Pomyślał:

„Czemu miałyby o mnie mówić? Już dawno zapomniała... A jednak to mnie wzywała na pomoc tego ranka, kiedy zostałem aresztowany”.

Pardaillan nie miał więcej spraw do Alicji de Lux, więc ją pożegnał. Ale młoda kobieta błagała go, żeby ją znowu odwiedził. Przyrzekł, gdyż nieszczęsna wzbudzała w nim głęboką litość. Opuściwszy dom, Jan poszedł na ulicę Tiquetonne do oberży „Pod Dwoma Gadającymi Umarlakami”.

## XXXVI

### HOMERYCKI EPIZOD

Na ulicy Tiquetonne starego Pardaillana przyjęła z otwartymi ramiomami dostojna oberżystka, jejmość Catho. Jednym rzutem oka stary ogarnął lokal i powiedział:

— Catho, zasługujesz na gratulacje. Oberża jest zachwycająca.

— Dzięki wam, panie — odparła Catho. — Dzięki waszym pięknym talarom. Mam nadzieję, że nie spłonie tak jak tamta.

Pardaillan ulokował się przy stole, a ponieważ nie umiał siedzieć beczynnie, pochłonął iście pantagrueliczny posiłek.

Nagle w oddali rozległy się trąbki, więc szybko przypasał szpadę, nałożył toczek z czarnymi piórami na lewe ucho i podkręciwszy wąż poszedł w stronę ulicy Montmartre, Skąd dobiegały dźwięki trąbek. Powiedział oberżystce, że wróci za parę minut, gdyż umówił się z synem.

— Chcecie popatrzeć na wjazd króla? — zapytała Catho.

— Ach, to Karola anonsują owe bitewne trąbki?

— Tak, panie. Mówią, że królowi ma towarzyszyć królowa Nawarry z synem, a także cały tłum hugonockich wielmożów, którzy się całowali z katolickimi szlachciami.

— A mnie się widziała wojna! Ale trzeba popatrzeć na wspaniałe stroje i piękne uzbrojenie straży.

Pardaillan poszedł ulicą Tiquetonne i niebawem znalazł się na ulicy Montmartre. Ale tutaj porwał go tłum i popchnął na drzwi jakiegoś domu.

— Jeden grosik za krzesło! Kto chce widzieć i słyszeć! Można zobaczyć naszego króla, panią Katarzynę w jej złotej karocy, panów Gwizjuszy na ich wielkich rumakach, można zobaczyć... jeden grosik za krzesło!

Tak wrzeszczał jakiś łobuziak. Pardaillan dał mu parę miedziaków i wlaź na krzesło przystawione do drzwi owego domu. Były zamknięte. Unosząc głowę Pardaillan spostrzegł, że okna jedynego piętra były także zamknięte, w przeciwieństwie do sąsiednich domów, których okna były wprost oblepione głowami ciekawskich.

Ze swojego posterunku Pardaillan górował nad tłumem i widział orszak królewski powoli nadciągający przy akompaniamencie dzwonów ze wszystkich kościołów Paryża oraz grzmotu strzałów z armat Luwru. Na przodzie szła kompania mieszczan tej dzielnicy, uzbrojonych i wznoszących okrzyki:

— Król! Król! Miejsce dla króla!

Tłum przed nimi rozstępował się na prawo i na lewo, jak morze przed dziobem okrętu. Za nimi szła kompania arkabuzerów, dalej halabardnicy, wreszcie straż królewska poprzedzona dwoma rzędami trębaczy na koniach. Tuż za nimi, we wspaniałej złoconej karocy ozdobionej koroną i ciągnionej przez dwanaście białych koni w złotej uprzęży powożonych przez gigantycznych Szwajcarów, majaczyła blada twarz Karola IX.

W tej samej karocy, na tym samym siedzeniu, co Karol IX, po jego lewej ręce usadowił się Henryk Bearnieński, który kłaniał się co chwila, przyjaźnie kiwał ręką mężczyznom i śmiał się do kobiet.

Za królewską karocą jechał ciężki, równie złocony pojazd, w którym siedziała Katarzyna Medycejska, obok niej — Joanna d'Albret. Katarzyna na przemian pozdrawiała tłum i uśmiechała się do Joanny.

Stercząc na krześle Pardaillan przyglądał się tej paradzie z drwiącym uśmieszkiem.

— Oto mamy hugonotów w mieście — mamrotał pod nosem. — Ale wejść to nie wszystko. Jak wyjdą?

Nagle wzrok jego napotkał płonące oczy, które go jak gdyby przycięgnęły. Mruknął:

— Marszałek de Damville!

Jednocześnie złożył najpiękniejszy z ukłonów i posłał mu uprzejmy uśmiech. Damville ostrym szarpnięciem zatrzymał konia i już nie odrywał przerażonego wzroku od Pardaillana, którego uważał za nieboszczyka.

„Och, och — pomyślał stary obieżyświat — uroczystość w pełni! Wszyscy moi mordercy patrzą na mnie!”

Podwoił uśmiechy i ukłony. Obok Damville'a przystanęło bowiem trzech czy czterech jeźdźców.

— Ten, któregośmy upiekli w oberży! — zawołał jeden z nich.

— Ten, który zginął razem z kawalerem de Pardaillan! — dodał drugi.

Jeźdźcami w świetle księcia Andegaweńskiego byli: Quélus, Maugiron, Saint-Mégrin i Maurevert...

Tymczasem Pardaillan, bynajmniej niespeszony skupieniem na sobie ich spojrzeń, zaczął zdawać sobie sprawę, że to spotkanie może przybrać dla niego zły obrót. Chciał zejść z krzesła, żeby wtopić się w tłum i zniknąć. Niestety, ciżba wokół była tak gęsta, tak zbita, że z trudem mógł się utrzymać na swoim piedestale.

Kiedy tak bezskutecznie usiłował zejść z krzesła, księżę Andegaweński spostrzegł, że paru z jego świty zatrzymało się. Przywołał swego faworyta Quélusa, ten zaś zbliżywszy się zaczął mu coś energicznie klawrować. Księżę dał znak kapitanowi swojej straży, po czym wszyscy, pościągając tempem orszaku, poszli dalej.

„Sprawy się psują” — pomyślał Pardaillan.

Trzeba dodać, że Pardaillan nie był jedynym, który wszedł na krzesło. Obok niego z lewej strony ustawiono się na stole siedmiu czy ośmiu ciekawskich. Po prawej stronie coś w rodzaju tratwy zajęło z piętnaście osób. Oprócz tego wyniesiono jeszcze sporo krzeseł. Pardaillan podjął jedyną słuszną decyzję: pchnął krzesło tak, że upadło, i po chwili znalazł się na jezdni pośród wściekle wrzeszczących ludzi. Jego marsowa postawa sprawiła, że się uciszeli.

Musiał teraz za wszelką cenę wydostać się z tłumu i zniknąć jak najprędzej. Ale w tym momencie, zamiast zrobić mu przejście, tłum cofnął się gwałtownie, więc żeby się nie dać porwać, Pardaillan uczepił się kołatki drzwi, przy których stało jego krzesło. Ale co to?

Wyglądało tak, że część królewskiego orszaku zawróciła. Jakichś dwudziestu jeźdźców nadciągało galopem nie zważając na przeraźliwe

krzyki kobiet i przekleństwa mężczyzn. Tłum gapiów rzucił się do ucieczki. Pardaillan uczepiony kołatki widział ów rwący potok, nie rozumiejąc, co spowodowało ten odwrót. Wreszcie został zupełnie sam przy drzwiach. Wypuścił z ręki kołatkę i obrócił się, ale przy tym nagłym ruchu kołatka stuknęła o wypukły gwóźdź.

Pardaillan spojrzął i zamarł: znajdował się sam w wielkim łuku o cięciwie składającej się z domów; łuk utworzyli jeźdźcy. Pośrodku tego łuku stał na koniu Henryk de Montmorency, książę de Damville, marszałek armii królewskiej. Obok niego, z niedobrym uśmiechem, przyglądał mu się morderczym wzrokiem inny jeździec. Był to Orthès, wicehrabia d'Aspremont. Na prawym skrzydle stali Maurevert i Saint-Mégrin, na lewym — Quélus i Maugiron.

Pardaillan wyprostował się i grzmiącym głosem zawołał:

— Witam panów morderców!

Pomruk gniewu przeleciał przez szereg jeźdźców. Na znak dany przez jednego z nich, wszyscy zamilkli: był to kapitan gwardii księcia d'Anjou. Zawołał:

— Panie de Pardaillan, proszę o szpadę!

— Daj waszmość spokój — odpowiedział Pardaillan. — Chcesz mojej szpady, to przyjdź i ją weź!

Mówiąc to wyciągnął szpadę tym swoim olśniewającym gestem, który odziedziczył po nim syn.

— Panie, proszę szpadę! — zagrział ponownie kapitan.

— Możesz ją mieć w sercu albo w brzuchu, do wyboru! — warknął Pardaillan.

— Skończmy z nim — rozkazał Damville.

— Chwileczkę — rozległ się czyjś jadowity głos. — Ten tu jest ojcem niejakiego kawalera de Pardaillan, który ośmielił się ubliżyć najjaśniejszemu monarsze. Weźmy go żywcem! Na torturach wyśpiewa, gdzie jest jego synalek!

Te słowa wypowiedział Maurevert. Straszna była to rada. Oczy Damville'a rzucały krwawe błyski.

— Tak, tak, żywcem. I niech powie, gdzie jest syn!

— Tutaj! — zagrział, ryknął czyjś głos.

Nagle nieopisany zamęt zapanował wśród jeźdźców: jeden z nich spadł i potoczył się w kurzu ulicznym, a na jego miejscu, na jego koniu, wynurzył się młody mężczyzna o gorejących oczach, z ironicznym uśmiechem na twarzy; ten nowo przybyły wystraszył konia, którym zawładnął, wbijając mu w boki ostrogi, rozdzierając pysk wściekłymi

szarpięciami wędzidła. Zwierzę rżało z bólu, kopało, stawało dęba, krzesząc ognie ze wszystkich czterech podków, koło cofało się, tłum uciekał z wrzaskiem, a stary Pardaillan tylko krzyknął:

— Mój syn!

— Trzymaj się, ojcze! — odpowiedział Jan.

Po wyjściu z domu przy ulicy Hache został na chwilę zatrzymany przez tłum oczekujący przejazdu króla, po czym poszedł dalej w stronę oberży „Pod Dwoma Gadającymi Umarlakami”, kiedy tłum runął na Montmartre. Tutaj ogromna ciżba gapiów otaczała coś, czego nie było widać; za to Jan zobaczył doskonale wysoką postać de Damville'a.

Pierwszą myślą Jana było cofnąć się, żeby go nie zauważono, i starać się dobrnąć na Tiquetonne. Już zaczął się był wycofywać, kiedy wydało mu się, że słyszy głos ojca. Natychmiast z opuszczoną głową rzucił się w tłum, przez który się przedarł i po paru chwilach dotarł do jeźdźców otaczających Pardaillana. Zobaczył ojca przyciśniętego do drzwi.

Wskoczył w strzemię pierwszego z brzegu konia, jednym ruchem dźwignął się na siodło, przyłożył sztylet do gardła zdumionego jeźdźca — a wszystko to odbyło się w ciągu sekundy.

— Zejźdź z konia, panie — rozkazał.

— Jesteś szalony, panie!

— Nie, jestem zmęczony i potrzebny mi koń. Zejźdź albo cię zabiję.

Jeździec uniósł gałkę szpady, chcąc nią rąbnąć dziwnego napastnika, ale nim zdążył to zrobić, otrzymał cios sztyletem w pierś. Stoczył się na ziemię. Jan dosiadł konia, dobył szpady i natarł z wściekłością. Atak miał szybkość i błysk pioruna.

Dookoła starego wygi utworzyła się wolna przestrzeń. W tych kilku chwilach wytchnienia każdy z Pardaillanów szybko ocenił sytuację. Pośrodku wolnej przestrzeni Jan zatrzymał drżącego konia, powściągnął go żelazną ręką.

Stary Pardaillan wykorzystał ten moment i zaczął błyskawicznie ściągać opróżnione teraz krzesła, stoły i drabiny, które przed chwilą służyły gapiom, i z niezwykłą zręcznością, jaką zdobył w podobnych operacjach, ustawiał je budując przed drzwiami, o które się opierał, szaniec z pozostawionym wążiutkim przejściem.

— To dla syna, jak go wysadzą z siodła — mruczał.

Sprowadzeni przez kapitana gwardii Andegawęńczyka jeźdźcy tylko czekali na znak dowódcy. Ten zwrócił się do obu Pardaillanów:

— Panowie, uwaga! W imieniu króla! Poddajecie się?

— Nie — zimno odparł Jan.

— A więc rebelia? Naprzód, straż, brać tych dwóch!

Z jednej strony gwardziści, z drugiej minioni rzucili się z obnażonymi szpadami na Jana; wszak musieli go schwytać lub zabić, nim dotrą do starego Pardaillana. Jan zrozumiał, że nadszedł kres. Ostatnią myśl skierował ku Loizie, ale była ona jak błysk i tyle też trwała.

W chwili, kiedy atak ponowił się, jeszcze bardziej zaciekły i tym razem ostateczny, Jan chciał powtórzyć rozpaczliwy manewr, który mu się raz już udał. Ściągnął wodze i dwukrotnie dźgnął wierzchowca ostrogami. Ale koń, zamiast go ponieść — padł.

— Przekleństwo! — ryknął Jan; zręcznie zeskoczył i stanął ze szpadą w ręku.

Co to było? Otóż w chwili pierwszego manewru Pardaillana, jeden z napastników zsiadł z konia i ujął mocno w dłoń krótki sztylet o szerokim ostrzu, będący morderczą bronią. Tym człowiekiem był Maurevert. Uważnym okiem śledził ruchy Jana i gdy kapitan krzyknął „naprzód!” — rzucił się pieszo, uczepił uzdy konia i ruchem pewnym a mocnym wbił mu sztylet w pierś. Trafione w serce zwierzę padło w agonii. Pardaillan przygotowywał się na śmierć, ale jeszcze zadawał ciosy szpadą kłębiącym się wokół niego wrogom, gdy usłyszał głos ojca:

— Tędy!

Odwrócił głowę i zobaczył szaniec wzniesiony przez starego; w oczach błysnęła mu resztką nadziei i pobiegł ku przejściu w barykadzie. Gdy tylko znalazł się poza niebezpieczeństwem, otwór zamknął spadającą pomost, który stary trzymał w pogotowiu.

Ojciec z synem byli uwięzieni w tej zaimprovizowanej cytadeli. Wymienili spojrzenie, które miało być ostatnim pożegnaniem, albowiem nie mieli już czasu ani żeby się objąć, ani żeby ucisnąć sobie dłoni.

Konie w zwartym szeregu sunęły na przeszkodę. Ale cofnęły się z bolesnym rżeniem, postawały dęba, a ich jeźdźcy klęli jak poganie: to stary Pardaillan z lewej strony, młody zaś z prawej rozpoczęli szermierkę. Z przerażającą trafnością, z szybkością pioruna co chwila wynurzały się ich szpady spomiędzy nóg krzesel i stołów, wyskakiwały niczym stalowe węże, kłuły konie w nozdrza i w pierś. Obaj obłączeni, niepokonani, milczący, skupieni, stary jak dzikie zwierzę czyhające na zdobycz, młody niewzruszony i zimny, podobni byli do tytanów.

Kapitan gestem powstrzymał natarcie: taktyka się nie powiodła, trzeba było użyć innej.

- Jesteś ranny? — zapytał stary Pardaillan.
- Nawet nie draśnięty. A wy, ojczce?
- Jeszcze nie. Na Pilata, postarajmy się godnie umrzeć!
- Postarajmy się nie umierać — odparł spokojnie syn.
- Z koni! — zakomenderował kapitan.

Chyba z dwunastu jeźdźców zeskoczyło z koni. Dookoła szańca utworzył się pierścień ze szpad, dwanaście czy piętnaście ostrzy skierowało się na Pardaillanów.

- Na Boga, poddajcie się! — krzyczał kapitan.

Pardaillanowie przecząco pokręcili głowami. Kapitan wzruszył ramionami i rozkazał:

- Brać ich!

Na to hasło, będące sygnałem do ataku, wszystkie szpady rozbłysły, zaczęły kłuć w barykadę, dwa czy trzy ostrza pękły z suchym trzaskiem, czterech napastników padło, krew trysnęła i oddział cofnął się dla nabrania nowego rozpędu.

Był to sukces: Pardaillanowie stali czerwoni od krwi, obaj ranni w głowy, w ramiona i w piersi.

- Żegnaj, synu — powiedział stary przyklękając na jedno kolano.
- Żegnaj, ojczce — odpowiedział Jan. Kapitan dał znak i zawołał:
- Najpierw rozrzucić!

I znowu potworny stalowy szereg ruszył jak monstrualna bestia z nastawionymi szpadami. Jednocześnie pod potężnymi uderzeniami runęła barykada, zwalniając dostęp.

— To już koniec! — zawołał stary Pardaillan z przejmującym uśmiechem nanosząc jeszcze parę pchnięć szpadą.

- Żegnaj, Loizo! — wyszeptał Jan i przymknął oczy.

Kiedy je otworzył, stanął olśniony, w ekstazie, zdjęty niebywałym zdumieniem; wydało mu się, że już nie żyje albo że nieprzytomnemu ze strachu ukazuje się pocieszycielka, promienna zjawia, żeby zaprowadzić go do wrót wieczności. Oto bowiem, co zobaczył:

Groźne szpady będące o cal od jego piersi uniosły się lub opuściły. Napastnicy cofali się na obie strony, zdziwieni, urzeczeni, tworząc wolne przejście w ramie ze stali, wiodące do Henryka de Montmorency, który siedział na koniu nieruchomy, przerażony, z twarzą trupioblądą. Tym przejściem kroczyła powoli i majestatycznie kobieta w żałobie.

- Dama w czerni — wykrztusił Jan.

Na progu domu, przed którym wznosiła się barykada, w drzwiach, które nagle się otwały, stała uroczą dziewczyna, nieco spłoszona, ale o śmiałym wejrzeniu. Jej złote włosy tworzyły lśniąca aureole, jej



wdzięczna twarzyczka była blada. Z wysokiego progu patrzyła z zachwytem na Jana.

— Loiza! — wyszeptał młody mężczyzna i łagodnie osunął się na kolana, na ziemię skapaną we krwi.

Na długich rękach dziewczyny perliły się łzy, jej wzrok zamglił się czułością.

— Wielkie nieba! Ja umrę! Ona mnie kocha!

Jan stracił przytomność. Stary Pardaillan przygryzając wąsa mruzczał:

— Ach, więc to jest Loiza, Loizetka? Cóż, nie gniewam się, jeśli mi przyjdzie umierać z tym widokiem przed oczami.

Dama w czerni zbliżała się do Henryka de Montmorency. Kiedy drzwi domu otwarły się gwałtownie, kiedy z nich wyszła ta kobieta i rzuciła się pomiędzy szpady i rannych, napastnicy cofnęli się w przestraszu.

Joanna de Piennes zatrzymała się o dwa kroki od marszałka de Damville.

— Panie — powiedziała — zabieram tych dwóch mężczyzn, należą do mnie. Jeden to ten, który mi przyniósł ukradzione dziecko, drugi jest jego synem.

Marszałek zatrzęsł się, jego nabiegłe krwią oczy rzucały dzikie spojrzenia, wreszcie zatrzymały się na Joannie de Piennes. Pod jej czystym wzrokiem Damville ugiął się pokonany... Schrypniętym, ledwo słyszalnym głosem powiedział:

— Należą do ciebie, pani... Bierz ich sobie!

Smagnięty mocno koń cofnął się, ale potem stanął i Henryk pozostał na miejscu... przelotny, okrutny uśmiech rozciągnął jego wargi. Joanna de Piennes zwróciła się do kapitana gwardii księcia Andegawskiego.

— Panie — powiedziała — wykonujesz tutaj pewną misję...

— Z rozkazu króla, pani — odpowiedział stanowczo oficer. — Muszę aresztować tych dwóch szlachciców...

— Panie, nazywam się Joanna, hrabianka de Piennes, księżna de Montmorency...

Kapitan uklonił się głęboko.

— Jestem żywym zastawem — ciągnęła dalej Joanna. — Ręczę słowem za tych dwóch więźniów.

— Skoro tak, pani — odparł kapitan — niech Pan Bóg broni, żebym wątpił w gwarancję tak wysoko postawionej, szlacheckiej i możnej pani de Piennes i de Montmorency. I jeśli obaj więźniowie nie opuszczą tego domu...

— Nie opuszczają go, panie!

— Ulegam prośbie. I dodam, że robię to z przyjemnością, gdyż są to dwaj śmiałkowie.

Joanna de Piennes odkloniła się i zwróciła w stronę rannych Pardaillanów, którzy wstali i przypatrywali się tej scenie czyniąc bohaterskie wysiłki, żeby utrzymać się na nogach. Przy ostatnich słowach kapitana jednocześnie schowali szpady do pochew. Joanna de Piennes podeszła do starego Pardaillana:

— Panie — powiedziała swoim miłym, melodyjnym głosem — czy zechcesz uczynić mi wielki zaszczyt i odpocząć w moim ubogim domu?

Wyciągnęła do niego rękę. Wtedy Loiza nieśmiałym gestem podała rękę Janowi. Uchwycił ją ze wzruszeniem i wyprostował się na całą swoją wysokość. Drzwi zamknęły się za nimi.

— Kapitanie — warknął Henryk — dwudziestu straży przed tym domem w dzień i w nocy. Odpowiadasz mi głową za więźniów... i za więźniarki!

W oddali grzmiały armaty Luwru.

## XXXVII

## DIAMENT

Pobył uwięzionych kobiet w mieszkaniu przy ulicy Hache był tak smutny, jak tylko można sobie wyobrazić, ale cierpienie moralnych nie powiększały cierpienia fizyczne. Alicja de Lux trwała w swojej roli strażniczki więziennej, ale spełniała ją ze wstydem, z rozpaczą, starając się przynajmniej złagodzić to, co w tej roli było najbardziej odrażające.

Dnie i noce mijały ponure, przepelnione rozpaczą.

Jednakże przebywanie w dwóch zamkniętych małych pokojach nadszarpane zdrowie Joanny de Piennes. Broniła się przed chorobą z właściwą sobie dzielnością, ale spodziewała się teraz śmierci jak ostatecznego odpoczynku, albowiem rozwiała się jej ostatnia nadzieja związana z listem, który napisała do Franciszka de Montmorency!

Nie miała wątpliwości, że list został mu doręczony. Wypytyując Alicję de Lux przekonała się, że marszałek bawi w Paryżu. Wydawało się jej niemożliwe, żeby Franciszek nie otrzymał tego wzruszającego dokumentu, w którym opowiedziała całą prawdę o tragedii w Margency. I Franciszek nie przybiegł na jej wezwanie! Opuścił ją, wierzył dalej w jej winę.

Przez pewien czas czepiała się nadziei, że kawaler de Parfaillan nie doręczył listu. Ale im dłużej o tym myślała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że było to niemożliwe. To jej nasunęło myśl, że Franciszek z niej zrezygnował.

Co zaś do Loizy, to odkąd dowiedziała się, że młodzieniec budzący w niej tyle naiwnego zaufania był synem człowieka, który ją ongiś porwał — czyniła próżne wysiłki, żeby go znienawidzić, a przynajmniej o nim zapomnieć. Taki był stan psychiczny tych dwóch pań, kiedy pewnego wieczora przyszła do nich Alicja.

Była blebsza niż zazwyczaj. Joanna i Loiza patrzyły na nią ze strachem, ale zarazem z litością. Alicja stanęła przed Joanną ze spuszczo-nymi oczami.

— Pani — powiedziała — oddaj mi przynajmniej tę sprawiedliwość, że uczyniłam wszystko, żeby złagodzić waszą niewolę.

— To prawda — przyznała Joanna. — Ja się nie skarżam.

— Ohydne okoliczności w moim nieszczęsnym życiu zmusiły mnie do tego, abym się stała strażniczką więzienną.

— Już mi to pani mówiłaś i wzbudziłaś we mnie litość.

— A więc, jeśli odzyskacie wolność, nie odejdziecie stąd przeklinając mnie...

— Wolność! Niestety, nigdy jej nie odzyskamy!

— Już ją macie!

Joanna zadrżała, Loiza pobladła.

— Jesteście wolne obydwie — mówiła Alicja ze spokojną stanowczo-ścią. — Nieszczęsne okoliczności, o których wspomniałam, przestały istnieć. Żegnaj, pani, żegnaj, droga dziewczyno!

Po tych słowach Alicja wyszła. Matka i córka stały chwilę przytło- czone melancholijną radością, potem uściśniły się serdecznie. Nagle pewna myśl przeraziła Joannę: przecież obie z córką znajdują się bez środków do życia, bez dachu nad głową, bez chleba. Powrót do domu na ulicy Saint-Denis znaczył niewątpliwie ponowne dostanie się w łapy Henryka de Montmorency. Joanna zdawała sobie sprawę, że już nie znajdzie dość sił, aby pracować na swoją córkę jak dawniej.

— Co się z nami stanie? — szepnęła nie mogąc się powstrzymać.

— Matko — dzielnie odpowiedziała Loiza, jak gdyby szła krok w krok za myślami Joanny — teraz przyjdzie kolej na mnie, to wszystko!

W tym momencie Alicja de Lux znowu stanęła przed Joanną.

— Pani — powiedziała ze wzruszeniem — wybacz, usłyszałam waszą rozmowę. Podsluchiwałam... to jedno z nieszczęść mego życia; nabrałam, musiałam nabrać zwyczaju podsłuchiwania wszystkich. Zostałyście bez środków do życia, powinnam była o tym pomyśleć; jestem bogata, pani.

Nie odmawiaj mi tej radości, jaką daje zrobienie czegoś dobrego...

Mówiąc to położyła na brzegu stołu sakiewkę, która mogła zawierać jakieś sto złotych talarów. Na twarz Joanny de Piennes wybiły ciemne rumieńce. Loiza odwróciła się, zażenowana Alicja uklęknęła:

— Pani — powiedziała ze smutkiem — konająca ofiaruje tę odrobinę złota, żeby pierwsze chwile były mniej ciężkie dla tej szlachetnej panny. — Joanna spojrzała na córkę. — Wyrządziłam wam tyle zła — ciągnęła Alicja — godząc się trzymać was tutaj więzione, że serce mi się kraje. Przysięgam, że umilicie ostatnie chwile nieszczęśliwej przyjmując ten drobny dar.

Joanna de Piennes obrzuciła Alicję spojrzeniem pełnym bezgranicznego miłosierdzia. Wyciągnęła do niej rękę, ta chwyciła je i ucałowała gorąco. Joanna wzięła sakiewkę. Chciała powiedzieć parę słów pożegnania tej dziwnej strażniczce więziennej, dla której czuła już tylko litość, ale Alicja szybko zerwała się z kolan i wybiegła.

— Chodźmy — powiedziała Joanna.

W pierwszej chwili myślała, że jest wolna, że nareszcie może się wyknąć Henrykowi, sprawiła radość, która ożywiła jej wymizerowaną twarz, wywołała blady uśmiech na wargach.

Na razie musiała znaleźć jakiegokolwiek lokum. Na ulicy Montmartre mały, niezamieszkaný domek wydał jej się odpowiednio skromny, spokojny i odosobniony, a tego właśnie szukała. Zainstalowała się w nim natychmiast i zaczęła snuć z córką plany wyjazdu.

Loiza patrzyła na matkę z niepokojem: nigdy nie widziała jej tak gorączkowo krzątającej się. Jeszcze tego dnia Joanna musiała położyć się do łóżka, zaczęła majaczyć. Loiza walczyła z jej chorobą sama, ale robiła to dzielnie.

Mijały dni i tym razem Joanna uniknęła czyhającej na nią śmierci. Ale kiedy mogła wstać z łóżka, zrozumiała, że jest skazana. Oddychała z trudnością, a rzadkie ongiś napady duszności wracały teraz po parę razy w ciągu nocy.

Pewnego dnia w trakcie niewesołej rozmowy — Loiza starała się uśmiechać, matka usiłowała stworzyć złudzenie pełnego powrotu do zdrowia — otóż tego dnia, kiedy ustaliły, że nazajutrz opuszczą Paryż, usłyszały jakieś głośnie hałasy na ulicy.

Minęły dwie czy trzy godziny. Matka i córka siedziały obok siebie trzymając się za ręce, obojętne na odgłosy z zewnątrz, przy których cisza ich domu wydawała się jeszcze głębsza. Nagle drgnęły, usłyszały kołatkę przy drzwiach.

— Kto to może stukać? — wyszeptała Joanna.

Wstała i podeszła do okna. Nagle stanęła jak wryta; usłyszała, jak ktoś wymówił nazwisko Pardaillana! Wykrzyczano je wśród obelg, pogroźek, wściekłych wyzwisk!

Wokół domu zobaczyła jeźdźców otaczających kołem kogoś, kogo nie mogły dostrzec, gdyż opierał się o ich drzwi pod okapem. Ale chociaż go nie widziała, dobrze słyszała jego nazwisko!

Pardaillan! Ten, który porwał Loizę! Czyżby to była kara za grzech? Nagle obie wydały okrzyk, natychmiast stłumiony.

— To on! — wyszeptała Joanna de Piennes — Henryk de Montmorency!

— Kawaler de Pardaillan! — cichutko powiedziała Loiza.

— Nasz zły duch jest tutaj — mówiła dalej matka. — Loizo, dziecko moje, kto wie, czy ten przekłety Pardaillan nas nie wytropił. Kto wie, czy to nie on sprowadził tu swojego pana! Ale co ci jest, córeczko? Płaczesz?

— Matko, och, matko! — i Loiza zmieszana, roztrzęsiona zawołała: — Trzeba go ratować! Umrę, jeżeli on zginie!

— Ratować!? — zdumiała się Joanna. — Ratować kogo? Dziecko, oprzytomnij... nie mamy tu nikogo do ratowania... Są tu tylko nasi dwaj najzacieklejsi wrogowie!

— Och, matko, jestem pewna, że on nie jest naszym wrogiem. Wbrew wszystkiemu nie mogę uwierzyć, że mógłby być nielojalny.

Joanna de Piennes wychyliła się bardziej i widząc Jana zrozumiała, co się dzieje w sercu córki... Ale Jan tylko na krótką chwilę zatrzymał na sobie jej wzrok. Joanna nagle zbielała, oczy jej się rozszerzyły ze zdumienia, wpatrzyła się w kogoś, kogo Loiza nie widziała. A był to ten, którego obraz przechowywała pobożnie wryty w pamięci, ten, komu przysięgła dozgonną wdzięczność, ten, który przyniósł jej małą Loizę. Chwyliła córkę za rękę i powiedziała z prostotą:

— Chodźmy!

Zeszły i otworzyły drzwi. I uwznioślona ofiarą, odmieniona, dostojna ukazała się Joanna oczom napastników. Dalszy ciąg znamy...

Kiedy obie panie podtrzymując rannych cofnęły się do domu, kiedy dobrze pozamykały drzwi, pierwszym ich zajęciem było opatrzenie skaleczeń i ran. Obaj mężczyźni poddali się zabiegom bez słowa.

„Niech mnie diabli porwą — mówił w duchu ojciec — jeżeli nie pragnę być rannym codziennie, żeby opatrywały mnie rączki tej małej”.

„Jestem zgubiony” — myślał syn.

Przez naturalne poczucie przyzwoitości Joanna zajęła się Janem, Loiza jego ojcem.

Kiedy opatrunki zostały nałożone, stary obieżyświat wstał z fotela, uklonił się i powiedział:

— Pani, mam zaszczyt przedstawić ci mojego syna, kawalera de Pardailan oraz siebie samego. Honoré-Guy-Henri de Pardailan, z młodszej linii Pardailanów, rodziny słynącej w Langwedocji z wyczynów i ubóstwa. Tak, jesteśmy biedni, pani, mówię to z całą dumą; ale, na Boga, mamy serca na miejscu i oddajemy do dyspozycji nasze życie, które uratowałaś, pani...

— Pani — odezwała się Joanna — moja własna wdzięczność jest tylko w części usatysfakcjonowana tym, co zrobiłam...

— Nie rozumiem, pani...

— Czyżbyś mnie nie poznał, panie? Czy przynajmniej poznasz ten diament, który włożyłeś do rączki mojej córki owej tragicznej nocy, kiedy szłam do Paryża?

— Doskonale pamiętam. Chciałem tylko powiedzieć, że nie rozumiem tej wdzięczności, gdyż powinnaś mnie raczej nienawidzieć!

— No właśnie, panie. Sama jestem głęboko zmieszana i niesłychanie zdziwiona. Widzę w tobie wspaniałomyślnego człowieka, który odniósł mi moją córeczkę. Nigdy nie znałam twego nazwiska, a to, które mi teraz sam podajesz, panie, jest przecież nazwiskiem człowieka, który porwał moją Loizę!

— Rozproszę twoje zdziwienie, pani, ryzykując, że ściągam na siebie przekleństwo: człowiek, który porwał biedne maleństwo, spełniając polecenie Henryka de Montmorency, i człowiek, który ci je oddał — to jeden i ten sam i stoi on właśnie przed tobą. Tak, pani, popełniłem zbrodnię. W całej mojej egzystencji gorzkiej od biedy jest to jedyny

czyn zdecydowanie naganny, którego sobie nie mogę darować... Ale prawdą jest także, iż zdjęty wyrzutami sumienia, dopiero w chwili, kiedy ci zwróciłem dziecko, odetchnąłem pełną pierśią...

— Loizo — powiedziała Joanna de Piennes — oto człowiek szlachetny, wielkiego serca, który nie zawahał się ściągnąć na siebie nienawiść okrutnego magnata, żeby cię zwrócić matce...

Loiza podeszła do starego wagabundy, chwyciła go za rękę i podała czoło do pocałunku.

— Dziecko moje — powiedział Pardaillan — życzenia starego obywatela nie są może talizmanem szczęścia, ale gdybym miał oddać swoje nędzne życie, żeby cię uczynić szczęśliwą — umarłbym z radością.

Joanna włożyła na palec córki pierścień ozdobiony słynnym diamentem mówiąc:

— Przysięgam, że się z nim nie rozstanę. Moja córka dotrzyma przysięgi.

W tym momencie oczy Loizy napotkały wzrok Jana; dziewczyna zbladła pod wpływem ogarniającego ją uczucia, jak gdyby ten nieszczesny klejnot włożony na jej palec był zaręczynowym pierścionkiem.

Pierwsza godzina upłynęła na wzruszających wyznaniach, po czym z kolei Jan zaczął mówić. Dama w czerni zapytała, czy otrzymał list przeznaczony dla Franciszka de Montmorency. Jan opowiedział, jak został aresztowany, osadzony w Bastylii i jak się stamtąd wydostał.

Loiza chłonęła chciwie jego słowa, wydawało jej się, że słyszy jakąś baśniową opowieść z czasów Karola Wielkiego. Joanna słuchała z niepokojem. A kiedy Jan ją zapewnił, że marszałek de Montmorency otrzymał list, nie mogła powstrzymać bolesnego westchnienia:

— A więc mnie potępił, skoro nie przyszedł!

Kawaler de Pardaillan dobrze zrozumiał sens jej słów.

— Pani, proszę o trzy dni, a potem dokończę moją opowieść: dwa dni na zablźnienie się tych ukłuc szpilką i jeden dzień na pewne kroki... Wtedy dowiesz się, pani, jak pan marszałek przyjął ten list. Gdyż sądzę, że nie do mnie należy opisywanie jego reakcji.

Pomimo że słowa te brzmiały bardzo tajemniczo, Joanna doznała wielkiego ukojenia.

Wreszcie panie zajęły się instalowaniem obydwu Pardaillanów. Miejsca nie brakło, natomiast z posłaniami było skąpo. W końcu Pardaillanowie uparli się, że zamieszkają na czymś w rodzaju strychu, gdzie leżało dużo siana; na nim się wyciągnęli, gdy nastąpiła noc. Janowi żadne

posłanie nie wydało się tak miękkie, nigdy też jego sen nie obfitował w piękniejsze sny.

Ale stary Pardaillan, według swego dawnego zwyczaju, zaczął najpierw „lustrować lokal”, jak to nazywał. Inspekcja doprowadziła go do okrągłego okienka, które oświetlało strych i wychodziło na ulicę. Wyjrzał i skrzywił się.

Na jezdni rozlokowało się dwudziestu żołnierzy pod dowództwem oficera. Zapalili pochodnie, które rzucały czerwone, smutne blaski na ich sylwetki. Większość z nich spała ułożywszy się wprost na ulicy, owinięta w płaszcze. Ale czterech stało już przy drzwiach opierając się na arkabuzach.

Sytuacja dwóch nieposkromionych śmiałków przedstawiała się gorzej niż kiedykolwiek.

— Miłość, miłość! — zrzędził stary kręcąc głową. — Jakież to zadaje ciosy! Zginiemy jak amen w pacierzu, i tym razem nieodwracalnie!

Po tych słowach Pardaillan wyciągnął się obok syna, długo mu się przyglądał i wreszcie zasnął.

Nazajutrz rano promień słońca wdzierający się przez okienko zbudził starego Pardaillana. Zobaczył syna, który z łokciem na kolanie i z bronią opartą o dłoń wydawał się pogrążony w przykrych rozważaniach.

— Co ci jest, synu? Już od dziesięciu minut przyglądam ci się spod oka i jeśli nie słyszę jęków, które w sobie tłumisz, to się ich domyślam.

— Nie jęczę, ojczy, ja dumam.

— Wolno mi wiedzieć o czym?

— O tych żołnierzach pilnujących drzwi. No, bo muszę iść do marszałka de Montmorency i przyprowadzić go tutaj — ciągnął Jan z nutką rozpacz. — Dokonam tego, ojczy! Muszę, nawet gdyby tysiąc strażników stało na ulicy. Oczywiście marszałek zabierze córkę, a mnie nie pozostanie nic innego, jak być świadkiem na ślubie panny de Montmorency z możliwym panem, którego niewątpliwie przeznacza dla niej marszałek, a potem jesteśmy wolni... możemy odbyć podróż dookoła świata!

— Chciałeś powiedzieć podróż dokoła placu de Grève!

Jan wzruszył ramionami, co nie było odpowiedzią ojcu, lecz odpowiedzią na jego własne myśli.

— Tak czy inaczej proszę o trzy dni na sprowadzenie marszałka.

Jan pokręcił głową.



— Prosiłem o trzy dni, gdyż przypuszczałem, że moje rany są poważniejsze. Ale jestem silny.

— Dobrze, tylko jak stąd wyjdiesz? Ja nie obiecywałem niczego, a także nie widzę sposobu...

— Marszałek będzie tutaj jeszcze dziś...

Stary Pardaillan zaczął gwizdać jakąś piosenkę myśliwską, syn myszkował po strychu.

— Znalazłem! — odezwał się po godzinie.

— Do diabła z babami! Co znalazłeś?

Jan pokazał mu otwór wychodzący na dach.

— Czyżbyś chciał przejść dachami?

— Skoro nie ma innej drogi. Podsadź mnie, ojcze, żebym mógł sięgnąć do tego dymnika...

— Jesteś zdecydowany? Cóż, ruszaj...

Stary Pardaillan splótł dłonie i podstawił je, tak by Jan mógł oprzeć na nich nogę jak na stopniu. Młodzieniec wspiął się na nie, potem na ramiona ojca i uniósłszy ręce uczeplił się brzegu okienka. Parę chwil — i był na dachu, po przeciwnej stronie pochyłości od ulicy. Jak okiem sięgnąć — podwórka i ogrody. Jeśli zeskoczy na podwórze ich domu, znajdzie się w ślepym zaułku. Jedynym sposobem wydostania się było przejście na sąsiedni dach.

Pozycja Jana była niesłychanie niebezpieczna. Gdy się zastanawiał, co dalej robić, nagle usłyszał jakiś odgłos, jak sygnał nawoływania:

— Pssst!

Podniósł głowę w kierunku dachu sąsiedniego domu i zobaczył w futrynie wąziutkiego okna twarz mężczyzny przyglądającego mu się z dziwną natarcywością.

„Gdzie ja tę twarz widziałem?” — pomyślał.

Był to stary człowiek z białą brodą. Czy miał łagodne, spokojne, o jasnym spojrzeniu.

— Wróć do siebie, panie — powiedział.

— Mam wrócić? — zdziwił się Jan.

— Tak. Chcesz się ratować, czyż nie tak? Więc wiedz, że droga którą wybrałeś, jest nie do pokonania. Dom, gdzie jesteś uwięziony, łączy się z moim domem drzwiami, które zabiłem, ale teraz je otworzę.

Jan ledwo powstrzymał okrzyk radości. Chciał podziękować starcowi, ale ten już zniknął.

„Gdzie, u diabła, widziałem tego człowieka?” — głowił się Jan i zsunął się na strych.

— Co się dzieje? — zapytał stary Pardaillan.

Jan opowiedział, co go spotkało. Ojciec z synem wzięli się natychmiast do uprzątnięcia sterty siana, które prawdopodobnie zakrywało drzwi, o których mówił nieznajomy — jeżeli nie był on zdrajcą! Ku ich wielkiej radości drzwi się wreszcie wyłoniły, a jednocześnie usłyszeli, że za tymi drzwiami ktoś się krząta. Po paru minutach drzwi się otworzyły i stanął w nich wysoki starzec w czarnym ubraniu. Powiedział:

— Panie Brisard i ty, panie de la Rochette, witam was!

Stary Pardaillan stuknął się w czoło.

— To dwa nazwiska, które podałem tej pani! — mruknął. — Przypominam sobie was doskonale, panie!

— Ramus — przedstawił się starzec.

— Ramus, właśnie! Ale coś wam powiem, panie. Nie nazywam się Brisard i nigdy nie byłem sierżantem, jak twierdziłem. Ten oto kawaler także nie nazywa się de la Rochette...

Ramus uśmiechnął się.

— Podałem wtedy te dwa nazwiska, gdyż musieliśmy się ukrywać. Nazywam się Honoré de Pardaillan, a ten tutaj jest moim synem, kawaler Jan de Pardaillan.

— Panowie, wczoraj byłem świadkiem waszej straszliwej walki. Niestety, żyjemy w okropnych czasach! Wytlumaczę wam, panowie, jak się tutaj znalazłem. Ale proszę najpierw wejść...

Pardaillanowie wykonali polecenie i Ramus poprowadził ich na dół schodami. Znaleźli się w pięknej jadalni o bogatym wystroju.

— Otóż, panowie — zaczął Ramus — jak już mówiłem, wczoraj zająłem miejsce na ulicy, żeby zobaczyć przejazd króla. Widziałem, jak defilował jego orszak, a potem byłem świadkiem waszej niesamowitej walki. Wtedy usłyszałem wasze nazwiska. Ale grzeczność nakazywała mi użyć tych, które mi podałeś sam, panie. Życie za życie! Winien ci jestem moje, chciałem odkupić wasze. Wczoraj odszukałem właściciela tego domu i wynająłem go na trzy dni, gdyż nie chciał mi go odstąpić na dłużej. Teraz musicie tylko iść za mną. Wymkniecie się stąd w sposób jak najbardziej naturalny, to znaczy drzwiami, gdyż nikt ich nie pilnuje, bo wychodzą na zaułek...

— Panie — odezwał się Jan — z powodów, które mój ojciec wyjaśni, nie możemy odejść... przynajmniej nie teraz. Zatem tylko ja mogę na razie skorzystać z proponowanej nam drogi.

— Chodź, młodzieńcze!

Uczony zszedł jakimiś innymi schodami. Jan znalazł się przy drzwiach, które uchylił i stwierdził, że znajduje się na uliczce Fossoyeurs, prostopadłej do Montmartre. Nikt tej uliczki nie pilnował.

Zamiast iść ulicą Montmartre, gdzie ryzykował, że natknie się na strażę, zbiegł szybko zaułkiem, nadłożył sporo drogi i wreszcie poszedł w stronę pałacu Montmorency, dokąd dotarł bezpiecznie.

W parę chwil później Pardaillan stawiał się u marszałka, który przywitał go nerwowo:

— Jesteś nareszcie, przyjacielu, czekałem tylko na ciebie. Wyjeżdżamy...

— Wyjeżdżamy, jaśnie panie? Opuszczamy Paryż?

— Tak. Mam powody przypuszczać, że przeszukiwanie Paryża nie odniesie skutku. Zasygnalizowano mi, że jakiś tajemniczy orszak na drodze do Guyenne towarzyszy zamkniętej karcie. One są tam! Guyenne — to gubernatorstwo Damville'a. Dogonimy ten orszak, zaatakujemy go.

— Wasza książęca mość, ośmielam się prosić, abyś zechciał odłożyć wyjazd z Paryża do wieczora... Tymczasem proszę iść za mną, ale sam i pieszo...

— Pardaillan, ty coś wiesz!

— Chodźmy, wielmożny panie — powiedział Jan. W jego głosie brzmiała lekka ironia, jakby zagłuszająca przygnębienie.

— Chodźmy. Ale pamiętaj, że czas nagli!

Po chwili wyszli i niebawem dotarli do zaułku Fossoyeurs nie napotkawszy nikogo, kto by mógł ich zatrzymać. Zastukali. Otworzył Ramus. Weszli i kiedy byli w pięknej jadalni, którą obaj Pardaillanowie już znali, Jan powiedział bez ogródek:

— Panie Ramus, czy zechciałbyś posunąć swoją wspianiałomyślność tak daleko, że zostawiłbyś nas samych na jakąś godzinę w tym pokoju?

— Ten dom jest twój, moje dziecko — odparł stary uczony i poszedł do pokoju na parterze.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał zdziwiony marszałek.

— Dostojny panie, proszę, abyś tu na mnie zaczekał parę minut.

Jan wyszedł, Franciszek de Montmorency został sam. Młodzieniec szybko wrócił na strych, gdzie spędził noc. Został tam ojca, który na jego widok krzyknął:

— One czekają, martwią się o ciebie!

Jan usiadł, a raczej opadł na snop siana.

— Ojcie, bądź tak dobry i zawiadom panią de Piennes i pannę de Montmorency, że marszałek czeka.

— Do diabła! — tylko tyle powiedział stary obieżyświat; podszedł do syna i kładąc mu rękę na ramieniu szepnął: — Janie...

— Ojcie?

— Ty cierpisz, co? Opowiedz mi coś o tym...

— Mylisz się, ojcie — odparł Jan głosem niepokojąco spokojnym. — Poszedłem po marszałka de Montmorency, żeby zabrał swoją córkę. On tu jest — to wszystko.

— Dobrze, już dobrze — mruknął cicho stary. — Chcesz zachować swój ból dla siebie — proszę bardzo. Za chwilę będziemy płakać razem.

Zszedł na piętro zajmowane przez Joannę i Loizę. Jan ukrył się w ciemnym kącie; nie chciał, żeby go widziały, kiedy będą przechodzić strychem do domu Ramusa.

Franciszek de Montmorency czekał nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w drzwi, za którymi zniknął Jan. Otworzyły się one powoli. Stała w nich Joanna de Piennes. Miała dalej na sobie czarną suknię, która podniosła tragiczną urodę bladej twarzy, rozświetlonej wielkimi, przepastnymi oczami. Zobaczyła Franciszka i stanęła jak gromem rażona, złożyła ręce. A przecież stary Pardaillan ją uprzedził! Mimo to w jej spojrzeniu było bezgraniczne zdumienie.

Franciszek, cały rozdygotany, zbliżył się do niej. Jak ona, złożył ręce.

Kiedy znalazł się przy niej, ukląkł, czoło pochylił do stóp tej statuy żalobnej, szloch wyrwał mu się z piersi.

— Przebacz! Przebacz!

Jego ręce chwyciły lodowate dłonie Joanny. Potem zerwał się z kolan, objął ją ramionami i stał twarzą tuż przy jej twarzy.

Chciał coś powiedzieć, ale Joanna łagodnym ruchem objęła go oburącz za szyję i skłoniła głowę na jego ramię.

Czemu w tej chwili dziwny lęk ogarnął Franciszka?

Ten ruch ramion Joanny — on go poznawał. Ten uśmiech, tę postawę, kiedy ukochana głowa skłaniała się na jego ramię — on je poznawał.

— Joanno! Joanno! — szeptał z niepokojem. Ona zaś wyszeptała:

— O, mój ukochany, nareszcie zdradzę ci ten najdroższy sekret,

którego nie śmiałam ci wyjawić od trzech miesięcy... Musisz wiedzieć... potem pójdziemy razem i powiemy memu ojcu...

— Joanno! Joanno! — krzyknął marszałek resztką tchu.

— Posłuchaj, mój Franciszku. Wysłuchaj mnie uważnie, to uroczysta chwila... Ukochany, jestem twoją żoną i nasz związek został pobłogosławiony...

— Joanno! Joanno! — wołał marszałek.

— Słuchaj, oto najdroższy sekret, tak słodki i tak niebezpieczny. Franciszku, ja zostanę matką...

Okrzyk rozpaczy, straszne przekleństwo padło z ust marszałka.

— Szalona! Ona jest szalona!

Runął nieprzytomny.

Tak marszałek de Montmorency odnalazł tę, którą kochał.

Co wyniknie z odnalezienia się dwojga ludzi, którzy się kochali, co się stanie z młodą miłością kawalera de Pardaillana, z wojną wszczętą pomiędzy hugonotami a katolikami?

Czytelnicy dowiedzą się czytając

EPOPEE MIŁOŚCI

## Spis rzeczy

I. Dwaj bracia	5
II. Północ!	10
III. Chwała nazwiska	14
IV. Braterska przysięga	18
V. Loiza	22
VI. Pardaillan	28
VII. W drodze do Paryża	33
VIII. Ofiara złożona	37
IX. Dama w czerni	42
X. Pardaillan, Galaor, Pipeau i Giboulée	46
XI. Vox populi, vox dei	60
XII. Trzej ambasadorowie	72
XIII. Pogańska ceremonia	81
XIV. Tygrys na czatach	91
XV. Katarzyna Medycejska	97
XVI. Marszałek de Damville	108
XVII. Kobieta-szpieg	118
XVIII. Pipeau	133
XIX. Bastylia	135
XX. List Joanny de Piennes ...	144
XXI. Spowiednik	155
XXII. Spotkanie	177
XXIII. Pan de Pardaillan-ojciec	201
XXIV. Więźniarki	211
XXV. Ojciec i syn	225
XXVI. W Luwrze	245
XXVII. Pierwszy kochanek	259
XXVIII. Oblężenie karczmy „Pod Bijącym Młotem”	226
XXIX. Jak de Pardaillan-syn jeszcze raz nie usłuchał ojca	281
XXX. Kryjówka	286
XXXI. Królowa matka	291
XXXII. W co się bawił mały Jakub-Klemens	306
XXXIII. Piwnice pałacu Mesmes	310
XXXIV. Joanna d' Albret	318
XXXV. Zdziwienie Gillesa i Gillota	323
XXXVI. Homerycki epizod	335
XXXVII. Diament	344

